

KIEDY KTOŚ ODBIERA CI PRAWIE WSZYSTKO
JEDNEGO DNIA, PRAGNIESZ TYLKO ZEMSTY.
KIEDY TA SAMA OSOBA ZAGRAŻA TWOJEJ OJCZYŹNIE,
PO PROSTU DZIAŁASZ!

AGENTKA

D A R I A B A B Ś

AGENTKA
RD95
MELDUJE SIĘ!



NOVAE RES

AGENTKA RD95

melduje się!

Daria Babś



CZĘŚĆ I

Rozdział pierwszy

Znów to samo

Stary, ciemny dom. Zapach pleśni, brudnych skarpetek i stęchlizny. Stare, wypłowiałe żółte tapety odpadające od krzywych ścian. Papiery leżące na podłodze, resztki jedzenia pochłonięte przez różnego rodzaju grzyby.

Robi ostrożnie stawiała każdy krok, uważając, by nie skrócić kostki na powyginanych deskach lub nie poślizgnąć się na pozostałościach kanapki. Podłoga trzeszczała z każdym jej ruchem.

– Gdzie ja, do licha, jestem... – powtarzała cały czas pod nosem, rozglądając się dookoła.

Pod ścianami stały ogromne, stare kartony wypchane po brzegi brudnymi szmatami.

Gdzieś na górze usłyszała głosy. Podniosła głowę, ale nic tam nie było. Zobaczyła tylko krzywe deski i farbę odpadającą z sufitu. Postanowiła iść dalej. Weszła do kolejnego pomieszczenia. Na środku pokoju stał stół przeżarty przez korniki, a nad nim wisiała zabytkowa lampa opleciona pajęczynami.

W rogu, na suficie Robi dostrzegła wejście prowadzące na strych. Podeszła tam i wdrapała się na zakurzoną komodę. Powoli otworzyła klapę i na rękach podciągnęła się do góry.

Tu, gdzie się teraz znalazła, warstwa pyłu i brudu była jeszcze grubsza. Koło jej stopy przebiegł ogromny karaluch. Skrzywiła się z obrzydzenia i poszła dalej.

Nagle na końcu poddasza dostrzegła jakiś ruch. Cicho na palcach zakradła się bliżej, uważając, by nie stanąć na ruchomą deskę, która mogłaby zdradzić jej obecność. Schowała się za kartonem. Zauważyła dwóch mężczyzn.

Jeden z nich siedział oparty o ścianę, ledwo trzymając się pionu. Miał na sobie brudną, poszarpaną, białą koszulę ze śladami krwi i czarne spodnie. Twarz miał spoconą, z licznymi zadrapaniami i podbitym okiem. Drugi wyglądał zdecydowanie lepiej. Skórzana kurtka, eleganckie buty i spodnie wyprasowane na kant. Blond włosy zaczesane do tyłu, ociekające żelem.

Blondyn wycelował do tego siedzącego z pistoletu. Robi z przerażenia cofnęła się nieuważnie. Podłoga zatrzeszczała. Obaj mężczyźni odwrócili się w jej stronę. Ktoś zawołał ją po imieniu, a ten uzbrojony wziął ją na muszkę.

Nagle poczuła coś mokrego na twarzy. Nie wiedziała, co się dzieje. Uciekła do klapy, ale po chwili znów coś mokrego musnęło jej policzek.

Otworzyła oczy. Było jej duszno i miała zadyszkę, jakby przebiegła całą Polskę dookoła. Nie wiedziała, co to było ani co się stało. Wiedziała tylko, że coś zmoczyło jej twarz i nadal to robi.

– Reks! – wrzasnęła. – Ile razy mam ci powtarzać? Nie liżesz mnie, jak śpię! – Zepchnęła dużego owczarka niemieckiego z łóżka.

Pies skulił się i zapiszczał, a potem nagle rozluźnił się, wstał i zamerdał ogonem. Zaszczekał wesoło.

– Wiesz, że nie potrafię się na ciebie długo gniewać, prawda? Piesiu ty mój – zaśmiała się, głaszcząc zwierzaka po głowie.

Siadła na brzegu łóżka i zerknęła na lustro, które wisiało na drzwiach ogromnej szafy. Na swój widok zrezygnowana odwróciła wzrok.

Potargane brązowo-rude włosy sterczały na wszystkie strony, a zaspane ciemnozielone oczy same zamykały się do snu.

– Robi! Ileż można wstawać z łóżka?! – zawołał Darek z kuchni.

Robi przewróciła oczami i ukryła twarz w dłoniach. Reks szczeknął znacząco.

– No dobra, wstaję – szepnęła do psa, po czym zawołała: – Ileż można budzić jedną nastolatkę?!

Założyła puchate kapcie w kształcie owieczek i wstała z łóżka. Powoli zeszła po schodach i przechodząc przez przedpokój, doszła do kuchni.

– Znowu grzanki? – zapytała znudzonym głosem, siadając przy stole. – Jak zwykle widać twój talent kulinarny – mruknęła, podnosząc zwęglone resztki kromki chleba.

– Robi, to nie moja wina, że twoja mama umiała lepiej gotować. Staram się, jak mogę.

– Wiem, wiem. Doceniam starania.

– Miło z twojej strony. Smacznego – zaśmiał się Darek, targając Robi grzywkę.

– Mimo starań i chęci... Chyba zjem coś na mieście – mruknęła, podsuwając swoje śniadanie Reksowi, który nawet nie drgnął, by je zjeść.

Pies prychnął tylko i odsunął się kilka kroków w tył.

– Znów? – zapytał niezadowolony Darek. – Nie możesz jeść czegoś normalnego? Zdrowego?

– Najpierw chyba muszę mieć coś normalnego i zdrowego do jedzenia – wymamrotała pod nosem.

– Coś mówiłaś?

– Nie, nie. Nic. Tato... Nie narzekam, ale...

– Faktycznie, nie narzekasz – wtrącił ironicznie Darek.

– Ale mamy takie możliwości. Moglibyśmy jeść, co chcemy i gdzie chcemy. Nie możemy z tego skorzystać?

– Nie można tak nadużywać przywilejów. To ma być na wypadek kłęski.

– Te spalone resztki chleba to właśnie kłęska! – zaszlochała Robi, patrząc na swój talerz.

– Idź do szkoły, rób to, co do ciebie należy. Pamiętasz, jakie masz zadanie?

– Mam już prawie szesnaście lat. Wiem, co mam robić. Pilnować celu.

– Dokładnie. Masz kasę na jedzenie – mruknął Darek, kładąc przed Robi pieniądze. – Chyba nie zmuszę cię do zjedzenia grzaneł.

– Dzięki – odpowiedziała z uśmiechem. – Jak widać, sam rozumiesz moją niechęć do śniadania... Reks! Za mną.

Pies wstał leniwie i popatrzył na stół. Prychnął na grzanki i pobiegł za swoją właścicielką.

Wyszli na dwór. Promienie letniego słońca przeświecały przez liście brzoź, które rosły w ogrodzie. Równo przystrzyżony trawnik porośnięty był kwiatami. Robi szła ścieżką w stronę furki. Reks truchtał tuż za nią.

Wyszli na drogę prowadzącą do ulicy. To był kolejny upalny dzień. Na przedmieściach Wrocławia wszyscy szykowali się do pracy. Zaganiani ludzie rozmawiali przez komórki, a matki popędzały swoje dzieci, by wsiadały do samochodu, którym pojedą do szkoły. Robi kroczyła przed siebie zamyślona. Była trochę zawiedziona tym, że zamiast cieszyć się latem

z przyjaciółmi, musi śledzić bogatego chłopaka, którego szczerze nienawidzi od wielu lat.

W końcu stanęła pod szkołą. Był to duży i niski budynek, położony między blokami w centrum miasta. Za nim rosło kilka drzew, które tworzyły mały park. Na dziedzińcu roiło się od młodzieży. Każdy stał w swojej grupce i dobrze się bawił. Robi siadła na murku pod drzewem i obserwowała ich spode łba. Jej pies przycupnął na ziemi i nadstawiając czujne uszy, rozglądał się dookoła.

– Widzisz, Reks? Wszyscy świetnie się bawią, ale nie... My oczywiście musimy stać i wypatrywać jakiegoś frajera.

Wilczur polizał ją po dłoni i wrócił do swojego poprzedniego zajęcia.

– Jak coś zobaczysz, to daj mi znak – szepnęła zwierzakowi do ucha, a ten zaszczekał twierdząco.

Siedzieli tak i patrzyli. Nagle Robi poczuła, że coś ciągnie ją za nogawkę, i usłyszała ciche piszczenie. Popatrzyła na swojego przyjaciela i zobaczyła, że wskazuje kogoś pyskiem.

– Tak, to on. Idziemy – zarządziła, głaszcząc psa po głowie.

Ruszyli w stronę celu. Był nim wysoki i szczupły czarnowłosy chłopak o brązowych oczach. Jak zwykle miał na sobie ubrania najdroższych firm. Siedział na niewysokim murku i pisał sms-a.

Uczniowie chodzili beztrąsko po podwórku, a Robi skradała się ze swoim przyjacielem u boku.

– Cel namierzony. Powoli się zbliżamy – mruknęła do mikrofonu ukrytego w zegarku.

– Bardzo dobrze – usłyszała odpowiedź. – Wiesz, co masz robić, prawda?

– Bynajmniej nie mogę skrócić mu karku – syknęła zawiedziona.

– Robi! Nie zapominaj, co jest naszym zadaniem.

– No wiem przecież... Mam go pilnować, śledzić. Być przymusowym i przymuszonym kawałkiem jego życia. Tak, tato. Wiem... – mruknęła poirytowana Robi.

– Skup się, ty przymuszony kawałku życia...

– Jasne. Bez odbioru.

Robi była wściekła. Darek zupełnie nie rozumiał, że nienawidziła tego chłopaka z całego serca. Net Bore był przecież typowym bogatym snobem. Zależało mu tylko na szpanowaniu przed innymi. Nie liczył się z nikim, poza sobą. Jego najlepszym przyjacielem był superdrogi laptop, a dziewczyną – najnowszy model komórki. Myślał, że inni żyją po to, by mu usługiwać. Poza tym jego rodzina wiele lat temu nieźle zalaża Robi za skórę.

– Reks! Wiesz, co robią słodkie pieski, takie jak ty? – zapytała swojego psa, kiedy od celu dzieliło ich tylko kilka metrów.

Pies zaszczekał wesoło, merdając ogonem. Robi uśmiechnęła się i pogłaskała zwierzaka.

– Zajmij go swoją rozkoszną osobą. Wiesz, o co mi chodzi...

Reks ruszył biegiem w stronę Neta. Przeleciał mu przed oczami w podskokach, po czym zawrócił i siadł obok niego. Trącił chłopaka łapą i od razu podskoczył wesoło.

Net uśmiechnął się i zaczął obserwować psa, który teraz skakał i kulał się po ziemi. W końcu Bore odłożył telefon na murek i zaczął głaskać zwierzaka. To była odpowiednia chwila.

Robi, która do tej pory stała ukryta za drzewem, na palcach okrążyła swój cel i zaszła go od tyłu. Kiedy była tuż za nim, wzięła jego telefon i otworzyła klapkę. Tuż nad baterią przyczepiła mininadajnik GPS. Potem odłożyła komórkę tak jak była i oddaliła się od Neta. Gwizdnęła cicho, a Reks bez zastanowienia zerwał się i pobiegł w jej stronę.

– Dobra robota, przyjacielu! – pochwaliła zwierzaka, kiedy ten siadł przed nią, a potem zwróciła się do Darka: – Zadanie wykonane, możesz zaczynać.

– Przyjąłem. Namierzam cel – oznajmił Darek. – Mam go. Robi, a możesz jeszcze mnie podłączyć pod system kamer?

– OK. Co ty byś beze mnie zrobił... – zaśmiała się pod nosem, po czym szepnęła do zwierzaka: – Reks, masz czas wolny. Pobiegaj sobie chwilkę.

Pies zaszczekał wesoło i pobiegł przed siebie. Robi ruszyła żwawym krokiem w stronę szkoły. Przemykając między uczniami, skierowała się do piwnicy i mijając szatnie, doszła do pokoju technicznego. Drzwi oczywiście były zamknięte. Przewróciła oczami, wyciągnęła wsuwkę z włosów i rozbroiła nią zamek. Weszła do środka.

Był to mały i ciasny pokój wypełniony przełącznikami, rurami i zaworami. To tu można było odciąć prąd w całej szkole albo zwiększyć ciśnienie w kranach. Gdzieś tutaj musiało być też coś do zarządzania monitoringiem.

– Po co w głupiej szkole takie zabezpieczenia – mruknęła, szukając panelu sterowania kamerkami.

W końcu zobaczyła to, co chciała. Wyciągnęła laptopa z plecaka i podłączyła go do systemu. Złamała hasło dostępu i przesłała dane Darkowi.

– Masz podgląd. Ja się stąd zmywam.

– Dzięki, Robi.

Wyszła z powrotem na korytarz, a potem na dwór. Przywołała do siebie psa, który akurat pławił się w luksusie, jakim było drapanie za uszami przez grupkę dziewczyn.

Robi krążyła po szkole z Reksem, który nie opuszczał jej ani na chwilę. Nagle pies zatrzymał się i patrząc na koniec korytarza, zaczął warczeć. Uczniowie patrzyli na niego ze zdziwieniem, ale on nadal stał i wpatrywał się w coś. Robi popatrzyła tam, gdzie jej przyjaciel. To, co zobaczyła, przerosło najgorsze scenariusze.

Wysoki łyсы mężczyzna ciągnął wyrwijącego się Neta za rękę. Zrobiło się groźnie.

– Cel w niebezpieczeństwie! – pisnęła do zegarka.

– Idą do sali gimnastycznej!

– Pędzę tam – szepnęła Robi, przeciskając się w pośpiechu między tłumami na korytarzu.

– Uważaj na siebie! Osiłków jest dwóch. Wiesz, co robić.

– Obezwładnić. Tylko którego – zaśmiała się Robi.

– Dobra, dobra. Żarty będą potem.

– Tak, wiem. Bez odbioru.

Wbiegła do sali gimnastycznej, ale nikogo tam nie było. Zaniepokojony Reks siedział w drzwiach i czekał. Wtedy usłyszała hałas w składziku na piłki. Rzuciła plecak w kąt i ruszyła powoli w tamtym kierunku. Zaglądnęła do środka przez uchylone drzwi.

Jeden z mężczyzn, ubrany w czarną skórzaną kurkę i dżinsy, celował z pistoletu prosto w głowę Bore'a. Drugi tylko stał i przyglądał się uważnie. Robi doskonale wiedziała, co robić. Musiała ocalić cel i nie ujawnić się.

Przypomniała sobie o strzałkach usypiających, które umieszczone były w specjalnej bransoletce. Jeden jej celny strzał i napastnik śpi jak niemowlę. Potem drugi i po kłopotcie. Oszołomiony Net nie wiedział, skąd nadeszła odsiecz. Siedział zdezorientowany na podłodze i z przerażeniem patrzył na broń, która wypadła osiłkowi z ręki.

Robi szybko wybiegła z sali, zabierając po drodze plecak. Nie mogła dać się zauważyć. Net nie mógł wiedzieć, kto ocalił mu życie.

- Cel bezpieczny. Jadę do domu – mruknęła.
- A co z dalszą ochroną? – zapytał Darek.
- Da sobie radę. Mamy podgląd. Nic się nie stanie.
- No dobra. Wracaj.
- Okej. Bez odbioru.

Spokojnym krokiem ruszyła ulicą. O tej porze ruch nie był duży, nawet w centrum miasta. Jedynie matki z dziećmi spacerowały po parku. Słońce świeciło całą swoją mocą, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Wiał przyjemnie chłodny wietrzyk.

Robi wędrowała po mieście ze swoim psem przy nodze. Cały czas myślała o Necie. Nie miała pojęcia, dlaczego akurat on utkwił jej w głowie. Przecież wykonała zadanie i teoretycznie ma wolne aż do jutra. Mimo wszystko coś nie dawało jej spokoju. Problem w tym, że nie wiedziała co.

Doszła na przystanek i wsiadła w odpowiedni autobus, który zawiózł ją na przedmieścia Wrocławia. Wysiadła na dość ruchliwej ulicy i po kilku krokach skręciła w wąską i cichą osiedlową uliczkę. Przeszła kilkaset metrów, po czym weszła na piaszczystą drogę. Prowadziła do jej domu, który był oddalony od reszty o około pół kilometra.

Po długim spacerku, który był dla Robi codziennością, w końcu dotarła do furtki. Przeszła przez ganek i stanęła przed średniej wielkości żółtym budynkiem. Miała jakieś dziwne przeczucie, że nie będzie jej dane sięść przed telewizorem w kapciach i beztrudnie zjeść czekoladę.

- Cześć, tato! Już jestem – zawołała, wchodząc do domu.
- Jestem na dole – usłyszała odpowiedź.

Przewróciła oczami i ruszyła w stronę piwnicy. Darek jak zwykle sprawdzał, czy nic nie zginęło z magazynu. Robi nie rozumiała jego obaw, bo przecież wcale nie łatwo się tam dostać komuś z zewnątrz.

Zeszła po schodach i stanęła przed metalowymi drzwiami. Zbliżyła oczy do skanera siatkówki. Drzwi od razu się otworzyły.

- Gdzie jesteś? – zawołała, wchodząc między wysokie na dwa metry regały.
- Przy twoich zabawkach – odpowiedział rozbawiony Darek.

Przyspieszyła kroku. Co on tam robił? Skręciła w prawo i przeszła obok regału z różnego rodzaju bronią. Skręciła w lewo i w końcu doszła do swojego ojca.

- Po co tu przyszedłeś? – zapytała, patrząc na niego podejrzliwie.
- Zebrało mi się na wspomnienia. Pamiętasz, jak zafarbowałeś naszego kota na niebiesko tą torpedą?
- To było dawno temu. On zjadł moją złotą rybkę. Zasłużył sobie.
- A jak pomalowałaś twarz Jankowi od sąsiadów?
- Tą farbą, która...
- Tak. Tą, co sparaliżowała mu twarz na cały dzień.
- Ach... Co to był za gbur. Dzięki mnie przez cały jeden dzień się uśmiechał. Wyszło mu to na dobre.
- Do tej pory nie wiem, jak udało ci się dorwać do tej farby. Tak ją ukrywałem!
- Widocznie mam talent.
- Chyba za bardzo ci ufano za młodu. Za późno zauważono twoje zdolności.
- No cóż. To już nie moja wina.
- Wiadomo. A swoją drogą... Robi, nie będę ukrywał, że ściągnąłem cię tutaj nie tylko

dla wspomnień.

– Dlaczego mnie to nie dziwi.

To było już oczywiste. Zawsze, kiedy Darek ma dla Robi jakieś ważne zadanie, zanim powie jej, o co chodzi, rozmawia z nią o rzeczach przyziemnych i błahych. Tak miało być i tym razem.

– Robi, to poważna sprawa. Mamy chronić Neta Bore’a.

– Tyle to ja już sama wiem. Niestety.

– Poczekaj. Problem tkwi w tym, że Krzysztof Zuo posiada całą kartotekę na temat Neta i jego rodziny. Zna każdy ich ruch. Tak się nie da go chronić. Tobie, jako nastolatce, łatwiej zaufa.

– Zgaduję, że mam wykraść mu te informacje?

– Tak jest. Skąd wiedziałaś? – zapytał zdziwiony Darek.

– Ech, siedzę w tym już jakiś czas. Można by rzec, że mam to we krwi. Takie rzeczy się wie, jak ma się w rodzinie agentów i samemu jest się jednym z nich – mruknęła Robi znudzonym głosem, oglądając stare gadzety stojące na półkach.

– Pewnie myślisz, jak masz tam wejść?

– Pewnie przez szyb wentylacyjny.

– Nie. Przez drzwi.

– Tak po prostu? Serio? – zapytała z niedowierzaniem, patrząc na Darka.

– No tak. Tak zwyczajnie. Zapukasz, wejdiesz i wykonasz zadanie.

– Banał – zaśmiała się Robi, machając pobłaźliwie ręką.

– Masz dosyć wentylacji, co nie?

– Troszeczkę. Jakie są zabezpieczenia?

– Chyba nie ma. Sprawdziłem. Dasz radę?

– Śmiesz w to wątpić, tato? – mruknęła, przechodząc kilka kroków wzdłuż regału.

– Ależ nie. Do dzieła.

I tym sposobem tajna agentka specjalna Robi Damon znów ruszyła do akcji. Po raz kolejny jej obawy się sprawdziły. Nie udało jej się sięść przed telewizorem.

Rozdział drugi Zero zabezpieczeń

Robi wybiegła z domu i zatrzymała się w ogrodzie tuż przed furtką. Reks podbiegł do niej, chcąc jej towarzyszyć. Przykucnęła przy zwierzaku i pogłaskała go po głowie.

– Tym razem zostajesz. Pies byłby podejrzany. Sorrki, przyjacielu.

Wyszła i zamknęła za sobą furtkę. Czworonożny przyjaciel stał na dwóch łapach, patrząc smutno za swoją właścicielką, która powoli oddalała się od domu.

Robi doszła do głównej ulicy, a potem do przystanku. Autobusem dojechała na drugi koniec miasta, a kiedy stanęła w końcu w punkcie docelowym, odezwał się Darek.

– Idź w prawo, potem dwie przecznice dalej skręć w lewo. Potem przejdź sto metrów i będziesz u celu.

– Jasne – szepnęła Robi do zegarka, udając, że drapie się po uchu.

Zgodnie ze wskazówkami Darka, bez problemu dotarła do celu. Stała przed ogromnym białym domem. Już z zewnątrz było widać, że właściciel jest bogaty. Framugi okien były pozłacane, trawa w ogrodzie soczyście zielona, a meble ogrodowe lśniły czystością i nowością. Na prawo od domu znajdował się basen z hydromasażem i jacuzzi. Agentka przewróciła oczami.

Nieśmiało zadzwoniła domofonem, który był przy furtce.

– O co chodzi? – zapytał ktoś dumnym głosem, leniwie przeciągając samogłoski.

– Dzień dobry. Komórka mi się rozładowała... Mogłabym zadzwonić do mamy? – zapytała Robi niewinnym i słodkim głosem.

– Rozumiem. Proszę. – mruknął tajemniczy mężczyzna, a zamek w furtce zabrzączał i otworzył się.

– Dziękuję – odpowiedziała z uśmiechem, wbiegając do ogrodu i idąc pospiesznie w stronę domu.

Drzwi otworzył człowiek w średnim wieku z łysiną na czubku głowy. Był ubrany w smoking i wyglądał na bardzo dumnego. Łatwo można było wywnioskować, że był to lokaj.

– Telefon jest w salonie. Proszę za mną – mruknął i wszedł do domu.

Robi bez słowa ruszyła za nim. Dom był równie nowoczesny w środku, co na zewnątrz. Nie był jednak zbyt dobrze urządzone. Nowoczesne sprzęty i ogromne okna kłóciły się z malowidłami na sufitach i złotymi zdobieniami na framugach i brzegu lustra. Podłogę przykrywał stary i ręcznie tkany kwiecisty dywan, który z pewnością był warty fortunę. Obrazy wiszące na ścianach oprawione były w grube, masywne ramy. Tym bardziej dziwił fakt, że obok renesansowych malowideł wisały głośniki od kina domowego.

Kiedy doszli na miejsce, wybrała numer, który przez agencję został przeznaczony na telefony tego typu. Był mocno zakonspirowany i przekierowany na zupełnie inny adres, co uniemożliwiało namierzenie bazy.

– No cześć, mamó. Przyjedziesz po mnie? – Robi udawała, że rozmawia, czekając, aż lokaj odejdzie.

Ten jednak niestety uparcie stał tuż przy niej. W pewnym momencie pomysły na rozmowę jej się skończyły. Ciągnięcie tego jednoosobowego dialogu byłoby ryzykowne. Musiała się wycofać i wymyślić coś innego.

– Okej. To wracam do domu. Do zobaczenia – zaśmiała się, odkładając słuchawkę.

– Wiesz, gdzie są drzwi – mruknął lokaj i odszedł.

Robi nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Miała czyste pole manewru. Ofiara sama dała jej możliwość działania. Cóż za niesamowity łut szczęścia. Darek wyczuł sytuację.

– Twój cel to te drzwi na lewo od wejścia – odpowiedział.

Zakradła się do nich na palcach i spróbowała otworzyć. Były zamknięte. Po raz kolejny tego dnia użyła wsuwki do włosów. Tym razem również podziałało.

Weszła do środka. Nie usłyszała żadnego alarmu, nic jej nie zabiło ani nie zraniło. Uśmiechnęła się pod nosem i powoli ruszyła przed siebie.

Na samym środku ściany naprzeciwko wejścia stał nowoczesny komputer. Wokół niego było pełno teczek i segregatorów wypełnionych aktami i informacjami o ludziach, których obserwował Zuo.

Podłączyła do komputera swojego pendrive'a. Był włączony. Nic prostszego. Znalazła odpowiednie pliki i zaczęła kopiowanie. Po chwili dane były już bezpieczne na jej dysku.

Schowała pendrive'a do kieszeni i ruszyła w stronę drzwi. Złapała za klamkę, ale od razu cofnęła rękę. Była gorąca! Ostrożnie spróbowała ponownie. Tym razem się nie poparzyła, ale drzwi automatycznie się zamknęły. Komputer nagle się wyłączył. W wentylacji w suficie pojawiły się wiązki podczerwieni. Była w pułapce.

– Tata ma przechlapane – syknęła, rozglądając się dookoła i szukając możliwości ucieczki.

Kilka sekund później drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadło dwóch ubranych na czarno, uzbrojonych osiłków i Krzysztof Zuo we własnej osobie. Smukła twarz, czarna czupryna i bródka. Wąskie, brązowe oczy i gęste brwi. Typowy złoczyńca rodem z filmów.

– Pomyliłaś pokoje, księżniczko? – zapytał ironicznie, stając pod ścianą z założonymi rękami.

– Chciałam wyjść na dwór. Myślałam, że to tutaj – wymamrotała niewinnie Robi i chciała wyjść.

– Pomyliłaś pokoje i używałaś komputera? Nie kłam, bo ja kłamców nie lubię – syknął, zagradzając jej ręką drogę.

– Ja nic złego nie zrobiłam.

– Nie kłam! Powiedz, czego chciałaś, bo koledzy bardzo lubią strzelać i nigdy nie chybiają – szepnął Zuo i pstryknął palcami.

Dwaj mężczyźni unieśli broń, celując prosto w głowę Robi. Dwie kule w łeb i to z dwóch stron na raz? Śmierć stereo niespecjalnie jej się uśmiechała. Na oko pistolety miały spory kaliber, więc raczej dużo by z niej nie zostało.

Musiała coś wymyślić. Nie chciała zginąć i to w dodatku na tak rutynowej akcji.

– Dobra, powiem! – krzyknęła płaczącym i piskliwym głosem.

– No, słuchamy – syknął Krzysztof, unosząc groźnie prawą brew.

Dwóch osiłków nadal nie opuściło broni. Musiała szybko powiedzieć coś, co jest warte włamania, ale nie opłaca się za to zabić i brudzić sobie nowego białego dywanu.

– Chciałam tylko zgrać oprogramowanie! – zaszlochała, padając na kolana i płacząc.

– Niby taka słodka i grzeczna... A taki podły złodziej – mruknął Zuo, kręcąc głową

z politowaniem. – Chłopcy, jest wasza.

Machnął ręką i wyszedł. Robi, nadal udając, że płacze, obserwowała tamtą dwójkę. Król wyszedł i zostały tylko dwa pionki do zbicia. Dość niebezpieczne pionki.

Wyciągnęła prawy nadgarstek w stronę jednego z nich. Jeden celny strzał z bransoletki, a cel skrzywił się i padł na twarz, śpiąc jak zabity.

Niestety nie była wystarczająco szybka. Ten drugi zorientował się, co jest grane, i strzelił. Robi padła na podłogę. Oberwała w sam środek brzucha.

Leżała na ziemi. Na śnieżnobiałym, puszystym dywanie rosła czerwona plama. „To się nigdy nie spierze”, pomyślała Robi, śmiejąc się w duchu.

Po raz kolejny troskliwy ojciec się przydał. Przed akcją kazał jej założyć kamizelkę kuloodporną. Dla Robi udawanie rannej lub martwej to czysta przyjemność. Żeby uwiarygodnić przedstawienie, ma w kamizelce woreczki ze sztuczną krwią.

Do pokoju wbiegł kolejny pomagier Krzysztofa. Szepnął coś na ucho temu, który nie spał. Oboje podeszli powoli do Robi, która udawała półprzytomną. W takiej sytuacji zazwyczaj dają spokój, a przynajmniej widzi, co chcą z nią zrobić.

– Ja góra, ty dół – zarządził ten drugi.

Podnieśli ją z ziemi. Nie zorientowali się, że w tych okolicznościach kula powinna przeszyć Robi na wylot, a tak się nie stało. Nic nie wzbudziło ich podejrzeń. Szepnęli tylko coś o tym, że Zuo zabije ich za krew na dywanie, a ona ledwo powstrzymała się przed parsknięciem śmiechem.

Zanieśli ją do piwnicy. Rzucili ją na ziemię tak, że przeturlała się kilka razy. Chwilę później pojawił się Krzysztof.

Robi powoli odwróciła głowę w ich stronę. Zuo stał oparty o ścianę. Uśmiechnął się złośliwie.

– Kiedy już zacznie się wykrwawiać, powie nam prawdę.

Kiedy to powiedział, wyprosił ręką swoich pomagierów. Rzucił krótkie spojrzenie na Robi i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy ich kroki ucichły, wstała, strzepnęła kurz z ubrań i zaczęła się rozglądać.

Piwnica był ogromna i panował w niej porządek. Wszystko było pochowane do kartonów, które zostały równo ustawione pod ścianami. Uwagę Robi przyciągnęło małe okienko, znajdujące się tuż pod sufitem.

Podeszła do niego i wspięła się na kartony, by móc sięgnąć do parapetu. Od zewnątrz okno było tuż nad trawą.

Wyciągnęła z kieszeni swój błyszczyk i odkręciła zakrętkę. Posmarowała nim uszczelki i zamek. Po chwili pojawiła się musująca piana, a okno wyleciało na zewnątrz.

– Żrący błyszczyk. To się zawsze przydaje – zaśmiała się cicho pod nosem.

Przecisnęła się przez dziurę i wyszła na dwór. Wsadziła okno na miejsce i przywarła do ściany. Rozejrzała się na boki, szukając kogoś, kto mógłby ją zauważyć. W okolicy nie było nikogo z wyjątkiem ludzi chodzących poza terenem posiadłości. Ruszyła biegiem w stronę ogrodu. Wspięła się na wysoką zdobioną furtkę i zeskoczyła na chodnik.

Zakryła bluzą dziurę po kuli i sporą czerwoną plamę na bluzce. Pobiegnęła na przystanek i pojechała do domu.

Weszła przez niedomkniętą furtkę i przeszła przez ogród. Trzasnęła drzwiami wejściowymi i udała się do salonu. Ściągnęła bluzę i rzuciła ją na kanapę. Była wściekła na Darka. Nie wiedziała, jak taki świetny agent mógł przeoczyć takie zabezpieczenia.

- Jak tam, Robi? Masz te dane? – zapytał wesoło, wchodząc do pokoju.
- Tak – syknęła Robi, idąc w stronę schodów.
- Coś ty taka zła? – zapytał zdziwiony Darek.
- Nie ma zabezpieczeń, tak?! Skopiowałam dane tego buraka i znalazłam się w pułapce!

Gdyby nie kamizelka, tobym nie żyła.

- Co?! Przecież wszystko sprawdziłem...
- Widocznie niezbyt dokładnie – mruknęła Robi i ruszyła na górę.

Darek podbiegł do niej i złapał ją za rękaw. Przyciągnął do siebie i przytulił.

- Przepraszam – szepnął jej na ucho. – Najważniejsze, że jesteś cała...

– Tato, tu nie chodzi o to... Przywykłam do zagrożenia, ale chcę chociaż wiedzieć, co mi grozi i jak mogę się ratować... Którędy mogę uciekać...

- Rozumiem. Wiesz, że zrobię wszystko, byś była bezpieczna.

Robi uśmiechnęła się lekko i objęła Darka. Po chwili on odsunął ją i spojrzał jej prosto w oczy.

– Wiem, że jesteś świetna. Mówiąc szczerze, to chyba już mnie nawet nie potrzebujesz. Jesteś taka jak oni – szepnął, a Robi popatrzyła na niego smutno. – Odważna, mądra... Sprytna! Agent idealny. Pamiętaj o tym.

Wtedy do domu wbiegł Reks. Skoczył na nich z rozpędu i przewrócił na podłogę. Polizał swoją właścicielkę po twarzy, a ona podrapała go za uchem i poszła z nim do pokoju. Miała dość tego dnia. Chciała, żeby już się skończył.

Wieczorem Darek przygotował kolację, którą, ku zaskoczeniu obojga, dało się zjeść bez uszczerbku na zdrowiu. Potem siedzieli razem przed telewizorem.

Rozdział trzeci Bo Robi jest ta zła

Obudziła się, a właściwie została brutalnie obudzona, o świcie. Darek spędził noc przed komputerami, pilnując Neta. Zauważył, że pod jego domem czają się jakieś podejrzane typy. Obudził więc Robi. Wzięli odpowiedni sprzęt i ruszyli.

Był ciepły, letni poranek. Słońce wyglądało zza dachów. Robi biegła chodnikiem w stronę domu Neta. Tuż przed ostatnim zakrętem zatrzymała się i ostrożnie wyjrzała zza ogrodzenia.

Na ulicy, kilkadziesiąt metrów dalej, stała czarna furgonetka, a za nią czaiło się trzech zamaskowanych mężczyzn. Oglądnęła się za siebie. Darek jak zwykle został gdzieś w tyle.

Zawsze tak jest. Robi jest szybsza i sprytniejsza. On zajmuje się głównie monitorowaniem celów i kierowaniem swojej podopiecznej.

Nie było czasu na czekanie. Wybiegła zza rogu i ukryła się za koszem na śmieci. Trzy strzałki usypiające i zadanie wykonane. Kiedy leżeli nieprzytomni na ulicy, podeszła do nich. Wtedy dobiegł zdyszany Darek.

Związali ich i ukryli w furgonetce. Zamknęli drzwi i schowali się za rogiem.

Net właśnie wychodził do szkoły. Ubrany jak zwykle w wytwory najlepszych firm. Był nieświadomy tego, co przed chwilą wydarzyło się pod oknami jego domu. Maszerował przed siebie, gwiżdżąc wesoło i słuchając muzyki ze swojej nowej MP4.

– Robi, idziesz za nim. W szkole go chronisz.

– Jak zwykle – mruknęła i ruszyła przed siebie. – Do zobaczenia w domu.

Dotarli do gimnazjum. Net nadal miał GPS, więc Robi mogła go zostawić samego. Miała podgląd w telefonie komórkowym.

Mieli zajęcia w różnych krańcach szkoły. Całą lekcję zastanawiała się, czy Net naprawdę jest taki zły. W końcu była na niego skazana. Jeśli nie chciała oszaleć, ratując wroga, musiała poszukać jakichś pozytywnych cech. Nie tylko to, że uważała go za zarozumiałego, samolubnego i nudnego. Nie to, że mówi tylko o sobie i ma okropnych rodziców. Niby nie był brzydki, ale co znaczy wygląd przy jego paskudnym charakterze? Nienawidziła go od piaskownicy, a teraz musiała ratować mu życie.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek kończący lekcję matematyki. Wyszła na dwór ze swoją przyjaciółką Niki. Siadły na murku i delektowały się przerwą. Robi odruchowo wyszukała wzrokiem swój cel. Nie panowała nad tym. Weszło jej to w krew.

Stał pod drzewem i robił coś na swoim nowym, małym laptopie. Robi zerknęła na ulicę. Stała tam czarna limuzyna. Było to lekko podejrzane, więc przeprosiła Niki i poszła w stronę celu.

Nie spuszczała samochodu z oka. W pewnym momencie szyba pasażera siedzącego z przodu zjechała trochę w dół, tworząc wąską szparkę. Szkła były mocno przyciemniane, więc nie mogła dojrzeć twarzy. Nagle zauważyła końcówkę lufy.

– Snajper! – szepnęła pod nosem przerażona.

Ruszyła biegiem w stronę Neta i staranowała go, rzucając się z nim na trawę. Kula

roztrzaskała korę drzewa w miejscu, gdzie przed chwilą była jego głowa.

– O, laski na mnie lecą – zaśmiał się Net, zrzucając Robi z siebie na trawę. – Podobam ci się?

Popatrzyła na niego zdezorientowana. Co on sobie myślał! Tymczasem lufa ponownie pojawiła się w oknie. Bore siedział na trawie. Na jego czole pojawiła się mała czerwona kropka. Celowali prosto między oczy. Znow powaliła go na ziemię, a drzewo oberwało po raz drugi.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – wrzasnął Net. – Wybrudziłaś mi całe spodnie! To najdroższa firma na świecie! Szyte na mnie! Co teraz będzie?!

– Wypierz je. Albo kup nowe – syknęła Robi.

– Nie mów tak do mnie! – oburzył się Bore i pchnął Robi na drzewo.

– Bo co mi zrobisz? – Musiała go stamtąd jakoś odciągnąć, bo tamci szykowali się na kolejny strzał.

Chciała go zwabić za płot, ale się nie dał. Spróbował ją unieruchomić, ale przeliczył swoje siły. Jednym ruchem Robi powaliła go na ziemię i wywinęła mu ręce do tyłu. Przygniotła go do ziemi, nie spuszczając z oczu limuzyny.

– Dziewczyno, co ty robisz?! – pisał, próbując się wyrwać.

– Zamknij się i nie wstawaj.

Szarpnął się, ale jego starania spełzły na niczym. Wtedy tamci wycelowali w Robi. Zrobiła unik, pociągając za sobą Neta, i oboje przeturlali się po trawie. Byli za płotem. Teoretycznie bezpieczni.

– Puść mnie! Ręce mi połamiesz! – wrzasnął Net, wrywając się z całych sił.

– Wiem, co robię. Jeszcze mi za to, kretynie, podziękujesz.

W zasadzie w tym momencie się zdekonspirowała, ale nie było szans, by Net się domyślił. Pewnie pomyślał, że jakaś zakochana w nim do szaleństwa dziewczyna próbuje go poderwać siłą.

Wyjrzała zza płotu. Na jej widok snajper z samochodu znow przymierzył się do strzału. Tym razem polował na nią i nie chciał ryzykować porażki. Otworzył szeroko okno i wystawił broń na zewnątrz. Bardzo mu zależało, skoro zdecydował się na takie ryzyko.

Wtedy pojawił się Reks. Pędził ile sił w psich łapach prosto w stronę samochodu. Wszyscy oglądali się za nim ze zdziwieniem, ale on wpatrzony był tylko w swój cel. Skoczył i w locie złapał w pysk lufę karabinu i wybiegł na drogę. Akurat jechała ciężarówka. Przemknął tuż przed nią, rzucając pod koła broń. Wskoczył na chodnik, odwrócił się i z dumą popatrzył na swoje dzieło. Zamerdał ogonem i podbiegł do swojej właścicielki.

Limuzyna ruszyła z piskiem opon i zniknęła za zakrętem. Robi przytuliła psa i razem z nim wróciła do Niki, która siedziała zdziwiona na murku.

– Co to było? Lecisz na tego buraka? – zapytała zdumiona i zaniepokojona zarazem.

– Ależ nie! Skąd! – pisała Robi.

– To co tam z nim robiłaś?

– Nieważne. I tak nie zrozumiesz. Lecę do domu.

– Znow? Kiedy ty wysiedziałaś cały dzień w szkole?

– No ej, przecież... A w sumie... Nie pamiętam. No cóż. Do jutra.

Złapała Reksa za obrozę i pociągnęła za sobą. Wyszli na ulicę i ruszyli w stronę przystanku. Kiedy mijali sklep zoologiczny, Robi zatrzymała się i uśmiechnęła.

– Poczekaj tu, przyjacielu – szepnęła do psa i weszła do środka.

Kupiła mu ogromną kość z psiej czekolady jako nagrodę za jego zasługi. Wręczyła ją Reksowi, a on, mierzając ogonem, polizał ją po twarzy.

Wrócili do domu. Darek czekał już na nich z „pyszny” obiadem. Przywitał ich w kwiecistym fartuszkach i z drewnianą chochlą w ręce. Zaprosił Robi do stołu, a Reksowi nasypał karmę do miski.

– Mniemam. Niedopieczony kurczak w doszczętnie spalonej skórce i przyprawach – mruknęła, dłużyąc widelcem w obiedzie.

– Robi, nie marudź.

– Ja tylko stwierdzam fakty. Co do gotowania, robisz postępy. Kurczak nie jest spalony na wiór.

– Robi.

– Dobra, jem już. – Przewróciła oczami.

– No. I tak ma być. Smacznego.

– Eche. – Zrzuciła skórki Reksowi na podłogę. – Tato, a wiesz, że ci, co polują na Neta, mają snajpera?

– Co?! Jak to? – krzyknął Darek, opluwając się słoną zupą.

– A tak to... Strzelał dziś do Neta. Potem do mnie. Reksio wyrwał mu broń i wrzucił pod ciężarówkę – powiedziała znudzonym głosem, jakby to była codzienność, a Reks zaszczekał wesoło.

– Robi się coraz gorzej – mruknął zaniepokojony ojciec, patrząc uważnie na Robi.

– No, wiem. Spaliłeś ziemniaki.

– Przecież nie o tym mówię.

– Wiem, ale pomyśl. Jak widać, snajper sobie ze mną nie poradził. W końcu nie tak łatwo zabić równego sobie. A ziemniakami mogę się zatruć! – zaśmiała się, przełykając z trudem swój obiad, bo nie chciała umrzeć z głodu.

Następnego dnia znów poszła z Reksiem do szkoły. Był zwykły letni dzień. Wakacje zbliżały się nieubłaganie. Tłumy stojące przed szkołą rozmawiały ożywione o swoich planach.

Kiedy tylko wkroczyła na teren zespołu szkół, usłyszała głos dyrektorki. Chwilę później zobaczyła, jak biegnie przez dziedziniec. Była to przeciętnej wzrostu kobieta w średnim wieku o czarnych włosach i szarych oczach. Ubrana była jak zwykle w elegancką garsonkę i wysokie obcasy.

– Robi! – wysapała, wpadając na swoją uczennicę. – Musimy porozmawiać.

– Dobrze, proszę pani. Coś się stało?

– Dlaczego wczoraj pobiłaś Neta Bore’a? – zapytała, poprawiając fryzurę.

– Proszę?! Ja go pobiłam?! – pisnęła zdziwiona.

– Tak. Zgłosił się do mnie wczoraj. Podobno przewróciłaś go na ziemię, sponiewierałaś i nie pozwoliłaś mu wstać.

– Co za idiota – syknęła cicho pod nosem.

– Słucham?

– Nic, nic. Ale...

– Nie ma „ale”. Robi, takie zachowanie jest karygodne.

– Pani dyrektor, ja nic nie... Nic złego nie chciałam mu zrobić.

Dyrektorka westchnęła i popatrzyła na uczennicę znad okularów. Pokręciła lekko głową.

– Zawsze byłaś wzorem, przykładem...

– No właśnie! Ja nic mu nie zrobiłam. Ja... Ja na niego wpadłam.

- Cztery razy?
- Emm... Tak wyszło. Jestem straszną ofiarą losu.
- Oj, Robi. Niech będzie, ale żeby mi się to nigdy nie powtórzyło!

Robi uśmiechnęła się wesoło, a dyrektorka przewróciła oczami i odeszła. Agentka odetchnęła z ulgą. Już się bała, że poniesie konsekwencje. Oparła się o murek i zerknęła na swojego Reksa, który siedział na trawie, wesoło merdając ogonem.

Chwilę później pojawiła się Niki. Stała obok swojej przyjaciółki i stała chwilę w milczeniu.

- Co ty taka zestresowana, co? – zapytała w końcu.
- Dyrka chciała mnie chyba uziemić za to, że powaliłam wczoraj Neta na ziemię.
- Oj tam. Przecież ona cię uwielbia. Prędzej na podwórku zastrzeli cię snajper, niż ona da ci szlaban – zaśmiała się Niki, poklepując Robi po ramieniu.
- Tjaa – mruknęła, udając rozbawioną.

Biorąc pod uwagę jej sytuację, miała sporą szansę zginąć z rąk snajpera. Jak zwykle wycucie Niki było idealne.

W szkole nic się nie wydarzyło. Normalne lekcje, normalne przerwy. Potem wróciła do domu.

Przeszła przez ogród, weszła do środka i od razu skierowała się w stronę kanapy, która stała na środku salonu. Rozsiadła się na niej, a plecak rzuciła w kąt pokoju. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła miskę chipsów na stole. Wzięła kilka do ręki i położyła się wygodnie.

- Jak tam nasz cel? – zapytał Darek, wychodząc z kuchni.

Znów miał na sobie fartuszek w kwiatki, ale tym razem zapaćkany był sosem pomidorowym i mąką. Robi zmierzyła go wzrokiem i przewróciła oczami.

– Wbrew moim szczerym chęciom... żyje – mruknęła znudzona, patrząc, jak Reks goni swój ogon.

– Nie przesadzaj. Nie zabiłabyś go. Nie jesteś taka – stwierdził Darek, sadowiac się obok niej.

- Dlaczego wszyscy zakładają, że jestem łagodna jak owieczka...

– Nie jesteś jak owieczka. Gdyby tak było, to nie byłabyś takim świetnym tajniakiem. Wiem, co czujesz do Neta, ale nie jesteś mściwa – Robi popatrzyła na niego znacząco, więc poprawił się szybko – aż tak mściwa nie jesteś.

– Tato, czy ty myślisz, że ja mogę go tak po prostu chronić? Pomagać mu i nie mieć ochoty go wystawić terrorystom jak na talerzu?!

- Wiem, że masz ochotę. Jednak tego nie robisz. To pokazuje, jaka jesteś. Nie myśl o tym.

– Łatwo mówić. – Wstała i ruszyła w stronę schodów prowadzących do jej pokoju.

– Robi – zawołał spokojnie Darek, oglądając się za siebie.

– Co? – Zatrzymała się i popatrzyła na niego pytająco.

– On nie ma z tym nic wspólnego. Jest niewinny – mruknął cicho zza gazety.

Robi pokręciła głową w milczeniu i po chwili stania w bezruchu weszła po schodach na górę. Skręciła w prawo i znalazła się w swoim pokoju.

Był on duży i jak na dziewczynę dość nietypowy. Na ścianie nad łóżkiem namalowany był dwumetrowy F-16, a obok okna wisiała podziurawiona pociskami tarcza ze szkolenia. Nad oklejonym samolotami i zdjęciami z treningów biurkiem wisiała duża tablica korkowa, na której wisiały dyplomy z zawodów sportowych, fotografie i plan lekcji.

Robi podeszła do niej powoli i odszukała wzrokiem stare zdjęcie przedstawiające

roześmiane małżeństwo i ich pięcioletnią córkę. Pogładziła fotografię delikatnie ręką i uśmiechnęła się pod nosem. Zamyślona opadła na łóżko i ukryła twarz w dłoniach. Potem zasnęła.

Znów śniło jej się to samo. Znów ten stary, ciemny dom. Kartony, szmaty i szczury. Trzeszczące deski... i strych. Szła przez kurz, trzymając broń w górze w gotowości do strzału. Znów dwoje mężczyzn. I tak samo jak ostatnio. Jeden odwraca głowę, a drugi krzyczy.

Obudziła się nagle zdyszana. Reks śpiący w nogach łóżka podniósł łeb i popatrzył zaniepokojony na swoją panią. Podczołgał się do niej i delikatnie polizał po ręce.

– Nic mi nie jest, psiaku – szepnęła zaspana, głaszcząc przyjaciela po głowie.

Siedziała na łóżku jakiś czas. Myślała o tym śnie i o Necie. O swoim wrogu, który chyba tym wrogiem nie był i którego musiała chronić. Wpatrywała się ślepo w okno i jasną łunę bijącą od miasta.

Rano zwlokła się niewyspana z łóżka i w ślimaczym tempie zeszła na dół.

– Jakaś miła odmiana – mruknęła, kiedy Darek postawił jej przed nosem płatki z mlekiem zamiast zwęglonych resztek chleba.

Kiedy dojechała do szkoły, czuła, że ten dzień przeżyje na autopilocie. Nie chciało jej się nic. Najchętniej spędziłaby ten czas, leżąc w łóżku i gapiąc się bez sensu w sufit, ale niestety miała inne obowiązki.

Siadła pod murkiem, tam gdzie zwykle. Net oczywiście zalegał już na ławeczce ze swoim laptopem. Rozejrzała się dookoła. Stwierdziła zupełny brak wszelkich limuzyn, snajperów albo porywaczy. Wszędzie tylko uczniowie i nauczyciele.

Nagle z tłumu wyłoniła się Niki. Szła żwawym krokiem, uśmiechając się od ucha do ucha. Jej długi jasnobrązowy kucyk podskakiwał rytmicznie. Pomachała do swojej przyjaciółki.

– Siemka, co porabiasz? – zapytała, siadając obok.

– Siedzę i zasypiam. Wizja dwóch matm z rzędu mi się nie uśmiecha – mruknęła Robi, udając, że to matematyka jest powodem jej kłopotów.

– Oj, tak... No i jeszcze ten polski. Masz to wypracowanie?

– Co?! Jakie znowu... Cholera – syknęła pod nosem, uderzając się ręką w czoło.

Przez całą akcję z Netem zapomniała o odrobieniu zadań domowych. Miała nadzieję, że ujdzie jej to płazem.

Kiedy zadzwonił dzwonek, poszły na lekcje. Robi siedziała, wpatrując się ślepo w nauczycieli. Nie mogła się skupić na niczym. Nadal dręczyły ją rozmyślenia o śnie i o jej zadaniu. Pierwiastki i analiza wiersza nie były dla niej dziś istotne.

– Co robisz po szkole? – zapytała Niki, kiedy wyszły na dwór na przerwę.

– Nie mam pojęcia. Nie wiem, jak mi się dzień ułoży – szepnęła Robi, rozglądając się za Netem.

– Oczywiście – prychnęła jej przyjaciółka. – Jak zwykle.

– Ej, sorry, no... Po prostu wszystko zależy od... – zawiesiła głos i znalazła swój cel – od takiej jednej sprawy. Kiedy skończę, to będę do twojej dyspozycji.

– Trzymam za słowo – mruknęła przyjaciółka i wróciła do szkoły.

Robi znów zaczęła szukać Neta, ale nie mogła go znaleźć. Zdenerwowała się i wskoczyła na murek. Nadal go nie widziała. Zerknęła na ulicę.

– Cholera jasna! – syknęła, zobaczywszy czarną furgonetkę stojącą za rogiem.

Chwilę później zauważyła, że w kierunku samochodu podąża dwóch dobrze

zbudowanych i zamaskowanych mężczyzn, a trzeci – chudy – jest niesiony. W tym ostatnim rozpoznała Neta.

Zeskoczyła z murku i przeciskając się przez tłumy uczniów, pobiegła za nimi. Już prawie ich dogoniła, ale kierowca furgonetki zaczął do niej strzelać.

Przeskoczyła przez płot i ukryła się za drzewem. Nie wiedziała, co robić. Nie mogła opuścić Neta, ale była bezbronna. Miała tylko strzałki usypiające, które w starciu z bronią na otwartym terenie i przy takiej przewadze przeciwnika nie znaczyły nic. Siedziała w ukryciu beczynnym, przyglądając się całej tej scenie.

Żaden z uczniów nic nie zauważył. Chodzili tak, jakby wszystko było w porządku. Nie słyszeli strzałów, bo terrorysta miał tłumik. Agentka cały czas starała się coś wykombinować.

Przebiegła kawałek dalej i ukryła się za innym drzewem. Kierowca nadal nie odpuszczał. Dwóch osiłków wrzuciło chłopaka do samochodu.

Odjechali z piskiem opon, a Robi bezradnie usiadła na ziemi. Tę bitwę przegrała.

Rozdział czwarty Załamka

Wróciła do domu najszybciej, jak mogła. Net porwany, gorzej być nie mogło. Z jednej strony jej to nie przeszkadzało, bo przecież go nienawidziła, ale w końcu to też człowiek. Poza tym porwanie osoby, którą miała chronić, to jej osobista porażka i to było głównym powodem, dla którego nie mogła odpuścić.

Zdyszana wpadła do salonu. Darek siedział spokojnie na kanapie i czytał codzienną gazetę.

– Tato! – zawołała Robi, a on podskoczył z zaskoczenia, oblewając się kawą.

– Coś się stało? Co z Netem? Nie poszedł do domu.

– No właśnie. Porwali go. Masz podgląd?! Gdzie jest? – zapytała, podbiegając do kanapy i siadając obok niego.

– Przemieszcza się w stronę Sky Tower – odpowiedział spokojnie Darek, ale po chwili zapytał zdziwiony: – Jak to: porwali?! Zabrali ci go sprzed nosa?

– Mieli broń i strzelali, a ja nie mogłam narażać całej szkoły. Moja wina. Odbiję go.

– Może damy wiadomość do PAS-u?

– O nie. To mój cel. Polskich Agentów Specjalnych sobie darujmy – mruknęła Robi, biegnąc do magazynku w piwnicy.

– Przypominam, że jesteś ich częścią – zawołał za nią rozbawiony.

– Bardzo niezależną i bardzo oddzieloną częścią! – odpowiedziała, szukając na regałach odpowiedniego sprzętu.

Uzupełniła bransoletkę strzałkami, założyła cienką, prawie niewidoczną kamizelkę kuloodporną i spadochron. Biegnąc do półek z bronią, zabrała jeszcze małą słuchaweczkę z mikrofonem.

– Ene due like fake, snajper, agent czy amator – przypomniała sobie swoją starą wyliczankę, kiedy wybierała rodzaj broni.

– Weź agenta. Najwygodniejszy na tego typu akcję – doradził Darek, który pojawił się obok niej nagle i bez ostrzeżenia.

Kiedy była już gotowa, poszli razem do samochodu i ruszyli z piskiem opon w stronę najwyższego wieżowca w mieście.

Jak zwykle o tej porze, ulice były zakorkowane. Robi siedziała z laptopem na kolanach i cały czas śledziła ruch Neta. Przemieszczał się skokowo, co mogło oznaczać tylko jedno. Utknęli w korku.

Niecierpliwie stuknęła palcami w oparcie. Normalnie wyciągnęłaby na dach koguta, ale teraz jak na złość nie mieli go w samochodzie. Darek co pewien czas też zerkał na monitor i sprawdzał położenie celu.

– Są na miejscu – mruknęła Robi po pewnym czasie.

– Pół minuty i my też jesteśmy!

Nie mylił się. Chwilę później znaleźli się pod Sky Tower. Stała tam już czarna furgonetka,

a czwórka porywaczy prowadziła Neta do drzwi.

– To oni. Wkraczam do akcji. Monitoruj i informuj.

– Uważaj na siebie, Robi.

– Spoko – zaśmiała się, podając mu laptopa, i wysiadła z samochodu.

Przebiegła przez ulicę i wbiegła po schodach do wieżowca. Wpadła do ogromnego holu pełnego ludzi. Stała na palcach i rozejrzała się dookoła. Jej cel wsiadał do windy.

– Zrób coś z nią. Zatrzymaj, albo coś – szepnęła do mikrofonu, biegnąc w tamtym kierunku.

– Czekaj, włamuję się do systemu.

– Szybciej! Są już na trzecim! – syknęła Robi i chwilę później po drugiej stronie korytarza zauważyła drzwi prowadzące na schody ewakuacyjne. – Zatrzymaj ich jak najszybciej. Ja biegnę na górę!

Wpadła przez drzwi na klatkę schodową. Skacząc na co trzeci stopień, wspinała się na górę. Była już na czwartym piętrze. Zatrzymała się i odezwała się do Darka:

– No i co?

– Zatrzymana na czwórcie – odpowiedział z ulgą.

Przewróciła oczami i pognała piętro wyżej. Wybiegła z klatki na hol główny i rozejrzała się dookoła. Na szczęście nikogo tu nie było. Tylko ona i szare ściany wieżowca. Im mniej świadków, tym lepiej.

Podbiegła cicho do windy i ręcznie rozsunęła drzwi. Zeszła ostrożnie na dach i przywarła do niego w pozycji leżącej.

– Już – szepnęła prawie bezgłośnie do zegarka, a winda ruszyła.

Przez kratki w suficie widziała osoby, które były w środku. Dwóch porywaczy stało spokojnie na środku. Rozmawiali szeptem i uśmiechali się złowrogo. W rogu siedział skulony i przerażony Net, który ze łzami w oczach patrzył na przeciwników. Napastnicy nie byli świadomi, że ich zdobycz zostanie odbita już za około trzydzieści pięter.

Leżała w bezruchu na dachu, a winda spokojnie jechała w górę. Nie zatrzymywała się nigdzie. Darek o to zadbał. Dojeżdżali już na szczyt. Czterdzieste piąte, czterdzieste szóste i nagle przez myśl przemknęła Robi dość realna i problematyczna wizja. Nie miała pojęcia, czy zmieści się między windą a sufitem. Ryzykowała, że zostanie zgnieciona i na tym skończy się jej akcja.

Byli już w połowie ostatniego piętra. Rozpłaszczyła się jak tylko mogła, mając nadzieję, że to wystarczy. Nagle poczuła, jak coś przygniata ją do sufitu. Żebra ugięły się na maksimum możliwości, a ona wstrzymała oddech i zacisnęła zęby.

Porywacze i ich ofiara wysiedli, a chwilę później drzwi się zamknęły.

– Opuść tę windę, co? – syknęła cicho ostatnimi resztkami powietrza.

– Już się robi – usłyszała odpowiedź, a winda zjechała pół piętra w dół.

Wszystkie żebra wróciły do dawnej postaci. Robi wstała, wyprostowała się i wzięła głęboki oddech.

– Pij mleko, będziesz wielki – zaśmiała się, rozchylając drzwi, i wyskoczyła na piętro.

Nie było tu nic innego poza wyjściem na dach. To była jedyna i zarazem genialna możliwość ucieczki. Biegnąc po schodach, wyobraziła sobie najbardziej typową możliwość. Po Neta i jego „strażników” przyleci śmigłowiec. Jednak zważając na wcześniejsze wyczyny przeciwnika, odrzuciła ten pomysł jako zbyt banalny i przewidywalny.

Wybiegła na zewnątrz. Czekali na coś na samym środku. Patrzyli w niebo. Robi zakradła

się bliżej i ukryła za jakąś skrzynią. Kiedy miała już wkroczyć do akcji, usłyszała jakże charakterystyczny dźwięk wydawany przez wirnik helikoptera. Pokręciła głową z politowaniem i wystawiła głowę ze swojej kryjówki. Porywacze stali przodem do niej, więc nici z ataku z zaskoczenia, ale jeśli chciała zdążyć przed przylotem następnych, to musiała działać teraz.

Jeden celny strzał strzałką usypiającą i jeden padł na ziemię. Drugi ją zauważył i kiedy do niego wycelowała, zasłonił się Netem jak tarczą. Trafiony chłopak zawisł bezwładnie na jego rękach, a on odrzucił go na bok i ruszył w stronę Robi. Chwilę potem już spał u stóp nastoletniej agentki.

Robi podbiegła do Neta i uklękła przy nim. Na szczęście żył. Zaśmiała się pod nosem.

– Siniaki. Jak się obudzisz, nie będziesz zbyt zadowolony. Do tego te brudne markowe ciuchy – szepnęła rozbawiona, kiedy podnosiła go z ziemi.

Ciągnęła go już w stronę drzwi, ale nagle tuż nad budynkiem pojawił się śmigłowiec. Wskoczyło z niego dwóch napastników, którzy zaczęli strzelać. Robi, widząc, że może nie dobiec do klatki schodowej, będąc pod ostrzałem, schowała Neta w swojej dawnej kryjówce i wyciągnęła pistolet. Nie miała zamiaru nikogo zabić, poza tym i tak by się nie udało, bo przeciwnik był zabezpieczony od stóp do głów. Wycelowała w lufę karabinu jednego z nich. Trafiała, a broń była już nie do użytku. Taki sam los spotkał drugiego napastnika.

Zdenerwowani mężczyźni rzucili się na nią, ale ona zrobiła zręczny unik. Wiedziała, że nie ma sensu obrywać w walce siłowej, gdzie nie miałyby szans. Musiała wykorzystać swoje różnego rodzaju podstępny. Po krótkiej szarpaninie dwóch atakujących pokonało się wzajemnie, a Robi wyszła z tego bez najmniejszego zadrapania.

Kiedy wróg leżał nieprzytomny, zabrała Neta, zaciągnęła go na skraj dachu i przypięła do siebie. Śmigłowiec zaczął lądować. Uśmiechnęła się tryumfalnie do pilota i pomachała mu rozbawiona, po czym skoczyła i od razu otworzyła spadochron.

Jak na taki skok, budynek był dość niski i istniało ryzyko, że z dość dużą prędkością wbiją się w asfalt ulicy. Do tego zmienny wiatr, wiejący między budynkami, utrudniał ustabilizowanie lotu.

– Zadanie wykonane! – zawołała zadowolona do zegarka, kiedy zbliżali się już do ziemi, ale nikt się nie odezwał.

Wylądowali twardo na środkowym pasie, tuż przed ciężarówką, której kierowca, widząc, co się dzieje, zahamował z piskiem opon. Robi podziękowała szokowanemu mężczyźnie skinieniem głowy, zebrała spadochron i zaciągnęła Neta na umówione miejsce, gdzie miał czekać Darek.

Rozejrzała się i ku swojemu zdziwieniu nie zauważyła samochodu. Nie było tu nikogo. Zaniepokoiła się lekko.

– Tato? – zapytała do zegarka. – Jesteś gdzieś?

Cisza. Nikt nie odpowiedział. Obracała się nerwowo na wszystkie strony, ale nic to nie dawało. Wszędzie krążyło pełno samochodów, ale nigdzie nie widziała tego należącego do Darka. Tramwaje, rowery i piesi, ale po agencji nie było śladu!

– Pewnie łączność padła – westchnęła sama do siebie i usiłując nie upuścić Neta, wyciągnęła telefon.

Wybrała odpowiedni numer i czekała w napięciu. Nic z tego. Abonent poza zasięgiem sieci.

– Obudziłbyś się w końcu! – wrzasnęła zdenerwowana na Neta, który osunął się na

ziemię. – Nie dociągnę cię do domu, nie wzbudzając podejrzeń!

Chłopak nawet nie drgnął. Przeklęła pod nosem i podniosła go z chodnika. Zataczając się pod jego ciężarem, ruszyła w stronę postoju taksówek, który był za rogiem.

Podeszła do jednego z samochodów i otworzyła drzwi. Posadziła Neta i siadła obok niego. Uśmiechnęła się do brodatego kierowcy.

– Na ulicę Pyłkową poproszę – powiedziała, podtrzymując chłopaka, by nie poleciał na bok.

– Się robi – mruknął taksówkarz i odpalił silnik.

Jechali przez miasto. Godziny szczytu minęły, więc na ulicach nie było korków. Słońce świeciło jej prosto w oczy przez lekko przyciemnianą szybę. Wyjechali już z centrum i mknęli przez osiedla domków jednorodzinnych. Nagle Net się obudził. Podskoczył przerażony i rozejrzał się dookoła po taksówce. Kiedy zobaczył Robi, krzyknął z przerażenia.

– Gdzie jestem?! Coś ty za jedna?! – zaczął się wydzierać na całe gardło, a przerażona sytuacją agentka zasłoniła mu usta ręką.

– Co mu się stało? – zapytał kierowca mocno zdziwiony.

– Jest wstawiony po imprezie... Sam pan rozumie. Świątował osiemnastkę – stwierdziła, uznając, że taka wymówka najlepiej wyjaśnia tę sytuację.

– Wszystkiego najlepszego, kolego – zaśmiał się do Neta, który z paniką w oczach patrzył na coś za oknem. – Dobra z ciebie koleżanka, że odprowadzasz kolegę... Nietrudno o wypadek, czy coś...

– Tak, tak – mruknęła zamyślona. – Może nas pan tu wysadzić?

– Oczywiście – odpowiedział taksówkarz i zatrzymał się. – To będzie pięćdziesiąt złotych.

– Proszę – wymamrotała Robi, podając pieniądze. – Do widzenia.

Siłą wyciągnęła z auta wierzącego się chłopaka i pociągnęła za sobą.

– Co ty wyprawiasz?! Za kogo ty się masz! – wykrzykiwał Net, wyrывая się dziko. – Jak ja wyglądam! Plamy! Siniaki! Porwałś mnie!

Robi zatrzymała się nagle i popatrzyła z nienawiścią na niego, a on na chwilę zamilkł.

– Czy możesz być cicho? – zapytała, siląc się na spokojny ton głosu.

– Porwałś mnie!

Przewróciła oczami i subtelnie rozejrzała się dookoła. Jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności nikogo w okolicy nie było. Uśmiechnęła się spokojnie i użyła swojej cudownej bransoletki. Teraz znów musiała ciągnąć za sobą spory ciężar, ale przynajmniej zapadła błoga cisza.

W końcu po jakimś czasie udało jej się dotrzeć do domu. Przeszła przez ogród i weszła do środka.

– Jestem! Bilans dzisiejszego dnia wypada nie najgorzej. Uratowałam Neta, nie zastrzelił mnie snajper i ogólnie przeżyłam cała i zdrowa – zawołała, sadzając Neta pod ścianą.

Nikt się jednak nie odezwał. Cała ta sytuacja coraz bardziej niepokoiła Robi. Przeszła do salonu, potem do kuchni i do łazienki. Nikogo nie było.

– Tato? – zawołała, wchodząc po schodach na piętro.

Wtedy zadzwonił telefon. „To na bank Darek”, pomyślała i zbiegła po schodach. Skoczyła w kierunku słuchawki i odebrała.

– Tato, no w końcu! – zawołała rozradowana.

– Nie ciesz się tak – odezwał się obcy i gruby głos. – Jeśli chcesz zobaczyć swojego ojczulka żywego, to przyjdiesz jutro grzecznie w samo południe do starego magazynu pod

Wrocławiem. Wiem, że wiesz, gdzie on jest. Masz być sama, bo inaczej kula w łeb dla twojego tatusia i dla ciebie – powiedział mężczyzna i rozłączył się.

Robi stała jak wryta. Nie wierzyła w to, co usłyszała. Nie chciała dopuścić do siebie myśli o tym, że Darek, świetny agent, został tak po prostu porwany. Nie wiedziała, jak mogło się to stać. Zrozpaczona padła na podłogę i popatrzyła bezradnie w sufit. Skoro Darek nie dał im rady, to co miała powiedzieć szesnastolatka? Nie miała pojęcia, co robić. Teraz została z tym wszystkim sama.

– Porwałś mnie! – krzyknął ktoś siedzący pod ścianą przy wejściu do salonu.

– Świetnie! Jeszcze ciebie mam na głowie! – syknęła przez łyzy, łapiąc się za głowę. – Dla jasności... nie porwałam cię!

– To mnie wypuść! Natychmiast.

– Nie – mruknęła, wstając z dywanu.

Podeszła do okna i popatrzyła w niebo. Pokręciła głową i odwróciła się do Neta, który stał z założonymi rękami obok kanapy.

– Dlaczego mnie więzisz? – zapytał oburzony. – I kim ty u licha jesteś?

– Cicho bądź.

– Chyba mam prawo wiedzieć, kto mnie więzi!

– Nie. Właśnie nie masz prawa tego wiedzieć – syknęła, wpatrując się w niego z nienawiścią.

– Może milej?! Nie życzę sobie takiego traktowania.

– A kim ty jesteś, żeby sobie czegoś życzyć?! – zaśmiała się ironicznie Robi, po czym dodała smutno: – To wszystko twoja wina! Gdyby nie ty, nigdy by nie... Nieważne!

– Co tu jest grane?!

– Nie mam nastroju na rozmowy, więc przymknij się, zanim się porządnie zdenerwuję – powiedziała w miarę opanowanym głosem, podchodząc do niego.

– Masz mi powiedzieć.

Tego było za wiele. Złapała go za ramię i siłą posadziła na fotelu. Popatrzył na nią oburzony, a ona z trudem powstrzymała się od zręcznego prawego sierpowego w nos.

– To moja najlepsza bluza! Podrzesz i co będzie?!

– Zszyjesz sobie? – zaproponowała ironicznie.

– Po co? W sumie lepiej kupić nową. Szycie jest dla frajerów.

– Jaki ty jesteś... – zaczęła i wzięła głęboki oddech, by nie powiedzieć czegoś głupiego. – Ty jesteś po prostu okropny.

– Jakim prawem szarpiesz mnie za ubrania?!

– Prawem nadanym mi przez Rzeczpospolitą Polską – syknęła, mając nadzieję, że Net weźmie to za dobry żart.

– Tak, eche. A ja jestem gwiazdą rocka – mruknął z ironią, patrząc na nią jak na wariatkę.

– Ty jakaś dziwna jesteś! Skaczesz na mnie w szkole, teraz to... Moi rodzice będą wściekli!

– Oj, tak. Będą. Na mnie. A teraz siedź cicho i chodź. – Zmusiła go do wstania i zaciągnęła pod drzwi do piwnicy.

Przystawiła oczy do skanera i weszła do środka. Pchnęła Neta na drugie drzwi i kazała mu usiąść.

– Co jest za drugimi? – zapytał zdenerwowany, ale równocześnie zaciekawiony.

– Nie twój interes. A teraz mnie posłuchaj. Nie zabiję cię, bo nie to mam na celu, ale wiedz, że jeśli wywiniesz coś głupiego, źle się to dla ciebie skończy. Nie zmuszaj mnie do

czegoś, czego będę żałować.

– Ty mi grozisz?!

– Nie. No coś ty! Cicho i śpij – syknęła i zamknęła drzwi.

Oparła się o ścianę i odetchnęła. To wszystko zaczęło ją przerastać. Mimo wszystko plan na jutro miała jasny i klarowny. Pójść na umówione miejsce i nie dać się zabić. Wiedziała, że pakuje się w paszczę lwa, ale nie miała wyboru.

Rozdział piąty **KOD Czerwony**

Nie spała całą noc. Nie mogła. Przewracała się z boku na bok i myślała nad strategią. Domyślała się, że na pewno przeciwnik będzie uzbrojony po zęby, więc musiała wymyślić coś, co uczyniłoby broń zbyt dużą. Jedno było pewne. Jej strzałki usypiające na nic się tu zdadzą. Branie pistoletu albo karabinu też nie miało sensu, bo zanim zdążyłaby wycelować, byłaby już martwa.

Siedziała na łóżku i myślała. W końcu stwierdziła, że nie ma sensu odchodzić od swojej sztandarowej zasady „im mniej zaplanowane, tym mniej może się nie udać” i w końcu poszła spać. Przecież tyle razy wychodziła z opresji. Dlaczego teraz miałoby się nie udać?

Nie mogła jednak zostawić Neta na pastwę losu. Istniało przecież ryzyko, że mimo wszystko nie wróci żywa. Ktoś z agentów musiał go przejąć. Napisała krótki i dość zrozumiały liścik.

721719753

KOD Czerwony

Zeszła na dół po schodach i podeszła do skanera. Kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyła Neta, który siedział oparty o ścianę. Był wściekły, a podkrążone oczy świadczyły o tym, że przez całą noc nie spał. Przykucnęła przy nim.

– O nic nie pytaj. Jeśli nie wrócę do godziny dwudziestej, dzwonisz pod ten numer, z tego telefonu – mruknęła, podając mu sporych rozmiarów słuchawkę. – I mówisz to, co tu masz napisane.

– Co jeśli zadzwonię po pomoc? – zapytał z ciekawością.

– Nie zadzwonisz. Z niego można dzwonić tylko na ten numer z karteczki, więc nic głupiego nie wymyślisz.

– Ale...

– Nie pytaj. Po prostu wykonaj. O dwudziestej.

Cofnęła się i zamknęła drzwi, zostawiając Neta samego. Miała nadzieję, że zrobi to, o co prosiła, i nie wymyśli czegoś głupiego, co mogłoby ściągnąć kłopoty na nią i na niego. Od niego zależało jego życie i ewentualne pośmiertne odznaczenie dla niej.

Południe zbliżało się nieuchronnie. Kiedy nadeszła odpowiednia chwila, Robi wyszła z domu. Wyciągnęła quada z garażu i ruszyła w stronę magazynu. Musiała objechać dookoła ponad pół miasta.

Dzień był ciepły i słoneczny. Było jej strasznie gorąco. Kamizelka i trzy warstwy ubrań przy tej temperaturze powietrza dawały ostro do wiwatu. Jedyne ukojenie przynosił letni wietrzyk wiejący wśród pól i łąk.

W końcu zobaczyła w oddali swój cel. Był to dość duży i niski budynek. Ściany miał wykonane z typowych dla magazynów i supermarketów blach. Przed nim stał stary wózek widłowy i porozsypane kartony różnej wielkości.

Zatrzymała się kilka metrów od wejścia i zeszła na ziemię. Rozejrzała się dookoła. Pod drzewem kilkanaście metrów dalej stała furgonetka.

– Czyli już jesteście – szepnęła sama do siebie, zbliżając się powoli do otwartych drzwi.

Weszła do środka. Była to ogromna, pusta hala z kilkoma stertami kartonów rozstawionymi bez ładu. Ukryła się za jedną z nich i przeszukała wzrokiem cały teren. Zauważyła pięć osób w przeciwległym rogu. Cztery stały, a piąta siedziała na kartonie.

– Darek – szepnęła cicho Robi, wyglądając ze swojej kryjówki.

Nagle ktoś złapał ją za ramię. Podskoczyła z zaskoczenia i odwróciła się do tyłu. Był to stosunkowo młody chłopak o ciemnobrązowych włosach i brązowych oczach. Był wysoki i szczupły, o miłym wyglądzie twarzy. Ubrany był na zielono, tak jak reszta, a na prawym nadgarstku miał płócienną opaskę z jakimś tajemniczym symbolem. Oczywiście był uzbrojony i mierzył prosto w głowę Robi.

Wyciągnął ją z ukrycia i pociągnął na środek hali. Zatrzymał się i puścił ją, wciąż trzymając na muszce.

– Robi, uciekaj stąd! – zawołał głośno Darek, za co oberwał pięścią w twarz.

Ona twardo stała. Wiedziała, że musi, że nie ma innego wyjścia. Wpatrywała się w tamtą gromadkę, co chwilę zerkając w stronę chłopaka stojącego obok. Uciec nie miała jak, na pokonanie wszystkich też nie miała szans. Była na straconej pozycji.

– Mieliście go wypuścić! – zawołała, siląc się na spokojny ton głosu, choć kolana miała jak z waty.

– Nie przypominam sobie, żeby to było w umowie. Mówiłem, że zobaczysz go żywego. Tadaaam... Oto jest. Wywiązaliśmy się z umowy.

Robi przymrużyła oczy, próbując wymyślić jakiś plan. Postanowiła zrobić to, co w tej chwili wydawało jej się najrozsądniejsze. Pokonać bezpośrednio zagrożenie i potem zagrać podstępem.

Skoczyła w stronę młodego chłopaka obok i podcięła mu nogi. Poleciał na ziemię, a ona razem z nim, bo poślizgnęła się na podłodze. Przekląła w myśli trampki, które po raz kolejny zawiodły ją w akcji. Wstała najszybciej jak umiała i wytrąciła nogą broń przeciwnikowi. Potem ruszyła biegiem w stronę najbliższych kartonów.

Chwilowo była bezpieczna, ale przecież musiała jakoś dostać się do Darka. Wystartowała pędem w stronę następnego stosu i ukryła się za nim. Po drodze oczywiście chcieli ją trafić, ale udało jej się uniknąć kul.

W końcu była już najbliżej, jak się dało. Idąc dalej, nie miała się za czym schować. Wybiegła więc prosto na nich. Jakimiś cudem cała i zdrowa dobiegła do Darka. Kiedy chciała uwolnić mu ręce, jeden ze stojących obok mężczyzn jednym ciosem powalił ją na ziemię i przydusił do podłogi nogą. Wycelował w głowę i uśmiechnął się szyderczo.

– Zostawcie ją! Zabijcie mnie! – krzyczał Darek, próbując się uwolnić.

Wtedy nagle wszyscy zamarli w przerażeniu i nasłuchiwali. Powodem tego był zbliżający się śmigłowiec i syrena policyjna. Zapomnieli zupełnie o Robi, która bezbronna leżała u ich stóp. Złapali agenta za koszulę i rzucili się do ucieczki.

Po chwili Robi wstała i wybiegła z magazynu za nimi. Myślała, że może uda jej się teraz coś zdziałać. Niestety oni zapakowali się już do samochodu. Kiedy zobaczyli, że agentka biegnie w ich kierunku, jeden z nich strzelił do niej i trafił prosto w mostek.

– Nie! – krzyknął zrozpaczony Darek, widząc, jak Robi pada na ziemię.

Zanim złapała oddech i zdołała się pozbierać, oni już odjechali. Siadła na trawie i ukryła

twarz w dłoniach. To była kompletna porażka. Nie udało jej się nic, a do tego ojciec, nie wiedząc, że ma kamizelkę, widział, jak postrzelona pada na ziemię.

Siedziała tak dosyć długo. W końcu przypomniała sobie o Necie i o zadaniu, jakie mu zostawiła. Stwierdziła, że powinna wracać, by mieć pewność, że zdąży przed dwudziestą.

Wsiadła na quada i ruszyła w drogę. Jechała tą samą trasą, ale mimo to podróż dłużyła jej się okropnie. Miała dość dużo czasu, ale wciąż zerkała niespokojnie na zegarek.

W końcu zatrzymała się przed domem. Zeskoczyła na trawę i przebiegła pędem przez ogród. Wpadła przez drzwi wejściowe i pognąła do piwnicy. Zbliżyła oczy do skanera.

Net trzymał telefon i wstukował jakiś numer. Mała karteczka leżała obok. Schyliła się, podniosła ją i podała na strzępy. Odwróciła się i poszła do salonu.

Zdezorientowany Net wstał i ruszył za nią.

– O co dzisiaj chodziło, co? – zapytał, przyglądając jej się podejrzliwie. – I co ci się stało?

– Net, człowieku! Miałeś nie pytać – syknęła, patrząc błagalnie w sufit.

– Chyba mogę wiedzieć cokolwiek!

– Net. Mój drogi. Nie chce ci się może spać? – zapytała spokojnie, odwracając się do niego.

– Nie, a co?

– Za jakie grzechy? – szepnęła, prawie płacząc, po czym uśmiechnęła się lekko i zapytała z nadzieją w głosie: – A pić? Mam pyszny sok jabłkowy.

– Pić to ja bardzo chętnie – odpowiedział zdziwiony uprzejmością Robi.

– To poczekaj.

Poszła do kuchni. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej karton napoju. Rozlała go do dwóch szklanek i rozejrzała się dookoła, upewniając się, że Net jej nie widzi. Wyciągnęła z szuflady małą, zieloną buteleczkę i dodała kilka kropel bezbarwnego płynu do jednej ze szklanek.

Wróciła do salonu i podała ją chłopakowi.

– Dzięki – mruknął i wypił duszkiem całą zawartość.

– Nie ma sprawy – szepnęła Robi, uśmiechając się błogo, zabrała mu naczynie i w myślach zaczęła odliczać od pięciu w dół.

Kiedy doszła do zera, Net ziewnął, zatoczył się i upadł na podłogę. Zaśmiała się pod nosem i usiadła wygodnie na kanapie.

– Nareszcie cisza... Reks! – zawołała.

Po chwili pies był tuż przy niej. Polizał ją po twarzy, ciesząc się na jej widok, po czym zaczął się rozglądać za Darkiem. Popatrzył na nią smutno i położył delikatnie łeb na jej kolanach.

Po jakimś czasie siedzenia i rozmyślenia postanowiła pójść na strych i poszukać wśród starych akt i notatek Darka jakiegoś rozwiązania.

Wstała i ruszyła na poddasze. Wdrapała się po drabinie. Stała na zakurzonej już podłodze, po której od około roku nie chodził nikt. Stały na niej kartony pełne akt, teczek i notatników. Na wysoko zawieszonej półce leżały różne albumy. Robi wzięła jeden i otworzyła go. Uśmiechnęła się na widok zdjęć z jej pierwszych treningów, akcji Darka na Saharze i tresury Reksa, kiedy był jeszcze szczeniakiem. To były takie spokojne czasy. Teraz życie Darka było zagrożone i niczego nie mogła być pewna.

Znalazła w końcu notatki na temat grupy, która poluje na Neta. Nie było żadnych szczegółów, ale po wnikliwym przestudiowaniu można było coś z nich wywnioskować. Zabrała je i zeszła z powrotem do salonu.

Zegar wskazywał już pierwszą w nocy, a w pokoju nie paliło się żadne światło. Siedziała po turecku na kanapie i przeglądała uważnie dokumenty. Nadal nie miała zielonego pojęcia, jak rozwiązać sprawę porwania. Coraz częściej przez głowę przelatywała jej myśl, że tym razem nic nie zdziała jako niezależna agentka. Zaczęła się zastanawiać nad nawiązaniem kontaktu z resztą.

Nagle usłyszała, jak coś rusza się na podłodze. Popatrzyła w tamto miejsce i zobaczyła zaspanego Neta, o którym przez to wszystko zapomniała.

– Uważaj, bo uderzysz głową w stół – ostrzegła go spokojnym głosem, nie odrywając się od lektury.

– To ty?! Jesteś tu gdzieś? – zapytał siadając i oczywiście z impetem rąbnął głową w stół.

– No jak widać – mruknęła, przewracając oczami.

– Właśnie nic nie widać! Nie ma nawet latarni ulicznych.

– Bo tu takich nie ma...

– Nic nie widzę!

– Ach, no tak! Zapomniałam – zaśmiała się cicho pod nosem i rzuciła pluszowym szczurem, który leżał obok niej, we włącznik światła na drugim końcu pokoju. – I stała się jasność!

– Jak ty, do jasnej Anielki, trafiłaś w tych egipskich ciemnościach?! – pisał zdezorientowany Net, siedząc w bezruchu na podłodze i patrząc na Robi z niedowierzaniem.

– Jakich ciemnościach... A, no tak. Nieważne.

– Ty widzisz w mroku?

– Można tak to ująć.

Wstał, zataczając się lekko, i w pośpiechu oddalił się w stronę fotela. Siadł na nim i przyjrzał się agentce dokładnie. Zapanowała zupełna cisza przerywana tylko cichym sapaniem śpiącego w kącie Reksa.

– Kim ty jesteś? A może czym?

– Co? – zapytała, upuszczając ze zdziwienia notatnik na ziemię.

– Wtedy na podwórku znalazłaś się przy mnie w ułamku sekundy i powaliłaś mnie na ziemię. Przytrzymałaś mnie tak, że nie mogłem się ruszyć, a przecież powinienem być silniejszy niż ty! Robisz ze mną, co chcesz. Nie chcesz pytań, jesteś tajemnicza jak nie wiem co! – powiedział na jednym wdechu, a potem dodał piskliwym głosem: – I widzisz w ciemnościach...

– Net, ty nic nie rozumiesz.

– Czym jesteś? Superbohaterem?!

– Net!

– Zombie?

– Co?!

– Wiem! Wampirem! To by pasowało.

– Wampirem?! Ale... Net!

– Jesteś wampirem...

– Widziałeś kiedyś jakiegoś, że masz taką pewność? Net, myśl logicznie. Pogódź się z tym, że po prostu żyję, jestem i raczej nie zniknę w najbliższym czasie. Przynajmniej mam taką nadzieję. Te informacje ci wystarczą.

– Jesteś niezniszczalna. Przyszłaś do domu z dziurą w bluzce. Myślisz, że nie wiem od czego?

Robi spojrzała błagalnie w sufit. Nie mogła mu powiedzieć, kim jest. Nie ufała mu. Z drugiej strony, jego pytania doprowadzały ją do szału. Popatrzyła na niego, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

– Porwała się w sklepie. Trudno. A teraz posłuchaj. Jutro wychodzę.

– Gdzie?

– Nie twój interes. A teraz czas spać – mruknęła i wstała.

Podeszła do Neta i zmusiła go do wstania. Zaprowadziła go do piwnicy i otworzyła pierwsze drzwi magazynu. Posadziła go na ziemi.

– To nieludzkie traktowanie! Znów mam spać na podłodze?

– Może jutro się to zmieni. Śpij.

Poszła do swojego pokoju i po ciężkim dniu w końcu zasnęła.

Rozdział szósty Polscy Agenci Specjalni

Obudziła się o świcie i usiadła na łóżku. Przeciągnęła się leniwie i spojrzała w stronę okna. Słońce skryło się za ciężkimi i ciemnoszarymi chmurami, a mgła spowiła pola w okolicy. Robi uśmiechnęła się lekko na ten widok, bo to oznaczało gorszą widoczność, a co za tym idzie, trudniejsze namierzenie jej w czasie wyprawy.

Po cichu, na palcach zeszła na dół i poszła do kuchni. Wzięła z lodówki wczorajszą kanapkę, żeby nie iść na głodnego. Potem chciała udać się do piwnicy po jakąś broń, ale zatrzymała się w pół kroku, kiedy zdała sobie sprawę, że na przeszkodzie stoi Net. Chcąc nie chcąc, musiała działać na sprzęcie, którego używała od akcji w wieżowcu. Sprawdziła magazynek.

– Cholera – przeklęła cicho, widząc, że zostało tylko pięć naboii.

Nie mając jednak innego wyboru, schowała broń do kabury i ukryła ją pod koszulką. Ściągnęła z półki okulary termowizyjne i wyszła na dwór. Wsiadła na quada i ruszyła w stronę lasu.

Jechała tuż obok drzew. Wszędzie panowała głucha cisza i tylko od czasu do czasu odzywały się wrony latające we mgle. Nagle usłyszała śmigłowiec gdzieś w oddali. Zbliżał się i to z dość dużą prędkością. Zaczęła się nerwowo rozglądać, mając nadzieję, że to policja albo lotnicze pogotowie. W końcu go zobaczyła. Leciał bardzo nisko, płozami prawie ocierał się o kukurydzę rosnącą na pobliskim polu. Mając złe przeczucia, przyspieszyła gwałtownie i pomknęła przed siebie, podskakując na krzywym terenie. Śmigłowiec był coraz bliżej. Był mały i cały czarny. Z pokładu wychylił się ktoś z karabinem i zaczął strzelać w stronę Robi.

Chcąc go pokonać taktycznie, skręciła ostro w stronę łąki. Jechała po otwartym terenie prosto w stronę krzaków. Pociski trafiały w ziemię tuż za nią, a śmigłowiec leciał jakby wyżej niż chwilę temu. Wiedziała, że ma tylko pięć szans na obronę, co w obliczu takiego wroga dawało średnie szanse na powodzenie.

Gumką do włosów zablokowała quada na pełnym gazie. Kiedy wjechał w gęste zarośla, zeskoczyła z niego i przywarła do ziemi. Śmigłowiec poleciał za nim, ale niestety po chwili jego pasażerowie zorientowali się, że ścigają sam pojazd. Strzelili w bak i potężny huk przegonił wszystkie ptaki z okolicy. Wśród wysokich traw pojawił się płomień i gęsty dym. Wróg zawrócił i teraz leciał prosto na Robi, która nadal kryła się pomiędzy gałęziami krzaków. Zobaczyli ją i zaczęli strzelać. Kiedy byli tuż nad nią, uniosła broń, wycelowała i otworzyła ogień. Jej celem było śmigło ogonowe.

W końcu, kiedy wystrzelała całą zawartość magazynka, osiągnęła swój cel. Śmigłowiec zatrząsł się niebezpiecznie, a strzelec pokładowy runął z kilkunastu metrów na ziemię. Pilotom udało się awaryjnie posadzić maszynę, ale byli za daleko, by móc stanowić zagrożenie, więc Robi ruszyła w tym samym kierunku, co wcześniej.

Po jakimś czasie doszła do starej szopy stojącej samotnie w polu tuż przy granicy lasu. Podkraśniała się do frontowej ściany i przykucnęła, kryjąc się za wysokimi pokrzywami.

Rozejrzała się dookoła i założyła okulary termowizyjne.

Odetchnęła z ulgą, kiedy okazało się, że w okolicy nie ma żadnego człowieka poza nią. Ruszyła biegiem przed siebie. Gęsta mgła nadal utrzymywała się nad ziemią, skutecznie ograniczając widoczność. Słaba poświata słoneczna przebijała przez, cieńsze niż rano, chmury.

Dobiegła do małego betonowego budynku, który przypominał istną ruinę. Ze ścian odpryskiwał tynk, a z płaskiego dachu zwisały kępy dzikiej trawy. Robi uśmiechnęła się pod nosem i podeszła do przeżartych rdzą, masywnych drzwi. Położyła rękę na klamce i po kilku sekundach weszła do środka. Przeszła przez szereg zabezpieczeń, by w końcu stanąć w sali głównej.

Było to ogromne pomieszczenie, które stanowiło trzon bazy południowego oddziału PAS-u. Znajdowało się trzydzieści metrów pod ziemią. Naprzeciwko wejścia, na przeciwległej ścianie wisiał ogromny monitor, a na nim wyświetlone aktualne cele, wrogowie numer jeden oraz specjalnie wydzielony fragment przeznaczony na konferencje. Pod ekranem i przy ścianie po prawej stronie stały biurka informatyków, a na nich komputery, różnego rodzaju dodatki i udogodnienia. Na środku stał ogromny szklany stół będący jednocześnie ekranem dotykowym, służącym do planowania akcji i omawiania planów.

– Niemożliwe! Agentka specjalna RD95 we własnej osobie. Powrót księżniczki – zawołał jeden z agentów, zmierzając w jej stronę i uśmiechając się przyjaźnie.

Był dość wysoki i szczupły, ale dobrze umięśniony. Średniej długości blond włosy ułożone były w artystyczny nieład, a niebieskie oczy z sympatią patrzyły na świat. Ubrany był w typowy mundur PAS-u. Podeszedł do Robi i szturchnął ją po przyjacielsku w ramię.

– Marek! Kopę lat – przywitała go Robi, uśmiechając się lekko.

– No, bez przesady. Będzie jakiś... rok – poprawił ją agent, targając jej grzywkę. – Witaj w domu. Co cię sprowadza?

– Problemy – szepnęła smutno, patrząc gdzieś w bok.

– Co jest? Gdzie Darek, nie ma go z tobą?

– No właśnie o to chodzi. Porwali go, a ja nie wiem, jak mam go odbić. Do tego mam ochronę Neta na głowie.

– No to złe wieści – mruknął zadumany, po czym popatrzył na nastolatkę. – Chodź, pogadamy w spokoju.

Ruszył przed siebie, a ona za nim. Szli przez wąski i długi korytarz, raz po raz mijając witających ich agentów. Po obu stronach było mnóstwo drzwi prowadzących do różnego rodzaju pomieszczeń i sal.

W końcu weszli do jednego z pokoi. Była to mała salka konferencyjna. Po lewej stronie stało biurko dla informatyka obsługującego rozmowę, a na ścianie naprzeciwko wejścia wisiał sporych rozmiarów, choć nie tak duży jak w sali głównej, monitor. Poza tym nie było nic.

Marek zamknął drzwi i zapalił światło. Podeszedł do Robi i zapytał spokojnie:

– Jak to się stało?

– Musiałam odbić Neta, bo go porwali, a miałam go chronić. Kiedy uciekliśmy i czekaliśmy na umówionym miejscu, on już się nie odzywał. Wróciłam do domu i też pusto. Chwilę potem zadzwonili, że go mają i mam przyjść sama. Poszłam, chcieli mnie zabić, ale im się nie udało, ale Darka zabrali. I on myśli, że ja nie żyję. Bo strzelili, ale miałam kamizelkę, ale on nie wiedział, że ją mam – opowiedziała zdenerwowana Robi, mówiąc z prędkością karabinu maszynowego. – Tata żyje, Net jest ze mną, a ja nie wiem, co robić!

– Spokojnie... Robi. Nic ci nie jest? Ktoś cię śledził? – zapytał, przytrzymując ją za

ramiona i patrząc jej prosto w oczy.

– Był śmigłowiec, ale musieli awaryjnie lądować, bo odstrzeliłam im śmigło ogonowe. Strzelec pokładowy wypadł z kilkunastu metrów i chyba marnie skończył. Nikogo innego nie było.

Marek był jedyną osobą, której mogła w pełni zaufać. Przyjaciel Darka był dla niej jak rodzina i wiedziała, że na niego może liczyć o każdej porze. Znała go w końcu już od tylu lat. Nie mogła się powstrzymać, musiała komuś się wyzalić. Rozplakała się.

– Robi, popatrz na mnie. Robi! – Zadarł jej głowę do góry i uśmiechnął się przyjaźnie. – Wszystko się ułoży. Skompletujemy zespół i odbijemy Darka. On jest świetnym agentem. Da sobie radę.

– Co jeśli go zabiją? Myśli, że nie żyję!

– Będzie dobrze. Obiecuję. Nie pamiętam przypadku, kiedy złapany tajny agent został tak po prostu zabity. Oni wolą mieć informacje niż trupa w piwnicy. Darek jest przecież przeszkolony. Umie się odnaleźć w takiej sytuacji. Musisz wiedzieć, że to nie zwykli porywacze. To zorganizowana grupa terrorystyczna i chyba nie muszę mówić która... Sama nie dasz rady.

– Delik – wycodziła przez zęby z obrzydzeniem. – Ale do tej pory mi się udawało.

– Do tej pory walczyłaś z podrzędnymi pionkami i miałaś tatę jako drużynę. W tym starciu wezmą udział przywódcy i elita. PAS jest póki co ich największym problemem. Nie ma co kryć. I zrobią wszystko, by nas wytepić jednego po drugim.

– To co mamy robić?

– Zgłaszamy to do dyrektora, ty bronisz Neta tak jak do tej pory, a my szukamy Darka.

– Nie chcę już chronić tego gbur! – wymamrotała Robi, ocierając rękawem łzy. – Chcę szukać Darka. Razem z wami.

Marek westchnął cicho i popatrzył na nią spode łba. Zastanawiał się, ile Robi wie o całej tej sytuacji i jej przyczynach. W końcu podszedł do komputera, włączył monitor i odnalazł folder z danymi o sprawie Neta Bore'a. Otworzył jedno ze zdjęć, które przedstawiało parę dorosłych osób i ich syna, na tle willi.

– Kogo tu widzisz? – zapytał agent, okręcając się na krześle obrotowym w stronę Robi.

– Gbura z rodzicami, czyli superbogatą rodzinę przesączoną czystym złem – syknęła, stojąc z założonymi rękami.

– Powiedzmy, że wszystko się zgadza – zaśmiał się cicho Marek, patrząc na zdjęcia – z wyjątkiem tych rodziców. Co o nich powiesz?

– Podli i bezduszni przywódcy terrorystów. Mordercy. I ich tępy syn, który będzie taki jak oni.

– Pierwsze dwa zdania poprawne. Dalsza część nie. Sami odkryliśmy to niedawno, ale Net nie jest z nimi spokrewniony ani trochę. To syn pechowych ofiar jednego z ich zamachów. Naszych agentów. Nie wiemy, czemu go wzięli pod opiekę. Nagły przebłysk człowieczeństwa? Czy naiwna myśl, że trzylatek wie cokolwiek o pracy rodziców i cokolwiek im wyjawi? Tego nie wiemy. Jedno możemy przypuszczać. Wystraszyła ich ogromna fascynacja agentami i wojskiem ich „synka”, więc postanowili go wykończyć za pośrednictwem znanego ci Krzysztofa Zuo, bo bali się, że zacznie sypać na temat ich planów. I tu pojawia się ty, bo z powodzeniem blokujesz ataki troskliwych rodziców.

Robi stała w bezruchu, wpatrzona w Marka. Nie wiedziała, co mówić ani co myśleć. Wszystko to brzmiało według niej jak nieśmieszny żart. W końcu drgnęła, wracając myślami

na ziemię.

– Chcesz powiedzieć, że Net jest tym dobrym? – zapytała z niedowierzaniem.

– No coś w tym stylu. Dlatego tak ważne jest chronienie go i przeciągnięcie na naszą stronę. I nie wiń go za tę masakrę w dwa tysiące piątym. Nie ma nic wspólnego z tym ani niczym innym.

– Szok... Tak odrobinę – wymamrotała Robi. – No ale cóż.

– Chodź po sprzęt. W tych trampkach się prędzej czy później zabijesz.

Wyszli razem na korytarz i przeszli kilka drzwi dalej do ogromnego i jasnego pomieszczenia. Był to magazyn broni i sprzętu, z którego korzystali wszyscy agenci.

– Trochę się rozrósł przez te kilka lat, co nie? – zapytał zadowolony Marek, patrząc z uśmiechem na Robi.

– A ja myślałam, że ten w domu jest ogromny – szepnęła cicho, nie mogąc wyjść z podziwu.

– Kuba, pozwól tu! – zawołał agent. – Trzeba przygotować naszą księżniczkę do boju!

Za jednego z regałów wyjrzał niski mężczyzna koło sześćdziesiątki. Poprawił swoje prostokątne okulary i przyjrzał się agentce dokładnie. Uśmiechnął się szeroko i kiwając się na boki, podszedł do nich szybkim krokiem.

– Kogo to mi przyszło na stare lata zobaczyć! Toż to RD95! Tyle czasu... – zawołał wesoło, tuląc ją do siebie. – Chodź, kochana, zaraz coś dla ciebie znajdziemy.

Złapał ją za rękaw i pociągnął za sobą. Wręczył jej mundur bojowy i poprosił, by przebrała się w małym pokoiku obok. Kiedy wróciła ubrana w czarne bojówki, czarny t-shirt i specjalne buty, on i Marek uśmiechnęli się do siebie i z uznaniem pokiwali głowami.

– Teraz wyglądasz jak trzeba. No to zabieramy się za uzbrojenie. Jak mniemam, nadal unikasz ostrej amunicji i śmiertelnościowego sprzętu?

– Oczywiście.

– No to mam kilka rzeczy specjalnie dla ciebie. Nadal masz tę swoją bransoletkę? – zapytał i popatrzył na jej rękę, samodzielnie odpowiadając na swoje pytanie. – Czyli masz. To teraz się skup. To moje najnowsze perełki wśród gadżetów. Długopis z wbudowanym laserem, przyciemniane okulary z możliwością włączenia termowizora i kamerką. Pistolecik z bardzo wytrzymałą linką. Wiesz, jak działa?

– Z filmów i z opowiadań Darka.

– Starczy. Dalej. Strój już masz, ale buty zostały ulepszone. Podeszwa ze specjalnego tworzywa sprawia, że poruszasz się niemal bezszelestnie, i jeśli wdepniesz w coś na styl kwasu, to nawet tego nie zauważysz. Do tego pięć granatów nowej generacji.

– Siła rażenia?

– Dość spora, ale nie ma odłamków. Nie jest to wyłącznie sprzęt do walki z wrogiem. Ściany strzałką nie wysadzisz, a od tego może zależeć życie twoje lub cywilów. Granaty są lekkie i małe, więc nadają się idealnie. Mamy też nową wersję twojego zegarka. Teraz to full wypas. Nadajnik GPS, przycisk SOS, stare opcje z poprzednich wersji, minutnik, stoper i budzik.

Robi zaśmiała się pod nosem, oddała swój stary zegarek i założyła nowy. Wyciągnęła rękę przed siebie i przyjrzała mu się z uśmiechem.

– Usunęliśmy z niego tylko jedną opcję – oznajmił Jakub, podśmiewając się z zakłopotaniem. – Zastąpiliśmy ją małą słuchawką. Przyznasz chyba, że gadający zegarek tajniaka to był niewypał.

Robi, chcąc czy nie, musiała się z nim zgodzić w tej kwestii.

– Masz też słuchawkę z mikrofonem. Mniej dyskretna, ale jako agent specjalny nie zawsze masz czas gadać z nadgarstkiem.

– Perfekcyjnie – szepnęła zadowolona.

– No i wreszcie wyglądasz jak trzeba. Koniec z powiewającymi na wietrze koszulami, niepraktycznymi częściami garderoby i brakiem miejsca na sprzęt – zaśmiał się Marek, patrząc z zachwytem na nastolatkę.

– Albo trampkami, przez które o mało mnie nie zabili – dodała z uśmiechem, a agent skinął potakująco głową. – Ale póki chronię Neta, nie mogę biegać w tym stroju. On nic nie wie.

– Też prawda – szepnął cicho i zwrócił się do Kuby: – Dzięki, my się na razie zmywamy.

Wyprowadził ją na korytarz i postawił koło ściany. Stał przed nią i patrzył na nią zamyślony.

– Może powinnaś mu powiedzieć? Dla własnego dobra. Mamy niezbite dowody na to, że jest jak jest. A jeśli nie wie, że ratujesz mu skórę, to będzie myślał, że to atak – powiedział w końcu po dłuższej chwili milczenia.

– Ja mu nie ufam. Chronię go, bo taki dostałam rozkaz.

– Robi, on może wiedzieć coś, co okaże się kluczowe w poszukiwaniach Darka.

– Zobaczymy, jak to będzie. Z racji tego, że nie jest ich synem, będę miłsza. Czy coś więcej... Zobaczę – mruknęła cicho, patrząc gdzieś w bok. – Teraz muszę przebrać się za cywila i wrócić do domu.

Odeszła od agenta i pomaszerowała do „szatni”. Schowała swój nowy sprzęt do plecaka i zarzuciła go na ramię. Wyszła znów na korytarz i ruszyła w stronę wyjścia. Dogonił ją jednak Marek i zatrzymał.

– Hej, księżniczko. Nie wracasz sama. Za duże ryzyko. Podwiozę cię, okej?

– Spoko.

Wyszli razem na dwór i ruszyli w stronę starej szopy. Mgła już opadła, a widoczność była idealna. Musieli bardzo uważać, żeby nikt ich nie zauważył. Mieli szczęście, że ta okolica jest raczej omijana przez wszystkich i zapuszczają się tu tylko agenci. Kiedy powstał PAS, pracownicy zadbali o zaciszne miejsce i rozpuścili plotkę, że w pobliskim lesie grasują wściekłe dziki atakujące każdego, kto się tu zbliży. Do tego najbliższy okręg wejścia do bazy jest kojarzony z zaminowaną polaną, której nikt nie odważył się ruszyć od czasów drugiej wojny światowej.

Doszli do szopy. Marek otworzył stalową kłódkę specjalnym kluczem i uchylił drzwi. Weszli do środka i ich oczom ukazało się kilka czarnych samochodów, trzy quady i osiem motocykli. Agent, uśmiechając się szeroko, otworzył jeden z czarnych i lśniących jeepów. Kiwnął ręką, zachęcając Robi, żeby wsiadła do niego.

Wyjechali na pole, a drzwi szopy automatycznie się za nimi zamknęły. Pomknęli w stronę domu agentki. Robiło się już ciemno. Słońce zniknęło za horyzontem i tylko jego ostatnie promienie rozganiały ciemność nocy.

Samochód zatrzymał się na ciemnej polnej drodze tuż przed furką prowadzącą do ogrodu, za którym stał dom Robi. Był to nieduży, żółty budynek z czerwonym dachem. W ogrodzie rósł mały brzozowy las, kilka iglaków i rabatki z kwiatami. Był osamotniony, oddalony od reszty o około pół kilometra i taka sama odległość dzieliła go od lasu.

– Dasz radę sama? – zapytał zaniepokojony Marek, patrząc z troską na Robi.

– Tak, spoko. Będzie dobrze. Szukajcie Darka. Ja się zajmę Netem, ale jak tylko będzie okazja, chcę dołączyć do was! Nie chcę patrzeć beczynnie.

– Spokojnie. Jakoś to będzie. Leć do domu i wyśpij się dobrze. Uważaj na siebie, proszę... Teraz nie tylko Net może mieć kłopoty. Znają cię i na ciebie też mogą polować.

– Nie poprawiasz mi humoru. Dobranoc – mruknęła cicho i wysiadła z samochodu.

Wzięła plecak i przeszła przez furtkę. Wolnym krokiem szła ścieżką wśród drzew, w stronę wejścia. Wyciągnęła klucze z kieszeni i weszła do środka. Zapaliła światło i rozejrzała się dookoła. Wszystko było tak, jak miało być, czyli nie zastała nieproszonych gości. Położyła wszystko pod ścianą i zeszła do piwnicy.

Otworzyła drzwi i zobaczyła Neta, który skulony siedział w kącie. Na jej widok drgnął nerwowo i przywarł do ściany. Patrzył na nią, trzęsąc się jak galareta.

– Wyłaź. Trochę się pozmieniało – szepnęła Robi.

Net wstał i powoli wyszedł do salonu, a agentka ruszyła za nim. Rozejrzał się nieufnie dookoła i niepewnie stanął za fotelem. Robi popatrzyła wymownie w sufit i dała mu znak, że bez obaw może usiąść.

– Chcesz coś do picia? – zapytała, zmierzając do kuchni.

– Znowu mnie uśpisz. Nie ma mowy. Wolę uschnąć – mruknął, siedząc z założonymi rękami.

– O rany, ale ty jesteś straszny! Nie uśpię cię. Przyniosę sok...

Kiedy wróciła z kartonem z napojem i dwoma szklankami, Net popatrzył na nią podejrzliwie, a potem przyjrzał się opakowaniu.

– To nie jest jakiś płyn bojowy?

– Nie. To zwykły sok. – Nalała sobie trochę i wypila. – Widzisz? I nic mi nie jest. Pij.

Przesiedzieli cały wieczór w milczeniu, oglądając telewizję. Robi kątem oka cały czas obserwowała swojego gościa, który siedział spięty jak na gwoździach i bał się ruszyć mimo zapewnień, że nic mu nie grozi. Po jego twarzy można było poznać, że ma ochotę zadać miliony pytań odnośnie do całej tej sytuacji, ale wiedział, że raczej nie otrzyma odpowiedzi.

Rozdział siódmy Zdekonspirowana

Następnego dnia Robi obudziła się nagle z samego rana. Rozejrzała się i zaraz po tym zbiegła w pośpiechu na dół. Zakradła się na palcach do salonu, a kiedy zobaczyła śpiącego Neta, odetchnęła z ulgą. Do tej pory obawiała się, że niesłusznie aż tak mu zaufała, pozwalając spędzić noc w pokoju, a nie w piwnicy. Na szczęście obawy okazały się mocno przesadzone.

Lekko uspokojona wróciła na górę do pokoju i położyła się do łóżka. Leżała tak, wpatrując się w sufit przez dwie godziny. Myślała o Darku i o Necie. Za wszelką cenę chciała brać udział w poszukiwaniach, ale nie miała pojęcia, jak to załatwić.

Nagle usłyszała szczekanie psa. Siadła na łóżku i rozejrzała się dookoła. Nigdzie nie było Reksa, więc wstała szybko i zbiegła na dół.

– Weź go! – wrzasnął przerażony Net, kiedy tylko zobaczył Robi.

Stał w kącie kuchni, tuląc się do ściany. Drogę ucieczki odciął mu wściekły Reks, który warczał na niego, obnażając śnieżnobiałe kły. Robi podbiegła do swojego zwierzaka, złapała za obrozę i odciągnęła na drugą stronę pomieszczenia.

– Siad! – warknęła, grożąc owczarkowi palcem, odwróciła się do Neta i syknęła: – Czym ty go tak wkurzyłeś? On nigdy tak się nie zachowuje, jak nie musi.

– Chciałem sobie wziąć picie z lodówki. Usychałem z pragnienia. Jak już wracałem, to zobaczyłem psa. Wystraszyłem się i mi sok upadł do jego miski...

– No i wszystko jasne.

Podeszła do Reksa i pogłaskała go po głowie. Wysypała starą, namoczoną sokiem jabłkowym karmę i nasypała świeżą. Pies zamerdzał ogonem, polizał panią po ręce i zabrał się za jedzenie.

– Ty mu kazałaś to zrobić! Nienawidzisz mnie...

– Co?! Ty dalej z tymi swoimi teoriami spiskowymi? Opuść sobie i chodź.

– Gdzie?

– Na miasto. Musimy zrobić zakupy.

– Idź sama.

– Nie mogę. Idziesz ze mną. I jak coś wywiniesz... To popamiętasz.

– Grozisz mi? – syknął, ustawiając się z pięściami w gotowości.

– No dawaj – mruknęła Robi, patrząc na niego z politowaniem.

Net popatrzył na nią zdziwiony, machnął ręką i odpuścił.

– Nie bije się dziewczyn – mruknął pod nosem. – Nie chcę ci zrobić krzywdy.

– Gwarantuję, że nawet mnie nie trafisz – odpowiedziała z uśmiechem i odwróciła się tyłem do niego, chcąc iść do salonu.

Net zmierzył ją wzrokiem i podkradł się do niej. Skoczył, chcąc złapać ją od tyłu i powalić na ziemię. Robi jednak, słysząc jego kroki, odsunęła się w bok, a chłopak runął na ziemię. Rozbawiona kucnęła przy nim i unieruchomiła mu ręce. Pomogła wstać i pokręciła głową.

– Atak od tyłu. Najmniej honorowy i do tego źle wykonany.

Szarpnęła się mocno, chcąc się uwolnić, ale nic z tego. Robi tylko się zaśmiała i pokręciła głową. Posadziła go na fotelu i puściła.

– Uspokoisz się? Zrozum w końcu. Nie mam złych zamiarów wobec ciebie, ale z drugiej strony lepiej mnie nie wkurzaj, bo jak widać, i tak ci się nie uda. Umówmy się tak... Ty nie wyprawiasz głupich rzeczy i w razie czego robisz, co mówię, a ja cię nie usypiam, nie zwiążuję ani nic z tych rzeczy.

– Pasuje – mruknął Net, siedząc z założonymi rękami i patrząc na agentkę spode łba.

– To idziemy.

Wyszli z domu. Wiał silny i chłodny wiatr, a słońce zakryte było deszczowymi chmurami. Szli we dwójkę po opustoszałym chodniku w stronę przystanku autobusowego.

Kiedy dojechali do miasta, stanęli przed księgarnią. Net podbiegł do wystawy i stał przy niej jakiś czas z nosem przyklejonym do szyby. W końcu odwrócił się do tyłu i machnięciem ręki przywołał Robi.

– Patrz! To ta najnowsza książka, którą wszędzie reklamują! Możemy wejść? Na chwilę!
– poprosił nieśmiało.

– No dobra – mruknęła.

Weszli do środka. Wewnątrz unosił się zapach świeżo wydrukowanych książek. Robi rozglądała się niepewnie, bo miała dziwne wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Net pobiegł do jednego z regałów i złapał za jeden ze stojących na nim egzemplarzy.

– Co to za jedna? – zapytała agentka, podchodząc do niego.

– To podobno super opowieść! Hit! O tajnych agentach. Główny bohater chroni jakiegoś ważnego polityka, ale on o tym nie wie. Podobno świetna fabuła.

– Agenci, powiadasz? – zaśmiała się zaskoczona. – Nie sądziłam, że cię takie rzeczy interesują.

– Agenci to super sprawa... Ale co ty tam możesz wiedzieć. Dziewczyny po prostu takimi rzeczami się nie interesują!

– No tak, tak. Oczywiście – odpowiedziała rozbawiona.

Wtedy do księgarni wszedł mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce i mocno przyciemnianych okularach. Popatrzył na Robi i schował się między regałami, przeglądając przewodniki po Hiszpanii. Chodził w kółko, co chwilę pojawiając się w polu widzenia Robi, i obserwował dwójkę nastolatków. Net nadal z fascynacją czytał opis na tylnej stronie okładki.

– Chodźmy stąd – mruknęła cicho, zabierając chłopakowi książkę i odstawiając ją na półkę.

– Czemu?

– Nieważne. Wychodzimy. Nie rozglądaj się, po prostu idź za mną – syknęła i ruszyła do wyjścia.

Stanęli na ulicy. Tajemniczy mężczyzna nadal stał w tym samym miejscu, więc Robi stwierdziła, że może to już paranoja. Mimo wszystko postanowiła zachować maksymalną ostrożność.

Szli przed siebie. Robi przypatrywała się każdemu odbiciu w maskach mijanych samochodów, by mieć pewność, że nikt ich nie śledzi. Prowadziła Neta wąskimi zakamarkami, bramami, by w razie czego osoba idąca za nimi na pewno zgubiła trop.

– Mamy jakiś jasny cel? – zapytał w końcu znudzony.

– Tak – mruknęła Robi, wciągając go do starej kamieniczki.

– Jestem głodny. Strasznie! – pisnął, łapiąc się za brzuch.

– Net, jesteś okropny. Dobra, chodź – syknęła i znów wyszli na ulicę.

W końcu dotarli w okolice rynku. Znaleźli jakąś knajpkę i weszli do środka. Było to ładne, sympatyczne miejsce. Żółte ściany, a na nich malowane kolorowe wzory, hawajskie wieńce z kwiatów pod sufitem i bambusowe dekoracje. Siedli przy stoliku w rogu. Net z zachwytem przeglądał kartę dań.

– Może masz ochotę na schabowy à la Mauna Loa? Cokolwiek to znaczy.

– Mauna Loa to wulkan na Hawajach – mruknęła zdruzzona Robi, wpatrując się w stolik.

– Poza tym ja nic nie jem. Nie jestem głodna.

– To ja biorę ten wulkan.

Chwilę później przyszła kelnerka ubrana w spódniczkę z trawy, białą bluzkę i wieniec kwiatów. Net złożył zamówienie, wpatrując się w uroczą dziewczynę, a kiedy przyniosła danie, zaczął jeść je z apetytem.

Robi siedziała z założonymi rękami i wpatrywała się w sos spływający po zboczach mięsnego wulkanu. Nagle kelner postawił na stole dwie szklanki z colą z lodem.

– Nie zamawialiśmy nic do picia... – mruknęła zdziwiona Robi.

– Owszem. To prezent dla uroczej damy i jej przyjaciela od naszego klienta, który pragnął pozostać anonimowy.

– Dobrze, dziękujemy – szepnęła, wpatrując się podejrzliwie w napój.

Nie ruszając głową, rozejrzała się po okolicznych stolikach. Coś jej nie pasowało. Wszyscy mieli kostki lodu, ale w ich szklankach pływały lodowe kulki. To było podejrzane. Kątem oka zauważyła, że Net wyciąga rękę po szklankę. Jej reakcja była natychmiastowa. Złapała za serwetkę i udała, że wyciera chłopakowi koszulkę.

– Poplamiełeś się, ale już nie widać na szczęście... – szepnęła i niby przypadkiem strąciła colę na podłogę. – Cholera, ale ze mnie niezdar!

Wtedy zobaczyła, jak ktoś w drugim końcu sali wychyla się zza menu. Od razu go poznała. Włosy ogolone na języka, czarna kurtka ze skóry... I te okulary. Drgnęła nerwowo. Jednak nie miała paranoi, nie myliła się. To nie mógł być przypadek.

Tamten zorientował się, że Robi go widzi. Sięgnął za siebie i wyciągnął broń. Znad stolika wycelował prosto w Neta. Nie czekając ani sekundy, Robi zahaczyła stopami o nogi krzesła swojego towarzysza i mocno pociągnęła w swoją stronę. Chłopak poleciał w tył na ziemię, a ona w ostatniej chwili odchyliła się w bok. Pocisk roztrzaskał wazon stojący tuż za nią.

– Co tu się dzieje?! – pisnął Net, chcąc wstać, ale ona przytrzymała go mocno przy podłodze.

– Siedź cicho i ani drgnij. Czekaj tu! – syknęła i wstała.

Ruszyła biegiem do wnęki prowadzącej do kuchni. Nie miała broni. Musiała coś wymyślić. Sięgnęła na tył spodni, udając, że łapie za pistolet ukryty pod koszulką, i sekundę później była już w kryjówce. Miała nadzieję, że wróg, myśląc, iż jego cel jest uzbrojony, odpuści. Niestety on po chwili był przy niej. Złapał ją za szyję i przystawił broń do skroni. Udało jej się jednak wyrwać z uścisku i wbiec do kuchni.

– Uciekajcie stąd! – krzyknęła do kucharzy i ukryła się za kuchenką.

Wtedy wpadł do środka tajemniczy napastnik. Groźnie mrużąc oczy, rozejrzał się dookoła.

– Damon, wyłaź! Wiem, że tu jesteś. Nie ma sensu się ukrywać. I tak zginiesz –

nawoływał, chodząc między szafkami i ladami.

Zbliżył się do miejsca, w którym siedziała Robi. Kiedy przeszedł dalej, zaczęła cichutko wycofywać się do wyjścia. Niestety zauważył ją i zaczął strzelać. Kiedy skończył mu się magazynek, agentka podbiegła do niego i wytrąciła mu broń z ręki, zanim zdążył cokolwiek zrobić. Rzuciła pistolet na górę szafek i uśmiechnęła się z ulgą. Teraz w starciu mieli mniej więcej równe szanse.

– Jeśli myślisz, że mnie pokonasz – syknął mężczyzna, podciągając rękawy. – Najpierw załatwię ciebie, a potem zabierzemy się za twoją koleżkę.

Robi popatrzyła na niego znudzona. Nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia, ale wiedziała, że nie może okazać słabości.

Zamachnął się, chcąc zadać cios, ale ona zrobiła zręczny unik. Zrobiła tak raz, drugi, trzeci... Przeciwnik dostał zadyszki i wpatrując się w nią z nienawiścią, skoczył, spychając ją na ścianę. Złapał ją za szyję i podniósł, przyciskając do ściany. Próbowła się wyrwać, ale trzymał za mocno. Nie pozostało jej nic innego, jak trafić kolanem tam, gdzie boli najbardziej. Mężczyzna puścił ją i z bólu zwinął się w kłębek. Niestety po chwili wrócił już do siebie i złapał za pierwszy talerz, jaki miał pod ręką. Rzucił nim w stronę agentki, ale zdążyła odskoczyć w bok i naczynie rozbiło się z hukiem o ścianę. Stoczyli widowiskową bitwę na noże, widelce i szklanki. W powietrzu latało wszystko, co było w zasięgu ich rąk. W końcu stanęli naprzeciw siebie. On miał ogromny i ostry nóż, a ona szczerą nadzieję na to, że zdąży coś wykombinować.

Kiedy wróg miał zadać ostateczny cios, złapała za patelnię leżącą obok i uderzyła go w głowę. Mężczyzna padł nieprzytomny na podłogę.

– Nie no, żebym rozwalila wroga... Patelnię! – zaśmiała się pod nosem.

Zaciągnęła go pod grube i solidne rury i przywiązała mu do nich ręce i nogi sznurkiem, który znalazła za koszem na śmieci. Wspięła się na blat i ściągnęła z szafki pistolet. Otrzeptała się z kurzu i okruszków naczyń i wróciła do Neta.

– Co tu się dzieje?! – pisnął przerażony na widok agentki.

– Nie pytaj... Chodź – mruknęła, zmierzając powoli w stronę wyjścia.

Posłusznie ruszył za nią. W drzwiach odwrócił się, by jeszcze raz zobaczyć, że to, co przeżył, nie było snem. Robi w tym czasie wyciągnęła telefon i zadzwoniła do Marka.

– No tak. Za rogiem. Macie blisko – mruknęła, kiedy Net podszedł do niej powoli, czekając na dalszy rozwój wydarzeń i polecenia. – Dobra, to czekamy. Pospieszcie się. – I odłożyła słuchawkę.

– Z kim gadałaś?

– A z nikim. Nie twoja sprawa.

– Dobra. Jak zwykle jesteś tajemnicza. Ale nadal nie wiem, co ty za jedna! Może jednak jesteś wampirem?

– Net, znów zaczynasz?

– No ale jesteś megadziwna. I reagujesz na wszystko z prędkością światła! To nie jest normalne. Co tu się dzieje, powiedz mi w końcu – wymamrotał błagalnym tonem.

– Net, nie mogę.

– Dlaczego?

Wtedy zza rogu wybiegło trzech młodych mężczyzn. Ubrani byli na czarno. Mieli na sobie kamizelki kuloodporne i hełmy. Na ramieniu każdego z nich wisiał nowoczesny karabin. Wyglądem przypominali antyterrorystów. Robi uśmiechnęła się lekko na ich widok, a Net

wpatrywał się w nich z zachwytem.

– Agentko Damon! – powitał ją jeden z nich, podbiegając do niej.

– „Agentko”?! – pisnął Net, po czym zatoczył się i zemdlał.

– Brawo, geniuszu. Zdekonspirowałeś mnie – syknęła, a potem westchnęła, przewracając oczami. – Masz sole trzeźwiące? Nie mam zamiaru go ciągać po mieście w takim stanie.

– No mam, mam – wymamrotał agent, podając jej małą buteleczkę.

Po chwili Net zerwał się na równe nogi z piskiem. Robi złapała go za ramiona i oparła o ścianę, by znów się nie przewrócił.

– A-Agentka? – wyjąkał zaskoczony.

– To on nie wiedział? – zapytał zdeorientowany agent, patrząc to na Robi, to na Neta.

– Nie – mruknęła. – Net, oddychaj. Spokojnie.

– Co tu się dzieje?

– Net, to nie jest dobre miejsce na tego typu rozmowy.

– Może chodź do bazy? I tak już wie. Chłopaki już idą, to pójdziemy z nimi – zaproponował mężczyzna, wskazując na pozostałą dwójkę ciągnącą nieprzytomnego strzelca z knajpy.

– Dobra, chodźmy – mruknęła zrezygnowana.

Wzięła Neta pod rękę i podtrzymując go, ruszyła za agentami. Skręcili w pierwszą ulicę i stanęli przed małą kamieniczką. Weszli do bramy i znaleźli się pod wejściem na komisariat policji.

– Odwieziecie go do więzienia?

– Jasna sprawa. Tylko im powiedz, żeby nie było, że gdzieś sobie chodzimy – poprosił jeden z trzymających więźnia.

– Okej. Powodzenia.

Agent, Robi i Net weszli do budynku. Znaleźli się w dość małym holu. Po prawej stronie znajdowała się dyżurka. Za ladą i szybą siedział policjant. Podniósł powoli głowę, by zobaczyć, kto przyszedł.

– Siemka – zawołał wesoło agent.

– O, to wy. Wchodźcie – mruknął dyżurny i wrócił do gry w pasjansa na komputerze.

Weszli do małej windy i kiedy Robi dotknęła skanera dłonią, usłyszeli cichy męski głos podobny do poczty głosowej: „Zgodność z RD95”. Zaraz potem winda ruszyła w dół i zatrzymała się kilka pięter niżej.

– Policja? Podziemia? – zapytał zdeorientowany Bore, patrząc pytającym wzrokiem na Robi.

– Człowieku, chyba nie myślisz, że spoufalamy się z policją... To nie ta bajka. Tamten na górze to agent taki sam jak my, tylko w przebraniu.

– Po co to wszystko?

– Dla wiarygodności. Żeby nikt nie pomyślał, że jest w tym budynku cokolwiek niezwykłego – zaśmiał się agent, a Robi pokiwała głową, potwierdzając jego słowa.

– Ale super.

Weszli do sali głównej. Ich oczom ukazały się, ku zaskoczeniu Neta, biura i stopy papierów. Z lekko zawiedzioną miną rozglądał się dookoła w poszukiwaniu czegokolwiek, co choć trochę przypominałoby świat tajnych agentów, jaki znał z filmów.

Robi zerknęła na niego i zaśmiała się pod nosem. Poprosiła szeptem agenta, żeby zameldował obecność jej i gościa, jakim był Net.

– Co taka kwaśna mina? – zapytała chłopaka.
– Jest fajnie, ale gdzie gadzety? Gdzie wysokie technologie, o których inni tylko marzą?
– Za dużo filmów – zaśmiała się Robi. – Ale nie ukrywam, iż jest to tylko nasz oddział ekonomiczny i swego rodzaju archiwum.
– To jest też oddział taki jak na filmach?
– To tajne – szepnęła z uśmiechem Robi, zerkając na Neta.
Po chwili zobaczyła Marka, który wychodził z jednego z pokoi. Złapała chłopaka za rękaw i ruszyła w stronę agenta.
– Marek! – zawołała. – Czekaj!
Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Uśmiechnął się na jej widok i lekko zdziwił, gdy dostrzegł jej towarzysza.
– Jednak go wciągnęłaś w to?
– Zostałam zdekonspirowana. Miałam inne wyjście?
– Nie miałas – zaśmiał się wesoło agent, po czym zwrócił się do chłopaka: – Jak ci się podoba?
– Super – zdołał wymamrotać Net, będąc zafascynowany faktem, że prawdziwy tajniak się do niego odezwał.
– Robi, chodź ze mną. Mam coś, co cię ucieszy.
– A on? – zapytała zdeorientowana.
– Pójdzie z nami. Myślę, że możemy mu zaufać.
– Tak! Możecie! Proszę – błagał Net, uśmiechając się do agentów.
Robi przewróciła oczami i w trójkę ruszyli w stronę klatki schodowej. Zeszli kolejne dwa piętra z dół i znaleźli się w tunelu. Ściany były wykonane z grubego betonu, a jedyne źródło światła stanowiły świetlówki na suficie. Panowała tu zupełna cisza, przerywana tylko oddechami trójki ludzi.
– Gdzie my jesteśmy? – zapytał zaniepokojony trochę Net.
– Głęboko pod ziemią – zaśmiała się Robi. – Zaraz dojdziemy gdzieś, gdzie bardziej ci się spodoba.
– Serio?! Gdzie?
– Zobaczysz – mruknął Marek.
Po chwili doszli do betonowej ściany. Marek zapukał w różnych miejscach i nagle ciężki blok zapadł się pod ziemię, otwierając im przejście do dalszej części tunelu. Ten odcinek bardzo różnił się od poprzedniego. Zamiast nieprzyjaznych surowych betonów otaczały ich nowoczesne, podświetlone na niebiesko ściany i taka sama podłoga.
Net rozglądał się dookoła z zachwytem. Robi zerknęła na niego i zaśmiała się cicho.
– Zostaw trochę energii na później. To jeszcze jest nic.
Doszli do kolejnej ściany. Zrobiona była z grubego, mlecznego i hartowanego szkła.
– RD95 – mruknęła Robi, stając tuż pod nią.
„Zgodność z RD95” – odezwał się ten sam głos, co w windzie. Drzwi rozsunęły się, a zachwycony Net wystartował biegiem przed siebie. W ostatniej chwili zatrzymał go Marek.
– Nie tak szybko. Czujniki nacisku. Chyba nie chcesz poderwać wszystkich agentów? – szepnął.
Robi wstukała odpowiedni kod i machnęła ręką na znak, że można już ruszać.
W końcu doszli do ostatnich drzwi, po otwarciu których znaleźli się w jednym z bloków głównej siedziby PAS Południe.

Stali w wejściu do średnich rozmiarów sali, po której krążyli agenci. Po prawej stronie, na ścianie wisiały różnego rodzaju liny, haki i sprzęt do wspinaczki używany w czasie szturmów na wieżowce i akcji w górach. Naprzeciwko drzwi były kolejne, a nad nimi monitor wyświetlający różne aktualne wydarzenia. Net podeszedł kilka kroków do przodu i rozejrzał się z zachwytem dookoła.

– Żeby nam tu tylko na zawał ze szczęścia nie zszedł – szepnęła Robi, zerkając na rozbawionego Marka.

– Oj, daj spokój, niech się chłopak pozachwyca. Jest pierwszym w historii niespokrewnionym z obecnym agentem cywilem, który tu wszedł.

– Myślisz, że możemy mu aż tak zaufać?

– Robi, trochę wiary w ludzi! – zaśmiał się agent, szturchając dziewczynę lekko. – Widać, że cię polubił.

– Wątpię. No, ale niech będzie. Na twoją odpowiedzialność.

– I tak wszystko będzie na mnie. Jestem tu dorosły. Ciebie mogą jedynie upominać.

– Kocham być najmłodsza.

Podeszli do Neta i złapali go za ręce. Zaciągnęli w stronę kolejnych drzwi i przeszli przez długi korytarz, by w końcu znaleźć się w ogromnym pomieszczeniu, które stanowiło trzon bazy południowego oddziału PAS.

Na widok wielkiego dotykowego stołu Net zaczerwienił się z zachwytem. Robi i Marek zaśmiali się cicho.

– Robi, chodź ze mną – szepnęła agent. – Mam coś, co cię ucieszy.

– A on? – zapytała niepewnie.

– Pójdzie z nami.

– Na twoją odpowiedzialność – mruknęła Robi, po czym zawołała głośniej: – Net, chodź. Pozwiedzasz sobie dalej.

Chłopak podbiegł szybko do agentów i uśmiechnął się z zachwytem. Był w siódmym niebie. Przeczytał mnóstwo książek, oglądał filmy. I po tylu latach fascynacji agentami i wywiadem wreszcie trafił tu. Do prawdziwej bazy tajniaków, o której marzył tyle czasu.

Weszli do małej salki konferencyjnej. Stało tam już dwóch młodych mężczyzn. Jeden z nich ubrany był w ciemnozielony kombinezon pilota. Był wysoki i szczupły, a ciemnobrązowa czupryna uczesana w artystyczny nieład dodawała mu uroku. Stał, uśmiechając się zadziornie do swojego kolegi. On z kolei ubrany był jak zwykły student, ale kieszenie wypchane miał po brzegi telefonami, kablami i różnego rodzaju urządzeniami. Kasztanowe włosy wpadały mu do zielonych oczu, które promieniały radością.

– No, Robi. To nasza drużyna – oznajmił Marek. – Alan Świdorski, pseudonim Świder. Jeden z najlepszych naszych informatyków. Komputery nie mają przed nim tajemnic.

– Siemka. Miło poznać – powiedział wesoło, podchodząc do agentki, po czym uściśnął jej dłoń i wrócił na miejsce.

– A to, jak chyba widać, pilot. Franek Chomik, pseudo Gryzoń. Pilot śmigłowców i małych samolotów. W wolnym czasie próbuje ogarnąć jeszcze myśliwce. Czasami lata też w 32. Bazie Lotnictwa Taktycznego w Łasku.

– Im więcej rzeczy umiesz pilotować, tym lepiej. Miło poznać sławną agentkę Robi.

– Mnie również miło – odpowiedziała nastolatka, uśmiechając się wesoło.

Net stał i wpatrywał się z zachwytem to w Alana, to we Franka. Jego oczy błyszczały z radości. Przez dłuższą chwilę stał z otwartymi ustami, nie mogąc wykrztusić z siebie ani

słowa.

– Prawdziwy pilot? – wyjąkał w końcu nieśmiało.

– Nom. A co? – zapytał lekko zbity z tropu Gryzoń.

– Nie przejmuj się nim – mruknęła rozbawiona Robi. – On już tak ma, że ślini się na wszystko i wszystkich związanych z agentami i wojskiem.

– To niech mi nie zaślini mojego nowego telefonu! Tych ulepszeń, które wprowadziłem do niego wczoraj, nie pozwolę zalać – zaśmiał się Świder.

– Dobra, oszołomy. Musimy coś zaplanować. Neta trzeba komuś przekazać, a Robi wziąć do nas – oznajmił Marek, obejmując dziewczynę ramieniem. – Robi się niebezpiecznie, a oni będą na naszą księżniczkę polować.

Robi zmierzyła go wzrokiem. Uważała, że przesadzają. Przecież była nie gorszą agentką od nich, a troszczyli się o nią jak o jajko. Chciała być w grupie ratunkowej, ale nie jako ktoś chroniony. Chciała po prostu działać.

Net, który stał obok niej, wpatrywał się w podłogę, obawiając się o swój los. Już zdążył polubić swojego obrońcę, a tu się nagle okazało, że chcą go przekazać komuś innemu. Nie miał pojęcia, jaki może być inny agent. Nie lubił zmian ani niepewnych sytuacji.

– Dlaczego mam być chroniona? Radzę sobie przecież.

– Robi, wiesz, jak jest – mruknął Marek, po czym zwrócił się do reszty: – Mamy do czynienia z najdziwniejszymi terrorystami, jakich widzieliśmy. Nie ma w nich nic typowego. Nie porywają, nie okupują. Jeśli kogoś porwą, niczego nie żądają. Grożą atakami, ale nigdy nie doprowadzają ich do skutku, chociaż to akurat w większości nasza zasługa. Do tego mordują agentów i jego rodzinę! – Machnął ręką w stronę Neta.

Robi zorientowała się, do czego zmierza agent, i zaczęła mu dawać znaki za plecami Bore'a, żeby zamilkł, ale on patrzył w innym kierunku i jej nie widział.

– Moim zdaniem to nielogiczne. Biorą sobie syna swoich ofiar i go wychowują! A potem, jak Net dorasta i interesuje się agentami i wojskiem, to nagle chcą go wykończyć!

Zrezygnowana agentka uderzyła głową w ścianę. Niepewnie otworzyła jedno oko i zerknęła na Neta, chcąc zobaczyć jego reakcję. Chłopak stał krzywo, wpatrując się tępo w ścianę. Był strasznie blady, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Trwało to jakieś dziesięć sekund. Potem nagle zemdlął.

– Wiedział? – zapytał dezorientowany Marek, patrząc to na Neta, to na Robi.

– Nie... – mruknęła zrezygnowana, kręcąc lekko głową.

– Ups? Czemu nie mówiłaś? No ale cóż. Już wie.

– No świetnie! – syknęła agentka. – Genialny sposób na informowanie o takich rzeczach.

– To facet. My, faceci, mamy silną psychikę! Nic mu nie będzie.

– Marek, to Net! On jest niezrównoważony psychicznie moim zdaniem.

Po kilkunastu sekundach chłopak się ocknął. Rozejrzał się niepewnie dookoła i zamrugał kilka razy. Popatrzył na Robi i przyjrzał się jej uważnie. Potem zerknął spode łba na Marka.

– To prawda? – wymamrotał, a agenci pokiwali głowami.

– Ale jak to możliwe?

– No bo... – Robi niepewnie zerknęła na Marka, zastanawiając się, czy można Netowi zaufać i wyjawić historię PAS-u i rodziny chłopaka.

Marek kiwnął potakująco głową. Robi wzięła głęboki wdech i zaczęła opowiadać.

– PAS walczy z różnymi formami przestępczości, która wykracza w jakiś sposób poza normę, jaką stanowią kradzieże, włamania i niektóre morderstwa. Jesteśmy wszędzie tam gdzie

antyterrorystów i zajmujemy się nawet tym, o czym nie zawsze wie rząd. Jedną z naszych głównych spraw jest Delik. Ciągnie się już od piętnastu lat. Na początku zajmowali się nim ludzie z różnych grup. Wywiad, policja, wojsko.

– Twoi rodzice byli jednymi z nas. Ojciec w wojsku, a matka w policji. Znałem ich doskonale. Byli prawie jak rodzina. I pewnego dnia odkryli coś ważnego. O tym odkryciu dowiedział się też Delik. Nie chcieli, by informacja poszła dalej, więc ich zabili. Przyszli w nocy do domu i zastrzelili ich we śnie. Znaleźli ciebie i nie wiadomo dlaczego wzięli pod swoje skrzydła. Wychowywali cię jak syna, ale kiedy zobaczyli, że fascynujesz się agentami... Zaczęli się obawiać, że możesz kiedyś pójść tą drogą i dowiedzieć się prawdy. Po co tak ryzykować, lepiej cię zabić. I wtedy pojawia się Robi, chroniąca cię przed nimi i jednocześnie mszcząca się na Deliku za...

– Świetnie opowiadasz, Marek! – przerwała mu pośpiesznie Robi i przejęła inicjatywę. – I tak wygląda sytuacja. Teraz Delik mści się na agentach za udaremnianie im planów, więc porwał Darka. I musimy go odbić.

– Czyli moi rodzice nie żyją, a ludzie, którzy opiekowali się mną tyle czasu, chcą zabić mnie i ciebie? – wymamrotał Net, starając się ukryć łzy.

– No mniej więcej tak to wygląda – mruknęła cicho Robi, patrząc smutno na chłopaka.

– Musimy uwolnić Darka! Robi, ja chcę pomóc! Proszę! Pozwólcie mi... Zrobię wszystko! Ja chcę pomóc! – krzyczał Net, patrząc na agentów.

– Robi, może pozwólmy mu się przespać z tym problemem. Co ty na to? – szepnął jej na ucho Marek, zerkając na jej bransoletkę.

– Jasna sprawa – odpowiedziała Robi.

Po chwili Net smacznie spał, a drużyna mogła w spokoju skupić się na zadaniu.

– Macie już coś? – zapytała Robi, zerkając na Alana i Marka

– Nie do końca – mruknął zakłopotany Świder.

– Co znaczy „nie do końca”, co?

– Sprawdziłem kartoteki wszystkich członków. Ich przewinienia sięgają jeszcze przed powstanie Delika. Potem już pojawiają się nasze akcje i potyczki. Oczywiście policja nie ma szczegółów, więc musiałem pogrzebać u nas w papierach. My ich łapaliśmy i wciskaliśmy policji, a oni zwiewali. Ostatnim ich wybrykiem była kradzież broni. Karabiny, naboje, granaty i inne takie. Wszystko to miało trafić do wojska. Delik jest uzbrojony po zęby. Trudno będzie ich ruszyć – oznajmił Alan.

– Niedobrze – mruknęła smutno Robi. – No ale w końcu jesteśmy najlepszymi specjalistami od Delika w kraju. Damy radę!

– Szuka ich policja z kilku krajów. Bezskutecznie. Gdybyśmy połączyli siły, może ruszylibyśmy z miejsca – wymamrotał cicho Franek, patrząc spode łba na swoich towarzyszy.

– My z policją nie współpracujemy. Musielibyśmy im udostępniać informacje, a to naraziłoby nas na dekonspirację. Nie możemy tak ryzykować. Ostatnia współpraca skończyła się postrzeleniem jednego z agentów i ujawnieniem jego tożsamości. Musiał iść na szkoleniowca – stwierdził Marek.

– Dlatego podrzucamy im terrorystów w prezencie jak dobre i tajemnicze duszki – zaśmiała się Robi. – Nikt o nas nie wie ani nie słyszy. Jak coś nam się nie uda, to oczywiście afera w mediach, bo coś wybuchło albo ktoś zginął, ale o zasługach to cisza.

– Dobra, dobra. Rozumiem – mruknął Gryzoń, wpatrując się speszony w podłogę.

– Prawda jest taka, że policja może mieć dane, których my nie mamy – odezwał się Alan,

odrywając w końcu wzrok od komputera.

– My czegoś nie mamy? To możliwe?

– Robi, idealni nie jesteśmy. Choć mało nam już do ideału brakuje – zaśmiał się Marek, targając agentce grzywkę.

– No to musimy wyciągnąć wszystko, co się da. Jutro idziemy na policję. A teraz spać – mruknęła, ziewając.

Rozdział ósmy

Zły moment

Robi obudziła się w swoim pokoju. Leniwie przetarła oczy i rozejrzała się dookoła. W nogach łóżka spał jej wierny pies Reks, a promienie letniego słońca wpadały do pokoju przez uchylone okno.

Agentka wstała i przeciągnęła się. Założyła kaptcie i zeszła po schodach. Wszystko byłoby zwyczajnie, gdyby nie fakt, że w kuchni zamiast Darka zastała cały swój zespół i Neta, a zamiast spalonych na wiór grzanek na stole stało apetyczne śniadanie. Kanapki z dżemem, kakao... Patrząc na catering, zapowiadało się nieźle.

– Plany na dziś są aktualne? – zapytał Alan, smarując kromkę masłem.

– Jasne. Ja zagaduję policjantów. Używam swojego porażającego uroku, a ty w tym czasie włamujesz im się na serwer. Krótka i przyjemna akcja na rozgrzewkę – oznajmiła Robi.

– Ja?! – pisnął Świder. – Nic wczoraj nie mówiłaś o mnie.

– Coś nie pasuje?

– Nie no. To bułka z masłem! – zaśmiał się informatyk, nakładając kolejne warstwy masła na swoją kanapkę.

– Alan... Skończ już. Z tego wrażenia wpakowałeś pół kostki na tę kromkę. Wyluzuj – zaśmiał się Marek.

– Dobra, wracając do tematu. Idę tam sama. Niepotrzebna jest obstawa.

– Nikt cię nie będzie osłaniał?! – przeraził się Marek, po czym dodał: – Idę z tobą. Nie zauważysz mojej obecności, ale będę cię pilnował.

– Po co? Po prostu idę sobie na dość nietypowy spacer.

– Robi! Delik na ciebie poluje. Nie pozwolę ci chodzić samej po mieście.

– Jesteś gorszy niż Darek... Chcę się wtopić w tło. Bransoletka, słuchawka i okulary. Wszystko będę miała. Z wyjątkiem broni.

– Świetnie. Chcesz iść bezbronna? Nie ma mowy, osłaniam cię. W końcu to ja tu dowodzę – mruknął Marek, biorąc kluczyki do samochodu, i wyszedł z kuchni.

Robi przewróciła oczami i po chwili również wyszła. Wybiegła z domu i znalazła się w ogrodzie. Brzozy posadzone wzdłuż ścieżki dawały cień chroniący przed promieniami czerwcowego słońca. Zapach kwiatów werbeny przyciągał liczne pszczoły, a niezapominajki cieszyły oko swym delikatnym wdziękiem. Natura spokojnie celebrowała kolejny piękny dzień, ale nie każdy mógł go podziwiać.

Robi szła szybkim krokiem w stronę furki. Jej granatowa koszula powiewała na wietrze. Popatrzyła w stronę płotu po prawej stronie i dostrzegła tam swój niebieski rower z lotniczą szachownicą na błotniku. Uśmiechnęła się i przypomniała sobie, jak jeździła na nim do szkoły. Wtedy przez myśl przemknęło jej, że nie ma pojęcia, czy rok szkolny nadal trwa. Tyle się działo przez ostatnie dni. Jak zwykle jej życie rządziło nią za nią. Przez to, kim jest, znów nie odebrała lub nie odbierze swojego świadectwa. Oceny oczywiście miała nienaganne, ale przez akcje, treningi i szkolenia odbywające się na całym świecie miała zawsze pełno zaległych

sprawdzianów, lektur i kartkówek.

Pokręciła głową, chcąc pozbyć się myśli, które mogły przeszkodzić jej w działaniu. Skręciła w prawo i znalazła się na przystanku autobusowym. Rozejrzała się dookoła. Zastanawiała się, czy Marek mówił prawdę, gdy oznajmił, że zamierza ją osłaniać. Nigdzie go nie widziała, więc z ulgą stwierdziła, że został w domu. Chwilę później przyjechał jej autobus.

Wysiadła na przystanku w centrum miasta. Od budynku policji dzieliło ją tylko kilka przecznic. Ruszyła przed siebie pewnym krokiem, a w myślach cały czas powtarzała plan.

Po drodze mijała zabieganych ludzi, kolorowe wystawy sklepowe i zatłoczone kawiarnie. Miasto tętniło życiem. Mało kto pracował, bo była sobota.

- Robi, zatrzymaj się – rozległ się głos Marka w słuchawce.
- O co chodzi? – syknęła lekko poirytowana agentka.
- Melduję, że cię widzę.
- Na szczęście ja nie widzę ciebie. Coś jeszcze?
- Nie. Uważaj na siebie.

Robi przewróciła oczami i ruszyła dalej. Jednak się myliła. Marek nie został w domu. Czowała się teraz obserwowana, a bardzo nie lubiła tego uczucia.

Szła zwawym krokiem, nie wyróżniając się z tłumu. Cały czas bacznie obserwowała okolicę. Starła się, by żaden szczegół nie umknął jej uwadze. Coś błysnęło w oknie po przeciwnej stronie ulicy. Zerknęła w tamtym kierunku, ale nic nie zobaczyła. Była już prawie w połowie drogi, gdy ponownie odezwał się Marek.

– Snajper na drugiej! Na dachu! – krzyknął, a Robi odruchowo popatrzyła w tamto miejsce.

W okolicy było tylu niewinnych ludzi, którzy mogli zostać przypadkowymi ofiarami! Snajper nie strzelał. Widocznie nie miał pewności, że Robi to Robi. Nie myśląc zbyt długo, zrobiła najgorszy błąd, jaki mogła popełnić w tej sytuacji. Prawą ręką sięgnęła w miejsce, gdzie zwykle miała ukrytą broń. To ją zdradziło, bo żaden zwykły cywil nie odwraca głowy w stronę wroga, chcąc sięgać po pistolet.

Błysnęło czerwone światełko, a laserowa kropka pojawiła się na czubku jej nosa. Szybko wskoczyła do bramy, a pocisk roztrzaskał chodnik w miejscu, gdzie przed chwilą stała. Ludzie poderwali się w panice i pochowali się w sklepach i bramach. Samochody w pośpiechu zaczęły wycofywać się z okolicy, blokując przy okazji wjazd kolejnym.

- Cholera! – syknęła Robi, rozglądając się dookoła.

Jej sytuacja była dość ciężka. Nie miała broni i była względnie bezpieczna tylko do czasu, gdy siedziała w bramie. Na ulicy stała tylko ona. Sam na sam ze snajperem na dachu.

Po chwili zobaczyła Marka, który skradał się truchtem tuż pod ścianą. Ostrożnie stawiał każdy krok, uważając, żeby nie zdradzić swojej pozycji. Kiedy dobiegł do miejsca, w którym ukrywała się agentka, pokręcił lekko głową i uśmiechnął się.

- Mówiłem, że nie możesz iść sama – szepnął, podając jej broń.
- No dobra. Przyznaję, że miałeś rację – zaśmiała się Robi. – To co robimy?
- Będę cię osłaniał, a ty leć do celu.
- Tak jest!

Razem wyskoczyli z ukrycia i rozbiegli się na dwie strony. Marek ukrył się za jednym z samochodów i starał się trafić snajpera, a Robi biegła ile sił w nogach, by nie dać się trafić. Wróg strzelał jak opętany, roztrzaskując raz po raz kostkę chodnikową tuż za swoim celem.

Nagle sznurówka w trampkach Robi się rozwiązała, a ona zahaczyła o nią drugą nogą

i padła jak długa na ziemię. Wczołgała się za najbliższy samochód.

– Przekłete trampki! – syknęła, wiążąc buta.

Była zdenerwowana. Mocno złapała broń i wychyliła się z kryjówki. Wycelowała i strzeliła. Kula trafiła snajpera w obie dłonie naraz. Wrzasnął z bólu i upuścił karabin, który spadł z hukiem na ziemię. Teraz agenci byli bezpieczni.

– To się nazywa strzelecka precyzja! – usłyszała w słuchawce zadowolony głos Marka.

Nagle z bocznej uliczki wyskoczyło czterech mężczyzn. Byli ubrani jak zwykli cywile, ale już na pierwszy rzut oka wydali się Robi dziwni. Ukryła broń za plecami, ale cały czas była gotowa do obrony. Przeczucie jej nie myliło. Jeden z nich wyciągnął pistolet i wycelował prosto w agentkę. Drugi przebiegł obok niej i zaczął strzelać do Marka. Robi za plecami sprawdziła magazynek.

– Cholera jasna! – syknęła cicho, kiedy okazało się, że ma tylko dwa naboje.

Powoli ukryła broń za paskiem i zakryła ją koszulą. W tej chwili nie miała szans pokonać wszystkich, a oddanie strzału równałoby się z oberwaniem z czterech stron na raz. Wołała poczekać, aż sytuacja ulegnie zmianie. Obserwowała pozostałych trzech mężczyzn, gdy ci zbliżali się do niej powoli.

Po lewej stronie stał kontener ze śmieciami, a nad nim były dwa balkony. W głowie dziewczyny już rodził się pomysł na omińnięcie przeciwnika. Marek walczył z jednym z nich gdzieś za nią. Od czasu do czasu słychać było tylko pojedyncze strzały. Wiedziała, że musi coś zrobić, ale nie miała pojęcia co. Powinna biec do celu czy zostać i bronić przyjaciela?

Wtedy zobaczyła, jak Marek pada na ziemię. Broń wysunęła mu się z ręki i wpadła do studzienki. Był zupełnie bezbronny. Teraz już nie miała wątpliwości.

– Marek! – zawołała najgłośniej jak mogła i rzuciła mu swój pistolet.

Wtedy pozostała trójka rzuciła się na nią, ale zrobiła zręczny unik i wskoczyła na kontener. Wybiła się w górę i złapała w locie dolną belkę poręczy jednego z balkonów. Rozhuśtała się mocno i w odpowiednim momencie zeskoczyła na dół wprost na dwóch napastników.

Marek postrzelił tego, który z nim walczył, ale po chwili oboje gdzieś zniknęli. Robi została sama. Dwójka nadal leżała nieprzytomna na chodniku. Ostatni z nich sapał głośno z wściekłości. Kroczył w stronę agentki, wpatrując się w nią jak wilk w swoją ofiarę. Cofała się powoli, szukając czegoś, czym mogłaby go pokonać.

Nagle przeciwnik skoczył i złapał ją za gardło. Przyparł ją do ściany i zaśmiał się jej prosto w twarz. Próbowwała się uwolnić, ale wróg był zbyt silny. Zasłonił jej dłońią usta tak, że nie mogła złapać oddechu.

– Jakim cudem żyjesz? – wycedził przez zęby, złowrogo mrużąc oczy. – Jeśli obiecasz, że będziesz grzeczna, to pozwolę ci trochę pooddychać.

Robi pokiwała głową, a mężczyzna zabrał rękę z jej ust.

– Czego ode mnie chcecie?!

– Nieładnie tak nas oszukiwać. Miałaś nie żyć, a tu proszę! Cała i zdrowa. Jednak na szczęście już niedużo czasu ci zostało. Mimo wszystko lojalnie ostrzegamy, żebyś lepiej nie szła na policję. Ani ty, ani żaden z twoich koleżków. W świat poszła wiadomość, że twój Dareczek jest pomocnikiem seryjnego zabójcy.

– Co?!

– To, że nie chcemy, by ktokolwiek mieszał się do tego. Przynajmniej jeśli ktoś będzie do was strzelał, nie będzie wątpliwości, że to my – powiedział i złapał Robi za lewą rękę, po czym

odezwał się do jej zegarka: – Zapewne część agencików już słyszała, co powiedziałem. Miejcie się na baczności, już niedługo przekonacie się o naszej potędze.

Robi wyrwała nadgarstek z uścisku mężczyzny, a on sięgnął po broń. Przyłożył lufę do skroni dziewczyny i znów zaśmiał się złowrogo. Odbezpieczył i położył palec na spust. Padł strzał.

Marek stał w lekkim rozkroku. Broń jeszcze trzymał w górze. Patrzył, jak terrorysta i Robi padają na chodnik. Stał w bezruchu i wpatrywał się w tę scenę z przerażeniem. W końcu wrócił myślami na ziemię i podbiegł do nich szybko. Odciągnął zakrwawione ciało napastnika i z przerażeniem spojrział na młodą agentkę. Na koszuli miała plamę krwi, ale oddychała.

– Robi, nic ci nie jest?! – zapytał drżącym głosem.

– Nie, ale ten facet jest strasznie ciężki – zaśmiała się wesoło i popatrzyła na Marka. – Miałaś rację, że mnie śledziłeś. Dzięki. Uratowałeś mi życie.

– Nastraszyłaś mnie! Myślałem, że kula przeszła na wylot i trafiła też ciebie!

– No to było ryzykowne, to fakt. Teraz liczy się, że wszystko jest dobrze.

– Lecę po samochód. Czekał tu na mnie – poprosił Marek, a Robi pokiwała głową.

Stanąła pod ścianą i przyglądała się swoim poplamionym ubraniom. Nagle usłyszała dźwięk syreny radiowozu, który po chwili pojawił się tuż przed bramą. Przewróciła oczami z politowaniem.

– Niesamowite wyczucie czasu – syknęła sama do siebie, stając z założonymi rękami. – Strzelaninę mają pod nosem, a przyjeżdżają, jak już jest po wszystkim.

Policjanci wyskoczyli z wozu i okrążyli ją w bramie. Rozejrzeli się dookoła i ze zdziwieniem patrzyli to na ciało terrorysty, to na nastolatkę stojącą samotnie w zakrwawionej koszuli.

– Rzuć broń! – krzyknął jeden z nich drżącym głosem.

– Przecież nie mam – mruknęła poirytowana Robi.

– Ręce za głowę i na kolana! Bo strzelam.

– Nie mnie szukacie. Trzeba było się tu zjawić dziesięć minut temu!

– Rób, co mówię!

Zrezygnowana agentka uniosła ręce i złączyła je za głową, a potem uklękła. Dwóch policjantów podbiegło do niej szybko i zakuli ją w kajdanki. Kiedy zamierzała wstać, chcieli ją przytrzymać na kolanach, ale użyli zbyt dużej siły i Robi zaryła nosem w kałużę.

– No proszę, proszę. Co my tu mamy. A jednak masz broń.

– Co?! – pisnęła zbita z tropu agentka, patrząc w stronę funkcjonariusza, który to powiedział.

Stał tuż obok terrorysty, a u jego stóp leżała jej broń. Patrzył na nią uważnie, a po chwili wyciągnął foliową torebkę na dowody i schował w niej pistolet. Robi przypomniała sobie całą sytuację. Kiedy Marek zabił przeciwnika, pomyślał, że zranił też swoją podopieczną. Rzucił więc broń na chodnik i wyciągnął ją spod napastnika.

– To nie ja go zabiłam! – krzyknęła zrozpaczona.

– Pogadamy na komendzie. Jedziemy – syknął policjant stojący za nią i posadził ją w radiowozie.

Ruszyli w stronę budynku, do którego Robi miała dojść sama! Bez przymusu i w zupełnie innych okolicznościach. Kiedy zawracali na ulicy, kątem oka dostrzegła przerażonego Marka siedzącego w swoim samochodzie, którym miał podjechać po agentkę do bramy.

Rozdział dziewiąty Twierdza zaprasza

Posadzili ją na metalowym krześle i rozkuli. Zmierzyli ją wzrokiem, po czym zwyczajnie wyszli, zostawiając ją samą.

Było to dość małe pomieszczenie. Na środku stał metalowy stół i dwa krzesła. Ściany pomalowane były na przygnębiający szary kolor, który niejednego już pewnie doprowadził do szaleństwa. Z prawej strony od wejścia znajdowało się duże lustro weneckie. Mimo upału na dworze tutaj było chłodno.

Robi siedziała z założonymi rękami i czekała na przesłuchanie. Miała nadzieję, że Marek ją stąd jakoś wyciągnie, bo miała złe przeczucia.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich wysoki i przystojny mężczyzna. Miał czarne krótkie włosy postawione na żel oraz okulary przeciwsłoneczne. Ubrany był w dżinsy, zielony t-shirt i czarną skórzaną kurtkę. Podszedł do stołu, rzucił na niego teczkę z aktami, po czym rozsiadł się wygodnie na krześle naprzeciwko Robi. Zdjął okulary i położył je obok dokumentów. Zmierzył agentkę wzrokiem i wziął głęboki oddech.

– Komisarz Drymski, wydział zabójstw – mruknął znudzonym tonem. – Wiesz, dlaczego tutaj jesteś, tak?

Robi nie odezwała się ani słowem. Wpatrywała się zawzięcie w kant stołu i starała się nawet nie drgnąć.

– Twoja sytuacja jest beznadziejna – syknął, spoglądając na nią zbity z tropu jej spokojem.

– No co pan nie powie – mruknęła pod nosem.

– Co się dzieje z tą młodzieżą. Nastolatka jedyną podejrzaną o zabójstwo? W dodatku z użyciem broni palnej i to nie byle jakiej. Wytlumaczysz to?

– Na jakiej podstawie pan twierdzi, że to ja?

– Z pistoletu znalezionej na miejscu zdarzenia strzelano chwilę przed zabezpieczeniem go. W tym czasie zginęła też ofiara. Do tego odciski palców się zgadzają. Mamy niezbite dowody, że to twoja sprawa.

– To nie ja! Ja do niego nie strzelałam.

– No to w takim razie możemy jeszcze sprawdzić, czy masz ślady prochu na rękach. Jeśli jesteś pewna, że jesteś niewinna, to chyba nie powinno być problemu.

Robi miała ochotę się rozpłakać. Wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Wiadomo, że miała ślady na dłoniach, przecież strzelała do snajpera. Nie dała nic po sobie poznać. Siedziała z kamienną twarzą i miała nadzieję, że komisarz odpuści.

– Okoliczności są obciążające.

– Okoliczności to jeszcze nie dowód.

– Skąd miałaś broń? – zapytał podejrzliwie, pochylając się w jej stronę.

Robi popatrzyła w sufit. Ta podłużna biurowa lampa była taka ciekawa. Nie mogła odpowiedzieć na to pytanie, a i tak by jej nie uwierzył.

– Skąd... miałaś... tę broń?! – wrzasnął policjant, uderzając pięścią w stół tak mocno, że aż cały się zatrzęsł.

– Z zaufanego źródła.

– A jest nim?

– Zaufane źródło – zaśmiała się cicho.

– Szczegóły!

– Nic nie powiem bez adwokata – mruknęła, uśmiechając się na widok bezsilności komisarza, który tylko denerwował się, nie mogąc rozgryźć nastolatki.

– Adwokat ci nie pomoże, bo mamy niezbite dowody, że...

– Nie macie dowodów – przerwała agentka.

– Ale będziemy mieć.

– Ale jeszcze nie macie.

Mężczyzna wstał i podszedł do przesłuchiwanej. Oparł jedną rękę na stole, drugą na oparciu krzesła i nachylił się tak, że oczy miał na poziomie oczu Robi.

– Skoro jesteś taka pewna swojej niewinności, to kogo kryjesz?

W odpowiedzi zaśmiała się tylko komisarzowi w nos i odwróciła wzrok.

– Twoja sytuacja jest gorzej niż beznadziejna! Jak możesz być tak spokojna i wyrachowana! – syknął jej do ucha.

– Najwidoczniej policyjne sztuczki na mnie nie działają. Znam swoje prawa.

Śledczy wyprostował się i popatrzył na nią z góry świdrującym wzrokiem. Zdenerwowała go i wytrąciła z równowagi. Przeczesał palcami swoje nażelowane włosy i pokręcił lekko głową. Wrócił powoli na swoje miejsce i usiadł. Spojrzał na Robi spode łba i głośno westchnął.

Nagle drzwi pomieszczenia otworzyły się i do środka weszło dwóch policjantów. Zdziwiona Robi przyjrzała im się dokładnie i aż miała ochotę krzyknąć z radości. Jeden był wysokim blondynem o nie byle jakiej urodzie, którego artystycznie potargane włosy wpadały do błękitnych oczu. Był ubrany w wyjściowy policyjny mundur. Drugi był nieco niższy, ubrany prawie jak antyterrorysta. Spod hełmu wystawały kasztanowe włosy, a zielone oczy uważnie obserwowały komisarza.

– Słucham? – zapytał poirytowany śledczy, unosząc pytająco prawą brew.

– Mamy nakaz przejęcia podejrzanej – mruknął blondyn, wyciągnął z kieszeni kartkę i podał ją rozmówcy.

Policjant wyrwał mu z ręki dokument i zaczął nerwowo czytać. Cały czas z niedowierzaniem kręcił głową. Kiedy skończył, oddał kartkę przybyszowi i zmierzył go wzrokiem.

– Jak to: z waszego rewiru? – zapytał podejrzliwie. – Zabójstwo zostało popełnione tutaj!

– Takie rozkazy z góry. Przejmujemy ją – oznajmił blondyn i kiwnął głową do drugiego.

Antyterrorysta podszedł do Robi i zakuł ją w kajdanki. Podprowadził ją do drzwi i zatrzymał się obok kolegi.

– Poproszę akta sprawy.

Komisarz wymamrotał coś pod nosem i oddał teczkę. Zmierzył Robi wzrokiem i wyszedł.

Dwu policjantów wyprowadziło agentkę z budynku i posadziło ją w samochodzie. Blondyn usiadł za kierownicą i odpalił samochód. Gdy tylko oddalili się trochę od komisariatu, nastolatka wybuchła głośnym śmiechem.

– Świetną minę miał, jak mnie wyprowadzaliście!

– Myśleliśmy, że nie uwierzy – odezwał się antyterrorysta, ściągając hełm.

– Alan, Marek... Jak to dobrze, że mnie stamtąd wyciągnęliście. Myślałam, że zwariuję!
– Od czego ma się wierny team... No i przyjaciół.
– Dzięki. Świder, możesz mnie rozkuć?
– Nie. To niemożliwe – powiedział poważnym tonem, po czym wybuchnął śmiechem i wyciągnął kluczyk. – Jasne, że mogę!

Dojechali do swojej bazy ekonomicznej koło rynku. Podziemiami przeszli do głównej siedziby, gdzie czekała na nich reszta zespołu i Net. Na biurku Alana stał talerz, a na nim pełno kanapek. Agenci zabrali się do jedzenia.

– Co teraz robimy? – zapytał Gryzoń.

– Wracam na policję. Już chyba wiem, gdzie mają akta. Trzeba tylko wyłączyć monitoring i trochę pokombinować – zaśmiała się Robi. – Jak prowadzili mnie na przesłuchanie, to pozwiedzałam trochę.

– Lepiej zróbmy to nocą. Będzie mniejsze ryzyko – stwierdził Marek. – No i nie idziesz tam sama.

– Spoko. A do tego czasu poćwiczę strzelanie. Mamy teraz takie fajne tarcze! – zaśmiała się, biorąc teczkę z aktami jej sprawy.

* * *

Działali zgodnie z planem. Noc była ciemna, a niebo zasłonięte grubymi i ciężkimi chmurami. W atmosferze czaił się pierwiastek strachu i napięcia. Teraz było już za późno na odwrót. Równie o północy Robi i Marek dobiegli do budynku policji. Zewnętrzny monitoring był już zapętłony przez Alana. Nikt ich nie widział. Popatrzyli na siebie i skinęli głowami. Założyli kominiarki i stojąc pod tylnym wejściem, czekali na znak.

– Obraz z monitoringu zapętłony – usłyszeli głos Świdra w słuchawkach. – Do boju!

Marek otworzył drzwi uniwersalnym kluczem mechanicznym, stworzonym specjalnie dla agentów. Weszli do środka i rozejrzeli się dookoła. Nie zauważyli nikogo. Ruszyli dalej przed siebie, uważając, by nie zdradzić swej obecności.

– To tutaj! – szepnęła Robi, zatrzymując się przy solidnych brązowych drzwiach.

– Jesteś pewna?

– Chyba tak – mruknęła i położyła się na ziemi. – Cholera, nic nie widać. Ani najmniejszej szparki pod drzwiami!

– Alan – szepnął Marek – sprawdź podglądy z monitoringu i odnieś je do naszej lokalizacji.

– Tak jest – usłyszeli głos informatyka i stukanie klawiatury, chwilę potem odezwał się ponownie: – Drzwi macie dobre. Za nimi są akta i komputer. Jest jeden problem.

– Jaki? – syknęła zniecierpliwiona nastolatka.

– Alarm. Wiązki podczerwieni i takie tam.

– Niech to szlag – warknęła, wstając i rozejrzała się, myśląc nad rozwiązaniem problemu.

Spojrzała na sufit i zobaczyła wlot do szybu wentylacyjnego. Uśmiechnęła się przebiegle i popatrzyła na Marka.

– Podsadź mnie! Wejść tam i unieszkodliwię alarm!

– Robi, to zły pomysł. Według moich danych szyby są wąskie...

– To tylko jakieś trzy metry drogi. Może się przecisnę.

Marek podsadził ją do góry. Odkręciła kratę i zaglądnęła do środka. Szyb miał może

około pół metra szerokości. Robi wcisnęła się do środka. Nie miała jak się ruszyć. Tylko dłonie i stopy miały więcej swobody. Zaczęła przesuwając się małymi odcinkami jak dżdżownica.

– Jak ci idzie? – zapytał Marek, kiedy już prawie była u celu.

– Nie najgorzej – mruknęła, przeciskając ręce do przodu, by móc odkręcić kratę wentylacji.

Odłożyła ją do szybu przed sobą i spuściła głowę. Założyła odpowiednie okulary. To, co zobaczyła, lekko ją przeraziło. Wszędzie roило się od wiązek podczerwieni. Westchnęła głośno i odszukała na ścianie klawiaturę do wpisywania kodu.

– Świder – syknęła cicho, wpatrując się w klawisze.

– Co jest? – odezwał się znudzony informatyk.

– Rozpracuj mi kod do alarmu – poprosiła słodkim i niewinnym głosem.

– Tak jest.

Wisząc nadal głową w dół, wyciągnęła z kieszeni magazynkę z gumowymi nabojami i zaczęła przymierzać się do strzału. W słuchawce słyszała tylko, jak Alan stuka w klawiaturę, starając się złamać zabezpieczenia.

– Jeny, jacy oni są przewidywalni! – zaśmiał się głośno.

– Skup się i dyktuj! – mruknęła Robi.

– 38974 – wyrecytował zadowolony Alan.

W tej chwili nie było to dla niej zbyt przewidywalne, ale Alan miał nieprzeciętny informatyczny umysł, więc postanowiła w to nie wnikać. Agentka wycelowała i strzelała po kolei w każdy przycisk. Nie chybiła ani razu. Po chwili wiązki zniknęły, a zamek w drzwiach kliknął, otwierając się. Nastolatka zeskoczyła na podłogę, a Marek dołączył do niej chwilę później.

Pomieszczenie było dość duże, ale wszędzie stały ogromne i wysokie do sufitu regały. Półki aż uginęły się pod kartonami pełnymi dowodów i akt. Można było dostać napadu klaustrofobii i lęku, że zaraz wszystko posypie się na głowę. Mieli czas do szóstej rano, by znaleźć to, co chcieli. Trzeba było się spieszyć.

– Dobra robota – mruknął z uśmiechem. – I ta twoja snajperska precyzja.

– Dzięki – zaśmiała się cicho i zaczęła rozglądać się dookoła.

– Rozdzielmy się – zaproponował Marek z przebiegłym uśmiechem na twarzy. – Jedno do kartonów, drugie do komputera.

– Świetny pomysł! – szepnęła Robi i dopadła klawiaturę, zagrządzając drogę agentowi.

– To ja miałem być tym drugim – syknął poirytowany.

– Twój pech.

Agentka usiadła przed komputerem. Obejrzała go całego, szukając zamaskowanych zabezpieczeń. Zaglądnęła pod biurko, pod klawiaturę i za monitor. Przeczesała go wzrokiem w okularach na podczerwień. Nic podejrzanego nie znalazła. Powoli i ostrożnie włączyła go. Zaszumił cicho i uruchomił się bez problemu.

– Świder – szepnęła z uśmiechem. – Jak mniemam, nudzisz się straszliwie, więc zajmij się, proszę, kodem dostępu.

– Taajest – odezwał się Alan.

Marek w tym czasie krążył między półkami i rozszyfrowywał kod sprawy na każdym z kartonów. Policjanci mieli łatwiej, bo wszyscy mniej więcej znali skróty, a agenci musieli lecieć na wyczucie i spryt.

W czasie kiedy Alan włamywał się do zabezpieczeń systemu, Robi podeszła do swojego

towarzysza.

- Masz już coś? – zapytała, zaglądając mu przez ramię.
- Nie, ale za to chyba rozgryzłem częściowo ich system znakowania.
- Serio? Super. Jaki?
- Zobacz – mruknął i pokazał jej jeden z kartonów.

Na pokrywce widniała naklejka z napisem „QGP10RX275”. Robi popatrzyła na nią zdezorientowana. Dla niej wyglądało to jak niezrozumiały bełkot szyfrujący. Zerknęła na Marka, który aż promieniał z radości i dumy.

- No zobacz – szepnął – 275 to numer sprawy, 10 to końcówka roku. Sugerując się innymi znakami, RX oznacza skrót od nazwy sprawy. QGP to chyba oznaczenie oddziału.
- Sprytne – mruknęła Robi. – Wracam do komputera. Świder?
- Tak już mam. Nie chciałem wam przerywać – odezwał się rozbawiony.
- Dyktuj – poprosiła agentka, podbiegając do klawiatury.
- QGP02HW001.
- To brzmi znajomo – mruknęła Robi, wpisując hasło.

Wcisnęła „enter” i weszła do systemu. Uśmiechnęła się z satysfakcją i zabrała za przeszukiwanie danych. Nigdzie nic nie było. Stukała ze złością w klawisze, ale nic z tego. W końcu znalazła tajemniczy plik. Otworzyła go i wyskoczył jej komunikat: „Wpisz numer sprawy”.

- Świder?
- Już, czekaj – mruknął i postukał w klawiaturę. – Nic z tego. To nie szyfr ani hasło. To zwykła wyszukiwarka. Nie obejdę tego.
- Uch! – warknęła, odpychając się ze złością od biurka. – Dobra, dzięki – syknęła i poszła w stronę Marka.
- Co jest?
- Szybko, musimy znaleźć karton Delika. Bez niego nie wejść do plików.

Zabrali się za szukanie. Biegali między regałami i przeglądali każdą półkę, szukając spraw, które zostały zapisane po 2001 roku. W końcu Robi zaśmiała się tryumfalnie. Jeśli sposób Marka miał okazać się dobry, to właśnie znalazła odpowiedni karton.

- QGP02TD965 – zawołała wesoło i pobiegła do komputera.

Wpisała skrót i ku jej nieopisanej radości otworzył się folder o nazwie „Terrorystyczny Delik”. Podskoczyła wesoło na krześle i zaczęła gorączkowo przeglądać dokumenty. Nie było tu dużo wiadomości, ale nie mogła się temu dziwić. PAS przejął tę sprawę krótko po swoim powstaniu w 2001.

Nagle coś przykuło jej wzrok. „Punkty strategiczne Delika”. Coś, o czym agenci nie mieli pojęcia. To było ważne odkrycie. Oczy zabłyszczały jej z nieopisanej radości, kiedy klikała na folder. „Brak dostępu! Podaj hasło!”

- Cholera jasna! – syknęła, wpatrując się z nienawiścią w monitor.
- Co się dzieje? – zapytali Alan i Marek jednocześnie.
- Świder! Hasło... Rozgryź to.
- Bułeczka z masłem – zaśmiał się informatyk i po chwili oczom Robi ukazał się komunikat: „Hasło poprawne”.
- Jesteś świetny!

Skopiowała wszystkie pliki i wyłączyła komputer. Podbiegła do Marka i zajrzała mu przez ramię.

- Skończyłeś już? – zapytała.
- Chwileczkę. Szukam czegoś wśród dowodów. Czegoś, co może okazać się pomocne.
- Aha, spoko. Poczekam – mruknęła nastolatka i kątem oka zerknęła na karton.

Nagle jej źrenice zrobiły się ogromne, a wzrok przywarł do jednego z dowodów. Był to mały, przestrzelony na wylot miś o jasnym futerku i ubrany w skórzaną kurtkę pilota. Wpatrywała się w niego jak zaczarowana, a oczy zaszyły jej łzami. Marek odwrócił się, usłyszawszy, jak dziewczyna pociąga nosem. Kiedy ją zobaczył, złapał za pokrywkę i szybko zakrył pudełko.

- Chodźmy stąd – mruknął i odstawił karton na jego miejsce.
- Koniec akcji. Wracamy – oznajmiła Robi, czekając na towarzysza.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem, a do środka wpadło czterech uzbrojonych po zęby... No właśnie. Nie miała pojęcia, kto to był. Ubrani byli w czarne stroje podobne do policyjnych mundurów terenowych. Sekundę później Marek był już przy Robi i zasłonił ją własnym ciałem. Tamci patrzyli na nich z nienawiścią i mierzyli z broni.

– Mówiłem, żebyś nie szła na policję? A ty mimo wszystko poszłaś. A miałaś tego nie robić – powiedział zdruzgotanym i monotonnym głosem czarnowłosa osiłek.

Delik! Robi poznała w nim tego, który zaskoczył ją wtedy na ulicy. Sięgnęła po broń i wycelowała.

– Zostawcie nas w spokoju. A darujemy wam życie – mruknął spokojnie Marek, mierząc do każdego po kolei.

- Oddajcie to, co zabraliście – burknął młody, łysy i wysoki mężczyzna o twarzy gbura.
- Wychodzimy tak, jak przyszliśmy. Nic nie zabraliśmy.
- Akurat! Nie wierzę! – ryknął ten pierwszy i strzelił do Marka.

Agenci w ostatniej chwili zdążyli odskoczyć na boki. Pocisk trafił w jeden z regałów, rozsypując drzazgi po okolicy. Robi, leżąc na ziemi, wycelowała i strzeliła napastnikowi w nadgarstek. Upuścił broń, ale zamiast przekląć z bólu, zaczął się śmiać. Nie tak to miało wyjść...

– A to co było? Tylko to macie na swoim wyposażeniu?!

Wszyscy Delikowcy wybuchnęli śmiechem. Marek wstał i znów mierzył do nich, a Robi, klęcząc na ziemi, zrozumiała, co się stało. Zapomniała zmienić magazynek i strzeliła gumową kulą. Wymamrotała coś gniewnie pod nosem i zmieniła naboje.

– Nie wyjdziecie stąd cali... Już po was – mruknął młody i przystojny terrorysta o blond włosach i niebieskich oczach.

Delikowcy wchodzili w głąb pomieszczenia, spychając agentów między regały. Robi zastanawiała się, jak można by uciec, a Marek starał się nie dopuścić do tego, by Delik strzelił.

W końcu agentka wpadła na genialny pomysł. Wyciągnęła z kieszeni trzy kulki. Rzuciła je na podłogę i chwilę później całe pomieszczenie zapełnił gęsty czarny dym. Trzy razy strzeliła w podłogę i pociągnęła Marka za sobą. Wybiegli na zewnątrz i zamknęli drzwi, uniemożliwiając ucieczkę terrorystom.

Jak najszybciej mogli, zbiegli na dół i wyskoczyli na ulicę. Chwilę później byli przy furgonetce. Net czekał już na nich z otwartymi drzwiami. Wskoczyli do środka i od razu odjechali.

– Jak oni to robią? Wiecznie depczą nam po piętach – mruknęła Robi. – Wiecznie krzyżują nam plany.

– Taka ich i nasza rola. Przeszkadzamy sobie. I chodzi o to, by przeszkadzać lepiej. Oni

nam, a my im.

- Złota zależność.
- No mniej więcej.

Wrócili do domu nad ranem. Byli zmęczeni, ale też szczęśliwi. Zasłużyli na odpoczynek, ale szkoda im było czasu. Darek miał kłopoty, a oni byli jedyną grupą szukającą go. Teraz mieli nowe dane i musieli jak najszybciej je zgrać z resztą informacji i wykorzystać.

Przespali się godzinę i wrócili do pracy. Robi i Net siedzieli z Reksem na strychu i przeszukiwali notatniki Darka, szukając czegoś o Deliku. Tony akt, papierów i dzienników. Mnóstwo kurzu i pajęczyn.

Raz po raz Net ziewał leniwie, bo nie był przyzwyczajony do funkcjonowania bez odpoczynku tak jak agenci. Robi gorączkowo przerzucała papiery. Za każdym razem denerwowała się coraz bardziej, gdy poszukiwania nie wносиły niczego nowego do sprawy.

- Górna drużyno! – zawołał Alan w stronę strychu.
- Co? – odpowiedziała Robi, potykając się o ogon Rekxa i wpadając w górę papieru.
- Śniadanie – zaśmiał się informatyk i wrócił do kuchni.

Robi machnęła, przywołując Neta do siebie, i zeszli na dół. Kiedy weszli do kuchni, chłopak siadł przy stole, a dziewczyna zamarła w bezruchu w drzwiach. Wpatrywała się tępo w wielką miskę pełną jajecznicy.

- Co to jest?! – wrzasnęła przerażona, a powieka zadrgała jej złowrogo.
- Mówiłem, że tak zareaguje?! Mówiłem?! – Marek aż ryczał ze śmiechu.
- No przecież to zwykła jajecznica – mruknął zbity z tropu Franek.
- Wzięli do niej wszystkie jajka, jakie były – szepnął Marek, nadal krztusząc się ze śmiechu.

– Co?! Tu były trzy pudełka! Trzydzieści sztuk ja... jaj... jajek. Zabiję! – syknęła agentka. – Gotujecie jak studenci!

– Robi, pragnę przypomnieć, że Alan teoretycznie jest na przedostatnim roku, a Franek wrócił ze „Szkoły Orłąt” pół roku temu. Są usprawiedliwieni.

– Nie wiedzieliśmy, że wyjdzie tego aż tyle! – zaśmiał się niewinnie Alan, myjąc patelnię w zlewie.

Po śniadaniu znów zabrali się do pracy. Marek razem z Robi robili przegląd sprzętu, Net bawił się z Reksem na dworze, a Świder i Gryzoń kombinowali coś przy komputerach.

- Macie coś? – zapytała agentka, wchodząc do salonu.
- Tak, kilkanaście ich miejscówek! – pisnął zrozpaczony Alan, przekładając papiery. – Odnalezienie Darka graniczy z cudem!

– Musimy go znaleźć – mruknęła Robi, wrywając mu z ręki akta.

– Spokojnie. Damy radę. Jeśli będzie trzeba, przeszukamy każdą miejscówkę! Krok po kroku wyłapiemy ich jak szczury! Znajdziemy Darka całego i zdrowego – szepnął Franek i popatrzył na agentkę z uśmiechem, a potem zwrócił się do siedzącego obok Alana. – Które z tych miejsc jest najbliżej?

- Zdaje mi się... że najbliżej mamy Poznań.
- Dokładniej?
- Przedmieścia. Stara hala. Podobno opuszczona.

– Opuszczona, czyli mogą tam go przetrzymywać – stwierdził Marek, drapiąc się po brodzie. – Jedziemy!

Nie mieli żadnego solidnego planu, ale co tu planować? Wchodzą, przeczesują metr za

metrem i wychodzą. Agenci PAS-u są szkoleni tak, że działanie mają we krwi i nic nie jest w stanie ich zaskoczyć.

Działali błyskawicznie. Franek zasiadł za sterami śmigłowca i polecieł na miejsce. Odszukali wśród pól i łąk starą halę. Otoczona przez chwasty i kilka drzew, stała samotnie i wyglądem zatęchłej ruiny odstraszała zapuszczających się tutaj przechodniów.

Gryzoń stanął w zawisie nad oknem dachowym przedsiionka hali. Marek i Robi przypięli się do lin i stanęli na płozie śmigłowca. Sprawdzili, czy wszystko mają, popatrzyli na siebie i skinęli głowami. Skoczyli równocześnie i wybijając szyby butami, wpadli do środka. Zawisnęli dwa metry nad betonową podłogą.

– Wciągaj – mruknął do krótkofalówki Marek, kiedy oboje wypięli się z lin.

– Tak jest!

Przedsiionek był przestronny i pusty. Po prawej stronie pod ścianą stał jedynie wielki kontener na odpadki. Agenci powoli podeszli do potężnych żelaznych drzwi prowadzących na salę główną. Marek przestrzeżił kłódkę i razem otworzyli je kopniakiem.

Ich oczom ukazało się ogromne pomieszczenie z wysokim sufitem. Szybko wyciągnęli broń, będąc w pełnej gotowości do obrony, ale nikt nie otworzył ognia. Hala była pusta. Przez brudne szyby do pomieszczenia wpadały promienie letniego słońca, oświetlając stare, zakurzone i przeżarte rdzą regały.

– Czysto – mruknął Marek, zaglądając do jednego z bocznych pomieszczeń.

– U mnie tak samo – odpowiedziała Robi, rozglądając się podejrzliwie dookoła.

Na ziemi leżały łuski od naboju, puste magazynki i butelki po wódce. „Byli tu na sto procent”, pomyślała Robi, kiedy wchodziła do kolejnego zakątka.

Był to mały pokój, na środku którego stał stół i kilka poprzewracanych krzeseł. Jej wzrok przykuła pożąłkła kartka leżąca na podłodze pod ścianą. Podeszła do niej powoli i podniosła.

Delik wita agentów PAS-u i informuje, że nieładnie jest czytać cudze dokumenty.

Zabawa trwa.

Ta zabójcza dla was gra

Nie skończy się,

Do czasu, gdy żyjecie.

Pokazała to Markowi. On podrapał się po głowie i przyglądnął się kartce uważnie. Odwrócił ją na drugą stronę.

– Tu jest kolejny napis... – mruknął cicho.

Na raz, na dwa, na trzy,

Z Kazalnicy spadacie WY!

Agent już chciał w złości zgnieść kartkę, ale powstrzymał się i zwinął ją w rulon. Wsunął do kieszeni.

– Bez sensu, jakieś wierszyki – syknął wkurzony i kopnął kamyk.

– Zaczekaj. Kazalnica. To nie gdzieś w Tatrach?

– Co?

– Chodź – mruknęła Robi i ruszyła w stronę wyjścia.

Wyszli na zewnątrz. Franek krążył po okolicy, a kiedy zobaczył agentów, zawisnął pół metra nad ziemią. Podbiegli do niego i wskoczyli na pokład. Śmigłowiec wzniósł się i poleciał w stronę Wrocławia.

– Znajdź mi coś o Kazalnicy – mruknęła Robi, podając laptopa Alanowi.

– Której? – zapytał.

– Jak to: której?! – zdziwił się Net.

– No jest kilka.

– Jakaś, gdzie można coś ukryć lub tam przebywać? – zapytała Robi, obserwując przez okno przesuające się pod nimi pola.

– Kazalnica na Ciemniaku. Nie wypali. Kazalnica Mięgoszowiecka? Skalna ściana. Zaraz! Chyba mam! Dolina Kościeliska, Kazalnica pod Stołami.

– Wiem, gdzie to! – zawołała uradowana Robi. – Tam jest jaskinia!

– Lećmy tam! – ucieszył się Net.

– Paliwa starczy nam tylko do Wrocławia – odezwał się Gryzoń, stukając we wskaźnik.

Rozdział dziesiąty Przygoda z górnej półki

Kiedy dotarli do Wrocławia i w końcu usiedli w salonie, zaczęli myśleć nad słowami z kartki. Musieli rozgryźć, o co chodziło Delikowi.

– „Zabawa nadal trwa” – przeczytał Alan. – Chodzi o to, że my ich ścigamy, a oni nas próbują wkurzyć, tak?

– Chyba tak. „Zabójcza dla was gra”... Chcą nas zabić. No, dużo się nie dowiedzieliśmy.

– Wiem już jedno na pewno – wtrącił się Franek, odkładając laptopa. – Chodzi o tę jaskinię, o której mówiliście w czasie lotu. Widnieje ona w aktach policji jako kryjówka...

– Franko, jesteś wielki! – zawołała Robi i rzuciła mu się na szyję.

– No to jutro lecimy w góry – zdecydował Marek. – Musimy to jakoś zaplanować.

– Ja kiedyś trenowałam wspinaczkę. Pójdę tam, a wy poczekacie na dole.

– Nie ma mowy, Robi! Sama tam nie pójdziesz. Zrobimy tak. Ja i ty idziemy, Alan i Franek – asekurujecie nas! Net... co by tu...

– To ja zostanę! Mam lęk wysokości!

– Jak latasz śmigłowcem, to nic ci nie jest – mruknęła Robi.

– Bo to taki lęk połączony z lękiem przestrzeni.

– Dobra, odstawimy cię do bazy i posiedzisz z agentami. Może tak być? – zapytał poirytowany Marek.

– Cały dzień w waszej bazie?! – krzyknął podekscytowany chłopak. – O, tak!

– No. To wszystkim mój plan pasuje, tak?

– Wiesz – zaczął lekko rozbawiony Franek. – Postęp techniczny następuje szybko, ale jeszcze samosterujących śmigłowców nie wynaleźli chyba. Nie mogą asekurować, latając jednocześnie. Wylądować w okolicy nie możemy, a uzbrojonych agentów każdy zauważy, jeśli będą spacerować po górach. Teoretycznie nawet nie powinniśmy tam wlatywać, bo to park narodowy, no i sami rozumiecie.

Wszyscy słuchali Franka z dziwnym wyrazem twarzy, który zmieniał się z każdym zdaniem.

– Zdamy wlecieć i wylecieć, zanim nas wywalą? – zapytała Robi.

– To jest najmniejszy problem, bo w razie konieczności dyrektor nas przecież usprawiedliwi – stwierdził spokojnie Marek i rozejrzał się dookoła. – Okej, to zmieniamy plan. Będzie szybciej nawet. Zjazd na linie ze śmigłowca do jaskini i po krzyku. Potem, Franek, zostajesz w pobliżu, ale lecisz, jak najwyżej się da, żeby jak najmniej rzucać się w oczy. My załatwiamy co trzeba i wracamy. Plan jest jasny?

– Tak jest – odpowiedzieli wszyscy chórem i przybili piątkę.

* * *

Następnego dnia wstali o świcie i jak najszybciej udali się do bazy. Poinformowali dyrektora o swoim planie, a Franek w tym czasie poszedł po „Fregatę” PAS-u.

– Bak pełny, możecie śmiało latać – powiedział wesoło technik, wyciągając śmigłowiec z hangaru.

– Dzięki, stary – mruknął Franek, siadając za sterami.

Poleciał w stronę bazy i wylądował na środku łąki w oczekiwaniu na swoją ekipę.

Był to ciepły i słoneczny dzień. Gryzoń uśmiechnął się na samą myśl o długim locie w taką piękną pogodę. Co prawda jego lotniczą miłością były samoloty bojowe, jednak śmigłowce też miały w sobie coś, co sprawiało, że czuł się wolny i szczęśliwy.

Po chwili jego oczom ukazała się reszta teamu. Robi szła obok Marka. Gorączkowo omawiali scenariusz akcji, a za nimi truchtał Alan, ciągnąc za sobą mnóstwo sprzętu, kabli i laptopa.

– Człowieku, ile ton tego złomu zabrałeś? – zaśmiał się Franek, kiedy wsiadali na pokład.

– Śmigłowiec mi się od ziemi nie oderwie z takim obciążeniem.

– Przepraszam! To wszystko jest bardzo potrzebne! – pisnął przerażony Alan, ale gdy zorientował się, że pilot robi sobie z niego żarty, zaśmiał się krótko i wymamrotał: – No bardzo śmieszne...

– Dobra, ekipa gotowa? – zapytał pilot, zwiększając moc silnika.

– Tak jest!

– Lecimy!

Śmigłowiec bez problemu wzbił się w powietrze. Alan, który mimo wszystko z lekkim stresem obserwował, czy uda się oderwać od ziemi mimo ciężaru jego sprzętu, teraz w duchu odetchnął z ulgą.

Lecieli wysoko nad polami. Robi siedziała obok Franka i z błyszczącymi z radości oczami wpatrywała się w każdy jego ruch. Uwielbiała latać, ale jeszcze bardziej chciała być pilotem. Alan i Marek siedzący z tyłu pochłonięci byli laptopem i resztą sprzętu. Nim się obejrzel, byli już w okolicy Tatrzańskiego Parku Narodowego.

– Jesteśmy przed granicą parku. Wszyscy gotowi? Im szybciej stąd wylecimy, tym lepiej dla wszystkich. Jasne? – zapytał Franek, stając w zawisie.

– Jasne jak słońko – zaśmiał się Marek.

Agenci przygotowali linę i otworzyli drzwi. Alan stukał w klawiaturę i naprowadzał Gryzonia na cel. Marek oparł nogi na płozie i czekał w gotowości. Pod nimi przesuwały się skaliste szczyty majestatycznych Tatr. Turyści kłębili się na szlakach, a słońce oświetlało wszystko, dodając miejscu magii. Skały Giewontu lśniły, a po niebie dumnie krążył orzeł.

– Jesteśmy centralnie nad wejściem do jaskini – zameldował pilot, po czym dodał: – Tylko się nie obijcie za dużo!

Po chwili stali już u wejścia, a śmigłowiec pomknął wysoko w górę.

– Robi, gotowa?

– Od urodzenia.

Weszli do środka. Marek zapalił latarkę, której Robi nie potrzebowała ze względu na noktowizyjne szkła kontaktowe. Szli powoli po wilgotnych skałach, rozglądając się dookoła, ale nic prócz kamieni nie widzieli. Co pewien czas buty tonęły im w błocie lub kałużach. W końcu dotarli do prawie okrągłej jamy z licznymi występami skalnymi, które mogły służyć za potencjalną kryjówkę. Tutaj też było pusto. Żadnych śladów, papierów czy nawet jednej łuski.

– Zrobili z nas idiotów – syknął Marek, kopnąwszy jeden z kamyków.

– Spokojnie... Przynajmniej to miejsce mamy wykluczone z potencjalnych lokalizacji

Darka – mruknęła Robi i ukryła w skalnej ścianie mały podsłuch.

Nagle usłyszeli strzał, a kula roztrzaskała skałę kilka centymetrów od nosa Marka. Szybko padł na ziemię i zgasił latarkę. Wczołgał się za wystający głaz. Robi zrobiła to samo po drugiej stronie jamy.

Dzięki noktowizorom agentka mogła przyjrzeć się napastnikowi. Był nim wysoki mężczyzna w średnim wieku. Nie miał latarki, ale mimo wszystko ich widział. Zauważyła, że ma na nosie gogle noktowizyjne.

– To dlatego nas widzisz... – szepnęła prawie bezgłośnie, zastanawiając się, jak go oślepić.

Wtedy przypomniała sobie o latarce. To mogło się udać. Zasłoniła usta ręką i szepnęła do słuchawki.

– Marek, rzuć latarkę.

– Co chcesz zrobić?

– Zobaczysz. Po prostu ją daj.

Agent zrobił to, o co prosiła. Złapała ją szybko i znów schowała się za ścianą. Delikwient oddał kilka strzałów, ale chybił. Włączyła latarkę i świecąc nią napastnikowi prosto w oczy, wyskoczyła z kryjówki.

Podbiegła do niego i ściągnęła mu noktowizor. Pchnęła terrorystę na ścianę, a gogle rzuciła Markowi. Mężczyzna chciał strzelić, ale Robi na czas zareagowała. Złapała go za rękę, w której trzymał broń, i uderzyła nią z całej siły o ścianę. Przyparła go do skał.

– Gdzie ukrywa się reszta?! – syknęła wściekła.

– Zabawa nadal trwa, ta zabójcza dla was gra nie skończy się, do czasu gdy zginiecie. Ażebyście się potopili w tych akwariach!

– Akwariach?! – zdziwiła się Robi i popatrzyła na mężczyznę jak na wariata.

– Nad morzem jest dużo ryb! Żeby was zagryzły! – syknął jej prosto w nos, wyrwał się, złapał broń i uciekł.

Stała chwilę w bezruchu całkowicie zbита z tropu, zastanawiając się, o co mogło chodzić terroryście. Szybko wróciła myślami na ziemię i obejrzała się za siebie. Stał za nią Marek.

– Cała jesteś? – zapytał niepewnie.

– Tak. A ty?

– Ze mną też w porządku. Gorzej, że nie mamy nic nowego.

– Mamy. Akwaria.

– Co? – zdziwił się agent, patrząc na Robi zdezorientowany.

– Wytłumacz to w śmigłowcu. – Włączyła krótkofalówkę. – Gryzoń, złaź z chmur.

– Tak jest! – odpowiedział wesoło pilot.

Agenci ruszyli w stronę wyjścia z jaskini. Nie wiedzieli, ile czasu spędzili w tym miejscu. Przez to, co się działo, stracili poczucie czasu. Kiedy stanęli na zewnątrz, okazało się, że niebo zdążyło zająć szarymi chmurami, a doliny zasnuły gęste mgły.

Po chwili dostrzegli śmigłowiec obniżający lot pionowo tuż przy skalnej ścianie. Nagle zawiął silny wiatr. Podmuch prawie przewrócił agentów, a maszyną zatrzęsł niebezpiecznie. Franek zdołał ustabilizować lot i zawisnął z płozami tuż przy Robi i Marku.

– Wskakujcie! – zawołał. – Ochrona parku zaraz nam łby pourywa!

– Co?! – pisnęła Robi, kiedy Marek pakował się na pokład.

– Nie pytaj! Ruchy!

Kiedy tylko stanęła jedną nogą w środku i złapała się fotela, Gryzoń poderwał śmigłowiec

i szybko odbił w bok. Podążali w stronę granicy Parku. Zaczął padać deszcz. Sceneria była odrobinę przerażająca. Gdzieś w oddali usłyszeli śmigłowiec.

– No nie, nie, nie... Błagam! Sio! – denerwował się Franek, oglądając się cały czas za siebie. – Nie dogonicie nas, nie dogonicie...

– Spokojnie – szepnęła Robi, obserwując „wrogą” maszynę przez lornetkę. – To ratownicy. Nie o nas chodzi. Wyluzuj.

Pilot odetchnął z ulgą, ale dla pewności przyspieszył. Przelecieli nad Siwiańskimi Turniami i po chwili znaleźli się poza granicami parku narodowego. Gryzoń zwolnił trochę i poleciał spokojnie w stronę Wrocławia.

– Robi, to o co chodziło z tymi akwariami? – zapytał Marek.

– Akwaria nad morzem. Żeby nas ryby zagryzły i żebyśmy się potopili.

– O co chodzi? Oni są dziwni – zaśmiał się Franek.

– Pewnie o akwarium w Gdyni. Tam nas chcą zaciągnąć?

– Możliwe, że do Gdyni, ale nie do akwarium. Za dużo świadków i ochrony. Chyba mają na myśli miejsce w mieście. Brzmiałoby to logicznie, gdyby mieli tam kiedyś... – zaczął Marek, ale nie dokończył.

– Mieli. A w sumie to... Mają – odezwał się Alan zza ekranu swojego laptopa.

– Mają? – zdziwiła się Robi.

– Tak. Według policji ta miejscówka bywa odwiedzana i zauważono tam ich obecność. To może być grubsza sprawa, trzeba się przygotować.

– No to lecimy do domu! – zawołał Franek.

Kiedy tylko weszli do domu, Reks rzucił się na nich, wesoło szczekając, po czym pobiegł do miski prosić o jedzenie. Robi podeszła do szafki i wyciągnęła z niej ogromny worek psiej karmy, na co jej pies zareagował wesołym popiskiwaniami i szczekaniem.

– On tak zawsze? – zapytał Alan, kiedy agentka wróciła już do salonu.

– Tylko jak jest bardzo głodny – odpowiedziała, siadając na kanapie obok niego. – To jaki mamy plan?

– Trzeba się zorientować, o jakie miejsce dokładnie im chodzi. Bez tego nie drgniemy w sprawie – stwierdził Marek, rozsiadając się wygodnie w fotelu. – Alan?

– No staram się. Problemem jest to, że mamy tylko dane z policji, a w nich nie ma dokładnej lokalizacji. Stary budynek w fabrycznej dzielnicy pod Gdynią. To nie mówi nam zupełnie nic!

– Mam znajomego z PAS Północ. Jest moim informatorem i swego czasu razem zajmowaliśmy się drobnostkami w temacie Zuo i Delika. On z pewnością wie, o który budynek chodzi. Jestem pewna, że nam pomoże – odezwała się Robi.

– No cudownie – ucieszył się Marek i aż klasnął w dłonie z radości. – Można mu zaufać?

– Oczywiście.

– No to wiemy już, jak odnajdziemy cel. Teraz taktyka i sprzęt.

Zadzwoił telefon. Franek miał najbliżej, więc podbiegł i odebrał. Po chwili stanął jak wryty, a na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie pomieszane z przerażeniem. Pokiwał powoli głową kilka razy, krzywiąc się lekko i śmiejąc na przemian. Później odłożył słuchawkę i popatrzył po zbitych z tropu twarzach teamu.

– Zaraz wracam – wymamrotał, wskazując drzwi wyjściowe palcem i wycofując się powoli.

– Co się stało?! – zapytał zdenerwowany Marek, myśląc, że stało się coś strasznego lub co gorsza komuś grozi niebezpieczeństwo.

– Zapomnieliśmy odebrać Neta i agenci mają go dość. Polecę po niego, a wy planujcie dalej.

Pokiwali głowami, a on wybiegł z domu. Po chwili osłupienia wrócili do swoich spraw.

– Nie wiem, ile ta zabawa jeszcze potrwa, ale wiem, że będzie coraz trudniej. Mam wrażenie, że będą nas ciągać po całej Polsce, a to może nie być dobre dla nas – mruknęła smutno Robi, wpatrując się w podłogę.

– Chcą nas zabić? – zapytał Alan lekko przerażony, choć dobrze wiedział, jak wygląda sytuacja.

– Nie inaczej – szepnął Marek. – Chcą doprowadzić swoją rymowankę do końca. Zaczynam mieć wrażenie, że będą nas wykruszać jednego po drugim.

Alan głośno przełknął ślinę. Jak na agenta, był bardzo młody i mimo świetnego wykształcenia miał jeszcze pewne odruchy niepożądane. Robi popatrzyła na niego, nie wyrażając żadnych emocji poza odrobiną zrozumienia. Marek odchrząknął nieznacznie i spojrzał na agentkę.

– Nie wiem, czy to nie odpowiedni czas, byś opuściła drużynę.

– Co?! – krzyknęła kompletnie oszołomiona dziewczyna, wstając natychmiast jak oparzona. – Nie mogę! Wicie, że muszę działać.

– Wiesz, że na ciebie polują najbardziej. Zależy im na dobieciu cię psychicznie, a potem, gdy będziesz już osłabiona, zgnojeniu do reszty.

– Nie udaje im się to od sześciu lat, a okazji mieli mnóstwo. Nie widzę więc sensu w twoich obawach – mruknęła, opadając na kanapę z założonymi rękoma.

– Porwali Darka. Czy nie rozbiło cię to trochę?

– Nie.

– Robi, nie jesteś ze stali. Masz uczucia i nie jesteś niezniszczalna. Dotrze to w końcu do ciebie?

– Wiem. Ale co z tego? Po to zostaje się agentem. Żeby działać.

Odwróciła wzrok i wstała. Szybkim krokiem podeszła do okna. Padał deszcz. Strugi wody spływały po szybie. Wszystko było ponure i szare. Ciemne, grube chmury nie podnosiły jakoś na duchu. Na łące ogromne kałuże połączyły się już w jeden ocean wody, a każdy przejeżdżający przez odległą ulicę samochód tworzył ogromne fale zalewające chodniki. Mało optymistyczna sceneria świetnie oddawała stan ducha młodej agentki.

Już od sześciu lat nie była do końca sobą. Wbrew własnym zasadom poprzysięgła zemstę Delikowi za krzywdy, jakie jej wyrządził. Od tego czasu stała się bardziej ponura i podejrzliwa, pograżając się w dręczącej ją rozpacz i nieuzasadnionym poczuciu winy. Nie mogła teraz po prostu odpuścić, kiedy życiu Darka coś grozi, a powodem tego jest poniekąd ona sama.

Odwróciła się na pięcie i pewnie ruszyła w stronę stołu, przy którym siedział Marek i Alan. Wyciągnęła palec wskazujący do góry, jakby chciała im pogrozić, i otworzyła usta. Nic jednak nie zdążyła powiedzieć, gdyż w tej chwili do domu weszli przemoczeni do suchej nitki Franek i Net.

Na twarzy chłopaka malowało się nieopisane szczęście. Jego oczy błyszczały radośnie, a uśmiech był aż nienaturalnie szeroki. Z kolei pilot był lekko poirytowany. Dmuchnął z całej siły na ociekającą od deszczu i przylizaną grzywkę, ale ona, zamiast ułożyć się na bok, opadła

mu znów na czoło, zalewając oczy wodą, co tylko pogorszyło jego humor.

– Weźcie go – wycedził przez zęby. – Nie znam większego gaduły! Non stop nawija o swoim idealnym dniu!

– Bo to był najlepszy dzień mojego życia! – zawołał Net, podskakując z radości

Marek i Alan zachichotali, a Robi przewróciła oczami. Przyszli w złym momencie... Prychnęła cicho i poszła do kuchni.

– Co jej się stało? – zapytał Gryzoń, siadając obok swojego przyjaciela informatyka.

– Robi po prostu jest dzisiaj jak... Robi – mruknął Marek i zrezygnowany ukrył twarz w dłoniach. – Już nie wiem, jak mam ją chronić. Tak się rwie do akcji, że kiedyś nie uda się już jej zatrzymać.

– Może czas przestać ją tak chronić? – szepnął Franek, za co został zmierzony wzrokiem przez Alana i Marka.

– Dlaczego Robi taka jest? – zapytał nieśmiało Net, stając za fotelem. – Dlaczego taka wybuchowa, poważna...

– Długa historia i nie nam trzeba o niej mówić. Wściekłaby się. Mogę jednak powiedzieć, że musisz ją zrozumieć. Macie trochę wspólnego. Są w życiu takie sytuacje, które potrafią zmienić człowieka. Ukryć jego prawdziwe „ja” gdzieś głęboko pod maską. Od lat staramy się przywrócić ją do poprzedniego charakteru, ale to nie takie łatwe – opowiedział cichym i smutnym głosem Marek, obserwując uważnie drzwi do kuchni.

– Nie rozumiem.

– Zrozumiesz. Kiedyś. Może sama Robi kiedyś dopuści cię do tego. Kto wie.

– Bo wiesz, ona... – zaczął Alan, ale w tej chwili dziewczyna weszła do salonu, więc szybko zamilkł.

Usiadła na fotelu, za którym stał Net, i postawiła na stole kubek z herbatą. Popatrzyła na wszystkich podejrzliwie, jakby czuła, że chwilę temu była tematem ich rozmowy.

– Jutro lecimy do Gdańska. Sprzęt podstawowy, magazynki zapasowe, śmigłowiec i krótkofalówki. To ma być gotowe. Zarys planu działania mamy – mruknęła bez emocji. – A tymczasem czas spać.

Wstała, zabrała kubek i ruszyła ospale w stronę schodów. Marek pobiegł za nią i zatrzymał ją, łapiąc za rękaw. Popatrzył na nią zaniepokojony, potem rzucił szybkie spojrzenie na resztę zespołu, a oni pokiwali głowami. Znów popatrzył jej prosto w oczy i szepnął prawie bezgłośnie:

– Mam nadzieję, że wiesz, na co się narażasz.

Agentka kiwnęła głową, ale postanowił dalej ciągnąć swoją wypowiedź.

– Tym razem mogą dać lepiej wyszkolonych i bardziej podłych ludzi niż do tej pory. Jeśli coś ci się stanie... Darek mi nie wybaczy i ja sobie też nie.

– Wyluzuj. Będzie dobrze. A teraz idę spać – mruknęła i odeszła.

Rozdział jedenasty Damon, Descante i spore kłopoty

Następnego dnia, z samego rana, agenci byli już na pokładzie śmigłowca. Franek poderwał maszynę do góry, a kiedy to zrobił, Net, tym razem lecący z nimi, wybuchnął pełnią radości. Cieszył go każdy obrót wirnika, każdy szmer i szum. Był zachwycony, że siedzi obok agentów i towarzyszy im w drodze na akcję. To było dla niego ogromne przeżycie.

Robi siedziała jak zwykle na miejscu obok pilota i sprawdzała sprzęt. Kiedy po raz setny upewniła się, że wszystko jest w porządku, odetchnęła z ulgą i zabrała się za obserwowanie nieba.

– Zapowiada się pogodny dzień. Wiatr północno-zachodni, widoczność dobra. Idealnie – oznajmiła po pewnym czasie.

– Nie ukrywam, że twój niezwykły talent meteorologiczny bywa przydatny – zaśmiał się Gryzoń, patrząc z uśmiechem na dziewczynę, która odwdzięczyła się tylko słabym uśmiechkiem.

Lecieli wysoko nad miastami i polami. Net bez przerwy wyglądał za okno i z nosem przyklejonym do szyby podziwiał widoki. Alan wymyślał różne zabezpieczenia, jakie mogą napotkać w czasie akcji, i starał się znaleźć sposób ich rozwiązania. Marek udawał, że to, co mówią Świder oraz Net, jest ciekawe, a w rzeczywistości nudził się okropnie.

– Wiemy chociaż, jak wygląda nasz pierwszy cel? – zapytał znudzony, kiedy już byli blisko wybrzeża.

– Oczywiście – odpowiedziała Robi, obserwując teren przez lornetkę. – Duży, żółty dom z ogromnym ogrodem, oczkiem wodnym i basenem. Szymon to świetny agent, ale i fanatyk ryb. Ma ich pełno i wie o nich wszystko.

– Coś więcej o nim?

– Szymon Descante. Lat siedemnaście. Ojciec to agent w stanie spoczynku, dawny oficer wywiadu wojskowego. Matka księgowa.

– Ciekawie – mruknął Alan, nie odrywając oczu od monitora.

– Prowadź mnie do niego. Wysadzę was jakoś – poprosił Franek.

– Nie trzeba. Ma lądowisko w ogródku. Jego dom już widać. To ten duży czerwony dach, o tam. – Wskazała palcem przed siebie.

– Ożeż... kur... de – wymamrotał pilot na widok domu wskazanego przez Robi.

– Wiem, robi wrażenie. Ląduj, on wie, że przylatujemy.

Kiedy byli kilkanaście metrów nad lądowiskiem, na tarasie pojawił się Szymon. Był to wysoki i szczupły chłopak o nieprzeciętnej urodzie. Ciemne blond włosy zmierzwił mu wiatr produkowany przez śmigła. Jego niebieskie oczy, ukryte za okularami przeciwsłonecznymi, bacznie obserwowały gości lądujących na jego posesji. Ubrany był w krótkie czarne spodnie i zielononiebieską koszulkę z nadrukowaną tropikalną rybą. Na widok Robi siedzącej na przednim fotelu śmigłowca uśmiechnęła się zawadiacko i ruszył w ich stronę żwawym i luzackim krokiem.

Dziewczyna zeskoczyła na ziemię, kiedy maszyna zawisła na moment dwa metry nad ziemią. Podbiegła do chłopaka i przywitała się z nim.

– Kogo moje skromne progi goszczą... Robi, kopa lat! Nic się nie zmieniłaś – zaśmiał się, kiedy podali sobie ręce.

– To nie taki kawał czasu. Widzieliśmy się ostatnio na tej akcji, gdzie goniliśmy Zuo'a przez las. Pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć. Uratowałaś mi wtedy życie.

– Drobiazg. – Podeszła do nich reszta zespołu razem z Netem, więc agentka postanowiła ich przedstawić. – Szymek, poznaj Marka, Alana i Franka. Drużyno, to jest Szymon. To się już znacie. Fajnie.

– Miło mi – powiedział wesoło Szymon, po czym, uśmiechając się przyjaźnie, wskazał ręką wejście do domu. – Zapraszam. Wchodźcie do środka.

Przemierzyli wykładany beżowymi kafelkami taras i przez ogromne szklane drzwi weszli do domu. Znaleźli się w przestronnym i jasnym salonie. Na środku stała duża, jasna, skórzana kanapa, a po jej bokach równie wielkie i pasujące do zestawu dwa fotele. Na lśniącem nowoczesnym segmencie stało mnóstwo trofeów, pucharów i odznak, a na ścianie obok wisiały medale z zawodów sportowych oraz oprawione w piękną ramkę zdjęcie przedstawiające Szymona zaraz po ukończeniu szkolenia PAS-u. W przeciwległą ścianę wbudowane było ogromne, pięknie urządzone akwarium, w którym dumnie i majestatycznie pływały paletki.

– Chcecie coś do jedzenia? Do picia? Mam sok pomidorowy i chrupki kukurydziane o smaku serowym!

Wszyscy popatrzyli na niego nagle jak na dziwaka. Wydał im się nienormalny, ale szybko uznali, że skoro Robi mu ufa, to oni też mogą.

– Nie, dzięki, Szymon. Jak wiesz, jesteśmy tu w innej sprawie. Bardzo ważnej – mruknęła agentka, sadzając chłopaka na fotelu, by udaremnić mu próby zagadania ich i ułatwić mu skupienie się na zadaniu.

– Chodzi o Delika i jego kryjówkę w Gdyni – powiedział powoli i wyraźnie Marek, bacznie obserwując rozmówcę.

– No wiem – ucieszył się Szymek, wesoło wzruszając ramionami i uśmiechając się do gości. – Mam was zaprowadzić do tego ich magazynu. Nie ma problemu. Poczekajcie, przygotuję się tylko.

Wstał i pobiegł na górę. Wszyscy spodziewali się, że po chwili wróci, ale nic z tego. Jak go nie było, tak nie było. Marek zaczął niecierpliwie krążyć po pokoju. Przeczesał wzrokiem żyrandol, poobserwował rybki i co chwilę spoglądał na zegarek. Franek w tym czasie z zachwytem podziwiał trofea, a Alan liczył brylanciki w zegarku wiszącym na ścianie. Zrezygnowana i znudzona Robi opadła na fotel i wpatrywała się w drzewa w ogrodzie, których liście powiewały na lekkim wietrze. Net, umierając z nudów, wyszedł do ogrodu i podziwiał ogromne oczko wodne.

– Wystawił nas! – syknął Marek, podchodząc do nastolatki i nachylając się nad nią – Mówiłaś, że można mu ufać.

– Bo można. Spokojnie, nie wystawił nas. O ile go znam, to karmi swojego bojownika – zaśmiała się pod nosem.

– Ma jeszcze jedno akwarium? – zapytał zaciekawiony Franek, w końcu odrywając wzrok od pucharów.

– Jasne. Ma to tutaj z paletkami – pokazała w stronę ściany – dwa w swoim pokoju,

w jednym bojownika, w tym drugim welonki i jeszcze w sypialni rodziców ma ogromny zbiornik ze skalarami.

Wszyscy popatrzyli na nią jak na majaczącą wariatkę.

– No co?! Mówiłam, że to maniak ryb.

W tej chwili pojawił się Szymon. Stał dumnie w drzwiach i uśmiechnął się szeroko. Ubrany był tak jak Robi i Marek, ale dla odmiany jego strój nie był czarny, lecz granatowy. Taki kolor mają mundury północnego oddziału PAS-u.

– Możemy iść – ogłosił.

– No to wio – mruknęła Robi. – Net! Zostajesz tutaj z rodzicami Szymka! – zawołała w stronę ogrodu.

– Super! Mogę nakarmić rybki? – odpowiedział jej głos z dworu.

Przewróciła oczami i wszyscy udali się w stronę wyjścia. Musieli dotrzeć na miejsce na piechotę, ponieważ śmigłowiec mógłby spłoszyć terrorystów lub ostrzec ich o rychłym ataku, co dałoby im czas na przygotowanie zasadzki.

Szli przez rozległą łąkę otoczoną w oddali lasami iglastymi. Z każdym ich krokiem podnosiły się tumany kurzu i pyłu, a sucha trawa trzeszczała pod butami. Wszystko było suche, nawet liście drzew nie były soczyście zielone, tak jak powinny. Słońce prażyło całą swoją mocą, a na niebie nie było ani jednej chmurki.

Mimo straszliwego upału agenci wytrwale szli przed siebie. Dotarli w końcu do przemysłowej okolicy. Dookoła nich znajdowały się rozmaite stare budynki, które za czasów swojej świetności były magazynami lub fabrykami.

Szymon pociągnął Robi za rękaw i ukryli się za ścianą. Reszta pobiegła za nimi.

– To ten – szepnął chłopak, wskazując jedną z blaszanych ruin stojącą w tyle.

– Żartujesz sobie? – zapytała Robi, patrząc z przerażeniem na budynek.

– Nie. Od środka wygląda o wiele lepiej i bezpieczniej. Wbrew pozorom wcale nie grozi zawaleniem.

– No dobra. Robi, Szymon, idziecie ze mną. Franek, Alan, wy okrążycie teren i sprawdzicie, czy ktoś się gdzieś tutaj czai. W razie pojedynczych osób, które zobaczycie na radarze... zlikwidować, jeśli potwierdzicie, że to wróg – zarządził Marek.

– Tak jest! – zawołała Robi razem z Szymonem.

– Się robi! – odezwali się razem Franek i Alan, wyciągając swój sprzęt i broń.

– Do roboty.

Rozdzielili się na dwie grupy i teraz oficjalnie rozpoczęła się akcja. Trójka agentów zakradła się na palcach do wskazanego przez Szymona miejsca. Z bliska budynek wyglądał jeszcze gorzej. Ściany wykonane były z ogromnych, przeżartych rdzą blaszanych płyt. Wiele szyb w oknach było powybijanych, a złom rozrzucony dookoła stanowił trudny do przebycia labirynt. Widok był przerażający sam w sobie, więc można by rzec, że wchodzi się tam na własną odpowiedzialność.

– Robi, przecinaj łańcuch – szepnął Marek, kiedy znaleźli się tuż pod drzwiami.

– Robi się!

Wyciągnęła swój czerwony długopis z laserem i przecięła jeden ze stalowych pierścieni w kilka sekund. Szymon z całej siły kopnął w drzwi, które otworzyły się z hukiem. Wszyscy natychmiast podnieśli broń i przeszli przez próg.

Marek ruszył jako pierwszy, a Robi z Szymkiem szli tuż za nim, osłaniając tyły i boki. Poruszali się niemal bezszelestnie i bardzo uważnie. Przeczesywali wzrokiem każdy kawałek

podłogi i ścian. Magazyn sprawiał wrażenie pustego. Gdzieś tam stały tylko sterty kartonów i kilka ogromnych rolek folii bąbelkowej.

– Nie ma ich – szepnął Descante, rozglądając się podejrzliwie dookoła.

Wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie. Coś poruszyło się pod sufitem na jednym z balkonów, których agenci wcześniej nie zauważyli. Padł strzał, a Robi runęła na ziemię. Dwójka agentów natychmiast odpowiedziała ogniem, strzelając w kierunku miejsca, gdzie przed chwilą stał strzelec. Teraz jednak stracili go z oczu.

– Nic ci nie jest?! – pisnął lekko zdezorientowany Szymon, pomagając Robi wstać.

– Nie. Trafił w kamizelkę – mruknęła cicho, po czym syknęła, patrząc na agentów: – Jak mogliśmy przegapić taką sprawę!

– Jest tylko jeden? – zapytał Marek, cały czas mierząc w górę we wszystkie balkony i przejścia po kolei, wypatrując wrogów.

Znów strzał. Tym razem chybiony. Terrorystów nie było widać, strzelali z ukrycia i dzięki temu mieli przewagę. Trójka agentów ustawiła się w kółko, tyłem do siebie, osłaniając się nawzajem.

– Długo się tak nie obronimy. Mają nas jak na talerzu. Trzeba się rozdzielić i ukryć. Dopóki stoimy tu na środku, nie jesteśmy bezpieczni – stwierdził Marek.

– Lepiej zostaniemy razem. Przynajmniej wzajemnie kryjemy sobie tyłki. Tak będziemy zdani na siebie i nas wybiją pojedynczo. Kiedyś w końcu muszą zdradzić swoją pozycję – mruknął Szymon, a Robi kiwnęła potakująco głową.

Nic się nie działo. Zapadła głucha cisza, zwiastująca rychły rozlew krwi. W powietrzu unosił się pył, a wszystkich ogarnęła niepewność. Robi, cały czas trzymając broń w górze, przygotowała swoją bransoletkę, by móc uspić terrorystów, nim wydarzy się coś strasznego.

Ni stąd, ni zowąd padł strzał. Oczywiście znów starali się trafić jedyną dziewczynę w tym towarzystwie. Na szczęście chybili o kilka centymetrów, niestety na tym strzale się nie skończyło. Rozpętało się piekło. Agenci byli pod ostrzałem. Odpowiedzieli ogniem. Szymon i Marek ranili kilku terrorystów, ale obyło się bez ofiar. Robi kilku uspiła. Wszystko ucichło równie nagle, jak się zaczęło.

Spokój nie trwał jednak długo. Chwilę później nastąpił kolejny atak, ale był nieco inny od poprzednich. Delikwcom zaczynało brakować amunicji. Byli przygotowani na prostą egzekucję kilku agentów, a nie na długą wymianę ognia. Zbiegli więc na dół i spróbowali wygrać w walce wręcz. Wykorzystali chwilową niemoc członków PAS-u, którzy musieli zmienić magazynki. Pojawili się obok nich i zaatakowali.

Jeden z nich staranował Marka w pełnym biegu i powalił na ziemię. Agent zdołał strzelić mu w rękę, ale to nie zniechęciło napastnika. Zawołał dwóch swoich kompanów i zaczęli raz po raz atakować swoją ofiarę pięściami. Dwójka najmłodszych, widząc to, ruszyła Markowi z pomocą, ale nagle znikąd pojawiło się pięciu kolejnych i skutecznie ich powstrzymało.

Troje potężnych i umięśnionych napastników rzuciło się na Robi. Jeden z nich pchnął ją na ścianę i wycelował jej prosto w głowę. Jednym szybkim kopnięciem wytrąciła mu broń z ręki. Wtedy skoczył na nią drugi i zamachnął się mocno, chcąc uderzyć ją pięścią w nos, ale w ostatniej chwili udało jej się zrobić unik i zamiast niej oberwała ściana. Trzeci był wściekły, że nastolatka jeszcze żyje. Zawył złowrogo, złapał za broń, zamachnął się z całej siły i uderzył ją lufą w głowę.

Upadła na ziemię, a pierwszy z terrorystów kopnął ją w brzuch. Zwinęła się z bólu, ale dzielnie zacisnęła zęby i wstała. Drugi próbował staranować ją i powalić na ziemię, ale

wystawiła rękę i los chciał, że trafiła go w szyję. Zaczął kaszleć i prychać, nie mogąc złapać oddechu. „Przynajmniej jeden z głowy”, pomyślała Robi.

Kątem oka zerknęła na Marka i Szymona. Też nie mieli łatwej sytuacji... Marek miał rację. Wysłali tutaj tych najlepszych i najsilniejszych. Mieli małe szanse. Mimo wszystko, jak na agentów PAS-u przystało, bronili się zawzięcie i ani myśleli odpuścić.

Po dość długiej i wyczerpującej walce obolała już Robi traciła siły do obrony. Dwóch mężczyzn złapało ją tak, że nie mogła ich kopnąć, uderzyć ani uspić. Nie mogła się nawet ruszyć. Powalili ją na twardą, betonową ziemię. Wyrwała się z całych sił, ale nic to nie dawało. Trzeci z nich podszedł bliżej i stanął nad nią. Do gry dołączyła broń. Wycelował pistolet prosto między oczy nastolatki, naładował, odbezpieczył i położył palec na spust.

– Jakies ostatnie życzenie, królowno? – zapytał ironicznie, złośliwie mrużąc oczy.

– Owszem – odpowiedziała, nadrabiając miną.

Marek i Szymon ledwo dawali sobie radę ze swoimi „problemami”. Nie mieli jak jej w tej chwili pomóc. Musiała trochę swoje ostatnie chwile przedłużyć.

– Rozumiem. Chcesz kulę między oczy, w skroń czy może masz inne pomysły? – zapytał, a dwóch jego kolegów zaśmiało się cicho.

– Inny. Wypuście mnie – zaproponowała jak gdyby nigdy nic.

– Żartujesz?! – syknął terrorysta i przyłożył jej lufę do policzka, a potem wrócił do swojej dawnej pozycji, przeczesał palcami nażelowane, kruczoczarne włosy i westchnął.

– To mało honorowe zabić leżącą na ziemi bezbronną nastolatkę. Większą satysfakcję miałbyś, jeślibyś mnie zastrzelił, a ja miałabym jak się bronić.

– Możliwe.

– Wtedy to byłby sukces. Ale tak? Każdy idiota trafi w nieruchomy cel. – Przeciągała najdłużej, jak tylko mogła.

Delikowiec stał nad nią i nie strzelał. Nie byli tacy dobrzy, jak wcześniej myślała. Prawdziwy mistrz nie negocjowałby tyle czasu z ofiarą, tylko po prostu by ją zabił zgodnie z rozkazem lub co najmniej przestrzelił jej kolano, by zdobyć przewagę i ją uciszyć. A ten? Nic. Stał i rozmawiał. To, biorąc pod uwagę beznadziejność sytuacji, był pożądanym efektem.

– Po co mi to wszystko mówisz? – burknął poirytowany terrorysta.

– Żebyś mnie nie zabijał, geniuszu. To aż takie skomplikowane do skumania? – zapytała Robi z lekkim uśmiechem.

Gdzieś na prawo od niej Szymon został właśnie przyduszony do ziemi. Marek zniknął jej z oczu jakiś czas temu. Sytuacja się nie zmieniła, więc nadal musiała przeciągać w czasie egzekucję. Rozejrzała się szybko dookoła. Nie zauważyła nic, co mogłoby jej pomóc.

– Robisz ze mnie kretyna?! – ryknął rozwścieczony Delikowiec.

Trochę ją ta rozmowa już nudziła. Nie ma nic gorszego niż tępy rozmówca, prawda? Nie miała jednak żadnego wyboru, bo przecież ten dialog utrzymywał ją przy życiu! Westchnęła cicho i po chwili ciszy, przerywanej tylko odgłosami walk pozostałych, wróciła do rozmowy.

– Nie, coś ty! Gdzież bym śmiała?

– Nie wypuszczę cię! W dupie mam to, czy będę miał satysfakcję, czy nie. Masz być martwa, to będziesz – burknął, a jego głos zabrzmiał wyjątkowo przygłupio.

Ustawił się wygodnie i stabilnie, a potem znów wycelował agentce prosto między oczy. „Nie, nie, nie, nie, nie, nie...”, powtarzała w myślach, licząc na to, że jakimś cudem uda jej się przeżyć. Mocno zacisnęła powieki i zęby.

Padł strzał i wszystko ucichło. Dosłownie wszystko. Nikt już nie walczył, nikt nic nie

mówił. Ciężkie cielsko osiłkowatego terrorysty runęło na biedną agentkę, przygniatając ją do betonowej ziemi. Ucisk na jej rękach i nogach zniknął. Spróbowała wziąć głęboki oddech, co nie wyszło jej za dobrze z powodu ciężaru miażdżącego jej klatkę piersiową. Zamrugła oczami. Żyła! Jakimś cudem pozostała wśród żywych. Zrzuciła z siebie Delikowca i popatrzyła do przodu.

Stał przed nią Szymon Descante, trzymając broń w górze i celując w miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu znajdował się kark napastnika. Chłopak stał w bezruchu, oddychając ciężko, bo nie do końca wierzył w to, że zdążył na czas. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że Robi jest cała i zdrowa.

Podszedł do niej i pomógł jej wstać. Wpadli sobie w objęcia, mając gdzieś, że terroryści nadal mogą mieć ich na muszce. Marek osłaniał ich, krążąc po magazynie, ale tak naprawdę przeciwnicy stali jak wmurowani i nic złego im nie robili. Ciekawa sytuacja.

– Zatkąło kakao? – zapytał Szymon, patrząc ze zdziwieniem na tę scenę. – Lepiej z nami nie zadzierać! – zawołał i strzelił w sufit.

Z nowo powstałej dziury posypały się drobne odłamki metalu i tynku oraz tony kurzu i pyłu. Wróg nie miał już amunicji, a agenci owszem. Mimo iż terroryści nie należeli do wyjątkowo bystrych, brak szans na wygraną pojęli dość szybko. Zaczęli się wycofywać, mierząc do swoich celów z pustych pistoletów. Kiedy byli w drzwiach, jeden z nich odwrócił się i nagle strzelił. Skąd miał nabój? Tego nie wie nikt.

Kiedy terrorysta naciskał na spust, Szymon to zauważył. Zaledwie w ułamku sekundy zdążył podciąć Robi nogi, przewracając ją na ziemię razem ze sobą, i krzyknąć:

– Padnij!

Zaraz po wystrzale usłyszeli ciche jęknięcie i ktoś upadł na podłogę. Wszyscy członkowie Delika „odważnie” dali nogę.

– Marek! – krzyknęła Robi na widok agenta kulącego się na ziemi i trzymającego się za udo.

– Cholera – syknął Szymon, kiedy biegli w jego stronę.

Ręce i prawie całe udo miał we krwi. Nie wyglądało to dobrze. Młodzi agenci szybko skojarzyli fakty. W trójkę stali w jednej linii w chwili strzału. Skoro pocisk ominął Robi i Szymona, musiał trafić w Marka.

– Kula zahaczyła o tętnicę – szepnęła, ściągając bluzę, i podał ją agentowi. – Uciskaj mocno.

– Franek! Zasuway po śmigłowiec! – krzyknęła Robi do krótkofalówki.

– Przecież nim leczę. Co się stało?

– Ranny agent. Gazu.

– Tak jest!

Zupełnie zapomniała o tym, że po przeszukaniu terenu razem z Alanem Gryzoń miał wrócić do śmigłowca i krążyć po okolicy w pełnej gotowości do ewakuacji z miejsca akcji.

Wszędzie panowała głucha cisza, przerywana tylko ciężkim oddechem Marka. To była naprawdę dziwna akcja. Na oko licząc, terrorystów było piętnastu, a agentów tylko trzech. Mimo wszystko ci dobrzy wygrali. Gdzieś jeszcze unosiła się atmosfera niepewności i obawy, że wróg wróci i zaskoczy ich w najmniej odpowiednim momencie.

Nagle usłyszeli upragniony odgłos śmigłowca. Zbliżał się szybko, co bardzo cieszyło zniecierpliwionych agentów. Pomogli wstać rannemu Markowi i wszyscy wyszli na zewnątrz. Zobaczyli Alana biegnącego w ich kierunku ile sił w nogach.

- Co się stało? – zapytał zbity z tropu.
- To, co widzisz – mruknęła Robi, wypatrując Franka.

Nagle tuż nad głowami śmignął im śmigłowiec i wylądował tuż przed nimi. Pilot uśmiechnął się spod hełmu i machnął ręką, zapraszając ich na pokład. Szymon otworzył drzwi i razem posadzili Marka na siedzeniu obok Gryzonia, bo tam było więcej miejsca i mógł usiąść wygodnie, nie obciążając rannej nogi. Reszta wpakowała się na tyły śmigłowca i wystartowali.

Odstawili rannego do szpitala, gdzie musieli zdać ogólną relację i udowodnić, że nie są przestępcami. Każdy przypadek postrzału jest zgłaszany, więc chcąc uniknąć kontaktu z policją, musieli się częściowo zdemaskować przed lekarzem.

Potem Franek skierował się w stronę domu Szymona i wylądował na lądowisku obok wielkiego oczka wodnego. Net od razu wybiegł im na spotkanie.

- Jak wam poszło?! – zapytał podekscytowany.
- Normalnie – mruknęła Robi, wyskakując na ziemię, a za nią podążył Szymon.
- Gdzie Marek?
- W szpitalu – odpowiedział Descante.

Dwójka agentów ruszyła w stronę domu, a Net biegł za nimi i wypytywał o szczegóły. Na taras wyszła mama Descante'a i pomachała im.

- Dziękuję za przypilnowanie Neta. Nie przeszkadzał za bardzo?
- Nie, słoneczko. Bardzo cieszył się, gdy opowiadałam mu różne rzeczy – zaśmiała się wysoka i szczupła kobieta o długich kasztanowych włosach i pogodnym spojrzeniu.
- To dobrze. Jeszcze raz dziękuję – powiedziała z uśmiechem agentka, po czym zwróciła się do Szymka: – Dzięki za pomoc. Miło było się spotkać raz jeszcze.
- Pozbywasz się mnie? Nie ma mowy! – zaśmiał się chłopak, patrząc pytająco na rodziców, a oni pokiwali głowami. – Lecę z wami do Wrocławia. Nie mogę zostawić przyjaciółki samej w potrzebie.

- Naprawdę? – ucieszyła się Robi.
- Serio. Spakuję się tylko i lecimy!

Postanowienie Szymona bardzo ją ucieszyło. W sytuacji kiedy z drużyny wypadł jedyny pełnoletni agent liniowy, każda para rąk była na wagę złota. Zwłaszcza jeśli chodziło o jedne z najlepszych rąk w agencji.

Kiedy Descante wrócił zwarty i gotowy, wsiedli do śmigłowca i odlecieli w stronę Wrocławia.

Rozdział dwunasty Odsunięci

Dolecieli do Wrocławia, kiedy już było ciemno, bo po drodze musieli uzupełnić paliwo na lotnisku wojskowym. Franek spotkał tam swoich znajomych i oczywiście nieźle się zagadał. Robi w tym czasie zniknęła gdzieś w hangarze i podziwiała stojące w nim F-16. Alan, Net i Szymon, nudząc się okropnie, wspominali swoje dawne misje i przygody.

Teraz powoli zniżali swój lot tuż przy ogrodzie Robi. Po chwili w domach w okolicy zapaliły się światła, a poirytowani mieszkańcy zaczęli wyglądać przez okna. W końcu, co tu kryć, w cichej nocnej scenerii lądowanie śmigłowca jest głośne i przykuwa uwagę, nawet około pół kilometra od najbliższego niewtajemniczonego domostwa.

Kiedy wchodzili do salonu, ich nastroje były bliżej nieokreślone. Cieszyli się, że nikt nie zginął, ale też nie osiągnęli niczego konkretnego. W dodatku Marek był w szpitalu, przez co team został bez dorosłego agenta dowodzącego, a według regulaminu taka grupa nie miała prawa bytu. Musieli coś wymyślić, żeby uratować Darka, a wszystko jak na złość się sypało.

Był jeszcze Szymon. Teoretycznie mógł dołączyć do grupy, ale był o rok za młody, żeby zastąpić Marka. Poza tym pochodził z północnego oddziału i mogły wystąpić komplikacje, gdyż mieszane zespoły były rzadko spotykane.

Siedli przy stole i przez chwilę milczeli, wpatrując się bez celu w podłogę. W końcu Szymon drgnął lekko i podniósł głowę, spojrzawszy na resztę z niepewnością.

– Może powinniśmy iść do waszej bazy i zapytać co dalej? To dość nietypowa sytuacja, co jeśli się nie zgodzi? To może być łamanie regulaminu.

– Zbyt dużo musztry macie tam na Północy, panie starszy chorąży sztabowy – zaśmiała się Robi, a agent popatrzył na nią spode łba.

– Ty się nie śmiejesz z mojego stopnia, bo masz taki sam. Nie moja wina, że nasz dyrektor się nimi przejmuję, a wasz nie – mruknął ponuro.

– O czym wy mówicie? – zapytał Net, zaciekawiony tym, co usłyszał.

– O ukrytym charakterze jednostki wojskowej naszego PAS-u. Kiedyś to zrozumiesz – zaśmiał się Alan. – Wracając do tematu drużyny. Do bazy iść trzeba, by zameldować powód nieobecności naszego Mareczka, czyż nie? Druga sprawa to taka, że trzeba przygotować niezłą gadkę, bo nigdy nie było „dziecięcej” drużyny. Bez obrazy.

– Wiem – mruknęli Szymon i Robi w tym samym momencie.

– Jutro idziemy z samego rana – zarządził Franek jako najstarszy w grupie i wstał.

Uklonił się i pomaszerował na górę, na poddasze, gdzie on i Alan mieli rozłożone łóżka dla gości. Świder ruszył za nim. Chwilę później Robi i Net udali się do pokoju agentki, a Szymon przygotował sobie miejsce na kanapie.

Następnego dnia, przez sen, Robi usłyszała pukanie do drzwi. Leniwie przetarła oczy i spojrzała na zegarek. Była piąta rano. „Szymon zbyt dosłownie rozumie słowa: z samego rana”, pomyślała poirytowana, ale kilka sekund później stwierdziła, że w tej sytuacji im

szybciej działają, tym lepiej.

– Wejść – mruknęła zaspana, a w drzwiach pojawił się Descante gotowy do wyjścia.

Ubrany był w granatową koszulę z odznaką PAS-u na piersi i polską flagą na prawym ramieniu, granatowe, długie spodnie i czarne wojskowe buty. Stał na progu i uśmiechał się wesoło, patrząc, jak Robi powoli zwleka się z łóżka.

– Po kiego grzyba brałeś ze sobą mundur wyjściowy? – zapytała lekko zbita z tropu agentka.

– No trzeba jakoś wyglądać i zrobić dobre wrażenie. Nie lubię cały czas łązić w bojówce. Pospiesz się, Alan zrobił śniadanie.

– Jeśli znowu jajecnicę, to go utłukę. Jego też tak wcześniej obudziłeś?

– No a jak. Zbierz Neta do kupy i idziemy – zaśmiał się, wychodząc z pokoju i zamykając za sobą drzwi.

Robi podeszła na palcach do śpiącego na drugim końcu pokoju chłopaka i rzuciła w niego swoim pluszowym szczurem. Net podskoczył nagle i zaplątał się w kołdrę. Runął na podłogę, starając się za wszelką cenę wyplątać. Agentka ryczała ze śmiechu, podziwiając zawziętą walkę nastolatka z pościelą. Kiedy w końcu zdyszany rzucił swojego „przeciwnika” na podłogę, uspokoiła się i udając, że wcale jej to nie rozśmieszyło, powiedziała:

– Po tak wyczerpującym pojedynku powinieneś zjeść śniadanie.

Net popatrzył na nią speszony i wyszedł pośpiesznie z pokoju. Korzystając z tego, że została sama, założyła swój mundur wyjściowy, który od tego północnego nie różnił się niczym poza faktem, że koszula była ciemnoszara, a spodnie czarne.

Zeszła na śniadanie i z ogromną ulgą stwierdziła, że tym razem jajka ocalały. Na stole stał karton soku i talerz pełny kanapek. Zasiadła przy stole i zaczęła jeść z apetytem.

– Świder, robisz świetne kanapki – mruknęła, przełykając duży kęs, a Alan uśmiechnął się i kiwnął głową w podziękowaniu.

Po śniadaniu Robi i Szymon ruszyli do bazy. Kiedy tylko wyszli do ogrodu, uderzyła ich fala gorąca. Słońce prażyło z całą swoją mocą, a liście drzew nawet nie drgnęły z powodu braku wiatru. Ludzie leniwie przechadzali się po ulicy, robiąc wszystko, by jak najmniej czasu spędzić poza zasięgiem cienia. Wszystkie zwierzęta schowały się w lesie, by uciec przed skwarem i ochłodzić się w przyjemnym, chłodnym powietrzu.

Przebyli wąską ścieżkę między rozłożystymi brzoźami i stanęli pod garażem.

– Jak dotrzemy do bazy? – zapytał Szymon z ciekawością.

– Zobaczysz – zaśmiała się Robi i otworzyła bramę.

Ich oczom ukazały się dwa lśniące quady i cała reszta gratów typowych dla tego rodzaju pomieszczenia. Szymon popatrzył na pojazdy z zachwytem i aż zaniemówił.

– Zatkąło kakao? – zaśmiała się agentka, przedrzeźniając Descante’a.

– To mój tekst! – mruknął zachwycony chłopak, siadając na jednym z quadów.

– Wiem – odpowiedziała wesoło, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Po chwili oboje pędzili już w stronę bazy PAS-u. Wjechali na bardzo wyboisty teren, który jeszcze do niedawna służył agentom za poligon. Szymon zwolnił nagle, a Robi zdziwiona tym faktem zatrzymała się i popatrzyła na niego zdezorientowana.

– Co ty robisz? – zapytała, kiedy dojechał do niej w końcu.

– Jadę uważnie. Nie chcę rozwalić sprzętu.

– Żartujesz?! To wojskowe quady. Nie po takich terenach jeździłam z Darkiem z zawrotnymi prędkościami i jak widać, nic im się nie stało. Gaz do dechy, bo nie chce mi się

tak ślimaczyć w ten upał.

– Skoro tak to... Okej! – zawołał i gwałtownie przyspieszył, a Robi ruszyła za nim.

Jechali obok siebie przez wyboiste łąki i pola. Słońce świeciło im prosto w oczy, a pęd powietrza mierzwił ich wystające spod kasków włosy. Za nimi unosił się pył wysoko wzbijany przez quady. Kiedy wjechali na leśną ścieżkę, cień przyniósł chwilę odpoczynku od skwaru. Pędzili między drzewami, a Szymon co chwilę pytał, ile jeszcze zostało im drogi. W końcu kiedy znaleźli się na skraju pola, ich oczom ukazała się stara szopa. Zostawili w niej swoje pojazdy i dalej ruszyli piechotą przez ogromne suche pole.

– Jak wygląda wasza baza od zewnątrz? – zapytał Szymon, przerywając trwającą od dłuższego czasu ciszę.

– Zaraz zobaczysz. A wasz?

– Bunkier przy porcie marynarki wojennej. Teren ogrodzony drutem kolczastym. Zlewa się z militarną tematyką. Wy macie moim zdaniem trudniej niż my.

– Może, ale dajemy radę.

Doszli do starego, małego i szarego budynku. Dookoła jak zwykle nikogo nie było. Aż po horyzont rozciągały się pola i łąki przypalone słońcem. Szymon rozejrzał się z niedowierzaniem i popatrzył pytająco na Robi.

– To już? – zapytał. – To ta ruina?

– Tak – mruknęła agentka, kładąc rękę na klamce, i po chwili otworzyła przezarte rdzą drzwi. – Witam w siedzibie PAS Południe!

Znajdowali się w małym i ciemnym pomieszczeniu, a przed nimi znajdowały się kolejne żelazne drzwi bez klamki. Robi podeszła do nich i położyła dłoń na samym ich środku. „Zgodność z RD95”, odezwał się głos do złudzenia przypominający ten z poczty głosowej. Drzwi rozsunęły się na boki, otwierając im wejście do małej, jasno oświetlonej windy. Nie było w niej przycisków służących do wyboru piętra. Kiedy drzwi znów się zasunęły, odezwał się ten sam głos: „Podaj numer”.

– Jeden, siedem, pięć, pięć, zero, osiem, cztery, cztery, zero.

„Identyfikacja zakończona. Numer, głos. Zgodność z RD95”. Robi pokiwała głową z ironicznym uznaniem. Taki cyrk z zabezpieczeniami przechodziła za każdym razem, kiedy chciała się dostać do bazy. Właśnie dlatego unikała tego jak tylko mogła.

Winda ruszyła w końcu w dół. Nie do końca można było nazwać to jazdą, gdyż prędkości, jakie osiągała, były tak duże, że spokojnie mogło się to załapać pod kategorię „spadanie”. Wszystkie wnętrzości podeszły młodym agentom do gardła, a gdy w końcu się zatrzymali, spadły znów na swoje miejsca.

– Dyrektor miał rację, mówiąc, że Południowcy to szaleńcy! Kto normalny buduje taką windę w miejscu pracy – zaśmiał się Szymek, zataczając się lekko.

W końcu dotarli do ostatnich już drzwi i kiedy Robi przyłożyła palec wskazujący do skanera linii papilarnych, znaleźli się u celu.

Szymon stanął przy dużym szklanym stole i rozejrzał się dookoła. Pokiwał lekko głową, a potem wzruszył ramionami.

– Szału nie ma, dupy nie urywa – zaśmiał się pod nosem, a zauważywszy morderczy wzrok Robi, pospiesznie dodał: – Znaczący, wiesz, my mamy podobnie. To dlatego tak mówię. Tak ogólnie to mi się podoba.

– Dobra, nie tłumacz się, tylko chodź. Generał czeka – mruknęła agentka, łapiąc go za rękaw i ciągnąc za sobą.

Biegając do gabinetu głównego dowódcy południowego oddziału agentów, wpadli na niego tuż pod jego drzwiami. W ręce trzymał filiżankę z kawą, ale na szczęście przy zderzeniu nic się nie wylało. Rzucił agentom groźne spojrzenie i powoli pokręcił głową. Speszona Robi zaśmiała się niewinnie, kuląc się przeproszająco, a przerażony Szymon natychmiast stanął na baczność.

– Najmocniej przepraszam, panie generale! – pisnął, siląc się na spokojny głos. – To był wypadek.

Dyrektor popatrzył na niego zdziwiony, a jego twarz przybrała łagodniejszy wygląd. Uśmiechnął się lekko do nastolatków.

– Spocznij, chłopcze – powiedział łagodnie. – Ale następnym razem biegajcie trochę mniej kolizyjnie. – Mówiąc to, popatrzył na Robi.

– Przepraszam, to moja wina – szepnęła agentka. – Spieszyłam się. Mówiąc szczerze, właśnie do pana.

– W jakiej sprawie? – zapytał, wchodząc do biura, i zaprosił agentów do środka.

– Jak to: w jakiej? Odbicia Darka – odpowiedziała lekko zdezorientowana Robi.

– Po co? – zapytał szczerze zdumiony generał. – Przecież sprawa jest zawieszona decyzją góry.

– Góry? – zapytał Szymon.

– Głównego dowództwa z Warszawy. Nie moja w tym głowa. Przykro mi. Takie rozkazy.

– Ale... Dlaczego? – zaszlochała Robi, obserwując, jak dyrektor krąży nerwowo za biurkiem.

– Team nie ma dorosłego agenta. Nikt inny nie może przejąć misji. Wszyscy są zajęci.

– Tu chodzi o tatę! – krzyknęła zrozpaczona Robi. – O agenta DR65!

– Nic nie mogę zrobić. Oficjalnie odsuwam cię od działania.

– Nie możemy go zostawić samego! – Robi była już bliska załamania nerwowego.

Szymon bezradnie przyglądał się tej scenie. Bał się za dużo odzywać, bo nie dość, że był tylko nędznym starszym chorążym sztabowym w obliczu generała broni, to jeszcze był tutaj tylko gościem. Nie znał za bardzo zasad panujących tu na południu i nie miał pojęcia, na ile można sobie pozwolić, więc wolał siedzieć cicho i odezwać się dopiero, gdy będzie to konieczne.

– Co z agentami, którzy śledzą Delika? Nie mogą pomóc? Przecież to powiązana sprawa.

– Doprawdy? Wątpię. Delikiem zajmuje się tylko kilku agentów. Dariusz Rossin, Marek Kantago, Szymon Descante i Robi Damon. Paweł jest na misji w Finlandii, Marek leży w szpitalu, a Darek jest nie wiadomo gdzie! Chcecie coś dodać?

– I nikt oprócz nas?!

– Emeryci lub martwi was interesują?

– Ech, nie – mruknęła Robi, wpatrując się smutno w podłogę.

– A ja? Mam ponad siedemnaście lat. Już prawie jestem dorosły.

– Dobrze powiedziane. Prawie. Teraz żegnam. Wracajcie do swoich spraw – syknął generał, wskazując drzwi.

Agenci rzucili mu ostatnie smutne spojrzenie i powoli odeszli w stronę wyjścia. Nie mogli pojąć, że zostali odsunięci od tak ważnej i osobistej sprawy. To był cios poniżej pasa. Teraz Darek był zdany na siebie, bo nikt nie mógł mu pomóc. Na to Robi nie mogła się zgodzić.

Do domu wracali w milczeniu, a kiedy w końcu stanęli w salonie, opowiedzieli reszcie, co się stało.

– I tak to wszystko wygląda. Jesteśmy odsunięci, ale ja tego tak nie zostawię. Uratuję tatę, choćbym miała złamać wszystkie zasady! Nie powstrzyma mnie! – postanowiła na zakończenie swojej opowieści.

– Cokolwiek zrobisz, ja idę z tobą – oznajmił Szymon, obejmując ją ramieniem.

– Ja też! – zawołał ochoczo Net.

– I my! – zawołali razem Alan z Frankiem.

– Naprawdę? Ale... To ryzykowne. Dlaczego chcecie mi pomóc? Przecież... – mruknęła zdziwiona Robi. – Mogą nas za to wywalić.

– I co z tego? Prawdziwy przyjaciel pomaga drugiemu w potrzebie. Nie zostawimy cię – zaśmiał się Szymon, a cała reszta pokiwała potakująco głowami.

– Jesteście cudowni! – zawołała wzruszona Robi.

Stała między nimi i nie mogła przestać się uśmiechać. Całe życie była brana za dziwaczkę, bo różniła się od swoich koleżanek. Nie lubiła przebierać się za księżniczki i zawsze bardziej interesowało ją wojsko niż modelki. Później to wszystko się pogłębiło i nie widziała już świata poza ćwiczeniami, szkoleniami i misjami. Teraz, po tylu latach, w końcu znalazła ekipę, na którą mogła liczyć w najcięższych chwilach. Poczowała nagły przypływ energii i optymizmu. „Kocham tę drużynę. To chyba najlepsi ludzie, jacy mogli mi się trafić!” – pomyślała.

Rozdział trzynasty

Puff

Następnego dnia cała ekipa siedziała przy stole. Jedli śniadanie, ale tak naprawdę była to ogromna burza mózgów. Wszyscy starali się znaleźć sposób na odnalezienie Darka. Franek i Alan jak zwykle przeszukiwali dane w laptopie, a Robi z Szymonem sporządzali listę potrzebnego sprzętu. Kanapki z dżemem stanowiły tylko dodatek zapewniający energię, bo w takich chwilach nikt przecież nie myśli o jedzeniu! Net starał się sprostać wymaganiom Reksa, rzucając mu piłkę jak najmocniej umiał, ale znudzony pies wcale nie uznawał tego za rozrywkę godną psa-agenta. Chodził powoli w tę i z powrotem, przynosząc chłopakowi piłkę.

Po tym jakże tradycyjnie wyglądającym posiłku zabrali się do prawdziwej roboty. W zasadzie Franek, Alan i Szymon robili nadal to samo, ale Robi z Netem udali się na strych z nadzieją, że może jednak uda im się znaleźć coś istotnego.

Wszyscy robili, co tylko mogli, ale nie było widać żadnych postępów. Delik zniknął, jakby po prostu zapadł się pod ziemię. Agenci zgubili trop i nie byli z tego zadowoleni. Utkwili w ślepej uliczce i na razie błądzili po niej jak dzieci we mgle. Działanie bez oficjalnej zgody dowódcy było cięższe, niżby się mogło wydawać. Nie mogli pójść do bazy i zapytać o radę, byli zdani tylko na siebie. W dodatku dostanie się do akt zawieszanej sprawy graniczyło z cudem.

– Robi! – zawołał Alan z kuchni, wyrывая wszystkich z sennego otępienia.

– Co jest? – odezwała się agentka, przekrzykując szelest dokumentów przeglądanych przez Neta.

– Chodź na chwilę.

Odrzuciła tony papierów, które miała na kolanach, i jak najszybciej mogła, zbiegła na dół. Weszła do kuchni, a tam zastała Świdra i Gryzonia siedzących w słuchawkach i przysłuchujących się czemuś. Gdy tylko ją zobaczyli, odsunęli się na bok, a Alan podał jej kolejną parę słuchawek.

– Mam dosyć użerania się z tym cholernym agentem! Wiecznie próbuje nam zwiać! – krzyczał ktoś nerwowo.

Robi popatrzyła na informatyka pytająco, a on pokiwał głową. To mogło oznaczać tylko jedno. Właśnie słuchali rozmowy Delikowców. Cudownie!

– Wyluzuj, stary. Stąd nie ma ucieczki – odezwał się ktoś inny.

– Mam gdzieś, co z nim będzie. W piątek w końcu trafi do naszej zacisznej miejscówki i tam to zakończymy.

– Zabijecie go? No nareszcie. Kto na ten pomysł wpadł?

– Krystian. Poczekamy do północy. Jeśli nie powie tego, co chcemy wiedzieć, to kulka w łeb i po sprawie. Mam dość pilnowania go całą dobę. Za...oń...my... t... w koń...u i po spr...e. To usta...ne. – Coś zaczęło przerywać, a po chwili sygnał całkowicie padł.

Robi wpatrywała się w ekran, stojąc nieruchomo. Właśnie zrobili ogromny postęp w sprawie. Dowiedzieli się, że Darek będzie dokądś przewożony. Jednak nadal nie wiedzieli

dokąd.

– Mamy trzy dni. W piątek musimy być czujni. Musimy teraz ich zlokalizować – stwierdził Alan. – Dziwi mnie tylko, że ich słyszymy. No bo jak to możliwe?!

– Wtedy w magazynie w Gdyni, podczas walki, złapałam jednego za nadgarstek i wsunęłam mu do tej ich członkowskiej opaski nasz mininadajnik z mikrofonem. Zupełnie o nim zapomniałam, bo na początku nie działał – mruknęła Robi. – Zaraz, zaraz! On ma GPS! Może dowiemy się, gdzie jest!

– Nic z tego, próbowaliśmy. Zero danych o lokalizacji. Muszą być pod ziemią, a ten szajs nie ma tak mocnego sygnału. To dlatego ich nie widzimy, tylko czasem coś słyszymy. Mamy trzy dni. Może uda nam się coś jeszcze podsłuchać.

– Okej. To świetnie. Słuchajcie, ja lecę na strych. Może Darek gdzieś coś kiedyś pisał – stwierdziła Robi i pobiegła na górę.

Net siedział wśród stosów papierów, a za jego plecami krążył Reks. Patrząc na minę chłopaka, bez problemu można było wywnioskować, że wręcz zasypia z nudów. Leniwie przewracał kartkę po kartce i ziewał co jakiś czas.

– Masz coś? – zapytała Robi, siadając na swoim miejscu, i ponownie zabrała się do roboty.

– Nie, a ty? Czego chciał Alan?

– Przetransportują tatę do jakiegoś nowego miejsca, a potem o północy prawdopodobnie zabiją. Mamy trzy dni. Odbijemy go w czasie przewozu – mruknęła, odkładając kolejne akta na przeczytaną stertę. – Przynajmniej mam taką nadzieję.

Przez jakiś czas przeszukiwali kolejne kartony i nadal nic nie odkryli. Net kilka razy już otwierał usta, by coś powiedzieć, ale za każdym razem się powstrzymywał. W końcu nie wytrzymał.

– Jak ci idzie? Masz coś? – zapytał, wyglądając zza szafki.

– Nie. Nie mam nic.

Od tej chwili pytał o to samo co kilka sekund. To się robiło nie do zniesienia. W końcu zamilkł na chwilę i zaczął przyglądać się staremu skrawkowi papieru.

– Co to jest? – zapytał, pokazując agentce znad kartonu wycinek gazety.

Dziewczyna od razu zrozumiała, czym jest przedmiot trzymany przez jej przyjaciela, i zeszywniała.

– To, co widzisz. Artykuł o jakiejś katastrofie – mruknęła, udając, że jest jej to zupełnie obojętne.

– Z roku dwa tysiące piątego? Po co ci to? – zaśmiał się Net i zaczął czytać. – „W tragicznym wypadku zginęło młode małżeństwo, a ich dziesięcioletnia córka została wyciągnięta z wraku samochodu przez przypadkowego przechodnia chwilę przed tym, jak dach parkingu całkowicie się zawalił”.

– Zostaw to! – warknęła agentka, wrywając mu kartkę z ręki.

Schowała się za kartonem, rozprostowała papier i rozłożyła go na kolanach. Nagle zniemacka obok pojawił się Net i znów zabrał jej wycinek z gazety.

– Co z tobą? – zapytał. – A, już rozumiem. To była akcja PAS-u, tak? Jedyna wasza porażka, bo nie udało się ocalić tej dwójki, tak? Co ty tak się przejmujesz, nie twoja wina. To było dawno temu. Nic nie mogłaś poradzić, przecież mieliśmy wtedy tylko dziesięć lat... – Na chwilę zawiesił głos, popatrzył jeszcze raz na artykuł, a potem wzruszył ramionami i odłożył kartkę na bok.

Robi zmierzyła go wzrokiem, ale widząc, że odpuścił sobie już ten temat, postanowiła przemilczeć co nieco.

Wrócili do przeszukiwania strychu, ale teraz agentka myślała głównie o tym, by jakoś wygonić stąd Neta, nim będzie za późno. Nie chciała, by wyszperał coś jeszcze.

– To wasza gazeta? – zapytał Net, pokazując jakieś pożółkłe pismo z karabinem snajperskim na okładce.

– Tak, wewnętrzna. Nowinki technologiczne i takie tam.

– Z dwa tysiące piątego! Znowu ta data.

Robi znów podniosła głowę i wystartowała biegiem w stronę Neta. Skoczyła na niego, ale zdążył zrobić unik, a agentka runęła prosto w górę papieru.

– O, była wtedy jakaś masakra.

– Oddawaj! – ryknęła na całe gardło i rzuciła się na chłopaka, zwalając go z nóg.

Polecili w stos kartonów, ale gazeta nadal nie została odzyskana.

– „Przejaw okrucieństwa członków grupy terrorystycznej. Przywódcy Delika oraz jeden z najgroźniejszych snajperów na świecie, Anton Pertowic Jerakov, który przeszedł na ich stronę, zdetonowali bombę w dawnej bazie szkoleniowej PAS-u. Pod gruzami zginęła dwójka naszych najlepszych agentów”.

Robi siedziała bezradnie na ziemi i uderzała głową w karton. Nie było sensu już nic robić. Net i tak by znalazł to ponownie i przeczytał. Nie było na to rady. Pozostało jej tylko czekać, aż skończy czytać.

– „Jakimś cudem przeżyła ich dziesięcioletnia córka, która została wyciągnięta z wraku samochodu w ostatniej chwili przez agenta Darka. Anna i Piotr Damon zawsze pozostaną w naszej pamięci jako jedni z założycieli PAS-u i nasi przyjaciele” – Net skończył i z przerażeniem popatrzył na Robi. – Damon? Ty jesteś Damon... Robi Damon. Dlaczego nie powiedziałaś?

Robi popatrzyła na niego przez łzy ze złością. Nienawidziła go w tej chwili za to, że to przeczytał. Nie wiedziała dlaczego. Podeszła do niego i wyrwała mu pismo z rąk.

– Twój tata to Darek, ale ma na nazwisko Rossin, nie Damon! To o twojej rodzinie są te wszystkie artykuły.

– Brawo, Sherlocku! – syknęła.

– Przywódcy Delika? – zapytał i nagle wszystko zrozumiał. – To dlatego mnie tak nienawidziłaś. Przez nich! Przez moich „rodziców”!

– Dokładnie.

Miała ochotę uciec, ale coś kazało jej zostać. Mimo wszystko była ciekawa, jak zachowa się teraz Net. Wiedziała tylko jedno. Musiała zachować maksimum opanowania, bo gdyby teraz ją czymś wkurzył, byłoby źle.

– Mogłaś mi powiedzieć. Jesteśmy przyjaciółmi – szepnął, stając obok niej, i objął ją ramieniem.

Popatrzyła na niego spode łba. W zasadzie była na niego wściekła, że nie oddał jej tej gazety na czas, ale z drugiej strony nie stało się nic strasznego. Może cieszyła się, że tak wyszło? Sama nie wiedziała. Popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się lekko.

– Co zamierzamy w sprawie Darka?

– Wszystko zależy od tego, jaki środek transportu wybiorą. Tylko jest problem. Mamy dwóch agentów, którzy umieją strzelać i walczyć, i dwóch... takich jakby stacjonarnych. Nie wiem, czy to wystarczy.

– A ja?
– Ty nie jesteś agentem.
– Ale chcę pomóc. Nie da się zrobić skróconego szkolenia?
– Mam cię wyszkolić w trzy dni?! Trening agenta trwa miesiącami, a na dojście do perfekcji potrzeba lat!
– Nie ma rzeczy niemożliwych. Proszę! Chcę pomóc!

Robi popatrzyła na niego niepewnie. Branie na akcję cywila, który dopiero liznął kawałek świata agentów, było ryzykowne. Z drugiej strony każda para rąk była na wagę złota. Po chwili przemyśleń podjęła decyzję.

– Szymon! – wrzasnęła na całe gardło.
W wejściu na strych pojawiła się głowa agenta.
– Wołałaś? – zapytał.
– No a jak ci się zdaje?
– Że wołałaś. Bębenki w uszach mogły popękać. O co chodzi?
– Pomożesz mi go wytrenować? Mamy na to trzy dni. Musi umieć strzelać, bronić się i przeżyć. Może nam się uda, co?
– Żartujesz? – zaśmiał się Szymon, aż ześlizgnął się z drabiny i runął na podłogę.
Po chwili wrócił i tym razem usiadł na jednym z kartonów obok Robi.
– Popatrz na niego. Założę się, że nawet się nie podciągnie na kiju – mruknął nadal rozbawiony chłopak. – Ile bierzesz na klatę?
– Co? – zapytał zbity z tropu Net.
– No widzisz, Robi? On nawet nie wie, o czym ja mówię.
– Spróbujmy!
– No dobra, skoro masz taką wiarę w jego możliwości... To okej.
– Super! – ucieszył się Net.
– Dzięki, Szymek.

Tak więc decyzja zapadła. Net Bore miał awansować z wroga Robi na agenta.

Rozdział czternasty

Witamy w piekle

Robi wstała z samego rana. Skradając się na palcach, podeszła powoli do szafy, starając się nie obudzić Neta śpiącego na drugim końcu pokoju. Ostrożnie wyjęła swój mundur bojowy i wyszła do łazienki. Przebrała się i w drodze powrotnej spotkała Szymona.

– Budzimy go? – zapytał ze złowieszczym uśmiechem.

– No ba.

Pobiegli do pokoju i stanęli tuż nad śpiącym i niczego niepodejrzewającym chłopakiem. Robi chciała go obudzić delikatnie, rzucając w niego jakimś pluszakiem, ale Szymon uparł się na dźwięk metalowych pokrywek. Uderzył nimi o siebie nawzajem tuż nad uchem Neta. Ten zerwał się na równe nogi, zaplątał w kołdrę i runął na materac. W końcu po chwilowej walce z niepokorną pościelą stanął przed agentami.

– Net Bore, baczność! – krzyknął Descante.

– Po co? – zapytał zaspany Net, leniwie przecierając oczy.

– Bo tak wypada stanąć, jeśli jest się nędznym kadetem w obliczu dwójki chorążych! – wycodził przez zęby Szymon, a Net natychmiast stanął w odpowiedniej pozycji. – Ubierać się! To rozkaz! Za pięć minut widzimy cię gotowego w ogrodzie!

Dwójka agentów wyszła na zewnątrz. Był kolejny słoneczny i upalny dzień. Dość ciężkie warunki jak na szkolenie zupełnego laika. Przy takim skwarze nie można było spodziewać się świetnych osiągnięć kondycyjnych po kimś, kto nigdy nie był szkolony. Siedli na suchej trawie i czekali.

– Nie za duże tempo mu narzuciliśmy? – zapytała w końcu Robi.

– E, tam. Chciał być agentem, to ma. Nie zamierzam dawać mu taryfy ulgowej. Przeszkolimy go tak, jak nas szkolono.

– Szymon, nie zapominaj, że mamy mało czasu. Uczymy go podstaw. Pamiętaj o tym.

– Spoko Orinoko. Ale zbyt łagodni też nie możemy być – szepnął i rozejrzał się dookoła.

Popatrzył poirytowany na drzwi, potem na okno pokoju Robi, przewrócił oczami i spojrzał kątem oka na zegarek. Westchnął głęboko, a Robi mimowolnie zachichotała.

– Noż kurde, ile się można szykować?! – krzyknął, patrząc błagalnie w górę. – Mówiłem wyraźnie, że ma pięć minut. On wie, co to znaczy?

Wtedy w drzwiach pojawił się zdyszany Net. Był potargany i jeszcze trochę zaspany. Popatrzył nieprzytomnie na dwójkę agentów i powoli poczłapał w ich kierunku. Przeciągnął się leniwie i usiadł na trawie obok Robi. Oparł się o drzewo i zamknął oczy. Agenci popatrzyli na siebie lekko zdziwieni i rozbawieni zarazem.

– Ktoś ci pozwolił usiąść? – zapytała Robi, wpatrując się w ścianę naprzeciwko.

– A muszę mieć pozwolenie?

– Do piątku jesteś na szkoleniu. To nie jest pokaz naszych zdolności. Masz przed sobą dwóch podoficerów i jako kandydat musisz ich słuchać – mruknął Szymon, wstając razem z Robi. – Jasne?

– Tak jest – wymamrotał speszony Net.

– To rusz tyłek i jazda za nami, ale już! – wrzasnął agent i oboje ruszyli w stronę lasu, a chłopak posłusznie potruchtał za nimi.

Dom Robi znajdował się dokładnie pośrodku między lasem i resztą domostw. Rzadko kiedy ktokolwiek pojawiał się w tych okolicach, ponieważ krążąca pogłoska (nie przez przypadek mocno wyolbrzymiona i nagłośniona przez agentów) o krwiożerczych dzikach grasujących na tym terenie skutecznie odstraszała wszystkich, którzy mieli trochę oleju w głowie. Dzikie faktycznie tam były, ale najwyżej trzy i mało kiedy było je widać.

Szli w trójkę przez zarośnięte chwastami pole, przypominające bardziej dziką łąkę. Były to tereny należące do PAS-u, choć nikt poza agentami i rządem o tym nie wiedział.

Wśród drzew, w samym sercu lasu znajdowała się ogromna, niemalże kwadratowa polana. Porośnięta przez gęstą, wysoką trawę i polne kwiaty, wyglądała na urocze miejsce. Idealne na piknik, zabawę w podchody lub... trenowanie agentów. Kiedy powstał PAS, miejsce to zostało delikatnie przystosowane do swojego zadania. Na południowym skraju łąki ukryty był podziemny bunkier, w którym w razie pojawienia się intruza agenci mogli ukryć się razem z całym swoim tajnym sprzętem. O przybyciu nieproszonego gościa informowały czujniki rozmieszczone na drzewach na skraju lasu.

– A jesteśmy tutaj, ponieważ?... – zapytał mocno zdziwiony Net, rozglądając się dookoła po polanie.

– To świetne miejsce szkoleniowe – odpowiedziała Robi i uśmiechnęła się złowrogo. – Okrążenie dookoła. Tak na rozgrzewkę.

– Ile to ma?! – pisnął przerażony Net.

– Polana to kwadrat o boku długości kilometra. Oblicz sobie, ile masz przebiec – mruknięła agentka, a Szymon ryknął śmiechem.

– To może ja już zadzwonię po pogotowie... Przecież to chuchro wyzionie ducha po jednej długości! – wydusił z siebie w przerwie między napadami śmiechu.

– Dam radę! Jeszcze zobaczysz! Umiem szybko biegać! – zawołał Net i wystartował najszybciej, jak mógł.

Descante pokręcił głową z politowaniem i przewrócił oczami.

– Nie z takim dopalaczem, bo zgubisz płuca na pięciuset metrach! Zwolnij! – zawołał.

Oczywiście miał rację, z tą różnicą, że chłopak dostał przerażającej zadyszki już na dwusetnym. Robi zachichotała, patrząc na bliskiego załamania nerwowego Szymona.

Kiedy uznali, że czekanie, aż ich uczeń przebiegnie cały dystans, jest stratą czasu, postanowili rozstawić odpowiednie tarcze strzelnicze. Zajęło im to chwilę i gdy już skończyli, Net był w połowie drogi.

– Może lepiej by było puścić za nim rozwścieczonego Reksa? Miałby motywację – mruknął poirytowany Descante, obserwując chłopaka przez lornetkę.

– Reks jest zbyt łagodny. Może mu pokażemy, jak to się robi?

Szymon uśmiechnął się szeroko i pokiwał ochoczo głową. Odchrząknął głośno i wydarł się na całe gardło, przywołując Neta.

– Nie umiesz biegać – stwierdził, nie owijając w bawełnę, kiedy zdyszany chłopak stanął przed nimi.

– A co ja niby robiłem?

– No na moje oko to próbowałeś się zabić – zaśmiała się Robi.

– W czasie akcji nie możesz dostać zadyszki. Wyobrażasz sobie oddanie celnego strzału,

kiedy cały aż trzęsiesz się ze zmęczenia?

– Nie – mruknął speszony Net, wpatrując się w czubki swoich zakurzonych tenisówek.

– I dlatego trzeba umieć biegać. Oddychaj równo, wdech przez nos i wydech ustami. Nie zaczynaj sapać i nie wstrzymuj oddechu – tłumaczył Szymek. – Nie zmieniaj tempa. Wieczne hamowanie i przyspieszanie to zgubny sposób... Równe, rytmiczne kroki.

– I nie przebieraj nogami jak wiatrak. Im dłuższe kroki, tym lepiej. Rozumiesz? – zapytała Robi, patrząc niepewnie na ucznia.

Net patrzył raz na Robi, raz na Szymona. Bardzo chciał zostać agentem, ale teraz zaczynał mieć wątpliwości. Bał się, że po prostu nie da rady, bo wiedział, że jego przyjaciele wiele od niego wymagają.

– Rozumiem – powiedział nieśmiało, ale zaraz dodał: – A wy? Nie dopadnie was zadyszka?

Agenci popatrzyli na siebie z uśmiechem. Odwrócili się tyłem do niego i zaczęli coś szeptać między sobą. Kiwnęli głowami i przybili sobie piątkę.

– Okej. Chcesz dowodu? Obiegniemy całą polanę w mniej niż piętnaście minut – oznajmił dumnie Szymon. – Co więcej, pobiegniemy w całym wyposażeniu. Tak jak na akcji. Broń, hełm, kamizelka i wyposażenie dodatkowe. Mniej więcej w połowie trasy trafimy w sam środek tarczy, nie zwalniając ani na moment.

– Strzał i cztery kilometry w piętnaście minut? Bez zadyszki? Nie wierzę – szepnęła Net, patrząc podejrzliwie na agentów.

– Gotowa, Robi? – zapytał wesoło Descante, ustawiając się na starcie.

– Od urodzenia!

– To start! – krzyknął Net, a agenci wystrzelili do przodu.

Pędzili równo obok siebie, jakby wcześniej zostali zsynchronizowani. Równy krok, równe tempo i co najważniejsze, szerokie uśmiechy na twarzy. Net obserwował ich przez lornetkę i nie dowierzał. Agenci biegli na lekko ugiętych nogach, przez co tułów i głowa prawie wcale nie poruszały się w pionie. Kiedy przebiegli półtora kilometra, unieśli broń w gotowości do strzału. Kiedy oddalone od nich o dwadzieścia metrów tarcze znalazły się dokładnie na ich trzeciej, Descante wyprzedził swoją przyjaciółkę o krok i oboje wyciągnęli ręce z pistoletami w prawo. Wskoczyli lekko i kiedy na ułamek sekundy znaleźli się w powietrzu, każde z nich oddało strzał do swojej tarczy.

Net, który przyglądał się ich popisom ze zdziwieniem, o mało nie padł z wrażenia, kiedy zobaczył, jak pociski dziurawią sam środek celu.

Kiedy oboje dobiegli już do niego, zatrzymał stoper i zaniemówił. Wpatrywał się w swój zegarek i ani drgnął. Agenci popatrzyli na siebie rozbawieni.

– Co tak patrzysz? – zapytał Szymon.

– Przebiegliście to w dwanaście i pół minuty! – mruknął i wszedł między nich, nasłuchując uważnie. – I nie macie zadyszki! To niemożliwe...

– Nie ma rzeczy niemożliwych. Lata ćwiczeń. Po prostu lata ćwiczeń – zaśmiała się Robi, poklepując chłopaka po ramieniu i uśmiechając się przyjaźnie. – Teraz twoja kolej. Biegnij, stosując się do naszych wskazówek, a jestem pewna, że pójdziesz ci lepiej.

– Muszę?

– Ruchy! – wrzasnął Szymon prosto do ucha Neta tak głośno, że ten aż wystrzelił do biegu jak z procy.

Nie biegł tak szybko, jak robili to agenci, ale dawał radę. Wrócił do nich z uśmiechem na

twarzy i na sam koniec padł na kolana z radości.

– No i widzisz. Można przebiec? Można – stwierdziła Robi.

Net stanął pod drzewem, starając się uspokoić trochę oddech, bo mimo wszystko dostał zadyszki.

– Może teraz pobiegiesz w kamizelce? – zapytał rozbawiony Szymon.

– Dobra, dajmy mu spokój na razie. Nie nauczymy go biegać w tak krótkim czasie lepiej, niż robi to teraz. Skupmy się na ważniejszych rzeczach – mruknęła Robi, wyciągając broń z kabury. – Zrobimy sobie strzelnicę!

– Co?! Nie! Ja się boję – spanikował Net, chowając się za drzewem.

– Trzymaj i nie narzekaj. I nie celuj do nas. Każda broń raz w życiu wypala sama, a my chcemy żyć – powiedziała Robi, podając pistolet Bore'owi, kiedy już Szymon wypchnął go z kryjówki. – To nietrudne. Ładujesz magazynek, odbezpieczasz i strzelasz. To pestka. Spróbuj strzelić w tamtą tarczę. To tylko dziesięć metrów. Na początek.

– Co jak nawalę?

– Nie nawalisz. Skup się – mruknął Szymon, łapiąc swoją broń, i popatrzył na ucznia. – Są trzy kroki do strzału z miejsca. Pierwszy to postawa – ustawił się w lekkim rozkroku – potem cel – uniósł oburącz pistolet i przymrużył lewe oko, mierząc w środek tarczy – a na koniec strzał. – Nacisnął spust.

– Pół centymetra od środka! Cienias! – zaśmiała się Robi, która obserwowała cel przez lornetkę.

– Mądra się odezwała – wycedził speszony Szymon. – Z lunetą to ja też bym umiał strzelać.

– Sugerujesz, że bez niej nie umiem? Dawaj broń! – syknęła, wyciągając rękę w jego stronę, i uśmiechnęła się przebiegle.

Descante zmierzył ją wzrokiem, po czym uśmiechnął się tryumfalnie. Był pewien, że agentka nie trafi tak dobrze jak on. Zawsze powtarzał, że snajperzy są ostro szurnięci i więcej mówią, niż potrafią. Oddał jej swój pistolet i stanął dumnie z założonymi rękami, czekając na jej porażkę.

Stała pewnie bokiem do celu, a na jej twarzy malował się uśmiech. Wyciągnęła na bok rękę, w której trzymała broń, i zamknęła lewe oko. Szymon zaśmiał się pod nosem. „W życiu nie trafi z takiej pozycji!”, pomyślał rozbawiony. Robi pociągnęła za spust.

– Nie! Jak?! – wrzasnął Szymon, padając na kolana i łapiąc się za głowę, kiedy pocisk przebił tarczę dokładnie w środku.

Nie było skuchy nawet o milimetr. Nie miał pojęcia, jak ona tego dokonała, bo przecież to on uchodził za mistrza, jeśli chodziło o strzelanie z broni krótkiej. Popatrzył na dziewczynę spode łba i nie wiedział, co powiedzieć. Musiał coś wymyślić, by ratować swój strzelecki honor.

– Miałaś lepszy wiatr! – wymamrotał w końcu, zabierając agentce swoją broń.

– Jasne, jasne. Nie usprawiedliwiał się. Teraz ty, Net! – zawołała Robi i zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu ucznia. – Net? Net, gdzie jesteś?!

Tymczasem on siedział za drzewem i trząsał się ze strachu jak galareta. Nigdy nie strzelał z prawdziwej broni, a Robi i Szymon byli w tym świetni. Bał się, że się skompromituje. W końcu przypomniał sobie, po co go szkolą. Przypomniał sobie o Darku i o całej tej sytuacji. O tym, że może i chce im pomóc. Wziął głęboki wdech i wyszedł z ukrycia.

Odbezpieczył broń i stanął między dwójką agentów. Uniósł ręce i wycelował. Pociągnął

za spust. Strzelił. Udało mu się. Niestety trafił w drzewo obok tarczy.

– Brawo, właśnie trafiłeś agenta stojącego obok terrorysty. Mimo wszystko jak na pierwszy raz nieźle – stwierdziła Robi.

– Strzelaj dalej. Tylko błagam, postaraj się, bo nie możemy stracić całej amunicji na ćwiczenia. Wyobraź sobie, że tarcza to zły gość, który zaraz zabije całą naszą trójkę – mruknął Szymon, stojąc pod drzewem z założonymi rękami.

Net znów ustawił się w odpowiedniej pozycji. Zamknął oczy i wyobraził sobie sytuację, którą opisał Descante. Później popatrzył na swój cel i strzelił. Aż podskoczył z radości, kiedy kula przebiła brzeg tarczy.

– No i widzisz! Da się! – zawołała wesoło Robi. – Teraz bliżej środka!

Net nabrał trochę pewności siebie i zabrał się do roboty. Trenował ciężko i wciąż poprawiany przez przyjaciół, robił postępy. Każdy strzał był krótko omawiany, a błędy wytykane. W końcu, kiedy wystrzelał sześć magazynków, jego strzały zaczęły trafiać dość blisko środka.

– Dobra. Nie jest źle. Zapasy szkoleniowe się skończyły. Teraz przejdziemy do nowego tematu – oznajmiła Robi, zabierając mu pistolet i odchodząc w stronę drzew.

– Nowy temat? Jaki? – zapytał zdziwiony Net.

– Teraz poznasz królestwo Robi. Będzie cię oczarowywać zaletami lunety, lśniących i zarąbiście morderczych pocisków sporego kalibru – mruknął Szymon, ironicznie udając zachwyt.

– Co masz na myśli?

– To, że teraz usuwam się w cień i całkowicie oddaję głos Robi, bo to ona ma tutaj licencję snajpera.

– Snajpera?! – pisnął Net i odwrócił się do tyłu.

Stała tam Robi, a w ręce trzymała swój karabin wyborowy. Uśmiechnęła się do ucznia i podała mu broń. On wziął ją i od razu ugiął się pod jej ciężarem

– Ile to ustrojstwo waży?! – pisnął.

– To nie żadne ustrojstwo! To mój Predator! Jedna z najlepszych snajperek, jaka istnieje. Kaliber dwanaście i siedem dziesiątych milimetra! Istne cacko. I waży jedynie siedem kilo.

– Przepraszam, ale co to twojego jest? Preda-co?

– Predator – odezwał się Szymon siedzący na trawie. – Jak już mówiłem, snajperzy są walnięci. Jak widzisz, do tego stopnia, że nawet nadają swojej broni imię i wręcz ją uwielbiają!

– Przystaniesz się nabijać ze snajperów, jak ci kiedyś któryś z nich tyłek uratuje! – syknęła Robi i odciągnęła Neta z dala od rozbawionego do granic możliwości Szymka. – Teraz się skup. Są trzy pozycje. Leżąca, pośrednia i stojąca. Leżeć jest najłatwiej no, i oczywiście najbezpieczniej. Kiedy stoisz, bardziej się chwiejesz i bardziej cię widać. Pozycja pośrednia... W pojęciu snajperów z PAS-u jest nią pozycja odbiegająca w jakiś sposób od pozostałych.

– Na przykład?

– Na przykład wisieć głową w dół na trzepaku i strzelać. Albo też klęczeć gdzieś w okopach, siedzieć na parapecie, podłodze czy czymkolwiek. Rozumiesz?

– Tak jest.

– Świetnie. Teraz na ziemię, nogi szeroko, lufa na statywie, kolba przy ramieniu, oko przy lunecie i jedziesz.

Net ułożył się w opisanej pozycji, a agentka ją skorygowała, doprowadzając do perfekcji. Przykucnęła przy nim i spokojnie wytłumaczyła, jak przeładować broń, zmienić magazynek

i zabezpieczyć. Wszystko szło Netowi o wiele sprawniej niż przy zwykłym pistolecie, co było trochę dziwne, ale po co wnikać w szczegóły, skoro nie jest źle?

– To chyba niebezpieczna zabawka, co nie? – zapytał w końcu.

– Jak ktoś ją dobrze pozna, to zabójcza. Jednak, jeśli mam być szczerą, podejrzewam, że nie trafiłbyś mnie nawet gdybym stanęła sto metrów od lufy.

– Dobijasz. – To on dobijał, ale Robi wołała to przemilczeć.

– Teraz omówimy sam moment strzału. Snajper potrafi znieruchomieć na wiele godzin, a w czasie strzału musi ograniczyć wszelkie drgania do minimum. W tym celu trzeba oddychać przez jakiś czas głęboko i powoli, zatrzymując powietrze po wdechu i wydechu. Tętno spada, więc serce wolniej bije i masz więcej czasu między uderzeniami. Przy samym strzale moim zdaniem najlepiej jest zrobić wydech do połowy, wstrzymać oddech i po sekundzie strzelić. Jeśli poleżysz za długo na wydechu, to szlag trafi strzał, bo ręka zadrży i o celowaniu możesz pomarzyć. Rozumiesz?

– Chyba.

– To strzelaj. Przygotuj się i zrób to jak najlepiej. Ja poczekam i popatrzę – zaśmiała się, kładąc się obok niego z lornetką.

Raz, drugi, trzeci kule przepadały gdzieś między drzewami. Szymon siedział i śmiał się cały czas, a agentka cierpliwie tłumaczyła Netowi, co ma robić. Tarcza była dwieście metrów od nich. Po jakimś czasie pierwsza kula trafiła w cel. Robi i Net przybili sobie piątkę i tryumfalnie popatrzyli na Descante'a.

Następny cel był oddalony od nich o kilometr. Net odetchnął głęboko, próbując przezwyciężyć napad paniki, i popatrzył na Robi. Leżała obok niego i zachęcała go do działania skinięciem głowy. Przyłożył policzek do kolby i spojrział przez lunetę. Słońce powoli chowało się za drzewami, a polana tonęła w półmroku. Zaczął wiać lekki, ciepły wiatr. Robi uniosła głowę i rozejrzała się dookoła.

– Skoryguj cel. Wiatr z zachodu, target na dwadzieścia centymetrów w prawo – mruknęła.

– Co?!

– Ehm, celuj obok tarczy, tyle ile mówiłam.

– Tak jest.

– Cel, pal!

Strzelił. Zuch chłopak. Kula w brzeg tarczy.

– Przeładuj. Trzy, dwa, jeden! Pal!

Drugi raz. Znow celnie.

– Wróg na drugiej. Target na piętnaście po prawej! – mruknęła Robi, pokazując na drugą z tarcz.

– Tak jest.

– Cel, pal!

Trafiona w sam brzeg. Co z tego, trafiona i to się liczy! Zuch. Szybko się uczy.

W końcu skończył się magazynek, a tarcze były już postrzępione dookoła. Robi przewróciła się na plecy i zaśmiała się wesoło. Zrobiło się już ciemno. Spędzili na polanie cały dzień i nawet nie zauważyli, jak minął. Mieli już wracać do domu, ale Robi nie mogła się powstrzymać. Zabrała Netowi karabin i oddaliła się od najodleglejszej tarczy jeszcze bardziej.

– Oho, Net, teraz podziwiał mistrzynię – zażartował Szymon, za co został ukarany morderczym spojrzeniem agentki.

Położyła się na ziemi i ustawiła karabin. Wiatr, oddech, bicie serca. Od celu dzieliło ją

tysiąc dziesięć metrów. Net wpatrywał się w nią z zachwytem, a Szymon ostentacyjnie ziewnął.

Pociągnęła za spust. Dwójka chłopaków od razu spojrziała w stronę tarczy. Descante syknął zawiedziony, a Bore zaczął klaskać.

– Strasznie nudna jesteś. Wiecznie w środek trafiasz – mruknął Szymon.

– Nie gderaj już tyle. Wracamy do domu – zaśmiała się tryumfalnie Robi, zarzucając karabin na ramię.

* * *

Następnego dnia znów zerwali Neta z łóżka o świcie. Spędzili cały dzień, ucząc go teorii i praktyki w temacie walki wręcz, obsługi granatów dymnych i tych normalnych, zachowania w sytuacji zagrożenia. Wyjaśnili, jak należy się poruszać, by wróg do ostatniej chwili nie miał pojęcia, że ma agenta tuż za sobą.

Net słuchał uważnie i pochłaniał wiedzę, starając się zapamiętać wszystko na tyle, by nie dać się zabić. Zdobył trochę pewności siebie i odkrył swój sportowy potencjał (nie przeceniajcie go, olimpijczykiem nie będzie). Po dwóch dniach szkolenia znalazł się na górnej granicy poziomu zerowego, co jak na rozpieszczonego bogacza było dobrym wynikiem.

– Daliście mi wycisk – mruknął w końcu Net.

– Wycisk? To było podstawowe szkolenie na potrzeby czekającej nas misji – stwierdził rozbawiony Descante.

– Serio?

– Szkolenie agenta trwa trzy, czasami cztery lata, jeśli jest to szkolenie od podstaw. Rok lub dwa w przypadku osoby z innego rodzaju sił zbrojnych przechwyconej przez naszych ludzi od werbunku. Snajpera szkoli się zawsze o rok dłużej – oznajmiła Robi.

– A my przeszkoliliśmy cię w dwa dni, więc nie narzekaj, że to był wycisk.

– No dobra, dobra.

Robi i Szymonowi całe to szkolenie też wyszło na dobre. Wrócili do swojej perfekcyjnej formy poprzez dawanie przykładu uczniowi.

Został im jeszcze jeden dzień. Ostatni czwartek przed najważniejszą misją w ich życiu. Pierwszą tak poważną.

Rozdział piętnasty „Piekielko”

Net wstał o piątej rano, kiedy wszyscy jeszcze spali. Był tak podekscytowany swoim szkoleniem, że nie mógł spać. Wyjrzał przez okno. Ciemne chmury zbierały się nad Wrocławiem, a silny wiatr wzbijał tumany kurzu i suchej ziemi. Chłopak wzdrygnął się na widok tej nieprzyjemnej sceny, ale nie osłabiła ona jego entuzjazmu. Nie mógł się doczekać, kiedy w końcu agenci się obudzą.

Nie musiał długo czekać. O piątej trzydzieści Robi ziewnęła głośno, przeciągnęła się i usiadła na łóżku. Popatrzyła w stronę materaca Neta i aż ją zamurowało, kiedy zobaczyła, że chłopak już nie śpi i czeka.

Po chwili do pokoju wpadł Szymon. Wparował oczywiście bez ostrzeżenia, ale Robi była już przyzwyczajona do tego typu scen, więc nawet nie zareagowała.

– Co dzisiaj robimy? – zapytał wesoło Net, kiedy zobaczył, że Descante też zaniemówił z wrażenia na jego widok.

– My cię już nauczyliśmy wszystkich podstaw. Innych rzeczy nie damy rady ci wytłumaczyć w jeden dzień – mruknęła Robi, kiedy wyszła z osłupienia.

– Czyli, że co? Nic nie robimy?

– Dzisiaj nie. – Szymek ziewnął i podrapał się po plecach. – Jemy śniadanie i regenerujemy się przed jutrzejszą akcją, próbując znaleźć jakieś szczegóły.

– Ale ja myślałem... Jestem już agentem?

– Nie – szepnęła Robi, opadając na poduszkę. – Musiałby cię przyjąć główny generał PAS-u, który siedzi w Warszawie i nawet nie wie, że w tej chwili cokolwiek szykujemy. On myśli, że skoro nas zawiesił, to my się tym przejmujemy.

– No, a my to mamy w głębokim poważaniu, więc jest duża szansa, że wylecimy – zaśmiał się Szymon. – Dobra, idę zerwać na nogi mistrzów jajecznicy, bo robię się głodny – mruknął i wyszedł z pokoju.

Godzinę później czekało na nich przepyszne i wyjątkowo dopracowane śniadanie. Od razu było wiadomo, kto się czym zajmował. Grzanki w kształcie F-16 były oczywiście dziełem Franka, a jajecznica na prostokątnych półmiskach, wyłożona kwadratowymi kawałkami bekonu przypominającymi klawiaturę, została stworzona przez Alana.

To był świetny dowód na to, że każdy starał się jakoś odreagować stres przed akcją. Wszyscy czuli, jak ważny miał być następny dzień.

Kiedy posilili się już tym nietypowym śniadaniem, Gryzoń i Świder zabrali się do pracy. Trójka agentów nie miała co robić, gdyż wszystkie dokumenty na strychu zostały już przejrane, a sprzęt dokładnie przygotowany. Nie chcąc umrzeć z nudów i zarazem z nerwów, postanowili wyjść na dwór.

Mimo nieprzyjemnej pogody położyli się na trawie i dyskutowali na temat różnych możliwych scenariuszy bojowych.

– Skoro już mowa o akcjach, to Net może czuć się pokrzywdzony. Przeszedł szkolenie,

a nie było imprezki – mruknęła Robi, uśmiechając się tajemniczo do Szymka.

– Acha, no tak! Net, jak mogliśmy tak bardzo cię zaniedbać? Zrobimy ci super przyjęcie, ale musisz pójść do sąsiedniej wioski i kupić litrowy sok pomidorowy, żeby było czym świętować.

– Sok pomidorowy?

– Bo widzisz, agenci liniowi są walnięci – zaśmiała się Robi w zemście za żarty o snajperach. – I taki Szymon uwielbia sok pomidorowy i gdyby tylko mógł, to nie piłby nic innego.

Net popatrzył na agenta jak na wariata, a Robi parsknęła śmiechem. Szymek zmierzył ich oboje wzrokiem i stanął z założonymi rękami.

– Dobra, do rzeczy. Chcesz zasłużyć na akcję u naszego boku, to musisz iść po ten sok. Bez niego nie ma opcji – mruknął Descante.

– Ale...

– No idź. To tuż za lasem. Idź i nie wracaj bez soku – zachęciła agentka, wypychając chłopaka z ogródka.

Ruszył niepewnie przed siebie, oglądając się co chwilę do tyłu, by sprawdzić, czy agenci nadal za nim stoją. Za każdym razem poganił go machnięciem ręką. Kiedy odwrócił się po raz ósmy, nie zobaczył już nikogo. Poczul się jakoś dziwnie. Miał ogromną chęć zawrócić, ale zbyt zależało mu na wykonaniu zadania, więc szedł dalej. Wziął głęboki oddech i przyspieszył kroku.

* * *

Szymon stał ukryty za firanką i obserwował Neta przez lornetkę. Robi w tym czasie przeszukiwała wszystkie mapy, jakie znajdowały się na strychu, szukając tej jednej odpowiedniej.

Oboje ubrani byli w czarne mundury bojowe, ale wcześniej odczepili wszelkie oznaczenia i przypinki. Na głowach mieli kominiarki, na razie podciągnięte do góry. Wyglądali jak rasowi terroryści.

– Pospiesz się. Musimy go prześcignąć w odpowiedniej chwili, a idzie dość szybko – mruknął Szymon, nie odrywając oczu od chłopaka.

– Mam! – zawołała tryumfalnie Robi, wyciągając małych rozmiarów, pożółkły skrawek papieru. – Kurczę, kto by pomyślał, że ta mapa ma już pięć lat.

– Dobra, nie ma czasu na sentymenty! Bierzemy sprzęt i lecimy!

Złapali wcześniej przygotowane plecaki i wybiegli z domu. Wskoczyli do rowu obok trasy, którą szedł Net, i ruszyli w stronę lasu.

Bieгли okrężną drogą, żeby mieć pewność, że nie spotkają swojego ucznia gdzieś po drodze. Kiedy dotarli do linii drzew, rozdzielili się i zaczęli obiegać teren z dwóch różnych stron.

Robi biegła między drzewami na lekko ugiętych nogach. Chłodne leśne powietrze i silny nieprzyjemny wiatr wiejący jej prosto w twarz lekko utrudniały działanie, ale to jej nie powstrzymało.

– Robi na czwartej, sto metrów, kontakt. Pozycja? – odezwała się Robi, kiedy już zobaczyła miasteczko sto metrów przed sobą na jedenastej.

– Descante na trzeciej, dziewięćdziesiąt metrów, kontakt. Teren czysty od południa. Kadet

w tyle na szóstej od celu. Minuta.

Oboje utrzymywali kontakt wzrokowy z miasteczkiem. Byli w podobnych odległościach i mieli minutę do przybycia Neta. Mało czasu. Dobiegli do pierwszego z domów i ukryli się za nim.

– Przechodzimy na częstotliwość bravo. Kontakt wzrokowy i jak najmniej gadania, żeby nie poznał nas po głosie – mruknęła Robi i oboje naciągnęli na twarze kominiarki.

– Wytrzyma czy zwieje?

– To zależy od naszej inwencji twórczej.

Zaśmiali się i rozbiegli na dwie strony. Net już się zbliżał. Byli bardzo ciekawi, czy sobie poradzi.

* * *

„Co to za miejsce?”, pomyślał Net, kiedy tylko zobaczył miasteczko. Stał pod tabliczką z napisem „Piekiełko”. Miejsce to wyglądało tak, jakby wczoraj jeszcze toczyła się tu wojna. Szyby w wielu oknach były powybijane, a tynk podziurawiony przez kule. Nikt nie spacerował po ulicach, a wszystkie wystawy były pozabijane deskami. Po chodnikach wały się papiery i puste butelki. Dzika trawa porastała ulicę na każdym kroku, a domy stały tylko wzdłuż jednej drogi.

Netowi to wszystko skojarzyło się z klasycznym westernem. Czuł, że jest przez kogoś obserwowany, ale nie miał pojęcia przez kogo. Bał się, ale musiał przecież zdobyć sok. Nie mógł sobie teraz odpuścić. Ostrożnie stawiał każdy krok. Nie miał pojęcia, dlaczego dwójka agentów wysłała go właśnie tutaj.

Minął ubłoconego zielonego jeepa. Nie zauważył ukrytej za nim zamaskowanej Robi.

Agentka wystawiła głowę zza samochodu i machnęła ręką do Szymona, który siedział na dachu małej zielonej kamieniczki. Na znak Robi kiwnął głową i rzucił Netowi pod nogi granat dymny.

Ulicę wypełniły kłęby gęstego, czarnego dymu. Net podskoczył przerażony i stojąc w miejscu, rozglądał się dookoła, próbując zobaczyć cokolwiek.

Robi naładowała broń i wyskoczyła z ukrycia. Ze względów bezpieczeństwa używali dziś tylko gumowych naboju. Net, chcąc oddalić się od granatu, wpadł prosto na nią. Pisnął przerażony i zaczął rozpaczliwie rozglądać się dookoła, szukając pomocy. Cofał się ostrożnie, a Robi szła za nim, celując w jego głowę. Cały czas utrzymywała dystans większy niż dwa metry, żeby mieć pewność, że kiedy broń wypali, chłopakowi nic się nie stanie. Spychała go w określone miejsce, czekając na odpowiednią reakcję.

Przerażony chłopak obejrzał się za siebie i zlokalizował źródło dymu. Zastanowił się przez chwilę i przypomniawszy sobie słowa Szymona, podbiegł do granatu i kopnął go w stronę napastnika. Na to „pytanie” ich uczeń odpowiedział poprawnie.

Robi wycofała się pospiesznie i ukryła za jednym z domów. Przerażony tą sytuacją Net podbiegł do jednego ze sklepów i przywarł do ściany. Szymon, siedzący nadal na dachu budynku naprzeciwko, tylko na to czekał. Położył się płasko na dachówkach i wycelował. Trafił w okno oddalone od głowy Neta o jakieś dwadzieścia centymetrów.

Chłopak rzucił się do ucieczki, a Descante oddał serię strzałów, trafiając w ziemię dookoła niego.

W tym czasie Robi przebiegła do małego placu i ukryła się w jednym z mieszkań na

pierwszym piętrze. Ukryta za ścianą czekała, aż chłopak zbliży się dostatecznie. Kiedy dotarł już na ryneček, cisnęła granat na drugą stronę ulicy. Gdy tylko Net go zobaczył, rzucił się na chodnik pod latarnią, zasłonił głowę, złączył nogi i z zaciśniętymi zębami czekał na wybuch. Agentka uśmiechnęła się i z uznaniem pokiwała głową, po czym strzeliła w granat.

Głośna, ale nieszkodliwa eksplozja zatrzęsała miasteczkiem. Net otworzył oczy i ze zdziwieniem spostrzegł, że nadal jest cały i zdrowy. Rozejrzał się dookoła. Po drugiej stronie ulicy dogasał mały płomień, a pionowo do góry unosiły się ciemne i gęste kłęby dymu. Odetchnął głośno i zerwał się na równe nogi. Jego oczom ukazał się jedyny sklep spożywczy, który z zewnątrz nie wydawał się kompletną ruiną. Ruszył w tamtym kierunku, mając nadzieję, że zdoła dotrzeć cało i w razie konieczności wezwać dwójkę agentów na pomoc.

Wtedy z bocznej uliczki wyskoczył zamaskowany Descante. Nadszedł czas na sprawdzian z walki wręcz.

Rzucił się na Neta i powalił go na ziemię. Ten jednak złapał napastnika za kamizelkę i przetoczył się razem z nim tak, że teraz to on był górą. Złapał agenta za kominiarkę z zamiarem odsłonięcia jego twarzy, ale ten zareagował natychmiastowo i odepchnął chłopaka z całej siły. Teraz oboje leżeli na ziemi, ale nie minęło kilka sekund, a wrócili do pełnej gotowości. Szymon atakował, a Net się bronił. Ku zaskoczeniu tego pierwszego, walka była dość interesująca, choć oczywiście daleko odbiegała od idealnej.

W czasie gdy chłopcy się bili, Robi przygotowywała się do kolejnego testu. W pośpiechu zaplątała się w kolorowe kabelki i wyskoczyła na ulicę.

Po dłuższym czasie Netowi udało się powalić agenta i przechwycić jego broń. Wycelował prosto między oczy i stanął pewnie nad bezbronnym napastnikiem. Szymon nie starał się specjalnie bronić. Zarechotał cicho, kiedy zobaczył wyłaniającą się z dymu postać Robi. Zaśmiał się głośniejszym głosem, pokazując na swojego zamaskowanego kompana, który zbliżał się do Neta od tyłu.

Młody uczeń odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i stanął przed kolejnym terrorystą, który w lewej ręce trzymał bombę, w prawej detonator i cały był owinięty najróżniejszymi kabelkami.

Kiedy chłopak wpatrywał się w nowego przeciwnika, Szymon wstał po cichu i nagle skoczył na swoją ofiarę, próbując odebrać swoją broń. Net odepchnął go i strzelił mu prosto w głowę. Descante padł na ziemię, a Robi cofnęła się o krok.

Nie przewidzieli, że ich uczeń będzie zdolny strzelić komuś między oczy! Miała nadzieję, że jej przyjaciel nie pomylił magazynków. Musiała natychmiast doprowadzić Neta do odpowiedniej reakcji i szybko się ulatniać!

Chłopak stał wpatrzony w milczącego napastnika. Widział w jego oczach coś dziwnego, ale uznał, że to tylko zdezorientowanie po stracie kompana. Terrorysta nic nie krzyczał, nie dawał warunków, nie groził. W porównaniu ze wszystkimi filmami, jakie oglądał, zdawało mu się to dziwne, ale przecież to był realny świat. Jego reakcja była błyskawiczna. Strzelił w prawy nadgarstek napastnika. Detonator upadł na ziemię, a przeciwnik rzucił w stronę Neta dwa granaty dymne.

Kiedy dym znów wypełnił ulicę, Robi podbiegła do leżącego na ziemi Szymona. Odetchnęła z ulgą, bo nie zauważyła żadnej krwi ani rany. Czyli jednak to były gumowe kule! Całe szczęście! Złapała nieprzytomnego przyjaciela za ręce i zaciągnęła go szybko w stronę sklepu. Rzuciła jeszcze za siebie jeden granat hukowy, żeby trochę opóźnić przybycie Neta.

Dym w końcu opadł. Zdezorientowany nastolatek rozejrzał się dookoła i zlokalizował

źródło tego okropnego hałasu, który drażnił jego uszy od pewnego czasu. Ominął ostrożnie granat i w końcu, mając do dyspozycji broń, ruszył pewnym krokiem do sklepu. Był z siebie dumny. Pokonał tyle zagrożeń i nic mu się nie stało! Nie zauważył nawet, że zabity przez niego terrorysta gdzieś wyparował. Przeszedł dumnie przez mały plac i stanął u celu. Uśmiechnął się tryumfalnie.

Z rozmachem otworzył drzwi wejściowe sklepu. Nagle i zupełnie niespodziewanie padły dwa strzały. Złapał się za trafione miejsca i skulił w pozycji obronnej. Po chwili jednak odkrył, że nie czuje, by z którejś z ran popłynęła krew. Spojrzał na swoje dłonie, ramię i udo. Czysto. Był tylko lekko obolały. Popatrzył przed siebie, nie wiedząc, co się stało.

– Dałeś się zastrzelić na sam koniec! – zawołała rozbawiona Robi i razem z Szymonem ściągnęli kominiarki.

– Ale jak to? – mruknął chłopak i rozejrzał się.

– Zatkąło kakao? – zaśmiał się Szymon.

W sklepie nic nie było. Żadnych półek, lady ani regałów. Na środku stały tylko trzy krzesła i stół, a na nim karton soku pomidorowego i trzy szklanki.

Dwójka agentów siedziała z nogami na stole i śmiała się głośno. Szymon trzymał worek z lodem tuż nad prawym okiem.

– Co ci się stało? – zapytał Net, patrząc ze zdziwieniem na agenta.

– Skojarz fakty – mruknął poirytowany Szymek. – Podpowiem, że Robi to ten z bombą. Szybko odtworzył sobie całą scenę w głowie i zerknął na niego lekko przerażony.

– Przepraszam! – pisnął.

– Masz farta, że to były gumowe kule i że po odepchnięciu zdążyłem odskoczyć dość daleko. Będę miał wielkiego siniaka! Jak ja się jutro światu pokażę...

Robi zmierzyła przyjaciela wzrokiem, a Net parsknął śmiechem. Potem napili się soku i spokojnie wrócili do domu, by planować akcję.

Alan i Franek czekali na nich w salonie i kiedy tylko ich zobaczyli, od razu zaczęli się przekrzykiwać.

– Mamy nowe informacje! – oznajmił z dumą Alan.

– I świetny plan! Musimy tylko... – zaczął Franek, ale Świder mu przerwał.

– Musimy tylko wiedzieć, czy dacie radę.

– To niemożliwe, żebyśmy nie dali rady. Mówcie, co wiecie. Ale pojedynczo – mruknęła Robi, opadając na fotel.

– Będą wieść Darka pociągiem. Jutro o piętnastej. Do Opola. Chyba zamierzają wysiąść gdzieś wcześniej.

– Wniosek: jutro o świcie ruszamy – mruknęła Robi i pomaszerowała do pokoju, zostawiając w salonie zbitą z tropu drużynę.

– Ale jak to o świcie? – zapytał Net. – Przecież będą w pociągu o piętnastej.

– Nie wnikać, Net. To jest Robi. W sprawie Darka jej się nie dziwię, że chce być w pełnej gotowości.

Rozdział szesnasty

Akcja w pędzie

Robi biegła po domu w pełnym rynsztunku bojowym agenta PAS-u. Co chwilę przepakowywała torbę ze sprzętem i rozważała każdą możliwość. Szymon chodził za nią znudzony i odznaczał wszystko na liście. Czasem dopisywał nowe pozycje po to, by zaraz je wykreślić, kiedy jego przyjaciółka zmieniała zdanie. Nie poznawał jej dzisiaj. Znał ją jako rozsądną i opanowaną agentkę, która zawsze zachowywała zimną krew. Dzisiaj dla odmiany zupełnie oszalała.

Chcąc uniknąć gniewu Robi, Net profilaktycznie zaszył się w toalecie i udawał, że go nie ma. Liczył na to, że nikt nie uda się tu za potrzebą.

Alan i Franek siedzieli w ogródku pod parasolem pośród brzoź i z niecierpliwością nasłuchiwali, mając nadzieję, że znów uda im się podsłuchać jakąś rozmowę terrorystów.

Cały poprzedni wieczór i całutką noc nad Wrocławiem przetaczały się ciężkie burzowe chmury, zapewniając długotrwałą ulewę. Dopiero tuż przed świtem przestało padać, raz po raz krople wody spadały z liści drzew. Przyjemne chłodne powietrze było wprost idealne na akcję, bo ułatwiało uzyskanie maksimum osiągnięć organizmu.

– Szymon! – wrzasnęła Robi, kiedy wpadła po raz kolejny do swojego pokoju.

– Czego? – mruknął agent, stając w drzwiach tuż za nią.

– Gdzie podziałeś mój pasek z magazynkami? – syknęła, rozglądając się dookoła.

Była potargana i wyglądała na znerwicowaną. To była najważniejsza akcja w jej życiu. Od niej zależało życie Darka i nie mogła pozwolić, żeby wszystko przepadło przez jeden głupi błąd! Szymon dobrze to rozumiał, więc starał się zachować anielską cierpliwość. Przewrócił oczami, wziął głęboki wdech i spokojnym głosem odpowiedział:

– Tam, gdzie kazałaś go włożyć. W torbie.

– Acha. No to... Eee... – mruknęła speszona Robi, odrzucając do tyłu włosy opadające jej na oczy. – No to dobrze. Musimy coś jeszcze spakować?

Szymon popatrzył na listę i pokręcił głową. Robi skoczyła na niego i wyrwała mu blok kartek.

– Jak to? – powiedziała, przeglądając gorączkowo całą listę. – Musimy sprawdzić, czy na bank wszystko jest. Zatem do torby!

Zrezygnowany agent uderzył głową w ścianę i od razu syknął z bólu, bo trafił prosto w guza nabitego przez wczorajszy strzał Neta.

W końcu, kiedy nadeszła godzina trzynasta, wszyscy byli równie podenerwowani, co Robi. Ona z kolei wróciła do swojej normalnej trzeźwości umysłu i zimnej krwi.

– Franek, latasz z Alanem po okolicy. Alan, ty z pokładu śmigłowca zajmujesz się tym, co zwykle. Szymon i Net, wy działacie ze mną. W razie gdybym musiała się oddzielić, co nie jest wykluczone, Szymon przejmie dowodzenie i pójdziecie we dwójkę. Plan prosty i nieszczegółowy. W końcu im więcej jest zaplanowane, tym więcej może się sypnąć. Czy wszyscy zrozumieli?

– Tak jest! – Robi kochała, kiedy odpowiadali jej takim zgranym chórkiem.

– Teraz tak: Franek i Alan – pełne wyposażenie. Nasza trójka – kamizelki lekkie pod ubraniami, broń krótka ukryta przy sobie, reszta w torbie. Działamy w możliwie jak największej konspiracji. Hełmy odpadają, bo nie wciśniemy ich już do torby. Mam nadzieję, że wiecie, w co się pakujemy?

– Tak jest!

– To świetnie. Idziemy.

Alan i Franek pognali do śmigłowca. Tym razem Świder siedział na miejscu obok pilota i był z tego powodu bardzo zadowolony. Położył laptopa na kolanach i otworzył go. Postukał w klawiaturę i otworzył podgląd GPS. Trójka nastolatków stojąca przy śmigłowcu stanęła na palcach i zajrzała mu przez ramię.

– Wyszli już z podziemia – mruknął, pokazując przesuwającą się na ekranie czerwoną kropkę. – Są gdzieś pod Wrocławiem. Wsiadają do pociągu. Pociąg przejedzie przez... dworzec główny.

– Dobra, ekipo, jazda tam! – zawołała Robi. – Mamy pół godziny. Trochę szybciej się zebrali niż piętnasta. Miałam rację z tym wstaniem o świcie.

– Um... A jak tam dojedziemy? – zapytał Net.

– Cholera – syknęła Robi, uderzając się w czoło.

– Wezwałem wam taksówkę – mruknął Alan. – Podziękujecie później. Teraz gazu, bo facet nie może czekać za długo na początku ulicy.

– Jesteś cudny! – zawołał Szymon, kiedy we trójkę biegli już w stronę głównej ulicy.

Wpadli rozpedzeni na chodnik i znaleźli się między ludźmi, którzy spacerowali spokojnie, nieświadomi, że do Wrocławia zmierzają właśnie jedni z najgroźniejszych terrorystów w Polsce. Dla dwójki młodych agentów i Neta był to dzień najważniejszego sprawdzianu.

Rozejrzeli się dookoła i dostrzegli czerwoną taksówkę stojącą dziesięć metrów dalej. Podbiegli do niej i wsiedli do środka.

– Na dworzec główny! – poprosiła Robi, zapinając się w pasy.

– Kurczę, liczyłem na krótszą trasę. Właśnie miałem wracać na urodziny syna – mruknął znudzony taksówkarz.

– Dowiezie nas pan w dwadzieścia minut? – zapytał Szymon, wyciągając kilka banknotów stułotowych.

– Zapnijcie pasy! Zaraz jesteśmy na miejscu!

Samochód ruszył z kopyta. Domy i samochody migały im za oknami. Pędzili przez miasto i na szczęście nie było korków. Kierowca miał talent. Nie zatrzymali się ani razu, nawet na czerwonym świetle.

– Zasypią mnie mandatami – szepnął pod nosem, co nie uszło uwadze agentów.

– Postaramy się, by nie dostał pan żadnego mandatu z powodu tego kursu – obiecała Robi lekko błagalnym tonem. – Już nasza w tym głowa.

Kierowca uspokojony tymi słowami dodał gazu. Po chwili byli już na miejscu. Dotarli na czas. Udało się.

Szymon dał kierowcy obiecane pieniądze i spisał numer rejestracyjny wozu, by wysłać go do policji z notatką „anulować mandaty za dzisiejszy przejazd”.

We trójkę pobiegli na dworzec. Ku ich rozpaczyci kolejki po bilety były ogromne. Do przyjazdu pociągu zostało im niecałe dziesięć minut. Zbyt wiele zależało od tej misji. Mogliby w sumie zacząć strzelać w górę ślepakami, żeby rozgonić tłum i dostać się do kasy, ale nie

mieli ochoty zostać aresztowani przez ochronę.

– Musimy jechać na gapę – mruknęła Robi.

– Jak mus, to mus.

Pobiegli na peron. Stały tu trzy różne pociągi. Świetnie!

– Alan, są już? – zapytał szeptem Szymon, zwracając się do mikrofonu ukrytego w zegarku Robi.

Nie. To wcale nie wyglądało tak dziwnie, jak wam się wydaje.

– Jeszcze nie.

– Na który peron wjadą? – odezwała się Robi, wyrywając rękę z uścisku przyjaciela.

– Wyluzujcie, nie mam pojęcia. Jak tylko się czegoś dowiem, dam wam znać.

Wszystkie trzy pociągi odjechały, a perony opustoszały. Wszędzie zapanowała głucha cisza, przerywana tylko odgłosami krążących dookoła gołębi.

Nagle rozległ się głos zapowiadający przybycie pociągu.

– To ten! – zawołał Alan.

Usłyszeli śmigłowiec gdzieś nad dworcem.

– Musicie wsiąść do ostatniego wagonu. Jest prawie pusty. W pozostałych jest po jednym uzbrojonym gościu, a w pierwszym jest ich pięciu i Darek.

– Przyjęłam. Wchodzimy.

– Jesteśmy na drugim końcu pociągu? – zapytał Szymon, otwierając drzwi.

– Nom. Trzeba będzie działać w sposób *extreme* – zaśmiała się Robi i zerknęła na Neta, który w tym momencie zrobił taką minę, że wyglądał, jakby zderzył się z szybą.

– Co to za sposób? – zapytał przerażony.

– Zobaczysz! – zawołałi razem agenci, wskazując do pociągu.

Nie było tu przedziałów, tylko ławki. Mieli szczęście, wagon faktycznie był prawie pusty. Siedziało tu jedynie małżeństwo w podeszłym wieku. Spali spokojnie, przytuleni do siebie, i były małe szanse na to, że obudzą się w czasie akcji.

Trójka nastolatków siadła na drugim końcu wagonu w rogu. Szymon wrzucił torbę na górną półkę, a pociąg ruszył.

– To co robimy? – zapytał w końcu Net, siedząc z nosem przyklejonym do szyby.

– Czekamy – mruknęła Robi, zakładając słuchawkę z mikrofonem.

Pędzili po szynach i nic się nie działo. Net był coraz bardziej znudzony, a agenci po raz ostatni omawiali szeptem swój plan. Dwójka cywilów nadal spała. Dookoła zaczęły pojawiać się drzewa i pola.

– Opuściliście strefę zabudowaną. Wróbel na pozycji. Kontakt na dziesiątej. Gotowi do akcji – usłyszeli w słuchawkach głos Alana.

„Wróbel” to nazwa śmigłowca Franka przypisana tej misji. Lecieli gdzieś za pociągiem po jego prawej stronie. Mieli idealny punkt obserwacyjny i jednocześnie pozostawali niezauważeni. Brnęli pod wiatr, co znacznie ułatwiało zadanie, bo wróg przed nimi mógł mieć problemy z usłyszeniem ich.

– Lisy w gotowości bojowej. Akcja za dziesięć sekund. – Robi wstała i odeszła na koniec wagonu.

Stanęła pod klapą prowadzącą na dach. Podskoczyła i złapała się uchwyty. Podkurczyła nogi i oparła je na oparciach siedzeń. Popatrzyła na dół.

Szymon ściągnął już torbę i pomógł Netowi się przygotować. Oboje stali obok siebie w pełnym rynsztunku (Robi był gotowa już wcześniej). Agentka zeskokczyła na ziemię

i spojrzała na małżeństwo. Chrapnęli cicho, nadal śpiąc jak zabici.

– To jest ten wasz sposób *extreme*?! – pisał przerażony Net.

– No a czego się spodziewałeś? – zaśmiała się nastolatka, stając obok niego.

W tym czasie Szymon wskoczył już na dach. Robi znów złapała się uchwytu i podciągnęła do góry, dołączając do przyjaciela. Oboje schylili się, wyciągając ręce do Neta, po czym wciągnęli go do siebie.

– W samą porę – mruknął chłopak, zamykając klapę. – W sąsiednim wagonie byli kontrolerzy.

Agenci zaśmiali się krótko i od razu wrócili do zadania. Wyciągnęli przyssawki i ruszyli przed siebie, czołgając się po dachu pociągu. Robi odwróciła się do tyłu i zobaczyła śmigłowiec unoszący się dość daleko za nimi.

– Lis1, kontakt na piątej. Wróbel, wejdz na wyższy pułap i przeleć na pierwszą – mruknęła.

– Tak jest. Bez odbioru.

Rzeźki wiatr targał im włosy, a oni brnęli do przodu, walcząc z pędem powietrza. Byłoby całkiem przyjemnie, gdyby nie fakt, że w każdym z wagonów znajdował się pilnujący porządku terrorysta, a agentów czekała jeszcze długa i wyczerpująca droga. Niektórzy mogliby uznać, że pociąg został porwany. Jednak póki agenci byli w pobliżu, nie miało to prawa się zdarzyć. Terrorysty byli zakamuflowani, a trójka nastolatków w pełnej gotowości do ataku.

– To bezpieczne? – szepnął Net do mikrofonu.

– Nic w życiu agenta nie jest bezpieczne – odpowiedział Szymon.

– Jak to? A mycie zębów? – zażartował chłopak.

– Mogą ci dodać do pasty cyjanku – mruknęła Robi i zatrzymała się.

Rzuciła okiem na okolicę.

– Lis1 ślepy, Wróbel, gdzie jesteście? – zapytała.

– Wróbel się broni. Dwa krogulce na ogonie – usłyszeli głos wściekłego Franka. – Bez odbioru.

Krogulce to w rzeczywistości ptaki drapieżne żywiące się, między innymi, wróblami. Nie trzeba chyba dużo tłumaczyć. Gryzoń i Świder walczyli z dwoma wrogimi śmigłowcami.

Franek był zdecydowanie jednym z najlepszych pilotów w Polsce, a na pewno w PAS-ie, jednak teraz znajdowali się w trudnej sytuacji. Musiał dać z siebie wszystko, by wygrać walkę małym i nieuzbrojonym śmigłowcem, mając przed sobą zapewne zabójcze maszyny ze strzelcami na pokładzie.

Agenci popatrzyli na siebie niepewnie. Skoro Gryzoń walczył, to jego przeciwnik musiał być sojusznikiem Delika, a to z kolei oznaczało, że ci w pociągu wiedzieli o obecności PAS-u w okolicy. Z pewnością już szykowali się do akcji, a trójka nastolatków została sama bez wsparcia z powietrza i informacji od Alana.

Przyspieszyli. Jak najszybciej mogli, posuwali się w stronę pierwszego wagonu.

– Jeśli ci ze śmigłowców powiedzieli tym w pociągu o przechwyconym śmigłowcu Gryzonia, to mamy mało czasu. Wiedzą o nas i będą próbowali się wymknąć. – Robi mówiła tak szybko, że aż dostała zadyszki. – Musimy dać z siebie wszystko, bo od nas zależy los pasażerów i Darka.

W końcu dotarli do klapy w dachu pierwszego wagonu. Podnieśli ją delikatnie na wysokość pół centymetra i wsunęli małą kamerkę.

– Daj ją trochę w lewo i niżej – mruknął Szymon, a Robi zrobiła to, o co prosił. – Cholera,

wiedzą o nas na bank. Dwóch wyszło z przedziału i chodzą po korytarzu! Nie ma jak się prześlizgnąć!

– Za pół kilometra wjeżdżamy do tunelu. Będziemy wtedy mieli przewagę, bo oni nie mają noktowizorów. Przynajmniej mam taką nadzieję – szepnęła Robi.

– Dobra, to poczekamy.

Przywarli do dachu i obserwowali terrorystów przez kamerkę. Kiedy pociąg był tuż przy tunelu, Robi przeczołgała się na początek drugiego wagonu i otworzyła klapę. Kiedy tylko znaleźli się w cieniu tunelu, wskoczyła do środka.

Jej szkła kontaktowe zadziały jak noktowizory i bez problemów mogła się skupić na zadaniu. Wyciągnęła swój długopis z laserem i przecięła nim kłódkę zabezpieczającą płytę rozdzielczą. Pociągnęła za hamulec awaryjny, a kiedy pociąg zaczął gwałtownie zwalniać, przecięła kable zasilające światło w wagonach.

– Lis2 jest dumny z Lisa1 – zaśmiał się Szymon, zaglądając przez otwór w dachu, i zrzucił agentce jej karabin oraz zwykły pistolet.

Robi złapała broń i przywarła do drzwi, czekając, aż któryś z terrorystów pojawi się w okolicy, by sprawdzić, co się stało. W tym czasie Szymon miał przebiec na przód wagonu i zająć ich z drugiej strony, a Net miał po prostu siedzieć na dachu i być do dyspozycji w razie nagłego kryzysu.

Nagle drzwi otworzyły się z rozmachem i stanął w nich umięśniony mężczyzna. Przez ramię miał przewieszony potężny karabin maszynowy. Niedobrze. Ujawnili się. Biedny Szymon z pewnością walczył z tłumem spanikowanych pasażerów. Robi nie chciała zdradzać swej pozycji, strzelając z tak małej odległości. Zamachnęła się i uderzyła przeciwnika kolbą karabinu w głowę. Wyciągnęła z kieszeni jednorazowe kajdanki i unieruchomiła nieprzytomnego terrorystę przy drzwiach. Zabrała mu broń i wrzuciła ją Netowi na dach.

Nagle gdzieś na górze usłyszała strzał. Szybko znów wspięła się na dach. To, co zobaczyła, przeraziło ją nie na żarty. Net stał skulony i celował prosto w terrorystę, który trzymał Szymona i przykładał mu broń do skroni. Agent nie miał siły się wyrwać, bo napastnik był wręcz ogromny. Wyglądał tak, jakby całe swoje życie spędził na siłowni.

Nie zastanawiając się długo, Robi ściągnęła z ramienia swojego Predatora i ustawiła się stabilnie. Przyłożyła kolbę do ramienia, przymrużyła lewe oko, a prawym spojrzała przez lunetę.

– Lis2, nie wierć się – szepnęła najciszej jak mogła do mikrofonu i zerknęła na Neta. – Lis3, czekaj na znak.

Szymon schylił lekko głowę, przeczuwając, co zamierza jego przyjaciółka. Zaciśnął powieki i czekał. Robi wycelowała w ramię tuż przy szyi, bo tylko tam ryzyko, że trafi agenta lub kamizelkę terrorysty, było małe.

– Lis3, padnij! – syknęła, a Net rzucił się na podłogę, odsłaniając agentkę, której napastnik wcześniej nie widział.

Szybko pociągnęła za spust i bezbłędnie trafiła tam, gdzie chciała. Terrorystą szarpnęło na bok, a ratując się przed upadkiem, odepchnął na bok Szymona, który prawie spadł z pociągu.

Net podbiegł do przyjaciela i pomógł mu wstać. Robi odetchnęła i zbliżyła się do napastnika. Nie żył. W sumie nic dziwnego. Oberwał od snajpera z bliskiej odległości prosto w tętnicę szyjną. Krew spływała z dachu i ściekała cieką strużką po oknie. Widok nie był przyjemny. Agentka zamknęła oczy i odwróciła głowę. Nienawidziła tej chwili zaraz po odebraniu komuś życia, ale przecież nie miała wyboru. Gdyby nie strzeliła, ona i jej przyjaciele

mogli zginąć.

Nagle pojawił się drugi. Był daleko. Jakieś dwa wagony dalej, ale strzelał bez opamiętania. Wszyscy padli na dach. Szymon osłaniał tyły, w razie gdyby ktoś pojawił się na przodzie pociągu, a Net wisiał głową w dół, pilnując wnętrza wagonu i nie chcąc dopuścić pod klapę żadnego wroga. Robi w tym czasie leżała ze swoim karabinem i obserwowała terrorystę przez lunetę, trzymając palec na spuście. Nie widział ich, strzelał w ciemno z nadzieją, że kogoś trafi. Nie miał pojęcia, gdzie są. Miała spore opory. Nie zabijała. Wiele by dała, żeby terrorysta przestał strzelać, podszedł bliżej i dał się uśpić strzałką. Niestety wiedziała, że ta akcja to nie przelewki. Od nich zależało życie Darka i tych biednych cywilów, którzy teraz pewnie kulili się ze strachu, chowając się za zasłonami w przedziałach.

– No zdejmuj go! – usłyszała w słuchawce głos poirytowanego Szymona.

Delikwiec przestał strzelać. Usłyszeli dźwięk pustego magazynka uderzającego o blaszany dach pociągu. Zaraz potem terrorysta ponownie naładował i odbezpieczył broń.

– Na co czekasz?! – Szymon był już na granicy załamania nerwowego.

Robi wzięła głęboki wdech, a zaraz potem wydech. Nie miała wyboru. Pociągnęła za spust.

Przeciwnik miał kamizelkę kuloodporną, ale co z tego? Wpatrując się nieprzytomnym wzrokiem gdzieś w dal, padł na kolana. Sekundę później leżał już, nie dając oznak życia.

Drugi strzał, drugi zabójczy. Robi bezradnie uderzyła trzykrotnie głową o blachę dachu. To nie był jej styl działania! No, ale cóż. Taki los snajpera, a skoro była agentem, miała za zadanie ratować świat od ludzi, którzy odebrali jej rodzinę... Co tu mówić. Nie miała wyboru.

– Wreszcie – mruknął Szymon, poklepując ją po ramieniu.

Nagle pociąg ruszył z kopyta, prawie zrzucając agentów na sąsiednie tory. W ostatniej chwili złapali się wcześniej przymocowanych przyssawek. Ciała dwóch terrorystów zsunęły się na ziemię, zostawiając po sobie jedynie czerwone plamy krwi na białej blasze.

– Co się dzieje?! – pisnął Net, kurczowo trzymając się uchwytów swoich przyssawek.

– Maszynieście znużył się postój – mruknęła Robi. – Mamy lekko przerąbane. Nie mamy pojęcia, co się dzieje z Wróblem, a bez niego nie możemy określić, czy nasz cel z ochroną nadal siedzą w pierwszym wagonie. Przynajmniej jedno z nas musi tu siedzieć, dopóki nie wysiądą.

– Wszyscy musimy tu siedzieć. Nie mamy biletów i nie możemy się wpakować na kontrolę, bo musimy być gotowi do opuszczenia pociągu w każdej sekundzie – stwierdził Szymon.

Chcieli czy nie, musieli jechać na górze. Nie było w sumie tak źle. Jechali przez pola, łąki i wsie. Słońce wyszło zza ciężkich i szarych chmur, rażąc agentów w oczy.

Nagle pociąg zaczął zwalniać, ale z pewnością nie było to zasługą hamulca bezpieczeństwa.

– Wtedy w tunelu... Sam słyszałeś strzały. Gdzie podziało się dwóch naszych?! Krew na oknie! To ci przekłęci PAS-owcy! Jestem tego pewien – odezwał się jeden z terrorystów, przechodząc ze swoim towarzyszem do drugiego wagonu.

– Daj spokój, nasi pewnie sprzątają ciała tych nieudaczników.

Pociąg w dalszym ciągu zwalniał. Szymon nagle podniósł głowę i spojrzał w kierunku lokomotywy. Na jego twarzy malowało się lekkie przerażenie.

– Tu nie ma żadnej stacji – mruknął zaniepokojony. – A Delik jakby szykował się do wyjścia. Nie jest to też działanie hamulca awaryjnego. Pomyślcie chwilę! – Naładował broń.

– Cholera. Mają cywila na muszce. Maszynista! – pisnęła Robi.

– Zajmę się tym. Wy przypilnujcie Darka i terrorystów. Pójdę, zrobię swoje i wracam – szepnęła Descante, naciągając kominiarkę na twarz.

Podczołgał się na sam przód wagonu, tuż nad pomieszczenie maszynisty. Zaczepił się nogami o dach i zsunął pionowo po szybie, głową w dół.

Nie mylił się. Obok przerażonego mężczyzny stał zamaskowany terrorysta i trzymał broń przy potylicy swojej ofiary. Kiedy tylko zobaczył agenta, przygotował się do strzału, ale zawahał się przez sekundę. Myślał, że to jego kompan. Szymon wykorzystał to natychmiast. Wybił łufą górną część szyby, po czym strzelił do napastnika. Delikwiec padł trupem, a maszynista zemdleł.

Pociąg w końcu się zatrzymał, a agent wrócił do reszty swoich przyjaciół.

Grupka uzbrojonych po zęby terrorystów wyskoczyła z pociągu. Był wśród nich Darek. Żył! Był brudny, spocony i posiniaczony. Potargane włosy wpadały mu do oczu, a kilkudniowy zarost zasłaniał pół twarzy. Robi odetchnęła z ulgą, widząc go żywego.

Zeskoczyli na drugą stronę pociągu, przeczozłgali się przez tory i przywarli do ziemi kilka metrów od terrorystów. Gdyby byli bohaterami filmu, pewnie wstaliby i jedną serią z karabinu wystrzelaliby wszystkich. Niestety nie byli i nawet nie posiadali karabinu maszynowego. Gdyby teraz wstali, padliby znów. Trupem. Zastrzeleni przez dwóch terrorystów osłaniających tyły.

– Lisy! – odezwał się w ich słuchawkach zadyszany, ale nieziemsko szczęśliwy głos Franka. – Wróbel wyrwał się krogulcom. Meldujcie.

– Lis! do Wróbla – szepnęła Robi. – Podajcie pozycję i zróbcie to szeptem, do cholery. Siedzimy im na ogonach i nie mogą nas usłyszeć.

– Namierzam was. Europa... Polska... Opolskie... Mam!

– Świder, ciszej! – syknął Szymon.

– Przepraszam. – szepnął Alan. – Kontakt. Dwadzieścia kilometrów na zachód.

– Przyjęłam. Bez odbioru. Trzymajcie się na wysokim pułapie w promieniu pięciu kilometrów, pod wiatr – mruknęła Robi.

Kiedy terroryści oddalili się na pewną odległość, agenci ruszyli za nimi.

Rozdział siedemnasty

Déjà vu

Szli przez ogromną polanę na ugiętych nogach, z bronią w gotowości. Ich głowy ledwo wystawały znad wysokich traw i zbóż. Buty tonęły im w błocie po kostki. Najwidoczniej te okolice, podobnie jak Wrocław, zostały zalane ulewным, nocnym deszczem.

Na początku agentom spodobała się zmiana pogody, bo teoretycznie widoczność powinna się poprawić. Tak się jednak nie stało. Powietrze momentalnie nagrzało się do temperatury trzydziestu stopni Celsjusza i wszystko gwałtownie zaczęło parować. Zrobiło się okropnie duszno, a kłęby pary znacznie pogarszały warunki.

Po chwili dotarli do pola, gdzie rośliny rosły znacznie niższe. Nie było szans, by mogli dalej iść.

– I przepraszam bardzo. Mam się tarzać w tej brei? – pisał przerażony Net.

Dwójka agentów rzuciła mu zabójcze spojrzenia. Przewrócił oczami i wzruszył ramionami. Zacisnął powieki i z wyraźnym grymasem obrzydzenia na twarzy położył się na grząskim gruncie. Nie zdążył nawet otworzyć oczu, a Robi i Szymon leżeli już przy nim.

– Dobra, czołgamy się dalej za nimi i mamy nadzieję, że w końcu gdzieś dojdą. I błagam, nie trąćcie żadnego krzaka. Nie chcę zmienić się w krwawą miazgę tuż przed celem – syknęła cicho Robi i ruszyła do przodu.

Na horyzoncie wyłonił się stary, drewniany, trzypiętrowy dom. Wyglądał jak ruina zamieszkała przez upiory z klasycznego horroru. Terrorysty wyraźnie zmierzali w jego kierunku. Nie było to dość normalne, no ale w końcu to Delik. Najdziwniejsi terrorysty, jakich PAS widział.

Kiedy porywacze zniknęli razem z Darkiem wewnątrz budynku, agenci płasko przywarli do ziemi.

– Wróbel do Lisa1! – usłyszeli krzyk Franka. – Dwa dzikie puszczyki z północy!

Robi popatrzyła zdezorientowana na Szymona. Oboje przybrali zdziwione miny. Gryzoń znów przesadzał z kamuflowaniem wiadomości. O ile mieli pewne ustalone znaki, tak „puszczyk” na pewno nim nie był.

– Lis1 do wróbla. Co, do cholery?! – syknęła Robi i bezradnie ukryła twarz w dłoniach.

– No puszczyk! Taka sowa. – Miała wrażenie, że pilot robi sobie z niej jaja.

– Wróbel, mów wprost! Nie znamy całego atlasu ptaków na pamięć – syknęła poirytowana.

– Puszczyki żywią się wróblami i bez problemu przeganiają lisy spod gniazda – wytłumaczył Franek.

Och, no pewnie. Przecież to było takie oczywiste, czyż nie? Robi warknęła cicho ze złości i zaczęła rozglądać się po niebie. Nic nie zobaczyła. Tylko szaro-bure chmury i słońce. Jeśli dobrze zrozumiała swojego przyjaciela, to powinni mieć gdzieś nad głowami dwa wrogie śmigłowce. Tymczasem panowała zupełna cisza.

– Wróbel, jesteś pewien, że... – zaczęła, ale nie skończyła.

Nagle zza chmur wyłoniły się dwie złowrogo wyglądające czarne maszyny. Leciąły w chmurach, dlatego nie było ich widać! Ryzykowne, ale jak widać, zadziałało.

Trójka agentów leżała na ziemi, na sporym zabłoconym terenie, nieporośniętym roślinnością. Póki ich czarne stroje zlewały się z ziemistą breją, byli bezpieczni. Niestety nie zapowiadało się, żeby „puszczyki” miały szybko odlecieć. Patrolowały teren i uniemożliwiały agentom jakikolwiek ruch. Na Franka nie mieli co liczyć, bo o ile był na tyle świetnym pilotem, by bez uzbrojenia wyrwać się z ich szponów, o tyle nie mógł walczyć.

– Jako jedyna mam broń na tyle mocną, by wystraszyć te kupy złomu – mruknęła Robi, zerkając na swój karabin. – Czekacie tu. Ja odchodzę w bok i lecę do tych drzew. – Wskazała palcem pobliską kępę brzoź i innych krzaków. – Wy w tym czasie zakradacie się do budynku. Zdobęde wam trochę czasu i mam nadzieję, że dołączę do was za jakiś czas. Rozumiecie?

– Nie będziesz się narażać – syknął Szymon.

– Lis2 i Lis3! Nie zapominać, kto dziś dowodzi. To rozkaz!

– Tak jest – mruknęli oboje, ale pomysł nadal im się nie podobał.

Robi odczołgała się od nich najdalej, jak mogła. Była teraz po przeciwległej stronie błotnistego placu, tuż przy granicy traw. Oba śmigłowce znalazły się na zakręcie i akurat ustawiły się tyłem. Nie było co czekać na lepszy moment. Agentka ruszyła biegiem przez łąkę, cały czas mając na oku śmigłowce.

Kiedy tylko odwróciły się przodem do niej, padła na ziemię. Wiedziała, że terroryści ją zobaczyli. Teraz tylko musiała się ukryć na tyle, by utrudnić im oddanie celnego strzału. Położyła się na plecach i naładowała broń. Uniosła karabin i odnalazła jeden z „puszczyków”. Słońce świeciło prosto w lunetę i wręcz doprowadzało ją do szału. Strzelec pokładowy wroga wypatrzył ją wśród traw. Zaczął strzelać, ale za każdym razem mylił się o jakiś metr. W końcu śmigłowiec mignął jej tuż nad głową, a ona natychmiast pociągnęła za spust. Terrorysta runął w dół i upadł jakieś dwa metry od niej.

Odkoczyła przerażona i wycelowała w niego. Nie ruszał się. Strzał plus upadek prosto na plecy? Nic dziwnego, że ani drgnął. Robi zamknęła oczy i westchnęła głęboko. Potrząsnęła głową i znów skupiła się na dwóch czarnych śmigłowcach.

Stały w zawisie w równych odległościach od niej. Strata jednego kompana musiała nimi lekko wstrząsnąć, tym bardziej, że śmierć przyszła z trawy i w tej chwili nie widzieli zabójcy.

– Gdzie jest ten gnój, co strzelał?! – wrzasnął strzelec pokładowy drugiego śmigłowca.

Robi leżała na ziemi cicho jak myszka, tuląc swój karabin. Zaśmiała się cicho, widząc, jak bardzo zdenerwowała przeciwnika. Wiedziała tylko jedno. W tej chwili miała przerąbane. „Ciekawe, jak idzie Netowi i Szymkowi”, pomyślała i popatrzyła za siebie. Strzelec przeczesywał wzrokiem okolice, w której się ukrywała.

– Oj, niedobrze – syknęła pod nosem i naładowała broń.

Odwróciła się, klękając na prawe kolano. Uniosła karabin i wycelowała. Trafiła terrorystę prosto w prawe ramię. Ryknął z bólu i schował się do wnętrza śmigłowca. Agentka znów przywarła do ziemi, a na jej twarzy malował się tryumfalny uśmiech.

Śmigłowce nie miały już prawdopodobnie nic, czym mogłyby poważnie zaszkodzić piechocie. Przynajmniej tak jej się zdawało. Ruszyła biegiem w stronę starego budynku. Miała nadzieję, że jej przyjaciele już sprawdzają teren.

Nagle coś uderzyło w ziemię blisko niej. Odrzuciło ją daleko do przodu, a namoknięta ziemia rozprysła się w promieniu kilkunastu metrów. Karabin wyleciał jej z ręki, kiedy wpadła

ślizgiem w błoto. Otarła twarz i odwróciła się do tyłu.

– Co do... – wycedziła przez zęby.

Terroryści byli lepiej uzbrojeni, niż jej się wydawało. Mieli kilka rakiet powietrze–powietrze, ale jak się okazało, zostało im kilka pocisków idealnych do „likwidowania siły żywej przeciwnika”.

– Wróbel do Lisa1! Wróbel do Lisa1! – usłyszała w słuchawce radosne, ale lekko zaniepokojone wołanie Franka. – Podaj pozycję.

– Leżę w trawie i staram się przeżyć – mruknęła Robi, bo nie miała pojęcia, gdzie jest, na tyle, by podać współrzędne. – Prawie tam, gdzie byłam. Tuż przy dziurze w ziemi.

– Kontakt! – zawołał wesoło. – Wróbel do Sokoła!

Sokoła?! Kogo Gryzoń znów miał na myśli? On i te jego ptaki. Robi nie miała pojęcia, co jest grane, ale po chwili jej wątpliwości zostały rozwiane.

– Tu Sokół. Kontakt na pierwszej. Lis1, ewakuacja do zagajnika. Target: Puszczyk1 – odezwał się nieznajomy głos.

Sokół był uzbrojonym śmigłowcem PAS-u. Robi kamień spadł z serca. Franek ściągnął posiłki! Nie zastanawiając się długo, wstała i ruszyła biegiem w stronę brzozy, które miały zapewnić jej schronienie.

Nad jej głową przemknęły dwa granatowe śmigłowce. Pilot jednego z nich pomachał jej z uśmiechem i odbił ostro w prawo. Sokół otworzył ogień. Kadłuby wroga były kuloodporne i działko niewiele mogło im zaszkodzić. Jediną krzywdą, jaką wyrządził im pilot, było kilka wgnieceń...

– Tak się chcecie bawić? – wycedził przez zęby pilot. – Wiedźcie, że z pilotami PAS-u się nie zadziera!

Po chwili jeden z helikopterów Delika runął w płomieniach na ziemię, trafiony jednym z pocisków p–p (powietrze–powietrze). Drugi pilot zrozumiał, co się dzieje. Franek do tej pory z powodzeniem ściągał jego całą uwagę na siebie. Teraz jednak czarny śmigłowiec stanął w zawisie i powoli odwrócił się przodem do Sokoła.

Robi wyjrzała zza pnia brzozy. Delikowcy mieli jeszcze trochę pocisków, a dwójka sprzymierzonych pilotów nie mogła nic zrobić. Pierwszy na razie zawracał po zestrzeleniu jednego przeciwnika, a drugi w ogóle nie miał uzbrojenia. Nie było czasu do stracenia. Złapała za karabin i wycelowała prosto w mocowanie wyrzutni. Strzeliła, ale nic się nie stało. Beznadziejna sytuacja. Śmigłowiec wisiał przodem do niej.

Nagle wpadła na pewien pomysł. Po raz drugi uniosła karabin, ale tym razem wycelowała prosto we wlot silnika. Pociągnęła za spust.

Trafiony śmigłowiec zatrzęsł się na boki, a pilot na moment stracił panowanie nad maszyną. Wszystko, począwszy od zestrzelenia pierwszego Delikowca, do teraz trwało ledwie kilka sekund. To jednak wystarczyło. Pocisk wystrzelił spod Sokoła i trafił prosto w główny wirnik przeciwnika. Potężna eksplozja wbiła w ziemię maszynę razem z jej załogą.

– Sokół do Lisa1 – usłyszała w słuchawce głos pilota. – Dobra robota!

Uśmiechnęła się i wyciągnęła w górę rękę, dziękując za wsparcie. Potem przypomniała sobie o swoich przyjaciółkach i od razu pobiegła w stronę domu.

Była na szczycie niskiego pagórka, na którym rosło pojedyncze drzewo. Dobiegła do niego i wyjrzała zza pnia. Przez unoszącą się nad łąką parę wodną nie mogła zobaczyć nic poza zamglonym kształtem drewnianego budynku. Przymrużyła lewe oko, a prawym spojrzała przez lunetę swojego karabinu. Po długim czasie rozłąki w końcu zobaczyła Szymona i Neta.

Podchodzili do domu z dwu różnych stron. Najwidoczniej się rozdzielili. Szli na lekko ugiętych nogach, trzymając broń w górze, i uważnie rozglądali się dookoła. Agentka przeczesła wzrokiem wszystkie okna. Na poddaszu ktoś się czał. Wyteżyła wzrok.

– Lis2! – zawołała. – Nad tobą!

– Co?! Nie widzę! – szepnął jej przyjaciel.

Szymon miał problemy i nie widział zagrożenia. Mieli go na muszce! Robi stanęła stabilnie i wychyliła się jeszcze bardziej zza pnia. Wstrzymała oddech i pociągnęła za spust.

Trafiony terrorysta przetoczył się przez parapet i runął na ziemię tuż przed agentem. Szymon z niedowierzaniem pokręcił głową i spojrzał mniej więcej w stronę swojej przyjaciółki.

– Nie mam pojęcia, gdzie jesteś, ale już nigdy nie powiem złego słowa na temat snajperów – zaśmiał się cicho.

– Za dwie minuty jestem u was. To tylko dziewięćset sześćdziesiąt cztery metry. Zajmijcie się ciałem i sprawdźcie teren.

– Tak jest.

Zarzuciła broń na ramię i pobiegła w stronę budynku. Zerknęła na zegarek. Nie miała pojęcia, jakim cudem była już godzina dwudziesta pierwsza.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a szare dotąd chmury przybrały pomarańczowo-różowe barwy. Gęsta mgła zaczęła powoli zanikać, ustępując miejsca nocnym ciemnościom. Z nieba poznikały wszelkie ptaki, a z pól zwierzęta. Wszędzie słychać było tylko koncerty świerszczy i pohukiwanie sów dochodzące z pobliskiego lasu.

Robi dobiegła do czekających już na nią chłopaków i razem podeszli do drzwi. Popatrzyli na siebie i lekko skinęli głowami. Jednym mocnym kopniakiem Szymon wyważył stare spróchniałe drzwi.

Weszli do środka. Gdy tylko przekroczyli próg, uderzyła ich fala straszliwego smrodu, przypominająca trochę wysypisko śmieci. Ostrożnie stawiali każdy krok, by nie nadepnąć na skrzypiącą deskę. Na podłodze leżało mnóstwo papierów, pustych butelek po piwie i wódce, zużyte magazynki i łuski. Ściany oklejone były żółtą tapetą w okropne, pomarańczowe, kwieciste wzory, która odpadała już ze starości. Podłoga była okropnie krzywa, a farby czy lakieru nie widziała chyba nigdy.

Szymon i Net zaglądali po kolei do różnych pomieszczeń odchodzących od holu, a Robi cały czas zabezpieczała tyły.

– Czysto! – meldowali za każdym razem ku uciesze swojej dowódczyni.

Cały czas miała dziwne wrażenie, że już kiedyś tutaj była. Stare kartony ustawione w nieładzie pod ścianami, brudne szmaty porzucane dosłownie wszędzie. Gdzieś w tyle przebiegł szczur. Zatrzymała się kilka metrów przed schodami.

– Co jest? – zapytał Szymon, kiedy ani drgnęła, podczas gdy oni stali już na pierwszym stopniu.

– Mam déjà vu – mruknęła agentka, rozglądając się uważnie dookoła. – Zupełnie, jakbym to już widziała. Chyba mi się to śniło.

– Serio? – zdziwił się Net. – To co było dalej?

– To bez sensu... No ale... Ktoś był na górze.

Nagle coś cicho zatrzeszczało nad ich głowami. Wszyscy wytrzeszczyli oczy ze zdziwienia. Czyżby sen mógł być rzeczywistością?

– Idziemy! – syknęła prawie bezgłośnie Robi i podbiegła do przyjaciół.

Razem ruszyli na górę. Tym razem to Net osłaniał tyły, a pozostała dwójka kroczyła do przodu w pełnej gotowości do strzału.

Nagle Net potknął się o jakąś starą szklaną butelkę. Nie upadł, ale szkło z głośnym i donośnym „brzdęk” spadło piętro niżej. Agenci zatrzymali się i trzymając pistolety przed sobą, nasłuchiwali. Nie minęło kilka sekund, a z jednego z pokoi na górze wyskoczył terrorysta.

Był młody, bo na oko miał może dwadzieścia parę lat. Miał na sobie brązowe bojówki i zieloną koszulkę w maskujące łaty. Nie był umięśniony tak jak inni. Zwyczajny, szczupły chłopak. Czarne, przetłuszczone włosy wpadły mu do oczu, kiedy zaczął strzelać do agentów.

Szymon odepchnął Robi na bok, za ścianę, a sam wychylił się i strzelił. Trafił przeciwnika w kolano. Ten padł na ziemię, odrzucając broń przed siebie, i złapał się za ranną nogę. Popatrzył na agentów błagalnym wzrokiem przez łzy, kiedy ci stanęli nad nim, trzymając go na muszce.

Robi podniosła jego broń i zawiesiła sobie na ramieniu. Popatrzyła na przerażonego terrorystę z góry, po czym pstryknęła palcami, dając znak chłopakom, by opuścili broń. Zrobili, co kazała. Podeszła do rannego i szarpnęła go mocno za rękę. Dociągnęła go do ciągnącej się tuż przy ścianie rury i przywiązała mu do niej nadgarstki i kostki.

Zmierzyła go wzrokiem, a potem machnięciem ręki przywołała do siebie przyjaciół. Pokój po pokoju przeczesali również i to piętro. Wszędzie było pusto.

Było już zupełnie ciemno. Trzy minuty po dwudziestej pierwszej. Przeszukali już wszystkie pokoje i byli lekko zdezorientowani. Nie mieli pojęcia, gdzie może być reszta terrorystów i Darek, a czas leciał.

Wtedy usłyszeli ciche uderzenie, jakby coś spadło na podłogę. Ten dźwięk dochodził z góry...

– Poddasze – szepnęła Robi. – To tam muszą siedzieć.

– Skoro nie ma ich tutaj, to tam na górze jest ich minimum czterech – mruknął Szymon. – Może być trudno.

– Damy radę.

Odnaleźli drabinę prowadzącą na strych. Jak łatwo się domyślić, była połamana, więc Szymon podsadził Robi, a kiedy ta oznajmiła, że nikogo nie ma, on i Net również się tam wdrapali.

Byli w małym przedsionku i znaleźli się pod zamkniętymi drewnianymi drzwiami. Były pęknięte, a przez szparę przedostawało się światło zapalanej żarówki. Robi ostrożnie podeszła do nich i zajrzała do środka.

Oczywiście Szymon się mylił. Nie było ich tam czterech, a siedmiu, co znaczyło, że niektórzy byli tu już wcześniej. W tej sytuacji agenci mogli stwierdzić tylko jedno: było źle.

Robi na migi wytłumaczyła, co zamierza zrobić. Wolała się nie odzywać, bo terroryści byli zbyt blisko. Poklepała swoją kieszeń, w której miała granat błyskowo-hukowy, i pokazała, że gdy tylko wyważą drzwi, wrzuci go, i w czasie kiedy terroryści będą oszołomieni, oni zrobią to, co powinni.

Po szybkiej wymianie spojrzeń Szymon wyważył drzwi, a nad jego głową przeleciał odbezpieczony granat rzucony przez Robi.

– Na glebę! Gleba, gleba, gleba! – przekrzykiwali się agenci, siląc się na jak najpoważniejszy głos, by zastraszyć przeciwnika.

Oślepieni błyskiem i zdezorientowani hukiem terroryści nie poznali trójki nastolatków

i padli na ziemię w panice, myśląc, że mają przed sobą całą drużynę antyterrorystów.

Po kilku sekundach, kiedy ich zmysły wróciły już do normy, spostrzegli, że coś jest nie tak. Zanim zdążyli cokolwiek zrobić, część była już zakuta w kajdanki.

Robi właśnie obezwładniała jednego z nich, gdy ten wyrwał jej się i z całej siły pchnął ją na ścianę. Uderzyła głową o lampę i osunęła się nieprzytomna na stertę kartonów. Terrorysta skoczył po swoją broń, ale kiedy tylko za nią złapał, padł trupem, trafiony przez Szymona.

Agentka otworzyła oczy i chwiejąc się lekko, wstała. Szymon i Net walczyli z dwoma ostatnimi przeciwnikami. Rozejrzała się dookoła, szukając Darka.

W końcu go dostrzegła. Siedział w rogu pod oknem. Miał na sobie białą, brudną i lekko zakrwawioną koszulę z oddartym jednym rękawem i czarne podarte spodnie. Był posiniaczony, a na głowę zarzucili mu płócienny worek. Mimo wszystko go poznała. To z pewnością był on!

Jej przyjaciele właśnie powalili na ziemię ostatniego przeciwnika i zakuwali go w kajdanki. Przeskoczyła przez karton i podbiegła do Darka. Odsłoniła mu twarz i uśmiechnęła się szeroko, kiedy spojrzał półprzytomnym wzrokiem prosto w jej oczy.

– No cześć – szepnęła. – Tęskniłeś?

Mężczyzna nie wierzył w to, co widział. Cały czas był przekonany, że jego Robi zginęła wtedy pod Wrocławiem, postrzelona przez jednego z terrorystów. Zamrugał z niedowierzaniem i kiedy agentka przecięła linę krępującą mu ręce, uniósł prawą dłoń i pogładził ją delikatnie po policzku.

– Czy ja śnię? – wymamrotał. – Jak to możliwe, widziałem jak cię zastrzelili.

– Z ich celem? No błagam, już pięciolatek strzela lepiej. Spokojnie, już po wszystkim. Jest dobrze – powiedziała spokojnie dziewczyna, pomagając agentowi wstać.

Wpadli sobie w objęcia. Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni byli razem. W końcu, mimo tylu przeciwności, agentom udało się odbić Darka. To była najdłuższa akcja w historii PAS-u, ale na szczęście zakończyła się sukcesem.

– Dziękuję wam – powiedział agent, kiedy wychodzili ze starego budynku.

Zapadła już noc, a na bezchmurnym teraz niebie pojawiło się mnóstwo gwiazd. Księżyc w pełni oświetlał wszystko bladym światłem. Lekki, chłodny wiatr targał im włosy, a namoknięta ziemia ugiwała się pod ich ciężarem.

Szymon i Net odsunęli się na moment na bok i zaczęli wypatrywać śmigłowca, wywołując go.

– Lis2 do Wróbla, Lis2 do Wróbla. Czekamy tuż przy celu.

Tymczasem Darek popatrzył na Robi ze spokojnym uśmiechem i objął ją ramieniem.

– Tak się cieszę, że po mnie przyszliscie. – Zawiesił głos, a potem dodał pół żartem, pół serio: – Teoretycznie powinienem dać ci szlaban! Miałaś się nie narażać, a ty co?! Z dwójką dzieciaków tłuczysz się z tłumem terrorystów!

Robi speszona wbiła wzrok w ziemię i zaśmiała się cicho. Wtedy w oddali usłyszeli śmigłowiec. Po chwili Franek z Alanem wylądowali tuż przy nich. Kiedy dwójka studentów zobaczyła Darka, wyskoczyli z maszyny i podbiegli, żeby się z nim przywitać.

Kiedy wszyscy wsiadali do śmigłowca, Darek złapał Robi za rękę i przyciągnął ją do siebie delikatnie.

– Net jest w zespole?! – zapytał zupełnie zbity z tropu.

– To długa i zawiła opowieść – zaśmiała się nastolatka.

Po chwili zdążyli pod rozgwieżdżonym niebem w stronę Wrocławia.

Rozdział osiemnasty

Lekcja historii

Robi leniwie otworzyła jedno oko, potem drugie. Powoli rozejrzała się dookoła i uśmiechnęła się.

Przez okno do jej pokoju wpadały ciepłe promienie letniego słońca. Pogoda była idealna. Był koniec czerwca i wszyscy mieli wakacje. Z odległej o pół kilometra ulicy Pyłkowej dochodził wesóły gwar bawiących się dzieciaków.

Usiadła na łóżku i przeciągnęła się. Wstała i od razu zbiegła do kuchni.

Już na schodach poczuła najpiękniejszy zapach świata, za którym tak bardzo tęskniła, i mimo że minął już ponad tydzień, dalej się nim jeszcze nie nacieszyła. Woń spalonych grzanek, przesolonej jajecznicy i mleka, które wykypiało na kuchenkę. Czy można sobie wyobrazić coś równie pięknego?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo cieszy mnie w tej chwili brak smacznych posiłków – zaśmiała się rozbawiona, sadowiąc się przy stole obok Neta.

– A ty znowu się czepiasz mojej kuchni? – zapytał Darek, stawiając na stole talerz zwęglonych tostów z dżemem. – Staram się, jak mogę.

Uśmiechnął się do dwójki nastolatków przyjaźnie. Po porwaniu nie było już prawie śladu. Większość siniaków poznikala, a na łuku brwiowym została tylko lekko różowa blizna. Znow wyglądał tak jak dawniej, a po ciężkich przeżyciach pozostały tylko niemiłe wspomnienia.

Siadł na krześle i z apetytem zabrał się za konsumpcję. Po kilku kęsach odrzucił kanapkę i otrząsnął się ze wstrętem.

– Kogo ja oszukuję – mruknął pod nosem. – Zamawiamy pizzę! Co wy na to?

– O tak! – zawołała Robi razem z Netem i oboje przybili sobie piątkę.

Darek nie zdążył dojść do telefonu, kiedy tylne drzwi otworzyły się z hukiem i wszedł przez nie Szymon we własnej osobie.

– Siemanko! – zawołał.

– Co ty tu robisz?! – krzyknęła Robi, opluwając się sokiem pomarańczowym.

– Przyjechałem sobie z rodzicami da dwa tygodnie. Zateśniłem za swoim teamem! – oznajmił i położył na stole trzy kartony od pizzy. – Przyniosłem też wałówkę, bo nie ukrywajmy... Z całym szacunkiem, ale z tego, co Robi mówiła, i z tego, co widzę, wynika, że potrawy nie zachwycają...

– Wiem – mruknął zawstydzony Darek i zaśmiał się przeproszająco.

Kiedy zjedli już przepyszne i nieprzypalone śniadanie, Szymek, Robi i Net wyszli do ogrodu. Usiedli wśród drzew, które dawały schronienie w ten upalny, letni dzień.

Po raz pierwszy od czasu akcji ratunkowej siedzieli i czuli, że nie muszą nic. Mogli poświęcić czas na odpoczynek, którego tak bardzo brakowało im ostatnio. Teraz w końcu mogli być po prostu trójką przyjaciół, a nie młodymi agentami z ważną misją do wykonania.

Jaskółki wesóło szczebiotały nad ich głowami, uganiając się za owadami. Czysty błękit bezchmurnego nieba i świecące słońce sprawiały, że cała okolica tętniła życiem. Reks spał na

trawniku, wygrzewając się pod ulubioną tują Darka.

Net siedział oparty o pień brzozy i przypatrywał się, jak dwójka jego przyjaciół leży na trawie i sprzeczają się w żartach o kompletne bzdury, za każdym razem syjąc na siebie nawzajem żółta trawę. Czasami zupełnie ich nie rozumiał, ale według niego byli przykładem najprawdziwszej przyjaźni. Każde z nich poszłoby za sobą w ogień i pomogłoby drugiemu, zaraz po tym, jak przestałoby się z niego śmiać. Typowa nieprzesłodzona przyjaźń na zawsze. Zawsze marzył o takich znajomych, a teraz ich miał.

– Net! – wrzasnęła Robi, rycząc ze śmiechu, i wyrwała go z zamyślenia.

– Co? – zapytał zdezorientowany.

– Kto jest lepszym agentem?! – zapytał Szymon, przewracając swoją przyjaciółkę na trawę. – Superagent liniowy czy pół liniowiec, pół snajper?

To było jedno z tych niebezpiecznych pytań. Chłopak zastanowił się przez moment.

– Oboje jesteście równie świetni – odpowiedział i od razu poczuł się dumny ze swojej mistrzowskiej dyplomacji.

– Powiedzmy, że zaliczymy ci tę odpowiedź – zaśmiała się agentka. – Każdy PAS to as. Nie ma lepszych, jak Polska długa i szeroka!

Sami zaczęli temat, który ciekawił Neta już od dawna. Nie było lepszego momentu na wypytanie o to, co tak bardzo nie dawało mu żyć.

– Powiedzcie mi coś więcej o PAS-ie! – poprosił, robiąc tak słodkie i błagalne oczy, jak tylko mógł.

– Nie mówiliśmy ci? – zapytał Szymek i popatrzył na Robi.

– Najwidoczniej nie. No okej. Powiemy. Więc... Dawno, dawno temu... za lasami, za górami... W malowniczym Wrocławiu...

Słyszając parodiujący ton swojej przyjaciółki, Szymon nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Żyli sobie agenci – kontynuowała. – Żyli, ale jeszcze nie wiedzieli, że są agentami. Prawdę mówiąc, to nimi nie byli. Byli przyjaciółmi pracującymi w różnych służbach. Byli żołnierze, policjanci, antyterrorysty i ludzie z wywiadu. Cywilnego i wojskowego.

– Jeśli powiemy ci, kiedy powstał PAS, to będziesz wiedział, dlaczego w ogóle istnieje – wtrącił się Szymon. – Otóż został założony jedenastego października dwa tysiące pierwszego roku. Miesiąc po wydarzeniu, które zatrzęsło wszystkimi na całym świecie. Łapiesz? – Net pokiwał głową. – No, więc ci przyjaciele stwierdzili wtedy, że w tych czasach trzeba być gotowym na każdą możliwość. Rządowi pomysł się spodobał. Cywile lubią być bezpieczni, ale nie zawsze lubią wiedzieć, jak się o to bezpieczeństwo dba.

– PAS powstał po to, żeby zdusić wszelkich terrorystów i ich wybryki, zanim ktokolwiek ucierpi lub zanim ich działania wyjdą na światło dzienne. Po prostu wyprzedzamy fakty. Nie dopuścimy do żadnego ataku terrorystycznego, póki żyjemy. W praktyce to wygląda tak, że zamiast kilkudziesięciu milionów cywili obrywa w najgorszym wypadku mniej więcej sześćdziesiąt osób.

– Tylko tylu jest agentów? – zapytał zdziwiony Net, a Robi i Szymon parsknęli śmiechem.

– Agentów liniowych i snajperów jest na chwilę obecną łącznie trzydziestu – szepnęła dziewczyna, ledwo opanowując śmiech.

– Oczywiście na całą Polskę – dodał Szymek.

Net siedział i wpatrywał się z niedowierzaniem w dwójkę roześmianych przyjaciół. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. W końcu przeliczył w głowie dane i zapytał:

– Zaraz, zaraz... W PAS-ie jest sześćdziesiąt osób. Agentów trzydziestu. Kim jest reszta?

– Prosta sprawa – stwierdziła Robi, wzdusząc ramionami. – Nie liczyłam pilotów i informatyków. Pilotów jest sześciu, a komputerowców czterech.

– To nadal jest tylko czterdzieści osób – mruknął Net.

– Są jeszcze ci nudziarze z archiwum – wyjaśnił Szymek. – Oni potrafią tylko liczyć i teoretycznie strzelać. Teoretycznie. Ich jest dziesięciu. I jeszcze dziewięciu agentów pomocniczych.

– Do nas może dostać się tylko ktoś wyjątkowy, kto zaimponuje tym od werbunku. Najczęściej są to wybitne talenty wśród wojskowych, antyterrorystów, czasem policjantów. Zdarza się też, że trafia do nas jakiś student. Na przykład Alan.

– Teraz mamy drobny kryzys, bo nadal żyjącym założycielom należy się już wcześniejsza emerytura, a ze względu na ogromną konspirację i wysokie wymagania trudno ich szybko zastąpić równie dobrymi rekrutami. W tej chwili PAS składa się tylko z dwóch grup wiekowych. Tych weteranów i nas. Zarząd już robi, co może, ale znaleźć młodych, zaufanych i świetnych ludzi jest ciężko.

– Ufacie mi? – zapytał Net. – Bo wiecie... zabraliście mnie na akcję. To dla mnie zaszczyt.

– Ta sprawa to jeszcze nic – zaśmiał się Szymon. – Gdybyś wiedział, co my wyprawiamy na niektórych eskapadach. Zwykła akcja szturmowa jest wbrew pozorom dość prosta. Najlepsze są zawsze, kiedy trzeba z konspiracji przejść do szturm i to dopiero bywa ciekawe – stwierdził, po czym niespodziewanie wybuchnął śmiechem. – Ha, ha, Robi, pamiętasz naszą akcję na egzaminie?!

Jak mogła zapomnieć? Przecież to była ich najlepsza misja! Zbici z tropu egzaminatorzy dali im maksymalną liczbę punktów. Na samą myśl o tym agentka popłakała się ze śmiechu, a kiedy w końcu oboje się uspokoili, postanowili wytłumaczyć to zdezorientowanemu Netowi.

– Bo widzisz, PAS rzadko kiedy szkoli od podstaw. Zazwyczaj dostaje gotowych ludzi i podkreca im tempo, ale kiedy już ma wyszkolić nowicjuszy, wtedy robi się na serio ciekawie. Zazwyczaj dziewięćdziesiąt procent odpada, bo nie daje rady, ale ci, co już zostają, mają bardzo oryginalne pomysły.

– Ja i Szymon zawsze byliśmy parą na szkoleniu. Od początku ja robiłam za snajpera, a on za liniowca. No i kiedy przyszedł czas na egzaminy końcowe, postanowiliśmy dać czadu. Było kilka rodzajów sprawdzianów. Wszystkie poszły nam świetnie, ale najzabawniej było przy odbijaniu samolotu.

– Mieliśmy zakraść się do niego tak, by czwórka egzaminatorów, siedząca wewnątrz, nas nie zauważyła. Na wieży siedziało jeszcze dwóch agentów, którzy nas obserwowali. Dawali nam sporo czasu na sprawdzenie martwych punktów, tymczasem my po prostu skorzystaliśmy z niezwyklego rozwiązania. Przez lunetę swojego karabinu zobaczyłam, że jedno z tylnych kół podwozia stało tuż przy studziencie. Znaleźliśmy drugą, bardzo odległą od celu, i zeszliliśmy pod ziemię. Minęło kilka minut, a my byliśmy już pod samolotem. Wyszliśmy na płytę i przez podwozie dostaliśmy się na pokład samolotu.

– Instruktorzy byli wielce zadziwieni, bo spodziewali się nas jakieś dwadzieścia minut później. Ci, co siedzieli w wieży, opluli się kawą, jak usłyszeli, że dotarliśmy, a oni nawet nas nie widzieli. Dostaliśmy wtedy punkty za pomysłowe działanie, ale musieliśmy powtarzać test, żeby mieli pewność, że gdy zabraknie studzienek, damy sobie radę w tradycyjny sposób. Oczywiście dostaliśmy maksimum punktów.

Net siedział na trawie i przysłuchiwał się tym opowieściom w skupieniu. Nie posiadał się

z radości. Wszystkie jego marzenia z dzieciństwa się spełniały.

Szymon i Robi opowiadali i co chwilę wybuchiali śmiechem na samo wspomnienie swoich niektórych przygód.

– A pamiętasz kurs snajperski? – zapytał w końcu Szymek, starając się opanować chichot.

– Ta – mruknęła Robi. – Bo wiesz, Net, nasza dwójka nigdy nie należała do tych pokornych, zdyscyplinowanych rekrutów. Instruktorzy mieli nas czasem dość, ale przecież nie chcieli wywalić świetnie zapowiadających się dzieciaków, które w dodatku miały konkretne powody do zostania agentami.

– No i pewnego dnia – zaczął Szymon i aż zatarł ręce z radości, że może to opowiedzieć – Robi miała egzamin z podkradania się do celu. Na licencję snajperską. No i egzaminator odrobinę ją zmieszał z błotem tuż przed testem. Coś w stylu, że się nie nadaje, że tacy młodzi nie potrafią strzelać i takie tam. No ale wiesz, jaka jest nasza Robi... Strasznie uparta. Nigdy jej nie mów, że czegoś nie zrobi, bo właśnie wtedy z całą premedytacją to robi! Nie inaczej było wtedy. To było kilka lat temu, a ta mała złośnica zrobiła coś, co stanowiło problem nawet dla dorosłych chłopaków na tym samym etapie nauki! Leżała w trawie, prawie kilometr od instruktora, który siedział sobie wygodnie i popijał kawę. To było jeszcze przed testem. Strzeliła mu kulą, wtedy jeszcze gumową, prosto w kubek. Kawa zalała mu mundur, a on z przerażenia spadł ze swojego „tronu”. Wrzasnął na całe gardło i kazał jednemu z agentów, którzy się tam kręcili, znaleźć dzieciaka. Gostek dopadł ją dopiero wtedy, gdy zrezygnowany wracał do bazy i przypadkiem na nią trafił. Nie zdradził dokładnie jej pozycji. Zameldował tylko, że znajdowała się dziewięćset osiemdziesiąt metrów od ofiary. Oczywiście potem na egzaminie dostała najwyższe noty, a egzaminator do dziś jej nienawidzi za tamten strzał.

Robi zmierzyła przyjaciela morderczym wzrokiem, ale zaraz potem zaśmiała się pod nosem. Miał rację. To był jeden z jej bardziej zuchwałych wybryków, choć bywały też lepsze i śmieszniejsze.

– Jakim cudem dopuścili nastolatków do służby w tak elitarnej jednostce? – zapytał zaciekawiony Net.

– Tak naprawdę byliśmy szkoleni od urodzenia. Dzieci kogoś, kto dzień w dzień naraża się terrorystom i innym szemranym typkom, nie mogą być bezbronne. Od początku bawiliśmy się gadżetami, które nie mogły nas skrzywdzić, ale w razie potrzeby mogły uratować nam życie. Ćwiczyliśmy kondycję, zwinność, pływaliliśmy... Pewne odruchy kodowano w nas jako małych, nic jeszcze nierozumiejących brzdącach – powiedziała Robi, zerkając na Szymona.

– Tak, jesteśmy trochę jak zaprogramowane roboty. Poza tym mieli poczekać, aż skończymy szkołę, studia... Wtedy mieliśmy zdecydować o wstąpieniu w szeregi PAS-u. Miało być normalnie. I wtedy zginęli rodzice Robi, a ona sama ledwo uszła z życiem. Mój tata w podobnym czasie stracił zdolność wykonywania zawodu w wyniku ran odniesionych w walce. Ja i Robi byliśmy najlepszymi przyjaciółmi już wtedy, znaliśmy się z obozów „sportowych”, które tak naprawdę w delikatny sposób szkoliły nas do obrony i późniejszej służby. Po tych strasznych wydarzeniach przysięgliśmy sobie, że zadbamy, by te potwory poznały, czym jest sprawiedliwość. Próbowali nas powstrzymywać, ale w końcu stwierdzili, że lepiej, gdy będą nas nadzorować jako agentów, niż gdybyśmy mieli wymyślić coś sami. Dawali nam małe misje, niegroźne.

– Z czasem jednak nasze działania i działania związane z tymi bestiami zaczęły się zazębiać, a my dostawaliśmy coraz ciekawsze akcje. W końcu dla bezpieczeństwa dali nam broń. Ja, chcąc pokonać snajpera, sama musiałam się nim stać. Uzbrojony nastolatek, szkolony,

by walczyć jako żołnierz i agent. Brzmi psychopatycznie, wiem... Faktem jest, że to był nasz świadomy i, jeśli w przypadku gimnazjalisty można mówić o dojrzałości, dojrzały wybór.

– Tak naprawdę nie używamy broni w czasie akcji. Jedyne w wyjątkowych sytuacjach. Zwłaszcza Robi. Nienawidzi zabijać.

Nagle na tarasie pojawił się Darek.

– Obiad! – zawołał.

Trójka nastolatków popatrzyła na siebie niepewnie. Jeśli Darek zrobił obiad, to musieli się poważnie zastanowić, czy nie będzie lepiej, jeśli po cichu prysną i nie zjedzą czegoś na mieście.

– Spokojnie, katastrofy nie będzie! Przywieźli chińszczyznę!

Przyjaciele spojrzeli po sobie i skinęli głowami. Skoro danie było gotowe bez udziału Darka, to znaczy, że można było je zjeść.

Wstali więc i podreptali w stronę domu. W kuchni czekała na nich niespodzianka.

Przy stole siedzieli już Alan, Franek i ku zaskoczeniu wszystkich Marek.

– Pan żyje! – zawołał wesoło Net.

– Miło cię widzieć w całości – zaśmiał się Szymek i przybili sobie piątkę.

– Marek! – Robi rzuciła mu się na szyję, prawie spychając go z krzesła.

Później przywitała się z Gryzoniem i Świdrem i w końcu wszyscy zasiedli do stołu.

Opowiadali sobie różne historie i wspominali dawne czasy. Darek w końcu ze szczegółami dowiedział się, jak wyglądała droga do uwolnienia go. Marek opowiedział też o straszliwej nudzie, jaka dopadła go w szpitalu.

– Powiem wam jedno – stwierdził, gdy tylko skończył żalić się na brak atrakcji. – Jakkolwiek źle by tam nie było... Jedzenie było lepsze, niż gotuje Darek. Dlatego postanowiłem was wesprzeć w potrzebie i kupiłem po drodze jakieś słodko-kwaśne kluski.

– Bardzo śmieszne! – syknął Darek i dzielił przyjaciela ścierką po głowie. – Wiecie, co mnie cieszy najbardziej? Że nasz malutki team jest w komplecie.

Robi zrobiła zdziwioną minę i aż upuściła widelec. Powoli rozejrzała się dookoła. Alan próbował przeświecić zawartość swojego talerza jakimś wymyślnym urządzeniem. Franek starał się ułożyć z makaronu kształt myśliwca i przyozdobić go grzybkami Mun i bambusem. Marek opowiadał o swojej zakończonej już karierze w oddziale antyterrorystów, a Net słuchał, pochłaniając uważnie każde jego słowo. Był wniebowzięty, ale nie ma co się dziwić. W końcu to Net. Darek i Szymon wpatrywali się w Robi, widząc, że chce coś powiedzieć. Między nich Reks wpakował swój łeb i próbował wyżebrać choćby kawałeczek mięsa.

Przy stole siedziało siedem osób plus pies. Robi zaśmiała się głośno.

– Malutki team?! – pisnęła. – To największy i najbardziej pokręcony zespół, jaki widziałam! Uwielbiam was po prostu.

Wszyscy uśmiechnęli się do siebie nawzajem. Tak dobrze nie było już od dawna.

Mimo wszystko nigdy nie jest tak dobrze, by nie mogło być lepiej!

Rozdział dziewiętnasty

Wielka gala

Promienie porannego słońca wpadały przez szparę pod nie do końca zasłoniętą roletą. Był kolejny ciepły, letni dzień. Robi leniwie przewróciła się z boku na bok. Kołdra leżała na podłodze, rzucona z łóżka z powodu okropnego upału, a Reks zrobił sobie z niej wygodne posłanie.

– Robi! – wrzasnął Net, wbiegając do jej pokoju i brutalnie spychając ją z łóżka.

– Czego?! – syknęła, rozcierając sobie głowę, którą uderzyła właśnie o nocny stolik.

– Śniadanko na stole.

– O nie. Znów przepyszne wiórki węglowe zwane tostami?

– Nie – odpowiedział chłopak z entuzjazmem. – Szymon przyniósł wałówkę.

– Co?! – zdziwiła się Robi i poderwała się do góry, przez co znów uderzyła głową o stolik. – Jak to Szymon?!

Zbiegli we dwójkę do kuchni. Net miał rację. Jej przyjaciel faktycznie tam był. Ucieszyła się na jego widok, ale przecież nigdy by mu tego wprost nie powiedziała...

– A ty co? Zaległeś się już tutaj? – zapytała, siadając przy stole.

– No widzisz, musisz wystawić jakieś pułapki na natrętnych agentów. Szkoda, że takich nie wynaleziono.

– Wsadzę miskę z sokiem pomidorowym i chrupkami, to od razu wleziesz do klatki – zażartowała i zabrała się za apetycznie wyglądającą jajecznicę.

– Przestań się nabijać z soku pomidorowego. Nie ma lepszego napoju niż on! – stwierdził Szymon i wyrwał jej z ręki widelec.

Zaczęli się szarpać i nawzajem spychać z krzeseł, walcząc o sztuciec. Darek pokręcił głową z politowaniem.

– Dobrze, że jutro jadę na tę galę. Odpocznę sobie od was przynajmniej. Tylko żebyście mi domu nie roznieśli.

– Z czego tu się cieszyć... – zaśmiała się Robi, w końcu odbierając Szymkowi swoją własność. – Nudna impreza dla snobów.

– Dla oficerów... – poprawił ją poirytowany Darek.

– Jedno i to samo – stwierdził Descante i zabrał widelec Netowi.

Net wymamrotał coś o tym, że mógłby sam się ruszyć i podejść do szuflady po własny, ale wiedział, że nie ma sensu się odzywać. Wstał i poszedł szukać widelca.

– Zawsze się dziwiłem, dlaczego na galę nie jeżdżą podoficerowie... Teraz już rozumiem – mruknął Darek i zabrał się za jedzenie kanapki.

– Mnie to nawet pasuje – mruknęła Robi. – Wolę poćwiczyć i udoskonalić swoje umiejętności, niż siedzieć kilka godzin i wysłuchiwać gędzenia dyrektora na temat osiągnięć, porażek i tego, co powinno się w PAS zmienić. Nuudy.

– No, gada też o regulaminie. O tym, jakie to ważne, by go przestrzegać i działać zgodnie z procedurami – powiedział Szymon, siląc się na przesadnie poważny głos.

– Dokładnie. Przecież wszyscy wiemy, że to ściema. Gdybyśmy nie złamali... Umm... Kilku – zaśmiała się niewinnie, robiąc krótką pauzę – mało istotnych zasad, to dziś nie siedzielibyśmy tu razem.

– Nie przeczę. Mimo wszystko bez zasad byłby chaos.

Darek zawsze upierał się przy tym, że PAS jest idealny. W końcu był przyjacielem jednego z założycieli, którym był ojciec Robi. Zresztą miał rację. Jeśli chodzi o skuteczność i wyszkolenie, rzeczywiście tak było. Mimo wszystko młodzi agenci uważali, że regulaminu nie da się przestrzegać w każdej chwili. Agencja powstała właśnie po to, by do pewnego stopnia być wolną od zasad. Nawet od tych z kodeksu karnego.

Net podszedł do okna. Zauważył, że ktoś kręci się przy furtce. Już chciał alarmować agentów, ale na czas zorientował się, że po prostu listonosz przyniósł listy i wsadzał je właśnie do skrzynki.

– Poczta przysłała – mruknął, wracając do stołu.

– Poczta? Do nas nie przychodzi poczta – szepnęła Robi, patrząc podejrzliwie w stronę okna.

Pobiegła do korytarza i złapała za broń leżącą na półce. Ostrożnie podeszła do drzwi i wyjrzała przez okno. Nikogo w pobliżu nie było. Wymknęła się na zewnątrz i będąc cały czas w gotowości do obrony, dotarła do skrzynki. Zajrzała do niej, jak najdelikatniej mogła.

W życiu agenta nic nie jest bezpieczne. Skąd miała wiedzieć, że list nie jest bombą?

Wyciągnęła go powoli i od razu odetchnęła z ulgą. Zaśmiała się pod nosem i pokręciła głową. Sprawdziła adresata i aż ją wmurowało ze zdziwienia. Był to list z PAS-u. Od samego generała z Warszawy. I był zaadresowany do niej! Jedno było pewne. Listonosz był jednym z agentów pomocniczych.

– Co to jest? – zapytał Darek, kiedy wróciła do kuchni.

– List od głównego dyrektora.

– Do mnie? – zapytał.

– Nie. Do mnie – mruknęła i otworzyła list.

Przeczytała go kilkakrotnie, po czym upuściła świstek na podłogę. Wszyscy patrzyli na nią z lekkim przerażeniem. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha.

– To zaproszenie na galę dla oficerów – wymamrotała.

Szymon parsknął śmiechem.

– Na tę dla tych nudziarzy?! – wrzasnął rozbawiony.

– Tak. Ciebie i Neta też zaprasza.

– Co?! – pisnęli oboje.

– „Mam zaszczyt zaprosić Robi Damon wraz z jej przyjaciółmi z teamu oraz Netem na naszą coroczną galę”... bla, bla, bla. Sami widzicie. Wy też.

Szymon wyrwał jej list z rąk i przeczytał.

– To nie fair! – syknął.

Robi zachichotała cicho, ale zaraz później zatopiła się w rozmyślaniach. Wielka gala PAS-u gromadziła oficerów, a to oznaczało, że sławne Irbisy też tam powinny być. Irbisy to elitarny oddział snajperów z agencji. Żeby zostać jednym z nich, trzeba być lepiej niż idealnym. Było ich tylko czterech na całą Polskę i byli zdecydowanie najlepsi. Od kiedy tylko nauczyła się strzelać, marzyła, by zostać jednym z nich albo chociaż spotkać ich osobiście.

– Tam będą oni... – mruknęła, kiedy szok zaczął jej powoli przechodzić. – Będą Irbisy z lśnącymi odznakami na piersiach. Może mnie zauważą! W co ja wierzę... No ale może się

uda!

– Co jej jest? – zapytał po kryjomu Net, kiedy Robi skakała z radości dookoła stołu.

– Marzy o jakiejś odznace. Nic specjalnego moim zdaniem. Zwykły srebrny kot z karabinem, w złotym celowniku. Szału nie ma – odpowiedział znudzony Szymon, śledząc wzrokiem przyjaciółkę.

Pociąg do Warszawy mieli wieczorem, więc zaczęli się szykować już teraz.

– Zdziwiasz mnie, Robi, wiesz? – powiedział Szymon, kiedy rozmarzona Robi przypinała do munduru swoją stalową odznakę snajpera liniowego. – Jesteś strzelcem, chcesz być jeszcze lepsza! Chcesz należeć do Irbisów! I co? Nawet nie lubisz strzelać do ludzi.

– Świat nie polega na płamieniu ścian mózgami wrogów. Sztuką jest pokonać ich, nie brudząc sobie rąk ich krwią.

– Tak, oszczędzisz życie zbrodniarzowi, który potem zabije agenta lub naszego sojusznika! Jesteśmy poniekąd częścią wojsk specjalnych. Zabijanie to czasem nasza rola.

– Szymon, tobie tylko jedno w głowie. Za dużo grasz w gry komputerowe, zbyt wiele strzelanek. Nie można zabijać jak leci. Gdy ktoś stanowi bezpośrednie zagrożenie dla nas lub sojuszników, nie można się wahać. Przypadkowe ofiary wystarczy ogłuszyć.

– Serio? Na dachu wagonu się zawahałaś! – burknął Szymon i popatrzył na przyjaciółkę z wyrzutem. – Co gdyby tamten strzelił?

– To był jednorazowy błąd.

Następnego dnia, w warszawskiej bazie, Szymon i Robi przebrali się w swoje galowe mundury i zeszli pod salę konferencyjną, gdzie czekał już na nich Net ubrany jak na egzamin szkolny. Po chwili dołączył do nich Franek z Alanem. Pilot miał na sobie stalowy mundur lotnika z odznaką złotego samolotu na biało-czerwonym tle w kształcie Polski, a informatyk był w garniturze.

– No to wchodzimy – oznajmił Darek i wszyscy razem przeszli przez próg do sali.

Było to ogromne pomieszczenie, stylizowane na dawną salę balową. Naprzeciw wejścia znajdowała się scena, a przed nią ustawiono mnóstwo krzeseł. Po lewej stronie stały stoły z poczęstunkiem. Wszędzie kręcili się elegancko poubierani członkowie PAS-u.

Kiedy wybiła godzina dwunasta, wszyscy goście zajęli miejsca na miękkich i wygodnych, czerwonych krzesłach. Po chwili na scenę wyszedł dyrektor i jak na zawołanie wszyscy stanęli na baczność. Gdy dał znak, że mogą spocząć, znów usiedli.

– Witam wszystkich serdecznie. Licznie dziś przybyliście.

– A dziwi się, skoro zaprosił też podoficerów? – zażartował Szymon, szepcząc Robi do ucha.

– Weź przestań. Tylko my tu jesteśmy. Reszta to szuchy. Nie mam pojęcia, co tutaj robimy! Katastrofa...

– Zapewne wiecie, że ten rok był pełen akcji. Z dumą mogę powiedzieć, że nadal mamy najlepszą skuteczność – ciągnął dyrektor monotonicznie. – Walka z terrorystami i zorganizowanymi grupami przestępczymi jest ciężka, ale my damy radę!

– Powiedział facet pierdzący w stołek za biurkiem – szepnął Descante, a Robi cicho zachichotała.

– Dzielnie bronimy nasz kraj przed niebezpieczeństwami. Myślę, że osiągnęliśmy najwyższy stopień profesjonalizmu...

Dwójka agentów ziewnęła skrycie i znów się zaśmiała. Nienawidzili, kiedy musieli

wysłuchiwać długich i nudnych przemówień. Mieli ogromną ochotę wstać i podejść do stołów zastawionych mnóstwem talerzy z apetycznie wyglądającymi potrawami. Z całej drużyny tylko Net sprawiał wrażenie zachwyconego, ale co mu się tam dziwić? Był cywilem otoczonym przez tłum agentów. Właśnie spełniało się jedno z jego marzeń, więc nie narzekał i cieszył się chwilą.

Dyrektor cały czas mówił praktycznie o tym samym. Wszyscy, nie tylko najmłodszy, dosłownie już przysypiali. Lekkie ożywienie pojawiło się dopiero, kiedy dyrektor poruszył dość ciekawy temat.

– Ostatnio dużo mówi się o łamaniu regulaminu. Niektórzy robią to bardzo często. Działają tak, jakby zasady zostały spisane dla zabawy.

– Myślisz, że o nas mówi? – zapytał Szymon szeptem Robi, a ona zachichotała.

– Całkiem możliwe – odpowiedziała. – Myślisz, że zaprosił nas tutaj tylko po to, żeby nas oficjalnie ochrzanić?

– Mam nadzieję, że nie.

Dyrektor, nie słysząc młodych agentów śmiejących się pod jego nosem, kontynuował swoją mowę.

– Jest wśród nas drużyna, która jest absolutnym rekordzistą, jeśli chodzi o ignorowanie zasad. Nawet jej istnienie przeczy kilku paragrafom! W ciągu jednej akcji złamali prawie wszystkie zasady.

– Na bank mówi o nas. – Robi nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Tym bardziej dziwi fakt, że właśnie trzymam w ręce teczkę z nominacją jednego z tych agentów na oficera.

Szymon i Robi równocześnie zachłysnęli się śliną. Na sali zapanowała zupełna cisza, przerywana teraz tylko kaszlem dwójki nastolatków. Nie licząc Neta, tylko oni w teamie byli podoficerami, więc jeśli dyrektor mówił o ich grupie, to chodziło o któreś z nich.

Popatrzyli na siebie, po czym przenieśli wzrok na generała, który zrobił teraz trzymającą w napięciu pauzę.

– Tak więc... Zapraszam do siebie Robi Damon – po tych słowach Robi spadła z krzesła – która wykazała się odwagą i w czasie ostatniej akcji udowodniła, że drużyna kierowana przez młodego dowódcę wcale nie jest gorsza od innych. Gratuluję!

Oszołomiona agentka pozbierała się z podłogi i powoli, chwiejnym krokiem, ruszyła w stronę sceny. Wszystkie oczy były w tej chwili skierowane na nią. Nie wiedziała, co się dookoła dzieje. W głowie głębiły jej się ostatnie słowa dyrektora. Nie mogła w to uwierzyć. Teraz, kiedy miała zostać oficerem, jej marzenie o Irbisach stało się takie realne... Tak bliskie i namacalne.

Weszła po schodach i znalazła się u boku generała. Stała na baczność i zaszalutowała. Odwzajemnił gest i wręczył jej nominację. Pogratulował jej i nagle wszyscy zaczęli bić brawo. Nadal nie kontaktowała ze światem. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Wróciła na miejsce w zupełnym osłupieniu i do końca przemowy nie mówiła już nic. Wyłączyła się zupełnie, a myślami wróciła na ziemię dopiero, kiedy Szymon podstawił jej pod nos kanapkę z twarogiem.

W pewnym momencie podszedł do nich dyrektor we własnej osobie. Robi i Szymon stanęli na baczność, a Net patrzył na mężczyznę z przerażeniem i zarazem zachwytem.

– Agentko Damon, mogę prosić cię na sekundę do swojego gabinetu? – zapytał, a Robi skinęła głową. – Wy też chodźcie.

Gdy weszli do dość przestronnego gabinetu, Robi stanęła jak wryta.

Przy parapecie, na niskiej szafce, siedział wysoki i przystojny mężczyzna w granatowym mundurze. Wpatrywał się w podłogę, a kiedy weszli, podniósł głowę. Robi od razu zauważyła odznakę. Dostojny srebrny irbis trzymający w pysku karabin umieszczony na złotym celowniku. Nogi zrobiły jej się jak z waty i zachwiała się. Dwójka przyjaciół w porę ją złapała.

– Szymon, mam tu twój wniosek o przeniesienie do Południa. Rozpatrzony pozytywnie – mruknął generał i podał chłopakowi teczkę z dokumentami. – Jutro zameldujesz się w bazie.

– Tak jest! Dziękuję! – ucieszył się Descante.

– Net?

– T-tak, p-proszę p-pana? – wyjąkał nastolatek, wysuwając się zza Robi.

– Słyszałem, że dwójka naszych juniorów wyszkoliła cię trochę. Pomogłeś im też podobno w akcji. Gratuluję. Mam dla ciebie pewną propozycję. Może chciałbyś zostać agentem pomocniczym? Jest w tobie potencjał i chcemy go wykorzystać.

– Ja? Agentem?! O, tak! – wrzasnął chłopak i zaczął podskakiwać z radości.

Irbis popatrzył na niego rozbawiony.

– Będę agentem! Super, super, super! Dziękuję! – zawołał wesoło i stanął na baczność.

Generał popatrzył na Robi i uśmiechnął się.

– Teraz głos oddaję Robertowi – mruknął i usiadł za biurkiem.

– Robi – zaczął Irbis, wstając i podchodząc do nastolatki dostojnym krokiem.

Na jego ramieniu wisiał błyszczący karabin wyborowy. Był dowódcą snajperów, którzy mieli po przemowie zająć się ochroną „impresy”, dlatego miał broń.

Robi nie posiadała się ze szczęścia. Stała oko w oko z prawdziwym Irbisem, największą elitą świata polskich służb specjalnych. Całe życie marzyła o tej chwili. Snajperzy byli oddziałem północnej części PAS-u, więc nigdy nie miała okazji ich spotkać. Patrzyła to na karabin, to na odznakę i wreszcie przeniosła wzrok na twarz mężczyzny.

– Dużo słyszeliśmy o twoich wyczynach – kontynuował z uśmiechem. – To ciekawe, że tak młoda osoba tak wiele potrafi. Ustaliliśmy z chłopakami, że powinnaś spróbować swoich sił u nas.

– J-ja? – wyjąkała zaskoczona Robi.

– Tak. Właśnie ty. Oczywiście możesz odmówić.

– O rany, o rany, o rany, o rany!

– Więc jak?

– Tak, tak, tak, tak!

Szymon i Net uśmiechnęli się i pokleпали ją po ramionach. Stała wpatrzona w Irbisa i aż miała ochotę skakać z radości. Mimo wszystko postanowiła zachować godność i stała w miarę spokojnie.

– Będziemy mieli Irbisa w drużynie! – odezwał się Szymon i przybił z Netem piątkę.

– Nie będziecie mieli – powiedział lekko zaskoczony jego entuzjazmem mężczyzna.

– Co?! – pisnęła równocześnie trójka nastolatków.

– Irbisy są na Północy. To oznacza przeniesienie.

– Nie można tu? – zapytała Robi z nadzieją w głosie.

– Nie da rady.

– W takim razie muszę odmówić – oznajmiła, a mężczyzna popatrzył na nią zbity z tropu.

– Ona bredzi! – krzyknął Szymon i złapał przyjaciółkę za rękaw, po czym przyciągnął do siebie. – Co ty robisz?! Zdurniałaś?! To twoje marzenie, nie odpuszczaj sobie!

– Nie – powiedziała stanowczo i znów odwróciła się do Irbisa. – Przykro mi, ale nie mogę. Zawsze chciałam być snajperem. Irbisem. Móc nosić z dumą tę piękną odznakę... Teraz jednak wiem, że podświadomie marzyłam o przyjaciołach, którzy są niezastąpieni. Nie mogę ich zostawić. Nie przeszkadza mi bycie zwykłym liniowym snajperem, bo przecież mimo wszystko mogę bronić kraju, a właśnie o to tutaj chodzi. Kiedyś myślałam, że mogę działać sama, a inni będą mi tylko przeszkadzać. Teraz wiem, że ich nie zostawię.

– Rozumiem – odpowiedział mężczyzna, choć tak naprawdę był zupełnie zdezorientowany. – Jeśli kiedyś zmienisz zdanie, to możesz się zgłosić. Pozostaje mi tylko życzyć powodzenia i sukcesów jako oficer w zwykłej grupie liniowej. – Snajper był lekko oburzony tym, że ktoś mu odmówił.

– Będę pamiętać. Dziękuję – odpowiedziała Robi, obserwując, jak Irbis wychodzi z gabinetu.

* * *

Słońce świeciło wysoko na niebie. Było samo południe, a temperatura podskoczyła do niewyobrażalnie wysokich wartości.

Szymon i Net biegali po ogrodzie, bawiąc się z Reksem. Byli spoceni, zmęczeni, ale przeszczęśliwi. Net miał właśnie dwudniową przerwę w szkoleniu. Jego kondycja znacznie się poprawiła, więc spokojnie nadążał za psem.

Alan i Franek dyskutowali na temat swojego genialnego projektu, który stworzyli razem jakiś czas temu. W początkowym założeniu miał on po prostu latać. W wersji końcowej dodali mu jeszcze mnóstwo gadżetów, przez co zrobił się za ciężki i nie mógł oderwać się od ziemi. Właśnie kłócili się o to, co mogą wyrzucić, a co musi zostać.

Darek wyszedł na kurs kulinarny. Kiedy zobaczył rachunki za pizzę, chińszczyznę oraz inne zamawiane potrawy, stwierdził, że taniej wyjdzie, jeśli nauczy się gotować. Jak postanowił, tak zrobił.

Robi siedziała na krześle pod brzozą. Na stoliku przed nią leżał jej pamiętnik i długopis, a ona wpatrywała się w swoich przyjaciół...

27 sierpnia 2011

Tak bardzo cieszę się, że cała akcja skończyła się dobrze. Darek żyje, nam też nic się nie stało. Pokazaliśmy Delikowi, jak mocno potrafi „kąsać” rozdrażniony agent.

Teraz wiem, że sama nie dałabym rady. To dzięki mojej najlepszej pod słońcem ekipie udało się wygrać cały ten wyścig z czasem.

Szymon przeprowadził się do mojej okolicy, a Net mieszka ze mną i Darkiem. Wreszcie wszyscy jesteśmy blisko siebie.

Po sześciu latach znów zaczynam być sobą. Sześć lat po tym, gdy straciłam wszystko, po tym, gdy patrzyłam na ostatni błysk życia w oczach rodziców. Całe sześć lat od chwili, kiedy tuż przed swoją śmiercią mama otarła mi łzy. I wreszcie sześć lat po tym, gdy przysięgłam zemstę za to, co spotkało moich bliskich.

Dzięki swojej ekipie wiem, że mam przyjaciół, którzy zawsze będą ze mną. Wiem, że mam dla kogo żyć.

Delik jeszcze nie raz pozna, co to strach przed PAS-em. Już ja o to zadbam. Nie

jestem mściwa, ale tę jedną sprawę doprowadzę do końca! Po sześciu latach nadal tęsknię, ale wiem, że będzie dobrze. Nie odpuszczę.

Zamknęła pamiętnik i popatrzyła na bezchmurne niebo. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się, słysząc wesoły śmiech swoich przyjaciół. Zawiał lekki, letni wiatr, a ona poczuła, że mimo iż śmierć rozdzieliła ich sześć lat temu, jej rodzice gdzieś tam są.

Za kilka dni miała wyruszyć do szkoły oficerskiej. Cieszyło ją to. Nie mogła się doczekać. Najbardziej jednak czekała na powrót do domu po szkole i kolejne misje ze swoją drużyną.

Część II

CZĘŚĆ II

Rozdział pierwszy

To zaszczyt, poruczniku!

„Błagam, niech to się już skończy! Mam dość. Chcę do domu” – powtarzała w myślach bez przerwy.

Siedziała na niewygodnym krześle w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Ręce miała przywiązane grubą liną do podłokietników, a kostki – do nóg krzesła. Starła się uwolnić, ale nie dawała rady. Za każdym razem silny ból przeszywał jej nadgarstki. Normalnie już byłaby wolna, ale w tej chwili jej stan zdrowia na to nie pozwalał.

Powoli podniosła głowę. Wszystko było zamazane. Zauważyła tylko, że nad stołem niedaleko niej pali się słabe światło. Poza tym wszystko było szarą, niewyraźną masą składającą się z plam różnych odcieni. Kilka metrów od siebie dostrzegła ruch. Po kształcie odgadła, że to człowiek. Wiedziała kto to, bo byli tu tylko we dwójkę.

– Nie sądziłem, że da się utrzymać cię tak długo w stanie kompletnej bezsilności – zaśmiał się doktor Zuo, krążąc powoli dookoła swojego więźnia.

– Widocznie przeceniałeś moje siły – szepnęła słabym, prawie niesłyszalnym głosem. – Co z Netem?

– Nic mu nie jest. To nie jego czas – odpowiedział, stając za dziewczyną.

Nie widziała go, nie miała pojęcia, co robi za jej plecami. Powoli rozejrzała się na boki, ale stał w martwym punkcie i nie udało jej się go zobaczyć. Zrezygnowana znów opuściła głowę i przymknęła piekące okropnie oczy, dając im odpocząć.

– Chcę zobaczyć, że nic mu nie jest – syknęła, ale nie zabrzmiało to tak groźnie, jak zamierzała.

– Nie denerwuj się tak, bo jak padniesz, to nie będzie zabawy.

– Chcę go zobaczyć. Teraz! Pokażcie go.

Zuo westchnął głęboko i stanął obok agentki. Pomyślał chwilę, przyglądając się jej uważnie. Musiał upewnić się, że nadal nie ma dość siły, by nagle wyrwać się i uciec razem z chłopakiem. W końcu podszedł leniwie do stołu i podniósł krótkofalówkę.

– Przeprowadźcie smarkacza – syknął cicho.

Znów wrócił na swoje miejsce, stając za Robi. Po chwili do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn prowadzących Neta Bore'a. Nic mu nie było. Był tylko brudny i spocony, ale cały i zdrowy. Kiedy zobaczył swoją przyjaciółkę, zaczął się wyrwać z całych sił.

– Robi! – krzyknął po chwili, wciąż starając się uwolnić.

– Net, nic mi nie będzie – mruknęła, siląc się na spokojny ton głosu.

– Oj, nie bądź tego taka pewna. – Zuo zaśmiał się złowrogo.

Złapał Robi za włosy i odchylił jej głowę do tyłu. Syknęła z bólu, a on uśmiechnął się z satysfakcją i przyłożył jej nóż do gardła. Net wrzasnął przeraźliwie, znów szarpiąc się z osiłkami, którzy go trzymali, a Zuo lekko musnął ostrzem szyję agentki, zostawiając na niej cienki krwawy ślad.

– Robi, nie! Robi! – Net wychodził z siebie na widok bezbronnej dziewczyny, której

mimo wielkich chęci nie mógł pomóc.

– Zabierzcie go! – warknął Krzysztof, wskazując drzwi. – Nie chcę zbędnej publiczności!

Mężczyźni siłą wyciągnęli szarpiącego się chłopaka i zamknęli za sobą drzwi. Zuo zarechotał gdzieś za plecami agentki. Sytuacja była naprawdę beznadziejna.

– Po co to wszystko, co? – zapytała zachrypnięta, znów starając się odnaleźć wzrokiem przeciwnika.

– Ależ, co masz na myśli, księżniczko? – zapytał ironicznie, nadal nie wchodząc w zasięg wzroku agentki.

– To związanie i całą resztę.

– To proste. Nie chcę, byś nam uciekła.

– A niby jak mam to zrobić? – wycedziła poirytowana Robi, próbując się uwolnić, ale znów jej się nie udało. – Ledwo co stoję na nogach!

– Jesteś nieprzewidywalna. Nie wiem, ile uda nam się jeszcze trzymać cię w takim stanie. Cieszę się każdą chwilą twojej słabości. To piękny widok. Poza tym, znając cię, nadal masz siłę, by pokrzyżować nam plany, a na to nie pozwolę.

– Sadysta.

– Och, dość tych komplementów.

– Sam zacząłeś.

– Ja? – zarechotał ponownie Zuo, zaglądając jej przez ramię.

– Związałeś półżywego agenta, bojąc się, że cię pokona nawet w takim stanie. W takim razie jak dobry musi być, gdy jest w pełni sił! Jesteś beznadziejny. Nie masz na tyle jaj, żeby stanąć do walki bez tych lin i krzesła.

Tym zuchwałym stwierdzeniem go rozwścieczyła. Znów złapał za nóż. Odciągnął jej głowę do tyłu o wiele mocniej niż poprzednio. Tym razem całe krzesło się przechyliło. Znów przyłożył jej ostrze do szyi tam gdzie ostatnio. Podrażniona rana zapiekła ją niemiłosiernie, ale ku jej zaskoczeniu, nic więcej jej nie zrobił.

Znów głośno westchnął i odłożył nóż. Obszedł ją dookoła, a potem zatrzymał się i rozejrzał na boki. Nie miała pojęcia, co doktor zamierza, ale miała już dość. Było jej poniekąd obojętne, co z nią zrobi. Dla niej liczyło się tylko to, żeby wypuścił Neta, który powiadomiłby Szymka i resztę agentów, no i oczywiście żyłby długo i szczęśliwie, wspominając tylko swoją przyjaciółkę.

– Uważaj na to, co mówisz. Moja cierpliwość też ma granice.

– Tak czy siak mnie zabijesz, więc po co te groźby? Kilka minut w tę czy w tamtą nie robi mi różnicy.

– Ale mnie robi. Powiedz, jak wtedy dostałaś się do mojego komputera!

– Przyszło ci na rozgrzebywanie dawnych spraw? Odpowiedź brzmi: normalnie! Przecież wiesz. Złapałeś mnie, a twoje tępe osiłki mnie postrzeliły.

– Tak, w kamizelkę! – ryknął wściekły Zuo, strącając szklanekę ze stołu.

– A to już ich problem, że nie myślą.

– Jak uciekłaś? Oknem. Wiem, ale jakim cudem!

– Czy ty wiesz, z kim gadasz, czy ten temat cię przerasta? Wiesz, kim jestem, i nadal cię to tak dziwi?

– W sumie to już nieważne. W końcu cię dopadłem. Jesteś tutaj. Słaba i bezbronna... Ślepa...

– Przepraszam bardzo, ale coś tam widzę. Zupełnie ślepa nie jestem! – mruknęła Robi,

obserwując Krzysztofa jednym okiem.

– Masz rację. „Coś tam” widzisz. A to zobaczysz? – zarechotał znowu swoim irytującym śmiechem, podszedł do szafki i wziął z niej coś czarnego.

– Tak. Broń.

– Ale jaka? Tego nie widzisz. Szkoda. Ale wiesz co? Powiem ci, bo chcę zobaczyć twoją minę.

Robi siedziała z zamkniętymi oczami.

Zuo obszedł ją dookoła i stanął po jej prawej stronie. Poczuła zimną lufę na skroni i drgnęła lekko. Nie miała siły się ruszyć, a co dopiero uwolnić. Nawet już nie próbowała.

– Pamiętasz tę głośną akcję trzy lata temu? Twój Dareczek pewnie ci o niej mówił. PAS długo nie zapomni, jak budziliśmy postrach wśród agentów naszymi pociskami-bombami. Nic a nic nie zostaje z głowy ofiary, kiedy kula obije się o czaszkę. Fajnie, prawda? Dużo po tym sprzątaniam, ale jaka satysfakcja.

Robi z przerażeniem przypomniała sobie, jak agenci opowiadali jej o tej broni. Zginęło wtedy dwóch agentów z Północy, a obrażenia trudno było usprawiedliwić w sposób niedekonspiracyjny ofiar. Oczywiście agenci rozbroili przeciwnika w czasie miesiąca, ale najwidoczniej ten jeden egzemplarz został u swojego twórcy.

Jako agent, ryzyko miała we krwi, ale teraz poczuła się bardzo nieswojo. Co z tego, że starała się siedzieć niewzruszona, nie dając po sobie poznać emocji. Kiedy Zuo mocniej przycisnęła broń do jej głowy, mimowolnie cicho pisnęła.

– Robi się boi? – zaśmiał się z satysfakcją. – Bardzo dobrze. Czas kończyć! – syknął i odbezpieczył broń.

Ustawił się w gotowości do strzału. Robi zerknęła na niego kątem oka. Zobaczyła jego rozmazaną twarz, na której malował się tryumfalny uśmiech sadysty.

To było dla niej jasne. Zaraz miała zginąć i co do tego nie miała wątpliwości. Nie było odwrotu. Nie miała jak uciec, mimo iż bardzo tego chciała. Do czego to doszło! Przecież zaczęło się tak niewinnie... Tak typowo i standardowo.

* * *

Robi zakradła się pod furtkę swojego ogrodu i rozejrzała dookoła. Była sama. Im mniej osób spotka, tym lepiej. Przeskoczyła przez płot, uważając, żeby nie uszkodzić munduru, i przeniosła swoją torbę. Ciągnąc za sobą bagaż po trawie, zakradła się pod drzwi wejściowe i ostrożnie wsadziła klucz do zamka. Już chciała go przekręcić, gdy nagle drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich Darek.

– Cholera – szepnęła prawie bezgłośnie, uśmiechając się sztucznie.

– Witam ponownie! – zawołał wesoło, salutując jej i uśmiechając się dumnie. – Mój kochany oficer wrócił do domu!

Robi z przerażeniem zajrzała mu przez ramię, a kiedy zobaczyła balony w salonie i przedpokoju, przewróciła oczami z lekkim poirytowaniem.

– Miało nie być żadnych imprez i przyjęć – mruknęła rozbawiona, gdy Darek przytulił ją z całej siły.

– To nie jest przyjęcie. To takie kameralne powitanie.

Weszli do środka i od razu udali się do salonu. Oczywiście okazało się, że wcale nie było to takie kameralne powitanie, jak by się mogło wydawać. Przy stole stali już Alan, Franek,

Szymon i Net. Kiedy tylko zobaczyli swoją przyjaciółkę, zaczęli klaskać i wesoło gwizdać.

Robi rozejrzała się dookoła. Na przejściu między pokojem a kuchnią wisiał ogromny transparent w kształcie pagonu podporucznika. Wszędzie było pełno zielonych i białych balonów oraz kolorowych serpentyn. Wszystko wyglądało trochę jak przyjęcie urodzinowe dla sześciolatka, ale właśnie za takie poczucie humoru Robi uwielbiała swoją ekipę.

Po chwili zauważyła stół zastawiony różnymi przekąskami. Po czasie spędzonym w wyższej szkole oficerskiej zatęskniła za domowymi potrawami i deserami. Poczęstunek wyglądał bardzo kusząco. Nic dziwnego, przecież kulinarne zdolności Darka znacznie się poprawiły od czasu ukończenia kursu.

Z zamyślenia Robi została wyrwana przez strzelający korek od szampana. Alan polał wszystkim i wznosił toast.

– Za naszą Robi! Świeżo upieczonego oficera PAS-u!

– Za naszego najlepszego porucznika! – dodał Net, podskakując wesoło.

– Net, jeszcze się nie napiłeś, a już skaczesz jak szalony! Wyluzuj trochę, chłopie – zaśmiał się Szymon, po czym uniósł kieliszek i uśmiechnął się zawadiacko. – Za najlepszego oficera, jakiego świat jeszcze nie widział! Robi, życzę ci, żebyś kiedyś mogła być tak dumna z któregoś z nas, jak my teraz z ciebie. Wiwat porucznik Robi Damon! – zawołał, po czym dodał trochę ciszej: – Tym którymś z nas mam być ja. Wiesz... Nie chce mi się tak wiecznie ci salutować!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Szymon zaśmiał się pod nosem, ale potem zastanowił się, co tak bardzo śmiesznego powiedział, bo przecież mówił prawdę. Zawsze był człowiekiem, który zdecydowanie wolał, kiedy to jemu salutowano, a nie gdy on musiał to robić. On i Robi od początku swojej znajomości szli łeb w łeb, jeśli chodzi o stopnie wojskowe, bo zawsze dostawali awanse za wspólne akcje i osiągnięcia. Teraz jego przyjaciółka była wyżej i chciał jak najszybciej jej dorównać.

Kiedy wszyscy już przestali pękać ze śmiechu, zaczęła się uczta. Doskonale wypieczone zapiekanki i przepyszne szaszłyki zniknęły z talerzy w bardzo krótkim czasie.

Później cała ekipa zaczęła wypytywać młodą agentkę o to, co działo się w szkole. O treningi, zajęcia i oczywiście innych uczniów. Nie dali jej zapomnieć, że była najmłodszą dziewczyną wśród podchorążych i w dodatku jedną z niewielu.

– Były jakieś przystojniaki? – zapytał Alan, szturchając ją lekko w ramię.

Spiorunowała go spojrzeniem.

– No przyznaj, na pewno było jakieś ciacho warte uwagi. Nie mów, że nie – zaśmiał się Franek.

Robi zmierzyła go poirytowanym wzrokiem.

– Tłumy młodych facetów w mundurach... – zachichotał Net.

– Robi ich pewnie na zajęciach rozpraszała! Albo oni rozpraszała ją! Kto wie – zażartował Szymon.

Robi popatrzyła na nich groźnie spode łba, a potem podniosła głowę i zaczęła się śmiać.

– Wszyscy jakimś sposobem wiedzieli, z jakiej jednostki jestem. Nie wiedzieli nic poza tym, że jest tajna, a ja mam w grupie samych walniętych oszołomów, których uwielbiam. Dowiedziałam się tyle ciekawych legend o PAS-ie, że po trzech dniach przestałam się dziwić, dlaczego tak boją się gadać ze mną dłużej niż kilka minut.

– Legendy o PAS-ie? – zaciekał się Darek. – Na przykład?

– Choćby taka, że jesteśmy nieobliczalnymi wariatami. W sensie takim, że wszelkie

zasady są nam obce. Inni twierdzą, że są nas tysiące i stoimy na granicach, odstrzeliwując głowy wszystkim podejrzanym typkom. Jest też grupka, która próbowała mnie wypytać o to, jak to jest być agentem. Nie mówiłam im dużo. Tajemnica. Muszę przyznać, że ta grupa była zafascynowana PAS-em. Jeden z nich, Piotrek, pytał nawet, jak można dostać się do nas.

– No kto by pomyślał – zaśmiał się Szymon. – Żeby tak biednych agentów obgadywać za plecami. Gdyby nie my, mieliby o wiele więcej roboty!

Wszyscy zachichotali wesoło. Nie ma co kryć. Szymon miał rację. PAS to genialna organizacja, w której wszystko chodzi jak w szwajcarskim zegarku. Agenci znają się doskonale i dzięki swojemu zgraniu i wzajemnemu zaufaniu od lat skutecznie blokują ataki terrorystyczne w Polsce.

Jako tajna jednostka wojskowa mają pełną swobodę, jeśli chodzi o działania, i nawet rząd nie miesza się w ich akcje i metody. To elita. Najlepiej wyszkolona, nowocześnie uzbrojona i doskonale przystosowana do trudnej roboty.

Teraz Robi stała się pełnoprawnym członkiem i równocześnie oficerem tego zabójczego dla wrogów narzędzia. Ona, Darek i reszta teamu byli z tego dumni.

Rozdział drugi Powrót do rutyny

Przeciągnęła się leniwie, siadając na łóżku. Było kilka minut po wpół do siódmej. O parapet dudniły ciężkie krople ulewnego deszczu, a szare chmury wprowadzały w ponury nastrój.

Robi popatrzyła w lustro i jak zwykle wzdrygnęła się na swój widok. Nie miała pojęcia, czemu jej rudobrzowe włosy zawsze tak strasznie płaczą się przez noc. Ziewnęła i znów opadła na poduszkę. Miała dziwne wrażenie, że zapomniała o czymś dość istotnym. Jej ciało mocno protestowało przed wstaniem z łóżka, ale coś jej mówiło, że z jakiegoś powodu powinna to zrobić.

– Robi! – usłyszała krzyk Darka. – Wstawaj w końcu! Zaraz się spóźnisz do szkoły!
„Cholera. Szkoła”, pomyślała przerażona i już wiedziała, o czym zapomniała.

– Już idę – zawołała i powoli zwlokła się z łóżka.

Przez ten czas spędzony w szkole oficerskiej zupełnie zapomniała o liceum. Teraz dni wolne od chemii, fizyki, polskiego i historii... dobiegały końca.

Powoli podeszła do szafy i wyciągnęła z niej jakieś ubrania. Była zbyt śpiąca, by się stroić. Ubrała się, ogarnęła swoją nieujarzmioną czuprynę i w ślimaczym tempie zeszła do kuchni.

– No nareszcie – zaśmiał się Darek, stawiając na stole półmisek z kielbaskami – wsuwaj śniadanie i marsz do szkoły – mruknął i zaczął się rozglądać dookoła. – Net?! – zawołał.

Robi podniosła wzrok znad talerza i zaczęła się zastanawiać nad swoim kolejnym przecuciem. Znów miała wrażenie, że coś wyleciało jej z głowy. Coś ważnego. Nagle sobie przypomniała.

– Cholera – syknęła.

Rzuciła widelec i biegiem wystrzeliła w stronę piwnicy, w której mieścił się magazyn.

Z rozpędu wpadła na stalowe, potężne drzwi i od razu przesunęła się lekko w lewo. Przybliżyła oczy do skanera siatkówki. Przeszła do przedsionka, skaner linii papilarnych... W końcu przemierzyła drugie drzwi i stanęła w przejściu, rozglądając się za przyjacielem, który poprzedniego wieczoru postanowił, że prześpi się wśród regałów pełnych sprzętu. Net nie mógł stąd wyjść sam, bo drzwi może otwierać tylko Robi lub Darek.

Nagle zza rogu wybiegł Net. Wpadł na agentkę i oboje wylądowali na ziemi.

– Nareszcie! – pisnął. – Nawet nie wiesz, jak bardzo potrzebny jest mi kibelek!

– Mówiłam wczoraj, że śpisz tu na własną odpowiedzialność.

Wstał i pomknął z zawrotną prędkością na górę. Robi zamknęła piwnicę, chichocząc cicho.

Zapowiadał się spokojny i, nie licząc pogody, przyjemny dzień. Kiedy Net już się ubrał, razem zjedli śniadanie.

Pomknęli pustą, namokniętą ścieżką prowadzącą od domu do głównej ulicy, wprost na przystanek autobusowy. Deszcz zaczął im prosto w oczy, a buty tonęły w kałużach po kostki. Mimo trudności dotarli szczęśliwie do celu i akurat przyjechał ich autobus. Wcisnęli się do

załoczonego pojazdu i ruszyli w stronę centrum.

Wysiedli przed budynkiem szkoły i szybko przebiegli przez ścianę deszczu. Byli w oddzielnych klasach, więc rozstali się i każde z nich pobiegło w swoją stronę.

Robi wpadła do sali lekcyjnej równo z dzwonkiem. Siadła w ławce razem z Niki i wykręciła wodę z włosów.

– Gdzie ty byłaś tyle czasu?! – syknęła cicho jej przyjaciółka, korzystając z chwilowej nieobecności matematyczki.

– Długo by opowiadać – mruknęła Robi, wyciągając piórnik z plecaka.

– Jesteśmy przyjaciółkami od tylu lat, a ty nic mi nie mówisz! Nie było cię na rozdaniu świadectw w gimnazjum, na rozpoczęciu liceum...

– Zapomnijmy o tym, okej? Teraz wszystko jest już normalnie.

– No ja mam nadzieję. Stęskniłam się za tobą. To jakieś ważne sprawy?

– Wagi państwowej – mruknęła Robi, zanim zdążyła pomyśleć.

– Tak, jasne. Nie chcesz, nie mów. Nie naciskam.

Niki nie odezwała się już do końca lekcji. Kiedy zadzwonił dzwonek na przerwę, Robi pobiegła na spotkanie z Netem. Podreptali razem do szatni, gdzie mogli pobyć trochę sami i pogadać o życiu agentów.

– Dobija ta rutyna, co nie? – powiedział chłopak, siadając na parapecie.

– Rutyna? Serio? Dla mnie rutyną jest ściganie terrorystów. Nie ogarniam, co się dzieje w tej szkole. Tyle czasu przesiedziałam w szkole oficerskiej! Mam ochotę tam wrócić i udawać, że liceum nie istnieje – mruknęła Robi, wpatrując się w krople deszczu spływające po mokrej szybie.

– No tak, jesteś agentką żyjącą w wentylacji.

– Dokładnie – mruknęła, ale dopiero po tym dotarło do niej to, co powiedział Net. – Ej! Ja nie mieszkam w wentylacji! – krzyknęła oburzona, ale i trochę rozbawiona.

– Powiedz mi tylko jedno. Nie lubisz mieć świętego spokoju?

– Nie.

– Nie lubisz wiedzieć, że nic nieoczekiwanego się nie stanie?

– Nie.

– Ty musisz działać, tak?

– Tak.

– Super. Też bym coś porobił. Nudzę się. Ty biegałaś sobie z oficerami, a ja zasypiałem przez ten czas w szkole!

– PAS nigdy nie ma nadmiaru wolnego czasu. Dam głowę, że za jakiś czas coś się stanie.

Zadzwonił dzwonek na lekcję i agenci znów musieli się rozdzielić. Spotykali się tak na każdej przerwie i rozmawiali. W końcu, kiedy skończyła się siódma lekcja, wyszli ze szkoły.

Deszcz przestał już padać, ale ciemne chmury nadal wisały nad Wrocławiem. Dwójka nastolatków postanowiła wracać piechotą. W końcu treningu nigdy nie za wiele.

Przechodzili akurat obok dużej, białej i strasznie zakurzonej furgonetki. Na ulicy nie było nikogo poza nimi. Zerwał się silny wiatr.

– Ale brudas – zaśmiał się Net na widok samochodu.

Robi zachichotała pod nosem, kiwając lekko głową.

Nagle z furgonetki wyskoczyło dwóch ubranych na czarno mężczyzn. Nie byli zamaskowani, ale oczy mieli zasłonięte ciemnymi okularami. Jeden był młodym, wysokim i szczupłym blondynem, a drugi potężnym szatynem.

Złapali Neta i wciągnęli go do pojazdu. Bez chwili zwłoki Robi ruszyła za nimi. Ku jej zdziwieniu, nikt nie próbował z nią walczyć. Złapali ją i posadzili obok jej przyjaciela. Byli aż podejrzanie dobrzy. Doskonale wiedzieli, jak unieruchomić agenta, co w przypadku Delika było niespotykane.

– Przepraszam za tego brudasa! – pisnął przerażony Net, kuląc się w rogu.

– Jakiego brudasa? – zapytał młodszy z mężczyzn, ściągając okulary.

Agentka szybko oceniła sytuację. Samochód nie ruszył z piskiem opon zaraz po wciągnięciu ich do środka. Napastnicy byli też dość mili i nie grozili im bronią. To nie wyglądało na porwanie.

– O co chodzi? – zapytała lekko obronny tonem.

– Spokojnie, wasi znajomi z Delika znów coś knują. Włamali się do laboratorium chemicznego. Nie rozumiemy ich działań, bo przestali uważać. Zostawiają ślady – odpowiedział potężny mężczyzna.

– Co? – zapytała zdumiona Robi.

Teraz miała prawo podejrzewać, że byli agentami. Pojawił się tylko jeden problem. Nigdy wcześniej ich nie widziała. Coś jej mówiło, że powinna uważać.

– Wszyscy dobrzy agenci są zajęci. Jako że zasłużyłaś się dla naszej agencji nie raz i wiemy, że dasz radę rozpracować Delika, musimy znów prosić cię o pomoc, agentko RD95. To dla nas ważne – oznajmił blondyn. – Ciebie też, agencie NB95.

Net popatrzył na nich i aż krzyknął z radości. Robi tymczasem wpatrywała się w nich uważnie.

– Macie jakieś odznaki? Cokolwiek z PAS-u? – zapytała, rozglądając się po samochodzie.

– Emm... Oczywiście – mruknął speszony szatyn i zaczął przeszukiwać nerwowo kieszenie.

Po pewnym czasie wyciągnął w końcu metalową okrągłą przypinkę PAS-u. Każdy, kto przekazuje informację innym agentom w taki sposób, powinien mieć ją przypiętą do koszuli. Robi przyjrzała się jej uważnie. Numer odznaki pasował do tych z agencji. Jej obawy okazały się niesłuszne. Była to dwójka agentów pomocniczych.

Oddała odznakę i usiadła na podłodze.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytała spokojnie, podczas gdy Net nadal kiwał się z radości.

– Podejrzewamy, że szykują broń biologiczną. Nie wiemy, co to jest. Obawiamy się, że może to służyć masowej zagładzie. Tak czy inaczej, ty i twój zespół, który dobierzesz sama, musicie zachować szczególną ostrożność. Bore'owie za tobą nie przepadają.

– Chcę taką grupę, jaka miałam.

– Oczywiście. Niestety Marek ma misję w Kanadzie.

– Szymon, Franek i Alan mogą?

– Tak. Skontaktujemy się z nimi i będą u ciebie już jutro.

– Coś jeszcze?

– Możecie iść – mruknął blondyn i otworzył drzwi furgonetki.

Dwójka nastolatków wyskoczyła na ulicę. Agenci odjechali i po chwili jak na ironię zaczęło lać.

– Żegnaj, rutyno, witaj, przygodo! – zawołał Net, przeskakując przez ogromną kałużę.

– Witajcie, pobudki przed świtem, witajcie, nieprzespane noce. Ryzyko na każdym kroku – zaśmiała się Robi. – Nie ma nic lepszego niż misja.

– Będziemy ratować świat!

– Głównie Polskę.
– Jeszcze lepiej! Bohaterowie kraju, obrońcy cywilów! Szacunek, respekt i podziw! – wykrzykiwał Net.
– Po pierwsze, siedź cicho, bo nas zdekonspirujesz. Po drugie, działania PAS-u są tajne.
Net nie odezwał się już ani słowem. W milczeniu maszerowali mokrymi ulicami, kierując się w stronę najbliższego przystanku.
Wszyscy ludzie pochowali się gdzieś, a samochody przemykały raz po raz, rozpryskując kałuże na boki. W końcu przyjechał ich autobus i nareszcie mogli spokojnie wrócić do domu.
Przeszli pod brzoza i weszli do korytarza. Darek wyjrzał z kuchni i uśmiechnął się do nich. Jak zwykle miał na sobie kwiecisty fartuszek, który Robi i Net uważali za okropnie wieśniacki.
– Co tam, droga młodzieży? – zapytał, machając do nich drewnianą chochlą.
– Musisz iść na rozmowę z dyrektorką – mruknęła Robi, rzucając plecak pod stół w salonie.
Darek popatrzył na nich z przerażeniem.
– Coście nabroili?!
– Nic nie zrobiliśmy – odpowiedziała spokojnie agentka.
– Superagenci wracają do akcji! – zawołał radośnie Net.
– Do akcji? Znow was chcą ze szkoły zabrać?
– Tato... – mruknęła poirytowana Robi.
– Nie „tato”, tylko co to ma być?! Przez te misje i akcje zawalicie szkołę.
– Mam trzecią średnią w klasie!
– A ja mam pasek na świadectwie! – oburzył się Net.
– Dyrektorkę szlag trafi, jeśli znow znikniecie na miesiąc, albo jeszcze dłużej!
– Nie po to jestem oficerem, by pozwolić Delikowi rujnować nasz kraj! Przymierzaliśmy go bronić i właśnie to zamierzam robić. Najlepiej, jak umiem.
Dwójka nastolatków wyszła z kuchni i udała się do pokoju agentki.
– Nie mam pojęcia, dlaczego Darek robi taką drakę – mruknęła Robi, opadając na łóżko.
– Boi się o twoje życie. Proste – odpowiedział Net, stojąc na środku dywanu.
– Jestem agentem od siedmiu lat! Okej, prawie siedmiu. Radzę sobie i to świetnie. Mógłby odpuścić.
– Nie denerwuj się – szepnął, siadając obok niej. – Mamy czas do jutra. Pooglądajmy telewizję albo coś.
– Okej.
Cały wieczór oglądali kreskówki i komedie. To były ostatnie chwile przed ich nową misją i postanowili porządnie wypocząć. Darek do końca dnia się nie odzywał.

Rozdział trzeci Powtórka z gimnazjum

Następnego dnia ze snu wyrwał Robi dzwonek do drzwi. Poderwała się do góry, po czym znów opadła na poduszkę. Nakryła głowę kołdrą. Tak bardzo nie chciało jej się wstawać. Tak bardzo chciała spać dalej!

– Robi, Alan i Szymon przyszli! – zawołał Darek.

„No tak, mieli dzisiaj się pojawić!”, pomyślała i rozejrzała się dookoła.

Słońce jeszcze nie wzeszło. Była czwarta nad ranem i dopiero zaczynało się rozjaśniać.

Oto nadchodziła rutyna, jaką znała od najmłodszych lat.

Zbiegła na dół i wpadła chłopakom w objęcia.

– Jak miło was widzieć! – zawołała.

– Ciebie również – mruknął Alan. – Wiesz coś o tej sprawie? Jakies szczegóły?

– No właśnie nie! – wymamrotała zawiedziona. – Myślałam, że wy coś będziecie wiedzieli.

– Nie wiemy nic – powiedział Szymon, rozglądając się po korytarzu. – Gdzie Net?

– Śpi. Chodźcie do salonu. Usiądziemy i pogadamy.

Weszli do pokoju, a Szymon, zamiast usiąść razem z nimi, pobiegł do kuchni i wziął dwie pokrywki. Robi zachichotała, wiedząc, co jej przyjaciel zamierza zrobić. Nie myliła się.

Po chwili Descante i Net pojawili się na dole i dołączyli do Alana i Robi.

– Wiecie, co jest dziwne? – zapytał Szymon, biorąc garść chrupek kukurydzianych. – Jak byłem w PAS Północ, to na takie misje zawsze wysyłał dyrektor. Nie jakieś podrzędne agencyny pomocnicze.

– Ej! Tylko nie podrzędne! – oburzył się Net.

– Cicho, oszołomy – mruknęła rozbawiona Robi. – Alan, mamy cokolwiek?

– Mamy. Jakies papiery. Pomieszane to jak cholera. Agenci mi to dali, ale dopiero gdy wyszedłem z bazy. Wcześniej nic.

– Pokaż je.

Agentka zaczęła gorączkowo przeszukiwać dokumenty. Przerzucała kartki jedna za drugą, kilka razy każdą, ale nic nie mogła znaleźć.

– Wszystko już wiemy. To tylko informacje zebrane do kupy. Beznadzieja! Wszystko mamy zrobić sami? – syknęła, bezradnie osuwając się na kanapie.

– Może lepiej zadzwonić do szefa i zapytać? – zaproponował nieśmiało Net.

– Dobry pomysł. Idę dzwonić – mruknął Szymon, wziął telefon i wybiegł do kuchni.

Dwójka agentów i informatyk siedzieli i czekali w napięciu. Deszcz znów dudnił głucho o parapety, a szare chmury za oknem potęgowały ponury nastrój. Spoglądali po sobie, starając się wyłapać coś z niewyraźnych szumów dochodzących z pomieszczenia obok.

Nagle laptop Alana zapisał cicho. Wszyscy spojrzeli na niego, wrywając się z zamyślenia.

– To wam się nie spodoba – mruknął smutno Świder, kiedy odczytywał maila, którego

otrzymał chwilę temu.

– Co jest? – zapytała niepewnie Robi.

– Przysłali nowe dane. W końcu jakiś konkret, ale to złe wieści.

– No wyduś to w końcu!

– Wiesz, co oni knują, prawda? – zapytał.

– No tak. Broń biologiczna?

– Biologiczna, chemiczna... Nie przebijają w środkach. Zwinęli ostatnio mnóstwo kwasu azotowego i glicerolu.

– Chcą zrobić nitroglicerynę! Cholera – syknęła agentka, patrząc z niepokojem na informatyka.

– Owszem, ale to nie wszystko. Wykryli u nich sarin. Silnie toksyczny fosforoorganiczny związek chemiczny, stosowany jako bojowy środek trujący. Kilkanaście miligramów powoduje śmierć w czasie kilku minut.

– Świetnie! – szepnęła z ironiczną radością i ukryła twarz w dłoniach. – Coś jeszcze?

– Nie. O biologicznej nie wiemy nic.

Do salonu wpadł Descante. On też nie był w dobrym nastroju.

– Dzwoniłem kilka razy. Nie odbiera! Włącza się poczta! Dodzwoniłem się w końcu do jego zastępcy. Według niego dyrektor wyjechał. Na wakacje, na czas nieokreślony.

Robi popatrzyła na niego ponuro.

– Coraz mniej mi się to wszystko podoba – mruknęła.

– Może chodźmy do bazy? – zapytał Net. – Najlepiej sprawdzić wszystko osobiście.

– Dyrektora dzisiaj nie ma – oznajmił Alan. – Byłem już u niego i zastałem drzwi zamknięte na cztery spusty.

– Nie podoba mi się to. Idziemy tam. Tylko ja i Szymon. Wy kombinujcie dalej nad danymi – mruknęła Robi, złapała agenta za rękaw i pociągnęła go za sobą.

Oboje wybiegli z domu i stanęli na trawie. Agentka rozglądnęła się na boki i zaciągnęła przyjaciela do garażu. Wsiedli na jeden z quadów i ruszyli w stronę bazy.

Dojechali do starej szopy, ukryli w niej pojazd i dalej jak zwykle poszli piechotą.

„Zgodność z SD94” – odzywał się elektroniczny głos rodem z poczty głosowej, kiedy agenci przechodzili przez kolejne zabezpieczenia.

Robi nie miała tu nic do gadania. Od kiedy Szymon przeniósł się do PAS Południe, nie było dnia, żeby pozwolił jej torować drogę do agencji. Twierdził, że na północy nie mają takich zabezpieczeń, a baza nie przypomina kryjówek tajnych agentów, bo jest ukryta w okolicy jednostki wojskowej, więc chce się nacieszyć tym uroczym głosem jak z poczty elektronicznej.

Stanęli w głównej sali. Nic się tu nie zmieniło. Po prawej stronie ogromnego ekranu, naprzeciwko wejścia, wyświetlona była lista wrogów PAS-u. Na pierwszym miejscu jak zwykle widniało nazwisko przywódców Delika. Obok listy w lewym dolnym rogu Robi zauważyła twarz Marka. Dyskutował gorączkowo z Kamilem stojącym przed ekranem. Przekazywał jakieś świeże dane z Kanady. Agentka uśmiechnęła się na jego widok, ale nie chciała im przeszkadzać w konferencji, poza tym miała swój jasno określony cel.

Przeszli przez salę, witając się ze wszystkimi, ale coś wydało im się dziwne. Panowała dziwnie napięta sytuacja. O ile na Północy obowiązywała niemalże wojskowa dyscyplina, o tyle Południowcy słynęli z luźnej i wesołej atmosfery.

– Smutno tu jak w grobowcu... – mruknęła Robi, oglądając się za siebie.

– Nom. To aż dziwne. Może nam się tylko wydaje – stwierdził Szymon i skreślił w prawo

korytarz.

Robi zatrzymała się jeszcze przed skretem i skrzyżowała ramiona na piersi. Zaśmiała się cicho.

– Szymon! – zawołała rozbawiona. – To nie ten korytarz...

– Jak to?

– Dyrektor ma biuro dwa korytarze dalej... Tyle czasu już tutaj jesteś i jeszcze się gubisz?

– Wy i te wasze podziemia!

– Nie marudź.

Kiedy w końcu stanęli pod drzwiami generała, okazało się, że są zamknięte.

Gabinet dyrektora był jedynym pokojem w tej części bazy. Chodziło o to, by mężczyzna miał ciszę i spokój w czasie ważnych rozmów lub podejmowania decyzji. Prawda była taka, że uwielbiał w spokoju czytać gazetę.

Był to ten typ dowódcy, który ze względu na wiek i długi okres służby siedział za biurkiem i całkowicie się nudził, ale wszystkie zasługi spływały na niego. To czasami denerwowało agentów, ale miał on też swoje zalety. W czasie szkoleń ambitni instruktorzy szkolili prawdziwych profesjonalistów swoimi metodami wynikającymi z wieloletniej służby w różnych jednostkach, a dyrektor rzadko w to ingerował, bo widział, że szkolą najlepszych. Nie było wiecznego nadzoru i pouczania wszystkich o regulaminie.

Kiedy już ktoś zostawał agentem, mógł integrować się z resztą zespołu praktycznie bez przerwy, poprzez niekoniecznie wojskowe formy rozrywki. Nie raz lekko naginano zasady, ale póki generał o tym nie wiedział, było dobrze. Dzięki takiemu podejściu do szkolenia PAS miał świetnych wojowników rozumiejących się bez słów.

Wbrew pozorom zmniejszona ilość wojskowej dyscypliny wcale nie wpływała źle na osiągnięcia.

– Może wyszedł? – zapytał Szymon, kiedy kilkuminutowe pukanie do drzwi nie przynosiło skutku.

– Możliwe – mruknęła Robi, rozglądając się na boki.

Nagle zza rogu wyłonił się jeden z agentów pomocniczych.

– Ej! – zawołała Robi, a kiedy agent odwrócił się w jej stronę, zapytała: – Wiesz, gdzie jest dyrektor? Musimy pilnie się z nim skontaktować.

– Słyszałem, że wyjechał – odpowiedział młody chłopak, stając na baczność, kiedy zobaczył stopnie obu rozmówców.

– Jak to: wyjechał? – mruknął Szymon. – Tak w czasie działań? Tak bez ostrzeżenia?

– Ja nic nie wiem niestety. Nic dokładnie.

– Dobra, dzięki – powiedziała Robi, odwracając się znów w stronę drzwi i przyglądając się im uważnie.

Kiedy agent odszedł i znów zostali sami, wyciągnęła z włosów małą wsuwkę.

– Trochę to podejrzane, nie uważasz? – zapytała i zaczęła grzebać spinką w zamku. – Najwyżej mi się oberwie...

Otworzyła drzwi i oboje weszli do środka. Gabinet wyglądał tak, jakby nikt z niego nie korzystał od mniej więcej trzech miesięcy. Wszystko pokrywała dość gruba, nienaruszona warstwa kurzu. Przez to, że pokój długi czas był szczelnie zamknięty, panował tam okropny zaduch.

Agenci rozejrzeli się dokładnie, przeszukując każdy zakamarek. Dokumenty w segregatorach zwykle układano chronologicznie. Teraz były poprzekładane i zalegały

w chaosie. Broń z szuflady zniknęła, tak samo jak akta Szymona, Robi i Neta. Cała sytuacja była coraz bardziej dziwna.

– Nie podoba mi się to – syknął Szymon, wyciągając z niszczarki swoje i Robi zdjęcie z jednej z wcześniejszych akcji.

– Chyba rzeczywiście wyjechał. Dziwi mnie tylko jedna rzecz. Niecały miesiąc temu rozmawiałam z nim przez telefon! Dzwonił ze swojego biura. Od tego czasu nie mogło się tu tak zakurzyć, a nie ma śladu po jakiegokolwiek czynności związanej z tym telefonem.

– Dziwne – mruknął Szymon, po czym dodał: – Nic tu po nas. Wracajmy do domu i powiedzmy o tym reszcie.

Dwójka nastolatków wyszła znów na korytarz i zamknęli za sobą drzwi. Kiedy już się oddalali, wpadli na jednego z agentów. Robi od razu go poznała. To właśnie on był jednym z tych, którzy informowali ją o nowej misji. Teraz w lepszym świetle mogła mu się dokładniej przyjrzeć.

Był wysoki i szczupły. Miał dość krótko ostrzyżone blond włosy, postawione na żel. Jego szare oczy sprawiały wrażenie, jakby coś ukrywały. Nosił elegancki czarny garnitur. W jego twarzy było coś dziwnego. Dziwny błysk przebiegłości ukryty gdzieś w dziwnym uśmiechu. Nie przypadł agentce do gustu.

– Może ty wiesz, gdzie jest nasz dyrektor? – zapytał Szymon.

– Ja... Nic nie wiem. Nie mam pojęcia. Co wy w ogóle tu robicie?! Nie powinniście tu wchodzić, to gabinet generała i bez pozwolenia nie wolno wam się tu krzątać.

– Skoro nam nie wolno, to raczej tobie też nie – mruknęła Robi, kiedy zauważyła, że rozmówca jest podoficerem.

– Ja... Ja jestem dobrym znajomym dyrektora. Kontaktuje się ze mną i przekazuje swoje zarządzenia. – W jego oczach widać było jakąś dziwną chęć mordy, co trochę przerażało dwójkę agentów.

– Dobry znajomy i nie wiesz, gdzie jest? – zapytał z politowaniem Szymek.

– Dyrektor chciał, by to pozostało tajne. Ma ważne sprawy na głowie. Wiecie coś o tej sprawie? – zapytał agent lekko przerażony.

Robi czuła, że dzieje się coś dziwnego. Za plecami dała Szymkowi znak, by milczał, a sama zastanowiła się przez chwilę.

– Domyślałam się, co tu się dzieje, i nie zamierzam siedzieć bezczynnie! – syknęła, nadrabiając swoją niepewność miną.

Agent rzucił jej gniewne spojrzenie, w którym zalśnił błysk kompletnego zdezorientowania i przerażenia.

– Spiesz się. Mam ważne sprawy do załatwienia – rzucił krótko i odszedł.

Robi i Szymon popatrzyli na siebie. Dobrze wiedzieli, że myślą o tym samym. Cała sytuacja była mocno podejrzana.

Wyszli pośpiesznie z bazy i wrócili do domu. Kiedy tylko weszli, przywitał ich Reks. To było mokre i pienne powitanie...

– Reks, ty nicponiu! – wrzasnął Darek.

Był ubrany w przemoczoną koszulkę i krótkie spodenki. Na włosach miał pełno białej piany, a w ręce trzymał gumową kość należącą do psa. Stał z założonymi rękami i przypatrywał się zwierzęciu z lekkim rozbawieniem i wyrzutem zarazem.

– Właśnie go kąpałem... – mruknął zakłopotany na widok mokrych nastolatków. – Jak tylko was usłyszał, wyskoczył z wanny!

– Nie ma nic bardziej przyjaznego niż mokry pies – zaśmiała się Robi.
 – Może jeszcze tylko ubłocony jest miłszy – zarechotał Szymek.
 – Czepiacie się psa. Ja zawsze chciałem mieć zwierzątko, ale zamiast tego miałem komputery. I telefony – mruknął Net.
 – Macie coś nowego? – zapytał Alan.
 – Dyrektora wywiało i nikt nie wie, gdzie się podział. Wszystko jest jakieś dziwne. Podejrzane.
 – Takie już nasze życie. Trudno, mamy zadanie do wykonania. Trzeba działać – mruknął Szymek, uśmiechając się chytrze, i opadł na kanapę.
 – Tak! Pierwsza moja akcja w skórze agenta! To takie cudowne!
 – Net, nie ciesz się tak. Jesteś nowy. Większość roboty odwalę ja i Szymon. Nawet gdybym chciała pozwolić ci mnie wyręczyć, i tak by to nie wypaliło.
 – Dlaczego?
 – To Delik. Gdyby mieli do wyboru: wymordować pół agencji czy zabić Robi, wybraliby drugą opcję – stwierdził Descante, patrząc niepewnie na przyjaciółkę.
 – Niby tak, ale coś im nie idzie dopadanie mnie, więc bez obaw.
 – Dobijacie – wymamrotał smutno Net. – Ja się cieszę, że coś porobię, a wy mówicie zupełnie coś innego.
 – Będziesz działał – mruknęła Robi i machnęła ręką. – Zaraz wracam.
 Pobiegnęła do swojego pokoju. Wszędzie było pełno zdjęć z akcji, ćwiczeń oraz ze szkoły oficerskiej. Ogromny F-16 nadal dumnie zdobił ścianę. Podeszła do szafki i z szuflady wyciągnęła zdjęcie przedstawiające ją i jej rodziców. Uśmiechnęła się pod nosem. Byli najlepsi. Dawno rozgryźliby już tę zagadkę. Nie twierdziła, że Darek i jej team byli złymi agentami, ale jej biologiczni rodzice byli przecież jednymi z założycieli PAS-u i stali się legendą! Terrorysty z Delika ich zabili.
 Robi spojrzała na prawo. Na tablicy korkowej wisiała kopia zdjęcia snajpera, który wtedy strzelił, detonując ładunek, który zabił jej bliskich... Marek zawsze powtarzał, że to przebiegły, do szpiku kości zły człowiek i zarazem świetny strzelec. To on był powodem, dla którego Robi zapisała się na kurs snajperski i zdobyła licencję z wynikiem celującym.
 Raz jeszcze popatrzyła na zdjęcie swoich bliskich. Pogładziła je delikatnie i schowała. Wiedziała, że prędzej czy później PAS pokona Delika, a ona stanie ze snajperem twarzą w twarz. Może trochę się bała tego starcia, ale czasami miała wrażenie, że go oczekuje, a przyjaciele jej w tym dzielnie pomagają...

Rozdział czwarty

...

To był kolejny deszczowy dzień. Woda spływała ulicami, a studzienki były nią przepełnione. Ciemnogrnatowe chmury zasnuły niebo i nie zamierzały się rozproszyć. Robi wróciła właśnie ze spaceru z Reksem. Cała ociekała wodą, pies tak samo. Była późna wiosna, a pogoda – iście jesienna. Na drzewach pojawiały się już kolorowe kwiaty, a liście rosły coraz większe.

Agenci już od tygodnia czekali na jakikolwiek przejaw aktywności Delika, by móc go dopaść. Wróg przepadł jak kamień w wodę. PAS monitorował wszystkie ich dawne kryjówki, ale nic to nie dawało.

Franek i Alan siedzieli przed laptopem i jak zwykle spierali się na temat różnych danych. Po drugiej stronie stołu, na kanapie, drzemał znudzony Szymon. Jako agent liniowy, skrajnie się nudził, nie mogąc działać. Robi przemknęła obok salonu i wbiegła na górę. Chciała udać się na strych, mając nadzieję, że może jednak uda jej się coś tam znaleźć. Po drodze wpadła na Neta.

– Odbiło ci?! – pisnęła przerażona, kiedy zobaczyła, że ma na nosie jej okulary na podczerwień.

– Czemu od razu się tak złościysz?

– Musimy być gotowi do akcji w każdym momencie, nie możemy bawić się sprzętem, który pewnego dnia może nam uratować tyłek! – syknęła i zabrała mu okulary.

Odłożyła je delikatnie na półkę i popatrzyła na przyjaciela. Westchnęła głęboko.

– Chodź na strych. Musimy poszukać informacji.

– Po co?

– No domyśl się. Dlaczego ty wciąż tyle pytasz?

– Ciekawość świata.

Robi przewróciła oczami. Wdrapali się po drabinie na górę. Jak zwykle stanęli wśród stosów kartonów i papierów. Na półkach stały stare książki i notatniki. Wszystko było jednak odkurzone i czyste. Ostatnio agenci tak często odwiedzali to małe domowe archiwum, że w obawie przed śmiercią w morzu kurzu postanowili posprzątać.

Robi ściągnęła z półki jeden z notatników. Był dość stary, a kartki już odrobinę pożółkły.

– Co to? – zapytał Net, zaglądając przyjaciółce przez ramię.

– Notatki ze sprawy prowadzonej przez moich rodziców. Pierwsze podrygi Delika.

– Acha. To co ja mam robić?

– Pod oknem są notatki Darka i moje oraz kopie innych spraw. Przejrzyj je w poszukiwaniu czegokolwiek, co ma w treści Delika i broń chemiczną lub biologiczną. Coś na bank znajdziesz.

– Tak jest!

Agenci rozeszli się w dwie różne strony i zabrali się do pracy. Robi usiadła na ziemi i delikatnie pogładziła papier dłonią. Pismo jej rodziców było takie staranne... Ona też kiedyś ładnie pisała, ale po ich śmierci zmieniło się to. Kiedy zaczęła szkolenie na agenta, nigdy nie

mogła usiedzieć spokojnie i notować tak, jak należy. Notatki z zajęć teoretycznych tworzyła, siedząc w najdziwniejszych pozach, na jakie pozwalają krzesła obrotowe i jednoosobowy stolik. W czasie kursu snajperskiego, podczas wielogodzinnej obserwacji, nauczyła się nawet pisanie za pomocą ołówka w zębach. W końcu obie ręce trzymały karabin i nie mogły być użyte do niczego innego.

Gdy Robi zajęta była wspomnieniami i wertowaniem notatek rodziców, Net odnajdywał istne kopalnie wiedzy. Nie tylko o Deliku... Miał także okazję sporo dowiedzieć się o swojej tajemniczej przyjaciółce.

Wyciągnął z kartonu pamiętnik Darka. Otworzył go, bo był przekonany, że są to notatki na temat terrorystów. Pomylił się. To był zwyczajny pamiętnik, w którym agent spisywał swoje myśli. Net czuł, że powinien go odłożyć, w końcu to była prywatna sprawa autora, ale gdy zobaczył imię Robi w tekście, nie mógł się powstrzymać.

24 grudnia 2006

Byłem przekonany, że ten dzień chociaż na chwilę poprawi jej humor. Myślałem, że choć na sekundę zapomni o wszystkim, co złe. Miałem nadzieję, że znów choć na moment stanie się tą małą i wesołą Robi, którą znałem od kołyski. Okazało się, że popełniłem największy z możliwych błędów i na początku nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Siedzieliśmy pod choinką, pod którą leżało pełno prezentów. Marek wpadł do nas, bo nie chciał siedzieć sam w domu po tym, jak rzuciła go dziewczyna. Miałem wrażenie, że gdzieś na buzi Robi zabłysnął promyczek radości. Ucieszyłem się. Marek też to zauważył. Później wręczyłem Robi jedną z paczek.

Byłem pewien, że jej się spodoba. Zawsze kochała samoloty, więc miś w skórzanej kurtce pilota wydawał się idealnym podarkiem. BŁĄD. Kiedy tylko mała go rozpakowała, wybuchła płaczem i rzuciła go w kąt. Uciekła do pokoju, a ja nie miałem pojęcia, co się stało. Marek trzepnął mnie w łeb i popatrzył na mnie z politowaniem. Był kompletnie zszokowany.

– Co z tym miśkiem jest nie tak? – zapytałem.

– Na serio nie wiesz? Miała kiedyś identycznego, był też z nią w czasie wypadku. Bawiła się nim w samochodzie, a snajper, który strzelał, by zdetonować ładunek, przestrzelił tego miśka. Skojarzył jej się z tym wszystkim... – odpowiedział smutno mój przyjaciel.

– Cholera, co ja zrobiłem.

Pobiegłem na górę i próbowałem ją uspokoić. W końcu mi się udało i zasnęła. Tej nocy trzy razy budziła się, dręczona przez koszmary... Nie mogę sobie wybaczyć tego nieudanego prezentu!

Net skończył czytać wpis i nie wiedział, co myśleć. Podniósł głowę, wyjrzał zza kartonu i spojrzął na Robi. Wydawała się taka opanowana i spokojna. Znał ją jako wzorowego agenta, zachowującego zimną krew w najtrudniejszych sytuacjach. Trudno było mu uwierzyć w istnienie tej młodszej Robi.

Szybko przewertował pamiętnik, szukając jeszcze czegoś o swojej przyjaciółce. Miał nadzieję, że to pomoże mu ją zrozumieć.

Dość szybko trafił na coś, co wydało mu się interesujące.

1 lipca 2009

Myślałem, że to będzie zwykły dzień. Miałem tylko pojechać po Robi do bazy i odebrać ją ze szkolenia dla snajperów. Przyjechałem trochę wcześniej. Zajęcia praktyczne jeszcze trwały. Podeszedłem na polankę, która pełniła rolę poligonu agencji. Wtedy ją zobaczyłem.

Ubrana była w nasz czarny mundur polowy i wojskowy hełm. Na jej ramieniu wisiał nowoczesny karabin wyborowy. Moja mała kruszynka wyglądała jak prawdziwy żołnierz. Poczuję, że mi się to nie podoba. To jest przecież jeszcze dziecko, a Delik sprawił, że zgubiła gdzieś swoją dziecinną bez troskę!

Hełm był na nią za duży i przekrzywił jej się na bok. Obiema rękami podtrzymywała karabin, który był dla niej taki ciężki! Podeszła do dwóch chłopaków z kursu i zaczęła z nimi rozmawiać. Nie chcę, by była wyrachowanym strzelcem, któremu oko nawet nie zadrży przed odebraniem komuś życia. Przed tym chcę ją ochronić. Z drugiej jednak strony widzę, jak wraca do życia. Rozładowywanie złości na poligonie ma na nią zbawienny wpływ. Wreszcie zaczyna się odzywać częściej niż wcześniej. Wiem, że pragnie zemsty. Zemsty na Deliku. Rwie się do walki i chce działać. To przecież jeszcze dziecko. Nie mam pojęcia, ile jeszcze czasu zdołam ją utrzymać z dala od akcji. Wojna to okropna rzecz i wszystko, co jej podobne, również.

- Net, co ty tam robisz?! – wrzasnęła nagle Robi, a Net podskoczył z przerażenia.
- Nic – mruknął i wrzucił pamiętnik do kartonu. – Nie ma tu nic wartościowego.
- Wołałam cię już trzy razy! – syknęła podejrzliwie agentka.
- Serio? Ja... No, trochę przysnąłem...
- Ekhm, no nic. Darek nas woła.

Zeszli na dół i pobiegli do kuchni. Wszyscy już tam byli. Alan i Darek nadal o czymś gorączkowo dyskutowali, a Szymon nawijał spaghetti na widelec, obserwując tę dwójkę znad sosu pomidorowego. Net usiadł przy stole, a zaraz po nim dosiadła się Robi.

– Dołująca ta cisza. Nic nie wiemy, a terroryści mogą nas mijać codziennie na ulicach! – mruknął Szymek.

– Wiemy tylko, że już wcześniej coś majstrowali przy broni biologicznej. Nic im się jednak nie udało i sprawa ucichła. To było dawno. Jeszcze jak moi rodzice żyli... – stwierdziła Robi.

– Wiecie, co jest dziwne? Była cisza. Delik jakby zapadł się pod ziemię. Potem nagle „zaczęli zostawiać ślady” i zrobiło się na tyle poważnie, że wezwali nas. Teraz nagle znów cisza?! Co jest grane?! – Szymon w końcu się ożywił.

– Podejrzane, ale przecież wszystko takie jest – wymamrotał Net, pałaszując kolejną porcję makaronu.

Agenci strasznie się nudzili. Wszystkie sprzęty, czujniki, satelity i monitoring postawiono w stan gotowości. Wystarczyłoby, żeby jeden z terrorystów kupił sodę oczyszczoną albo zapalki, a oni już by o tym wiedzieli. To wyglądało jak cisza przed burzą.

Cieszyli się, że wrócą do akcji, a tymczasem robili mniej niż w stanie spoczynku. Jedynie

Darek był przeszczęśliwy. Skoro nic się nie działo, jego kochana Robi nie miała okazji do pakowania się w kłopoty.

– Mam tego dość! – syknął Net pewnego deszczowego dnia.

Robi, Szymon i Alan popatrzyli na niego poirytowani. Od ponad dwóch godzin siedział na podłodze i odbijał kauczukową piłeczkę od ściany. Łup, łup, łup... Rytmiczne stukanie nawet najcierpliwszego człowieka świata mogłoby wytrącić z równowagi. Nic dziwnego, że młodzi agenci wręcz gotowali się ze złości. Od długiego czasu siedzieli beczynn timer w napięciu i pełnej gotowości, więc atmosfera była mocno zagęszczona.

– Net, do ciężkiej cholery, przestań odbijać tę przeklętą piłkę, bo mnie szlag trafi! – wrzasnął w końcu Szymon.

– Mnie to uspokaja – mruknął Net, nie przerywając.

– A nas doprowadza do dzikiej pasji! – wycodził przez zęby Alan.

– Ale...

– Odłóż tę piłkę albo... – warknęła Robi, ściągnęła z parapetu swój pistolet i wycelowała w piłeczkę. – Liczę do trzech. Ty wiesz, że ja nie chybiam. Raz... Dwa...

– Okej, okej! – Włożył zabawkę do kieszeni.

Nareszcie zapadła błoga cisza, przerywana tylko dudniącym o parapet deszczem. Za oknem wszystko pływało. Powódź wisiała w powietrzu i to właśnie z tego powodu Franka nie było z nimi tego dnia.

Latał śmigłowcem wzdłuż Odry i monitorował sytuację. Odwalał kawał dobrej roboty dla miasta, choć nie to było jego głównym zadaniem. Gdy Odra wzbierała, baza agencji znajdowała się w zagrożeniu. Nigdy nie doszło do zalania, ale agenci nie mogli pozwolić, by pojawił się choć cień szansy na katastrofę. Gdyby woda zalała skład broni, a zwłaszcza tej związanej z gazami bojowymi, groziłoby to ekologiczną klęską.

– Mam ich! – zawołał w końcu Alan, wrywając wszystkich z otępienia.

– Gdzie są?! – pisnęła Robi, zrywając się na równe nogi.

– Włamałem się na ich komputer. Przechwyciłem ich wiadomość. Mają się spotkać na małej chorwackiej wysepce. To jakieś przyjęcie dla elity. Poszperałem trochę. Założyciele Delika wykupili niedawno tę miejscówkę. Mają tam wielki tropikalny ogród i elegancką willę.

– Zabezpieczenia? – zapytał Descante.

– Twierdza. Prawdziwa twierdza. Z jednej strony wysoki klif, z drugiej monitorowany ogród. Mnóstwo czujników i ukryta bateria pocisków przeciwlotniczych. Wykryje i zestrzeli wszystko, co znajdzie się w promieniu pięciu kilometrów. Ma też ochronę przed wrogimi łodziami. Cała tafla wody jest obserwowana. Mysz się nie prześliznie.

– Mysz nie... Agent PAS-u da radę – zaśmiała się Robi. – Wtopić się w tłum, wejść tam, zdobyć informacje i już. Zmienić wygląd, elegancki strój i już.

– A zaproszenie? – zapytał Net, który do tej pory uważnie się przysłuchiwał.

– Oszukamy system. Ja i Szymon. Ty nam pomagasz. Alan, dasz radę nas przepchnąć?

– Robi, ty jeszcze pytasz?

– Dobra. Jakaś kryjówka w okolicy? Baza wypadowa?

– Jest wyspa. Dwa kilometry od celu. Cała tafla wody między wyspami jest monitorowana. Dopiero za wyspą jest bezpiecznie.

– Cholera – syknęli Robi i Szymon równocześnie, po czym Robi dodała: – Dobra, jesteśmy agentami! Co może być trudnego? Damy radę. Ktoś ma pomysł, co może nam się

posypać?

– Ja... – mruknął Alan.

– Co?

– Przyjęcie jest jutro wieczorem.

Stało się jasne, że mają przechłapane. Oczywiście było to wykonalne, ale rano musieli wyruszyć. O świcie. Mieli do dyspozycji jedynie noc, by cokolwiek przygotować. Przyjęcie miało być zlotem najważniejszych i najbogatszych szumowin świata terrorystów, a oni mieli tam wkroczyć niczym płatek śniegu w ognisko. Nie mieli wyboru... Czekala ich długa noc.

Rozdział piąty

Kakao

Słońce jeszcze nie wstało. Nad horyzontem pojawiła się już lekka łuna rozjaśniająca nocne ciemności. Dochodziła godzina czwarta. Poprzedniego dnia, kiedy Franek wrócił z patrolu, zostawił śmigłowiec w ogrodzie.

Agenci przez noc spakowali już wszystko. Od sprzętu do nurkowania, po broń, wieczorowe stroje i wszystko, co potrzebne do łączności, oraz oczywiście laptop Alana.

Wsiadli do śmigłowca i wystartowali. Woleli nawet nie myśleć, jak bardzo denerwują sąsiadów. Robi też nie miała zbyt dobrego humoru. Właśnie zaczynały się wakacje, a ona znów nie mogła odebrać świadectwa.

To był długi lot, ale w końcu dotarli na miejsce. W Chorwacji było o wiele cieplej niż w Polsce. Pod śmigłowcem migąły miasta oraz urocza Dalmacja. Na lewo od nich majestatyczne Góry Dynarskie lśniły w promieniach słońca. Palmy, czysta, turkusowa woda Adriatyku, wyspy oraz domki na zboczach obok morza. Widoki zapierały dech w piersiach.

– Sześć kilometrów do celu – odezwał się Franek. – Wolałbym nie zbliżać się do nich bardziej.

– Jasna sprawa. Wysadź nas na jakimś dachu – mruknęła Robi, zerkając w dół.

Śmigłowiec zniżył się i zawisnął półtora metra nad dachem. Trójka agentów zeskoczyła, a Gryzoń poderwał maszynę do góry i odleciał.

Zeszli na bardzo wąską uliczkę. Pokryta została kostkami brukowymi, które przez wiele lat użytkowania wyświeciły się pod stopami przechodniów. Pobiegli w stronę wybrzeża. Po drodze mijali sklepiki, restauracje i przepiękne kolorowe kwiaty w ozdobnych doniczkach.

Temperatura była wysoka, a słońce grzało niemiłosiernie. Dla agentów, którzy pod ubraniami turystów mieli jeszcze kombinezony do nurkowania, chodzenie po mieście było istną torturą.

W końcu dotarli do pierwszego punktu oznaczonego w ich planie. Był to jeden z budynków, trochę wyższy niż pozostałe, oddalony od celu o prawie kilometr. Robi i Szymon wbiegli na dach, a Net został na czatach przy bramie.

– Widzisz cel? – zapytał Szymon, kiedy oboje położyli się na dachu z lornetkami.

– Yhmm – mruknęła agentka. – Goście już się zjeżdżają.

Przy bramce stało dwóch mężczyzn. Łysi, umięśnieni, ubrani w czarne i eleganckie garnitury. Wpuszczali tylko tych, którzy byli na liście, a mieli do tego specjalną tablicę elektroniczną. Co tu dużo mówić, terroryści też idą z duchem czasu. Dla agentów to dobrze, bo przecież łatwiej oszukać system, niż wpisywać się potajemnie na papierową kartkę...

– Kiedy oni w końcu się zameldują... – syknął znudzony Szymon.

– Daj im czas – odpowiedziała Robi, przyglądając się gościom z kolejnego samochodu, który przyjechał na przyjęcie.

Po pewnym czasie w końcu usłyszeli ten długo oczekiwany komunikat.

– Meldujemy gotowość do akcji – rozbrzmiał w słuchawkach głos Alana.

– Przyjęłam. Przechodzimy do fazy drugiej naszego planu. Świder, laptop w ruch – zaśmiała się Robi i klepnęła Szymona w ramię, dając mu znak, że czas ruszać.

Gdy wybiegli na ulicę, Net ruszył za nimi i wspólnie udali się w stronę wybrzeża. Mijali tłumy mieszkańców i turystów. Szymon o mało co nie wpadł na palmę.

– Za dziesięć metrów skręćcie w prawo – prowadził ich Franek.

Zrobili to, co powiedział, i ich oczom ukazała się mała budka z toaletami. Zatrzymali się tuż pod drzwiami.

– Nie rozdwoję się! – pisnął Net, który miał dopilnować, by agenci zabrali cały sprzęt.

– Będiesz musiał – mruknęła Robi, po czym z uśmiechem spojrzała na Szymona. – Damskie i męskie. To widzimy się za jakiś czas.

– Yhmm.

Rozeszli się w dwie różne strony i tylko Net stanął zrozpaczony na środku, nie mając pojęcia, dokąd ma iść.

– Inter! Do mnie – zawołała Robi, a chłopak od razu pognał w jej stronę.

Dwójka agentów upewniła się, że są sami, a potem sprawdzili, czy przypadkiem nie obserwowała ich jakaś kamerka. Robi weszła do jednej z kabin i ściągnęła wszystko oprócz piankowego kombinezonu nurka. Net podał jej plecak i znudzony oparł się ścianę.

Nagle do toalety weszła kobieta. Wydarła się na całe gardło i zdzieliła nastolatka po głowie, krzycząc coś po chorwacku. Net wybiegł pośpiesznie na zewnątrz, a tam spotkał przebranego już Szymona.

Miał na sobie elegancki, czarny garnitur, a pod nim śnieżnobiałą koszulę. Krawat na szyi dodawał mu wieczorowego wyglądu. Strój zmienił go nie do poznania, a do tego miał na sobie czarną, starannie uczesaną perukę i prostokątne okulary.

– Ona jeszcze się szykuje? – syknął znudzony.

– Przecież to dziewczyna. One zawsze szykują się bez końca.

Po kilku minutach zza drzwi wyłoniła się urocza blondynka w czerwonej, długiej do ziemi wieczorowej sukni. Włosy upięte miała w kok, a grzywkę zaczesaną na prawy bok. Czerwone, falbaniaste rękawki dobrze maskowały czerń ukrytego pod nimi kombinezonu i dodawały lekkości i uroku. Szymon i Net wpatrywali się w swoją odmienioną przyjaciółkę z zachwytem.

– Ty masz na sobie sukienkę – wymamrotał Net i cały aż się zarumienił.

Agentka przewróciła oczami i wepchnęła mu w rękę swój plecak.

– Leć do reszty ekipy. I czekajcie na nas – mruknęła i szturchnęła Szymona w ramię. – Ja czekam, misiaczku... Może byś wziął swoją narzeczoną pod rękę?!

– A tak, sorry. Chodź.

Dumnym krokiem ruszyli przed siebie, zmierzając w stronę ochroniarzy, którzy wpuszczali gości na wyspę Delika. Kiedy byli już kilka metrów od celu, Robi przytuliła się do swojego ukochanego.

– Świder, mam nadzieję, że już wpisujesz nas na listę – szepnęła do zegarka.

– Robię, co mogę. Jeszcze moment – usłyszeli w słuchawkach głos informatyka.

Nie mogli już się wycofać. Nie mieli wyboru, musieli iść dalej i mieć nadzieję, że Alan zdąży na czas.

– Państwa godność? – zapytał ospale jeden z osiłków, kiedy stanęli tuż przed bramką.

– Ethan i Lee Kasto – odpowiedział Szymon.

Ochroniarz zaczął przeglądać listę gości. Raz, drugi... Szepnął coś do swojego kolegi.

– Lee, kochanie. Wiesz, na co mam ochotę?
– Tak, skarbie?
– Na makaron. Koniecznie świderki. Tylko słyszałem, że strasznie długo się je przygotowuje – ostatnie pięć słów Descante wycedził z odrobiną wściekłości w głosie.
– Robię, co mogę! – pisał Alan.
– Może lepiej coś bardziej wykwintnego. Zabierz mnie tam, gdzie się poznaliśmy! – szepnęła uwodzicielsko Robi, patrząc z zachwytem na Szymona.
– Przepraszam, że przerwę, ale nie ma państwa na naszej liście gości – mruknął ochroniarz.
– To jakieś nieporozumienie! Proszę sprawdzić jeszcze raz. To niedorzeczne! – oburzył się Szymon.
– Kochanie, spokojnie. Może to tylko przeoczenie – uspokoiła go Robi.
– Na listę, gołąbeczki! – zaśmiał się Alan. – Gotowe!
Ochroniarze z uwagą prześledzili całą listę. W pewnym momencie zatrzymali wzrok i kiwnęli głowami do siebie.
– Rzeczywiście. Państwo Kasto – mruknął jeden z nich, otwierając przed nimi bramkę. – Zapraszam na jacht, który dowiezie państwa na wyspę. Za utrudnienia przepraszam.
Dwójka młodych agentów weszła na pokład. Wszystko było tutaj ekskluzywne i nowoczesne. Skórzane meble, błyszczące, starannie dobrane drewno i złote dodatki. Przepych i bogactwo w pełnym wydaniu.
– Przytłacza mnie to – szepnął Szymon, rozglądając się dookoła.
– Oj, kochanie, przecież mamy podobnie urządzonej dom. Trochę mniej tradycyjnie – syknęła Robi, przypominając mu, że grają bardzo zamożną parę.
Płynęli w stronę wyspy. Jacht pruł czystą, turkusową wodę Adriatyku, a świeże powietrze owiewało im twarze. Dookoła unosił się zapach wytrawnego wina i drogich perfum.
W końcu dotarli do wyspy. Palmy, klif i skały. Na samym skraju, na wzgórzu, stała ogromna biała willa. Wielkie okna, tarasy, basen. Typowy dom bogatych przywódców grupy terrorystycznej.
– Co robimy? – zapytał Szymon, jak najspokojniej tylko mógł.
– Udajemy obrzydliwie bogatych i ważnych – mruknęła agentka i ruszyła przed siebie eleganckim krokiem, starając się utrzymać równowagę w szpilkach na drobnej kostce brukowej wyłożonej na drodze do willi. – Tacy bogaci toby mogli sobie chociaż jakieś równe i gładkie marmury sprawić! – syknęła poirytowana.
Weszli przez drzwi wejściowe do przestronnego holu. Pod sufitem wisiał ogromny kryształowy żyrandol, a marmurowa podłoga lśniła w jego świetle. Idąc przed siebie, mijali przeróżnych ludzi. Stali w kilkuosobowych grupkach i popijając dobrze schłodzonego szampana, rozmawiali o swoich niecnym osiągnięciach.
Agenci czuli się tu trochę nieswojo. Jedyne, jaką chcieliby wtedy zrobić, to zerwać z siebie te stroje i wkroczyć do akcji. Aresztowaliby wszystkich podejrzanych typków i świat stałby się bezpieczniejszy. Niestety rozkazy były jasne: rozgryźć Delika, reszta nie jest ważna. Poza tym byli tam tylko we dwójkę i nie mieli szans.
– Witam! – ktoś zawołał za ich plecami.
Odwrócili się i zobaczyli, że ten ktoś do nich macha. Był to wysoki i chudy mężczyzna. Na oko miał pięćdziesiąt lat i jak na swój wiek wyjątkowo bujną czuprynę kasztanowych, kręconych włosów. Ubrany był w biały garnitur, czarną koszulę i czerwony krawat.

– Witam – odpowiedzieli agenci, siląc się na normalny ton, a mężczyzna ruszył w ich stronę.

– Oż, w mordę! – usłyszeli w słuchawce głos Neta, który już dotarł do reszty i widział wszystko na laptopie Alana dzięki kamerce w okularach Robi. – To mój ojciec! Znaczący, nie ojciec... No ale... To Bore!

– Cholera, sam Krystian Bore! – syknął Alan, potwierdzając sytuację. – Weźcie się w garść i nie dajcie się zdemaskować!

To się nastolatkom nie spodobało. Dwóch agentów i największa szychy Delika. Gdyby teraz ktoś ich zdemaskował, prawdopodobnie padliby trupem niemal natychmiast.

– Witam, panie Bore. Cieszę się, że mogę wreszcie pana poznać. Jestem Lee Kasto, a to mój mąż Ethan – odezwała się w końcu Robi.

– Co państwa tu sprowadza? – zapytał trochę podejrzliwie.

– Panie Bore, chcieliśmy przedyskutować pański nowy plan. Bardzo nas zaciekał – oznajmił spokojnie Szymon, biorąc kieliszek od kelnera.

– Mój plan? – zapytał zaintrygowany mężczyzna. – Zatem zapraszam za mną – mruknął i ruszył przed siebie.

Dwójka agentów podążyła za nim. Prowadził ich przez ogromne pokoje i sale. Korytarze i przedsionki. Ten dom był ogromny, a wszystko w nim było bogato zdobione i nowoczesne zarazem.

W końcu po długiej podróży dotarli do gabinetu Krystiana. Ściany zasłonięte były regałami pełnymi książek i papierów. Za drzwiami stał wielki, stary globus, a na samym środku pomieszczenia znajdowało się masywne rzeźbione biurko z drewna dębowego. Gabinet w odróżnieniu od reszty domu sprawiał wrażenie starodawnego zacisza domowego, ale też przytłaczał ciężkością elementów mieszczących się w nim.

– Siadajcie – poprosił Bore, wskazując na dwa potężne krzesła stojące przy biurku.

Agenci zrobili to, o co prosił, starając się zachować chociaż pozorną pewność siebie. Krystian Bore usiadł naprzeciw nich. Oparł głowę na splecionych dłoniach i zmierzył ich wzrokiem.

– O który plan chodzi? – zapytał flegmatycznym głosem.

– O najnowszy. Mógłby pan przybliżyć nam jego cel?

– Dlaczego miałbym to pani zdradzić?

– Możliwe, że jesteście zainteresowani i gotowi zainwestować w to kilkanaście milionów – odezwał się Szymon.

– To interesujące. Cóż, chyba mogę zdradzić państwu kilka szczegółów.

– Słuchamy – szepnęła Descante, patrząc niecierpliwie na Bore'a

– To mały projekt. Zgromadziliśmy trochę broni biologicznej i odrobinę chemicznej.

– Jakiego rzędu są to ilości? – zapytała zaciekawiona Robi.

– Starczy na wybicie połowy Europy. To niewiele, ale na początek wystarczy.

– Mało szczytny cel – wymamrotał Szymon, a Bore popatrzył na niego zdziwiony.

– Przystopuj, kolego! – syknął poirytowany Alan. – To terrorysta, zdradzasz się.

– Mało szczytny cel, i to się nam właśnie podoba! – oznajmiła Robi, próbując ratować sytuację.

– W takim razie myślę, że się dogadamy. W końcu każdy ma kogoś, kogo chciałby skazać na śmierć w męczarniach.

– Och, z pewnością – zaśmiała się Robi.

Gdyby tylko Krystian wiedział, że on i jego goście chcieli się nawzajem właśnie w ten sposób wykończyć. Robi była strasznie ciekawa jego reakcji, ale to na razie musiało pozostać dla niej zagadką. Ich rozmowa była nagrywana przez Alana i miała dostarczyć szczegółowych informacji.

– Skoro mamy pomóc, chcielibyśmy wiedzieć, na co się porywamy. Co zamierza pan zmieść z powierzchni ziemi na początek? – zapytał Descante.

– Mój plan jest prosty. Zemsta na tych, którzy sprawili, że moje życie posypało się w gruzy.

– O kogo chodzi? – zapytała Robi, a widząc minę rozmówcy, szybko dodała: – Chcemy się przygotować na ryzyko i powagę całej akcji.

Twarz Bore’a jakby złagodniała. Poczuli, że jego goście są zainteresowani współpracą.

– Jedna z drużyn Polskich Agentów Specjalnych. Mają mało ludzi i są tajną organizacją. Przy odpowiednich środkach łatwo będzie ich dopaść.

Robi uśmiechnęła się lekko, zakładając ręce na piersiach. Nie chciała, by Bore zauważył, jak bardzo trzęsły się jej dłonie. Przełknęła cicho ślinę. Nie trzeba być świetnie wyszkolonym agentem, by domyślić się, o którą grupę chodzi.

– Aż tak zależli panu za skórę? – zapytała spokojnie.

– Robi, nie dopytuj tak. Zacznie coś podejrzewać – mruknął Alan.

– Och, droga pani Lee. Nawet pani nie wyobraża sobie, jak bardzo. Grupa smarkaczy krzyżuje mi plany, a moi ludzie sobie z nimi nie radzą. Nie potrafią dorwać głupiej nastolatki i jej cholernego teamu!

Agenci mieli pewność. To oni byli celem! Teraz marzyli tylko o jednym. Chcieli stamtąd wyjść najszybciej, jak to możliwe. Bore nadal nie wiedział, że jego cel siedzi półtora metra od niego.

– No, to faktycznie musi być wkurzające – mruknął Szymon, patrząc na terrorystę dziwnym wzrokiem. – Tak dać się wykiwać...

– Co, proszę?!

– Descante, zluźnij! Spalisz całą akcję! Opanuj się – warknął zdenerwowany Franek.

– Mój kochany Ethan miał na myśli, że z naszą pomocą to się nie powtórzy. Dobrze pana rozumiemy. Możemy wiedzieć, kiedy zamierza pan zaatakować te dzieciaki? – zapytała Robi, nadrabiając miną.

– Nie wiem. Oni są nieprzewidywalni. Nie mam pojęcia, kiedy uda się ich dorwać. Być przy nich i móc w końcu ich wykończyć. Jeśli mam być szczery, to nie wiedziałem, że takie smarkacze mogą być tak dobre.

– Zatkąło kakao? – zaśmiał się Szymon i kiedy się zorientował, co narobił, próbował się wyratować. – Czyli się dogadamy, tak?

– Co pan powiedział? – zapytał Bore.

Wstał z krzesła i oparł się rękami o blat biurka. Powoli pochylił się w stronę agentów, patrząc na nich gniewnie.

– Że się dogadamy... Powiedziałem, że się dogadamy!

– Wcześniej. To z kakao.

– To nic takiego...

– Do tej pory dane mi było usłyszeć tylko o jednej osobie, która tak mówi. Moi ludzie opowiadali o zuchwałym koleźce agentki Damon. Szymonie, czy jak mu tam. Prawda? – zapytał.

Nagle wyskoczył do przodu, przechylając się nad biurkiem. Nie wiadomo kiedy stracił Szymonowi perukę z głowy. Descante, zaskoczony tym zdarzeniem, odskoczył w tył, przewracając krzesło, na którym siedział. Robi zerwała się na równe nogi i stanęła tuż obok swojego przyjaciela.

– Kogo ja widzę. Szymon Descante. Skoro ty tu jesteś, to twoją „żoną” jest zapewne twoja jakże irytująca przyjaciółeczka Robi.

Ruszył w jej stronę. Odskoczyła w bok, ale on zamachnął się i łokciem uderzył ją w kark. Agentka syknęła cicho i padła na podłogę. Bore zerwał jej perukę i zabrał okulary.

– Oczywiście – syknął terrorysta, po czym zamachnął się nogą z zamiarem kopnięcia nastolatki w brzuch.

W ostatniej chwili udało jej się złapać go za kostkę i przewrócić. Upadając, uderzył głową w biurko i stracił przytomność. Agentka zerwała się i podbiegła do Szymona. Złapała go za kołnierz i potrząsnęła.

– Ty idioto! „Kakao”?! Użyłeś tego w magazynie w Gdyni przy kilkunastu Delikowcach! Jak mogłeś to palnąć w takiej sytuacji?!

– Nie pomyślałem!

– Właśnie, Szymon! Ty gadasz, a nie myślisz!

– Przepraszam, no...

– Skup się. Wychodzimy, jakby nic się nie stało. Do czasu, gdy Bore jest nieprzytomny, jego osiłki nie wiedzą, że tu jesteśmy.

Wyskoczyli z pokoju i ruszyli przed siebie. Przeciskali się między ludźmi, co dla Robi wcale nie było łatwe w wąskiej wieczorowej sukni.

– A włosy? Nie poznają nas? – szepnął Szymon.

– A mamy inne wyjście? Upadając, Bore wpakował peruki pod siebie. Ocknąłby się, gdybyśmy je zabrali.

Stanęła na rozstaju korytarzy, a jej przyjaciel wpadł na nią z rozpędu. Rozejrzała się dookoła. Musieli szybko wiać, ale dom był tak ogromny, że czuli się, jakby utknęli w labiryncie.

– Sprzęt na miejscu. Możecie się ewakuować – usłyszeli w słuchawce głos Alana.

– Chodź! – warknęła Robi i pociągnęła Szymona za sobą

– Czas na nasz plan B. Szukaj morza.

Znów się zatrzymała. Popatrzyła na siebie i swojego towarzysza. Gdyby Bore zawiadomił swoich ludzi, powiedziałyby, że mają szukać rudzielca w czerwonej sukni. Musieli choć trochę zmienić wygląd. W końcu bocznego korytarza zauważyła toaletę.

– Za mną! – syknęła i ruszyła w stronę drzwi.

Wbiegli do środka. Na prawo od wejścia znajdowało się ogromne, lśniące lustro, a pod nim bogato zdobione umywalki. Agentka przewróciła oczami.

– Ściągaj to – mruknęła do przyjaciela i sama zabrała się za ściąganie swojej pięknej sukni.

Po chwili oboje stanęli przed sobą tylko w stroju do nurkowania. Eleganckie ubrania wrzucili do jednej z kabin i zmyli makijaż. Teraz wyglądali zupełnie jak oni.

– Nareszcie mogę objechać cię prosto w twoją własną twarz! Nieważne. Nie ma czasu, idziemy.

Kiedy tylko to powiedziała, w całym domu rozbrzmiał głośny alarm. To było jasne, Bore odzyskał przytomność i teraz agenci mają spore kłopoty. Wybiegli z toalety i wpadli w tłum

ludzi. Zaczęli się przeciskać między gośćmi, którzy zupełnie nie wiedzieli, skąd to zamieszanie.

Skręcili w jeden z bocznych korytarzy. Był zupełnie pusty i prowadził do zatłoczonej sali głównej. Nagle zza rogu wyskoczyło trzech uzbrojonych ochroniarzy.

– Stać! – wrzasnął jeden z nich, mierząc do Szymona z karabinu.

– Wiejemy! – syknęła Robi.

Wskoczyli w tłum i poczuli się choć trochę bezpiecznie. Przykucnęli, by ukryć się między ludźmi i móc omówić plan.

– Szukamy klifu, skaczymy i dajemy nogę pod wodą – streściła wszystko Robi, a Szymon kiwnął twierdząco głową. – To idziemy.

Wstali i od razu znów padli na ziemię. Salę otoczyli ochroniarze. Przebijali się przez tłum i nieuchronnie zbliżali się do dwójki nastolatków. Broń mieli w gotowości do strzału, a agenci byli bezbronni.

– Zabiję cię, jeśli przez ciebie zginiemy – mruknęła Robi.

Nagle usłyszeli okropny, głośny i przenikliwy pisk. Przeszywał im uszy jak setki igieł. Oboje złapali się za głowy i syknęli cicho z bólu. Robi zakreśliło się w głowie, zatoczyła się i padła na kolana. Kątem oka zauważyła, że Szymon zrobił to samo. Dźwięk dochodził z słuchawek. Agenci próbowali je wyciągnąć, ale nie wiedzieć czemu, nie mogli.

Dookoła nich pojawili się ochroniarze. Było ich siedmiu. Wszystko ucichło, a Robi i Szymon odetchnęli z ulgą. Popatrzyli niepewnie na mężczyzn.

– Mówiłem, że dzięki temu ich znajdziemy? – zaśmiał się jeden z nich, przekładając z ręki do ręki małe urządzenie przypominające pilota do telewizora.

– Agenci są tacy przewidywalni. Nigdzie nie chodzą bez tych swoich słuchawek.

– No i dobrze. Dzięki temu ich mamy.

– Dzięki czemu? – zapytała Robi, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

– Dzięki temu. Emituje zakłócenia. Ci, którzy mają słuchawki, słyszą piski rozsadzające im czaszki.

– No bez przesady, głowy mamy całe. Nie ukrywam, że urządzenie dość ciekawe. Ile ich macie?

– Tylko jedno – odpowiedział mężczyzna, za co oberwał z łokcia w brzuch od swojego kolegi.

– Idiota! – syknął ten drugi.

– A co zrobicie, jeśli ja... – Podeszła ostrożnie do tego trzymającego pilota.

Szybkim i zdecydowanym ruchem zabrała mu „zabawkę” i cisnęła nią o ziemię. Skoczyła na nią jak najmocniej umiała i roztrzaskała na kawałki. Trochę ją to zabolowało, bo w końcu spotkanie plastiku z piankowymi butami nie może być przyjemne. Mimo wszystko było warto.

– Łapać ją! – wrzasnął jakiś inny, który był chyba ich dowódcą.

Agenci ruszyli pędem przed siebie. Wbiegli po schodach na górę i wpadli do jakiegoś pokoju. Było tam zupełnie ciemno, ale ich szkła kontaktowe, które były tak naprawdę noktowizorami, zadziały natychmiast. Wszystko zobaczyli w zielonkawym świetle.

Pod ścianą, po lewej stronie stało ogromne łóżko z baldachimem rodem ze średniowiecza. „Mogłaby tu spać cała drużyna”, przemknęło Robi przez myśl. Na podłodze leżał ręcznie tkany wzorzysty dywan. Przy ścianie, po przeciwnej stronie od łóżka, wśród regałów stało potężne akwarium.

– Mają ryby! – zawołał Szymon, podbiegając do zbiornika, a Robi zrezygnowana

przewróciła oczami.

Tylko on mógł przejąć się hodowlą rybek w czasie, kiedy około dwudziestu uzbrojonych mężczyzn próbowało ich zamordować.

- Robi, ale to piranie. Nie tak łatwo trzymać je w domu!
- Nie czas na takie bzdety! – wrzasnęła i miała szczerą ochotę porządnie go walnąć.
- Sorry, ja chciałem tylko...
- Cicho! – syknęła i zaczęła nasłuchiwać – Słyszysz to?
- Coś jak szum morza.

Agentka podbiegła do okna i rozsunęła grube, ciężkie zasłony. Jej oczom ukazało się ciemne nocne niebo pełne gwiazd i lekko pomarszczona wiatrem tafla Adriatyku. Księżyc odbijał się w wodzie, która zdawała się być wszędzie dookoła nich. Z tego okna nie było widać ziemi. Robi przechyliła się bardziej nad parapetem, przyciskając głowę do szyby. Zobaczyła tylko fale rozbijające się kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt metrów pod nimi o stromy skalisty klif.

– Świder, gdzie jest sprzęt, a gdzie najgłębsza woda? – mruknęła do zegarka, a Szymon, usłyszawszy to, popatrzył na nią z przerażeniem i podbiegł do okna.

– Dno pod klifem jest głębokie. I równe. Jeśli wskoczycie do wody w odległości nie mniejszej niż dwa metry i nie większej niż pięć metrów od ściany, nic wam się nie stanie – oznajmił Alan, po czym zawahał się i dodał: – Znaczący, takich danych dostarczył nam Net po tym, jak wrócił.

- Net? Już po nas – syknął Szymon, patrząc smutno na swoją przyjaciółkę.
- Przypominam, że to nie przez niego musimy uciekać!

Wtedy do pokoju wpadło czterech ochroniarzy. Robi ich poznała. Trzech z nich było w tym magazynie w Gdyni, kiedy ona i jej team szukali Darka. To był nikt inny jak zwykli terroryści chroniący swego szefa!

- Stać! – krzyknął jeden i zaczął strzelać na oślep.

Kule podziurawiły ścianę i jedną część zasłon. Powybijają też szyby w oknach. Agenci zdążyli paść na ziemię i zasłonić głowy przed szklanym deszczem odłamków. Gdyby Krystian wiedział, że jego goryle rozwalają mu dom...

– Szymon, musimy skakać. Pamiętaj, minimum dwa metry. Nie mamy rozbiegu, więc odbij się! – szepnęła Robi.

- Jasna spawa.

Ktoś zapalił światło, ale na szczęście ktoś inny strzelił chwilę później w lampę i znów stała się ciemność. Agenci, ukryci za komodą, wykorzystali ten moment. Zerwali się na równe nogi i podbiegli do okna. Szyby już praktycznie nie było, ale piankowe buty nie nadawały się do chodzenia po rozbitym szkłe. Wskoczyli na parapet, odbili się mocno i skoczyli.

Wpadli między spienione fale odbite od klifu. Temperatura wody była dużo niższa od temperatury powietrza. W pierwszej chwili mięśnie Robi odmówiły posłuszeństwa. Nie mogła się ruszyć. W końcu udało jej się wypłynąć na powierzchnię. Złapała oddech i nagle wokół niej do wody zaczęły wpadać kule. Terroryści nie odpuszczali i za wszelką cenę starali się trafić nastolatkę. Chwilę później obok niej pojawił się Szymon.

- Dawaj nura! Dwa metry w dół! – wrzasnęła do przyjaciela i zniknęła pod wodą.

Jak najszybciej mogła, zeszła na odpowiednią głębokość i zatrzymała się, czekając na przyjaciela. Tutaj pociski już im nie mogły zagrozić. Woda była zbyt gęsta i wyhamowywała je praktycznie do zera. Machnęła Szymonowi ręką, dając znak, że ma za nią popłynąć.

Dodarli do miejsca, gdzie Net miał ukryć ich „plan B”. Po chwili Descante znalazł dość sporych rozmiarów granatową torbę. Ukryli się tuż pod klifem i wynurzyli się. Otworzyli torbę i wyciągnęli z niej dwie butle tlenowe, płetwy, gogle i dwa pistolety. Agenci przygotowali się i zanurkowali.

Terroryści świecili z góry latarkami i laserami, śledząc ich i zasypując ich gradem kul. Pociski bez przerwy cięły wodę dookoła nich i dopiero kiedy zanurzyli się dość głęboko, nastąpiła zupełna cisza. W uszach dudnił im tylko charakterystyczny dźwięk towarzyszący przebywaniu pod wodą. Płynęli obok siebie w stronę wyspy, na której czekała na nich reszta drużyny.

Nagle gdzieś w tyle usłyszeli dźwięk silnika motorówki. Zbliżała się do nich w szybkim tempie. Robi zatrzymała się i pokręciła głową z politowaniem. Terroryści płynęli gdzieś bokiem, co znaczyło, że nie mają pojęcia o dokładnym położeniu agentów, ale zmierzali w stronę tej samej wyspy co oni, więc zagrażali reszcie. Wyciągnęła swój pistolet, poklepała Szymona po ramieniu, dając mu znak, że płynie do góry, i pomknęła w stronę powierzchni.

Wynurzyła się i rozejrzała dookoła. Zauważyła ich. Byli dość daleko. Zbyt daleko na ten rodzaj broni. Znów zanurkowała i podpłynęła w ich kierunku około dwustu metrów. Zbliżyła się znów do powierzchni wody i wycelowała w silnik.

Mrok nocy rozjaśnił wybuch, a ciszę przerwały okrzyki terrorystów. Ci, którzy zdążyli uciec z łódki, szukali teraz swoich przeciwników. Jeden coś krzyknął, wskazując na Robi. Nagle padły cztery strzały. Jeden po drugim. Krzyki terrorystów ucichły. Robi szybko sprawdziła, czy aby na pewno nie jest ranna.

– Nic ci nie jest – zaśmiał się Szymon.

Agentka odwróciła się do tyłu i zobaczyła swojego przyjaciela trzymającego broń w górze.

– Dzięki – mruknęła, łapiąc za swój ustnik.

Popatrzyła na chłopaka i zanurkowała. W końcu, kiedy powietrze w butlach powoli się kończyło, dotarli w pobliże odpowiedniej wyspy. Gdy znaleźli się w okolicy brzegu, wypłynęli na powierzchnię, by odnaleźć śmigłowiec Franka, który miał na nich czekać na wyspie.

Kiedy tylko Net ich zauważył, wbiegł do wody po kolana i zaczął do nich machać.

– Siemka, tęskniłeś? – zaśmiała się Robi, stając tuż przy nim.

– Bałem się, że wam się nie uda! – pisnął chłopak, rzucając się przyjaciółce na szyję. – Tak długo płynęliście! Myślałem, że ktoś cię trafił albo złapał!

– Zatrzymała nas motorówka. Rozwaliłam ją, a Szymon zabił terrorystów, którzy chcieli do nas strzelać.

Dwójka agentów wyszła na brzeg, a Szymon smutno począł za nimi. Wyszli na brzeg, gdzie czekali już Alan i Franek. Oboje przytulili Robi.

– Następnym razem trzymaj język za zębami – mruknął Alan i zaczął chować sprzęt.

– Ale... Ja nie chciałem! Wszystko dobrze się skończyło, przepraszam! – zaszlochał zrozpaczony Descante.

– Może i nie chciałeś, ale tak czy siak spaliłeś akcję – syknął Franek, zakładając swój hełm i podając drugi Robi, która siedziała zawsze na miejscu drugiego pilota.

Wszyscy wsiedli na pokład i po chwili wystartowali. Lecieli nad morzem po łuku, omijając zasięg radarów Delika. Nagle coś zwróciło ich uwagę. Biała smuga dymu wychodząca tuż obok willi Bore’a i kończąca się... Nie miała końca. Wydłużała się w ich kierunku. Zauważyli płomień małego dopalacza rakiety ziemia–powietrze.

– Cholera! – wrzasnął Franek i mocno szarpnął sterami w prawo.

Śmigłowiec przechylił się na bok, a potem skręcił. Pocisk pomknął za nimi. Mieli dość dużą przewagę, ale musieli się go jakoś pozbyć. Gryzoniowi udało się zygzakiem dolecieć do gór. Zatrzymał się kilkanaście metrów od skalnej ściany i jak najszybciej odwrócił śmigłowiec bokiem do rakiety. Od pewnej śmierci dzieliły ich sekundy. Pocisk pruł w ich stronę z zawrotną szybkością. Franek z całej siły szarpnął sterem, odciągając maszynę do tyłu.

– Ciągnij! – syknął do Robi.

Śmigłowiec zatrząsł się od turbulencji. Pilot i agentka z całych sił przytrzymali stery i udało im się cofnąć na czas. Rakieta z hukiem uderzyła o skały i wybuchła. Podmuch znów zatrząsł agentami, ale utrzymali się w powietrzu.

Franek zszedł na niższy pułap, by utrudnić przeciwnikowi namierzenie go. Odetchnął z ulgą.

– Co to było?! – zapytał zszokowany Net. – Wlecieliśmy w ich zasięg?

– Nie. To musiała być jakaś ręczna wyrzutnia – mruknął Gryzoń.

Lecieli dalej, a pod nimi migały palmy, małe domki i urocze wąskie uliczki. Dom Bore'ów zniknął już za horyzontem. W końcu Franek oznajmił, iż zniknęli z zasięgu wszelkich możliwych rakiet i pocisków ustawionych dookoła wyspy. Teraz mogli spokojnie lecieć do domu.

Chorwacja bardzo przypadła wszystkim do gustu, ale nadszedł czas, by pożegnać te piękne, skąpane w bladym świetle księżycy widoki i wracać do Polski.

Rozdział szósty Osaczona

Robi szła ulicą. Po drodze mijała różnych ludzi, biegających między zaparkowanymi samochodami. Darek wysłał ją po zakupy i bardzo jej się to nie podobało. Miała na głowie ważną misję, a jej team czekał na decyzję. Tymczasem została wyrwana ze swoich zajęć i ściągnięta do tak przyziemnego zadania jak kupienie pomidorów, jajek i mleka.

Zatrzymała się na chwilę przed wystawą sklepu z zabawkami. Interaktywny pies patrzył na nią z pudełka. Zawsze o takim marzyła, ale dostała Reksa, który okazał się o wiele lepszy od zabawki. Uśmiechnęła się pod nosem.

Nagle coś poruszyło się na wystawie. Na początku była przekonana, że to ktoś robi coś wewnątrz sklepu, ale chwilę później zauważyła, że tym, co zwróciło jej uwagę, było odbicie w szybie. Przyjrzała mu się dokładniej.

Ktoś siedział w oknie na poddaszu kamienicy. Przecież to nic dziwnego... Każdy ma prawo sobie tak siedzieć. No, ale nie każdy ma prawo mieć karabin i właśnie to Robi rzuciło się w oczy. Nie miała pewności, czy strzelec ją rozpoznał, a na ulicy było pełno niewinnych cywilów.

Jak gdyby nigdy nic, ruszyła przed siebie. Przeszła na drugą stronę, znikając snajperowi z celownika. Popatrzyła w górę. Nikogo nie zobaczyła. Uśmiechnęła się z satysfakcją i zamierzała pójść dalej. Nie mogła. Wpadła na jakiegoś mężczyznę, który pojawił się przed nią niespodziewanie.

– Przepraszam – mruknęła, wymijając go z ręcznie.

– Gdzie się tak spieszysz, moja droga? – zapytał i złapał ją za łokieć.

Robi szarpnęła ręką, chcąc wyrwać się z jego uścisku, ale on trzymał mocno. Popatrzyła na niego, domyślając się już, kim jest.

– Nie radzę tak się wyrwać – syknął jej do ucha. – Nasz szef nie jest zbyt zadowolony. Może chciałabyś go odwiedzić?

– No jakoś nie mam ochoty.

– Kiedy przyjdzie czas, Delik zatryumfuje, a wasi agenci polegą. Wszyscy. Bez wyjątku.

– Kiedy przyjdzie czas? Nie sprzątniesz mnie teraz? – mruknęła Robi i kątem oka zauważyła, że drugi z terrorystów zerka na nią niepewnie. – Ach, no tak. We dwóch nie dacie mi rady.

– Nie to mamy na celu. Doigrasz się.

– Powiedz swojemu szefowi, że cokolwiek zrobi lub wymyśli, nie uda mu się to. Nie spocznę, dopóki go nie dorwę!

Terrorysta puścił jej rękę i razem ze swoim towarzyszem zniknął w głębi bocznej uliczki. To było jasne. Zaczął się wyścig. Wyścig po życie i zwycięstwo. Koniec szpiegowania i gdybania. Teraz pozostało już tylko wkroczenie do akcji i obrona kraju przed atakiem biologiczno-chemicznym.

Robi wsiadła do pierwszego autobusu i pojechała do domu. Z przystanku ruszyła biegiem

w stronę żółtego budynku oddalonego od reszty zabudowań o pół kilometra. Przebiegła przez ogród i wpadła zdyszana do salonu. Zdezorientowany Darek wyszedł z kuchni w żółtym fartuszkowi w kwiatki.

– Co się... – zaczął, ale został staranowany przez agentkę, która wrzucając mu zakupy w ręce, pobiegła do okna.

– Nikt nie obserwuje domu? Nikt nie dobijał się do drzwi?

– Nie. Co się stało?

– W mieście był snajper. I dwóch goryli Bore'a. Zabawa się skończyła!

– Nikogo tu nie ma – odpowiedział Darek, wracając do gotowania obiadu. – Masz paranoję. Wyprowadź lepiej psa na spacer. Musi się wybiegać.

– Ehm – warknęła Robi. – Okej.

Wyszła na dwór i przy furtce zawołała Reksa. Kiedy zwierzak siedział już przy jej nodze, przykucnęła obok niego i szepnęła mu do ucha:

– Miej się na baczności. Jak kogoś wyczujesz, szczekaj!

Oboje ruszyli w stronę lasu. Szli przez łąkę. Słońce grzało mocno, a na niebie nie było żadnej chmurki. W oddali słychać było szum ruchu ulicznego, a wśród wysokich traw wesoło ćwierkały ptaki. Reks, który biegał dookoła swojej właścicielki, nagle się zatrzymał. Zjeżył sierść i zaczął warczeć.

Zaniepokojona Robi podeszła do niego i schowała się za krzakiem obok.

– Co jest, psiaku? – zapytała, łapiąc zwierzaka za obrozę.

Pies zaczął szczekać i wyrwać się z całych sił. Chciał biec w stronę lasu, a ona nie miała pojęcia dlaczego. W końcu udało mu się wyrwać z jej uścisku i pognał przed siebie, ujadając wściekle. Gdzieś wśród leśnej roślinności mignęła jakaś postać. Z pewnością był to człowiek. Nie czekając zbyt długo, Robi ruszyła biegiem za swoim psem.

Dobiegła do linii drzew i ukryła się za pobliskim bukiem. Stała w bezruchu i nasłuchiwała. Nagle usłyszała cichy, przestraszony głos mężczyzny i ujadanie wilczura.

– Dobry piesek... Siad... Zostaw mnie, proszę... – mamrotał nieznajomy, cofając się w panice.

Agentka wyszła z ukrycia i stanęła za nim z założonymi rękami. Obserwowała, jak powoli zbliża się do niej. W końcu machnęła ręką, dając znak psu, że ma odpuścić. Reks zamilkł nagle, siadł i przekrzywił łepkę. Mężczyzna był kompletnie zdezorientowany.

– Bu! – zawołała cicho Robi, a tamten podskoczył przerażony.

– To ty! – mruknął, kiedy tylko ją zobaczył. – Znalazłem cię, Robi!

Dziewczyna cofnęła się o krok. Nie miała pojęcia, skąd ją znał. Zaniepokoiło ją to lekko.

– Mieszkasz tu gdzieś? – zapytał.

– Nie, wyprowadzam tylko psa. Są tu dobre tereny do tresury i czyste powietrze – mruknęła Robi. – Reks! Chodź, idziemy do domu.

Chciała stamtąd zniknąć jak najszybciej. Nie miała pojęcia, kim był ten mężczyzna, i nie uśmiechało jej się przebywanie w jego towarzystwie.

– Gdzie się tak spieszysz? Wiem, że tu mieszkasz. W tym żółtym domu. Nie musisz kłamać. Ja ci nic nie zrobię. Masz przestać wchodzić Delikowi w paradę, bo wiemy, gdzie mieszkasz, i źle to się dla ciebie skończy. Znamy adresy całej waszej drużyny. Przemyśl to, a tymczasem... Do widzenia – mruknął mężczyzna, odwrócił się na pięcie i odszedł w głąb lasu.

Robi wpatrywała się w dal i nie mogła wyjść z osłupienia. Była w szoku. W końcu

wróciła myślami na ziemię.

– Tato! – syknęła do zegarka. – Wszystko w porządku?

– Tak, a co?

– Nikt nie obserwuje domu?

– Nie. Albo czekaj. Sprawdzę – mruknął Darek i po chwili odezwał się ponownie: – Na polanie naprzeciw domu, kilkadziesiąt metrów od drogi, stoi samochód. Turyści. Mają chyba piknik. Patrz tu...

– Odejdź od okna! – krzyknęła Robi i pognała w stronę domu.

Przeskoczyła przez ogrodzenie ogrodu i po chwili wpadła przez taras do salonu. Złapała broń i lornetkę i pognała do kuchni. Ślizgiem dotarła pod okno i wyjrzała przez nie. Darek miał rację. Siedzieli tam i obserwowali ich dom. Mieli broń! To z pewnością nie byli turyści.

Ku swojemu przerażeniu zauważyła, że w stronę ogrodzenia idzie Szymon. Zupełnie nieświadomy zagrożenia. Była na niego wściekła za akcję w Chorwacji, ale to jej przyjaciel i nie mogła pozwolić, by ktoś zabił go na jej oczach.

„Turyści” wyciągnęli broń i wycelowali. Nie w Robi, a w Szymona. Nie mogła dłużej czekać. Naładowała broń, wskoczyła na parapet i wyskoczyła przez otwarte okno.

– Szymon! – wrzasnęła, biegnąc w jego kierunku.

Wpadła na niego z dużą prędkością. Chłopak poleciał na ziemię, a ona przeskoczyła nad nim i jeszcze kiedy była w powietrzu, wystrzeliła w kierunku przeciwnika. Towarzysz tego, który właśnie ranny osunął się na ziemię, zeskoczył z maski i uniósł broń. Robi natychmiast przyklękła na prawym kolanie i wycelowwała. Nie minęła sekunda, a padły trzy strzały.

Przeciwnik padł na ziemię trafiony kulami agentów, a trzeci z pocisków przeciął powietrze tuż obok ręki nastolatki. Na początku pomyślała, że kula wbiła się gdzieś w drzewo albo ścianę. Po chwili jednak zmieniła zdanie.

– No i pomidorową szlag trafił! – zawołał zrozpaczony Darek, trzymając dziurawy garnek, z którego wyciekała zupa. – Od kiedy to strzela się do obiadu?!

Robi zaśmiała się cicho. Właśnie zabiła dwóch ludzi, ale sytuacja mogła być gorsza. Ona, Szymon i Darek żyli i to było pozytywnym akcentem. Niestety ich pyszny posiłek właśnie kapął na podłogę.

– Znów uratowałaś mi życie – mruknął Szymon, kiedy podszedł do Robi.

– Ostatnio robimy to na zmianę – stwierdziła.

– Fakt, ale mój dług chyba rośnie. Oddam przy okazji.

Robi uśmiechnęła się do przyjaciela i oboje wpadli sobie w objęcia. Po tym, jak Szymon ich zdemaskował, miała ochotę go wykończyć, ale kiedy kilka chwil wcześniej mogła go naprawdę stracić bezpowrotnie, cała złość minęła.

Wrócili do domu, ale tym razem weszli przez główne wejście. Mieli do rozwiązania poważny problem, a właściwie to dwa. Jeden rozwiązali, zamawiając pizzę. Drugi był znacznie poważniejszy. Delik znał miejsce ich zamieszkania, a to mogło skończyć się katastrofą.

Rozdział siódmy X Zakopane

Następnego dnia z samego rana cała drużyna zebrała się przed domem Robi. Krótko wyjaśnili sobie sytuację i jednogłośnie stwierdzili, że muszą powiadomić agencję.

– Jakim cudem miejsce waszego pobytu zostało zdekonspirowane? – zapytał jeden z agentów.

– Nie mam pojęcia – mruknęła Robi. – Dlaczego nie zajmie się tym dyrektor?

– Pan generał jest w tej chwili nieosiągalny – uciął drugi z agentów. – Pytam po raz kolejny. Nikt z was nie sychnął? Podejrzewamy, że ktoś donosi.

– Mamy kreta? – zapytał zdziwiony Szymon. – Kto to?

– Nie wiemy. Możemy jednak orzec, że mamy kilku podejrzanych. Panie Descante. Jest pan tu na południu nowy i nagle zaczęły się kłopoty. Do tego spalił pan jedną z waszych akcji.

– To jakieś żarty – syknęła Robi. – Szymon to mój przyjaciel, nie macie prawa go oskarżać!

– Ale mamy podstawy do podejrzeń. To samo tyczy się pani, pani Damon.

– Co?! – krzyknęli wszyscy z drużyny.

– Tyle akcji... Udanych dzięki pani. Czy to nie dziwne, że terroryści jeszcze cię nie dopadli, a jeśli dopadali, to zwlekali tak długo, że zawsze ktoś zdążył ci pomóc? Może chcą oszczędzić swojego człowieka?

– To absurd! Nikt nie pragnie wykończenia Delika bardziej niż ja! Przecież to bez sensu! – pisnęła Robi.

– Co z Alanem? – zapytał podejrzliwie drugi z agentów. – Może włamać się na każdy serwer, kto wie, czy nie włamuje się też na nasz? Przecież to on jest współtwórcą zabezpieczeń, wie, jak je złamać.

– Franek jako pilot ma dostęp do danych innych grup, bo czasami wykonuje zadania spoza swojej drużyny. Kiedy leci między bazami, nie ma nikogo przy sobie. Idealny moment na rozmowy z wrogiem – stwierdził pierwszy, a jego kolega pokiwał głową.

– O co wam chodzi?! – syknął zdenerwowany Świder.

– My mówimy tylko, co za was mówią okoliczności. Jeszcze nie wspomnieliśmy o Necie. Jego przewinienia są bardzo wiarygodne. W końcu całe życie spędził jako syn Delikowców!

– Ja ich nienawidzę! – zaszlochał Net.

– My tylko mówimy, co niektórzy podszeptują za waszymi plecami. Osobiście was szanujemy. Uważamy, że skoro wasze pozycje są spalone, musicie zmienić miejsce zamieszkania. Opuścić Wrocław. Rozdzielimy waszą drużynę w trybie natychmiastowym. Dyrektor przygotował na wypadek takiej sytuacji plan.

– Dyrektor? Podobno jest nieosiągalny – warknęła podejrzliwie Robi.

– Przekazał to swoim dwóm łącznikom, a oni nam. Procedura jest następująca – oznajmił agent i przekazał głos koledze.

– Rozejdziecie się do różnych sal. Pojedynczo. Rozdzielimy was. Niektórzy będą

w parach, niektórzy sami. Po przydzieleniu dostaniecie adres i agentów, którzy was tam dostarczą. Nikt nie będzie wiedział, gdzie przebywacie, nawet agenci poznają tylko miasto, do którego mają pojechać.

– Mam nie wiedzieć, gdzie są moi przyjaciele?! – wrzasnął Szymon.

– W zaistniałej sytuacji jest to konieczne. Przykro nam. Takie mamy rozkazy od dyrektora. Teraz się pożegnajcie.

Członkowie drużyny popatrzyli na siebie smutno. Podeszli do siebie wszyscy i przytulili się. Wiedzieli, że takie są procedury, ale wydawało im się to dziwne. Żadne z nich nie chciało się rozstawać, chcieli zostać ze sobą. Byli przyjaciółmi i czuli, że muszą wzajemnie się wspierać. Mimo wszystko gdzieś na dnie ich serc pojawiła się obawa. Nie chcieli wierzyć podejrzeniom agentów, ale dyspozycje dyrektora były silniejsze od nich.

Rozeszli się, machając do siebie smutno, ale w ich głowach kłębiła się tylko jedna myśl: czy na pewno to, co mówią agenci, to kłamstwa?

Robi stała w małej salce konferencyjnej i rozglądała się niepewnie. Czowała się nieswojo, tak jakby cały sens PAS-u gdzieś się ulotnił. Wspominała wszystkie chwile spędzone ze swoją ekipą. Z zamyślenia wyrwał ją głos jednego z agentów.

– Robi, chodź – mruknął i wyszedł.

Agentka powoli podążyła za nim. Weszli do pokoju naprzeciwko.

– Robi! – zawołał wesoło Net, rzucając się agentce na szyję.

– Net?! – pisnęła nastolatka, a jej uśmiech bardziej przypominał szczękościsk niż to, co miał przypominać.

Net Bore był jej przyjacielem, ale z pewnością nie była to jej wymarzona para. Sporo razem przeszli, ale Net był zupełnie świeżym duchem w agencji. Bez doświadczenia. Nie miała pojęcia, czy chłopak da sobie radę.

– Chodźcie. Marcin i Janek już czekają.

W pośpiechu przeszli długim korytarzem do bloku ekonomicznego i wybiegli na ulicę. Czekał już tam czarny ubłocony jeep. Na miejscach z przodu siedziała dwójka młodych agentów, którzy na widok nastolatków uśmiechnęli się i pomachali im.

– Tu macie dokładny adres – szepnęła agent, wręczając Netowi małą kopertę. – Uważajcie na siebie.

Wsiadli do samochodu i od razu ruszyli. Podjechali do domu, by agenci mogli zabrać swoje rzeczy. W pośpiechu spakowali ubrania, potrzebne przedmioty i tyle sprzętu, ile udało im się zmieścić. Robi wybiegła z magazynu i zamknęła drzwi. Ciężkie metalowe blokady zatrzasnęły się z cichym stuknięciem. Smutno popatrzyła na swój dom i pięścią rozbiła skaner siatkówki otwierający drzwi. Teraz nie było mowy, by ktokolwiek dostał się do broni. Tylko ona i Darek wiedzieli, gdzie jest dodatkowe otwarcie.

– Małe macie te bagaże – zaśmiał się Janek, kiedy dwójka agentów wybiegła z domu z ogromnymi torbami.

– Musieliśmy to zabrać! To podstawowe wyposażenie!

– Spoko, Robi, ładujcie się.

Bagażę wylądowały w bagażniku, a oni wsiadli na tylne siedzenia. Samochód ruszył z piskiem opon i wyjechał z miasta. Robi smutno patrzyła, jak jej rodzinne miasto znika za horyzontem. Tu mieszkała i tu została agentem. Wszystko, co było dla niej ważne, zostało w tyle. Nie miała pojęcia, czy jeszcze kiedykolwiek tu wróci.

Jechali prostą, pustą drogą. Słońce powoli chowało się za horyzontem. Pomarańczowe

niebo częściowo zakryły różowe chmurki. Ostatnie promienie oświetlały nizinne tereny. Rzeński wiatr wpadający przez otwarte okna samochodu targał agentom włosy.

– Robi, co ty taka markotna? – zapytał Janek, obserwując ją w lusterku.

– A jakoś tak – wymamrotała smutno i cicho westchnęła.

– Wrocław przecież nie zniknie. Rozwalimy Delika, to wróćcie.

Mijali właśnie jakąś wioskę. Gdzieś w okolicy krążył śmigłowiec. Latał nad polami i miasteczkami. Raz po raz widzieli jego białe reflektory.

– To pewnie policyjny – zaśmiał się Marcin, kiedy zobaczył, jak zaniepokojona Robi śledzi maszynę wzrokiem. – Pewnie kontroluje ruch na drogach.

– Serio? Lata nad polami! – mruknęła. – Więc co patroluje? Ruch żyta? Wędrówki pszenicy?

Po jakimś czasie śmigłowiec zniknął im z oczu i zapadła głucha cisza.

Robi w końcu się rozluźniła i wygodnie rozsiadła na siedzeniu. Wyglądało na to, że nic podejrzanego nie dzieje się w okolicy. Mimo wszystko podkurczyła prawą nogę i upewniła się, że jej karabin Predator nadal jest podpięty pod siedzeniem. Wszystko było na swoim miejscu, więc uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Wsłuchiwała się w stłumiony szum silnika.

Nagle gdzieś w oddali usłyszała ciche, charakterystyczne terkotanie.

– Wrócił. Lata tu gdzieś – syknęła Robi, wpatrując się w niebo za oknem.

– Oj, dziewczyno, masz paranoję! – zaśmiał się Janek. – To może być każdy! Lotnicze pogotowie, policja, wojsko...

– Właśnie, Robi. Wyluzuj – mruknął Net, przeciągając się leniwie po drzemce.

Dźwięk był coraz głośniejszy i wyraźniejszy. Agenci zaczęli oglądać się na boki, szukając śmigłowca nad polami. Nagle coś oświetliło ich od tyłu białym światłem.

– Co jest grane... – syknęła Robi i razem z Netem odwrócili się.

Helikopter leciał nisko, jakieś cztery metry nad ziemią. Jego reflektor raził ich po oczach. To, co zobaczyli, musiało poukładać się im w głowach.

– Marcin, Janek, wiecie, że coś za nami leci? – zapytała Robi aż za spokojnym głosem.

– Wiem. Musimy zwać! – mruknął Janek i przycisnął gaz do dechy.

Śmigłowiec nie dawał za wygraną. Pojawił się obok samochodu, a płozami prawie szurał po ziemi. Jeden z pilotów odwrócił głowę w stronę agentów i uśmiechnął się złowrogo. Wtedy drzwi się rozsunęły i oczom agentów ukazał się ubrany na czarno mężczyzna z karabinem. Niecodzienna codzienność agentów PAS-u...

– Janek, szybciej! – mruknęła Robi, wypinając się z pasów.

Zanurkowała pod siedzenie i wyciągnęła swojego Predatora. Netowi rzuciła jego pistolet. Właśnie chciała wstać i zabrać się za likwidowanie przeciwnika, gdy usłyszała strzał. Zarzuciła samochodem na prawo. Agentka wpadła na nogi swojego przyjaciela.

– Co do... – zaczęła, ale kiedy zobaczyła Marcina, zawiesiła głos.

Siedział pochylony w bok. Prawą ręką trzymał kierownicę, a lewą z całych sił starał się zepchnąć nogę kierowcy z gazu. Twarz miał całą w drobnych kropelkach krwi. Zerknęła na Janka. Siedział bezwładnie za kierownicą. Nie żył. Drań ze śmigłowca strzelił mu prosto w skroń.

Robi popatrzyła na strzelca z nienawiścią i naładowała broń. W chwili kiedy nacisnęła spust, padły dwa strzały. Zarówno śmigłowiec, jak i samochód odbił ostro w bok. Strzelec trafił Marcina. Agent siedział, trzymając się za bok, a po jego dłoni spływała krew. Mimo bólu udało mu się w końcu zepchnąć nogę Janka z pedału i samochód zaczął powoli zwalniać.

Robi była wściekła. Co prawda kiedy strzelec zranił Marcina, ona unieszkodliwiła drugiego pilota, ale terroryści nadal stanowili zagrożenie. W końcu wpadła na pewien pomysł. Złapała za hamulec ręczny i pociągnęła go do siebie. Samochód zatrzymał się gwałtownie, a wróg poleciał dalej i zawrócił dopiero kilkadziesiąt metrów dalej.

– Wyłaż, Net! Musimy go zestrzelić! – syknęła, wyskakując z samochodu na drogę.

– Ale jak?!

– A bo ja wiem?!

Śmigłowiec leciał wprost na nich. Załoga była wściekła i pragnęła zemsty za śmierć jednego z pilotów. Robi wpadła na pewien pomysł i miała szczerą nadzieję, że uda się go zrealizować.

– Osłaniaj mnie! – krzyknęła do Neta, który stał ukryty za samochodem. – Strzelaj, gdzie popadnie, byle w okolicę drzwi i strzelca. Rozumiesz?

– Tak jest!

Kiedy wróg był już blisko, Net oddał pierwszy strzał. Zgodnie z przewidywaniem Robi, strzelec schował się w głąb śmigłowca, by poczekać, aż agentowi skończy się magazynek. Nie przewidział jednak, że PAS szkoli swoich ludzi tak, by zmiana magazynka nie mogła przeszkodzić ciągłej wymianie ognia.

Kiedy Net zajmował się dywersją, Robi wycelowała w śmigło ogonowe śmigłowca. Kiedy maszyna przelatywała nad nimi, agentka strzelała bez przerwy w to samo miejsce. Udało jej się odstrzelić dwie z trzech łopat śmigła, a śmigłowcem zatrzęsło. Pilot z trudem utrzymał się w powietrzu, a strzelec wypadł z pokładu i wylądował na trawie.

– Dobra robota, Net! – zaśmiała się z ulgą, poklepując przyjaciela po ramieniu.

Nagle luneta jej Predatora rozpadła się w drobny mak po tym, jak coś w nią trafiło. Robi natychmiast spojrzała w prawo, w stronę śmigłowca. Ostatkami sił pilota utrzymywał się w powietrzu, ale rzucało nim na boki. Agenci nie zauważyli wcześniej działka wbudowanego w kadłub maszyny.

Załamana Robi przewróciła oczami i znów uniosła karabin. Z przyzwyczajenia przyłożyła prawe oko do resztek lunety, po czym warknęła poirytowana i wycelowała mniej więcej gdzieś w kierunku pilota. „Traf, traf, traaf!”, powtarzała w myślach i w końcu pociągnęła za spust.

– Padnij! – wrzasnęła, rzucając się na Neta i powalając go na ziemię.

Śmigłowiec runął na ziemię, a wieczorną ciszę przerwał huk potężnej eksplozji. Odłamki i fragmenty maszyny rozprysnęły się w promieniu wielu metrów.

– Nieźle – szepnął Net, kiedy zobaczył ogrom zniszczeń.

Oboje podbiegli do samochodu i od razu popatrzyli na Marcina. Ucieszyli się, kiedy zobaczyli go żywego. Nie mieli pojęcia, co teraz robić. W końcu po krótkiej dyskusji stwierdzili, że muszą wezwać pomoc. Skontaktowali się z główną siedzibą PAS-u w Warszawie, gdzie specjalny podoficer łącznikowy dogadał się ze sprzymierzonym szpitalem, który był najbliżej wypadku. Tym razem padło na Kraków. Stamtąd wyruszyła karetka z ratownikami i jednym agentem pomocniczym, który miał potwierdzić tożsamość poszkodowanych i zadbać o to, by nie zadawano im zbędnych pytań, tylko po prostu ratowano.

Ta procedura może wydawać się dziwna i skomplikowana, ale skutecznie zapobiega dekonspiracji agentów. Policja wie o każdym postrzelonym człowieku, oprócz tych z PAS-u.

Kiedy tylko odpowiednia karetka dojechała na miejsce, jeden z ratowników z malutką odznaką w kształcie biało-czerwonej Polski na granatowym tle potwierdził całą sytuację i pozwolił dwójce młodych agentów odjechać z miejsca wypadku.

Robi wsiadła za kierownicę i zawołała Neta. Chłopak niepewnie usiadł obok niej.

– Co jeśli nas złapie policja? – zapytał. – Nie wolno nam jeszcze prowadzić...

– Tobie nie – zaśmiała się agentka. – Ja mam prawko już od roku.

– Ale... Jak?

– Jak agent chce, to potrafi. Zapomniałeś? Otwórz lepiej kopertę i powiedz, dokąd mamy jechać.

– Zakopane – mruknął lekko oszołomiony, kiedy wyciągnął małą, żółtą karteczkę.

– Cudownie! – ucieszyła się Robi i ruszyła z piskiem opon.

Jechali wąską, mało uczęszczaną dróżką. Dookoła było już zupełnie ciemno i tylko nieliczne latarnie oświetlały czarny asfalt.

Całą drogę Net nucił jakąś smętną piosenkę, a jego przyjaciółka miała ochotę wyprosić go z samochodu. Oboje nie mieli zbyt dobrego nastroju. Jeden z agentów zginął, a drugi był ranny, do tego byli z dala od reszty swoich przyjaciół i domu.

W końcu po długiej i męczącej podróży minęli tabliczkę z napisem „Zakopane” i oboje odetchnęli z ulgą. Odnaleźli wskazany na karteczce adres i zatrzymali się u celu.

Stanęli przed ładnym, drewnianym domkiem, w typowo góralskim stylu. Balustrada ogromnego balkonu i drzwi wejściowe ozdobione były czerwonymi pelargoniami. Na małym ganku po bokach rosły tuje i różnego rodzaju kolorowe kwiaty. Budynek stał na skraju miasta, blisko lasu, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć.

Weszli po schodkach i zatrzymali się przed drzwiami. Rozejrzeli się dookoła i zapukali. Oczekali chwilę, a gdy nikt nie otworzył, popatrzyli na siebie zdziwieni.

– Co jest grane? – zapytał Net.

– Chyba mamy mieszkać tu sami. Jak dla mnie super, ale gdzie jest klucz?

– A może... – przykucnęła i zajrzał pod wycieraczkę.

– Net, życie to nie film! Klucze nie leżą tak po prostu...

– Mam! – zawołał wesoło chłopak, wstając i pokazując klucz.

– Dobra, ten raz ci się udało.

Weszli do środka i zapalili światło. Sprzęty były tu lekko zakurzone, jakby dom stał pusty od jakiegoś czasu. Wszystko było przygotowane na ich pobyt. Zapasy jedzenia na jakiś miesiąc zalegały w lodówce i kuchennych szafkach.

Dopiero następnego dnia, kiedy wzeszło słońce, mogli zobaczyć, jak dokładnie wygląda okolica.

– Jak tutaj pięknie! – zawołał Net, podskakując radośnie koło okna. – Mamy cudowny widok na góry!

Robi uśmiechnęła się lekko i wyjrzała na zewnątrz. Znad lasu widać było majestatyczne szczyty Tatr, lśniące w słońcu. Niebo miało kolor czystego błękitu, a małe śnieżnobiałe chmurki przemykały po nim gnane wiatrem.

– Cudowne widoki, prawda? – zapytał wesoło Net.

– Jak ty to robisz? Świat nam się posypał, a ty cieszysz się dosłownie wszystkim.

Net popatrzył na nią z lekkim politowaniem.

– Nie cofniemy tego, co było. Musimy myśleć o tym, co będzie. O tym, co jest!

– Mamy nowego mistrza refleksji – zaśmiała się Robi. – Idę po coś do picia. Chcesz też?

– Poproszę.

Tak spędzili cały dzień. Kiedy nastał wieczór, usiedli na tarasie i popijając herbatę,

podziwiali zachód słońca.

Rozdział ósmy Tabun... problemów

Robi siedziała na parapecie i popijała zmrożoną colę. Patrzyła, jak słońce wschodzi ponad horyzont. Poranne chłodne powietrze wdierało się do środka przez uchylone okno. Było tak cicho i spokojnie. Przyroda leniwie budziła się ze snu. Na niebie pojawiły się ptaki, krążące nad skalistymi szczytami.

Usłyszała, jak ktoś schodzi po schodach. Odwróciła głowę w tamtą stronę.

– Co ty tu robisz? – zapytał zaspany Net, leniwie przecierając oczy.

– Czekam... Można by rzec, że na ciebie – stwierdziła agentka, odstawiając szklankę na parapet.

– Czemu na mnie?

– Bo nie mam z kim gadać.

Net uśmiechnął się i pognął z powrotem na górę. Zaczął się krzątać w pokoju nad głową Robi.

Wyjrzała przez okno. Świat jakby zwolnił. To, co się stało wczoraj, w pewnym sensie zostało zatarte. Agentów mimowolnie ogarnęło jakieś dziwne poczucie beztroski. Byli w tym domku tylko we dwoje. Sami, zdani na siebie. Z dala od obowiązków i niebezpieczeństwa. Wyrwani z rutyny, w której mogli zginąć każdego dnia. Z dala od Delika, agentów i snajperów.

– Jestem gotowy! – zawołał wesoło Net. – Rozmawiamy.

– Wiesz, że mogliśmy gadać nawet kiedy byłeś w piżamie, prawda?

– Serio? To czemu jesteś ubrana i masz broń?

– Przyzwyczajenie. Tak w razie nagłego wypadku.

– Na wypadek, gdyby jakaś sarenka pojawiła się w okolicy? Robi, daj spokój. Twój instynkt agenta jest zbędny w tym tatrzańskim rajku.

– Delik chce, żebyśmy tak myśleli.

– Masz paranoję – zaśmiał się Net.

– Przecucie – poprawiła go poirytowana Robi, wyglądając przez okno.

– Przecież nie wpadnie tu tłum terrorystów i nie powiedzą, że mamy iść z nimi! Nie bądź śmieszna.

Kiedy tylko skończył zdanie, rozległo się pukanie do drzwi. Net ze zdziwienia opluł się colą. Agentka drgnęła nerwowo i od razu sięgnęła po swój pistolet. Wycelowała w drzwi i ostrożnie, powoli ruszyła w ich kierunku.

– Dostawa pizzy! – usłyszała męski głos z zewnątrz.

– Jaka? – zapytała, nie opuszczając broni.

– Margherita.

Oparła się o ścianę i odetchnęła z ulgą. Schowała pistolet i popatrzyła na swojego przyjaciela, który też stał w gotowości do obrony.

– To nasi – mruknęła, machając do niego ręką, by przestał mierzyć w drzwi.

Wpuściła gości do domu i uśmiechnęła się krzywo na widok dwóch agentów. Byli to ci

sami, którzy wdrażali ich do tej misji. Miała ich już dosyć, bo za każdym razem w czasie rozmowy z nimi robiło się nieprzyjemnie.

– Co jest? – zapytała. – Mieliście się tu pojawić dopiero za tydzień.

– Nagła zmiana planów. Delik wie, że coś na nich szykujemy, i możliwe, że przeniesie swoją broń. Nie możemy czekać. Musimy go dopaść, póki wiemy, gdzie jest! – odezwał się młodszy z przybyszów.

– Rozwaliliście nasz zespół! Jak mamy działać? – zapytał Net, stojąc z założonymi rękami i patrząc na nich podejrzliwie.

– Spotkacie resztę na miejscu. Zgódźcie się. Polsce grozi niebezpieczeństwo! Mają tyle świństw, by wykończyć pół Europy! Możliwe, że jeśli wcielił plan w życie, nikt nie przeżyje...

Robi zakrztusiła się i opadła na stojący obok fotel. Popatrzyła na agentów z przerażeniem. Była wściekła na agencję, że rozbili jej zgraną ekipę, że ukrywają miejsce pobytu dyrektora... Jednak było coś, co sprawiło, że nie mogła odmówić. Jej kraj był w niebezpieczeństwie i musiała go ratować.

– Kiedy ruszamy? – zapytała.

– Jak najszybciej. Macie pięć minut. Weźcie najpotrzebniejszy sprzęt do walki na bliskie odległości. Dziś snajper się nie przyda.

– Jasne – mruknęła Robi.

Agenci wyszli, zostawiając dwójkę nastolatków samych. W odpowiednim czasie stawili się przed domem. W torbie mieli kamizelki kuloodporne, pistolety, kulki z gazem usypiającym i inne gadżety przydatne na misji.

Gdy tylko młodzi agenci wsiedli do samochodu, ruszyli z piskiem opon. Wyjechali z Zakopanego. Mijali lasy, pola i pagórki, a letnie słońce grzało mocno. W końcu po godzinie jazdy zatrzymali się na polnej drodze z dala od domów.

– To tu – mruknął agent siedzący za kierownicą.

Robi popatrzyła w stronę polany. Stał tam granatowy śmigłowiec, a dookoła niego krążyło dwóch ludzi.

– Wsiadajcie. Dojdziecie sami. Powodzenia.

– Jest jakiś plan? – zapytał Net.

– Przy śmigłowcu jest agent. Wszystko wam powie.

Samochód odjechał, zostawiając dwójkę nastolatków w szczerym polu. Ruszyli nieśmiało w stronę helikoptera, a kiedy byli już blisko, podbiegł do nich młody mężczyzna.

Był to przystojny blondyn o brązowych oczach i miłym uśmiechu. Na widok agentów skinął przyjaźnie głową.

– Agentko Damon... Agencie Bore... Miło was poznać. Agent Konrad Konor melduje się. Znacie cel?

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie Net i Robi.

– Okej, więc wyjaśnię. Wskakujcie.

Wszyscy wsiedli na pokład i usiedli na podłodze. Pilot przywitał się z nimi i po chwili śmigłowiec oderwał się od ziemi.

– Słuchajcie, plan jest dość prosty. Delik ma mnóstwo bakcyli i innych chemicznych świństw. Trzymają to w magazynie, który tak naprawdę jest starą kamienicą. Musicie zniszczyć te substancje. Świder i Gryzoń mają dane. Wasza dwójka i Descante zajmie się niszczeniem tego za pomocą specjalnie przygotowanych antybiotyków i związków

chemicznych, które również ma Świder. Są w małych fiolkach wyglądających jak strzykawki. Przebijecie wieczka pojemników, wstrzykując jednocześnie antidotum. Nadażacie?

– Jasne.

– Bystrzy z was agenci – zaśmiał się Konrad i tłumaczył plan dalej: – Wszystko wygląda fajnie, ale nie ma łatwo. Tam nigdy nie jest pusto. Terrorysty zawsze tego pilnują. Musicie uderzyć szybko i zdecydowanie. Macie też trzy strzykawki z atropiną. W wypadku kontaktu z postacią gazową zastrzyk prosto w serce. To ważne. Musicie działać szybko! Z bronią chemiczną nie ma żartów. Mam nadzieję, że się jakoś uporacie z tym.

– Nie ma problemu – odezwali się chórem Robi i Net.

– Jakież pytania?

– Ja mam jedno – szepnęła agentka. – Mamy działać w... tym?!

Miała na myśli strój. W tej kwestii nie byli zbyt dobrze przygotowani. Ubrani w zwykłe, cywilne ubrania, nie mieli kieszonek na zapasowe magazynki i całą resztę sprzętu. Na domiar złego, mieli na nogach zwykłe trampki, które już niejednokrotnie zawiodły w czasie akcji.

– Macie kamizelki. Przykro mi, to była nagła decyzja z góry, nawet my nie byliśmy dobrze przygotowani na akcję w tym terminie.

Po jakimś czasie po obu stronach śmigłowca pojawiły się dwa kolejne. Były jeszcze daleko od nich, ale widać było, że w szybkim tempie ich doganiają.

Robi położyła rękę na broni, by w razie czego być gotową do obrony. Net zrobił to samo. Konrad zachichotał pod nosem i lekko pokręcił głową.

– Chcecie strzelać do naszych? – zapytał rozbawiony.

Dwójka agentów ostrożnie wyrzała na zewnątrz i przypatrzyła się śmigłowcom. Na ich kadłubach zobaczyli biało-czerwone szachownice. Odetchnęli z ulgą.

– Czemu z nami lecą? – zapytała Robi.

– Popatrz jeszcze raz – zaśmiał się agent i podał jej i Netowi hełmofony.

Trzy maszyny zrównały lot. Konrad otworzył drzwi, a Robi usiadła na skraju wejścia, opierając nogi o płozy. Ktoś, kto leciał na pokładzie obok, zrobił to samo.

– Cześć, Robi – odezwał się Szymon i pomachał do swojej przyjaciółki. – Miło znów cię widzieć.

– Szymon. Też się cieszę ze spotkania – mruknęła Robi, uśmiechając się lekko.

Ściągnęła hełm i odłożyła go na bok. Popatrzyła na Konrada i schowała się w głąb śmigłowca.

– Trzy helikoptery? To mało dyskretne – stwierdziła.

– Spokojnie. Wiemy, co robimy.

Lecieli tak przez dłuższy czas, ale mało ze sobą rozmawiali. Omówili ogólnie plan i zamilkli. Między nimi dało się wyczuć dziwne napięcie, co skutecznie uniemożliwiało normalne rozmowy.

– Utworzyć szyk – nakazał Konrad, a śmigłowce ustawiły się w trójkąt.

Robi i Net lecieli z przodu, a pozostałe dwie maszyny za nimi po bokach.

– Witamy na Łotwie – odezwał się pilot.

– Na Łotwie?! – pisnął Net, rozglądając się dookoła.

– Delikowcy przestali działać tylko na terenie Polski. Chcąc utrudnić nam zadanie, postanowili rozprzestrzenić się po świecie. Za kilka minut lądujemy.

– Działania na terenie obcego kraju, cudownie! – syknęła Robi.

– Tutejsza policja została poinformowana, że Polska jednostka przeprowadzi tu akcję.

Wyrazili też zgodę na wlot w ich przestrzeń powietrzną.

W końcu śmigłowce wylądowały na ogromnej, zielonej polanie. Agenci wyskoczyli na zewnątrz i podbiegli do siebie. Przywitani się krótko i przeszli do konkretów. Alan wręczył agentom plecaki pełne substancji potrzebnych do unicestwienia broni Delika.

– Konrad, Świder i Gryzoń. Wy zostajecie tutaj – zawołała Robi, przekrzykując śmigłowce. – Ja, Szymon i Net jak zwykle idziemy w paszczę lwa. Mówcie nam, co robić.

– Tak jest!

Trójka młodych agentów ruszyła w stronę odległej kamienicy, ledwo widocznej zza horyzontu. Szli obok siebie, rozstawieni co dziesięć metrów. Broń trzymali w górze, w gotowości do strzału. Sucha trawa trzeszczała im pod butami. Słońce ukryło się za ciemnymi chmurami.

Kiedy doszli do ogrodzenia, w oddali usłyszeli szczekanie psów. Ostrożnie wspięli się po stalowej siatce i przeskoczyli na drugą stronę. Przeszli już połowę trasy, gdy nagle Szymon potknął się o puszkę po farbie. Głośny brzdęk przeszył dotychczasową ciszę. Kilka sekund później zza kamienicy wybiegły dwa wielkie owczarki niemieckie. Pędziły prosto w stronę agentów, ujadając i szczerząc białe kły.

Nie czekając ani chwili, Robi uśpiła je strzałkami ze swojej bransoletki. Rzuciła przyjacielowi mordercze spojrzenie i ruszyła dalej.

Podbiegli pod ścianę i przywarli do niej, uważnie nasłuchując. Podkradli się pod okno. Jak na parter, było bardzo wysoko. Szymon i Net splekli ręce, tworząc dla Robi stopień, i podsadzili ją na parapet. Później pojawili się tuż obok niej.

Leżeli tam, a pod nimi przemykali w pośpiechu terroryści. Młodzi agenci patrzyli na swoich wrogów i Krystiana Bore'a we własnej osobie.

– Szefie, co będzie, jeśli to wszystko nam ucieknie do atmosfery?

– Jak to co? Zagłada, więc uważajcie trochę, kretyni! Jak to rozwalicie, to nogi z dupy powyrywam! Wiesz, na czym nam zależy. Zagłada PAS-u!

– Tak jest, szefie. Jedno pytanie: co zrobimy, jeśli Damon pokrzyżuje nam plany?

– Damon nic nam nie robi.

– Dlaczego?

– A widzisz ją gdzieś tutaj, półmózgi idioto?! Ona nic nie wie i mamy przewagę.

Wszyscy terroryści odeszli od okna i zabrali się do roboty. To był odpowiedni moment. Robi machnęła ręką, dając chłopakom znak.

Szymon i Net ostrożnie zeskoczyli na ziemię i zniknęli gdzieś między regałami. Po niecałej minucie usłyszała w słuchawkach dwa ciche „kliknięcia” mikrofonem, które miały być potwierdzeniem, że przyjaciele dotarli na odpowiednie pozycje.

– Hello! – zawołała wesoło Robi, leżąc na parapecie, a jej głos poniósł się echem po całym pomieszczeniu. – Muszę was zmartwić: otóż jestem tutaj i wszystko wiem...

– Damon! – ryknął ktoś wściekle, a Robi była pewna, że był to głos Bore'a.

– Nie inaczej. Jesteście gotowi na kolejną klęskę? – zapytała rozbawiona i zza regału obserwowała, jak jej przyjaciele otaczają terrorystów od tyłu.

Wszyscy zebrali się w okolicy okna, bo to właśnie stamtąd dobiegał głos niepokornej agentki, która beczelnie drwiła sobie ze swojego przeciwnika.

– Miej odwagę i pokaż się! – warknął któryś z Delikowców.

– Cierpliwości – zachichotała nastolatka.

Szymon i Net byli schowani za regałami, zaledwie trzy metry od terrorystów. To była

odpowiednia chwila.

Wstała i z szerokim uśmiechem na twarzy pomachała ręką do swoich przeciwników.

– Kuku! Tu jestem!

Wszyscy wyciągnęli broń i wzięli ją na muszkę.

– Okej, zabawmy się! – zachichotała ponownie niewinnym głosem i cisnęła na podłogę kulkę z gazem usypiającym.

W tym samym czasie Net i Szymon zrobili to samo. Biały dym zaczął zalewać terrorystów z trzech różnych stron. Agenci nałożyli maski gazowe i spokojnie, przechadzając się między padającymi Delikowcami, przystąpili do działania.

– Ile mamy czasu? – zapytał Szymon.

– Mniej więcej godzinę, więc musimy się spieszyć.

– Świder, mów. Jesteśmy gotowi – zameldował Net.

Rozeszli się do regałów. Dym opadał i widoczność z minuty na minutę była coraz lepsza.

Otworzyli plecaki.

– AK2P3 – przeczytała Robi napis na zakrętce jednego z pojemników.

– Fiolka numer dwieście pięćdziesiąt osiem – odpowiedział Alan.

– AH1PR4 – odezwał się Szymon.

– Numer osiemdziesiąt sześć.

Chodzili tak od pojemnika do pojemnika i unieszkodliwiali broń Delika. Szło im to szybko i sprawnie. Już w czterdzieści minut zneutralizowali całe piętro.

– Pilnujcie ich – mruknęła Robi. – Ja sprawdzę pokój obok.

Przeszła nad śpiącymi terrorystami i zajrzała do sąsiedniego pomieszczenia. To, co zobaczyła, sprawiło, że aż pisnęła z przerażenia.

– Musicie to zobaczyć – mruknęła, kiedy wyszła z osłupienia.

Miała przed oczami kolejne regały pełne pojemników z wirusami, bakteriami i szkodliwymi chemikaliami. Było jeszcze mnóstwo do zrobienia, a czas im się kończył. Nie przewidzieli takiej ilości.

W pośpiechu zaczęli unieszkodliwiać wszystko, co mogli. Po kilkunastu minutach usłyszeli ciche szuranie. Delikowcy odzyskiwali przytomność.

– Szybciej! – syknął Szymon i zaczął nerwowo szukać odpowiedniej fiolki.

– Zachowajcie ostrożność! Nie rozwalcie nic! Jak coś spadnie, będzie po nas – warknęła agentka i zakradła się do sąsiedniego regału, mając nadzieję, że terroryści ich nie zauważą.

Nagle padł strzał i kula rozbiła w drobny mak pojemnik, który przed chwilą unieszkodliwiła. Zamarła w bezruchu z przerażenia, ale nic złego się nie stało. Antybiotyk zadziałał. Odetchnęła z ulgą. Niestety jej spokój nie trwał długo. Kolejne pociski zaczęły ciąć powietrze tuż obok niej. Coraz więcej przeciwników odzyskiwało przytomność.

Już miała biec odwracać uwagę terrorystów od dwójki przyjaciół, gdy usłyszała brzdęk i krzyk.

– Nie! – wrzasnął Szymon gdzieś zza regału.

Nie czekając ani chwili, Robi pobiegła w stronę chłopaków. Szymon odciągał wijącego się z bólu Neta. Uciekali jak najdalej od rozbitego pojemnika pełnego bezbarwnej cieczy.

Agentka zerknęła na przyjaciela. Odłamki szkła poharatały nadgarstek i przedramię chłopaka.

– Nie ściągaliście masek, prawda? – zapytała przerażona.

– Nie, ale kiedy kula trafiła butelkę, to się na nas rozprysło. Najbardziej oberwał Net.

Mnie nic nie jest, zasłoniłem się innym kartonem!

Nastolatek zatrząsł się niekontrolowanie i zachłysnął własną śliną. Dostał gwałtownych drgawek, zupełnie nad sobą nie panował.

– Co było na etykiecie? – pisała Robi, przeszukując swoją torbę.

– Trylon-83 – mruknął Szymon i wyciągnął rękę w stronę Robi, chcąc jej pomóc. – Unieszkodliwiliśmy już to, ale najwidoczniej na niego jeszcze podziałało.

– Tabun... Łap! – Podała mu dwie strzykawki. – Mielicie kontakt, a tobie trzęsie się ręka. Macie mało czasu. Wiesz, co robić. Ja was osłaniam. Zaraz wracam.

Odbiegła i ukryła się za ścianą. Wyciągnęła broń, dokręciła do niej tłumik i strzeliła w ogromną puszkę stojącą przy drzwiach wejściowych. Wszyscy pobiegli w tamtym kierunku, myśląc, że to nieostrożny agent potknął się o coś.

Po minucie znów wrócili, gdy zorientowali się, że ich wroga nigdzie nie ma. Nastolatka strzeliła w miotłę stojącą w rogu pokoju. Oczywiście wszyscy pognali w tamtym kierunku.

Nagle usłyszała głośny wrzask Krystiana. Był wściekły.

– Kretyni! Serio myślicie, że agent taki jak Damon tak by hałasował?! Odciąga waszą uwagę od siebie, a wy dajecie się wodzić za nos!

Jeden z terrorystów ruszył w kierunku pokoju, w którym chłopcy w dalszym ciągu walczyli z bakteriami. Dobro akcji było dla Robi ważniejsze niż dbanie o to, by jej nie znaleźli. Tupnęła nogą i pobiegła schodami na górę. Czterech terrorystów pognało za nią.

Wspięła się aż na sam strych i wpadła do małego pomieszczenia. Gdy tylko przekroczyła próg, uderzyła ją fala okropnego smrodu. Coś gniło, a ona nie miała pojęcia co. W tyle, na korytarzu, usłyszała kroki terrorystów. Szła na palcach, jak najciszej mogła. Nagle potknęła się o coś miękkiego.

Spojrzała pod nogi.

Na początku nie zauważyła niczego dziwnego. Podłoga przykryta była grubą warstwą papierów. Dopiero kiedy uważniej przyjrzała się przeszkodzie na swojej drodze, zrozumiała, co ma przed sobą. Pisała cicho z przerażenia.

Było to ciało w dość zaawansowanym stanie rozkładu. Leżało zwrócone twarzą do podłogi. Ubrane było w czarny garnitur. Był to mężczyzna w średnim wieku, niezbyt szczupły, ale też niegruby. Z kieszeni spodni wystawał mu czarno-granatowy długopis z wygrawerowanym złotym napisem, którego Robi nie udało się odczytać.

– Mamy ją! – usłyszała skrzeczący głos jednego z terrorystów, którzy za nią pobiegli. – Trzeba było nie krzyczeć, księżniczko...

Podbiegli do niej i złapali za ramiona. Poprowadzili ją na schody, trzymając broń przy jej skroni. Nie mogła się wyrwać. Nagle jeden z nich, idący z przodu, wyciągnął nóż i odwrócił się w jej stronę.

– Przestań się wiercić, bo poderżniemy ci gardło.

Robi, nie zastanawiając się długo, zepchnęła nogą napastnika, który runął w dół i upadł wprost na leżącą na ziemi fiolkę. Wydarł się na całe gardło, zatrząsł się gwałtownie i nagle zmarł w bezruchu bez tchu.

– Kto chemią wojuje, ten od chemii ginie – mruknęła agentka.

Terrorysty popatrzyli na nią z nienawiścią i znów ruszyli w dół. Postawili ją tuż przed Krystianem i uśmiechnęli się tryumfalnie.

– Podobno zawsze wygrywasz. Teraz też?

– Uciekałam wam już z gorszych sytuacji. Dlaczego miałabym teraz się poddać?

– Jest nas bardzo wielu. Ty jesteś sama.

Robi widziała, że Szymon i półprzytomny Net stoją za regałami i czekają na rozwój sytuacji. Wyciągnęła z kieszeni ostatnią kulkę z gazem usypiającym. Podniosła ją, uśmiechnęła się tryumfalnie i wstrzymała oddech. Rzuciła nią o ziemię i wystartowała biegiem w stronę okna. Większość terrorystów padła, a ci, których gaz nie dosięgnął, patrzyli zszokowani, jak trójka agentów wspina się na parapet. Jeden z terrorystów rzucił w Robi mokrą ścierką. Płyn, którym była nasączona, śmierdział okropnie, ale nie było to nic z broni chemicznej. Dziewczyna zrzuciła szmatę na ziemię i stanęła w oknie.

– Szymon! – zawołał jeden z terrorystów. – Dzięki, że nas tą puszką ostrzegłeś! Zdążyliśmy ukryć trochę broni!

Robi, która usłyszała to zdanie, zachłysnęła się i prawie spadła na ziemię. W ostatniej chwili się wyratowała i twardo wylądowała na ziemi obok Neta. Szymon pojawił się obok już po chwili i razem we trójkę pobiegli do ogrodzenia, a potem w stronę śmigłowców.

– Co to miało być?! – wrzasnęła Robi, kiedy od maszyn dzieliło ich tylko kilkanaście metrów.

– O to samo mogę zapytać ciebie! – syknął Szymon.

– Zdradziłeś im, że idziemy!

– Nie! Przecież pewnie słyszeli puszkę. Każdy mógł to powiedzieć!

– Serio?! Skąd wiedzieli, że to byłeś ty?

– Nie wiem! Bardziej mnie interesuje, co tak długo robiłaś z nimi na górze! Namawiałaś się? Mieli tyle czasu, by strzelić ci w łeb, a tego nie zrobili. Zadziwiające, prawda?

– Nie odwracaj kota ogonem! Jesteś kretem?

Stali naprzeciw siebie. Pochyleni do przodu, w lekkim rozkroku. Net stał z boku w połowie odległości od przyjaciół i z przerażeniem przyglądał się ich kłótni. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Wiedział, że jeśli się wtrąci, może oberwać, a biorąc pod uwagę fakt, że dwójka wściekłych na siebie agentów była uzbrojona, wolał nie ryzykować. Poza tym ledwo trzymał się na nogach po przygodzie z Tabunem.

– Ja kretem?! To ty! Ty szpiegujesz! – wrzasnął Descante i wyciągnął broń.

Naładował ją i wycelował prosto w swoją przyjaciółkę. Agentka natychmiast zareagowała tym samym. Stali tak, mierząc do siebie i patrząc sobie z nienawiścią w oczy. Robi bała się, że Szymon naprawdę może być kretem. Wybryk z kakao w Chorwacji, kopnięta puszką i podziękowania od terrorysty... Był w zespole najkrócej i zawsze należał do porywczych.

– Ej – szepnął przerażony Net, patrząc to na Szymka, to na Robi.

Konrad, Alan i Franek kroczyli powoli w ich stronę. Wszyscy czuli, że sytuacja jest bardzo napięta.

– Ja szpieguję?! Delik zabił mi rodzinę! Jedyne, czego pragnę, to ochronić Polskę i pomścić śmierć bliskich! Opuść broń, Descante! – wrzasnęła agentka.

– To, że jesteś cholernym porucznikiem, nie znaczy, że możesz mi rozkazywać!

– Schowaj ten przekłety pistolet, nie chcemy chyba rozlewu krwi!

– Nie schowam!

– Rzuć broń! – wycedziła przez zęby Robi i ostrzegawczo strzeliła w stronę nieba.

– Zdrajca nie będzie mi rozkazywał! – krzyknął Szymon i pociągnął za spust.

Nikt nie wiedział, co się dokładnie stało. Nikt nie chciał wierzyć, że jeden z agentów był w stanie to zrobić. Robi złapała się za rękę i syknęła coś niezrozumiałego pod nosem. Pocisk wystrzelony przez jej przyjaciela zostawił na jej przedramieniu głębokie rozcięcie. Agentka

popatrzyła na Szymona wzrokiem pełnym nienawiści, a on zdezorientowany upuścił broń.

– Zdrajca – wymamrotała Robi, uciskając krwawiącą ranę.

Szymon popatrzył na nią zmieszany, a potem, jak gdyby nigdy nic się nie stało, ruszył w stronę swojego śmigłowca. Przechodząc obok Robi, uśmiechnął się nieznacznie. Na ten widok krew w żyłach nastolatki zawrzała. Chciała pchnąć go na ziemię i zakuć w kajdanki. Niestety potknęła się o rozwiązana sznurówkę i razem z chłopakiem runęła na ziemię.

Zanim wstali, uderzyła go pięścią w bark i powstrzymując łzy żalu, zapytała:

– Jak mogłeś?

Descante nie puścił tego ciosu mimochodem i zamachnął się, chcąc uwolnić się z uścisku dziewczyny. Wywiązała się z tego poważnie wyglądająca bójka. Czwórka agentów w końcu wyszła z osłupienia i wspólnymi siłami rozdzieliła walczącą dwójkę.

Oboje byli ubrudzeni krwią Robi i ziemią. Byli potargani i spoceni, a Szymon dodatkowo miał podbite lewe oko. Alan i Franek zaciągnęli go siłą do śmigłowca i nakazali pilotowi natychmiast odlecieć. Kiedy tylko agent znalazł się w powietrzu, wrócili do Robi.

– Nic ci nie jest? – zapytał zatroskany Alan, patrząc na nią smutno.

– Nie – mruknęła i złapała Neta za rękę. – Wracamy do Zakopca!

Zaciągnęła przyjaciela na pokład i ponaglajaco spojrzała na Konrada. Kiedy tylko do nich dołączył, śmigłowiec oderwał się od ziemi i ruszył w stronę Polski, zostawiając w tyle Franka i Alana.

Cała droga powrotna upłynęła na opatrywaniu rannej ręki i prowadzeniu gorącej dyskusji na temat tego, co zaszło. Net ze wszystkich sił starał się uspokoić swoją przyjaciółkę, ale rozumiał, że to, co się stało, było dla niej znacznie większym ciosem w plecy niż dla niego.

W końcu dotarli do Zakopanego. Wrócili do swojego domku i położyli się spać. To był długi i ciężki dzień.

Rozdział dziewiąty

Pułapka

Robi siedziała na łóżku i wpatrywała się w ścianę po drugiej stronie pokoju. Minęły już trzy dni, od kiedy ona i Szymon pokłócili się po akcji, jednak wspomnienia nadal dawały w kość.

Za oknem, wysoko na niebie, świeciło słońce. Wiał lekki wiatr, a ptaki śpiewały, latając w dolinach, między skalistymi szczytami Tatr. Net chrapał głośno w sąsiednim pokoju. Agentka wstała powoli i zeszła do kuchni zrobić śniadanie.

– Mamy na dzisiaj jakieś plany? – zapytał chłopak, kiedy razem pochłaniali kolejną porcję jajecznicy.

– Siedzimy i nic nie robimy. Mamy czekać na dalsze rozkazy, więc właśnie tym się zajmujemy.

Po posiłku usiedli na tarasie i wpatrywali się w dal. Czasem któreś z nich się odezwało, ale mimo szczyrych chęci obojga rozmowa się nie kleiła.

Około południa, usłyszeli samochód, który zajechał pod ich dom. Byli na odludziu i nie spodziewali się gości. Zaniepokojeni agenci wyciągnęli broń i pobiegli do holu. Stanęli pod drzwiami wejściowymi i nasłuchiwali.

– Ja się zajmę smarkaczem. Z nim pójdzie gładko – odezwał się charakterystyczny skrzeczący głos.

– Tak jest. My zajmujemy się Damon – szepnął jakiś inny męski głos.

Robi popatrzyła na Neta. „Kryj się!”, powiedziała bezgłośnie i machnęła ręką. „Bez ciebie nie idę”, odpowiedział chłopak równie cicho, stając z założonymi rękami. Przewróciła oczami i oddaliła się od drzwi. Razem pobiegli schodami na piętro.

Drzwi na parterze otworzyły się z hukiem i do środka wpadło czterech terrorystów. Początek starcia był kwestią sekund.

– Idź poszukaj magazynków – szepnęła Robi i wepchnęła przyjaciela do pokoju. – Jeśli tu wejdziesz, uciekaj.

Wiedziała, że to jedyny sposób, by mieć pewność, że Net przeżyje i zdoła uciec. Kiedy dwóch mężczyzn zaczęło wspinać się po schodach, wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Wskoczyła zza ściany i rzuciła się na terrorystów. Razem z nimi stoczyła się ze schodów i w trójkę wpadli prosto przez drzwi do toalety. Jeden z napastników uderzył głową o sedes i padł nieprzytomny na kafelki. Drugi, obolały po upadku, syknął z bólu, kiedy próbował wstać.

Wykorzystując sytuację, Robi wyskoczyła na korytarz i zamknęła drzwi. Przekręciła klucz w zamku i odetchnęła z ulgą. Oparła się o ścianę i westchnęła.

– Zostawcie mnie! – usłyszała nagle przeraźliwy krzyk Neta, a zaraz później strzał.

Bez chwili zwłoki pobiegła na górę, by ratować przyjaciela. Wpadła do pokoju i zobaczyła terrorystę trzymającego chłopaka za związane ręce. Uspokoiła się trochę, widząc, że nie jest ranny. Sytuacja była do opanowania, a przynajmniej tak sądziła.

– Robi, to zasadzka! Uciekaj! – pisnął Net, wyrywając się z całych sił.

Nagle zza drzwi wyskoczył czwarty z Delikowców i potajemnie zakradł się do agentki od tyłu. Objął ją jedną ręką, a drugą zarzucił jej na nos i usta wilgotną szmatkę i przytrzymał.

Zaczęło jej się kręcić w głowie, a nogi ugięły się pod nią, jakby były z waty. Próbowła wyrwać się z uścisku, ale czuła, jak traci siły.

Net patrzył na nią z przerażeniem. Nie miał pojęcia, co robić. Nigdy nie był silny ani tak dobry jak jego przyjaciółka. Poza tym nadal czuł się dziwnie po akcji na Łotwie. Nie miałby szans w walce.

Robi ze wszystkich sił próbowała nie zamykać oczu, ale powieki ciążyły jej jak worki kartofli. Już po chwili osunęła się bezwładnie na podłogę. Terroryci zaśmiali się chytrze, a dwójka z nich złapała Neta. Pozostali wzięli Robi za ręce i wszyscy zeszli na dół. Uwolnili dwójkę terrorystów zamkniętą w toalecie i wyszli na zewnątrz.

– Kiedy tylko Robi odzyska przytomność, pokona was!

– Co ty tam bręczysz, smarkaczu?

– Nigdy nas nie pokonacie! Pożałujecie!

– Nie terkocz tak, bo się zmęczysz. Twoja przyjaciółeczka nic nam nie zrobi. Nie obudzi się, póki my jej na to nie pozwolimy, a kiedy już to się stanie, nie będzie mogła walczyć.

– Coście jej zrobili?!

– Na razie jeszcze nic konkretnego.

Wepchnęli chłopaka do furgonetki, a Robi wrzucili na podłogę obok niego. Dwóch mężczyzn wsiadło do przodu, a pozostała czwórka do tyłu, razem z dwójką agentów.

Najmłodszy z nich, czarnowłosa okularnik, wyciągnął spod siedzenia mały metalowy kuferek. Wstukał odpowiedni kod i uniósł wieczko. Zaniepokojony Net wyciągnął głowę do góry, chcąc zobaczyć zawartość skrzynki.

Kufer był wyłożony czarną gąbką, a na specjalnie wymodelowanych wnękach leżały igła i strzykawka wypełniona pomarańczową cieczą.

– Co to jest? – warknął nastolatek.

– Zamknij się, gnojku, bo zaraz ty tym oberwiesz. Uwierz mi, nie chcesz tego.

Młodzieniec podał pojemnik starszemu blondynowi, który siedział najbliżej agentki. Ten wyciągnął strzykawkę i uśmiechnął się złowrogo. Nałożył igłę, złapał Robi za rękę i z ogromną satysfakcją psychopaty wstrzyknął podejrzaną substancję. Net poderwał się, by ratować przyjaciółkę, ale rozbawiony okularnik pchnął go znów na siedzenie.

– Nie pomożesz jej już. Wtedy, kiedy uciekaliście z kamienicy, rzuciliśmy w nią ścierką, pamiętasz? Był na niej nasz najnowszy wynalazek. Wirus, który uaktywniony tym – podrzucił pustą już strzykawkę – pozbawia sił. Osłabia organizm, odporność, wszystko. Człowiek jest wrakiem. Cudownie, prawda?

– Dranie!

– Odważnie jak na najgorszego agenta w drużynie. Na twoim miejscu bałbym się oddychać! – warknął trzeci z terrorystów i uderzył nastolatka w policzek.

Samochód ruszył z piskiem opon. Jechali przez długi czas. Potem nagle zatrzymali się i jeden z terrorystów zarzucił Netowi na głowę płócienny worek. Złapał go za ramię i wyprowadził z samochodu. Prowadził go po polu, po kamienistej drodze. Cały czas Net słyszał za plecami pozostałych terrorystów, którzy ciągnęli nieprzytomną Robi.

– Gdzie jesteśmy?! – warknął, próbując uwolnić się z ich uścisku.

– Nie interesuj się tak – odpowiedział najmłodszy z terrorystów i pchnął go na coś, co w odczuciu nastolatka było płożą śmigłowca.

Nie pomylił się. Już po chwili usadzono go na pokładzie maszyny. Kiedy wszyscy wpakowali się do środka i zamknęli drzwi, ściągnięto mu worek z głowy. Rozejrzał się dookoła. Okna zaklejone były taśmą izolacyjną tak, by nikt nie mógł zobaczyć, gdzie aktualnie się znajdują.

Po chwili wystartowali. Lecieli przez kilka godzin. Agentka nadal leżała nieprzytomna na ziemi i nie zanosilo się na jej rychłe przebudzenie.

W końcu wylądowali. Przez szczeliny w drzwiach wdzieralo się chłodne powietrze. Drzwi się otworzyły, a oczom Neta ukazała się łąka. Mnóstwo trawy i ciemne nocne niebo rozświetlone słabą łuną wschodzącego słońca. Dookoła nie było nic z wyjątkiem ich samych i niskiego, szarego bunkra.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał po raz kolejny agent, ale powoli tracił już nadzieję na odpowiedź.

– Nie interesuj się, bo zaczynasz mnie irytować. Mamy jeszcze gdzieś trochę Sarinu. VX może też się znajdzie. Działają prawie tak samo jak Tabun. O ile się nie mylę, masz złe wspomnienia związane z tą substancją.

Net popatrzył spode łba, po czym wlepił wzrok w trawę. Zerknął na swoją nieprzytomną przyjaciółkę i westchnął głęboko. Terrorysta złapał go za ramię i pchnął na ziemię.

Rozdział dziesiąty

Lodowata woda

Net leżał na trawie. Nadal miał związane ręce i nogi, więc mimo ogromnych chęci nie mógł wstać. Nic nie widział, bo miał na oczach zawiązaną opaskę. Słyszał podniecone głosy terrorystów, którzy meldowali przez krótkofalówki, że dopadli Robi Damon.

Nagle, po chwili ciszy, ktoś złapał go za ręce i uniósł. Ciągnięto go po trawie, żwirze i asfalcie. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest. Lodowaty wiatr targał mu włosy. Było strasznie zimno.

W końcu weszli do jakiegoś pomieszczenia. Nadal nic nie widział. Było tam chłodno i strasznie wilgotno. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Jeden z terrorystów otworzył ze zgrzytem ciężkie drzwi i wepchnięto chłopaka do jakiegoś ciemnego pomieszczenia. Zanim upadł, zderzył się z twardą betonową ścianą. Zaraz potem usłyszał głucho łupnięcie gdzieś obok, a następnie drzwi zamknęły się z łoskotem.

Usiadł na ziemi i zaczął się wiercić. Próbował uwolnić ręce, przerwać linę. W końcu po dłuższym czasie udało mu się i mógł wreszcie zdjąć z oczu tę irytującą opaskę.

Ściany, sufit i podłoga wykonane były z litego betonu. Światło dzienne wpadało do środka przez malutkie okienko pod sufitem, nie większe niż kartka papieru. Pod przeciwległą ścianą zobaczył jakiś nieregularny kształt.

– Robi! – pisnął przerażony i podbiegł do przyjaciółki. – Robi, hej! Żyjesz?

Potrząsnął nią lekko, ale nie reagowała. Odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że dziewczyna oddycha. Żyła! Żyła, ale zupełnie nie kontaktowała ze światem. Była nieprzytomna, a on nie miał pojęcia, kiedy odzyska świadomość.

Krażył po ciasnym pomieszczeniu, bliski załamania nerwowego. Był wprawdzie agentem, ale tylko pomocniczym. Nie wiedział, co robić, a bezsilność dobijała go na całego. Czuł się jak w sejfie, bo ciężkie metalowe drzwi ważyły chyba z tonę.

Zrezygnowany usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. Chciało mu się płakać, ale cały czas powtarzał sobie, że jako agent musi zachować zimną krew. Siedział bezczynnie, wpatrując się w kawałek księżycy widoczny w okienku. Tak minęła cała noc. Nie mógł spać.

Czas płynął powoli, aż w końcu wzeszło słońce. Koło południa drzwi uchyliły się i terrorysta przerzucił przez szparę worek suchych bułek i litrową butelkę wody.

Kiedy tylko drzwi znów się zamknęły, Net rzucił się na jedzenie. Był głodny i osłabiony. Jeszcze nigdy zeschnięta na wiór bułka nie smakowała mu tak jak wtedy.

Cały dzień przesiedział w kącie, rozmyślając nad możliwymi rozwiązaniami. Nic nie przychodziło mu do głowy. Każdy jego pomysł kończył się na tym, że Robi jest nieprzytomna, więc i tak nic się nie uda. Czuł się beznadziejnie. Był agentem, a nic nie potrafił wymyślić. Przerażał go fakt, że nie zdążyli nikogo powiadomić o swoich kłopotach. Byli zdani na siebie.

Nagle gdzieś szurnęło. Coś się poruszyło. Drgnął ze strachu i zaczął się uważnie rozglądać.

– Robi?! – pisnął, gdy coś znów drgnęło w ciemności.

Agentka nie miała pojęcia, gdzie była. Miała tylko zamglone wspomnienie wydarzeń z Zakopanego. Wszystko, dosłownie wszystko, jakby nie istniało. Nawet jej ciało było dla niej poniekąd odległe. Odrętwiało. Nie mogła się ruszyć. Mięśnie kategorycznie odmawiały współpracy. W końcu udało się jej otworzyć oczy.

Powoli poruszyła ręką. Przyciągnęła ją do siebie. Usłyszała, jak Net porusza się gdzieś za nią, ale była pewna, że to terrorysta. W przypiływie adrenaliny podskoczyła i stanęła chwiejnie na nogach. Skoczyła na potencjalnego napastnika i oboje runęli na ziemię.

- Robi! – ucieszył się Net. – Ty żyjesz!
- To ty? – wymamrotała zdezorientowana.
- Tak, to ja! Tak się cieszę, że żyjesz! – krzyknął i przytulił ją z całej siły.
- Też się cieszę, ale puść – szepnęła. – Dusisz mnie!
- Musimy stąd wiać!
- Wiem. Dobra. Idziemy! – mruknęła i poderwała się do góry.

Zatoczyła się, podbiegła dwa kroki w stronę wyjścia, potknęła się o własną stopę i wyrznęła prosto na drzwi. Rozległ się cichy brzdęk, kiedy zderzyła się z metalowymi „wrotami”.

- Co ci jest? – zapytał zaniepokojony Net.
- Jakoś mi nic nie wychodzi – mruknęła Robi, próbując wstać.

Nogi miała jak z waty i od razu ugięły się pod ciężarem jej ciała. Znów wylądowała na twardym betonie. Każda próba stanięcia o własnych siłach kończyła się tak samo. Na ścianie, na Necie lub na podłodze. Czuła się jak bezwładna galaretka.

Nagle do pomieszczenia wpadł Delikowiec. Popatrzył na nią i na jej przyjaciela.

- Jak się spało, Robi? – zapytał z ironicznym uśmiechem na twarzy.
- A jak myślisz?! – syknęła.
- Złość piękności szkodzi.
- Tobie nic do tego – chciała krzyknąć, ale wyszło jej o wiele słabiej, niżby chciała.
- Zamknij się – warknął terrorysta. – Dobrze ci radzę, nie kłap tyle tą gębą. Nasz „magiczny eliksir” działa doskonale z tego, co widzę – zaśmiał się i złapał ją za ramię. – Idziemy.

Wyciągnął ją siłą na korytarz i zaczął wlec za sobą przez długi, ciemny tunel. Jedynym źródłem światła były tu małe, zarośnięte glonami jarzeniówki.

Po chwili wepchnął ją do dużego, ale trochę zagraconego bunkra. Był tam stół, dwa krzesła i szafka. W rogu stały ogromne butle z jakimś gazem, a na ścianach wisały rozmaite liny, haki i ostre przedmioty. Wszystko to wyglądało jak wyposażenie sali tortur z jakiegoś niskobudżetowego horroru. Terrorysta, który ją tam przywłókł, wyszedł. Nie minęło wiele czasu, a ktoś znów się pojawił.

– Cóż to za piękny widok. Robi Damon leży sobie u moich stóp i nic nie może zrobić – odezwał się jakiś znajomy głos.

Powoli uniosła głowę. Jej oczom ukazał się wysoki czarnowłosy mężczyzna o wyglądzie szaleńca. Doktor Zuo we własnej osobie i w swoim białym fartuchu, co zdaniem Robi świadczyło o jakimś psychicznym problemie.

- Czego ode mnie chcesz? – zapytała zrezygnowana.
- Informacji.
- I tak ci nie powiem.
- To się okaże – zaśmiał się Zuo i nogą obrócił ją na plecy.

– Nie wiem, co o mnie wiesz, ale powinieneś mieć świadomość, że my nie zdradzamy swoich przyjaciół.

– Wszyscy tak mówią, a potem śpiewają jak na operze. Kto jest z tobą w oddziale zajmującym się Delikiem i mną?

– Nie powiem.

– Jesteś niemożliwa! Ledwo żyjesz, twój kolega też będzie miał problemy. Każdy normalny dawno już by się załamał.

– Najwidoczniej ja nie jestem normalna.

– Denerwujesz mnie!

– Niezmiernie się z tego cieszę.

– Jesteś bezczelna – warknął Zuo i odszedł gdzieś w głąb pomieszczenia. – Już ja znam sposoby na takie jak ty.

Nagle na głowę polało jej się kilkanaście litrów lodowatej wody. Zachłysnęła się. Wstrząsnęły nią dreszcze. Zwinęła się w kłębek i zacisnęła zęby.

– No więc?

– Nie powiem.

Bach! Zawartość kolejnego wiadra zmoczyła jej głowę. Miała ją wszędzie: w uszach, nosie, oczach i ustach. Prychnęła parę razy i nareszcie znów mogła złapać oddech.

– I?

– Próbuje dalej. Nic nie powiem!

Złapał ją za kołnierz i pociągnął za sobą. Chwytał ją za włosy i wepchnął jej głowę do trzeciego z wiader. Chciał ją podtapiać, ale ona po pewnym czasie ostatkami sił przewróciła wiadro, wylewając wodę na podłogę.

Pomęczył ją jeszcze jakiś czas, a cała ich rozmowa polegała na „powiedz!” i „nie powiem”. W końcu Zuo wezwał swojego pomagiera i nakazał mu odstawić agentkę do celi.

– Co ci zrobili?! Czemu jesteś cała mokra? – wypytywał przerażony chłopak.

– Chcieli, żebym sypała. Nie ze mną te numery. Wolę zginąć, niż zdradzić PAS i ojczyznę – wymamrotała słabym głosem.

Sytuacja powtarzała się codziennie. Na przesłuchania brali ją i czasami też Neta. Wypytywali o PAS i agentów. Jak na terrorystów przystało, nie cackali się ze swoimi więźniami. Groźby, oblewanie wodą, kopanie gdzie popadnie... Łatwo nie było. Dwójka przyjaciół stopniowo opadała z sił. Mimo wszystko Robi miała najgorzej. Nie wiedzieć czemu, Neta traktowali łagodniej. Mimo wszystko żadne z nich nie zaczęło sypać. Zdenerwowani Delikowcy postanowili zmienić scenariusz. Rozdzielili dwójkę przyjaciół i wsadzili ich do osobnych cel.

Któregoś dnia z kolei – może piątego albo szóstego? Robi straciła już rachubę czasu – dwóch terrorystów wpadło do celi i złapali ją za ręce. Wyciągnęli ją siłą, a ona nie miała nawet jak się bronić. Wszystko ją bolało.

– Robi. Znów się spotykamy. Może dzisiaj już trochę zmądrzałaś? Mów o agentach.

– Wiesz, że tego nie zrobię.

– To może inaczej. Co wy, agenci, wiecie o nas?

– Wiemy to, co wiemy. Wystarczająco dużo – szepnęła zrezygnowana, udając, że jest jej wszystko jedno.

– Wiesz, co jest cudowne? Siedzisz tutaj, zupełnie bezsilna. Nie masz siły się ruszyć, obronić. Nie możesz nic. Nie sądziłem, że uda mi się utrzymać cię w takim stanie tak długo.

– Widocznie mnie przeceniłeś. Co z Netem?

– Na razie nic, to nie jego czas.

– Chcę zobaczyć, że nic mu nie jest – syknęła, ale nie zabrzmiało to tak groźnie, jak zamierzała.

– Nie denerwuj się tak, bo jak padniesz, to nie będzie zabawy.

– Chcę go zobaczyć. Teraz! Pokażcie go.

Zuo westchnął głęboko i stanął obok agentki. Pomyślał chwilę, przyglądając się jej uważnie. Musiał upewnić się, że dziewczyna nadal nie ma dość siły, by nagle wyrwać się i uciec razem z chłopakiem. W końcu podszedł leniwie do stołu i podniósł krótkofalówkę.

– Przeprowadźcie smarkacza – syknął cicho.

Znów wrócił na swoje miejsce, stając za Robi. Po chwili do pomieszczenia weszło dwóch mężczyzn prowadzących Neta Bore'a. Nic mu nie było. Był tylko brudny i spocony, ale cały i zdrowy. Kiedy zobaczył swoją przyjaciółkę, zaczął się wyrwać z całych sił.

– Robi! – krzyknął po chwili, wciąż starając się uwolnić.

– Net, nic mi nie będzie – mruknęła, siląc się na spokojny ton głosu.

– Oj, nie bądź tego taka pewna – Zuo zaśmiał się złowrogo.

Złapał Robi za włosy i odchylił jej głowę do tyłu. Syknęła z bólu, a on uśmiechnął się z satysfakcją i przyłożył jej nóż do gardła. Net wrzasnął przeraźliwie, znów szarpiąc się z osiłkami, którzy go trzymali, a Zuo lekko musnął ostrzem szyję agentki, zostawiając na niej cienki krwawy ślad.

– Robi, nie! Robi! – Net wychodził z siebie na widok bezbronnej dziewczyny, której mimo wielkich chęci nie mógł pomóc.

– Zabierzcie go! – warknął Krzysztof, wskazując drzwi. – Nie chcę zbędnej publiczności!

Mężczyźni siłą wyciągnęli szarpiącego się chłopaka i zamknęli za sobą drzwi. Zuo zarechotał gdzieś za plecami agentki. Sytuacja była naprawdę beznadziejna.

Dalszy ciąg już każdy zna. Nie było jej łatwo, ale jakoś przeżyła. No i w końcu ta akcja Zuo'a z tą jego nową bronią.

Robi siedziała z zamkniętymi oczami.

Zuo obszedł ją dookoła i stanął po jej prawej stronie. Poczula zimną lufę na swojej skroni i drgnęła lekko. Nie miała siły się ruszyć, a co dopiero uwolnić. Nawet już nie próbowała.

– Pamiętasz tę głośną akcję trzy lata temu? Twój Dareczek pewnie ci o niej mówił. PAS długo nie zapomni, jak budziliśmy postrach wśród agentów naszymi pociskami-bombami. Nic a nic nie zostaje z głowy ofiary, kiedy kula obije się o czaszkę... Fajnie, prawda? Dużo z tym sprzątania, ale jaka satysfakcja.

Robi z przerażeniem przypomniała sobie, jak agenci opowiadali jej o tej broni. Zginęło wtedy dwóch agentów z Północy, a obrażenia trudno było usprawiedliwić w sposób niedekonspiracyjny ofiar. Oczywiście agenci rozbroili przeciwnika w czasie miesiąca, ale najwidoczniej ten jeden egzemplarz został u swojego twórcy.

Jako agent, ryzyko miała we krwi, ale teraz poczuła się bardzo nieswojo. Co z tego, że starała się siedzieć niewzruszona, nie dając po sobie poznać emocji. Kiedy Zuo mocniej przycisnął broń do jej głowy, mimowolnie cicho pisnęła.

– Robi się boi? – zaśmiał się z satysfakcją. – Bardzo dobrze. Czas kończyć! – syknął i odbezpieczył broń.

Ustawił się w gotowości do strzału. Robi zerknęła na niego kątem oka. Zobaczyła jego rozmazaną twarz, na której malował się tryumfalny uśmiech sadysty.

Niespodziewanie drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki mężczyzna w średnim wieku. Miał złote oczy i ironiczny uśmiech. Na szyi zawiązaną miał chustę z licznymi nacięciami na brzegach. Zauważył dziewczynę i wlepił w nią swój łakomy wzrok, jak gdyby była jego wymarzoną przekąską. Robi poznała go od razu. Od kilku lat widywała tę twarz codziennie na ekranie i w swoich snach. Anton Jerakov... Snajper, który zabił jej rodziców. Bestia, a nie człowiek. Najgorszy terrorysta z najgorszych.

– Miło ją widzieć taką bezbronną – mruknął i ściągnął z ramienia swoją snajperkę. – Mogę ją zabić?

– Nie! – warknął Zuo, zasłaniając ją własnym ciałem. – To ja tu będę tryumfował! Ty idź pilnować terenu. Nie po to trzymam tu snajpera, żeby mi zawracał głowę!

Robi szarpnęła się mocno, chcąc wyswobodzić się z uścisku lin. Nie mogła znieść obecności jej największego wroga w tak małej odległości! Wszystko się w niej gotowało. Tak blisko! Nareszcie mogłaby go wykończyć, a przecież to właśnie po to między innymi została agentem! Już dawno nie była tak poirytowana swoją sytuacją.

Anton Petrowic Jerakov stał tam bezczelnie i uśmiechał się tak ironicznie, tak złośliwie! Trzymał swój karabin w lewej ręce i zerkał na nią wyzywająco.

– Ale, szefie, jestem najlepszym strzelcem, mistrzem... a siedzę na jakimś cholernym pustkowiu i całymi dniami gapię się na trawę! To poniżej moich kwalifikacji i godności! Dlatego chcę ją zabić – mruknął Jerakov, unosząc broń i celując w głowę dziewczyny. – Tyle lat na to czekałem. Na to, by rozwalić łeb tej małej szma...

– Nie czekałbyś tyle czasu, nieudaczniku, gdybyś faktycznie był taki dobry, jak twierdzisz – przerwał mu wściekły Zuo, złowieszczo marszcząc brwi. – Gdybyś strzelał dostatecznie dobrze, mógłbyś dobić smarkulę, póki nie było świadków!

– Młody byłem. Głupi. Teraz mógłbym rozwalić jej czachę swoim najlepszym karabinem i byłoby zajebiście.

Okrzyknął swojego dowódcę i podszedł do Robi. Poklepał ją po policzku i zarechotał, cały czas wpatrując się w jej zielone oczy. Popatrzyła na niego z pogardą i odwróciła głowę w drugą stronę. Przeszedł dookoła niej i znów pojawił się przed jej nosem.

– I po co ci ta walka za ojczyznę? – mruknął, kucając obok niej i patrząc na nią z politowaniem. – Umiesz strzelać, walczyć. Mogłabyś dołączyć do nas i żyć. Skoro nie chcesz nam nawet pomóc, to zginiesz. Skończysz z roztrzaskaną na kawałki głową, nic z ciebie nie zostanie. Tak samo jak z twoich żalosnych starych. Wiesz, że gdyby oddali nam jedną małą ważną mapę, nadal by żyli? Oczywiście przekłęci patrioci woleli narazić na śmierć siebie i swoją małą córeczkę, niż pozwolić na jeden mały atak w pociągu.

– Zamknij się! – warknęła Robi, znów próbując się uwolnić.

– Walczysz z wiatrakami, księżniczko. Powinnaś bawić się laleczkami, a nie łapać za karabin. To niebezpieczne zabawki, a nie dorastasz nam do pięt, smarkulo. Zabicie ciebie to największy akt łaski z naszej strony.

Robi nie mogła tego słuchać. Napięła wszystkie mięśnie i skuliła się jak najbardziej mogła, czekając na odpowiedni moment. Jerakov przysunął się do niej bliżej, ona właśnie na to czekała.

– Miejsce takiej sieroty jest w przytułku. Nie w jednostce specjalnej – syknął jej do ucha złośliwie.

– Dość! – warknęła nastolatka i wyprostowała się z całej siły na tyle, na ile pozwalały jej liny.

Szybkim i zdecydowanym ruchem zarzuciła głowę w bok, trafiając nią Jerakova prosto w twarz. Snajper zawył na całe gardło prosto w ucho dziewczyny.

– Ty przekłeta, mała suko! Złamałaś mi nos! – wrzasnął, próbując zahamować krwawienie.

Złapał swój karabin i przytknął jej lufę do głowy.

– Nie! – wrzasnął znów Zuo. – To, co było i co masz ochotę robić, mnie średnio obchodzi. Spieprzaj stąd, zanim się wkurzę, bo zaraz tobie strzelę w łeb, a nie jej!

– Ale... – mruknął zawiedziony i lekko opuścił broń.

– Won! Nie chcę cię tu widzieć, parszywy darmozjadzie!

– Tak jest!

Zuo westchnął głęboko i pokręcił głową z politowaniem. Popatrzył na Robi i uśmiechnął się złowrogo. Uniósł broń i położył palec na spust. Jak nie snajperka, to maszynowy...

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i wpadło do środka dwóch ludzi.

– Szefie! Bore sprawia problemy! – oznajmił jeden z nich, a jego głos wydał się Robi bardzo znajomy.

Podniosła wzrok. To, co zobaczyła, sprawiło, że przez moment sądziła, iż ma jakieś halucynacje. Naprzeciw niej stała dwójka agentów! Tych samych, którzy wprowadzili ją do akcji, i tych samych, którzy pojawiali się w jej życiu już kilka razy.

– Zróbcie z nim. Cokolwiek. Jestem zajęty! – syknął Zuo głosem psychopaty, wskazując na Robi.

– Ale on się wydziera na całe gardło! Śpiewa jakieś piosenki o jaszczurkach! O jaszczurkach, które jeżdżą na czołgach.

Robi cicho parsknęła śmiechem. „Zuch chłopak!”, pomyślała. Zawsze śpiewał, kiedy za wszelką cenę chciał odwrócić własną uwagę od jakiegoś niebezpieczeństwa. Tym razem swoją piosenką zagłuszał terrorystów, by nie słyszeć, o co pytają, i nie zdradzić przyjaciół.

– Zróbcie z nim coś i koniec dyskusji! Wynocha – wrzasnął i rzucił w nich jakimś słoikiem.

Agenci uciekli w popłochu. Robi i Zuo znów zostali sami. Doktorek złapał mocniej broń i znów przyłożył ją Robi do skroni.

– Ostatnia szansa, Damon. Gdzie PAS trzyma swoją broń?

– Nie powiem ci, przecież wiesz.

– Zabiję cię.

– Nie zrobisz tego.

– Jesteś pewna? – syknął i odbezpieczył broń.

– Tak. Jestem.

– To patrz!

Zuo ustawił się stabilnie i westchnął. Uśmiechnął się złowrogo. Przez myśl Robi przemknęło tylko jedno: „Co tym razem odwlecze moją śmierć?”.

Rozdział jedenasty

Krytyczny błąd

Siedziała na krześle, z lufą przy skroni. To już niemal pewne. Zaraz miała zginąć.

- Szefie! – krzyknął jeden z agentów, wpadając znów do sali.
- Co znowu, do jasnej cholery?! – wrzasnął Zuo, opuszczając broń.
- No bo Bore nam uciekł – wymamrotał speszony agent.

Robi uśmiechnęła się z satysfakcją. Net nie był jednak taką ofertą, jak się wszystkim zdawało.

Zuo zawył dziko i wpadł w furję. Zaczął krążyć po bunkrze i zbluzgał agentów. Krzyczał, że są niekompetentni i tępi. Nie oszczędzał języka. W końcu podszedł do Robi i z całej siły kopnął krzesło, na którym siedziała, a ono przechyliło się na bok i upadło.

To był duży błąd ze strony terrorysty. Agentka dopadła mały kawałek rozbitego szkła, który leżał na ziemi w pobliżu, i zaczęła nim przecinać linę. Zuo nie zauważył niczego podejrzanego, ponieważ zajęty był szarpaniem przerażonego agenta.

Po chwili udało się jej uwolnić ręce, potem nogi. Zataczając się okropnie, podbiegła do stołu. Złapała za pistolet i ukryła się za kartonem. Nie mogła nic więcej zrobić. Obraz raz po raz jej się rozmazywał, a mięśnie czasami odmawiały posłuszeństwa.

Po dłuższym czasie wrzasków i krzyków Zuo wypchnął agenta na korytarz i zatrasnął mu drzwi przed nosem. Odwrócił się powoli w stronę miejsca, w którym powinna być Robi. Chciał dokończyć to, co zaczął, ale zamiast tego stanął jak wryty, kiedy spostrzegł, że jego więzień zniknął.

- Wiem, że tu jesteś! – wrzasnął. – Nie ukrywaj się! To nie ma sensu. I tak zginiesz!

Siedziała za kartonem i myślała. W tym stanie mogła nie trafić w człowieka. Nie chciała ryzykować. Przypomniała sobie o butlach z gazem stojących w rogu. Popatrzyła na pistolet i od razu pożałowała, że nie jest to jakiś materiał wybuchowy. Przez całe szkolenie truli im, że wybuchy spowodowane strzałem w butlę to mit.

– Damon! Nie chce mi się ciebie szukać. Chcę widzieć w twoich oczach ostatni błysk życia, kiedy będę do ciebie strzelał.

Robi przewróciła oczami. Chwilowo jej sytuacja była beznadziejna. Nagle zobaczyła coś, co mogło uratować jej życie. Jakies trzy metry przed nią, na stercie drewnianych skrzynek, leżał mały pakunek. Widziała takie coś wielokrotnie...

Wyskoczyła z ukrycia i zaczęła strzelać na oślep w kierunku Zuo'a, biegnąc w stronę skrzynek. Złapała za paczuszkę i ukryła się za drewnianymi pojemnikami.

- Cudownie! – zaśmiała się cicho, kiedy okazało się, że miała rację.

Trzymała w dłoni półkilowy bloczek C4. Nie posiadała się ze szczęścia. Zamachnęła się z całej siły i rzuciła kostką w stronę butli gazu. Zaraz potem wychyliła się na moment i wycelowała.

- Mam cię! – wrzasnął Zuo i uniósł broń.

Uśmiechnęła się nieznacznie i strzeliła prosto w materiał wybuchowy. Bunkrem

wstrząsnęła potężna eksplozja. Nad głową agentki poszybowały rozmaite odłamki, wióry i narzędzia. Na szczęście skrzynki okazały się być dość solidne.

Kiedy wszystko ucichło, wyjrzała ostrożnie z ukrycia. Szafki, stół i krzesła przestały istnieć. Wszystko, co wisiało na ścianach, spadło lub rozpadło się w pył. W jednej ze ścian zauważyła sporych rozmiarów dziurę. Ruszyła pędem w jej kierunku. Minęła leżącego bezwładnie Zuo'a i wybiegła na korytarz.

Zatrzymała się i rozejrzała na boki. Nie wiedziała, gdzie podział się Net. Gdzieś uciekł, ale nie miała pojęcia, w którą stronę. Skręciła w prawo i pobiegła przed siebie, w kierunku ich dawnej celi. Chciała jak najszybciej uciec od miejsca wybuchu. Wiedziała, że prędzej czy później wszyscy się tam zbiegną.

Nagle gdzieś za rogiem usłyszała głosy.

– Nie mam pojęcia, dlaczego nikt nie skłócił Damon z Bore'em. Gdyby nie byli razem, Bore zacząłby sypać. Nie byłoby problemu.

– Nie nam o tym decydować. Mamy przesrane. Jeśli Bore dotrze do bazy, będziemy spaleni, a Zuo jest na nas wściekły.

– Zamknij się i go szukaj!

Zbliżali się w szybkim tempie. Nie miała dokąd uciec. Przywarła do ściany i czekała. Dwójka agentów wyszła zza rogu. Zauważyli ją i oboje skoczyli w jej kierunku. W ostatniej chwili udało jej się uskoczyć w bok i jej przeciwnicy zderzyli się z murem. Padli półprzytomni na ziemię, a Robi z politowaniem pokręciła głową.

– Jakim cudem takie ofermi jak wy dostały się do PAS-u? Coś niesamowitego – mruknęła, zabierając agentom broń.

Zostawiła ich samych i pobiegła szukać przyjaciela. W końcu wpadła do jakiegoś korytarza. W jego drugim końcu ktoś siedział. Wyglądał na zrezygnowanego i wykończonego.

– Net! – zawołała agentka i zataczając się lekko, pobiegła w jego stronę.

– Robi! – ucieszył się chłopak.

Wpadli sobie w objęcia i przytulili do siebie mocno. W końcu dwójka przyjaciół była ze sobą.

– Myślałem, że cię zabije! Że już nigdy cię nie zobaczę!

– Też się bałam, ale wszystko będzie dobrze. Wiejmy stąd.

Udało im się znaleźć wyjście i w końcu wybiegli na zewnątrz. Słońce świeciło nisko nad horyzontem i wiał lodowaty wiatr. Nigdzie nie było żadnych śladów cywilizacji. Wszędzie tylko trawy, mchy i porosty.

– Gdzie my jesteśmy? – mruknęła agentka, rozglądając się dookoła z przerażeniem.

– To pewnie Sulęcín – stwierdził Net z zadowoleniem na twarzy.

– Co?! Jaki Sulęcín?!

– No co, tam też widziałem łąki.

– Wszędzie są trawy. Nie tylko tam.

– Oj tam. To na bank Sulęcín.

– Dobra, nieważne. Wiejmy stąd.

Odwrócili się. Oboje uśmiechnęli się szeroko na widok tego, co zobaczyli. Obok bunkra stał mały dwuosobowy śmigłowiec. Miał czarny kadłub, białe śmigła i był szansą dla dwójki agentów.

Robi złapała swojego przyjaciela za rękę i chwiejnym krokiem pobiegła w stronę maszyny. Zmarznięta ziemia chrupała im pod butami. W końcu dotarli na miejsce. Nastolatka

ostatkami sił podciągnęła się do góry i zasiadła na fotelu pierwszego pilota. Net usiadł obok niej.

– Jaki mamy z niego niby pożytek? – zapytał lekko zszokowany.

– Nie wierzę, że będąc agentem, pytasz mnie o coś takiego. Sądzę, iż jakoś dam radę wystartować i gdzieś odlecieć. O ile jest paliwo. Ty pobaw się radiostacją. Spróbuj połączyć się z Frankiem i Alanem.

– Niby jak?

– Kombinuj, chłopie!

Nagle z bunkra wypadło dwóch terrorystów. Robi rozpoznała w nich tych agentów. Złapała za broń i wycelowała. Ręka jej nieco zadrżała, zawahała się. Mimo wszystko miała przed sobą agentów.

Kule zaczęły obijać się o kadłub śmigłowca. Nie było czasu na wyrzuty sumienia. Wycelowała ponownie i pociągnęła za spust. Pokręciła głową z politowaniem.

– Zaraz zwałą nam się na głowę inni. Musimy wiać – mruknęła, rozglądając się po kabinie.

– No to chyba wysiadamy, co nie?

– Oj, daj spokój. Siedź na tyłku. Polecimy.

Net popatrzył na nią jak na wariatkę. Nie miał pojęcia, jak osłabiona i obolała agentka może pilotować śmigłowiec, nie będąc pilotem.

– Franuś coś mi kiedyś mówił – mówiła sama do siebie, przełączając różne przyciski. – Ten wichajster chyba był do silnika... Chwileczkę. Już wiem!

Silnik zawył, a śmigła powoli zaczęły się obracać. Z czasem przyspieszyły i w końcu maszyna oderwała się od ziemi.

Każdy z agentów zna się na lataniu na tyle, by móc wystartować, polecieć po linii prostej i jakoś wylądować. To było podstawowe szkolenie ze względu na rodzaj misji, w jakich uczestniczyli agenci. Na szczęście Robi nadal coś z tego pamiętała. Jej przyjacielem był pilot Sił Powietrznych, który przeniósł się do PAS-u. Lepszego nauczyciela nie można było sobie wyobrazić.

Śmigłowiec był dość stary, mały i zaniedbany. Znaczna część wskaźników po prostu nie działała. Z łącznością też nie było za dobrze. To cud, że udało im się tym wystartować.

– GPS też chyba nie działa – mruknął Net, uparcie stukając w małą szybkę.

– Dlaczego?

– Podaje naszą pozycję gdzieś na północy Finlandii. Koło Jeziora Inari. Przy granicy z Norwegią i Rosją.

– No i masz swój Sulęcín! – mruknęła Robi. – W Polsce jest przecież cieplej! Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam?

– Dolecimy do domu?

Robi niepewnie zerknęła na wskaźnik paliwa i aż skrzywiła się ze zdziwienia.

– Być może uda nam się dolecieć do jakiegoś miasteczka. Być może. Teoretycznie jest szansa, że zaraz spadniemy.

Net popatrzył na nią z tępym wyrazem twarzy. Miał szczerą nadzieję, że jego przyjaciółka żartuje.

Niestety nie myliła się. Po kilkudziesięciu minutach śmigłowiec zaczął trząść się dziwnie, a silnik chwilami jakby się dławił. Szczęśliwym zrzędzeniem losu mijali właśnie małe miasteczko. Chybcząc się na boki, śmigłowiec „wylądował” na twardej, zmarzniętej ziemi.

„Wylądował”, bo bardziej przypominało to kontrolowaną krakę niż profesjonalne przyziemienie.

Z domku, w pobliżu którego wylądowali, wyszedł młody mężczyzna. Zatrzymał się kilkanaście metrów od nich i uważnie im się przyglądał. Robi ostrożnie wyskoczyła ze śmigłowca i powoli do niego podeszła.

– Dzień dobry – powiedziała nieśmiało po angielsku. – Przepraszam, że niepokoję, ale musimy pilnie dostać się do stolicy.

Mężczyzna przyglądał jej się ze zdziwieniem. Jego reakcja była dość zrozumiała. Tajemnicza nastolatka, w brudnych i podartych ubraniach, z potarganymi włosami, mówi zachrypniętym głosem, że musi dostać się do stolicy. Do tego przyleciała jakimś złomem, jest posiniaczona, a na prawej ręce ma zakrwawiony bandaż.

Podszedł do niej bliżej, uśmiechnął się życzliwie i wskazał ręką na dom.

– Chodźcie, wygląda na to, że dużo przeszliście. Zjedzcie coś, napijcie się – powiedział i ruszył w stronę budynku.

Nakarmił ich i chwilę porozmawiali. Agenci musieli mu wytłumaczyć, dlaczego mają przy sobie broń, ale zrobili to bardzo ogólnikowo i bez zbędnych szczegółów. Mężczyzna od razu stwierdził, że pomoże im dostać się do Polski.

Okazało się, że sąsiad jechał akurat do Helsinek. Zaoferował podwózkę. Wyruszyli następnego dnia i wieczorem byli już na miejscu. Wysiedli tuż przy lotnisku i z uśmiechem podziękowali małżeństwu. Teraz pojawił się kolejny kłopot, bo nie mieli pieniędzy na bilet do Polski.

Robi krążyła nerwowo po terminalu, a Net siedział beczynnie na ławce i śledził wzrokiem swoją przyjaciółkę. Chodziła tak już w tę i w tę od trzech godzin, co strasznie go denerwowało.

Samoloty raz po raz śmigły po pasie za nimi, a oni nadal nie wiedzieli, jak wrócić do domu. Ludzie zerkali na nich zdziwieni i starali się nie stać zbyt blisko nich.

Robi nagle zatrzymała się w pół kroku i wpatrzyła się gdzieś w dal. Uśmiechnęła się szeroko i odwróciła do Neta. Popatrzył na nią pytająco. Przyklękła na prawym kolanie i rozwiązała buta. Ściągnęła go i spod wkładki wyciągnęła swoją biało-czerwoną odznakę PAS-u. Podrzuciła ją i złapała z uśmiechem.

– Co zamierzasz? – zapytał zbity z tropu chłopak.

– Zamierzam powołać się na Wojsko Polskie. Co jak co, ale jesteśmy jego częścią. Może pozwolą nam zadzwonić. PAS nas ściągnie do kraju. Zobaczysz.

Odbiegła od niego i podeszła do kasy. Rozmawiała przez jakiś czas, pokazała odznakę, po czym kobieta z obsługi podała jej telefon. Net z uśmiechem pokręcił głową. Zdolności jego przyjaciółki zawsze go zadziwiały.

– Lecimy za pół godziny – zawołała wesoło, machając Netowi biletami przed nosem, kiedy stanęła obok niego.

– Jakim cudem?

– Powiedziałam jakiemuś agentowi, jak jest, no i uzgodnił coś z babką i ona dała mi bilety. Moc PAS-u jest spora.

Kiedy nadszedł czas, wsiedli do samolotu i polecili w stronę Polski. Była już noc, na dole wierzchołki chmur muskały kadłub samolotu, a nad nimi migotały tysiące gwiazd. W końcu ujrzeli światła Helu. Wreszcie wrócili do domu.

Robi odetchnęła z ulgą, kiedy wylądowali na warszawskim lotnisku.

– Hej! Tutaj! – zawołał ktoś, kiedy tylko weszli do terminala.

Zobaczyła młodego chłopaka ubranego w szarą koszulę i czarne spodnie. Na prawym ramieniu nosił polską flagę. Był agentem! Kamień spadł im z serca, byli uratowani!

– Tak się cieszę, że cię widzę! – zawołał wesoło Net, ale agent nawet nie drgnął.

– Co jest? – zapytała zdezorientowana Robi, kiedy z tłumu wyszła dwójka bojowo ubranych agentów.

– Jesteście aresztowani pod zarzutem zdrady – wymamrotał chłopak obojętnym głosem, a dwójka pozostałych złapała nastolatków za ręce.

– To jakaś pomyłka. Agenci, którzy zdradzili, nie żyją. Zginęli.

– To wy zdradziliście!

Zakuto ich w kajdanki i zaciągnięto do samochodu. Zarzucono im worki na głowy i ruszyli. Jechali tak przez kilka godzin, a czas dłużył się dwójce nastolatków niemiłosiernie. Raz po raz podskakiwali na dziurawych drogach, nie mając pojęcia, gdzie się znajdują. Wydostając się z jednej niewoli, wpadli w kolejną. Nie mieli szczęścia.

Rozdział dwunasty Bratobójczy ogień

Znów siedziała przykuta do krzesła, a agent, który czekał na nich na lotnisku, chodził dookoła niej. W ręku trzymał broń. Historia lubi się powtarzać.

– Dlaczego ty i Bore zdradziliście PAS? – zapytał, bawiąc się pistoletem.

– Nikogo nie zdradziliśmy! Mówię to po raz kolejny – warknęła Robi, próbując się wydostać.

– Zginiesz.

– Już to gdzieś słyszałam. Całkiem niedawno – mruknęła poirytowana. – Ciekawe, że mówił mi to terrorysta.

– Zamknij się! – ryknął agent i z całej siły uderzył ją w brzuch.

To zachowanie zupełnie nie pasowało do jego subtelnej urody. Młody blondyn o błękitnych oczach i czarującym uśmiechu nie powinien być tak okrutny. Niektórzy mogliby stwierdzić, że wyglądał jak aniołek.

Krażył dookoła agentki i myślał. Nie miał pojęcia, jak dalej ją przesłuchiwać. Wydawała mu się nieugięta.

– Kamil, weź ją do celi! – wrzasnął w końcu zrezygnowany, a przez drzwi wpadł uzbrojony po zęby agent.

Rozkuł Robi i pociągnął za sobą. Trzymał ją mocno, a jego twarz nie wyrażała absolutnie żadnych emocji. Szli tymi samymi korytarzami, którymi Robi chodziła, kiedy była dzieckiem. Znajdowali się w bazie Południa i wszystko wyglądało tak samo. Aczkolwiek coś się zmieniło. Wszyscy byli poważni, pojawiły się nowe twarze. To już nie był ten sam PAS, co kiedyś.

– Dlaczego to robisz? Nie macie dowodów – mruknęła, patrząc na agenta z nadzieją.

– Więzień ma być cicho. Niech się nie odzywa.

– Jesteś niby agentem, ale co ty wiesz o życiu? – zaśmiała się Robi i zatrzymała się gwałtownie.

Chłopak pociągnął ją z całej siły, ale ona ani drgnęła. Uśmiechnęła się tylko i pokręciła głową z politowaniem.

– Lekcja pierwsza – syknęła i wyrwała rękę z jego uścisku jednym mocniejszym szarpnięciem. – Nigdy nie łap za nadgarstek kogoś, kto ma większe doświadczenie w walce niż ty.

Chwyciła go za prawe ramię, rękę wywinęła mu do tyłu i pchnęła go na ścianę.

– Lekcja druga. Nigdy nie daj się zająć od tyłu.

Jednym kopnięciem podcięła mu nogi, powalając go na ziemię. Zaciągnęła agenta do celi i zamknęła go w niej.

– Lekcja trzecia. Najważniejsza. Najlepiej nigdy nie zadzieraj z innym agentem. – Popatrzyła na przerażonego chłopaka, który nie do końca wiedział, co się stało. – Kto was szkolił? Jeszcze nigdy nie pokonałam z taką łatwością naszego człowieka.

Pokręciła głową i pobiegła do bloku „C”, gdzie spodziewała się znaleźć Neta. Wpadła tam

i oczywiście się nie zawiodła. Jak zwykle przeczucie jej nie myliło.

– Robi! – ucieszył się przyjaciel, kiedy tylko ją zobaczył.

Byli teraz w najokropniejszym miejscu w bazie. Blok „C” służył do przetrzymywania zdrajców, terrorystów i innych im podobnych. Wszędzie dookoła był szary, surowy beton i stalowe kraty. Tutaj najgorsi przestępcy mieli zostać złamani. To miejsce mocno oddziaływało na psychikę. Było używane tylko w ostateczności. Stąd nie było ucieczki.

– Pomóż! – pisnął chłopak, gdy Robi podbiegła do jego celi.

– Odsuń się! – krzyknęła, wyciągając pistolet.

Wycelowała w kłódkę i zaczęła strzelać. Ledwie ją drasnęła. Skończył się jej magazynek, więc poirytowana wepchnęła broń do kabury.

– Cholera jasna – warknęła, przyglądając się kłódkce. – Roboty naszych techników. Tego nie idzie rozwalić! Przynajmniej nie w ten sposób. Zaczekaj.

Wybiegła na korytarz i odnalazła agenta, którego niedawno znokautowała. Przywołała go do siebie i zabrała mu małą paczkę materiałów wybuchowych. Wróciła i oblepiła nimi kłódkę. Zmieniła magazynek i odbiegła kawałek. Net też odsunął się od drzwi tak daleko, jak tylko mógł. Strzeliła. Eksplozja wstrząsnęła wszystkim. Ścianami, kratami...

– No bez jaj! – wrzasnęła Robi, kiedy zobaczyła zaledwie kilka pęknięć na zapięciu.

Odsunęła się na krok i z całej siły potraktowała kłódkę z buta. Potem jeszcze raz i jeszcze raz. W końcu coś zgrzytnęło, a kłódkę runęła na ziemię z głośnym brzdękiem.

– Nie no, po dziesięciu minutach rozwalłam dzieło PAS-u! Chyba opiszę to w CV jako życiowe osiągnięcie – mruknęła lekko rozbawiona i złapała Neta za rękę.

Razem wybiegli z bloku i stanęli w korytarzu głównym. Na razie byli tam sami. Nie mieli pojęcia, jak zareagują na nich inni agenci ani czy zabezpieczenia wypuszczą ich na zewnątrz. Jeśli ktoś usunął ich z bazy, nie mogli się stamtąd ruszyć.

– Intruzi! – wrzasnął ktoś nagle. – Zdrajcy!

Zaraz potem kula roztrzaskała się o ścianę tuż koło głowy Neta. Dwójka nastolatków złapała za broń, ale przecież nie mogli strzelać! Nie chcieli otwierać bratobójczego ognia, ale najwyraźniej stronie przeciwnej prawa moralne tak nie przeszkadzały.

Ruszyli biegiem w stronę wyjścia, nie zważając na pociski śmigające im koło głów. To było zastanawiające, że dwóch młodych agentów dawało sobie radę z kilkudziesięcioma. Nie wiadomo czemu, poziom ich wyszkolenia gwałtownie spadł. PAS był elitą, liczył się w swoim środowisku, ale teraz ich działanie było brutalne, pełne chaosu, nie do końca przemyślane.

Robi w biegu złapała za małą kulkę gazu usypiającego, która leżała na stole. Rzuciła nią za siebie, a pomieszczenie wypełniło się kłębamii białego dymu. Wszyscy padali jak muchy, a strzały ucichły. Wstrzymując powietrze, Net i Robi dostali się do drzwi i ku ich radości, kiedy tylko agentka dotknęła skanera linii papilarnych, otworzyły się z cichym szurnięciem.

Przeszli przez wszystkie zabezpieczenia i w końcu wydostali się na zewnątrz. Złapali oddech. Nareszcie im się udało.

– I co teraz? – wysapał Net. – Mają nas za zdrajców, nie mamy do kogo zwrócić się o pomoc!

– Po raz pierwszy cieszę się, że mogę to powiedzieć: PAS nie jest jedną całością. To, że coś nie gra na Południu, nie znaczy, że Północ i Centrum też są złe. Tam mogą nam pomóc. Teraz chodźmy do domu.

Ruszyli przez pole w stronę lasu, obok którego mieszkali. Buty zatapiały im się lekko w wilgotnej ziemi zmoczonej deszczem. Słońce przeświecało przez ciemne chmury, a trawy

cicho szumiały na wietrze. Wszystko wydawało im się takie piękne i znajome. Po tak długim czasie nareszcie wrócili do Wrocławia.

W końcu na horyzoncie zobaczyli żółty domek ogrodzony równym drewnianym płotem. Uśmiechnęli się na ten widok. Tak bardzo za nim tęsknili. Podbiegli bliżej i przeskoczyli przez ogrodzenie.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że coś tu jest nie tak. Trawnik sięgał do kolan i był miejscami przeorany, dwie tuje ścięte, a ulubiona brzoza Robi miała połamane gałęzie. Kwiaty ginęły wśród chwastów.

Powoli podszli do drzwi na tarasie. Na kafelkach leżały potłuczone doniczki. Weszli do środka i aż zatrzymali się w pół kroku.

– Co, do jasnej cholery, się tu stało? – wymamrotała przerażona Robi, wpatrując się w salon.

Stół miał powyłamywane nogi, kanapa pocięta była nożem, a z dziur wystawały trociny. Wszędzie wałało się pierze, które ktoś wysypał z podartych poduszek. Krótko mówiąc, dom był istną ruiną.

Pobiegła na górę do swojego pokoju. Tam też dotarli. Pościel, meble... wszystko było zniszczone. Z szuflad ktoś powyciągał wszystkie ubrania i bieliznę. Tablica korkowa została zerwana ze ściany, a lampa połamana. Ktoś najwyraźniej czegoś szukał. Robi w pośpiechu przekopowała góry śmieci i strzępów materiałów. Odetchnęła z ulgą, kiedy znalazła najcenniejsze zdjęcie, jakie posiadała. Pogładziła je delikatnie i schowała do kieszeni.

– Nie mogę w to uwierzyć... Kto mógł coś takiego zrobić? Kto i po co? – szepnął Net, kiedy wszedł do pokoju.

– Jak to kto? Delik albo agenci szukający dowodu na naszą winę.

– I co teraz?

– Jedziemy do Warszawy. Mam nadzieję, że do piwnicy się nie dostali.

Zeszli razem na dół, a Robi w pośpiechu otworzyła drzwi. Wskoczyli do środka i rozejrzeli się.

– Całe szczęście! – odetchnęła agentka, kiedy zobaczyła swój sprzęt w nienaruszonym stanie.

Net podszedł do jednego z regałów i wziął z niego laserowy długopis. Obejrzał go, westchnął i odłożył na miejsce. Popatrzył niepewnie na przyjaciółkę.

– Czyli chcesz uzbroić się po zęby i ratować świat? – zapytał.

– Chcę zabrać parę rzeczy, jechać do Warszawy i prosić Centrum o pomoc. Może Północ też pomoże.

– Może zbierzemy naszą ekipę?

– Nie wiemy, gdzie są. Może nam powiedzą w Warszawie.

Złapali za dwie torby i zaczęli pakować do nich broń. Pistolety, magazynki, strzałki usypiające, materiały wybuchowe, a na sam koniec Robi zapakowała swoją snajperkę i całe jej wyposażenie. Uśmiechnęła się nieznacznie do Neta i wyszli z magazynu. Pobiegli na górę i w stosach papierów odnaleźli jakieś ocalałe od zagłady ubrania. Ubrali się w nie i wychodząc z domu, zabrali pieniądze „na czarną godzinę”.

Udali się autobusem na dworzec główny. Ludzie patrzyli na nich podejrzliwie. Robi miała już tego dosyć. Nie lubiła być obserwowana, a po tym, co przeszli w ostatnim czasie, miała jeszcze większą paranoję niż kiedyś. Net raz po raz zerkał na nią zaniepokojony i obserwował, jak kurczowo ściska pasek od torby.

– Wyluzuj się trochę – szepnął w końcu. – Nie dość, że nie wyglądamy do końca normalnie, to jeszcze wyglądasz, jakbyś miała zaraz eksplodować.

Robi westchnęła i wlepiała wzrok w muchę chodzącą po szybie. Nareszcie dojechali do celu, kupili bilety i wsiedli do pociągu, który miał zawieźć ich do stolicy.

Koła stukotały miarowo, kiedy przejeżdżali przez lasy, pola i miasteczka. Dwójka agentów cały czas zastanawiała się nad wszystkim, co ich spotkało. Myśleli o swojej drużynie, o tym, co działo się w PAS-ie... Nic nie trzymało się kupy.

– Co z Szymonem? – zapytał nieśmiało Net. – Nie mamy pewności, czy jest zdrajcą. Już wiemy, kto nim był, na niego nie mamy dowodów.

– Mamy dowód – warknęła Robi, podwijając rękaw i odsłaniając świeżą bliznę po ranie postrzałowej. – Do dziś nie rozumiem, dlaczego po tylu latach przyjaźni próbował mnie zabić. Jak mógł?!

– Wiesz, w sumie to ty strzeliłaś pierwsza.

– W powietrze, Net, w powietrze... Wysoko, prosto do góry. Wiedział, że nie celuję w niego. Wiedział to – mruknęła.

Net zerknął na nią i smutny spuścił wzrok. Nie wierzył, że ktokolwiek z ich teamu mógł być jednym z terrorystów. Ufał im i nie miał pojęcia, jakim cudem komuś udało się ich poróżnić. Za wszelką cenę chciał znów złączyć drużynę, ale Robi musiała mu w tym pomóc. Bez niej to były tylko chęci niepoparte czynem.

Resztę drogi przejechali w milczeniu. Siedzieli sami w przedziale i wpatrywali się w czubki własnych butów. W końcu pociąg zatrzymał się w Warszawie. Agenci w ciszy wyszli na peron, a potem na ulicę.

Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, a ludzie przewijali się w pośpiechu ruchliwymi ulicami. Stolica tętniła życiem.

– To gdzie teraz? – zapytał Net.

– Mają siedzibę przy Dowództwie Sił Powietrznych. Musimy po prostu ją znaleźć. To nie powinno być trudne. Odszukamy lotnisko i potem główną drogą dotrzemy na miejsce. Z tego, co pamiętam...

– Oczywiście. Czy jako fanka lotnictwa znasz położenie każdego lotniska i każdej bazy?

– Tak, mniej więcej tak – mruknęła Robi, rozglądając się uważnie.

Stali przed dworcem i nie do końca wiedzieli, dokąd powinni iść.

W końcu po dwóch godzinach krążenia po mieście dotarli na lotnisko. Właśnie lądował samolot z Niemiec. Robi wpatrywała się w stojące na płytach maszyny. Net zerknął na nią, zaśmiał się, złapał ją za rękaw i lekko pociągnął.

– PAS... Czas nagli... Samoloty pooglądamy później.

– Dobra, chodź!

Ruszyli szybkim krokiem, mijali różnych ludzi, budynki i samochody. Dotarli w końcu na miejsce. Robi stanęła pod ogrodzeniem i podparła się pod boki. Uśmiechnęła się szeroko.

– No to mamy Siły Powietrzne. Ale gdzie jest... – zaczęła, ale nie skończyła zdania.

Nad ich głowami przeleciał granatowo-czarny śmigłowiec. Na kadłubie miał białoczerwoną szachownicę, a obok niej znak PAS-u. Zawisnął nad małym budynkiem stojącym lekko w tyle i powoli wylądował na jego dachu.

Net i Robi popatrzyli na siebie z uśmiechem. Nareszcie dotarli do celu. Szybkim krokiem podeszli do drzwi. Nieśmiało weszli do środka. Na dyżurce siedział czarnowłosy agent w średnim wieku. Miał granatową koszulę i czarne spodnie. Na jego piersi błyszcząca odznaka

agenta pomocniczego PAS-u.

– Słucham państwa? – odezwał się podejrzliwym głosem, widząc dwójkę cywilnych nastolatków.

– My do dyrektora PAS-u – oznajmił z dumą Net, a agent zmierzył ich wzrokiem.

– RD95 i NB95 meldują się – mruknęła Robi.

– Chwileczkę, ja zaraz... – wymamrotał zdezorientowany i sięgnął po telefon.

Wtedy z klatki schodowej wyszedł agent w bojowym mundurze i pełnym uzbrojeniu. Pod pachą trzymał hełm, a przez ramię miał przewieszony karabin.

– Jeszcze skoczę do Sił Powietrznych coś załatwić i wracam na Północ. Dzięki za te papiery – zawołał do kogoś na górze i z uśmiechem odwrócił się w stronę wyjścia.

Nagle zatrzymał się w pół kroku i uważnie przyjrzał się Robi. Pokręcił głową z niedowierzaniem i uśmiechnął się do nastolatków.

– Adam, czemu ich nie wpuściłeś? – zapytał zdziwiony. – Przecież to Robi Damon z Południowców. Co was tu sprowadza?

– Potrzebujemy pomocy. Coś jest nie tak w naszej jednostce. Musimy pilnie spotkać się z dyrektorem – mruknęła Robi.

– Śmigajcie na dół. Minus drugie, trzecie drzwi po prawej.

– Tak jest.

Zbiegli po schodach i zatrzymali się przed drzwiami. Popatrzyli na siebie i odetchnęli głęboko. Mieli spotkać głównego dowódcę PAS-u po raz drugi w życiu. Był to jeden z najbardziej wpływowych ludzi w kraju, zarządzał całą agencją. Stresowali się, ale wiedzieli, że muszą to zrobić.

Robi zapukała, a spokojny gruby głos zaprosił ich do środka. Weszli i aż ich zamurowało. Gabinet generała zupełnie różnił się od tego, który znali z bazy we Wrocławiu. Na ścianach wisiały odznaczenia, dyplomy i najróżniejsze zdjęcia świadczące o współpracy między agentami a pilotami i żołnierzami.

– Co was do mnie sprowadza? – zapytał, spoglądając na nich znad swoich okularów.

– Agentka RD95 i agent NB95 meldują się! – wyrecytowała Robi, stając na baczność.

– Spocznij. Siadajcie. Powiedzcie, co się dzieje na południu? Nie mamy kontaktu z nikim z waszej bazy. Zupełnie jakby przestała istnieć. Niepokoi mnie to.

– My właśnie w tej sprawie. Agenci uznali naszą drużynę za zdrajców. Rozdzielili nas i porozsadzali po całym kraju. Próbowali nas zabić w naszej własnej bazie! – opowiedziała Robi.

– Agenci chcieli was zabić? Przecież to niemożliwe! Podstawowa zasada to zakaz otwierania bratobójczego ognia! Złamanie tej zasady skutkuje długim dochodzeniem, a w razie braku solidnych i popartych dowodami argumentów wydaleniem z PAS-u i więzieniem! – oburzył się dyrektor. – Co na to wasz dowódca?

– Nasz dyrektor gdzieś przepadł. Wyjechał i ślad po nim zaginął. Sądzymy, że Delik przejął władzę – mruknął smutno Net.

– Skąd ten pomysł?

– Porwano nas z naszej tajnej kryjówki. Wywieziono na północ, za koło podbiegunowe, do jakiegoś bunkra. Przetrzytywali nas i chcieli wyciągnąć informacje na temat PAS-u. Była tam dwójka agentów, ale nie w roli więźniów. Pomagali im. To oni zdradzili, nie my. Południe potrzebuje pomocy...

– Robi, ja to rozumiem, ale nie mam pojęcia, jak mogę wam pomóc. Centrum i Północ nie

mogą ingerować w waszą bazę bez uzasadnionego powodu i walczyć z agentami. Trzeba jakoś sprowokować Delikowców do błędu. Trzeba waszym agentom pokazać, że to jeszcze nie koniec. Podejrzewam, że są zastraszeni. Z tego, co wiem, wynika, że większość z nich została wysłana na misję za granicę. Pojedynczo, bez przyjaciół. Cholera, że wcześniej nikt tego nie zauważył!

– Rozbili w nas poczucie jedności i skierowali podejrzenia na wszystkich, żebyśmy przestali sobie ufać. Ktoś, kto nie ma wsparcia wśród przyjaciół, traci motywację do działania... Sprytnie to wykombinowali – mruknęła Robi i podeszła do zdjęcia wiszącego na ścianie.

Na fotografii widniała cała ich ekipa. Południowcy stali tuż obok północnych i centralnych. Wszyscy się uśmiechali i widać było, że w razie potrzeby skoczyliby za sobą w ogień. To zdjęcie zrobiono przed czterema laty. Cała agencja była wtedy na ćwiczeniach.

Robi westchnęła głęboko. Wśród roześmianych agentów odnalazła siebie i Szymona. Stali w pierwszym rzędzie tuż obok grupy pilotów PAS-u i obejmowali się jak przyjaciele. Byli nierozłączni.

– Musimy wrócić do tamtego stanu – stwierdził dyrektor, przyglądając się agentce. – I to wy musicie tego dokonać. Każdy was zna. Wasza grupa jest charakterystyczna. Agent z Południa, z Północy, pilot, informatyk i agent pomocniczy. Mimo różnic tworzycie zgrany zespół i jeśli inni znów zobaczą was razem, może przypomną sobie, jak było kiedyś, i pomogą obalić rządy Delika.

– Naszej drużyny już nie ma – mruknęła smutno Robi.

– Kto wie? Może jeszcze wrócą do PAS-u.

– Słucham? – pisnął Net. – Jak to „wrócą”? Skąd?

– To wy nie wiecie? Szymon odszedł od nas i uczy się w Akademii Morskiej. Franek przeszedł do Sił Powietrznych, a Alan pracuje dla rządu.

– Bez sensu. Jak my ich mamy znaleźć? Wróci dyrektor, to wszystko wróci do normy – szepnęła Robi, ale sama nie była pewna tego, co mówi.

– Liczę, że wiecie, co powinniście zrobić – mruknął dyrektor głosem pełnym wyrzutu, wyciągnął długopis i zabrał się za wypełnianie dokumentów.

Robi spuściła głowę i powolnym krokiem ruszyła w stronę drzwi. Odwróciła się na moment, by pożegnać się z dowódcą, ale nagle zamarła w bezruchu. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdołała wykrztusić ani słowa.

– Tak? – zapytał generał, widząc zdezorientowany wzrok Robi.

– Skąd pan go ma? – zapytała Robi, patrząc na długopis.

Był granatowo-czarny i miał wygrawerowany złoty napis „Ku chwale Ojczyzny, ku zagładzie wrogów”.

– Z PAS-u. Każdy z trzech dyrektorów taki ma. Miał przypominać nam, że mimo różnic mamy ten sam cel. Czemu pytasz?

– Pan generał z Południa ma taki sam?

– Tak. O co chodzi? – zapytał zaniepokojony, widząc, jak Robi momentalnie blednie i osuwa się po ścianie na podłogę.

Złapała się za głowę i wlepiła wzrok w podłogę. Wszystko jej się przypomniało. Akcja w starej kamienicy, okropny fetor, zwłoki i ten długopis. Nie mogła w to uwierzyć. Była w szoku. Z trudem łapała oddech.

– Poruczniku! Co się dzieje? – zapytał zniecierpliwiony już mężczyzna.

- Dyrektor z Południa nie żyje – wymamrotała agentka, patrząc spode łba na dowódcę.
- Jak to?

Robi opowiedziała dokładnie całą historię. Przez ten czas generał siedział i słuchał uważnie. Spoglądał to na nią, to na Neta. Był w wyraźnym szoku i jakby nie dowierzał temu wszystkiemu. Kiedy agentka skończyła swoją opowieść, popatrzył na nią i westchnął głęboko.

– Teraz mamy pewność, że terroryści panują nad Południem. Nie możemy pozwolić na to, by ten stan się utrzymał. Trzeba połączyć oddziały. Wiecie, co może się stać, gdy Delik wykorzysta potencjał naszego uzbrojenia? Dojdzie do bratobójczej walki, a Polska będzie miała spory problem. Cywile znajdują się w niebezpieczeństwie. Już nie chodzi tylko o dobro agencji. Tu chodzi o ratowanie ojczyzny!

- Zrobimy wszystko, by przywrócić porządek!
- Już załatwiam wam bilety do Gdańska. Wylatujecie jutro z samego rana.
- Tak jest!

– Jeszcze jedno. Łatwiej wam będzie nawiązać kontakt z wojskiem, jeśli choć trochę będziecie przypominać siebie. Idźcie na dół, weźcie mundury i schowajcie odznaki do kieszeni. Nie bierzcie tych typowo bojowych.

- Tak jest!

Zeszli kolejne piętro niżej, do magazynu. Przywitali się z pracującymi tam agentami, powiedzieli, czego potrzebują, i wypełnili odpowiednie papiery.

Nareszcie czuli się swobodnie. Znów byli agentami. Byli akceptowani i póki co nikt nie chciał ich zabić. Mieli do wykonania misję i nic w tej chwili nie mogło ich bardziej cieszyć.

Rozdział trzynasty Powrót do rutyny

Przylecieli do Gdańska i pierwszym autobusem pojechali do Gdyni. Jak najszybciej mogli, udali się pod budynek Akademii Morskiej. Słońce świeciło, a ludzie przemykali beztrąsko ulicami miasta.

- Idź tam i z nim pogadaj – mruknęła Robi, stając z założonymi rękami.
- A ty? – zapytał zdziwiony Net, patrząc na nią zdezorientowany.
- On mnie nienawidzi. Idź.

Net westchnął, pokręcił głową ze zrezygnowaniem i wszedł do środka. Po chwili wybiegł na zewnątrz i zatrzymał się tuż przy Robi.

– Nie ma go. Podobno nie jest jeszcze uczniem prawnie zarejestrowanym w szkole. Chodzi na zajęcia jako wolny obserwator, czy jak to tam nazwać. Szkolenie zacznie w następnym semestrze.

- To gdzie on jest?! – warknęła Robi, rozglądając się nerwowo.

Wtedy z budynku wybiegł młody chłopak. Uśmiechnął się do agentów i podszedł do nich.

– Szukacie Szymona? Tego oficera z tej supertajnej jednostki, o której nikt nic nie wie? – zapytał. – Mówił kiedyś o was.

- Doprawdy? Gdzie on jest?

– Mówił, że idzie na Błyskawicę. Nie wiem po co, ale tam poszedł. Może jeszcze tam jest.

- Dzięki! – zawołał Net i pociągnął Robi za rękaw.

Pobiegli na wybrzeże i zatrzymali się tuż przed okrętem. Rozejrzeli się dookoła. Nie chcieli wchodzić na okręt, bo wtedy mogli z łatwością się minąć. Usiedli na chodniku i czekali.

– Co mu niby powiemy? Pamiętasz, jak się rozstaliśmy? On strzelił, później się stłukliśmy na kwaśne jabłko. Myślisz, że tak po prostu wszystko wróci do normy?

- Przecież jesteście przyjaciółmi... Dacie radę...

– Jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi... Znaczący, chyba jesteśmy. Byliśmy jak rodzina. Można by rzec, że w pewnym sensie byłam w nim zakochana... Może nadal jestem? Wszystko jest skomplikowane – wymamrotała Robi, wpatrując się w fale delikatnie uderzające o burtę okrętu.

- Chyba możemy mu to powiedzieć – mruknął Net, wpatrując się w dal.

– Czemu?

- Odwróć się do tyłu, to zobaczysz.

Robi zerknęła niby to obojętnie przez ramię. Nad wodą, po murku kroczył chłopak o ciemnych blond włosach. Trzymał ręce w kieszeni czarnych spodni i nerwowo kopał kamyczek, tocząc go przed sobą. Wyglądał na zdenerwowanego, ale też trochę rozdartego. Nagle potknął się i zsunął się z murku. Wylądował na nim w pozycji siedzącej i złapał się za głowę. Ukrył twarz w dłoniach i zatrzęsł się lekko. Złapał leżący obok kamień, wstał, odwrócił się w stronę morza i cisnął nim z całej siły.

- No zobacz. To on! – szepnęła Net.

– Szymon to zabijaka. Prędzej strzeliłby sobie w łeb, niż łąził po wybrzeżu w romantycznej scenerii i rozmyślał – mruknęła obojętnie Robi, ale mimo wszystko wstała i ruszyła w kierunku chłopaka.

Stał na murku tyłem do ludzi i wpatrywał się w okręty na horyzoncie, które czekały na wpłynięcie do portu. Zakradła się do niego od tyłu i wzięła głęboki oddech. „Teraz albo nigdy!”, pomyślała.

– Poruczniku! – zawołała, stając z założonymi rękami.

– Co ty... Co wy... tu robicie? – zapytał zbity z tropu chłopak.

– Trzeba wyjaśnić parę spraw. Dowództwo chce, żebyś wrócił do PAS-u – oznajmiła Robi głosem zupełnie pozbawionym uczuć.

– To powiedz swoim szefom, że ja się nigdzie nie wybieram. Nareszcie czuję się jak ryba w wodzie.

– Nie rób ze mnie idiotki – prychnęła lekko rozbawiona dziewczyna, wymownie zerkając w niebo.

– Nie robię. Od zawsze chciałem wstąpić do Marynarki Wojennej i służyć na okręcie – stwierdził Szymon, dumnie wypinając pierś.

– Ta, jasne. Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie. Znamy się tyle lat, nie musisz mi wciskać kitu, bo i tak wiem, że to ściema. Gdybyś chciał być we flocie, nie wstąpiłbyś do PAS-u!

Agent założył ręce na piersi naburmuszony. Wlepił wzrok w ziemię i znieruchomiał. Zapadła niezręczna cisza. Robi westchnęła cicho i wyciągnęła z kieszeni swoją odznakę. Pogładziła ją delikatnie, wskoczyła na murek, na którym stał jej przyjaciel, i podsunęła mu ją pod nos.

– Pamiętasz? Miałaś taką samą. Ona nadal na ciebie czeka. Przysięgałeś bronić ojczyzny w szeregach PAS-u, dopóki zdrowie ci na to pozwoli. Zapomniałeś?

– Tutaj też służę Polsce – mruknął Szymon, ale mimowolnie zerknął z żalem na odznakę.

– PAS nas potrzebuje. Nas wszystkich. To, że się pokłóciliśmy, to efekt manipulacji Delika. Dyrektor Południa nie żyje... Terrorysty przejęli władzę w naszej bazie. Nikt z nas nie zdradził. Szymon! Zrozum to wreszcie.

Popatrzył na nią, a w jego oczach widać było zwątpienie. Nie miał pojęcia, co robić. Cały ten czas walczył z okropną tęsknotą za przyjaciółmi. Żałował tego, co zrobił. Teraz wszystko mogło wrócić do normy. Uśmiechnął się lekko.

– No dobra! Masz rację. Jak zwykle. Nie mam pojęcia, co ja tu robię! Nawet nie lubię wody! Nawet pływać dobrze nie umiem!

– Nareszcie, Szymon!

Dwójka przyjaciół wpadła sobie w objęcia. Zeskoczyli z murku i Descante z radością uścisnął Netowi dłoń.

Cała trójka poczuła się jakoś lepiej. Tak jakby pustka, która towarzyszyła im od jakiegoś czasu, została w końcu w większości zapełniona. Znów byli razem, znów byli przyjaciółmi.

– Tak w ogóle to przepraszam cię za tę rękę. To był wypadek. Chciałem trafić w trawę, ale wiesz, że nie zawsze mam cęła. Poza tym ty wtedy strzeliłaś... No poniosło mnie.

– Już wybaczyłam – mruknęła Robi i uśmiechnęła się lekko.

– To super! – ucieszył się chłopak. – Wiecie, tak naprawdę to gdy tylko oddałem odznakę, od razu tego pożałowałem. Teraz jest lepiej. Co teraz robimy?

– Musimy znaleźć Franka i Alana! Bez nich nie damy rady.

- Jasne. Gdzie oni są?
- Tego nie wiemy dokładnie. Musimy wrócić do Warszawy.
- Tak jest!

Jak powiedzieli, tak zrobili. Wsiadli w pierwszy samolot do Warszawy i polecieci. Na pokładzie cały czas rozmawiali o tym, co przeżyli, gdy nie byli razem. Szymona nikt nie porwał ani nie przesłuchiwał, za to w rozmowie z Południowcami zasugerowano mu odejście z PAS-u. Mocno argumentowano, aż w końcu przekonano go do rezygnacji.

Kiedy samolot dotknął kołami pasa startowego, był już wieczór. Dotarli na piechotę do budynku należącego do PAS-u.

– Udało wam się! – ucieszył się dyrektor, kiedy trójka agentów weszła do jego gabinetu. – Tak miło widzieć waszą grupkę razem.

Uśmiechnął się do nich i zajrzał do szuflady. Pogrzebał w niej trochę i wyciągnął coś, co zaraz ukrył za plecami. Wstał i podszedł do nastolatków.

– Mam coś, co z pewnością wam pomoże. – Popatrzył znacząco na Szymona i wręczył mu odznakę i jego broń. – To chyba należy do ciebie. Skoro tutaj przyszedłeś, rozumiem, że chcesz wrócić w nasze szeregi.

– Tak jest! – odpowiedział wesoło Descante, ale po chwili speszył się lekko. – Nie będzie to problemem? Mam zdać na nowo testy czy coś?

– Ależ skąd, twoja rezygnacja nigdy nie została do końca zatwierdzona. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później wrócisz.

– Cudnie!

– Robi, udało mi się wyciągnąć informacje „zza ściany”. Franek poprosił o przeniesienie do Łaska. Jeszcze go nie dostał, ale podobno lata już z tamtymi. Oddaj mu to, a może przypomni sobie, co przysięgał raptem kilka lat temu – poprosił dyrektor i wręczył jej „skrzydlatą” odznakę PAS-u.

– Tak jest!

– Jeszcze coś. Miało to być zorganizowane w sposób bardziej uroczysty, ale sytuacja wymaga sfinalizowania sprawy w tej chwili. W zeszłym roku Irbisy chciały cię wcielić w swoje szeregi. Teraz są na tajnej misji w okolicach Kaukazu, ale zapadła decyzja. Nie musisz się nigdzie przenosić. Możesz być Irbisem tu i teraz. – Otworzył małe granatowe pudełeczko i wyciągnął je w jej kierunku. – O ile nadal chcesz nim być.

Na atlasowej poduszeczce leżała złota odznaka w kształcie celownika ze srebrną panterą śnieżną wewnątrz trzymającą w pysku karabin wyborowy. Robi wpatrzyła się z uśmiechem we wpinkę, nie mogąc oderwać od niej oczu. Była w szoku. Jej marzenie właśnie się spełniało. Nie mogła odmówić.

– Tak jest! To dla mnie zaszczyt! – odpowiedziała z uśmiechem, a dowódca przypiął jej odznakę do koszuli.

– Gratuluję. I nareszcie ostatnia sprawa. Miałem ci to oddać już dawno temu – stwierdził dyrektor, wyciągając z kieszeni przypinkę.

Była to odznaka drużyny, którą dowodził ojciec Robi. Był w drużynie Alpha, dlatego na jego małej, okrągłej, granatowej przypince umieszczony został srebrny wilk, stojący pewnie na łapach, z uniesionym do góry ogonem.

Robi wzięła ją ostrożnie do ręki i pogładziła z uśmiechem. To była jedna z niewielu pamiątek po jej rodzicach. Jej ojciec praktycznie stworzył PAS. Była pewna, że nie chciałby, żeby jego dzieło znalazło się w rękach wroga. Z pewnością pragnęłyby, żeby agenci stanowili

jedność, żeby wspólnie bronili ojczyzny.

Ścisnęła odznakę mocniej i podniosła wzrok. Uśmiechnęła się do dyrektora i skinęła głową.

– Uda nam się. Wszystko wróci do normy – szepnęła.

Dowódca pokiwał głową z uznaniem i popatrzył na każdego z agentów po kolei.

– Lećcie jutro. Z rana. Musicie powiedzieć Frankowi jedną rzecz. Jestem pewien, że to go ucieszy. PAS na dniach nawiąże współpracę z Siłami Powietrznymi. Nasi piloci będą częściej ćwiczyć na F-16 i brać niektóre dyżury.

– Tak jest!

Rozdział czternasty Gryzoń z Jastrzębiami

Wylecieli z Warszawy z samego rana śmigłowcem PAS-u. Granatowa „Fregata” o numerze 105 mknęła nad polami w stronę Łaska. Robi, Net i Szymon, ubrani w mundury polowe agencji, patrzyli w milczeniu przed siebie i czekali. Nie mieli pojęcia, czy uda im się przekonać Gryzonia do powrotu.

– I co mu powiemy, kiedy już tam dolecimy? Ma tam to, co kocha. Może latać myśliwcem, a nie tylko śmigłowcem. Od kiedy wrócił z Dębina, tęsknił za samolotami. Narzekał na małą liczbę wylatanych godzin. Serio myślicie, że zechce to wszystko zostawić i znów być w PAS-ie? – zapytał w końcu Net, smutno wpatrując się w czubki swoich butów.

– Słyszałeś, co powiedział dyrektor – mruknęła Robi. – Będą mogli więcej ćwiczyć. Będą latać z najlepszymi. Myślę, że ten pomysł Gryzoniowi będzie odpowiadał.

– Myślmy optymistycznie – odezwał się Szymon.

Po niedługim czasie pod nimi pojawiło się lotnisko. Długi pas i stojące na nim dwa F-16. Szykowały się do startu. Zauważywszy to, Net popatrzył na Robi z przerażeniem.

– Co będzie, jeśli polecą prosto na nas? – zapytał.

– Głębokie, przecież na lotnisku wiedzą, że lecimy – mruknął Szymon, wychylając się lekko na zewnątrz.

– Piękne są, prawda? – zapytała Robi, uśmiechając się szeroko.

– Kto? – zdziwił się Net, a Szymon przewrócił oczami z poirytowaniem.

– Samoloty. Robi kocha samoloty. To fanka. Wręcz maniaczka.

Śmigłowiec zawisnął w powietrzu i po chwili dotknął płozami ziemi. Kiedy tylko agenci wysiedli, dwa myśliwce wystartowały i zniknęły w chmurach.

Robi rozejrzała się dookoła, uśmiechając się szeroko. Starła się panować nad emocjami, ale widać było, że jest w siódmym niebie. Nawet nie zauważyła, kiedy podeszli do nich piloci „Fregaty”.

– No to dowieźliśmy was do Łaska. Mam nadzieję, że lot minął wam bez komplikacji i jesteście zadowoleni z naszych usług transportowych – zażartował jeden z nich.

– Oczywiście. Zabrakło tylko fistaszków w roli poczęstunku. Poza tym nie mam zastrzeżeń – zaśmiał się Szymek.

– Zaprowadzimy was do szefa. Z nim będziecie mogli pogadać na temat Franka. My tymczasem pójdziemy coś zjeść.

Jak powiedzieli, tak zrobili. Już po chwili trójka agentów stała przed dowódcą.

– Agenci Damon, Descante i Bore meldują się – wyrecytowała Robi, stając na baczność.

– Spocznij. Wasz dyrektor wspomniał coś o tym, że chcecie się spotkać z jednym z pilotów.

– Tak jest. Z Gryzoniem – odpowiedział Net.

– Z kim?

– Z Frankiem Chomikiem. Przeniósł się tutaj z PAS-u. Oficjalnie jeszcze się właściwie nie

przeniósł, ale lata tutaj.

– Ach, on. Tak, to prawda. Niestety nie zastalście go chyba. Z tego, co pamiętam, jest teraz w powietrzu. Jak tylko dowiedział się, że przylatuje ktoś od was, chciał jak najszybciej startować. Dziwne. Jeśli chcecie się z nim spotkać, musicie poczekać. Możecie wyjść na zewnątrz i popatrzeć na ich ćwiczenia.

– Tak jest! Dziękujemy – odezwał się Szymon.

Wyszli na dwór i przycupnęli na trawie w pobliżu swojego śmigłowca. Na niebie wisało kilka szarych chmur, ale poza tym było pogodnie. Raz po raz jeden z myśliwców przemykał im nad głowami, a huk dopalaczy obijał im się o uszy. Wpatrywanie się w pozorowaną walkę powietrzną było czymś wspaniałym, ale agenci nie mogli przestać się denerwować. Tak bardzo zależało im na powrocie ich przyjaciela, ale bali się, że Franek uważa ich za zdrajców.

– Który z nich to Gryzoń? – zapytał Net, kiedy dwa odrzutowce podchodziły do lądowania.

Jeden z samolotów delikatnie przyziemił i w końcu zatrzymał się spokojnie, po czym pokołował do hangaru. Drugi z nich, lecący tuż za tym pierwszym, nie miał wyciągniętego podwozia. Poderwał się ostro do góry, gdy był tuż nad ziemią. Wykręcił trzy beczki w locie pionowym, ostro zanurkował, wyrównał lot i wylądował.

– Szpaner – zaśmiała się Robi. – Już wiemy, który to Franek. On nigdy się nie zmieni.

Ruszyli w kierunku odpowiedniego samolotu. Pilot wyłączył silnik, powypinał się z pasów, ściągnął hełm, odłożył go na bok i wstał. Wyszedł powoli na drabinę, krzyknął coś wesoło do swojego „przeciwnika” i zszedł na dół. Odwrócił się w stronę agentów roześmiany, ale kiedy tylko ich zobaczył, mina mu zrzędła. Rozejrzał się na boki, szukając jakiegoś pretekstu do ucieczki.

– Franek! – zawołał Szymon.

Pilot spieszył się i skręcił nagle w stronę hangaru. Kątem oka spojrzał na trójkę nastolatków i przyspieszył kroku.

Robi i Szymek popatrzyli na siebie, uśmiechnęli się i skinęli głowami. Oboje wpadli na ten sam pomysł. Ruszyli biegiem w stronę przyjaciela i już po chwili zaszli mu drogę.

– Czego chcecie? – zapytał poirytowany.

– Gryzoń, zachowujesz się jak małe dziecko – prychnęła Robi, patrząc mu prosto w oczy.
– Dlaczego przed nami uciekasz?

– Bo nie wiem, po co chcecie ze mną gadać. Nie jestem zdrajcą, a skoro PAS mnie za takowego uważa, nie mam czego tam szukać.

– To nie PAS... Na Południu już prawie nie ma agentów!

Pokręcił głową z politowaniem, odepchnął Robi i Szymona na boki i przeszedł między nimi. Oni jednak nie chcieli odpuścić i znów stanęli mu na drodze.

– Skoro nie ma agentów, to kto jest? Krasnoludki? Kosmici? Zombie?

– Terroryci! – warknął Szymon, a Robi szturchnęła go w brzuch.

Nie chciała kłótni. Zależało jej tylko na tym, żeby Franek im uwierzył i wrócił.

– Delik przejął kontrolę nad Południem, dyrektor naszej bazy został zamordowany, a agentów skłócono ze sobą, napuszczono na siebie nawzajem lub wysłano daleko za granicę. Terroryci panują nad naszym uzbrojeniem, naszymi śmigłowcami i samochodami. Panują nad wszystkim. Mój dom to ruina! Jeśli ktoś im nie przeszkodzi, to Delik rękami agentów rozwali resztę baz i może nawet pokusi się o całą Polskę – wytłumaczyła, starając się zachować pełen spokój.

– I po co ja wam do tego? Polski mogę bronić też z za sterów F-16. Nie widzę przeszkód.

– Gryzoń, jesteśmy przyjaciółmi... Poza tym PAS, tracąc ciebie, straci najlepszego pilota, jaki kiedykolwiek latał w naszych szeregach. Jesteś potrzebny – wymamrotała lekko zrozpaczonym głosem.

– Poza tym, my tęsknimy – odezwał się nieśmiało Net stojący w tyle.

Franek patrzył na każde z nich po kolei. Wahał się, zastanawiał. To był dobry znak. Westchnął głęboko i odwrócił wzrok w stronę myśliwca. Spuścił smutno głowę.

– Nie mogę – wymamrotał, wpatrując się w beton pod stopami.

– Co? – pisał Szymon.

– Odszedłem z PAS-u. To koniec. Papiery poszły w ruch. Moje przeniesienie to kwestia dni. Ci piloci, obsługa, wszyscy, którzy tu pracują, to wspaniali ludzie. Nie mogę tak sobie odejść i mieć wszystko gdzieś. Od zawsze marzyłem, żeby być pilotem Jastrzębia. Teraz, kiedy sny stały się rzeczywistością, mam to wszystko rzucić?

– PAS ma nawiązać współpracę z Siłami Powietrznymi. Każdy z pilotów posiadający odpowiednie uprawnienia będzie mógł latać z pilotami spoza PAS-u. Co oznacza więcej czasu spędzonego w bazach, więcej wylatanych godzin na F-16... Żyć, nie umierać. Dwie pieczenie na jednym ogniu – powiedziała Robi, pełna nadziei, że to przekona Gryzonia.

– Współpraca z Siłami Powietrznymi, powiadasz... Brzmi całkiem dobrze. Nawet świetnie, powiedziałbym – stwierdził Franek.

– To co, wracasz? – zapytał Net, nadal trzymając się w tyle.

– Wiecie, cały czas czegoś mi brakowało. Kiedy dowiedziałem się, że przylatujecie, chciałem was spotkać, ale spanikowałem. To dlatego, kiedy lądowaliście, ja stałem już na pasie w gotowości do odlotu. Myślałem, że sobie odpuścicie, i wspomnienia nie wrócą. Wróciły. I w sumie to dobrze. Też tęskniłem. Wracam!

Robi, Szymon i Net popatrzyli na siebie z uśmiechem. Agentka z radości rzuciła się na szyję pilotowi, a on uśmiechnął się szeroko i również ją przytulił.

– Tak się cieszę, że nasza czwórka znów będzie razem – szepnęła mu do ucha.

– Też nie powiem, żebym się smucił.

Franek udał się do dowódcy, a agenci w tym czasie wrócili do „Fregaty”. Po kilkudziesięciu minutach, kiedy pilot dołączył do swoich przyjaciół, wydawał się być w lekkim szoku.

– Podobno – zaczął, uśmiechając się dziwnie – ktoś nawet nie zatwierdził mojej rezygnacji. Tak czy siak, po pewnym czasie musiałbym wrócić. Kto maczał w tym palce?

– Moją rezygnację potraktowali tak samo – mruknął Szymon, wychylając się ze śmigłowca. – Nie przejmuj się, stary, to nic osobistego.

– Po prostu Centrum czuło, że z Południem coś jest nie tak. Wszystkie decyzje były podejmowane z tajnym zastrzeżeniem, że mogą być cofnięte w każdej chwili – stwierdziła Robi.

– Świetnie. To lećmy do Warszawy.

Rozdział piętnasty Nikola Harrier

Następnego dnia obudzili się w gabinecie, który dyrektor użyczył im jako sypialnię. Był kolejny słoneczny dzień, a oni znów byli razem i to sprawiało, że wszystko stało się lepsze. Do kompletu brakowało im tylko Alana.

– Z nim będzie problem. Do Marynarki Wojennej i Sił Powietrznych mieliśmy jakiegokolwiek dojście. Wiedzieliśmy, kogo pytać. Alan przeniósł się z tajnej organizacji do organizacji jeszcze bardziej tajnej. Po prostu zniknął po nim ślad. To gorsze niż szukanie igły w stogu siana – oznajmił dyrektor, kiedy tylko poruszyli temat Świdra.

– Nie da się nic zrobić? – zapytał smutno Net, a dowódca pokręcił głową.

– Mogę jeszcze popytać, ale to nie jest takie proste. Dzisiaj i tak nic nie wskóramy. Idźcie sobie na miasto, zaplanujcie sobie coś może. Franek, ty polatasz na „Fregacie”.

– Tak jest! – ucieszył się pilot, stanął na baczność i po chwili wybiegł z gabinetu.

Dyrektor zaśmiał się wesoło i pokręcił głową. Agenci z Południa zawsze trochę go bawili. Zupełnie różnili się od Północy pod względem zachowania i za to ich lubił.

– Idźcie. Odpocznijcie.

– Tak jest!

Trójka przyjaciół udała się do swojej „sypialni”. Usiedli na stole w kształcie podkowy i po prostu milczeli. Szymon wpatrywał się niecierpliwie w sufit i nucił coś pod nosem.

– Nie znoszę tak siedzieć beczynnym – odezwał się, w końcu przerywając ciszę. – Nie po to mamy broń, żeby nic nie robić. Moglibyśmy zmobilizować Północ i wtargnąć tam z buta. Wystrzelać tych cholernych terrorystów i po problemie!

Robi popatrzyła na niego spode łba, a Net wyglądał na przerażonego.

– Nie możemy wejść tam i się dogadać? Może sami sobie pójda. Zjednać wszystkich agentów i pogodzić wszystkich. Bez rozlewu krwi – wymamrotał chłopak, wpatrując się nieśmiało w ziemię.

– Obaj dajcie sobie spokój ze swoimi planami, bo obaj się mylicie i obaj macie rację. Musimy zjednoczyć agentów i podnieść ich morale, ale z terrorystami nie damy rady dogadać się pokojowo. Tu właśnie Szymon ma słuszość. Trzeba będzie trochę postrzelać – mruknęła Robi.

Po tych słowach znów zapadła głucha cisza. Rozmowa im się nie kleiła, bo każde z nich myślało o czekającym ich starciu. Mieli odmienne pomysły, inne sposoby, ale musieli pójść na kompromis i pociągnąć za sobą jak największą liczbę dawnych sojuszników.

– Chodźmy do miasta! – zaproponował Net, by rozładować napięcie.

Z braku lepszych pomysłów Robi i Szymek skinęli głowami i we trójkę udali się do centrum na wycieczkę.

Przechadzali się ulicami i uliczkami. Ubrani byli w jednakowe mundury, ale nie przyciągały zbytnej uwagi mieszkańców, gdyż nie wyglądały na wojskowe. Rozpoznać ich mogli tylko niektórzy żołnierze i piloci. Dla cywilów byli tylko jednakowo ubranymi

przyjaciółmi.

Stanęli na placu pod Pałacem Kultury i popatrzyli w górę. Net zaśmiał się cicho i spojrział na przyjaciół.

– Wjedźmy na górę! Proszę – pisnął błagalnym głosem.

– Net, daj spokój. Skąd w tobie taka fascynacja... wszystkim?

– Robi, skąd w tobie to znudzenie wszystkim? – zapytał poirytowany chłopak, a Szymon zachichotał pod nosem.

– Życie, przyjacielu, życie.

– Skończcie te smęty. Chodźmy do sklepu. Mam ochotę na sok pomidorowy! – zawołał Descante i pociągnął Robi za rękaw w stronę najbliższego marketu.

Weszli do środka i rozejrzeli się. Odruchowo chcieli sprawdzić, czy nie było tam nikogo podejrzanego. Ludzie biegali z koszykami między półkami i przeglądali towary. Życie toczyło się zwyczajnym torem.

Weszli w dział z napojami i wyszukali ulubiony sok Szymona. Już mieli iść do kasy, ale zderzyli się z tłumem ludzi.

– Kolejka... No jasne – prychnął Net.

– Trudno. Stoimy – stwierdziła Robi z uśmiechem.

Nagle mina jej zrzedła, a twarz pobladła. Rozejrzała się dookoła, panicznie szukając ratunku.

– Stój tu! – syknęła do Neta, wpychając mu do ręki koszyk z zakupami.

Odciągnęła Szymona między półki sklepowe. Chłopak nie miał pojęcia, co się dzieje, ale zaniepokoił się lekko zachowaniem przyjaciółki.

– Co jest grane? – zapytał szeptem, kiedy w końcu zatrzymali się w dziale ze słoikami.

– Zobacz na kolejkę – mruknęła agentka. – Szósta osoba, od kasy patrząc.

Descante wychylił się zza stosu dżemów truskawkowych. W kolejce, we wskazanym miejscu, stała dość wysoka kobieta w średnim wieku. Ubrana była w wąską, czarną spódnicę i beżowy sweterek. Miała kręcone kasztanowe włosy, które sięgały jej do ramion. Była osobą dość pulchną, ale wyglądała na bardzo sympatyczną.

Szymon odwrócił się i pytająco popatrzył na przyjaciółkę. Ściągnęła go w dół, przez co prawie się przewrócił. Ludzie, którzy ich mijali, zerkali na nich zbici z tropu.

– Co z nią jest nie tak? Kto to jest?

– To starsza siostra mojego taty! Nie mam pojęcia, co tu robi! Mieszkała w Mińsku Mazowieckim! Nie może mnie zobaczyć!

– Bo myśli, że nie żyjesz, tak?

– No dokładnie!

Ciotka Robi żyła w niewiedzy, będąc przekonana, że jej bratanica zginęła w wypadku razem ze swoimi rodzicami. Tak zdecydowano zaraz po zamachu, ze względów bezpieczeństwa. W razie czego nikt nie mógłby szantażować bliskich agentki, bo rodzina nie znała żadnych szczegółów. Nie mogli zdradzić miejsca jej pobytu ani innych informacji.

– Słuchaj – szepnął Szymon, znów wychylając się zza dżemów i patrząc na kobietę. – Trzeba cię jakoś stąd wyciągnąć. W sumie jak tylko wyjdzie ze sklepu, ty będziesz już bezpieczna. Poczekamy tu, aż Net zapłaci, i po kłopotcie.

– Czemu siedzicie i kryjecie się za marmoladą? – zapytał chłopak, kiedy podszedł do nich ze spakowanymi zakupami.

– Długa historia. Zapłaciłeś już? – zapytała Robi, a Szymek wyszedł z ukrycia i rozejrzał

się.

– Droga wolna! – syknął do nich, poganiając ich ręką.

W trójkę ruszyli spokojnym krokiem do drzwi. Jakimś cudem udało im się uniknąć niezręcznego spotkania w sklepie. Wyszli na zewnątrz i nagle Robi na kogoś wpadła.

– O, przepraszam – wymamrotała agentka, po czym zerknęła na twarz osoby, z którą się zderzyła, i od razu przymierzyła się do ucieczki.

– Nic nie szkodzi – mruknęła kobieta o kasztanowych włosach i zielonych oczach. Zerknęła na Robi. – O mój... Och... To ty? Niemożliwe – wymamrotała zaskoczona.

– Nie wiem, o co pani chodzi. Muszę już lecieć...

– No co ty, skarbie, cioci nie poznajesz?

Net z wrażenia aż upuścił siatki z zakupami, a Szymon wyglądał, jakby właśnie zderzył się z niewidzialną ścianą.

– Nikola, to ja. Poznają po oczach! Masz oczy po tacie, a uśmiech po matce.

Robi wlepiła wzrok w chodnik i westchnęła głośno. Wszyscy dookoła słyszeli tę rozmowę. Nie chciała, by to grono się powiększyło, chciała jakoś uciszyć ciotkę.

– Tak, pamiętam – mruknęła zrezygnowana. – Błagam, idźmy stąd.

– Robi, o jaką Nikolę chodzi? – zapytał zaniepokojony Net.

– Robi? Kto to Robi? – zapytała Ciotka.

Robi złapała się za głowę. Cała ta sytuacja była jak wyjęta z koszmaru. Szymon wyczuł, że jego przyjaciółka potrzebuje pomocy. Warknął do Neta, żeby się uciszył i o nic nie pytał, a do kobiety uśmiechnął się uprzejmie.

– „Robi” to tylko taka ksywka Nikoli – zaśmiał się i podszedł do agentki.

– Nikola, ty żyjesz! Nawet nie wiesz, jak reszta rodziny się ucieszy!

– Nie ucieszą się, bo się nie dowiedzą – mruknęła poirytowana agentka, odciągając ciotkę za rękaw.

– Dlaczego? To przecież taka świetna wiadomość! Co się z tobą działo przez ten czas? Wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz. Nawet nie wiesz, co to znaczy dla naszej rodziny!

– Obawiam się, że nic dobrego – mruknęła.

– Co z tobą? Jesteś jakaś dziwna. Co z twoją ręką? – zapytała, wskazując na zabandażowane przedramię Robi, a Szymon stojący w tyle zaczerwienił się lekko.

– Nic poważnego.

– Co się tu dzieje? Pewnie jesteście głodni, wyglądacie jakbyście nie spali od tygodnia! Mieszkam niedaleko, chodźcie na obiad.

Net, któremu burczało w brzuchu już od jakiegoś czasu, uśmiechnął się radośnie na wieść o posiłku, ale Szymon od razu ostudził jego zapał, szturchając go w brzuch. Robi popatrzyła wymownie w górę i pokręciła głową.

– Nie, nie pójdziemy na żaden obiad – mruknęła. – Tego spotkania nie było, jasne? Proszę, zapomnij o tym, że mnie widziałaś.

– Nie ma mowy. Idźcie do mnie na obiad. Nie zgadzam się na odmowę.

Nie było wyjścia. Gdyby odmówili, cała Warszawa dowiedziałaby się o ich istnieniu. Jeśli już mieli gadać z ciotką, musieli udać się gdzieś, gdzie nie słuchaliby ich obcy ludzie.

Gdy weszli do mieszkania kobiety, od razu rzuciła im się w oczy jedna rzecz. Wnętrze było w stanie surowym. Brak jakichkolwiek ozdób, kilka książek stojących na pustych półkach i nic więcej. Cała reszta rzeczy poupychana była w kartony i pudła. Wyglądało to tak, jakby ciotka wprowadziła się tam dopiero kilka dni temu.

Posadziła ich przy plastikowym stole i wyszła do kuchni, żeby odgrzać gotową już zupę. Oni w tym czasie założyli czarne, kevlarowe rękawiczki.

– Kiedy tylko będzie okazja, ulatniamy się stąd. Nie wytrzymam z nią długo w jednym pomieszczeniu – syknęła Robi.

– Dlaczego? Wydaje się być miła – szepnął Net.

– Być może niedługo się przekonasz dlaczego.

Po chwili ciotka wróciła i postawiła na stole wazę. Usiadła na krześle i popatrzyła na trójkę nastolatków.

– Nikola, co tu się dzieje? Co robicie w Warszawie, skąd te ubrania i dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

– Po co tyle pytań? – burknęła agentka, wpatrując się w kawałek marchewki pływającej w rosole.

– Poszłaś w ślady ojca, tak? – zapytała ciotka głosem pełnym wyrzutów.

Robi wlepiła wzrok w łyżkę i siedziała w milczeniu. Kobieta ukryła twarz w dłoniach i pokręciła głową.

– Oczywiście. Jasne. Zupełnie jak rodzice. Przeklęta patriotka! Myślałam, że to się skończy. Było tak spokojnie, a potem Piotrek poznał twoją matkę w liceum. Poszli do tej cholernej szkoły oficerskiej. Obrona narodu, też coś! Potem miesiąc po zamachu w Stanach Zjednoczonych nagle zniknęli! Mówili, że tak się życie potoczyło. Nie było z nimi kontaktu, a potem nagle dowiadujemy się, że i oni, i ty zginęliście w wypadku. Tak kończą ci, którzy poświęcają swoje życie na ratowanie tego bagna. Trudzą się, a i tak nic nie zmieniają. Wojsko od pokoleń źle działa na naszą rodzinę. Pradziadek, dziadek i babcia, mój brat!

– Przestań już – mruknęła poirytowana Robi, bo miała dosyć słuchania słów ciotki.

– Też się w to wkręciłaś. Oni też, tak? – zapytała, patrząc na chłopaków, którzy przyglądali się dyskusji z kamiennymi twarzami. – Anka i Piotr mieli identyczne mundury. To mundury, mam rację?

Robi już otworzyła usta, chcąc szybko próbować zaprzeczyć, ale stwierdziła, że to nie ma sensu. Na początku istnienia PAS-u każda baza miała takie same stroje. Być może kiedyś ciotka widziała swojego brata i stąd wiedziała.

– Po co ryzykować życiem? Dlaczego akurat nasza rodzina? Są setki, a może nawet tysiące żołnierzy. Nie wiem, nie interesuje mnie wojsko, ale skoro jest ich tylu, to niech oni walczą, a naszą rodzinę zostawią w spokoju.

– Ciociu, przestań! – syknęła Robi, uderzając pięścią w stół i patrząc na kobietę z wściekłością. – Nie masz pojęcia, kim byli moi rodzice i kim jesteśmy my. Nie wiesz i masz nie wiedzieć. Nikola Harrier to przeszłość. Jej już nie ma i nigdy nie będzie. Masz zapomnieć o naszym dzisiejszym spotkaniu i nikomu o nim nie mówić – warknęła agentka i wstała od stołu. – Sam fakt, że tu jesteśmy, może mieć katastrofalne skutki.

– Dlaczego cały czas macie rękawiczki? – zapytała ciotka, zerkając na ręce swojej bratanicy.

– Bo przecież nas tutaj nie było – syknęła i zabrała ze stołu trzy talerze.

Poszła do kuchni i dokładnie umyła naczynia tak, by nie zostały jakiegokolwiek ślady po ich obecności.

– Zapomnij o nas. Ja nie żyję. Nikoli Harrier nie ma, jasne? Żegnaj – mruknęła, kiedy wychodzili z mieszkania.

Zbiegli po schodach i wyskoczyli na ulicę. Odruchowo rozejrzeli się dookoła, szukając

potencjalnych wrogów. W pośpiechu pomaszerowali na przystanek autobusowy i wrócili do swojej bazy. Od razu udali się do swojej „sypialni”.

– Czemu ta twoja ciotka jest taka cięta na patriotów? – zaśmiał się Szymon, otwierając jeden z kartonów soku pomidorowego.

– W ogóle mnie bardziej ciekawi, dlaczego nic nie wiemy o tej ciotce. Nie wiemy nawet o Nikoli Harrier – mruknął urażony Net.

Szymon parsknął śmiechem i aż zachłysnął się sokiem. Popatrzył na Neta i przełykając napój, pokręcił głową.

– Mów za siebie, przyjacielu – powiedział rozbawiony. – Ja wiedziałem o wszystkim. Znałem jeszcze Nikolę Harrier.

– I nic mi nie powiedzieliście? – warknął chłopak.

– Kiedy pojawiłeś się w PAS-ie, Nikola była już tylko wspomnieniem. Po tylu latach każdy znał Robi Damon, a Harrier poszła w zapomnienie. Tak wyszło – mruknęła Robi, zabierając Szymkowi sok.

Chwilę później do pokoju wpadł Franek. Był w agencyjnym mundurze lotniczym, a pod pachą trzymał granatowy hełm ze śmigłowca. Wyglądał na szczęśliwego.

– Dyrektor chce nas u siebie! – zawołał. – Namierzyli Alana!

Ucieszeni tą wiadomością agenci od razu pobiegli do gabinetu dowódcy.

– Mamy go, ale dotarcie do niego nie będzie łatwe. To nie będzie tak, jak w waszym przypadku – mruknął dyrektor, patrząc na Gryzonia i Szymka. – Musimy się do nich włamać, przeprowadzić dość skomplikowaną akcję, dotrzeć do Alana, przekonać go, zwiąć i mieć nadzieję, że pójdzie do szefa i odejdzie. Wszystko jasne?

– Tak jest!

– Wyruszacie jutro. Jezioro Hańcza. Środek wschodniego brzegu. Pięćdziesiąt cztery metry w dół.

– Chwila, moment... Przy jeziorze?

– Nie. W nim. Pod wodą. To jedyne wejście, jakie udało nam się wysledzić. Możecie odejść.

Rozdział szesnasty **Jak agent w wodzie**

Net siedział skulony koło Szymona i z przerażeniem wpatrywał się w Robi, która cały czas rozmawiała z Gryzoniem i Jastrzębiem, drugim pilotem. Wirnik terkotał miarowo, a Szymon wypijał właśnie kolejny karton soku pomidorowego.

Lecieli w stronę jeziora, w którym mieli zanurkować na głębokość pięćdziesięciu czterech metrów i odnaleźć tajne wejście do miejsca, w którym przebywał Świder. Robiąc to, musieli poruszać się na tyle blisko zboczy i dna, by nie zostać wychwyconymi przez radar.

– To szaleństwo – szepnął Net, a Szymon zachłysnął się sokiem.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony.

– Ja nie umiem nurkować! I nie chcę!

– Dlatego ty zostajesz w śmigłowcu. Będziesz z nami w stałym kontakcie i jeśli coś nam się stanie, wezwiesz wsparcie lub powiadomisz dyrektora – mruknęła Robi. – Za chwilę dolatujemy na miejsce.

– Zależy nam na czasie, dlatego wyskakujecie prosto do wody. Nie będziemy długo wisieć nad jeziorem, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Jak pewnie zauważyliście, mamy zaklejone logo PAS-u. Jesteśmy tu jako Siły Powietrzne i nie chcemy wzbudzać podejrzeń. Będziecie zdani na siebie – odezwał się drugi pilot, przekrzykując odgłosy wirnika. – Przygotujcie się. Do celu dwie minuty.

Robi podeszła do Szymka i poklepała go po ramieniu. Zaczęli ściągać ubrania, pod którymi mieli piankowe kombinezony. Założyli maski, butle i płetwy i usiedli w drzwiach, kładąc nogi na płozach.

Śmigłowiec wleciał nad wodę. Agenci odliczali sekundy. Lecieli stosunkowo nisko.

– Teraz! – wrzasnął Franek, a Robi i Szymon wyskoczyli.

Wpadli do jeziora i na moment wszystkie mięśnie odmówiły im posłuszeństwa. Był początek jesieni, a woda zimna. Po chwili oboje unieśli kciuki na znak gotowości i ruszyli w stronę stromo schodzącego zbocza.

Trzymali się blisko ziemi, schodząc coraz niżej i niżej. Woda szumiała im w uszach, a oni powoli płynęli przed siebie. Musieli odnaleźć właz ukryty gdzieś na dnie, a to wcale nie było takie proste.

– Jeszcze dziesięć metrów w dół i sto metrów na północ. Potem powinniście być na miejscu – oznajmił Net.

– Yhym – mruknął Szymon, bo nie mógł nic powiedzieć ze względu na ustnik.

W końcu znaleźli się w promieniu dziesięciu metrów od wejścia. Szurali brzuchami po dnie i poruszali się wolniej niż ryby. Wszystko po to, by pozostać niezauważonymi.

Szymon starannie przeszukiwał otoczenie. Szukał czegokolwiek, co odbiegałoby od normalności. Robi robiła to samo, ale nic nie udało im się osiągnąć.

Nagle coś pociągnęło ich w bok. Nie mieli pojęcia, co to było, ale zasysało wodę ze sporą siłą. Po chwili właz otworzył się i wypłynął z niego nurek. Dwójka agentów przywarła

w bezruchu do ziemi w nadziei, że ich nie zauważy.

Przepłynął obok nich obojętnie i zniknął gdzieś w oddali. Agenci szybko wykorzystali sytuację i wpłynęli do środka.

Znaleźli się w ciasnym i ciemnym pomieszczeniu, które było swego rodzaju służą. Uruchomiły się pompy, a wody zaczęło ubywać.

– Musimy stąd wiać – syknął Szymon, kiedy mieli dość powietrza, by wyjąć ustniki.

– Myślisz, że nie wiem? – prychnęła agentka, rozglądając się dookoła.

Szukała jakiegoś wejścia do kanalizacji, sposobu na ucieczkę z tej betonowej pułapki. Niczego nie mogła znaleźć. Szymon też trudził się na darmo.

W pomieszczeniu było gorąco i duszno. Agenci tkwili tam przez dwie godziny i mieli już dosyć wszystkiego. Siedzieli oparci o ścianę i starali się przeżyć. Nie wiedzieli, czemu powietrze było tak rozrzedzone.

– Można by rzec, że mamy problem – mruknął Szymon, dysząc ciężko.

– Spore problemy. Butle puste, a musimy czekać na kolejnego nurka, który będzie stąd wychodził – szepnęła Robi, a Descante przysunął się do niej i objął ją ramieniem.

– Jakoś damy radę – mruknął.

W tym samym momencie drzwi otworzyły się z hukiem i razem ze świeżym powietrzem do środka wpadło czterech uzbrojonych ochroniarzy i jeden elegancko ubrany mężczyzna.

– Zakuć ich! – wrzasnął, a pozostała czwórka rzuciła się na dwójkę nastoletków.

Zakuli ich w kajdanki i zaciągnęli do jakiejś jasnej sali pełnej ekranów i komputerów. Pomieszczenie wyglądało trochę jak baza PAS-u, ale było tu jakoś obco i nieprzyjaźnie.

– Szefie, złapaliśmy dwójkę szpiegów! Nie mam pojęcia, jak się tu dostali – odezwał się tamten w garniturze, kiedy ochroniarze rzucili agentów na kolana.

– Jacyś strasznie młodzi – mruknął ich szef, odwracając się na swoim wygodnym fotelu stojącym przy ogromnym biurku.

– Nie wiem, dlaczego młodzi. Po prostu tu wtargnęli.

Dowódca wstał. Miał kruczoczarne włosy i wąsy. Ubrany był w garnitur i granatowy krawat. Pewnym krokiem podszedł do Robi i spojrzał jej prosto w oczy.

– Muszą być niezli, skoro się tu dostali. Przesłuchajcie ich, a jeśli nie zechcą gadać, zabijcie. Za dużo wiedzą. Tylko po cichu, błagam, nie chcę rozgłosu.

Robi popatrzyła z przerażeniem na Szymona, a on zerknął na nią. Ich sytuacja była beznadziejna. Znów we dwójkę wpakowali się w tarapaty.

– Nie jesteśmy szpiegami! – syknął Szymon.

Chciał powiedzieć, że znają Alana, ale to byłoby zbyt niebezpieczne. Gdyby im nie uwierzyli, mogliby uznać Świdra za szpiega i coś mu zrobić. Nie chcieli go narażać.

– Zabrać ich.

Ochroniarze pociągnęli ich za sobą do jakiegoś pustego korytarza. Trzymali ich mocno i widać było, że nie mają dobrych zamiarów.

Zachowywali się bardzo dziwnie jak na organizację rządową. Byli podejrzani, wyglądało na to, że wcale nie zamierzają wyjaśniać tej sprawy. Chcieli po prostu pozbyć się niewygodnych świadków.

Robi i Szymon popatrzyli na siebie. Oboje myśleli o tym samym. Chcieli wyrwać się spod oka ochrony i odnaleźć Alana. Skinęli głowami i przeszli jeszcze kawałek.

– Stójcie, proszę! – zaszlochał Szymon. – Moja przyjaciółka źle się czuje! – powiedział zrozpaczony, a Robi zatoczyła się niepewnie.

Ochroniarz szarpnął ją za rękę i pociągnął mocniej do przodu. Szymon zatrzymał się i stanął zbuntowany. Popatrzył z nienawiścią na tego, który go trzymał. Robi w tym czasie zakaszłała, po czym upadła na ziemię, udając nieprzytomną.

– Brutale! – warknął Szymon, wyrwał się ochroniarzowi i podbiegł do agentki. – Damy radę? – szepnęła jej do ucha, a ona lekko skinęła głową.

– Słabe to pokolenie. Trochę ponurkują, chwilka spędzona w naszej służbie a już padają jak muchy – mruknął ochroniarz i nachylił się nad Robi.

Odwróciła się na plecy i zaplotła nogi na szyi mężczyzny. Okręciła się na bok, powalając przeciwnika na ziemię. Szymon w tym czasie staranował drugiego z nich i razem z nim poleciał na ziemię. Nie było dużego pola do popisu, gdyż mieli skrepowane ręce. Mimo wszystko po chwili udało im się pokonać dwójkę osiłków. Mężczyźni leżeli nieprzytomni, a agenci uśmiechnęli się do siebie.

Zabrali klucze ochroniarzowi i uwolnili się z kajdanek.

– Szymon, patrz! – syknęła Robi, pokazując na drzwi znajdujące się jakieś cztery metry przed nimi.

Były zakute łańcuchem, a na tabliczce wygrawerowany był napis „serwerownia”. Jeśli gdzieś mieli znaleźć Alana, to właśnie przy komputerach. Jeśli nie, to właśnie przez komputery mogli do niego wysłać informację.

Zbliżyli się do drzwi i przyjrzelili się łańcuchowi. Robi zerknęła w stronę leżących mężczyzn. Podbiegła do jednego z nich i zabrała mu pistolet. Ku jej uciesze, miał on dokrecony tłumik. Wróciła do Szymona i wycelowała w kłódkę. Zaczęła strzelać i robiła to aż do momentu, gdy łańcuch z hukiem opadł na podłogę. Descante otworzył drzwi silnym kopniakiem i we dwójkę wpadli do środka.

Ktoś wrzasnął przeraźliwie na widok agentów i spadł z krzesła. Ubrany był jak zwykły student, na szyi zawieszony miał słuchawki, a kasztanowe włosy wpadały mu do zielonych oczu. Popatrzył na dwójkę nastolatków z niedowierzaniem.

– Co wy tu robicie? Jak mnie tu znaleźliście?

– To nie było łatwe. Ci twoi koledzy strasznie się tajniaczą. I chcieli nas zabić – mruknęła Robi.

– To nie moi koledzy. Wybraliście zły moment.

– Co? Dlaczego? – zapytał Szymon.

– To nie jest baza tej organizacji, w której pracuję. Wysłali mnie tu na zwiad, bo kiedyś byłem agentem. Uznali, że dam sobie radę. I się udało, ale potem chciałem się zwolnić. Nie wypuścili mnie. Za dużo wiedziałem, a to tylko banda łotrów. Zadufani w sobie krewni Delika.

– W takim razie przybywamy z pomocą. Musimy stąd wyjść jak najszybciej! – stwierdziła Robi. – Jest tu inne wyjście, które nie prowadzi do jeziora?

– Jest, ale go nie znam. Nie mam pojęcia, jak tam dotrzeć.

– Trudno. Musimy dostać się do wody. Macie tu jakąś broń?

– Szymon, myśl – mruknął smętnie Świder. – Oni mają. Ja mam tylko kable i komputery.

Robi westchnęła, po czym popatrzyła na kartony pełne różnych części, kabli i płyt. Uśmiechnęła się szeroko i aż zatarła ręce.

– Zaprowadzisz nas do wyjścia. Po drodze raczej nie ma tłumów, prawda? Będziemy szli za tobą, niosąc kartony. Jako członek załogi możesz otwierać wejścia, tak?

– Owszem.

– Więc to nasza jedyna droga ucieczki. Jesteś pewien, że to terroryści?

– Może nie terroryści, ale mają plany zamachu na prezydenta, chcą zniszczyć Pałac Kultury i porwać jakiś okręt w porcie gdańskim. Z pewnością nie są „tymi dobrymi”.

– Przydamy się społeczeństwu, jeśli rozwalimy ich tajną miejscówkę. Zawsze mam trochę materiałów wybuchowych przy sobie – zaśmiał się Szymon.

– Tym gówienkiem całej bazy nie rozwalisz, ale gdyby tak rozbić w puch drzwi od śluzy... Czemu nie. Musielibyśmy działać szybko.

Plan został zatwierdzony. Udało im się prześlizgnąć aż do betonowych drzwi. Alan otworzył właz i weszli do małej śluzy. Robi i Szymon zabrali się za mocowanie ładunków na szczycie drzwi, gdzie woda miała dotrzeć na samym końcu. Świder w tym czasie wpisał kod, a pokrywa zaczęła się otwierać.

Woda wdzieriała się do środka, zalewając agentów. Było jej coraz więcej. W końcu kiedy wypełniła pomieszczenie prawie do końca, wydostali się na zewnątrz, a Szymon ponad taflą strzelił w ładunek. Dnem wstrząsnęła eksplozja, a drzwi zamieniły się w kupę gruzu. Agenci złapali się z całej siły kamieni leżących w pobliżu, bo nie chcieli zostać zassani.

Nie mieli butli, a tlen w płucach nie mógł starczyć im na długo. Robi pomachała ręką na znak, że koniecznie musi płynąć w górę, na powierzchnię.

Z całych sił starali się uciec od włazu, ale prąd był bardzo silny. W końcu udało im się odpłynąć na bok, a stamtąd mogli spokojnie ruszyć ku powierzchni.

– Nigdy więcej! – wysapał Alan, kiedy w końcu zaczerpnął świeżego powietrza.

Nad ich głowami krążyły trzy śmigłowce. Jeden z nich, granatowy, obniżył lot i zawisnął czterdzieści centymetrów nad powierzchnią wody.

– Potrzebujecie podwózki? – zapytał rozbawiony Franek, wychylając się ze swojej kabiny, a Net z uśmiechem wyciągnął do nich rękę.

Robi i Szymek złapali się płozy i wciągnęli na pokład, a Bore pomógł Alanowi wsiąść. Przywitani się, Gryzoń i Świder przybili sobie piątkę.

– Nie odzywajcie się. Ściągnąłem posiłki. Właśnie was szukaliśmy, Siły Powietrzne nam pomogły – stwierdził Net, a Robi wyjrzała na zewnątrz.

Nad jeziorem w zawisie stały jeszcze dwie maszyny. Były większe i zielone, a na kadłubach, podobnie jak „Fregata”, miały biało-czerwone szachownice.

– Trzeba by sprawdzić, czy coś nie zostało w tamtej bazie. To terroryści, nie żadna organizacja rządowa. Szymek i Robi rozwalili im śluzę i woda zalała całą ich kryjówkę. Trzeba się upewnić, że faktycznie całą.

– Już kontaktujemy się z Centrum. Oni coś zaradzą. Tymczasem wracamy do Warszawy. Odpocznijcie.

Śmigłowiec poderwał się do góry i zawrócił na południe. Dwa pozostałe zostały, żeby wypatrywać jakichkolwiek podejrzanych śladów na ziemi i jeziorze. Ci ludzie stanowili zagrożenie dla kraju, więc trzeba było ich przypilnować.

– Dłaczego po mnie przyszliście? – zapytał Alan.

– Bo to, co nas rozdzieliło, to jedno wielkie oszustwo. Delik przejął kontrolę nad południową bazą i skłócił wszystkich, obniżył morale. Zwerbował i wyszkolił nowych agentów, którzy nie są świadomi, komu służą. Dyrektor nie żyje. Właśnie dlatego musimy połączyć „rdzennych” agentów i odbić to, co nasze.

– O cholera – mruknął Alan – więc to było tylko dla picu? Rozwalili wszystko, by przejąć naszą bazę?

– No tak to wygląda.

Wrócili do Warszawy. Ekipa agentów wyruszyła już w stronę Hańczy, żeby sprawdzić teren dawnej bazy. Kiedy przyjaciele dotarli do bazy, od razu udali się do gabinetu dyrektora. Tam czekała na nich miła niespodzianka.

– Marek! – zawołała Robi i podbiegła do agenta, stojącego przy biurku dowódcy.

Wpadli sobie w objęcia. Przystojny blondyn o niebieskich oczach uśmiechnął się do niej pogodnie. Ubrany był w połowy mundur południowego oddziału i wyglądał na zmęczonego. Nie widzieli się prawie rok. Był dla niej jak rodzina. Pomagał jej i Darkowi w trudnych chwilach. Zawsze mogła na niego liczyć.

– Wróciłeś! – szepnęła, wtulając się w niego.

– Jak mógłbym nie wrócić. Kiedy dowiedziałem się, że PAS ma kłopoty, a wy chcecie go ratować, od razu wskoczyłem w pierwszy samolot.

– Miło cię widzieć, stary! – zawołał Franek i przybił Markowi piątkę, a w jego ślady poszedł Świder.

Dyrektor uśmiechnął się i zaklaskał cicho, chcąc zwrócić na siebie uwagę agentów. Kiedy odwrócili się w jego stronę, usiadł wygodnie na swoim fotelu i rozłożył przed sobą akta.

– Im szybciej przeprowadzimy akcję, tym lepiej. Musicie uważać. Jeśli Delik przejął bazę PAS-u, to mógł też urządzić sobie kryjówki na terenie całego miasta.

– Tak jest!

– Potrzebna będzie pomoc policji, antyterrorystów, wojska i pilotów. Trzeba zamknąć przestrzeń powietrzną nad miastem, postawić patrole na ulicach dookoła miasta. Szczególnie zabezpieczyć oba wejścia do bazy. Nikt nie może uciec. Dzisiaj porozmawiam, z kim trzeba. Liczę na wasz spryt. Znacnie teren, my damy wam wsparcie.

– Tak jest!

– Dziś wieczorem wylatujecie. Uzbrowimy was, jak należy. Pamiętajcie, liczymy na was. Losy Polski zależą od was. Musicie powstrzymać Delikowców!

– Tak jest!

Rozdział siedemnasty **Pospolite ruszenie**

Na horyzoncie pojawił się już Sky Tower. Zbliżali się do Wrocławia. Z jednej strony byli szczęśliwi. Nareszcie wracali do siebie, do miasta, w którym mieszkali. Z drugiej strony bali się starcia z „agentami” z ich bazy. Nie mieli pojęcia, do czego tamci są zdolni.

Siedzieli w samolocie transportowym i szykowali się do akcji. Przeglądali sprzęt zapakowany do toreb i upewniali się, czy aby na pewno wszystko jest na swoim miejscu. Robi spokojnie polerowała lunetę swojego karabinu. Predator nie mógł jej zawieść. To miał być jej pierwszy występ w roli Irbisa.

Kiedy samolot wylądował na lotnisku, podbiegło do niego trzech żołnierzy i dwóch antyterrorystów. Agenci zeszli z pokładu i od razu rozejrzeli się niepewnie dookoła.

Stali teraz na wrogiej ziemi, co było dla nich niepojęte. Miasto, z którego pochodzili, w którym szkolili się i wychowywali, było teraz gniazdem ich największego wroga. Mieli nadzieję, że żaden z terrorystów nie obserwował ich przylotu ani nie widział żadnego śladu policji w okolicy. Najważniejsza była konspiracja. Wszystko było tajne, a ich przeciwnik miał się dowiedzieć o akcji dopiero, kiedy dojdzie do starcia.

Tożsamość agentów musiała pozostać w tajemnicy. Z tego powodu, wychodząc na płytę lotniska, naciągnęli na twarze kominiarki, zostawiając tylko niezastłonięte oczy.

– Porucznik Spitfire i major Kafka. Proszę do mnie – mruknął dowódca antyterrorystów.

Robi i szef grupy z Północy podeszli do mężczyzny, który tak samo jak oni nie miał najmniejszej ochoty pokazywać swej twarzy tłumom ludzi obserwujących ich z terminala.

– Lotnisko, dworzec, wszystkie drogi, nawet Odra... Wszystko patrolujemy i zabezpieczamy. Miasto zamknięte.

– Mam nadzieję, że dyskretnie – mruknął major, a drugi z antyterrorystów pokiwał głową.

– Dla ułatwienia w komunikacji: jesteśmy oddział Delta. Delta jeden, Delta dwa... system nazw jest łatwy. Bez nazwisk, bez szczegółów, dla bezpieczeństwa. Sądzę, że wy to akurat świetnie rozumiecie.

– To jasne – mruknęła Robi.

– Macie snajperów – zauważył mężczyzna, zerkając na karabin agentki. – To dobre wieści. Mogą się przydać.

– Mamy jednego snajpera – poprawił go major. – Poza tym możemy udać się w jakieś ustronnejsze miejsce?

– Cały czas mam to w zamiarze, ale trzeba było załatwić podstawowe sprawy.

Ruszyli w stronę terminala. Na ulicy czekały na nich cztery czarne jeepy. Agentom wydało się to mało konspiracyjne, ale nie mieli ochoty protestować. Chcieli jak najszybciej położyć się spać.

Zostali zawiezieni do szkoły oficerskiej, gdzie znajdowało się chwilowe centrum dowodzenia. Tam PAS opisał sytuację na tyle szczegółowo, na ile pozwalały przepisy. Omówiono krótko plan działania i każda z grup miała wyznaczone zadania.

Później udali się do hotelu, w którym mieli nocować. Kiedy tylko położyli się do łóżek, od razu zasnęli. Byli wykończeni. Ostatnie dni, a nawet tygodnie były dla nich okropnie męczące.

Następnego dnia wstali wcześnie rano, ubrali się w czarne mundury PAS-u, zabrali torby ze sprzętem i wyszli. Akcja już trwała. Kiedy spojrzeli w niebo, nie zauważyli nawet najmniejszego śladu po smudze kondensacyjnej. Nigdzie nad nimi nie kręcił się żaden cywilny samolot. Gdzieś tam w górze latały jedynie myśliwce pilnujące przestrzeni nad miastem.

Na ulicy zauważyli policyjny samochód i spacerujący po Mostach Uniwersyteckich patrol straży miejskiej. Wrocław był pilnowany. Agenci żałowali, że nie mogli ostrzec wszystkich cywilów, ale gdyby to zrobili, ostrzegliby też terrorystów.

Autobusem pojechali prosto do szkoły oficerskiej. Drużyna Delta, kilku żołnierzy, policjanci, straż miejska... Zebrały się tam wszystkie znane im służby mundurowe.

– Wszyscy musicie chronić cywilów. Ich bezpieczeństwo to priorytet. Terrorysty mogą posunąć się do różnych kroków, dlatego samoloty nie latają, pociągi nie jeżdżą. Akcja musi nam się udać, inaczej firmy, które cierpią z powodu tej misji, urwą nam głowy! – wytłumaczyła Robi, kiedy przemawiała do wszystkich razem z majorem i Szymonem.

– Plan jest prosty. Wy chronicie cywilów tak, jak umiecie, i w razie czego zatrzymujecie podejrzanych i uzbrojonych ludzi. My w tym czasie szturmujemy naszą własną bazę – dopowiedział Szymon. – Wszystko jest zrozumiałe?

Po sali przeszedł szum. Każdy potakiwał ochoczo, komentowano coś między sobą. Agenci skończyli swoje wystąpienie i wyszli na korytarz. Musieli zaplanować własną akcję.

Nic, co znajdowało się w okolicy wejść do bazy, nie było bezpiecznym punktem. Wszędzie mogli czaić się terrorysty. Najgorszy był dla Robi fakt, że jej dom również był potencjalną siedzibą. Atakując swoją bazę, musieli też przeszukać ten złoty budynek, z zapuszczonym ogrodem, który tyle dla niej znaczył.

– My go sprawdzimy – mruknął Strzał, jeden z agentów z Północy, pokazując na siebie i na swojego młodszego kolegę Jeża.

– Jasne – szepnęła Robi głosem pozbawionym emocji. – Tylko w razie czego postarajcie się nie zapaćkać krwią wszystkich ścian, okej?

– Niech będzie.

Północni odbiegli od nich, by naradzić się ze swoją ekipą. Następnie cały PAS znów zebrał się razem i wszyscy zabrali się za planowanie szturmu na bazę. Musieli znaleźć słabe punkty własnej fortyfikacji, która miała być przecież nie do zdobycia. Wszystko było budowane po to, żeby nikt z wyjątkiem agentów nie mógł się zbliżyć, pozostając niezauważonym. Kamery termowizyjne, alarmy, czujniki i zabezpieczenia. Wszystko to miało chronić agentów przed terrorystami i szpiegami, a teraz sytuacja się odwróciła.

– Dlatego uważam, że siedziby przy bazach innych sił zbrojnych są bezpieczniejsze – mruknął Strzał.

– Dajcie spokój, damy radę. Musimy tylko pomyśleć. Trzeba się jakoś dostać do wejścia i nie dać się wykryć czujnikom temperatury – stwierdził Szymon, wpatrując się w niebieską kropkę na mapie, symbolizującą polowe wejście do ich siedziby.

– Trzeba, trzeba. A ja chyba nawet wiem jak! – zawołała wesoło Robi, podbiegając do swojego przyjaciela i spychając go na bok.

Przyjrzała się dokładnie planowi miasta i uśmiechnęła się szeroko. Postukała palcem w kropkę i popatrzyła na resztę agentów. Zatrzymała wzrok na Marku, Szymku i Necie.

– Kamery termowizyjne widzą wszystko. Tu, tu i tu – stwierdziła, pokazując palcem cały teren dookoła wejścia. – Ale wiecie, gdzie nie widzą nic? Tu! – Uniosła rękę i pomachała nią w powietrzu.

– Łapią tylko to, co na ziemi? To bez sensu! – mruknął Jeż, zakładając ręce na piersi.

– Nie! Widzą też obiekty latające, inaczej byłoby zbyt łatwo. Sęk w tym, że widzą rzeczy znajdujące się do trzech tysięcy metrów nad ziemią i oddalone od murów o metr. Jeśli pojawimy się na dachu i w odpowiednim miejscu zejdziemy na ziemię, to możemy dostać się do środka jako duchy. Nie zauważą nas do momentu, gdy spotkamy się osobiście!

– Genialne – mruknął Szymon, po czym wrzasnął: – Gryzoń!

Pilot podbiegł do nich i uśmiechnął się lekko. Kiwnął głową pytająco na agenta, a on wskazał palcem na Robi.

– Mam nadzieję, że za sterami F-16 nie straciłeś tej ikry, którą miałeś w śmigłowcach – zaśmiała się Robi.

– Szykuje się lot z adrenaliną? Wchodzę! – ucieszył się Gryzoń i zerknął na mapę. – O co właściwie chodzi?

– Trzeba wlecieć na pułap ponad trzech tysięcy metrów, zawisnąć centralnie nad naszą bazą i zejść nisko, nie odbijając ani trochę w bok. Krótko mówiąc, ani drgnij. Tylko w dół. Musisz idealnie trafić w dach – oznajmiła Robi.

– Zaraz, zaraz... W dach wejścia do naszej bazy?! Tego składziku na miotły?!

– Tak jakby – mruknął niepewnie Szymek, spoglądając z niepokojem na swoją przyjaciółkę.

– Was coś boli?! – pisał Franek. – Ustawić się dokładnie nad czymś, co jest prawie takiej samej wielkości co śmigłowiec? Na wysokości trzech kilometrów? Będzie jakieś dziesięć centymetrów rezerwy, do tego wiatr...

– Okej, czyli polecisz – stwierdził Net, poklepując pilota po ramieniu.

– Ja nic takiego nie powiedziałem! Przecież to samobójstwo.

– Nie mamy wyboru. Jesteś jedynym naszym pilotem, który ma szansę to zrobić. Latasz najlepiej, poza tym służyłeś w Siłach Powietrznych! Uda ci się! – Robi za wszelką cenę próbowała zmotywować Gryzonia.

Był ich jedyną szansą. Znał teren i wiedział, kiedy musi zacząć uważać. Był idealny do tego zadania.

– Co będzie, jeśli się nie uda? Jeśli tamci się o nas dowiedzą i otworzą ogień? Śmigłowiec nie jest uzbrojony...

– Jeśli tylko coś się nie uda, weźmiemy ryzyko na siebie i najwyżej wyskoczmy szybciej, niż to przewidziane. Będziemy mieli broń, obronimy się.

– Nie byłbym godzien latać z szachownicą na kadłubie, gdybym odmówił udziału w akcji, od której zależy dobro Polski, czyż nie? Nie byłbym też przyjacielem, gdybym wam nie pomógł. Chrzanić ryzyko. Lecę!

– Wiedziałam, że możemy na ciebie liczyć!

Wiedzieli już, jak dostaną się do bazy. Teraz musieli czekać, aż się ściemni, a miasto opustoszeje. Im mniej ludzi na ulicach, tym lepiej. Musieli do minimum ograniczyć liczbę potencjalnych ofiar.

– Spoko, luz, teoretyczna wersja jest taka, że ochrona jest wzmożona z powodu przybycia ważnej osobistości. W praktyce tą osobistością jesteście wy – zaśmiała się dowódca antyterrorystów, kiedy przed godziną dwudziestą agenci szykowali się do akcji.

– Co jeśli terroryści wyszli z bazy do domów? – zapytał Jeż.
– Dajcie spokój. Przejęli bazę i boją się naszej akcji. Na noc wracają do bazy i pilnują jej jak świętości. To dlatego akcja należy do tych z rodzaju trudnych.
– Robi ma rację. Im zależy na utrzymaniu władzy. Trzymają agentów w bazie jak niewolników, bo boją się puścić ich gdziekolwiek. Mają swoją świeżo wyszkoloną armię i nie wypuszczają jej z rąk. Mają dostęp do naszego magazynu, więc nie licząc wyszkolenia, mają taką samą siłę obalającą, co my. Dlatego musimy się skupić. – oznajmił Szymon, a wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

Po kilkunastu minutach czwórka przyjaciół i czwórka agentów z Północy wybiegła na tyły terenu szkoły, gdzie czekał ich śmigłowiec. Gryzoń razem ze Zjawą, drugim pilotem, już grzał silniki.

Agenci ubrani byli w czarne polowe mundury, kamizelki i hełmy. Na łokciach i kolanach mieli ochraniacze, a na dłoniach rękawiczki. Każdy z nich uzbrojony był w pistolet, karabin szturmowy, a Robi dodatkowo miała ze sobą swoją snajperkę. Do każdego rodzaju broni mieli zapasowe magazynki.

– Czuję się jak na wojnie – mruknął Szymon, kiedy ładował się na pokład „Fregaty”.

Śmigłowiec oderwał się powoli od ziemi. Piloci odwrócili się niepewnie do tyłu, a Robi z lekkim uśmiechem pokiwała głową.

Prawdą było to, że ten śmigłowiec, podobnie jak inne należące do PAS-u, był eksploatowany do granic możliwości. Agenci mieli to do siebie, że latali wszędzie, zawsze i na każdy możliwy sposób. Mimo przeglądów, modernizacji i napraw maszyny były czasami mocno „zmęczone życiem”.

Silniki śmigłowca zawyły z wyrzutem, kiedy Franek wyciągał z nich pełną moc. Wyrwali do góry i odlecieli w stronę bazy PAS-u. Mimo protestów helikoptera wlecieli na pułap trzech tysięcy pięciuset metrów i znaleźli się nad polami.

Wszyscy w napięciu czekali, aż czerwona kropka na lokalizatorze pokryje się z mikroskopijnym prostokątem na zdjęciu satelitarnym. Budynek był tak mały, że jego krótsza ściana mierzyła o półtora metra mniej niż średnica śmigieł, a dłuższa ściana była krótsza o prawie dwa metry niż długość maszyny. Potrzeba było ogromnego skupienia i precyzji w ruchach pilotów.

– Panowie, cel pod nami – zawołała Robi. – Ustawiamy się!

Gryzoń uniósł kciuk do góry. Zaczęli powoli obracać maszyną, przesuwając się w tę i z powrotem. Silniki protestowały uparcie, warcząc i wyjąc.

Po niebie przemknęła para myśliwców, a Franek zerknął na nie z tęsknotą. Potem jednak uśmiechnął się i na moment spojrzął w tył. Kiedy zobaczył agentów, którzy ufali mu bezgranicznie i byli jego przyjaciółmi, westchnął. Cieszył się, że już niedługo będzie mógł wrócić na lotnisko, nie opuszczając jednocześnie PAS-u.

Na horyzoncie policyjne śmigłowce krążyły nad miastem. To było coś niesamowitego. Wszystkie służby mundurowe zaangażowały się w akcję, niektóre bardziej, niektóre mniej. To było jak pospolite ruszenie.

– Weszło! – zawołała wesoło Robi. – Nie będzie nas na radarze. Schodzimy!

– Tak jest! – odezwał się Gryzoń i mocniej chwycił ster.

Szymon uśmiechnął się i złapał za krótkofalówkę.

– Do wszystkich jednostek: „Fregata 9” na pozycji. PAS wkracza do akcji. Zamykamy miasto na całego!

Rozdział osiemnasty **Przygarnijcie rekruta**

Śmigłowiec powoli obniżał lot. Opadał pionowo wprost na dach bunkra, w którym znajdowało się wejście do bazy PAS-u. Wiał silny boczny wiatr, więc dwójka pilotów musiała dzielnie walczyć ze sterami, żeby nie wejść w zasięg kamer termowizyjnych.

Agenci w napięciu czekali, aż będą mogli stanąć na dachu, a potem z impetem wkroczyć na teren wroga. Wszyscy ściskali swoją broń w pełnej gotowości do jej użycia.

Nagle silniki zawarczały rozpaczliwie, a maszyna zatrzęsała się lekko. Franek nerwowo zastukał w kilka wskaźników, omówił coś ze Zjawą i odwrócił się do tyłu.

– Desant musi być trochę przyspieszony – oznajmił. – Silniki mogą nam nie wytrzymać.

– Co?! – pisnął zbity z tropu Jeż i aż upuścił swoje gogle.

– Te maszyny latają u nas już dziesięć lat, a kupowaliśmy używane! Czego ty się spodziewasz, wiesz, jak latamy. Wszędzie, zawsze i na każdy możliwy sposób. Chyba wolicie mieć dłuższą linę do zjazdu niż kupę żarzącego się złomu na trawie? Stanie w zawisie obciąża silniki – mruknął Zjawa.

Robi wyjrzała ze śmigłowca i zastanowiła się przez chwilę. Odwróciła się do tyłu, do skrzyni, w której schowane były liny. Wyciągnęła jedną z nich i uśmiechnęła się do reszty agentów.

– Mam nadzieję, że wodna Północ nie spietra. Osiemdziesiąt metrów na szybkiej linie. Bez przyrządów, bo ich nie mamy w tej chwili.

– Przecież to się robi na krótszej linie – zaprotestował Strzała.

– I na grubszej! – dodał Jeż.

– Czyli spietracie. Weźcie się w garść, nie mamy wyjścia. Albo zjeżdżamy, albo możemy się rozbić, albo rozbije się Gryzoń ze Zjawą, kiedy będą wciągać śmigłowiec na te nieszczęsne trzy tysiące metrów – warknął Szymon.

– Dobra, zjeżdżamy.

– I to się chwali. Gryzoń, stój – zaśmiała się Robi, a Franek pokiwał głową.

Śmigłowiec zawisł w powietrzu lekko kiwany wiatrem. Szymon i Net podeszli do drzwi i przygotowali linę. Robi nasunęła gogle na oczy i uśmiechnęła się do reszty.

– Mam zjeżdżać czy północne panienki idą przodem?

Agenci popatrzyli po sobie niepewnie, a rozbawiona Robi przewróciła oczami. Podeszła do drzwi i złapała za linę.

– Nie wiecie, co tracie. Lecicie następni – zawołała i wskoczyła na linę.

Trzymając się jej mocno, zjechała szybko na dół. Tuż przed lądowaniem złapała się z całej siły, chcąc przyhamować, i rozgrzała sobie rękawiczki do czerwoności. Stała na dachu i zamachała rękami, żeby je ochłodzić.

Zaraz później na linie pojawiła się dwójka kolejnych agentów. W końcu wszyscy stanęli obok niej. Szymon położył się na dachu i rozejrzał się w poszukiwaniu kamer.

Wstał, strzepnął kurz z rąk, stanął, podpierając się pod boki. Uśmiechnął się do agentów

i westchnął.

– Droga do drzwi bez przeszkód. Nie mam pojęcia, jak to możliwe. Zajmiemy się tym po odbiciu bazy.

– Wkraczamy! – syknęła Robi i zeskoczyła na ziemię.

Kiedy wszyscy stanęli obok niej, złapała za krótkofalówkę.

– Świder, jak tam? Praca wre? – zapytała szeptem.

– Nie wre. Wszystko już skończone. Zabezpieczenia wyłączone, możecie wchodzić! – oznajmił z dumą Alan.

Szymon pchnął z całej siły ciężkie, metalowe drzwi, a one otworzyły się z cichym skrzygnięciem. Cisza. Alarmy nie zostały uruchomione, a kontrolki na kamerach migotały miarowo, co znaczyło, że zostały zapętlone.

Nad głowami usłyszeli warczenie wirnika „Fregaty 9”, która, prowadzona przez Gryzonia, pracowała na pełnej mocy, żeby wlecieć znów na pułap trzech tysięcy metrów.

Agenci weszli do środka i przechodzili kolejno przez wszystkie zabezpieczenia. Alan odwalił kawał dobrej roboty. Nie napotkali żadnych przeszkód.

– Jak ja się stęskniłem za tymi murami, korytarzami... Tyle czasu minęło – szepnął Szymon, rozglądając się dookoła.

– Skup się, Fisher – mruknęła Robi, unosząc karabin i celując w kolejne przejście.

W końcu znaleźli się w ostatnim pomieszczeniu. Jeź pchnął drzwi i nagle coś stuknęło. Wszyscy rozejrzeli się w popłochu. Byli zamknięci w ciasnym przedsionku, za którym znajdowała się główna sala agencji.

Z wąskiego szybu wentylacyjnego zaczął wydobywać się szaro-niebieski dym.

– Jasna cholera! Wprowadzili nowe zabezpieczenia! Nie mam pojęcia, jak to obejść, musiałbym pomyśleć! – rozbrzmiał w słuchawkach przerażony krzyk Alana.

– Wstrzymajcie oddech – syknęła Robi. – Co by się nie działo, nie oddychajcie!

– Za drzwiami macie łącznie trzydziestu terrorystów i dwudziestu wyszkolonych przez nich agentów. Powodzenia!

– Dzięki, Świder – mruknął Szymon i nabrał powietrza.

Robi popatrzyła na agentów, poklepała karabin i wskazała na drzwi. Wszyscy skinęli głowami i unieśli broń. Zaczęli strzelać w grubą blachę, chcąc za wszelką cenę wydostać się z pułapki.

Każdy zużył cały magazynek, ale w końcu udało się wyważyć drzwi i całą grupą wypadli do sali głównej, gdzie nareszcie mogli zaczerpnąć świeżego powietrza.

Nie było tam nikogo. Pomieszczenie było puste i wyglądało prawie tak, jak dawniej. Prawie, bo na tablicy z listą wrogów numer jeden, zamiast nazwisk i zdjęć terrorystów, wisały zdjęcia agentów i niektóre ich ksywki. Na pierwszym miejscu była oczywiście Robi Damon, a za nią czwórka jej przyjaciół i Marek.

Po okrągłym stole walały się papiery, zużyte magazynki i butelki po piwach. Wszędzie panował bałagan, niektóre ekrany były popękane, a kable poprzerywane.

– Co za ruina – szepnął Marek.

– To może być zasadzka. Schowajcie się, poczekamy na nich, rozeznamy się w sytuacji – mruknął Szymon.

Ukryli się za biurkami, za stołem i przygotowali do walki. Zmienili magazynki, nasunęli kominiarki, gogle ochronne i czekali.

Po chwili usłyszeli ciche kroki. Ktoś tam był i nasłuchiwał. Robi położyła się na podłodze

i ostrożnie wyjrzała z ukrycia. Strzała zrobił to samo.

Delikwient stał nieruchomo z karabinem PAS-u i rozglądał się uważnie. Jego broń miała spory kaliber, to jedna z tych, która miała ogromną siłę obalającą, większą niż Predator Robi. Woleli nie ryzykować.

Terrorysta drgnął nagle nerwowo i wycelował prosto w Strzałę. Najwidoczniej zauważył ruch, kiedy agent zmieniał pozycję. Strzelił.

Strzała odskoczył w ostatniej chwili, a pocisk wybił dziurę w betonowej podłodze. Nie było sensu dłużej czekać. Szymon wychylił się z kryjówki i strzelił do terrorysty. Trafił go prosto w klatkę piersiową, powalając bez tchu na ziemię.

– Kiedy oni się nauczą, że kamizelki ratują życie – zachichotał, chowając się ponownie.

Niestety terrorysta nie był jedyny. Za nim pojawili się następni i otworzyli ogień. Kule latały wszędzie, a agenci bronili się wytrwale. Robi wskoczyła za jedno z biurka i zaczęła przeszukiwać wszystkie kieszenie. Nie mogła uwierzyć w to, że w taki dzień nigdzie nie miała gazu usypiającego.

Nagle wszystko ucichło. Dwudziestu terrorystów poległo. Wynik strzelaniny był pozytywny, ale problem stanowili ci, którzy nadal gdzieś się ukrywali.

Agenci ostrożnie wyszli z ukrycia i rozdzielili się na trójki. Każda z nich udała się do osobnego korytarza. Robi była razem ze Strzałą i Netem. Szła na szpicy, bo najlepiej знаła teren. Karabiny mieli uniesione w pełnej gotowości. Strzała, idący na końcu, krył tyły.

Kolejno sprawdzali pomieszczenia, ale nikogo nie mogli znaleźć. Było pusto i cicho. W salach brakowało krzeseł, stoły były ubrudzone różnymi napojami.

Znienacka za nimi pojawił się terrorysta. Wyglądał na pijanego, bo strzelał wszędzie naokoło, ale nie mógł trafić w agentów. Zataczał się. Strzała i Net powalili go jednocześnie.

Robi w tym czasie przeszukała pomieszczenie i znalazła dokumenty dotyczące nowych rekrutów i dawnych agentów. Wynikało z nich, że wielu „rdzennych” agentów zostało zamordowanych tam, gdzie ich wysłano. To nie była dobra wiadomość.

– Słuchajcie, chyba ktoś nieźle ograniczył naszą kadrę. Połowa agentów ma pieczętkę „zlikwidowany” na kartotece.

– Nieciekawie – mruknął Net, rozglądając się niepewnie.

– Chodźmy dalej – powiedział Strzała i przeszedł obok dwójki przyjaciół.

W sąsiednich korytarzach słychać było odgłosy wystrzałów. To było jak bratobójcza walka. Nowi rekruci strzelali do agentów, bo tak ich wyszkolili terroryści. Atakowani nie zabijali nowicjuszy, bo ci byli przekonani, że bronią ojczyzny. Nie mieli pojęcia, że służą terrorystom, a przynajmniej tak zakładała Północ i szóstka Południowców.

Kiedy Robi z dwójką towarzyszy przechodziła obok jednego z pokojów, usłyszała stukanie, jakieś pomruki i szepty. Machnęła ręką, przywołując resztę do siebie. Razem nasłuchiwali w milczeniu i wtedy ktoś niewyraźnie krzyknął: „Nie!”.

– Wchodzimy! – syknęła Robi, a Net kopniakiem wyważył drzwi.

Wskoczyli do sali z karabinami w górze. To, co zobaczyli, wprawiło ich w osłupienie. Na podłodze siedzieli młodzi mężczyźni w mundurach PAS-u. Byli związani i zakneblowani, a zamaskowany terrorysta stał nad nimi z karabinem maszynowym. Rekruci wyglądali na śmiertelnie przerażonych.

Kiedy tylko terrorysta ich zobaczył, zaczął wymachiwać bronią i wykrzykiwać pojedyncze słowa, które były zupełnie niezrozumiałe.

– Rzuć broń! – wrzasnęła Robi, trzymając go na muszce. – Rzuć broń! Ręce do góry!

– Zabiję ich! – krzyknął Delikowiec i złapał jednego z chłopaków.
Zmusił go do wstania i zasłonił się nim. Przyłożył mu broń do skroni i uśmiechnął się złowrogo.

– Puść go! – ryknął Strzała, ale tamten nawet nie zareagował.
– No strzelajcie, śmiało! Nie mnie zabijecie, a rekruta.

Robi zmrużyła oczy i zawiesiła broń na ramieniu. Złapała za swoją snajperkę i wycelowała prosto w prawe oko terrorysty. Przełączyła na laserowy dalmierz i błysnęła laserem.

– Niekoniecznie ucierpi chłopak – syknęła. – Puść go! I rzuć broń!

Mężczyzna nie zareagował. Był pewien, że agentka nie strzeli. Pomylił się. Robi przesunęła odrobinę cel na lewo i pociągnęła za spust. Trafiła przeciwnika w ucho, a on zawył wściekle. Pchnął chłopaka na ścianę i strzelił mu w kolano. Rekrut syknął i runął na podłogę, trzymając się za nogę.

Strzała i Net równocześnie strzelili do napastnika, kiedy ten wycelował w ich trójkę. Nie miał szans na przeżycie.

Robi podbiegła do chłopaka i zerknęła na ranę.

– Nawet nie trafił w kość. To tylko głębsze draśnięcie. Przeżyjesz. Jak się nazywasz?

– Michał... Michał Ricker. Dawniej młodszy aspirant, pracowałem tu, we Wrocławiu – wymamrotał. – Proszę, nie zabijajcie nas.

– My jesteśmy agentami. Nie mordujemy nikogo, kto nie chce zabić nas – mruknęła i popatrzyła na resztę. – Wszyscy są tutaj?

– Tak. Zamknęli nas tu jakiś czas temu.

– Jesteś pewien? Nie ma innych rekrutów nigdzie indziej?

– Na sto procent.

– Czy któryś z nich jest terrorystą? – zapytała szeptem, trzymając broń przy boku chłopaka. – To prawdziwi rekruci?

– Tak, rekruci. To moi koledzy ze szkolenia. Ręczę za nich.

– Robi! Wszystko się zgadza. Dwudziestu – mruknął Net.

– Cholera – szepnęła Robi i złapała za krótkofalówkę. – Robi do wszystkich agentów! Mamy rekrutów, wszystko się zgadza. Ktokolwiek podaje się za rekruta, nie jest nim!

Zaszumiało i nagle odezwał się major Kafka.

– W takim razie jeden ucieka! – warknął.

– Lecę za nim! – krzyknął Jeż.

Robi popatrzyła na Strzałę i Neta. Praktycznie skończyli już swoją część. Zostały dwa pomieszczenia. Szybko dokończyli je przeszukiwać, okazały się puste.

– Wybiegł z bazy. To na bank terrorysta! – odezwał się Jeż.

– Zaraz go dorwę – syknęła Robi i wepchnęła w rękę Neta swój karabin szturmowy.

Ruszyła biegiem w stronę wyjścia. Minęła ciała terrorystów zabitych w głównej sali, przemierzyła rozwalone wejście i resztę zabezpieczeń. Wybiegła na zewnątrz i prawie zderzyła się z Jeżem.

Kiedy ją zobaczył, pokazał jej mały punkt oddalający się od nich i znikający wśród traw. Robi złapała za swój karabin i przyłożyła prawe oko do lunety. Widziała go. Był uzbrojony i biegł w stronę miasta. Stanowił zagrożenie dla mieszkańców okolicznych domów.

– Jesteś pewien, że to Delikowiec? – zapytała, trzymając mężczyznę na muszce.

– Jak tego, że tu stoję.

Westchnęła i pociągnęła za spust. Kiedy kula trafiła terrorystę w plecy, usłyszeli ogłuszający huk. Ciemność nocy rozświetlił ogień potężnej eksplozji, która wstrząsnęła okolicą. Robi i Jeż stanęli zbici z tropu i patrzyli z przerażeniem, jak kłęby czarnego dymu unoszą się.

– O, cholera... Co wy macie w tych magazynkach?! – pisnął agent, zerkając niepewnie na Robi.

– Nic specjalnego. Zwykłą amunicję – mruknęła zszokowana agentka.

– Co tu się dzieje?! – krzyknął Szymon, wybiegając z bazy, a kiedy zobaczył Robi, rzucił się jej na szyję. – Żyjesz! Całe szczęście. Tak się cieszę!

– Też nie powiem, żebym się martwiła. Co ci się na czułości zebrało? – zapytała.

– Tak jakoś. – Chłopak speszył się, – Myślałem, że wylecieliście w powietrze. Co się właściwie stało?

– Terrorysta nam się trochę rozerwał – zarechotał Jeż.

Pośmiali się chwilę i wrócili do środka. W głównej sali zebrali się wszyscy agenci i dwudziestka rekrutów. Stali w milczeniu. Północni mieli młodych na muszce ze względów bezpieczeństwa, a Marek z Netem dyskutowali w kącie.

– Nie jesteśmy terrorystami. Zwerbowano nas po tym, jak wywalono piątkę zdrajców – mruknął czarnowłosy młody rekrut.

– Tą piątką jesteśmy my i nie zdradziliśmy – syknęła Robi, wskazując na siebie i swoich przyjaciół.

– Przepraszam, nie wiedziałem. Nie mieliśmy pojęcia, w co się pchamy. Mówili nam, że będziemy służyć ojczyźnie, walczyć z tymi złymi. Gdy zaczęli coś kombinować, zbuntowaliśmy się i nas przymknęli. Uratowaliście nas.

– Chcemy nadal służyć... Już jako prawdziwi agenci... Bardzo nam zależy – odezwał się nieśmiało inny.

– Porozmawiamy z dyrektorem – mruknął Szymon.

Rekruci uśmiechnęli się szeroko. Wszyscy.

Rozdział dziewiętnasty **Tajemniczy komandos**

Baza PAS-u znów była w dobrych rękach. Udało się ją odbić. Misja się powiodła. Wszystko wydawało się idealne.

– Robi, jest problem – szepnął major Kafka. – Przeliczyliśmy tych aresztowanych i tych zabitych. Brakuje nam trzech...

– Zwiali?

– Na to wygląda. Nie mamy pojęcia, gdzie mogą być.

– Tego „rozerwanego” policzyłeś?

– Tak.

– Niech to szlag!

Nagle usłyszeli cichy warkot wirnika. Gdzieś nad bazą krążył śmigłowiec. Zaniepokojeni tym faktem agenci wybiegli na zewnątrz.

Przed bazą stał duży policyjny helikopter. Gdy tylko pojawili się przed budynkiem, podbiegło do nich dwóch policjantów. Nie wyglądali na zadowolonych. Popatrzyli uważnie na Strzałę, Szymona, Robi i Kafkę.

– Dobrze, że jesteście. Zostawcie wartę tutaj, a wasza czwórka leci z nami – odezwał się jeden z funkcjonariuszy.

– Co się dzieje?

– Chyba zgubiliście trójkę terrorystów. Zajęli centrum handlowe i grożą, że je wysadzą. Antyterrorysty ewakuują cywilów, ale muszą obstawić wejścia, żeby nikt się nie wymknął, a reszta jest w mieście. Stwierdziliśmy, że nikt nie zna ich tak dobrze jak wy. Wasz dyrektor mówił, że nie są przeciętni.

– Zajmiemy się nimi.

Wskoczyli do śmigłowca i polecieli. Ulice miasta były puste, a jedna z nich aż lśniła od czerwono-niebieskich świateł wozów policyjnych. Wskoczyli na chodnik i stanęli przed wejściem do centrum.

Sprawdzili uzbrojenie, popatrzyli na siebie nawzajem i uśmiechnęli się lekko. Brali udział w prawdopodobnie ostatniej misji z serii „Delik vs PAS”. Była ich czwórka, a terrorystów tylko trójka. Niepokoił ich jedynie fakt, że otaczały ich tłumy gapiów. Akcja PAS-u po raz pierwszy została wystawiona na oczy cywilów. Odetchnęli z ulgą, gdy uświadomili sobie, że cały czas mają na sobie kominiarki. Nie ściągnęli ich od początku akcji w bazie.

– Gapią się na nas – syknął Szymon, kiedy podchodzili do drzwi obrotowych.

– Skup się na zadaniu, a nie na publiczności – warknęła Robi.

– Wejdziemy tam, wystrzelamy ich – zaśmiał się Szymon.

– Wiesz, że takie zabijaki jak ty obrywają w pierwszej kolejności? Ja bym uważał – mruknął Strzałę, a Robi i Kafka uśmiechnęli się do niego.

Weszli ostrożnie do środka. Korytarze były opustoszałe, sklepy tak samo. Wszędzie leżało pełno papierowych kubków po napojach, worków foliowych i innych rzeczy, które ludzie

porzucili w panice. W głuchej ciszy słyhać było tylko oddechy agentów i szum wentylatorów.

– Wiemy w ogóle, gdzie oni są? – zapytał Strzała, rozglądając się dookoła.

– Podobno zabarykadowali się w okolicy półek z nabiałem. W supermarkecie – mruknął Kafka.

– Idziemy tam i zero gadania – syknęła Robi. – Nie mogą nas usłyszeć. Jeśli pozostaniemy niezauważeni, złapanie ich będzie pestką.

Przeskoczyli nad barierkami i znaleźli się na terenie sklepu. Towary z półek były porzucane, a na środku głównej alei leżało ciało zabitego cywila. Robi pokręciła głową z rozżaleniem. Terrorysty to bandyci, którzy byli w stanie zrobić wszystko.

Agenci bezszelestnie przemykali między półkami, wypatrując przeciwnika. Co chwilę musieli przeskakiwać nad rozbitymi słoikami dżemów i kałużami rozlanych napojów.

Rozdzielili się. Chcieli okrążyć terrorystów i uspić ich gazem, który major Kafka zabrał z bazy. Zaszli ich ze wszystkich stron i ustawili się na dogodnych pozycjach.

Robi wyjrzała zza regału i zobaczyła trzech mężczyzn i skrzynkę stojącą obok nich. Była pewna, że to bomba, o której mówili antyterrorysty. Nie wiedzieli, czego żądają, ale nie to było ich zadaniem. Mieli tylko dorwać drani i unieszkodliwić ich.

– Na pozycji – zameldowali wszyscy prawie niesłyszalnym szeptem.

Sięgnęli do kieszeni po gaz i wychylili się lekko z ukrycia.

– Trzy... dwa... jeden! – odliczał Szymon, a kiedy skończył, cała czwórka na raz rzuciła kulki gazowe w stronę przeciwnika.

Terrorysty wzięli to za zasłonę dymną, więc poderwali się, złapali za broń i zaczęli wypatrywać agentów. Nic nie udało im się zrobić, gdyż już po chwili padli na ziemię nieprzytomni.

– Nie mogę przeżyć tego, że nigdy nie udaje nam się z nimi dłużej powalczyć – mruknął zawiedziony Szymon. – Nie wystrzeliliśmy ani razu. Odbicie centrum handlowego w filmach wygląda inaczej.

– Świat nie polega tylko na strzelaniu. Im mniej trupów, tym lepiej, czyż nie? – zapytała Robi, podchodząc do leżących przeciwników i odbierając im całe uzbrojenie.

– Strzała, skuj ich. Nie chcemy, żeby coś nabroili, gdy już się obudzą – powiedział Kafka, machnął ręką na agenta i podszedł do skrzynki. – Słuchajcie, może to atrapa, ale przydałby się nam saper.

– Skoczę po niego. Z tego, co mi się wydaje, wynika, że policja miała jakiegoś – mruknęła Robi i ruszyła do wyjścia. – Fisher! Łap! Nie chce mi się tego tachać – zawołała do Szymka, rzucając mu karabin.

– Może lepiej weź?

– Nie chce mi się. Mam jeszcze Predatora.

– Okej.

Robi zarzuciła karabin na ramię i ruszyła w stronę wyjścia z marketu. Złapała za krótkofalówkę.

– Net, weź specja od bomb i chodźcie – mruknęła.

– Tak jest! Już lecimy. Bez odbioru.

Przeszła obok sklepu z butami, potem minęła kawiarnię. Nagle z kolejnego butiku wypadł mężczyzna. Rzucił się na Robi i złapał ją za szyję. Pociągnął do tyłu, prawie ją przewracając. Trzymał ją blisko siebie tak, że nie mogła dosięgnąć karabinu.

– Nareszcie cię mam! – syknął jej do ucha, ściskając jej szyję ramieniem. – Ani Zuo, ani

moi ludzie cię nie dopadli, ale JA! Ja cię mam.

Rozpoznała go po głosie. To był sam Krystian Bore. Nie miała pojęcia, jak dostał się do strzeżonego centrum. Wyglądał na wściekłego i w tych okolicznościach stanowił ogromne zagrożenie.

Spróbowała się wyrwać, ale nie wyszło. Trzymał ją tak mocno, że coraz mniej krwi dopływało jej do mózgu. Kręciło jej się w głowie, a pole widzenia się zawężało.

– Odebrałaś mi wszystko! Agenci, zwłaszcza ty i twoja przekłeta ekipa, wybili mi ludzi! Teraz, z waszego polecenia, zabili moją żonę, która była na liście poszukiwanych!

– Była takim samym terrorystą jak ty! – syknęła Robi, dławiąc się lekko.

– Nie waż się mówić o niej złego słowa! Syna też mi zabrałaś! Zdradził mnie przez ciebie!

– Net to nie twój syn! Zabiłeś jego rodzinę... – syknęła i z trudem złapała powietrze. – Wcale cię nie zdradził, to ty go chciałeś zabić. Gdyby nie to, prawdopodobnie nigdy nie skończyłby w PAS-ie...

– Łzesz! – wrzasnął Bore i potrząsnął agentką, prawie znów ją przewracając. – Zginiesz marnie. Dołączysz do swoich rodziców. – Przyłożył jej pistolet do skroni.

– Puszczaj mnie! – syknęła agentka, wyrywając się z całych sił. – Puszczaj.

– Robi?! – zawołał ktoś zza rogu. – Co się dzieje?

Głos brzmiał znajomo. Po chwili na korytarzu pojawił się Net. Wypadł pędem zza ściany razem z saperem z oddziału antyterrorystów. Kiedy zobaczył Robi i Krystiana, zatrzymał się nagle. Odruchowo wyciągnął broń i wycelował, ale zamarł w bezruchu. Kiedy Krystian zobaczył chłopaka, aż opuścił broń z zaskoczenia.

– Net, schowaj broń. Nie możesz do mnie strzelić. Byliśmy rodziną, pamiętasz? – powiedział Bore przymilnym głosem i uśmiechnął się do chłopaka. – Byłem dla ciebie ojcem, kochanym ojcem przez tyle lat... Miałeś wszystko, o czym marzyłeś. A ona? Znasz ją tak krótko. Wciąż krzyczy na ciebie razem ze swoimi koleżkami. W zespole jesteś najgorszy, a oni ciągle czegoś od ciebie chcą. Po co być najślabszym ogniwem, skoro możesz wrócić do mnie? Odłóż broń, a będzie tak jak dawniej...

– Miałem laptopy, telefony... Myślisz, że to wszystko? Nigdy nie miałem tego, co najważniejsze. Wiecznie nie mieliście dla mnie czasu. Dopiero wśród agentów poczułem się jak w domu, jak z prawdziwą rodziną! Wypuść ją! – warknął Net, nie opuszczając pistoletu.

Saper patrzył na nich niepewnie. Nie miał broni, nie miał jak pomóc. Żałował, że nie zabrali żadnego z jego kolegów. Z tego, co widział, wynikało, że Net wahał się i była szansa, że zrezygnuje. Nie miał pojęcia, jak wyglądają akcje agentów i jakie mają procedury.

– Net, rzuć broń, inaczej ona zginie!

Chłopak popatrzył z przerażeniem na siną już Robi. Uścisk Krystiana był naprawdę mocny. Agentka popatrzyła na Neta. Nie miała pojęcia, co zamierza jej przyjaciel. To była dla niego trudna sytuacja. Musiał strzelić do kogoś, kogo przez całe życie traktował jak ojca, albo pozwolić, by jego przyjaciółka zginęła.

– No to skoro już ustaliliśmy, że Net jest zbyt tchórzliwy, by do mnie strzelić – odbezpieczył broń i znów przyłożył ją agentce do skroni – kończmy. – Położył palec na spuście.

Padł strzał, a Robi upadła na ziemię. Obok niej wylądował Krystian. Odchrząknęła i złapała się za gardło. Nareszcie mogła oddychać. Zerknęła w prawo i ujrzała martwego terrorystę.

– Robi! – pisnął Net, podbiegając do przyjaciółki.
Pomógł jej wstać i wpadli sobie w objęcia.
– Net! Już myślałam, że... Udało ci się! Strzeliłeś! Dziękuję.
– Nie mogłoby być inaczej.
– Nie chcę przeszkadzać w tej jakże uroczej scenie, ale... Czy ta bomba nie ma tak jakby zapalnika czasowego, albo coś? Bo trochę nam się spieszyło – mruknął znudzony saper.
– Racja! – pisnęła Robi. – Za mną!
Ruszyli biegiem w stronę marketu i jak najszybciej udali się do miejsca, gdzie czekali już na nich Kafka, Szymon i Strzała.
Saper podszedł ostrożnie do skrzynki i otworzył wieko. Przyjrzał się dokładnie wszystkim kablom, ładunkowi i zegarowi. Zarechotał pod nosem i popatrzył rozbawiony na agentów.
– Ładunek jest prawdziwy, ale kabelki wetknięto dla picu. Bomba nie wybuchłaby po zakończeniu odliczania. To miało was nastraszyć. Prawda jest taka, że w razie konieczności musieliby strzelić w materiał wybuchowy. Prawdopodobnie nie planowali tego.
– Nic nam nie grozi?
– Nie. Dla pewności wyciągnąłem z niej wszystko, co mogłoby ją zdetonować.
– Okej. Wracamy. Słowo daję, nie wejść do sklepu przez następny rok – zaśmiała się Robi, a Net zachichotał cicho.
Wyszli w szóstkę na zewnątrz. Czekala na nich reszta agentów, oddział antyterrorystów i kilku żołnierzy. Przywitali agentów uśmiechami i wiwatami. Byli też dziennikarze, blask fleszy i pytania.
– Dlaczego nikt o was nie słyszał? – zapytał jeden z dziennikarzy, kiedy Robi wrzucała karabin do samochodu.
– Nie odpowiadamy na żadne pytania – mruknęła i wróciła do swoich przyjaciół.
Nadal nosili swoje kominiarki i nie mieli najmniejszej ochoty ściągać ich na oczach mediów i cywilów.
W tym momencie pojawił się nad nimi śmigłowiec. Granatowy, z lotniczą szachownicą na kadłubie i znakiem PAS-u obok niej. Z pokładu pomachali do nich Gryzoń i Zjawa. Zawisnęli nad głowami agentów i zrzucili linę. To był jakże przyjemny sposób na ewakuację z pułapki nadmiernie zainteresowanych ludzi.
Robi i reszta podziękowali saperowi i podbiegli do liny, po której wspięli się na pokład, i odlecieli.
– Żyjecie! – ucieszyła się agentka, uśmiechając się do obu pilotów. – Był moment, kiedy baliśmy się, że rozbiliście się gdzieś, ale nikt nie meldował o wypadku, więc...
– Lądowaliśmy awaryjnie w szkole oficerskiej. Okazało się, że silniki się przegrzały. Mechanik z Północy szybko obskoczył maszynę i jako tako uzdatnił ją do paru kolejnych lotów. Tak więc przybywamy – zaśmiał się Franek.
– Ale z naszego typowego latania nici. Teraz to zwykły śmigłowiec, który jakoś daje radę w podróży z punktu A do punktu B – mruknął smutno Zjawa, a Robi poklepała ich obu po ramieniu.
– „Fregata 9” zasługuje chyba na emeryturę.
Pomknęli prosto w stronę południowej bazy PAS-u. Z lotu ptaka Robi zauważyła wielki krater w ziemi, jaki zostawiła po sobie tajemnicza eksplozja terrorysty trafionego przez nią z karabinu. Kawałek dalej ich oczom ukazał się mały, betonowy budynek, przed którym stało dwóch wartowników. Musieli pilnować wejścia do niezabezpieczonej chwilowo bazy.

Kiedy śmigłowiec wylądował, a czwórka agentów weszła do środka, w sali głównej przywitały ich oklaski i wiwaty. Byli tam agenci z Północy wraz z dyrektorem, Południowcy i dyrektor z Centrum. Wszyscy po raz pierwszy od dawna stali obok siebie, jakby byli jedną drużyną, niepodzielną na trzy zupełnie różne oddziały.

– Robi! – krzyknął ktoś radośnie i zaczął biec w stronę agentki.

– Darek! – ucieszyła się nastolatka, kiedy poznała twarz mężczyzny. – Jesteś! Jak super!

Wpadli sobie w objęcia i przytulili się z całej siły, a Szymon i Net uśmiechnęli się na ten widok.

– Co tu się dzieje? Przyjechałem dosłownie przed chwilą! Nasz dom to ruina, baza tak samo... Ważne, że wy żyjecie! – Popatrzył na trójkę nastolatków.

– Terroryci z Delika trochę namieszali. Ale już ich nie ma. To przeszłość – zaśmiała się Robi.

– Chyba wolę nie pytać, jaki udział mieliście w tej akcji... Nie chcę zejść na zawał.

– Masz rację. Nie pytaj – zarechotał Net, a rozbawieni Robi i Szymek pokiwali głowami.

– Chcę wiedzieć tylko jedno... Dlaczego, do cholery, dwóch pilotów z uporem maniaka chciało zestrzelić awionetkę, którą leciałem?! Siedli nam na ogonie i nakazali wylatywać z miasta, grozili, że zrobią z nas marmoladę! Wzięli mnie za terrorystę. Myślałem, że ten pilot z awionetki zejdzie na zawał. Nie dziwię mu się. Dwa uzbrojone F-16?! Sam już prawie padłem. W końcu przekonałem ich, żeby skontaktowali się z dyrektorem PAS-u, no i on się za mną wstawił! Co tu się działo, do cholery?!

Trójka nastolatków i stojący obok nich Kafka i Strzała parsknęli cicho śmiechem. Opowieść Darka, choć mogła skończyć się tragicznie, była dość komiczna w zaistniałej sytuacji. Pogratulować trzeba było pilotom, gdyż świetnie wypełniali swoje obowiązki. Udało im się nie przeoczyć nawet tak małego samolotu.

– Całe miasto było zamknięte. Wyjechać miały prawo tylko karetki i pojazdy po dogłębnej kontroli. Wszędzie ustawiono patrole. To jedyny sposób, żeby terroryci nie mieli jak uciec.

– I udało się?

– Z naszych list wynika, że tak. Polegli lub zostali aresztowani. Nie został już nikt. Według list – powiedział Net, dumnie wypinając pierś.

– Ej! Mówią o supermarkecie! – zawołał Marek, zwiększając głośność w telewizorze.

– *Cały Wrocław odcięty był od świata z powodu działań militarnych o charakterze antyterrorystycznym. W akcjach brały udział wszystkie służby mundurowe z miasta i okolic. Zadbano o bezpieczeństwo osób postronnych i z nieoficjalnych źródeł wiemy, że zagrożenie zostało zlikwidowane. Udział w tym miała grupa tajemniczych komandosów. Jak donoszą nasze źródła, byli to oficerowie tajnej jednostki wojsk specjalnych, która czuwa nad naszym bezpieczeństwem. Wojsko, policja, oddziały antyterrorystyczne, Siły Powietrzne i ci komandosi zasługują na podziw. Z Wrocławia mówiła dla państwa...* – Zanim dziennikarka dokończyła zdanie, Robi wyłączyła telewizor i uśmiechnęła się lekko.

– Pieprzenie głupot – mruknęła. – Po raz kolejny mylą nas z komandosami. Kiedy oni się nauczą, że wojska specjalne to nie tylko oni? Ehm, mniejsza z tym. Dopadła nas medialna burza. Nigdy już nie będziemy tak tajni jak kiedyś.

– Ano, prawda – zaśmiał się Szymon. – Nic już nie będzie tak jak kiedyś.

Rozdział dwudziesty Łaciate jest piękne

Wszyscy upewniali się wielokrotnie, czy żaden Delikowiec nie został na wolności. Po dziesięciu latach podchodów, po chwilach ciszy i chwilach walk w końcu wszystko się skończyło. Dyrektor uznał, że agenci nie są już zagrożeni i mogą śmiało wrócić do swoich domów.

Robi stała w ogródku oparta o płot i czekała na Neta i Darka. Powinni jechać do szkoły oficerskiej, gdzie odbyć się miała uroczystość z okazji odbicia Południa. Mieli pojawić się tam piloci, żołnierze, policjanci i wszyscy ci, którzy brali udział w akcji.

Kiedy w końcu wyszli z domu, całą trójką wsiedli do samochodu i pojechali po Szymona. Potem skierowali się w stronę szkoły.

– Wiecie, co mnie niepokoi? – zapytała Robi, kiedy ona i dwójka jej przyjaciół maszerowali na swoje miejsca.

– Co?

– Przejrzałam jeszcze raz wszystkie listy i... – zaczęła, ale nie dane było jej skończyć.

– Jest moja sławna kadra juniorów! – zawołał dyrektor, kiedy tylko ich zobaczył. – Oj, będziecie dzisiaj gwiazdami, oj, będziecie. No siadajcie. Zaraz zaczynamy.

Chwilę później pojawił się na scenie i serdecznie powitał wszystkich. Opowiedział o przebiegu całej akcji, o udziale wszystkich jednostek. Nikogo nie pominął i wiele osób przywołał z nazwiska lub, w przypadku antyterrorystów i agentów, po pseudonimach.

– Przez wiele lat PAS był czymś, wokół czego krążyły rozmaite legendy. Był tajny i... podzielony. To, co wydarzyło się na Południu, pokazało nam, jak wielki błąd popełniliśmy. Uświadomiła nam to też jedna z drużyn, która, mimo że pochodzi z różnych grup, stała się jednością. Pilot, informatyk, pomocnik, agent Południa i agent Północy. Gdyby nie ich przyjaźń, która przetrwała trudne czasy, być może nigdy nie odzyskalibyśmy bazy Południa. Wczoraj zebrali się dowódcy poszczególnych grup i wszyscy razem ze mną stwierdzili, że PAS powinien być jeden, niepodzielny. W trzech bazach, ale ze wspólnym dowództwem, żeby w razie problemów można było pomóc, żeby wiedzieć, co dzieje się na naszym własnym podwórku. Integrujemy naszą jednostkę i dlatego będziemy mieć nowe mundury, które połączą specyfikę i tradycję trzech grup. Już niedługo wprowadzimy je do użytku.

– Znowu przynudza... – mruknął Szymon i ziewnął skrycie.

– Do takiej podniosłej mowy to by akompaniament skrzypiec się przydał. Ot tak, do robienia nastroju – zaśmiała się Robi, a Net aż parsknął śmiechem.

– Mówi o jedności... Swoją drogą, czuję się w obowiązku ponownie przeprosić za to, że ci rozharatałem rękę – szepnął Descante.

– Daj spokój. To ludzkie. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– A teraz, bez przeciągania – oznajmił dyrektor i na moment zawiesił głos.

– Rzeczywiście, ta godzinna przemowa wcale nie była przeciąganiem – mruknął znudzony Net.

- Bez przeciągania chciałbym, korzystając z okazji i wyjątkowego miejsca, odznaczyć agentów, którzy zasłużyli się wybitnie w dziele ratowania Południa.
- Dzieło ratowania Południa... A to pojechał po bandzie.
- Cicho, Szymon, bo nas usłyszysz – zachichotała Robi.
- Proszę do mnie... Strzałę, Kafkę, Jeża, Zjawę, Jastrzębia – zaczął wymieniać wszystkich agentów. – I na końcu... Gryzonia, Świdra, Intera, Fishera i Spitfire.

Wszyscy wyczytani podeszli do dyrektora i stanęli na baczność. Zebrani na sali żołnierze, policjanci, piloci i pozostali patrzyli na nich z pewnym zaciekawieniem. Dowódca z uśmiechem podchodził do każdego z agentów i przypinał mu do munduru medal. Darek siedział w pierwszym rzędzie i co chwilę ocierał łzy wzruszenia. Jego mała Robi po raz kolejny zasłużyła się w walce.

– Fisher... Chciałbym, żeby w waszej drużynie pojawił się oficer. Kiedy skończysz odpowiedni kurs, zostaniesz podporucznikiem. Gratuluję.

– Dziękuję – odpowiedział dumnie Szymon i popatrzył na swoją przyjaciółkę. – Wreszcie nie będę musiał ci salutować!

– Będziesz musiał – zaśmiał się dyrektor. – Spitfire, od dziś jesteś porucznikiem PAS-u. Gratuluję.

– Dziękuję! To prawdziwy zaszczyt!

– Sprawy formalne załatwimy jutro. No wiecie. Papierki.

– Tak jest!

Kiedy uroczystość dobiegała końca, dyrektor ponownie wyszedł naprzeciw gościom, zastukał w mikrofon i uśmiechnął się do wszystkich.

* * *

Robi, Szymon i Net zmierzali przez pole w stronę małego betonowego budynku. Był dość pochmurny i wietrzny dzień, ale nikomu to nie przeszkadzało. Trójka przyjaciół była w świetnych humorach i trudno było im się dziwić. Na ramionach mieli nowiutkie czarne pagony oficerów. Robi porucznika, a Szymon – podporucznika. Wydawać by się mogło, że Net zazdrościł im sukcesów, ale tak naprawdę cieszył się razem z nimi. Nie zależało mu na awansach, a poza tym w swojej opinii był tylko pomocnikiem, który od czasu do czasu do czegoś się przydawał. Wystarczyło mu, że nadal są przyjaciółmi, a on nadal może służyć w PAS-ie.

Cała trójka miała na sobie nowiutkie mundury agencji. Czarne buty, takie same jak w czasie akcji, czarne, bardziej dopasowane niż zwykle, bojówki, biały pasek, czarną koszulkę, a na to koszulę w granatowo-czarne moro. Jako że byli częścią wojsk specjalnych, nie mogło też obyć się bez beretu, który tak jak większa część stroju był w kolorze czarnym.

Ze względu na małą liczbę okazji do eleganckich uroczystości i wystąpień mundury PAS-u nadal nie posiadały formy galowej. Na specjalne okazje rezygnowano po prostu z kamizelek i uzbrojenia.

– Łatki powinny stać się symbolem jedności – zaśmiała się Robi.

– Owszem. Tylko dlaczego mamy tak mało elementów granatowych? Północ czuje się odrzucona – zażartował Szymek.

– Mamy granatowe śmigłowce! I hełmy – zaprotestowała agentka i uśmiechnęła się szeroko.

Descante zmierzył ją wzrokiem i w końcu przyznał jej rację. We trójkę weszli do bazy i po przejściu wszystkich działających znów zabezpieczeń znaleźli się w sali głównej.

Miło było znów móc stanąć tam i uśmiechnąć się do znajomych twarzy, które nie chciały ich zabić jako zdrajców.

– Czekajcie, po co myśmy tu przyszedli właściwie? – zapytał Net, rozglądając się na boki.

– Dyrektor nas wzywał. Zapomniałeś? – zapytał Szymon, wychylając się zza Robi, za co oberwał łokciem w bok.

Udali się do tymczasowego gabinetu dowódcy, który nadzorował „odradzanie się” ładunku i porządku w bazie Południa po ostatnich tragicznych miesiącach. W pokoju siedzieli już Franek i Alan, a generał przywitał ich jak zwykle z uśmiechem.

– Mam dla was pewną niespodziankę. Stanowicie w piątkę sławną drużynę, z ogromnym doświadczeniem w nie do końca militarnej walce z terrorystami. Umiecie bić się jak wojskowi, ale posiadacie też coś szczególnego, coś, co sprawia, że chciałbym, żebyście to wy zajęli się szkoleniem nowych rekrutów i tych przyjętych w czasach Delika.

– Mamy trenować? – mruknął Szymon.

– Nie inaczej. Myślę, że przyda wam się odskocznia od działania na polu walki. Potem zobaczymy, jak będzie. Uważam, że takie talenty powinny być przekazywane dalej.

– To dla nas zaszczyt! – ucieszył się jak zwykle optymistyczny Net.

– Panie generale... Jest jedna sprawa, która może być powodem... żebyśmy byli dalej na linii – zaczęła Robi.

– Nie bójcie się o nic – przerwał jej dowódca. – My się wszystkim zajmujemy. Wy tylko uccie. No, zmykajcie! Jutro zaczynacie.

Skinęli głowami i wyszli. Kiedy tylko stanęli na zewnątrz, Szymon złapał Robi za rękaw i zatrzymał ją w pół kroku.

– Co się dzieje? – zapytał. – Od tamtej uroczystości próbujesz coś powiedzieć, ale nigdy nie kończysz! Coś jest nie tak?

– Sama nie wiem.

– Nam możesz powiedzieć – szepnął Net.

Agentka westchnęła i popatrzyła niepewnie na swoich przyjaciół.

– Przeglądałam listy poszukiwanych, złapanych i zlikwidowanych celów. Dużo jest tych nazwisk, ale coś mi się nie zgadza.

– Co? – zapytali jednocześnie chłopcy głosami pełnymi napięcia.

– Anton Petrowic Jerakov. Snajper.

– Co to za jeden?

– Jedyny, którego nazwiska nie znalazłam na listach unieszkodliwionych. To człowiek, który wtedy strzelił... Który spowodował wybuch i śmierć moich rodziców! To jeszcze nie koniec. On nie odpuści. I ja także nie.

– Chcesz go zabić? – zapytał Net niepewnym głosem. – Może lepiej go pojmać? Pojmać i przesłuchiwać, zamknąć w więzieniu.

– Net, idioto, takich ludzi się nie łapie – syknął Szymon i łobuzersko podniósł jedną brew. – Takie bestie się zabija. Przestrzelić mu kolano, patrzeć, jak wije się z bólu, po czym złapać karabin wyborowy i rozwalić mu łeb tak, żeby nic z niego nie zostało!

– Nie... żaden z was nie ma racji – mruknęła Robi. – Nie możemy zniżać się do ich poziomu, stosując ich metody. To nieludzkie i zupełnie do nas niepodobne. – Kiedy to mówiła, Net uśmiechnął się tryumfalnie. – Z drugiej strony, kiedy dojdzie do starcia, nie będzie szans

na pojmanie go. To snajper. Albo zaskoczy nas z odległości kilometra, albo wystrzela, gdy tylko spróbujemy mu coś zrobić. Tu strzałki usypiające nie pomogą. To bestia, nie człowiek. Kiedyś przyjdzie czas, że trzeba będzie go zabić, ale szybko. Krótko. Bez tortur, bez zbytnej radości z przewagi nad wrogiem... Strzelić, po prostu, w samoobronie lub w obronie innych ludzi.

– Cokolwiek by się nie działo... Jesteśmy z tobą – powiedział Szymon, obejmując przyjaciółkę, a Alan i Net pokiwali głowami.

– W razie potrzeby wezmę „eFika” i „przypadkiem” zrzucę na snajpera jakąś bombę! – obiecał Franek, również obejmując Robi.

– Ja, jeśli będzie trzeba, złamię każde zabezpieczenia i wedrę się na każdy komputer – zadeklarował Alan.

– Na mojego cela możesz liczyć. Kiedy tylko będzie trzeba, nie zawaham się pociągnąć za spust w twojej obronie – obiecał Net i uśmiechnął się krzywo.

– Dzięki. Jesteście kochani.

CZEŚĆ III

Rozdział pierwszy Rekruci

Robi szła dumnie korytarzem. Mijała po drodze agentów i innych członków PAS-u. Ubrana była w połowy mundur agencji. Na jej ciemnogrnatowej koszuli w czarne łaty na złotym celowniku błyszczała srebrna pantera śnieżna z karabinem w pysku. Wszyscy na jej widok patrzyli po sobie z podziwem i ustępowali jej z drogi, witając ją przyjaźnie.

Skręciła w prawo i stanęła przed drzwiami. Odetchnęła z uśmiechem i otworzyła je. Weszła do sali. Było to dość przestronne pomieszczenie. Na jednej ze ścian wisiała ogromna tablica, gdzie zazwyczaj były rozrysowywane plany taktyczne. Na środku stało kilka ławek, które przypominały te widywane w szkołach na amerykańskich filmach. Było to miejsce, gdzie odbywały się wykłady i szkolenia dla nowych członków PAS-u.

– Czołem, pani porucznik! – zawołała grupka rekrutów, stając na baczność.

– Czołem, drużyno. Spocznij – odpowiedziała.

„To mi się nigdy nie znudzi”, pomyślała, patrząc z lekkim uśmiechem na swoich uczniów. Było to dziesięciu młodych chłopaków, którzy wykazali się w wojsku. Jeden z nich przybył z policji, gdzie zasłynął umiejętnościami jako snajper. Wszyscy mieli nie więcej niż dwadzieścia pięć lat i oczywiście byli zabójczo przystojni. Nosili czarne mundury uczniowskie.

Robi dała susa w stronę policjanta, Michała, stojącego w pierwszym rzędzie, i spróbowała uderzyć go w brzuch. Odskoczył, złapał ją za rękę i starał się uniknąć ciosu. Nie udało mu się, bo ostatecznie i tak lekko oberwał, ale Robi miała spory problem z dokończeniem ataku. Cofnęła się o krok i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Szeregowy, wystąp! – Natychmiast posłuchał. – Jeszcze sporo brakuje do perfekcji, ale widzę postępy. Oby tak dalej.

Rekrut wrócił do szeregu, uśmiechając się tryumfalnie. W jego brązowych oczach błyszczała iskra dumy. Został pochwalony przez instruktorkę. To było jak wyróżnienie.

Robi również roznosiła dumą, bo jej oddział był coraz lepszy. Te miesiące ciężkiej pracy w końcu przyniosły efekty.

– Najważniejsza jest?... – zaczęła, czekając, aż reszta dokończy.

– Dyscyplina! – zawołali chórem.

– I?

– Refleks!

– I to mi się podoba! – pochwaliła swoich uczniów i zaczęła się zastanawiać, co teraz.

W tej roli była stosunkowo nowa. Jedyne dziecko, którego do tej pory wyszkoliła, to Net. W dodatku nie było to pełne szkolenie. Wtedy miała nauczyć go tylko sztuki przeżycia, a do tego pomagał jej Szymon. Teraz musiała sobie radzić sama. Wszyscy zostali już dobrze wyszkoleni w swoich szkołach lub jednostkach, ale niektórych Delik „cofnął” w rozwoju. Robi musiała odzyskać ich talenty, po czym podkreślić je do maksimum i przełożyć na potrzeby PAS-u.

Nagle do sali wpadł zdyszany Net. Biegł tak szybko, że aż nie dał rady wyhamować i z rozpędu wpadł na Robi. Oboje gruchnęli na podłogę. Rekruci zaśmiali się cicho.

– Net! – syknęła pod nosem, zrzucając z siebie przyjaciela. – Co ty robisz?! Kompromitujesz mnie w oczach klasy.

– Sorry, Robi, ale... – Zawiesił głos i odwrócił głowę.

– No co? Wyduś to z siebie.

– Nie mam pojęcia, co robić! Ja nigdy nikogo nie szkoliłem!

– No to witaj w klubie. Szkoliłam tylko ciebie. Do tego jakiś nieokrzesany dureń rujnuje moją reputację i respekt! Cudownie – syknęła prawie bezgłośnie szeptem.

– Kto jest tym durniem? – zapytał Net, mierzywszy wzrokiem otoczenie, a kiedy zobaczył piorunujące spojrzenie Robi, zrozumiał, że chodzi o niego. – Ups? No, ale jak ja mam ich uczyć?

– Po pierwsze: opanuj się. Przecież ty tylko pomagasz Szymkowi! Nie masz własnej grupy.

– No, ale Szymon kazał mi zabrać ich na ćwiczenia kondycyjne!

– To weź ich na polanę i niech biegają dookoła. Nic prostszego. A teraz wypad i weź się w garść! – szepnęła, po czym krzyknęła już oficjalnie: – Odmaszerować, plutonowy, zanim was kopnę!

– Tak jest! – odpowiedział Net, stając na baczność, i natychmiast wyszedł.

Robi pokręciła głową ze zrezygnowaniem. Nie lubiła wkurzać się na swojego przyjaciela, ale sam się o to prosił. Czasami trzeba było nim potrząsnąć, żeby przywrócić go do pionu.

Grupka młodych chłopaków stała bez ruchu i z rozbawieniem chłonęła wzrokiem swojego dowódcę.

– Coś was bawi? – zapytała, patrząc na nich spode łba.

– Nie, pani porucznik! – odpowiedzieli chórem.

– No więc o co chodzi?

– Już wiem, jak należy pokonać oficera PAS-u – mruknął Michał, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

– Doprawdy?

– Wpaść na niego – odpowiedział, a pozostała dziewiątka parsknęła śmiechem.

– Chcesz się przekonać? Dawaj – syknęła gniewnie Robi.

– Wolę nie.

– Dlaczego? No chodź. Trzeba walczyć z niewiedzą.

– Nie chcę.

– Nie obchodzi mnie to. Zaatakujcie mnie, szeregowy. To rozkaz.

Michał rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy u kolegów. Niestety wszyscy cofnęli się o krok i uważnie przyglądali się całej scenie, czekając na rozwój wydarzeń.

Z wielką obawą rysującą się na twarzy młody szeregowy cofnął się o kilka kroków. Zatrzymał się i nagle zerwał się biegiem w stronę Robi, chcąc na nią wpaść z rozpędu. Ona jednak w ostatniej chwili odskoczyła na bok i złapała go za rękę. Okręciła go przodem do reszty, wywinęła mu ramię do tyłu i powaliła na podłogę. Trzymając go mocno przypartego do podłogi, przykucnęła przy nim i uśmiechnęła się tryumfalnie.

– Brawo. Właśnie wróg cię pokonał i może zaserwować ci kulę w łeb! Spisałeś się – syknęła.

– Przepraszam... – szepnął cicho i nieśmiało rekrut.

Gdy tylko zwolniła uścisk, wstał szybko i wrócił migiem do szeregu.

Tłumaczyła im później przykładowe sytuacje bojowe. Jak należy się skradać, jak przeprowadzić szturm na budynek tak, żeby nic nie schrzanić. Poruszała wiele ważnych tematów, a rekruci słuchali jej uważnie. Mimo to czasem któryś szepnął drugiemu coś w stylu: „uczy mnie dziewczyna, masakra”, ale agentka starała się tego nie słuchać.

– Dobra, na dziś koniec. Mężę was już od siódmej rano. Wiedźcie, że to tylko początek waszego piekła. Agent musi być naprawdę najlepszy. Albo dowodzisz, albo nadążasz za dowodzącym. Inaczej nie ma dla ciebie miejsca. Weźcie to sobie do serca, jeśli chcecie z dumą nosić odznakę. Jutro widzę was tutaj o szóstej rano!

– Tak jest!

– Odmaszerować.

– Tak jest!

Kiedy wyszli, Robi oparła się o ścianę i głośno westchnęła. Miała za sobą dziewięć godzin bycia instruktorem dziesiątki facetów, którzy z góry zakładali, że nastolatka nie jest dobrym agentem. Musiała się starać ze wszystkich sił i nie pozwolić im wejść sobie na głowę. Musiała być ostra i stanowcza. Poważna, no i musieli widzieć w niej wzór. Dobijały ją takie sytuacje jak ta z wpadką Neta. To nie był jednorazowy przypadek.

Nagle do sali wpadł zastępca dyrektora. Wmaszerował pewnym krokiem i poprawił swoją czapkę. Robi natychmiast stanęła na baczność.

– Spocznij – mruknął pułkownik i popatrzył na nią lekko zamyślony. – Agentko Damon... Czy o czymś nie zapomniałaś?

– Chyba nie – odpowiedziała niepewnie.

– Miałaś zabrać swoich ludzi w teren i sprawdzić, kto nadaje się na snajpera.

– Kurczę. Przepraszam, mój błąd.

– Rekruci już się rozeszli?

– Niestety tak.

– No to jutro koniecznie! Przeprowadzisz szkolenie, poobserwujesz ich i podasz mi nazwiska kilku kandydatów, którzy trafią na prawdziwy trening z najlepszym snajperem PAS-u.

– No to będą mieli zaszczyt. Kto ich będzie uczył?

– Ty.

– Słucham?! – pisnęła zaskoczona, krztusząc się śliną.

Wydawało jej się, że usłyszała „z najlepszym snajperem”, a nie „z Robi Damon”. Była wielce zaskoczona!

– Wytrenujesz drużynę snajperów, tworząc tym samym nowy zespół Irbisów. Pozostała czwórka zginęła w akcji na Kaukazie. Teraz ty jesteś jedynym tak dobrym snajperem. Najlepszym.

– To zaszczyt, panie pułkowniku.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko do agentki.

– Nie zapomnij o tych ćwiczeniach, bo dyrektor da i mnie, i tobie popalić. Teraz wracaj do domu.

– Tak jest!

Robi opuściła bazę. Była wykończona. Słońce świeciło jeszcze dość wysoko na niebie i grzało niemiłosiernie. Był środek lata. Dotarła do domu, wyglądając jak żywy trup, i od razu opadła na kanapę. Włączyła telewizor i zamknęła oczy.

Po chwili wrócił Net i usiadł obok niej. Położył nogi na stół i osunął się do pozycji półleżącej. Westchnął głęboko.

– Mam dość. Jeśli to ma być nagroda za zasługi, to niech ich szlag. Mieliśmy być elitą. Mieliśmy szkolić nowych agentów, którzy zamiast nas będą użerać się z terrorystami! A tymczasem co?! Oni nie robią nic, a my użeramy się z nimi.

On narzekał, a Robi cierpliwie tego słuchała, popijając colę i wpatrując się tępo w kreskówki.

– Nie narzekaj – mruknęła w końcu. – Wytrenujemy ich i znów będziemy bohaterami, bo stworzymy agentów idealnych.

– I nie będziemy musieli ganiać na akcje.

– Pewnie kiedyś będziemy musieli. Instruktor w PAS i innych tego typu organizacjach często później w razie potrzeby odpowiada za uczniów. Tak słyszałam.

– Super. Czyli nawet nie odpoczniemy.

Poszli spać dosyć wcześnie, by móc z samego rana się obudzić. Zwlekli się z łóżek i szybko zjedli śniadanie. Potem od razu pognali do bazy. Mieli napięty plan. Robi musiała przeprowadzić szkolenie snajperskie i wytypować utalentowanych chłopaków.

– Czołem, drużyno – zawołała Robi, wchodząc na strzelnicę.

– Czołem, pani porucznik! – odpowiedzieli uczniowie.

Rzuciła sprzęt na stół i stanęła przed nimi. Uwielbiała to, co robiła, i uwielbiała swoich ludzi. Mimo wszystko jak zwykle zapomniała, co chciała powiedzieć.

– Plan na dzisiaj jest taki, że teraz strzelamy tutaj. Macie godzinę na to, by zszokować mnie swoją celnością i profesjonalizmem. Potem idziemy na dwór! Zrozumiano?

– Tak jest!

– To jazda!

Rekruci złapali za broń i pobiegli na swoje stanowiska. Zaczęli strzelać. Robi siedziała na stole bliska załamania nerwowego i przyglądała się tej katastrofie. Kule trafiały w tarcze i tutaj ci młodzi wojownicy mieli przewagę nad Netem. Jeśli jednak patrzeć na ich zdolności pod kątem cech agentów... Ba! Snajperów... To byli beznadziejni. Wiedziała, że musi dać radę i wyszkolić ich jak najlepiej się da, ale zapowiadała się ciężka misja.

– Weźcie się w garść! Co z wami?! Wasze babcie strzelają lepiej niż wy! – krzyknęła, zeskakując ze stołu.

Zaczęła chodzić za nimi i przyglądać się ich postawie i ułożeniu rąk. Od kiedy poczuli na sobie świdrujący wzrok instruktorki, który dopadał ich jednego po drugim, ich celność znacznie się poprawiła.

Agentka trochę im tłumaczyła, pokazywała, jak robić coś lepiej, i czasem nawet pochwaliła. Po czterech godzinach nieustannych uwag, ćwiczeń i poprawek szło im już całkiem nieźle. Strzelali jak przeciętny nowicjusz.

– Dobra, odłóżcie pistolety i łapcie za karabiny. Poćwiczmy sobie trochę na świeżym powietrzu.

Rekruci zaczęli podszeptywać między sobą wesoło. Byli pewni, że wyjście na zewnątrz oznacza sielankę. Mylili się.

– W szeregu zbiórka! – wrzasnęła Robi, a oni ustawili się natychmiast. – Wiecie, co jest naszym celem?

– Tak jest!

– Idioci. Jasne, że nie wiecie. Przyszliście tu, by zostać elitą sił zbrojnych, ale ja mam

wytypować spośród was elitę elit. Snajperów, którzy będą mogli z dumą nosić srebrną panterę, którzy będą dzielnie bronić kraju i wspierać oddziały liniowe. Dajcie z siebie wszystko, bo wszystko zależy od was. Przychodząc do mojej grupy, wiedzieliście, na co się piszecie, więc do roboty!

– Tak jest!

– Karabiny w ręce i na ziemię! Wiecie, jak się strzela, ćwiczyliśmy to na początku! Pamiętajcie, co ma znaczenie, i obliczajcie to jak najszybciej. Teraz strzelacie bez obserwatora. Snajper PAS-u nie zawsze może mieć kogoś obok siebie. Pilnujcie wiatru, temperatury, ciśnienia i wilgotności. Jeśli pocisk zwolni do prędkości poddźwiękowej, to już nie przewidzicie, gdzie trafi.

– Czyli co? Mamy nosić ze sobą podręczną stację meteorologiczną?! – zaśmiał się Jacek.

– A zaszkodzi ci?! Okrążenie wokół polanki, migusiem!

Wstał, popatrzył na Robi spode łba i ruszył truchtem. Był to jedyny rekrut, który wyglądał jak idealne wyobrażenie żołnierza. Był potężnym i umięśnionym mężczyzną o płucach ze stali. Dla niego sprawdziany kondycyjne były niczym. Robi od początku wiedziała, że nie nadaje się na Irbisa, ale przecież każdy zasługuje na szansę.

– Szybciej! Jakby cię stado psów goniło! – zawołała, a on przyspieszył.

Kiedy skończył, mogła przejść do dalszej części lekcji. Musiała wyznaczyć najlepszych. W tej chwili wydawało się to bardzo trudne, o ile nie niewykonalne...

– Skupcie się na tym, żeby strzelić i trafić. Odległość jest dość mała jak dla snajpera. To tylko pół kilometra. Cel i pal. Mam nadzieję, że wiecie, gdzie jest spust, a gdzie luneta...

Wszyscy zaczęli strzelać. Robi siedziała wygodnie na podwyższeniu i przez lornetkę obserwowała postępy swoich uczniów. Wspominała czasy, kiedy to ona była na ich miejscu, a leniący się instruktorzy strasznie działali jej na nerwy.

Część rekrutów nie trafiała wcale do celu albo trafiała gdzieś na obrzeża tarcz.

– Weźcie się w garść! Skupić się na celu! I tak macie łatwo. Mamy prawie bezwietrzną pogodę, ofermę!

– Tak jest – wymamrotali zrezygnowani już chłopcy.

Po pewnym czasie wreszcie zaczęły się wyłaniać jakieś talenty. Trzech z nich miało szczególnie dar według Robi. Uczyli się najszybciej i byli chyba najbardziej zmotywowani. Podjęła decyzję. Jeśli podołają odleglejszemu celowi, weźmie ich do siebie na szkolenie.

– Tarcze na osiemset metrów – oznajmiła w końcu. – Wykażcie się, strzelcy od siedmiu boleści.

Powoli robiło się ciemno. Stawało się coraz trudniej, ale trójka jej wybrańców radziła sobie nieźle. Nie byli urodzonymi snajperami, ale cela mieli dość przyzwoitego.

– Damon! – usłyszała głos kogoś z oddali.

Odwróciła się do tyłu. W jej stronę zmierzał młody pułkownik. Przywołał ją do siebie palcem, a ona o mało nie spadła z drabinki, kiedy schodziła ze swojego „tronu”.

– Jak ci idzie, poruczniku? – zapytał, kiedy tylko Robi zatrzymała się przed nim, salutując mu.

– Melduję, że całkiem nieźle.

– Masz już kogoś na oku?

– Trójkę z nich. Mocno się wyróżniają. Mają dobre oko. Pozostali nie mają smykałki.

– Świetnie. Porucznik Descante również wytypował jednego ze swoich. Nie chcieliśmy mieszać przyszłych Irbisów, ale ten rzeczywiście ma talent.

– Mam go wziąć do siebie?

– Owszem.

– Z przyjemnością.

– To świetnie. – Uśmiechnął się do niej i już chciał odejść, ale jednak zawrócił. – Robi, postanowiliśmy, że snajperzy są nam pilnie potrzebni. W tej chwili nie mamy żadnych pełnoetatowych. Chcemy, żebyś poświęciła im dużo czasu, dlatego reszta twoich ludzi zostanie przydzielona do porucznika Descante. Ty zajmiesz się wybrańcami.

– Tak jest!

– Jutro zbiórka na strzelnicy. O siódmej rano. Wtedy rekruci dostaną nowe przydziały.

– Tak jest!

Pomysł bardzo jej się podobał. Zamiast szkolić agentów i snajperów, miała zająć się tylko tymi drugimi. Poświęcając czas tylko im, mogła ich odpowiednio przycisnąć i wydobyć z nich maksimum.

– Na dzisiaj koniec! W dwuszeregu zbiórka! – krzyknęła, a kiedy chłopcy ustawili się, powiedziała: – Jutro chcę was widzieć na strzelnicy. O siódmej. Niektórzy z was zakwalifikują się do elitarnych Irbisów. Pewnie już coś o nich słyszeliście. Odmaszerować i do jutra!

– Tak jest! – Rozeszli się.

Robi poszła do domu. Pojawiła się tam jako ostatnia, bo wszyscy zdążyli już wrócić. Weszła do salonu i zrezygnowana opadła na kanapę.

– Co tak późno, Robi? – zapytał Darek, stawiając miskę chrupek na stole.

– Selekcja rekrutów. Musiałam wybrać najlepszych, którzy nadają się na snajperów – powiedziała, odkładając swój karabin koło kanapy.

– Wybrałaś? – zapytał Net.

– Trzech – szepnęła Robi, gapiąc się w sufit.

– Dorzucą ci jeszcze czwartego – oznajmił z dumą Szymon, który pojawił się nagle i bez ostrzeżenia.

– Szymek? A ty tu czego? – zaśmiała się agentka i rzuciła w przyjaciela poduszką.

Trafiła prosto w szklanę z wodą, którą trzymał chłopak i której wcześniej nie zauważyła. Teraz agent był cały mokry.

– Snajper: wersja domowa. Nawet poduszką umiesz trafić tam, gdzie przeciwnik nie chce?

– Widocznie weszło mi to już w krew – powiedziała z uśmiechem. – Róbcie, co chcecie, ale ja idę spać. O ile pamiętam, szkolenie snajperów jest męczące.

– Nie narzekaj, to ja i Net mamy nowych ludzi w zespole i będziemy musieli się z nim użerać.

– Mają świetne podstawy! – mruknęła Robi.

– To mnie pocieszyłaś... – zaśmiał się Szymon i rąbnął ją poduszką w głowę.

Robi wstała i oboje stanęli naprzeciwko siebie. On wpatrywał się w nią, a ona w niego.

– O nie! Tylko nie te wasze walki kogutów! – mruknął Darek, sprzątając pospiesznie miskę i wszystkie inne naczynia ze stołu.

– Ostatnio musieliśmy przez godzinę wymiatać chrupki spod kanapy! – pisnął Net. – Swoją drogą, stawiam, że Robi wygra.

Od kiedy Robi i Szymon przeszli do służby biernej i zabrali się za szkolenie, urządzali sobie czasem małe pojedynki. Właściwie to same się urządzały. Wystarczyło coś błahego jak na przykład rozlanie wody na koszulkę czy szturchnięcie, a już mogło się coś takiego

wywiązać. Nikt oczywiście nie chciał nikogo skrzywdzić, bo przecież nie o to tu chodziło. Chyba po prostu brakowało im adrenaliny w życiu.

– Ja idę spać – mruknęła Robi i odpuściła sobie potyczki z Szymonem.

– Cykor! – zaśmiał się Descante.

– Oj, będzie źle – szepnął Net i razem z Darkiem wycofali się w głąb salonu.

Robi zawróciła i powoli podeszła do Szymona. Popatrzyła na niego wzrokiem w stylu: „no dawaj!”. Zaatakował, ale zręcznie go zablokowała. Zamachnęła się ręką do ciosu, ale na czas odskoczył. Wpadli na siebie i razem runęli na podłogę. Descante kopnął w stół, a leżący na nim pilot od telewizora wystrzelił w powietrze w stronę Darka. Po chwili chłopak leżał już na ziemi, przytrzymywany przez agentkę.

– Ha! – ucieszył się Net. – Mówiłem, że wygra?!

– Nie. To jeszcze nie koniec. Oni dopiero ładują akumulatory. Widać to po oczach – zarechotał Darek, zacierając ręce.

Szymon odrzucił Robi w bok i sam przygniótł ją do ziemi. Poszamotali się trochę i po chwili zamarli w bezruchu, wpatrując się w siebie.

– Ha, ha! Wygrałem zakład – zaśmiał się Darek, klaszcząc w dłonie.

– I co teraz powiesz? – szepnął Szymon, nachylając się nisko nad Robi i uśmiechając się zawadiacko.

– Powiem... Spadaj! – zachichotała nastolatka, przewracając go na plecy i unieruchamiając. – Oczekuję od ciebie słów podziwu.

– Niedoczekanie twoje – mruknął Szymon i spróbował się wyrwać, ale jego starania spełzły na niczym.

– Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jedeeen! – odliczał zadowolony Net. – O, tak! Robi zawsze wygrywa!

– Myślałem, że Szymona w końcu weźmie na ambicję.

– Dziewczyna mnie bije – zaszlochał Descante, wstając z podłogi.

– Masz pecha, trzeba było więcej ćwiczyć na szkoleniach.

– Ćwiczyłem tyle co ty!

– Najwidoczniej jestem lepsza. Pogódź się z tym, przyjacielu... Nie zawsze musisz wygrywać.

W końcu Szymon zebrał się z podłogi i udał się do swojego domu, a Robi mogła spokojnie pójść spać.

Rozdział drugi

Irbisy

Czekali na strzelnicy. Do Robi i jej drużyny miał za chwilę dołączyć pułkownik z Szymonem i jego ludźmi. Rekruci nastolatki w napięciu czekali na wyniki. Jeszcze nie wiedzieli, kto miał zostać agentem, a kto snajperem.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do pomieszczenia wkroczyli Szymon, Net i kilku ich uczniów. Przyszli snajperzy zaszalutowali na widok podporucznika, a Robi zrobiła to dopiero, kiedy pojawił się pułkownik.

– Poruczniku – dowódca zwrócił się do niej znaczącym tonem, uśmiechając się lekko.

– A, tak. No więc mam zaszczyt poinformować, że trzech z was weźmie udział w szkoleniu, po którym zostanie snajperem. Są to: Dominik Śliwa, Michał Ricker i Tomasz Winar. Dołączy do was jeszcze Artur Koper. – Ten ostatni wystąpił z szeregu, skinął głową i wrócił na miejsce. Robi uśmiechnęła się nieznacznie i szepnęła złowrogo: – No cóż. Witamy w piekle.

– Dobra. Pozostali przechodzą pod dowództwo porucznika Descante i jego zastępcy, plutonowego Bore’a. Agentko Damon, ty i twoja drużyna możecie już odejść – zarządził pułkownik.

– Tak jest!

Piątka Irbisów wyszła na zewnątrz i skierowała się na polanę, która była trochę ciasna jak na trening tak elitarniej grupy snajperów, ale na razie musiała im wystarczyć.

– Dobra. To, co przechodziliście do tej pory, to była sielanka. W agencji jest jak w wojsku! Nie ma miejsca na cackanie się z każdym z osobna. Mam z was zrobić najlepszych snajperów, jakich widział cały nasz kraj. Macie być chlubą PAS-u.

– Tak jest!

– Snajper jest sprytny, inteligentny i przebiegły!

– Tak jest!

– Szybki, dokładny i CELNY!

– Tak jest!

– I co najważniejsze, zdyscyplinowany. Zazwyczaj na stanowisku jesteśmy sami, ale nigdy nie jest tak, że działamy w pojedynkę. Może to i ewenement na skalę krajową czy światową, ale snajper nie idzie nigdy sam na akcję. Nasza praca wymaga działania w zespole. Od zwiadu po likwidację celu. Słuchacie dowódcy, co na chwilę obecną znaczy: mnie. I nie ma „ale”. Jak mówię: wycofać się, to to robicie. Tu nie ma miejsca dla gwiazdorów.

– Tak jest!

– Nigdy nie opuszczamy sojuszników. Gramy fair. Jasne?

– Tak jest!

– Nauczę was, jak się maskować i, co ważniejsze w przypadku agentów PAS-u, jak ukrywać się w terenie bez zbędnych strojów. Będziecie umieli zniknąć na polu i w mieście. Może się zdarzyć, że w czasie akcji będziemy zmuszeni przejść do walki wręcz. Jak radzić

sobie wtedy z karabinem, co robić i jak robić... Tego też was nauczę.

– Tak jest!

– Do roboty.

Przez kilka godzin pokazywała im, jak wykorzystać trawę, gałęzie i zarośla do tworzenia kamuflażu. Jak skradać się w typowym granatowym mundurze, a mimo to pozostawać niezauważonym. Godzinami siedziała z lornetką w ręku i raz po raz gwizdała, gdy dostrzegła kogoś wśród traw. Już po pierwszym dniu wszyscy mieli jej dosyć, ale jednocześnie byli dumni z tego, że w ogóle dostali się na kurs.

Ćwiczyli codziennie do upadłego. Biegi, tory przeszkód, leżenie w bezruchu przez długi czas i wreszcie podkradanie. To ostatnie polegało na podejściu na odległość stu metrów od „tronu” Robi i strzeleniu w tarczę na drzewie obok niej. Ona w tym czasie obserwowała całe pole, szukając choćby najmniejszej oznaki ruchu. Kiedy rekrut miał strzelać, podawał swoją przybliżoną pozycję i strzelał. Robi obserwowała wtedy okolicę i sprawdzała, czy przypadkiem nie widać rozbłysku towarzyszącego strzałowi.

Tak mijały dni i czasem noce. Irbisy zdobywały nowe umiejętności i byli coraz lepsi.

– Na dzisiaj koniec. Rozejść się – zawołała pewnej nocy Robi, ledwo wydobywając z siebie głos.

– Tak jest! – odpowiedzieli rekruci i po chwili zniknęli.

To był kolejny ciężki dzień ćwiczeń. Z rana tor przeszkód, następnie strzelanie do ruchomego celu i tak aż do drugiej w nocy. Najpierw z normalną lunetą, a potem z opcją noktowizora. Po kilku dniach wydzierania się i wykrzykiwania komend Robi ledwo mówiła. Wróciła do domu wykończona i od razu padła na kanapę i zasnęła kamiennym snem.

Z samego rana obudziła się niewyspana i poczłapała do kuchni. Zjadła grzanki, które zaserwował Darek na śniadanie, i razem z Netem i Szymkiem znów udała się do bazy.

– Jak tam twoi strzelcy? – zapytał Descante.

– Nie najgorzej – mruknęła agentka. – Jak wasza grupa?

– No jakoś się dogadują. Zapowiada się zgrana drużyna.

Dotarli do małego szarego budynku i przeszli przez wszystkie standardowe zabezpieczenia. Robi od razu odbiła na strzelnicę. Jej grupa już tam na nią czekała. Kiedy tylko pojawiła się w pomieszczeniu, stanęli na baczność.

– Spocznij – mruknęła, przechodząc przed nimi. – Umiecie strzelać, ale dziś dowiecie się, co się dzieje z pociskiem w poszczególnych fazach lotu. Każda kula w końcu opada, ale wasza w tym głowa, żeby wiedzieć, JAK to robi. Mam nadzieję, że lubicie fizykę. Jeśli nie, to już wasz problem.

Tłumaczyła im wszystko dokładnie. Rysowała schematy, podawała wzory i pokazywała, co i jak. Jedni byli bardziej zainteresowani, inni mniej, ale wszyscy słuchali.

– Przechodząc do określania odległości... – kontynuowała swój wykład. – Jeśli ją znacie, no to sielanka. Jeśli nie, zaczynają się schody. Gdy strzelicie na ślepo, może okazać się, że pocisk poleci nad celem lub obok niego. Pomocne są dalmierze laserowe, ale posiadają istotną wadę. Błysk niektórych laserów może zdradzić waszą pozycję. Właśnie dlatego potrzebna jest umiejętność liczenia tego „na piechotę”. Jest na to kilka sposobów.

Znów zaczęła im wyjaśniać dokładnie, co i jak. Na zajęciach teoretycznych spędzili cały dzień. Dopiero pod wieczór zabrala ich na pole, które było o wiele większe niż polanka. Do tego wiał tam wiatr, co skutecznie utrudniało zadania. To właśnie w tym miejscu Robi zdobyła swoją licencję snajpera.

– Dobra, karabiny do rąk i na stanowiska. Macie dziesięć tarcz. Strzelacie po kolei raz do każdej tarczy. Nie znacie odległości, do tego macie boczny wiatr. Liczcie i strzelajcie. Żeby zaliczyć, musicie mieć dziewięć celnych strzałów.

Rekruci zabrali się do roboty. Musieli się dobrze spisać. Kiedy cztery kule przebiły najodleglejszą tarczę ustawioną prawie półtora kilometra od nich, poczuła, że jest z chłopaków naprawdę dumna.

– Całkiem niezłe! – zawołała ze swojego tronu, odkładając na bok lornetkę.

Wtedy usłyszała klaskanie gdzieś z tyłu. Odwróciła się. Po raz kolejny pułkownik postanowił odwiedzić ich grupę na ćwiczeniach.

– Widzę duże postępy – stwierdził z uśmiechem, podchodząc do niej.

– Tak jest, pułkowniku! – Staneła na baczność.

– Spocznij – rozkazał, po czym szepnął mniej oficjalnie: – Robi, chodź na moment, co?

– Tak jest – mruknęła, nie do końca wiedząc, o co chodzi.

Oddalili się o kilkanaście metrów od chłopaków. Wiedziała, że rekruci bacznie im się przyglądają. Pułkownik zatrzymał się i popatrzył na agentkę.

– Przychodzę, bo dyrektor prosił mnie o przekazanie pewnej wiadomości. Mamy problem.

– My? To znaczy kto dokładnie? – zapytała, bojąc się odpowiedzi.

– My, czyli agenci, wojsko, Polacy. Nawet niektóre kraje Europy – powiedział zmartwiony dowódca.

– Jak to? Co się dzieje?

– Wybiliście Delika w Polsce. Jego następcy dalej działają poza granicami kraju. Służby specjalne walczą z nimi w różnych krajach. Grupa, która do tej pory siedziała cicho na terenie Rosji, zaczęła kombinować. Zdobyli broń i są sprytni. Mają wtyki w różnych krajach i sami chyba nie wiedzą, czego chcą. Chodzi o jakieś zatargi jeszcze z drugiej wojny światowej. Najważniejsze jest, że zagrażają Polsce.

– Rozumiem, ale co... – zaczęła, ale pułkownik chyba przewidział jej pytanie.

– Wiem, że obiecaliśmy wam posadę szkoleniowców, ale potrzebujemy was i waszych uczniów. Prawda jest taka, że świetni agenci są nam niezbędni, a snajperzy są na wagę złota.

– Tak jest.

– Dołączycie do naszych żołnierzy. Ty, Robi, poprowadzisz swoich strzelców. Szymon weźmie garstkę najlepszych agentów, Alan wybierze sobie pomocnika, a Franek trójkę pilotów.

– Dlaczego akurat my?

– Dlaczego? To proste. Agenci są świetni, ale to właśnie wy macie największe doświadczenie w rozpracowywaniu grup tego typu.

– Tak jest.

– Liczymy, że pomożecie Polsce i Europie wyeliminować tę plagę.

– Tak jest! To zaszczyt, pułkowniku! – odpowiedziała pewnym głosem, stając na baczność.

– Dziękuję. Naród będzie z was jeszcze dumny, poruczniku! Macie tydzień!

Odszedł, a Robi została na polu i myślała. Musiała ponownie przetrwać to, co właśnie usłyszała. To miała być pierwsza taka akcja w historii. Agenci mieli współpracować z wojskiem. Tego jeszcze nie było i nikt nie wiedział, jak potoczy się współpraca żołnierzy z kimś, kto oficjalnie nie istnieje! Kiedy Robi wyszła z osłupienia, zauważyła, że dookoła niej zebrali się rekruci.

- Co się stało, pani porucznik? – zapytał Dominik.
 - Panowie, zostaliśmy przydzieleni do bardzo poważnej misji. Będziemy działać razem z wojskiem. To akcja na skalę europejską. Mam nadzieję, że rozumiecie. Musimy być zgranym teamem, w którym każdy będzie ufał każdemu. Jasne? Mam was tak wyszkolić, byście przeżyli. Zamierzam tego dokonać.
 - Ile mamy czasu?
 - Mamy tydzień.
 - Tydzień? Ale... Ale licząc od kiedy?! – pisał Artur.
 - Siedem dni, zaczynając od jutra!
- Chłopcy popatrzyli na nią zbici z tropu. Tego się nie spodziewali.
- Szybkość, celność, spryt, przebiegłość! To jest ważne, ale najważniejsze jest zaufanie. Jeśli nie będziecie ufać sobie nawzajem, zginiecie. Taka jest prawda.
 - Tak jest!
 - Jest ciemno, więc poćwiczmy nocne misje – zarządziła, a jej uczniowie złapali za lunety z noktowizorem. – Ej, ej... Tak dobrze nie ma. Dzisiaj ćwiczmy swój wzrok bez zbędnych sprzętów. Żrenica ma to do siebie, że w dzień najlepiej widzi to, co ma na wprost. W nocy jest inaczej. Najlepiej patrzeć lekko na bok od celu. Pokażcie, na co was stać.
 - Tak jest! – zawołali i wrócili do ćwiczeń.
- Robi wraz z lornetką wróciła na swój tron i obserwowała rekrutów. Po jakimś czasie zadzwonił jej telefon.
- Gdzie ty, do cholery, jesteś?! Czekam na ciebie i na Neta z kolacją, a jeszcze trochę, a przyjdzie pora na śniadanie! Nie podoba mi się to! – awanturował się Darek.
- Agentka zerknęła na zegarek i aż przetarła oczy ze zdziwienia. Była trzecia w nocy. Jak ten czas szybko zleciał...
- Jestem na polu. Neta nie ma?
 - Nie.
 - To pewnie on i Szymon też został dłużej.
 - Co? Dlaczego?
 - Powiem w domu. Idź spać. Ja wrócę... Ee... Kiedyś. Dobranoc.
 - Nie podoba mi się to, że zarywacie noce! Dobranoc.

Rozdział trzeci

Spitfire wiele tłumaczy

Robi zmierzała w stronę polanki, na której czekać mieli jej rekruci. Poranne słońce świeciło jej prosto w oczy, a powieki same opadały ze zmęczenia. Od kilku nocy nie spała prawie wcale, a dni spędzała razem ze swoimi uczniami. Ziewnęła skrycie i zerknęła przez ramię, chcąc sprawdzić, czy aby na pewno nie zapomniała zabrać swojego Predatora. Bycie instruktorem czasami dawało jej w kość, ale dla młodych snajperów musiała być wzorem, więc kiedy zobaczyła ich kilkadziesiąt metrów przez sobą, poprawiła potarganą grzywkę i przetarła zaspane oczy.

Gdy tylko czwórka kursantów ujrzała swoją dowódczynię, stanęła na baczność i zaszalutowała. Robi skinęła głową na znak, że rekruci mogą spocząć, co uczynili.

– Macie farta, ofermy. Została was garstka. Udało wam się przebrnąć przez testy sprawnościowe, moje szkolenie i parę innych zajęć. Musicie wiedzieć, że to tylko przedsiónek piekła. Najgorsze was jeszcze czeka! – zaśmiała się agentka, przyglądając się, jak z twarzy chłopaków znika pewność siebie i łobuzerskie uśmiešky.

Gdzieś w oddali słychać było rytmiczny terkot, jaki zazwyczaj towarzyszy śmigłowcom. Zdezorientowani snajperzy patrzyli w niebo, szukając przelatujących maszyn, ale nie mogli ich dostrzec. Dźwięk stopniowo zanikał, aż prawie zupełnie ucichł.

– Pewnie policja patroluje okolicę – stwierdził Michał, zakładając ręce na piersi. – Kiedy byłem jeszcze w policji, latałem tak czasami.

Wszyscy z uznaniem pokiwali głowami, tylko Robi zachichotała cicho po nosem. Była ciekawa, jak uczniowie zareagują na jej „niespodziankę”. Stali tak w piątkę, beczynn timer czekając na nie wiadomo co.

– Pani porucznik, co my właściwie dzisiaj... – zaczął nieśmiało Tomek, patrząc na agentkę pytającym wzrokiem.

Nie zdążył dokończyć zdania, gdyż nagle znad drzew wyłoniły się dwie „Fregaty”. Płozami prawie kosiły najwyższe gałęzie drzew. Rekruci w przerażeniu podnieśli karabiny, ale natychmiast opuścili broń, ujrawszy biało-czerwone szachownice na kadłubach. Maszyny zatoczyły koło nad polaną i z wdziękiem wylądowały obok snajperów.

Czwórka pilotów wysiadła ze swoich „rumaków”. Jeden z nich, a był nim Franek, podszedł do Robi. Przybili sobie piątkę.

– Oni wiedzą? – zapytał Gryzoń i wskazał głową na rekrutów.

– Jeszcze nie. Chciałam, żeby to była niespodzianka – mruknęła Robi, a potem zwróciła się do swoich uczniów: – To jest porucznik Chomik, pseudonim: Gryzoń. Jest dowódcą pilotów, którzy dziś pomogą nam w przeprowadzeniu ćwiczeń.

– Spieprzać do maszyn! Za dwie minuty odlatujemy! – zawołał pilot i uśmiechnął się do swojej przyjaciółki.

– Mogę mieć pytanie? – zapytał nieśmiało Artur, a Franek kiwnął głową. – Jakim cudem pan porucznik podleciał do nas tak blisko, a my przez długi czas prawie nic nie słyszeliśmy?

– Cenimy sobie element zaskoczenia. Latanie pod wiatr to jedna z cenniejszych dla nas zasad. Teraz migiem na pokład. Nie chcemy opóźnień!

Snajper wystrzelił sprintem w stronę śmigłowca. Robi spokojnie ruszyła za nim razem z pilotem. Wskoczyła do sławnej już „Fregaty 9” i obie maszyny wystartowały. Podeszła od tyłu do Gryzonia i Czartera i poklepała ich po ramieniu.

– Czy „Fregata” nie miała iść na emeryturę? – zapytała, uśmiechając się łobuzersko.

– Nasi technicy zajęli się nią i przystosowali do lotów szkoleniowych jako wsparcie w czasie ćwiczeń lądowców. Nasze nowe maszyny są nadal testowane. Jutro mam właśnie lot. Dam czadu! – zaśmiał się Franek.

Polecieli prosto w Góry Sokole. Kiedy zawisnęli w powietrzu, nowi snajperzy popatrzyli niepewnie w dół. Robi zaśmiała się pod nosem i podeszła do drzwi.

– Skupcie się, panienki! – zawołała do krótkofalówki, przekrzykując terkot wirnika. – Załóżmy, że jesteśmy nad terytorium wroga. Na ziemię dostaniecie się techniką „fast-rope”. Łapcie za liny i zjeżdżajcie.

W czasie gdy rekruci rozpoczynali desant, Robi podeszła do Franka i uzgodniła szczegóły. Śmigłowce miały zatankować i wrócić do akcji. W planach mieli wiele „atrakcji” dla młodych snajperów.

Kiedy wszyscy byli już na dole, agentka zgarnęła dwie torby z pokładu i dołączyła do swoich uczniów. Rzuciła im bagaż pod nogi i uśmiechnęła się z satysfakcją. Zdumieni chłopcy popatrzyli niepewnie na pakunki, a potem na Robi.

– Jak już mówiłam, dzisiaj będzie ciekawie. Jesteście elitą elit. Ćwiczyliśmy przejście ze snajpera na liniowca. Dzisiaj zrobicie to w bardziej zaawansowanej wersji. Naszej reputacji nie zdobyliśmy za nic. Im więcej potu teraz, tym mniej ofiar później.

Otworzyła torby i wyciągnęła z nich sprzęt. Wszyscy mieli już przy sobie karabiny wyborowe. Teraz dostali jeszcze karabinki szturmowe, normalne pistolety, zapasowe magazynki i *ghillie suit*^[1]. Naboje były zaprojektowane przez Jakuba specjalnie na misję na terenie, który nie powinien być zanieczyszczony przez człowieka łuskami i pociskami. Wszystko wykonane było z biodegradowalnych kulek, które trafiając w cel, nie dziurawiły go, a jedynie zostawiały małe ślady w przypadku strzału z bliska, a w kontakcie z wodą rozpadały się na substancje zupełnie nieszkodliwe dla środowiska.

– Atakujecie mały barak, który macie zaznaczony tutaj. – Rzuciła im mapy. – Uważajcie na cywilów, maskujcie się dobrze. Jeśli ustrzelicie mi jakiegoś turystę i otrzymam od niego skargę, że z winy biegających krzaków ma na dupie siniaka, to zadbam, byście szorowali nasz tunel szczoteczkami do zębów!

– Tak jest!

– Zabierać sprzęt i ruszać dupska! Widzimy się, choć mam nadzieję, że was nie zobaczę, pod barakiem. Pokonajcie mnie, a spotka was miła niespodzianka.

– Tak jest!

Snajperzy zabrali się za przygotowania. Chwilę później pojawiły się nad nimi dwie „Fregaty”, które znów zbliżyły się do nich prawie bezgłośnie. Obok Robi pojawiła się lina, po której agentka wspięła się na pokład, zostawiając swoich uczniów samych, zdanych na siebie.

Obie maszyny leciały obok siebie w niewiarygodnie bliskiej odległości. Piloci dawali naprawdę dobry popis swoich umiejętności. Robi miała nadzieję, że jej przyszłe Irbisy również nie zawiodą.

Franek wysadził ją tuż obok baraku, w którym miała czekać na swoją grupę i wypatrywać ich błędów w czasie podejścia. Miała pewne wątpliwości co do tych ćwiczeń, bo dookoła kręcili się cywile, a to nie było zbyt korzystne w połączeniu z ćwiczeniami tajnej jednostki. Cały czas w głowie kłębiły jej się pomysły na wytłumaczenie pięciu tajemniczych „komandosów” kręcących się po górach. Póki chłopcy działali w strojach maskujących, to jeśli zostali dobrze wyszkoleni, nie mają prawa zostać zdemaskowani. Problemy miały się zacząć dopiero przy następnych ćwiczeniach. Innym mało konspiracyjnym elementem były dwa granatowe śmigłowce z wojskowymi oznaczeniami, które raz po raz przelatywały nad obszarem, po którym przemykali rekruci.

Był letni, niepokodny dzień. Ptaki wesoło śpiewały pośród gałęzi drzew, a zapach żywicy unosił się w powietrzu. Ziemia była nasiąknięta wodą po deszczu, który spadł tej nocy. Podstawa chmur zeszła praktycznie do gruntu, przez co górskie lasy zasnuła biała jak śmietana mgła.

Robi siedziała na małym pieńku w baraku, przy oknie. Nogi trzymała na parapecie, a na kolanach leżał jej Predator. Starannie polerowała szkła jego lunety, by w razie konieczności jej nie zawiódł. Zawsze powtarzała, że karabin potrafi się zemścić na kimś, kto nie traktuje go odpowiednio. Dobrze „wypieszczona” broń nie zacina się, można na niej polegać, a tor lotu pocisku nie jest zaburzony przez żadne zanieczyszczenia.

Po jakimś czasie zerknęła na zegarek i stwierdziła, że już czas zabrać się do obserwacji. Odłożyła karabin i złapała za lornetkę. Wpatrywała się w senny las, który sprawiał wrażenie pustego. Robi czuła, że gdzieś w pobliżu czają się jej rekruci. Nie widziała ich, ale czuć było ich obecność. W końcu zobaczyła podejrzenie wyglądającą kupę roślin. Była pewna, że wcześniej, gdy przyleciała, nie było jej tam. Złapała za karabin i strzeliła. Tajemniczy krzak wzdrygnął się i lekko podniósł.

– Kto jest na tyle tępy, żeby dać się ustrzelić tuż przed celem? – zapytała poirytowana i zobaczyła drugie skupisko zielska i znów strzeliła. – Już dwóch kretynów!

Nagle drzwi za jej plecami otworzyły się z hukiem i wpadła przez nie dwójka pozostałych snajperów. Robi odłożyła karabin i zaklaskała. Michał i Artur zrzucili z siebie liście i gałązki, po czym przybili sobie żółwika.

– Ruszacie się, jakbyście mieli tyłki z drewna. Zajęło wam to zbyt dużo czasu. Niemniej jednak gratuluję dotarcia do celu. Nie zauważyłam was.

Po chwili w drzwiach stanęła ustrzelona dwójka. Na ich twarzach malowało się zakłopotanie. Popatrzyli na Robi przepraszająco, a ona wstała, podeszła i zdzieliła ich po głowach.

– Jeśli to byłaby akcja, gnilibyście teraz w kałuży zaschniętej krwi! – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Nie chcę was w przyszłości identyfikować, jasne?! Na glebę i czterdzieści pompek! – Tomek i Dominik padli na ziemię i zabrali się do roboty. Kiedy Artur i Michał chcieli do nich dołączyć, Robi zatrzymała ich ręką i uśmiechnęła się lekko. – Kara jest tylko dla trupów. Wy możecie się rozsiaść wygodnie, podnóżki już macie. – zarechotała, wskazując ukaranych chłopców.

Zwycięzcy uśmiechnęli się do siebie, pobiegli do pieńków, usiedli, wyciągnęli nogi i oparli je na plecach kolegów.

– To nie fair! – pisnął Dominik. – Musimy to robić w całym ekwipunku, a oni jeszcze dociskają nas do ziemi!

– Nie szlochaj jak baba! Chcesz być Irbisem? Silne ręce ci nie zaszkodzą – mruknęła Robi

i znów spokojnie zabrała się za polerowanie karabinu.

– *Spitfire* wiele tłumaczy – mruknął Dominik.

– Ale że niby samolot? – wysapał zbity z tropu Tomek.

– Idioto! Jasne, że nie samolot! Przetłumacz to na polski! – warknął snajper. – *Spitfire* to złośnica albo złośnik! Pasuje. – syknął, a Tomek zaśmiał się cicho.

– Widzę, że macie siłę żartować. To zrobicie kolejne dwadzieścia pompek.

W końcu w piątkę wyszli na zewnątrz. Mgła nadal unosiła się pośród drzew. Dzięki nieciekawym warunkom atmosferycznym szlaki górskie były stosunkowo puste. W oddali słychać było terkot dwóch śmigłowców. Snajperzy udali się pod skalną ścianę i wszyscy, z wyjątkiem Robi, spojrzeli po sobie z przerażeniem. Nie spodziewali się takich niespodzianek na ćwiczeniach. Dowódczyni stała z założonymi rękami i uważnie ich obserwowała.

– Irbisy na pozycjach. Dawaj – mruknęła do krótkofalówki.

Po niecałej minucie nad ich głowami zawisnął jeden ze śmigłowców i spuścił na linie kolejną torbę. Gdy rekruci zobaczyli, co kryje się w paczce, o mało nie padli. Uprząże, liny, karabinki, kostki i cała reszta „szpeju”. Robi zaśmiała się, po czym szybko spoważniała i popatrzyła na chłopaków. Machnęła do nich ręką, dając znak, by zaczynali.

Ćwiczenie polegać miało na wspinaczce z obciążeniem typowym dla Irbisów w czasie akcji. Całe uzbrojenie, hełm, kamizelka, nakolanniki, magazynki i tym podobne ważyły łącznie około trzydziestu dwóch kilogramów. Agentka z zaciekawieniem przypatrywała się snajperom, którzy zaciskając zęby, pięli się powoli po skałach.

Robi siedziała sobie wygodnie na kamieniu i spokojnie pochłaniała karmelowo-czekoladowego batonika. Zerknęła na wykończonych już uczniów. Powinni coś zjeść po takim wysiłku. „Chodźcie, ptaszynki, no chodźcie...”, zaśmiała się w myślach, łapiąc za karabin. Uniosła lufę i wycelowała prosto w Tomka. Strzeliła w jego lewą nogę. Osunął się lekko, ale zdołał utrzymać się na ścianie. Z racji zastosowania asekuracji lotnej wszyscy znajdowali się przy skale, ale równocześnie liny chroniły ich przed runięciem na ziemię. Nie chcąc, żeby oskarżyli ją o brak sprawiedliwości, zaczęła strzelać w skały tuż obok nich, a czasami w nich. Marudzili okropnie, ale Robi tylko się podśmiewała.

– Płaczecie gorzej niż małe dzieci! Pokażcie, że macie jaja! Przeciwnik nie przerwie ostrzału tylko dlatego, że wam się to nie podoba! – zawołała.

Mimo trudności rekrutom udało się dotrzeć na szczyt, po czym zjechać na linach. Agentka przywołała ich do siebie i przyjrzała się im uważnie. Wyciągnęła z torby cztery czekolady i tyle samo woreczków z okropnym i wręcz niezniszczalnym suszonym mięsem, które było idealnym rozwiązaniem na wojskowe akcje.

– Ruszacie się jak muchy w smole. Niestety coś jeść musicie. Macie do wyboru dwie opcje. Siadacie wygodnie obok mnie i jecie czekoladę, a potem wracacie do śmigłowców i do bazy. Tam zdajecie odznakę, odmeldowujecie się i do widzenia. Inną opcją jest wasze „ulubione” suszone mięsko i bieg na sześć kilometrów, po którym wracamy do śmigłowców, dostajecie w łapę MRE^[2] i zasuujemy na polankę. To która opcja? – zapytała Robi i wyciągnęła w ich kierunku obie ręce.

Rekruci z utęsknieniem spojrzeli na pyszną czekoladę z orzechami i rodzynkami. Agentka pomachała im nią przed nosami, z niecierpliwością czekając na ich decyzję. Chłopcy nie jedli nic od rana, byli przemoczeni i w związku z tym lekko przemarznięci. Po chwili przekonała się, że wybrała do swej drużyny odpowiednich ludzi. Z lekkim zrezygnowaniem, ale

i zawzięciem na twarzach, sięgnęli po małe paczuszki wypchane suchymi kawałkami mięsa.

Robi doskonale pamiętała swoje ćwiczenia. Wtedy jeszcze większy nacisk kładziono na umiejętności związane z wodą. Nie mogła zapomnieć, jak kiedyś całymi jesiennymi dniami tkwiła obok Szymona w wodach Bałtyku i razem, uderzani falami raz po raz, starali się nie zatonać. Musieli też świetnie nurkować i pływać. Ćwiczyli różne scenariusze z pontonami, które musieli otworzyć zaraz po skoku ze śmigłowca. Instruktorzy próbowali wtedy złamać ich charakter, ale oni się nie dawali. Byli w stanie przeżyć na jednej, maks dwóch racjach MRE dziennie. Po ostatnich, najcięższych treningach padali z nóg, ale byli też nieziemsko dumni z siebie. Z kilkunastu kandydatów zostało czterech, w tym dwójka najmłodszych agentów w historii. Instruktorzy nie mogli uwierzyć, że dwójka dzieciaków przeżyła ten morderczy czas, osiągając przy okazji całkiem przyzwoite wyniki. Nie byli oczywiście mistrzami w każdej dziedzinie, ale i tak większość osób ich podziwiała. Motywacja zrobiła swoje.

Teraz czasy się zmieniły i zasady szkolenia też. Według Robi te „innowacje” są gorsze. Wprowadzają w życie rekrutów mnóstwo zamieszania. Na początku ludzie od werbunku wychwytyją ciekawe osobowości, które później trafiają na przeszkolenie i przystępują do egzaminów wstępnych. Starsi agenci nazywają to „sitem”, bo testy przechodzi mniej więcej połowa. Na tym etapie nie są zdradzane żadne taktyki, rekruci nie wchodzą do bazy, nie widzą nic zbyt tajnego, przez co nie wymaga się żadnych wybitnych zabezpieczeń. Ci, którzy przetrwali wstęp, są rozdzielani na grupy zadaniowe: walczone (snajperzy i liniowcy), lotnicze (piloci) i statyczno-rezerwowe. Ta ostatnia grupa jest kompletnie chaotyczną mieszanką. Są tam informatycy, agenci pomocniczy, technicy i kandydaci na ludzi od werbunku. Ze względu na styl jednostki grupy są bardzo małe, ćwiczy się podstawowe zdolności fizyczne, jak pływanie, biegi, tory przeszkód i zapoznaje się z najprostszymi rodzajami pistoletów. Później wybrańcy, którzy przebrnęli przez wszystkie egzaminy, znów zmieniają instruktorów, trafiając do bardziej wyspecjalizowanych grup (w zasadzie przechodzą dalej, tylko ostatnia grupa rozdziela się na mniejsze). W tym momencie zaczyna się praca Robi i jej przyjaciół. Dostali zadanie wyciągnięcia z tych chłopaków wszystkich ich zdolności i wyszlifowania ich jak kamienie szlachetne. Mieli uczynić z nich zahartowaną i profesjonalną elitę. Ostatni etap był w zasadzie ukoronowaniem pracy pozostałych ekip, wisienką na torcie.

Kiedy jej rekruci skończyli biegać i stanęli przed nią z satysfakcją na twarzach, z dumą złapali za suszone mięso i zabrali się za konsumpcję. Po chwili nad ich głowami znowu pojawiły się dwa śmigłowce. Wsiedli na pokład i odlecieli do Wrocławia.

Po powrocie udali się na polankę, gdzie kilku agentów pomocniczych ustawiło w ciągu dnia tor przeszkód i gdzie trenowali już agenci Szymona. Snajperzy dołączyli do nich i ćwiczyli do końca dnia.

^[1] *Ghillie suit* – stroje maskujące używane głównie przez strzelców wyborowych (przyp. red.).

^[2] MRE (ang. *Meal, Ready-to-Eat* – posiłek gotowy do spożycia) – racje żywnościowe używane w armii amerykańskiej (przyp. red.).

Rozdział czwarty **Każdy PAS to as**

Przez następne cztery dni młodzi agenci byli w swoich domach gośćmi. Prawie całe dni spędzali w bazie. Tam jedli, ćwiczyli i czasem nawet spali. Stawali na głowach, by ze swoich uczniów zrobić mistrzów. Świadomość, że muszą zdążyć, pomogła. Rekruci byli zdyscyplinowani i pokorni. Dawali z siebie wszystko. Ćwiczyli do czasu, aż zaczynali padać ze zmęczenia jak muchy. Drużyna jak złoto.

W końcu Robi, Szymon, Alan i Franek podjęli wspólną decyzję, że trzeba ich sprawdzić w boju. Udali się do dyrektora, by prosić go o pozwolenie na akcję próbną.

– Panie generale, taka akcja jest potrzebna. Nauczyliby się współpracy z poszczególnymi specjalizacjami. W końcu nie chcemy, żeby piloci otworzyli ogień do snajperów, a snajperzy do agentów. Muszą dowiedzieć się, jak działa PAS w prawdziwej walce – wytłumaczył Szymon.

– Zdajecie sobie sprawę, że do tego potrzeba odpowiedniego sprzętu? Przecież nie pozabijacie się tam naprawdę. Do tego: jak mają ćwiczyć piloci? Trzeba by pożyczyć myśliwce i poderwać nasze śmigłowce. Poza tym jak chcecie to zorganizować, nie budząc podejrzeń mieszkańców? –kontrargumentował dyrektor.

– Mamy broń do ćwiczeń. Pod Wrocławiem jest poligon. Moglibyśmy dogadać się z wojskiem.

– Racja, poruczniku. Nie zapominajcie, że loty myśliwców kosztują. Śmigłowce tak samo.

– To mamy posłać nowicjuszy na pewną śmierć? – zapytał Franek, patrząc smętnie na dyrektora. – Poza tym moi chłopcy byli już ze mną na lotnisku wojskowym, gdzie mieli okazję polatać na F-16. Głównie chodziłoby o śmigłowce.

– Dobra, macie zgodę – mruknął zrezygnowany generał, a czwórka przyjaciół przybiła sobie piątki. – Na jutro załatwię wam poligon. Nie słyszałem nic o ćwiczeniach wojska, więc nie powinno być problemu. Przekażcie to swoim drużynom. Odmaszerować!

– Tak jest! – zawołali chórem agenci i wyszli.

Wrócili do swoich grup i poprowadzili zajęcia tak jak zwykle. Irbisy Robi ćwiczyły przejście z pozycji snajpera na liniowca. Był to proces dużo bardziej skomplikowany, niż mogłoby się wydawać. Każdy z Irbisów w czasie akcji szturmowej miał przy sobie trzy rodzaje broni. Karabin wyborowy, szturmowy i zwykły pistolet. Uzbrojenie było modyfikowane, by jak najmniej ważyło. Irbisy przystosowano do tego, by w razie konieczności zastąpić szturmowców, uratować ich lub móc obronić się w czasie nieudanego zwiadu.

Po kolejnym dniu spędzonym w terenie Robi patrzyła na swoich uczniów z dumą i uśmiechem. Czowała, że odwaliła kawał dobrej roboty. Oni też się spisali, bo przecież gdyby się nie starali, nic z tego by nie wyszło.

– W szeregu zbiórka! – zawołała, a oni szybko wykonali polecenie. – Idzie wam całkiem nieźle. Gratuluję. Jutro sprawdzę, jak poradzicie sobie w prawdziwym boju. Będziecie walczyć

u boku agentów liniowych, ale nad waszymi głowami pojawią się też śmigłowce. Będziecie musieli mieć się na baczności.

- Tak jest!
- Jutro chcę was tu widzieć o szóstej.
- Tak jest!
- Odmaszerować.

Robi opuściła bazę stosunkowo wcześniej, bo jeszcze przed północą. Po drodze dogonili ją przyjaciele.

– Jak tam twoje Irbisy? Drżą na myśl o starciu z moimi agentami?
– Wręcz nie mogą spać po nocach – odparła agentka. – Tylko czekają, aż będą mogli wybić wszystkich do nogi i pokazać, że porucznik Descante nie może się ze mną równać!

Szymon popatrzył na Robi spode łba.

– To będzie rzeź. Piątka biednych snajperów razem z agentami pod dowództwem Neta? No błagam.

- Irbisy wygrałyby nawet same, bez pomocy.
- Tak? To dawaj. Jutro, po akcji. Moi chłopcy kontra twoi. Zobaczymy, kto jest lepszy.
- Umowa stoi!

Byli już pod domem i akurat w tym momencie wyskoczył z niego rozjuszony Darek. Przebiegł przez cały ogród i stanął między dwójką agentów.

– Jeśli macie ochotę znów rzucić się na siebie, to zapomnijcie o tym! Zasadziłem dzisiaj nowe tuje i dziką różę! Nie pozwolę, by te cudenka zginęły śmiercią tragiczną podczas waszych chorych potyczek! – wycodził przez zęby, patrząc to na Szymka, to na Robi.

– Spoko, dzisiaj będziemy grzeczni. Poza tym Szymon idzie do domu. Musimy się wyspać, bo jutro czeka nas długi dzień. Bardzo długi – powiedziała Robi, przechodząc obok mężczyzny, a Szymon szybko pokiwał głową.

– Ostatnio macie same „długie dni”! To niezdrowe.
– Przecież musimy ćwiczyć! Ojczyzna wzywa! – zawołał Net z entuzjazmem.
– To ja już sobie pójdę – mruknął Szymon i szybkim krokiem odszedł w stronę swojego domu.

– Ojczyzna, ojczyzna... Nadal twierdzą, że ta wasza misja to szaleństwo! Całe życie przed wami, a oni wciągają was w coś, co mocno odstaje od zakresu waszych obowiązków. Przecież to prawdziwe wojsko! To wojna! Oni was tam zniszczą!

– Dzięki za wiarę w nasze możliwości! – syknęła Robi.
– I za podtrzymywanie nas na duchu – mruknął smutno Net.
– Tyle lat cię wychowywałem! Starając się utrzymać cię z dala od wojska i niebezpieczeństwa! Myślałem, że na prostych akcjach zwiadowczych się skończy, że w końcu sobie odpuścisz! Tymczasem ty jesteś oficerem i zamierzasz ganiać z karabinem gdzieś za granicą! Pchasz się terrorystom pod lufę, a im właśnie o to chodzi! Nie po to cię chroniłem. Nie tak miało być...

– Właśnie. Jestem oficerem. To chyba coś znaczy. Skoro otrzymałam ten stopień, to znak, że coś potrafię, że dam sobie radę! Agenci to część wojsk specjalnych, a to oznacza, że jesteśmy świetnie wyszkoleni. Wiek nie ma tu znaczenia. Liczą się umiejętności. Poza tym jeszcze trochę, a będę pełnoletnia. Nie widzę tu żadnych przeszkód.

- Ale Robi...
- Wiemy, po co wstąpiliśmy do PAS. Skoro coś zagraża Polsce, to chcemy działać. Sam

wiesz, jak to jest. Nie próbuj nas zatrzymywać na siłę. Przecież przysięgaliśmy.

– Jesteście dziećmi! Nikt w waszym wieku nie biega z bronią! Jesteście za młodzi na walkę!

– My? Za młodzi? Tato, w historii o wiele młodzi brali udział w wojnie. Nie przesadzaj.

– Robi!

– Szare Szeregi! Młodzi powstańcy! Walczyli o wolną Polskę.

– To była wojna, dziewczyno...

– Teraz też jest wojna, nie ma dnia bez wojny. Sam mi to kiedyś mówiłeś. Różnica polega na tym, że toczymy ją w ukryciu przed cywilami, broniąc ich przed atakami terrorystów i szaleńców! Czy nie po to powstał PAS? By przeszkadzać wrogom, sabotować ich działania, walczyć z nimi i BRONIĆ obywateli? Poza weteranami, którzy założyli tę organizację, zostaliśmy tylko my. Młode pokolenie i kilku agentów w twoim wieku.

Darek wlepił wzrok w podłogę i zaniemówił. Pamiętał, że sam tak się buntował tuż przed swoją pierwszą zagraniczną misją. Jednak miała ona trwać jeden dzień. Tu w grę wchodziły tygodnie, miesiące, a kto wie, czy nie lata.

– Idę spać – mruknęła Robi i razem z Netem ruszyła na górę.

– Dobranoc – powiedział cicho Darek. – Śpijcie dobrze.

Robi siedziała na łóżku i nie mogła zasnąć. Cały czas myślała o słowach Darka. Nie mogła zrozumieć, dlaczego agent, który walczył przez tyle lat, nie potrafi zrozumieć chęci i zapału swoich następców. Młodzi agenci swoją służbę traktowali jako rodzaj przygody, nowe doświadczenia i możliwość wypełniania przysięgi. Dla nich to był zaszczyt i ogromna szansa.

– Robi? – usłyszała cichy szept.

Przez uchylone lekko drzwi zaglądał Net. Wyglądał na zmartwionego.

– Co jest?

– Śpisz?

– Chyba widać, że nie.

– Nie mogę zasnąć. Możemy pogadać?

– Jasne. Właż.

Chłopak uśmiechnął się i wskoczył do pokoju. Usiadł na dywanie i popatrzył na przyjaciółkę. Robi zeskoczyła z łóżka i dołączyła do niego.

– Trochę mam tremę. Wiesz, co to za broń? Ta, z której mamy korzystać jutro?

– No pewnie, że wiem! To jeden z naszych najlepszych treningowych bajerów. Strzelając z niej, masz wrażenie, że to prawdziwa broń. Sypią się łuski, huk przy każdym strzale i inne takie. Pociski nie są prawdziwe. To wynalazek naszych techników. Trafiony czuje uderzenie, ale nic mu się nie dzieje. Tymczasem pocisk po trafieniu w cel wysyła sygnał. Jeśli sygnał pokryje się z lokalizacją trafionego, to znak, że mamy rannego. Każdy z dowódców ma urządzenie, które zbiera wszystkie sygnały i wyświetla dane na ekraniku. Dzięki temu wiemy, kto z naszych odpada.

– A co z rannymi?

– Wada systemu. Pracują nad tym. Niestety na chwilę obecną nawet trafienie w rękę klasyfikuje cię jako martwego.

– Nie jest źle. Jest super!

– No. To coś jeszcze chcesz wiedzieć?

– Trochę się boję... No, bo wiesz. Mamy działać z wojskiem, a ja nie wiem, czy do końca rozumiem salutowanie. Jeśli tutaj gdzieś się zapomnę, to i tak mnie nie zjadą za bardzo.

W wojsku jest inaczej.

– Oj, daj spokój, salutowanie jest fajne.

– Mówisz tak, bo jesteś porucznikiem. To tobie większość musi salutować! A ja? Jestem beznadziejny.

– Daj spokój. Awansujesz kiedyś. Też byłam podoficerem. To nie takie złe przecież.

– Serio? W zasadzie to powinienem stać teraz na baczność. Przed tobą!

– Noo. – Robi uśmiechnęła się złowrogo. – Baczność!

Net popatrzył na nią z powątpiewaniem, a ona zaczęła się śmiać.

– Czym w świetle prawa jest PAS?

– Widmem. Dla większości społeczeństwa nie istniejemy. Dla rządu i wojska jesteśmy czymś mało sprecyzowanym. Dokładniej mówiąc, tajną jednostką wojsk specjalnych. Nikomu nie podlegamy, ale w razie potrzeby mogą nas poprosić o udział w misji takiej jak ta. Według nas jesteśmy wojskowymi antyterrorystycznymi komandosami, którzy czasem przypominają policję, czasem szpiegów, a czasem jeszcze kogoś. Jesteśmy tym, kim potrzebujemy być, ale zawsze działamy w jednym celu. Zawsze bronimy ojczyzny.

– Ładnie to ujęłaś. Zawile bardzo.

– Świetnie.

– Masz cykora? No wiesz, przed misją?

– Nie. Myślę, że damy radę. Jutro się okaże, czy mam rację.

Siedzieli tak przez dwie godziny. Rozmawiali o PAS-ie, Robi opowiadała o swoich misjach i szkoleniach, a Net o życiu u Delikowców. W końcu postanowili, że muszą pójść spać. Net wyszedł, a Robi w końcu położyła się do łóżka.

Już prawie zasypiała, gdy w drzwiach znów pojawił się jej przyjaciel. Teraz też wyglądał na przygnębionego.

– A co jeśli nas zabiją? – zapytał.

– Daj spokój. Każdy PAS to as. Będzie dobrze.

– Zazdrość optymizmu.

– To nie optymizm, to wiara w możliwości i umiejętności agentów – powiedziała Robi spokojnie i z uśmiechem. – Idź spać, bo jutro oboje będziemy jak zombie.

Rozdział piąty

Poczuj w sobie siłę Irbisa

Słońce dopiero wschodziło nad horyzont, gdy przed małym budynkiem w szczerym polu zebrali się agenci. Dowódcy wraz ze swoimi drużynami dopinali wszystko na ostatni guzik i omawiali taktykę. Drużyny Robi, Szymona i Franka miały działać razem i walczyć z innymi agentami.

– My będziemy bawić się w hakerów – zaśmiał się Alan, poklepując Franka po ramieniu.
– Padnie wam nawigacja.

– Weź, litości – zaśmiał się Gryzoń. – Poza tym nam to nie przeszkadza. Latanie z szachownicą zobowiązuje.

– Mam nadzieję, że twoi piloci są tak samo dobrzy jak inni.

Franek uśmiechnął się z dumą. Robi stała i słuchała, jak chłopaki szykują różne zasadzki. Ich przeciwnicy też byli dobrze zorganizowani. To miał być ostateczny sprawdzian dla rekrutów.

W końcu wsiedli do samochodów i udali się na poligon pod miastem. Nie pojechali z nimi tylko piloci, którzy wyruszyli na teren Aeroklubu, gdzie w osobnym hangarze należącym do PAS-u stały cztery śmigłowce. Dwa zwykłe i dwa bojowe. Wszystkie ze świeżo wymalowanymi polskimi szachownicami lotniczymi, które dostały zaraz po tym, jak PAS stał się oficjalnie częścią Wojsk Specjalnych.

Obie grupy spotkały się już na miejscu. Kiedy agenci liniowi i snajperzy zajmowali pozycje, cztery maszyny przemknęły im nad głowami.

– Mamy jakąś strategię? – zapytał Dominik, ładując magazynek.

– Oczywiście, że mamy! – zaśmiała się Robi.

– Jaką?

– Nie dać się zastrzelić i osłaniać naszych. Reszta wyjdzie w praniu.

– Tak jest!

Zebrali się w jedną grupę. Każdy z dowódców stanął przed swoją drużyną, a naprzeciw nim wyszedł pułkownik.

– Akcja ma być jak najbardziej realna. Macie na nią cały dzień i noc. Nie chcę widzieć żadnej fuszerki. Pokażcie się jako zawodowcy!

– Tak jest! – odpowiedzieli wszyscy chórem, a dowódca uśmiechnął się i odszedł w stronę swojego punktu widokowego.

Robi, Szymon i Net stanęli przed swoimi rekrutami, a przeciwnicy odeszli dalej, żeby się naradzać.

– Plan jest prosty. Irbisy mają najwięcej roboty, bo już za pół godziny ruszamy ze zwiadem. Sprawdzamy wszystko i przekazujemy informacje grupie szturmowej. Wtedy oni ruszają do boju i zaczyna się prawdziwa zabawa – wytłumaczyła Robi.

– Potem walczymy, wspierani przez snajperów i dwa śmigłowce. Inni agenci i pozostałe maszyny są naszymi wrogami. Rozumiecie? – zapytał Szymon.

– Tak jest!

Rozbiegli się na swoje pozycje i zabrali się do pracy. Jedynie Robi zatrzymała swoich uczniów przy sobie. Musiała im powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Ostatnia rzecz, jaką powinniście wiedzieć, to że na takich akcjach nie używamy imion. Ze względu na tajność naszych działań i z uwagi na bezpieczeństwo. W czasie ćwiczeń przywarły do was pewne ksywki i sądzę, iż nadadzą się na wasze pseudonimy. To tyle. Na pozycje!

– Tak jest!

Przezwiśka były bardzo oryginalne i każde wymyślono specjalnie dla danego Irbisa. Dominik Śliwa to Węgier, jak śliwki węgierki. Michał Ricker to Rico, od nazwiska, co łatwo wymyślić. Tomasz Winar to Grape, również od nazwiska, które uparcie kojarzy się z winem i winogronami. Artur Koper to Kappa, jak dziesiąta litera greckiego alfabetu, bo urodził się dziesiątego października. Robi miała ksywkę Spitfire, nadaną jej kiedyś przez Szymona. Nawiązywała do samolotu z okresu drugiej wojny światowej, ale agentka od zawsze podejrzewała, że miała też związek z tłumaczeniem tego słowa na język polski.

Irbisy ustawiły się na swoich pozycjach i ukryły w trawie. Piątka snajperów leżała i czekała na odpowiedni moment. W końcu błysk zielonej racy nad celem oznajmił początek akcji.

Ruszyli przed siebie, czołgając się powoli. Do pokonania mieli prawie dwa kilometry, a musieli uważać, by nikt ich nie zauważył. Zachodzili budynek z różnych stron i szukali jakichkolwiek śladów działalności wroga. Poruszali się powoli, uważając, by nie poruszyć zbyt wiele trawy i roślin, które mogłyby zdradzić ich pozycję.

Robi co chwilę zerkała na lokalizator i obserwowała cztery zielone kropki i jedną swoją, niebieską. Wszystko szło zgodnie z planem. Po czterech godzinach Irbisy wreszcie dotarły do celu. Zaczęły się sypać meldunki, które Alan i jego pomocnik musieli dokładnie zapisywać.

Nagle nad głowami snajperów przemknęły dwa śmigłowce. Leciały nisko, a na pokładzie tego nieuzbrojonego siedział strzelec wyborowy, przeczesujący wzrokiem trawę dookoła maszyny. Cała piątka przywarła do ziemi i czekała w bezruchu, aż wszystko się uspokoi.

Potem nadeszło sześć godzin kompletnej nudy. Snajperzy, jak to zwykle bywa, musieli czekać, aż pojawi się cel. Do tej pory rozpracowali już cały teren, ale główny sens misji był jeszcze poza ich zasięgiem. Gorące letnie słońce grzało im po plecach, ale oni wytrwale wyczekiwali. W końcu nadszedł wymarzony moment i grupka grająca dowódców terrorystów zajmujących budynek pojawiła się w oknie. Od razu znów posypały się meldunki, tym razem na temat ilości i rodzaju uzbrojenia zauważonego u wroga.

– Zwiad zakończony. Fisher rusza – mruknął do krótkofalówki znudzony Szymek.

– Jastrząb i Wróbel w powietrzu – zameldował Franek.

– Przyjęłam. Powodzenia. Irbisy czekają – odparła Robi.

Wszystko przebiegało gładko. Agenci zbliżali się powoli do stanowisk snajperów i w końcu przeszli obok nich.

Robi przeczesywała uważnie sektor po sektorze. Przejrzała potencjalnie punkty strategiczne, w których mogli się ukrywać snajperzy przeciwnika. Poszukiwania opłacały się.

– Dwadzieścia stopni na południowy wschód. Widzicie go?

– Tak – odpowiedzieli Rico i Grape.

– Nie mam wolnego strzału. Nasi na linii ognia. Rico, zdejmij go.

– Tak jest! – odpowiedział ochoczo Michał.

Usłyszała cichy pisk. Zerknęła na lokalizator. Rico trafił kogoś, a jego położenie zgadzało się z namiarami tamtego.

– Brawo, Rico! Trafiony, zatopiony! – zaśmiała się wesoło i wróciła do przeszukiwania terenu.

Irbisy działały zgodnie z planem. Cały czas nad ich głowami krążyły śmigłowce, które próbowały się nawzajem zestrzelić, a jednocześnie bronić swojej drużyny agentów.

Po jakimś czasie Robi i jej uczniowie wyeliminowali wszystkich snajperów przeciwnika. Niestety Irbisy też poniosły straty. Grape oberwał przy próbie zestrzelenia jednego z wrogów, który siedział na drzewie. Wypadł z gry.

– Dobrze nam idzie – usłyszała głos Kappy, a po nim wesołe potwierdzenia od innych Irbisów.

Śmigłowce przeniosły swoją walkę tuż nad głowy agentów. Strzelcy pokładowi ze wszystkich sił starali się trafić piechotę. Teraz Irbisy musiały się skupić na likwidacji zagrożenia czyhającego na nich w powietrzu.

– Nie zestrzelcie naszych! Pamiętajcie, macie tylko kilka sekund na to, żeby zdecydować, czy to swój czy wróg. Liczy się celność i refleks.

– Tak jest!

Każdy z pilotów nosił na ramieniu opaskę. Sojusznicy Robi mieli niebieskie, a przeciwnicy czerwone. W czasie dynamicznej akcji naprawdę łatwo było się pomylić.

Szturmowcy dobrnęli w końcu do budynku i zaczęła się prawdziwa walka. Po kilkunastu minutach dotarli do bramy i weszli do środka. Robi straciła ich z oczu.

Już po chwili na dachu pojawiła się postać w granatowym stroju. W stronę nieba wystrzeliła niebieska raca, a w drużynie Szymona wybuchła fala radości. Irbisy też uśmiechnęły się pod nosem. Walka była wygrana.

– No, kociaki, na waszym miejscu bym się tak nie cieszył. Zaraz nadejdzie wasz koniec! – zarechotał Szymon, machając ręką w stronę pozycji Robi.

– To nie fair! Was jest piętnastu! Nas zaledwie piątka! – syknęła Robi.

– Wymiękasz. Wiedziałem, że się poddasz! Cykor!

Robi zmarszczyła brwi i mocniej złapała swój karabin. Nałożyła gogle na oczy i uśmiechnęła się złowrogo.

– Nigdy nie cykorzę i ty powinieneś to wiedzieć – zaśmiała się, a jej uczniowie zaczęli wiwatować.

– Fisherakom złoimy tyłki! Poznają, co znaczy gniew panter! Irbisy to potęga, każdy agent przed nami klęka! W nas jest moc, w nas jest siła, nikt nas nigdy nie powstrzyma! – wykrzykiwali snajperzy, przekrzykując siebie nawzajem.

– Zaczynamy – warknął Szymon. – Żeby było sprawiedliwie, wyłaźcie z krzaków. Wy nas widzicie, a my was nie. Walczmy na równych zasadach.

– Macie przewagę liczebną, ale niech wam będzie – mruknęła agentka i wstała.

Zerwała liście z hełmu i wskoczyła za drzewo. Pozostałe Irbisy też wyszły z ukrycia. Wszyscy byli pewni siebie, choć wiedzieli, że nie walczą z byle kim.

– Gdzie jesteś, rudzielcu? Złośnico jedna – nawoływał Szymek, idąc spokojnie z karabinem przez łąkę.

Robi wychyłała zza drzewa i zeskoczyła z pagórka. Zsunęła się lekko po suchej ziemi. Uniosła karabin i wycelowała.

– Spitfire. Nie ukryjesz się przede mną już nig... – Przemowę przerwał mu przenikliwy

pisk wydobywający się z jego lokalizatora. – No bez jaj!

Uśmiechnęła się szeroko i odbiła w stronę pozostałych kotów.

– Szefa nam ustrzelili! – pisnął Kali.

– Trzeba ich wybić! Ich jest tylko garstka! – krzyknął White.

Usłyszeli tupot stóp, a zaraz potem zdenerwowany wrzask Kaliego, który był zastępcą dowódcy.

– Idioci! Nie możemy wybiec całym tłumem, bo nas wystrzelają. Ci którzy zostali na zewnątrz: przyjrzyjcie się lasom i szukajcie kotów. Osłaniajcie nas.

– Tak jest! – odezwał się Banko.

Część szturmowców leżała w trawie i osłaniała tych, którzy tkwili w budynku. Teraz odrobinę bali się ruszyć. Nie podzielali zdania swojego dowódcy. Nie do końca wierzyli w swoje zwycięstwo. Irbisy były szkolone do wygrywania i z definicji byli najlepsi.

– Może się poddamy? – zapytał któryś ze szturmowców.

– Nie ma mowy. Agenci się nie poddają! – syknął Kali.

– Taką postawę się chwali – zaśmiała się Robi. – Tylko następnym razem przełączcie się na własną częstotliwość, bo troszeczkę was słychać.

Kali coś przeklął i wrzasnął, żeby reszta przełączyła się na ich tajną częstotliwość. Robi zarechotała. Spodziewała się czegoś bardziej pasjonującego.

– Koty, na linię! Ćwiczyliśmy to. Snajperki na ramię, szturmówki w dłoń. Do boju!

Irbisy zmieniły broń i pognały do przodu. Krąg się zacieśniał. Agenci w końcu ich dostrzegli. Otworzyli ogień. Już po chwili paru szturmowców wypadło z gry. Pozostali zostali uwięzieni w budynku. Nie minęło kilka minut, a snajperzy wpadli z hukiem do środka i pojmali jeńców po krótkiej walce wręcz.

Gdy wyszli na zewnątrz, wszyscy uznali zawody za zakończone i ogłosili zwycięstwo Robi. Irbisy wypuściły swoich zakładników.

BIIIP!

– Co jest?! – pisnęła agentka, zerkając na lokalizator.

BIIIP!

– No bez jaj! – krzyknęła znów.

BIIIP! BIIIP!

– Zabiję, ukatrupię! – syknęła, łapiąc za karabin, kiedy domyśliła się, kto strzela. – Fisher! Jesteś martwy!

Znalazła go szybciej niż on ją. Wycelowała i strzeliła. Przez lunetę zobaczyła, jak mała kulka trafia go w sam środek gogli. Dokładnie między oczy.

– Niech cię szlag, Spitfire! – wrzasnął chłopak i zniknął gdzieś w tłumie.

Pułkownik podszedł do grup, które zebrały się w dwuszeregu, i w dość krótkim przemówieniu pogratulował im profesjonalizmu i skuteczności. Nie obeszło się bez pogadanki o regulaminie, przestrzeganiu zasad i tym podobnych.

Na koniec oznajmił, że nazajutrz piloci z samego rana mają wyruszyć na najbliższe lotnisko wojskowe i razem z pilotami Sił Powietrznych poćwiczyć. Franek i jego uczniowie przyjęli tę wiadomość okrzykami radości i oklaskami. Robi z zazdrością popatrzyła na roześmianego przyjaciela. Później jednak przyszedł czas na coś, co zaskoczyło wszystkich.

– Pojutrze wyjeżdżacie do Rosji. Do bazy nad Morzem Kaspijskim, pod Kaukazem. Mam nadzieję, że się cieszyacie.

Wrócili do domów w mieszanych nastrojach. Robi i Net maszerowali obok siebie,

a Szymon ciągnął się kilkanaście metrów za nimi. Nie odzywał się do nich przez cały czas. W końcu musieli skręcić w inne ulice i zniknęli sobie z oczu.

– Wróciliśmy! – zawołała Robi, kiedy weszli do przedpokoju.

– Jak wam poszło? – zapytał Darek, krzycząc z kuchni.

– Dobrze. Rozgromiliśmy przeciwnika.

– To fajnie. – Głos Darka brzmiał jakoś oschle.

– Robi zastrzeliła Szymka! – krzyknął wesoło Net.

Darek wychylił się zza drzwi i popatrzył na dziewczynę z przerażeniem, a ona trzepnęła chłopaka w głowę.

– A to za co?!

– Za to, że pleciesz bzdury – mruknęła. – Szymon żyje. Możliwe, że bym go nawet nie „zastrzeliła”, ale był na niekrytej pozycji! I gadał głupoty. Sam się prosił. Czysty cel, to czemu by tu nie strzelić.

– Robi, ja cię nie poznaję. Zmieniłaś się lekko przez te dwa lata.

– I to mnie martwi. No ale co zrobić, takie czasy. Nie mówię, że to lubię, ale że tak czasami trzeba.

Darek pokręcił niepewnie głową.

– Jutro śpimy do obiadu, a pojutrze wylatujemy – mruknęła, zmierzając w stronę schodów.

– Co?! Na tę misję?! Już?! – zapytał zbity z tropu. – Przecież możecie tam zginąć! Wpadniecie w wir wojny! Jesteście przecież tacy młodzi! – Darek zaczął panikować.

– Damy sobie radę. Znasz mnie. Umiem się zakraść niezauważona, umiem trafić z dalekich odległości, zawsze uciekam na czas, wywinę się z kłopotów!

– Tak, ale masz talent do pakowania się w tarapaty!

– Przesadzasz. Idę spać. Dobranoc – ucięła dyskusję i pobiegła w stronę swojego pokoju.

Usiadła na łóżku i popatrzyła smutno na tablicę korkową, na której wisiało zdjęcie przedstawiające ją i jej rodziców.

– No a co wy o tym sądzicie?! Wy byście mnie zrozumieli... Wiecie, po co to wszystko, wiecie, jakie to ważne – szepnęła przez łyzy. – Dlaczego was nie ma?

Rozdział szósty „Sielanka”

Ciepłe łóżeczko, miękka poduszka. Tak dobrze się spało. Cieplutko, miło i wygodnie. Tak spokojnie i przyjemnie...

– Robi! Ruchy! – usłyszała zza drzwi wołanie Szymona, a zaraz potem denerwujący dźwięk trąbki.

– Przeklinam dzień, w którym zaprzyjaźniłam się z tymi kretynami... – mruknęła zaspana, chowając głowę w pościel.

Otworzyła oczy i zerknęła na zegarek. Była czwarta nad ranem. Jedyne, co jej chodziło teraz po głowie, to chęć powtórzenia „wyczynu” z ćwiczeń, ale z innym karabinem i ostrzejszą amunicją. Mimo wszystko postanowiła się powstrzymać. W końcu był to jej przyjaciel.

– Jeszcze chwila, a coś ci zrobię! – wrzasnęła na całe gardło, próbując przekrzyczeć trąbkę.

Nagle zapadła cisza. Balsam dla uszu. Do pokoju wpadł zaspany Net, a zaraz za nim pojawił się Szymon.

– Ruszajcie się, lenie patentowane! Czekają na was! – krzyknął.

– Krzyczy tak od jakiegoś czasu! A ja nie wiem, o co chodzi! Robi, ratuj! – jęknął Net.

– Kto czeka?

– No jak to: kto?! Wojsko Polskie!

– O, cholera, to dzisiaj! – krzyknęła Robi, zrywając się na nogi i prawie przewracając Neta. – To dzisiaj!

– Ubierajcie się! Podobno mają jakąś niespodziankę dla PAS-u!

Szymon poszedł do salonu, a Net i Robi ubrali się w swoich pokojach. Zbiegli na dół w swoich nowych, specjalnie przygotowanych na tę akcję granatowo-czarnych mundurach. Nastolatka wpadła na Darka, który akurat wychodził z kuchni.

– Może jednak nie jedźcie? – mruknął ponuro, podając Robi trzy kanapki zawinięte w folię.

– Tato, damy sobie radę – odparła agentka i ze zdziwieniem popatrzyła na Darka. – Po co nam wałówka?

– Nie chcę, żebyście byli głodni. Poza tym, Robi! Obiecaj, że nie będziecie brali udziału w walkach. Dobrze wiem, że macie tam tylko pomóc.

– Po to mamy drużyny, żeby pomagać również militarnie. Proszę, nie kłóćmy się. Obiecuję, będziemy... ostrożni.

Przytulili się mocno i uśmiechnęli się do siebie. Wyszli z domu. Za furtką stał wojskowy jeep, a przy nim dwóch żołnierzy w mundurach, wyglądający na znudzonych.

– Porucznik Damon melduje się – mruknęła Robi.

– Nareszcie – odpowiedział młody porucznik i uśmiechnął się lekko, po czym spojrzął na karabin Robi, zawieszony na jej ramieniu. – Broń byśmy zapewnili. – Zaśmiał się.

Popatrzyła na niego znacząco, a on powoli pokiwał głową i przewrócił oczami.

– Wy, snajperzy, jesteście tak przywiązani do tych swoich karabinów, że aż głowa mała. Wsiadajcie.

– Tak jest.

Samochód ruszył z piskiem opon i już po chwili żółty dom zniknął za horyzontem. Wyjechali z miasta, a trójka agentów odwróciła się i ze smutkiem zerknęła na zieloną tabliczkę z napisem „Wrocław”. Mknęli między polami, aż w końcu skręcili w wąską polną dróżkę. Na łące, po lewej stronie, stał granatowo-czarny śmigłowiec. Kolor był nietypowy jak na wojsko. Wszyscy spodziewali się zielonego.

– Nieźle cacko, nie? – zapytał Franek, kiedy tylko podeszli do maszyny. – PAS zakupił go tydzień temu! Ma wzmocniony kadłub, silniki o większej mocy i wiele innych bajerów. Mówię wam, coś wspaniałego! Lecimy nim do Radomia, potem pakujemy się razem z nim do transportowca i w drogę.

– Tak – mruknął porucznik. – A za sterami oczywiście Gryzoń i Flara!

– F-flara? – wyjąkała zdziwiona Robi.

– Flara, Karol. Jak wolicie – odezwał się drugi pilot, przekrzykując odgłosy wirnika.

– Ale... – Robi nadal nie wiedziała, co się dzieje.

– To mój kumpel z Sił Powietrznych. Razem kończyliśmy Szkołę Orląt. Potem on został w bazie, a ja wróciłem do PAS-u. Nasze drogi się rozeszły.

– Dziki fart wysłał nas na tę akcję razem – zaśmiał się Flara i razem z Gryzoniem przybili sobie piątkę.

– Pilot? Z Sił Powietrznych?! – wymamrotała Robi, a jej twarz zalała się rumieńcem. – Ale super!

– A z nią co jest nie tak? – szepnął Karol do swojego przyjaciela.

– Spoko, to wielka fanka lotnictwa. Reaguje tak na pilotów, śmigłowce, myśliwce i inne samoloty.

– A na ciebie?

– Mnie zbyt często widuje w cywilu. Już się przyzwyczaiła. Kwestia czasu. Faza na śmigłowce PAS-u też jej minęła częściowo. No wiesz, rutyna.

– Fajnie. Lubię fanów lotnictwa. Są pozytywnie pokręcani.

– Możecie mnie nie obgadywać? – mruknęła nastolatka, a na jej twarzy od razu pojawił się szeroki uśmiech.

Trójka agentów i porucznik wsiedli na pokład, a sierżant, który siedział za kierownicą, wrócił do samochodu i odjechał. Po chwili maszyna oderwała się od ziemi i skierowała się w stronę Radomia.

Robi była w siódmym niebie. Cały czas wpatrywała się w dwójkę pilotów, a w szczególności przypatrywała się Karolowi. Wsłuchiwała się w każde jego słowo, kiedy opowiadał o szkole, lotniskach i ćwiczeniach.

Tymczasem Alan podróżował osobnym śmigłowcem, razem ze swoim uczniem i całym potrzebnym im sprzętem. Irbisy i agenci z drużyny Szymona jechali pociągiem. Piloci Franka mieli zająć się dostarczeniem na lotnisko Alana i dwóch uzbrojonych śmigłowców PAS-u. Każdy miał swoje zadanie i wszystko szło zgodnie z planem.

Dolecieli do Radomia po około dwóch godzinach. Płozy śmigłowca zetknęły się z betonowym podłożem na wojskowym lotnisku.

– Jesteśmy na miejscu! – zawołał wesoło Flara.

Na płycie stał transportowy Hercules, który miał zabrać ich do bazy. Kiedy śmigła

wreszcie się zatrzymały, Robi ostrożnie wysiadła z maszyny. Rozejrzała się dookoła, a na jej twarzy znów pojawił się uśmiech.

– Stoję... Na ziemi... Po której... Kołowały... Myśliwce! Ale... Super! – wymamrotała, będąc w szoku.

– Robi. Lepiej chodź – zaśmiał się Franek.

Złapał ją za ramiona i popchnął w stronę samolotu. Wsiedli na pokład i przygotowali się do lotu. W tym czasie do części ładunkowej zapakowano odpowiednio przygotowany śmigłowiec, którym tu przylecieli.

Stopniowo pojawiali się pozostali. Zaczynając od Irbisów, przez agentów Szymka, a na Alanie kończąc. Przywitali się, pośmiali i w końcu po jakimś czasie wystartowali. Ciężki samolot oderwał się od ziemi i poleciał w stronę bazy.

– Będziemy tam koło dwudziestej pierwszej czasu miejscowego. Zameldujemy się u pułkownika i odpoczniemy. Rano się zacznie jazda – zaśmiał się Franek i z uśmiechem popatrzył na Flarę.

– Agenci będą kisić się na ziemi razem z żołnierzami, a my będziemy latać im nad głowami.

– Ty będziesz kisił się w śmigłowcu, a ja mam w plan dnia wpisane loty na Jastrzębiach. Będę zasuwał ci nad śmigłami na pełnym dopalaczu! – zarechotał Gryzoń.

Podróż minęła im szybko. Przez cały lot dyskutowali, żartowali i integrowali się ze sobą. Nawet nie zauważyli, kiedy koła Herculesa dotknęły pasa, a samolot zaczął tracić prędkość.

– No to jesteśmy – oznajmił w końcu pilot.

Wszyscy wysiedli, rozprostowali kości i rozejrzeli się. Było już prawie ciemno. Cała baza powstała z myślą o tej akcji. Całe szczęście, że akurat tutaj był stary, od dawna nieużywany pas startowy i dwa hangary w nienagannym stanie. Oczywiście trzeba było to wszystko przygotować, ale roboty nie było dużo. Obok „lotniska” stały liczne namioty, baraki i kontenery. Nie brakowało tam polskich flag i białych orłów, przez co cały obiekt wyglądał jak małe polskie miasteczko w środku obcego kraju. Wszędzie kręcili się żołnierze.

Kiedy tylko agenci zeszli z pasa startowego i stanęli na jednej ze ścieżek, cała kadra lotniska na moment zamarła. Przypatrywano się przybyszom z lekkim niedowierzaniem i ciekawością. Mało kto miał okazję spotkać kogoś z PAS-u osobiście. Dziwiły też mundury gości.

– O, mają czołgi! – ucieszył się Net, przerywając niezręczną ciszę, która zapanowała w okolicy.

– Net, nie rób siary! – szepnęła Robi, kiedy jej przyjaciel podbiegł do pojazdu. – To nie czołg!

– Nie? – zapytał zawiedziony, głaszcząc ręką maszynę.

– No a widzisz gdzieś lufę? To zwykły wóz opancerzony. To dość spora różnica.

– Łee tam. I tak jest fajny.

Przewróciła oczami i zerknęła na wpatrujących się w nich żołnierzy. Dosłownie pękali ze śmiechu. Ledwo agenci dotarli do bazy, a zostali wzięci za dziwaków.

– Chodź, jak będzie gdzieś czołg, to ci powiem.

– Okej.

– Chodźmy do pułkownika. Musimy się zameldować – mruknął Franek, rozglądając się dookoła. – Flara, ty podobno znasz teren. Prowadź, wodzu.

– Jasne. Chodźcie za mną.

Ruszyli żwawym krokiem. Kiedy przechodzili obok saperów, samochodów i żołnierzy, Net dostawał świra. Był tak szczęśliwy, że już chyba szczęśliwszy być nie mógł. To była dla niego ogromna przygoda, coś, o czym marzył przez całe życie.

– To tutaj. Ja spadam do chłopaków, a wy się meldujcie. Do zobaczenia – zawołał Flara i odszedł.

Weszli do małego budynku i od razu skręcili w stronę biura pułkownika. Zapukali i weszli do środka. Wszyscy stanęli na baczność. Za biurkiem siedział wysoki, dobrze umięśniony żołnierz w średnim wieku. Miał krótkie blond włosy, garbaty nos i kwadratową szczękę. Popatrzył na agentów ze zdziwieniem.

– Porucznik Robi Damon melduje drużynę PAS-u gotową do służby – wyrecytowała Robi.

– Spocznij – mruknął zbity z tropu dowódca, po czym nie wytrzymał i powiedział: – Dziewczyna? Nie poinformowano mnie, że w drużynie jest kobieta. Wy, dowódcy grup, macie jeden wspólny kontener.

– Nie powiem, żebyśmy narzekali – zaśmiał się Franek w imieniu chłopaków.

– Ale to niezgodne z zasadami. Nie możecie być razem. Kobieta i mężczyźni?

– Panie pułkowniku, Robi to taki prawie chłopak – stwierdził wesoło Alan, a Robi zmierzyła go morderczym wzrokiem, dzięki czemu szybko się poprawił. – No dobrze, nie chłopak, ale nic złego się nie stanie. Jesteśmy jednym teamem.

– Nie mogę się na to zgodzić.

Franek uśmiechnął się szeroko i zaczął nawijać jak katarynka. Mówił tak szybko, że trudno go było zrozumieć.

– To obetniemy jej włosy, przykleimy sztuczne wąsy, zaczniesz mówić niższym głosem, wypchamy jej... – Robi walnęła go z całej siły łokciem w brzuch. – No dobra, bez tego ostatniego.

– Nie mogę. Jak się inni dowiedzą...

– Jesteśmy z PAS-u. I tak mają nas za dziwaków i patentowanych łamaczy regulaminu. Nie robi to na nich wrażenia – mruknął Szymon.

– Sam nie wiem.

Cała czwórka popatrzyła na dowódcę błagalnym wzrokiem, a Robi miała wrażenie, że tylko jej jest to obojętne.

– Okej, nie mam pojęcia o tym, jak jesteście rozlokowani. Idźcie już, póki nic nie wiem i nie widzę.

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem, stając na baczność.

Kiedy już wychodzili, Gryzoń odwrócił się w drzwiach i uśmiechnął do pułkownika.

– Dziękujemy – powiedział wesoło.

Dowódca pokręcił głową z politowaniem i uśmiechnął się lekko.

– Już was tu nie ma!

– Tak jest!

Wyszli na dwór. Szczęście chłopaków sięgało zenitu. Robi nie miała pojęcia dlaczego. Chyba nie zdawali sobie sprawy, że pierwsze, co robi po dotarciu na miejsce, to osłoni się od nich czymkolwiek, byleby tylko mieć swój kącik z dala od natrętnych spojrzeń.

– Czołg! – wrzasnął Net nagle i bez ostrzeżenia.

– Co?!

– No czołg tam jedzie...

Wszyscy, którzy mogli usłyszeć krzyk Neta, a było takich wielu, popatrzyli na nich ze zdziwieniem.

– Net, to nie czołg! Mówiłam przecież, że powiem ci, jeśli jakiś gdzieś będzie – syknęła Robi.

– Sorry.

– Jesteśmy tu niecałą godzinę, a większość ma nas za idiotów.

Nagle nad ich głowami przemknął F-16. Leciał nisko, podchodził do lądowania. Zrobił parę beczek i po chwili delikatnie dotknął kołami ziemi i zatrzymał się kawałek dalej.

Robi stała wpatrzona w niego jak w obrazek. Net pomachał jej ręką przed oczami, ale nie zareagowała.

– Co jej jest?! – pisnął zdezorientowany.

– Ty masz świra na punkcie czołgów, a Robi na punkcie myśliwców – zaśmiał się Franek i złapał Robi pod rękę. – Nie ma opcji, żeby teraz się ruszyła. Mogłaby tu stać do rana i gapić się na niego – mruknął i zaczął ciągnąć agentkę w stronę kontenera, w którym mieli spać.

– Głośne, latające kupy złomu! – mruknął Net.

– To myśliwiec! Nie żaden złom! – warknęła Robi, a Franek zachichotał cicho.

– Ja się z nią zgadzam. Latanie jest super.

– Latanie?! No tak! Jesteś pilotem! O rany!

– Robi – mruknął Alan, przytrzymując ją w miejscu. – Wdech... Wydech... Spokojnie.

– Dobra, już. Jestem spokojna.

– Na bank?

– Tak – szepnęła, ale mimo starań nie wytrzymała. – No ale to jest F-16!

– Robi! – syknęła cała czwórka.

– Dobra, wiem. Już.

W końcu dotarli do kontenera. Zajrzeli do środka. Ich oczom ukazało się sześć łóżek polowych i kilka luźnych desek, dwa stoliczki i nic poza tym. Robi i Szymon uśmiechnęli się do siebie i od razu pobiegli zająć miejsca. Agentka wywalczyła sobie łóżko w rogu, a jej przyjaciel usadowił się obok. Alan i Franek spokojnie weszli i rzucili torby na środek podłogi. Tymczasem Net stał i z tępym wyrazem twarzy przypatrywał się temu wszystkiemu.

– Mamy w tym spać? – zapytał w końcu.

– A ty, stary, czego się spodziewałeś? Pięciogwiazdkowego hotelu, SPA i uroczych hostess gotowych spełnić każde twoje żądanie? To jest wojsko, przyjacielu. My zamiast uroczej, uśmiechniętej obsługi mamy zrzedliwą Robi – zaśmiał się Szymon, za co oberwał od przyjaciółki torbą w brzuch.

– Ale... Tutaj? – Net był bliski płaczu.

– Przyzwyczajaj się – mruknął Franek.

– Jutro będzie fajnie! – stwierdziła Robi, wypakowując swój karabin i delikatnie gładząc go po lufie. – Mamy w pełnym rynsztunku pójść na patrol w pobliskim miasteczku. Wiecie, coś w stylu „my tu panujemy i jesteście czujni”. Będzie fajnie.

Szymon pokiwał ochoczo głową i razem przybili sobie piątkę.

– A teraz wybaczenie, muszę tu coś przemeblować – mruknęła Robi i złapała za dwie spore dykty stojące z boku.

– Co ty chcesz tu zmieniać? Mnie tu się podoba – stwierdził Alan.

– Oj, tak. To to ja wiem. Wam się podoba, mnie nie. Faceci...

Przeciągnęła deski i ustawiła je wokół swojego łóżka, tworząc coś w rodzaju małego,

odrębnego pokoju. W przerwie między „ścianką” przeciągnęła sznurek i zawiesiła na nim ręcznik. Wskoczyła do środka i wystawiła głowę ze swojej kryjówki.

– Jak wam się podoba? – zapytała.

– Nijak – burknął Szymon, a reszta potwierdziła to niezadowolonymi szeptami.

– Jesteście straszni. Dobranoc. – Zachichotała i schowała się w swoim zaciszu.

Rozdział siódmy Szkola przetrwania i marchewki

Zostali brutalnie obudzeni przez strasznie irytujący dźwięk trąbki. Była piąta rano, a słońce dopiero wschodziło ponad horyzont. Powietrze było jeszcze przyjemnie wychłodzone przez noc. Piątka przyjaciół ubrała się i przygotowała.

– Pułkownik wzywa do siebie agentów PAS-u – oznajmił sierżant, stając na baczność.

– Powiedźcie, że zaraz będziemy – mruknęła Robi, stając przed chłopakami.

– Tak jest, pani porucznik! – Zasalutował i wyszedł.

Szymon westchnął i opadł na łóżko. Wszyscy popatrzyli na niego lekko zdziwieni.

– Powiedźcie, że zastrzelił mnie snajper, a ja tymczasem się wyśpię... – wymamrotał i zanurkował pod koc.

Franek popatrzył na niego z politowaniem i zerwał z niego przykrycie. Szepnął mu coś niewyraźnie, a on poderwał się i wybiegł z kontenera. Pilot zarechotał wesoło.

– Co mu powiedziałeś? – zapytała zaciekawiona Robi.

– Że jak tak będzie słodko spał, to wrzucimy go razem z łóżkiem do Morza Kaspijskiego.

Wszyscy zaśmiali się cicho, po czym razem wyszli na zewnątrz. Pod budynkiem pułkownika czekał już zniecierpliwiony Szymon. Kiedy weszli do gabinetu dowódcy, zerknął na nich obojętnie, a potem zmierzył wzrokiem Robi. Chyba nadal nie był zadowolony, że jednym z agentów jest dziewczyna.

– Spocznij – powiedział, kiedy stanęli na baczność. – Wiecie, po co tu jesteście, tak?

– Mamy pomóc w unieszkodliwieniu terrorystów panoszących się na tym terenie – wyrecytował Net z uśmiechem na ustach.

– Tak. Do was należy strategia, zwiad i zadania specjalne wykraczające w jakiś sposób poza granice normalności.

– Tak jest.

– W jednym z namiotów macie centrum dowodzenia. Jest odpowiedni sprzęt, przekazany przez waszego generała. Przydzieliłem wam też jednego z naszych. Chorąży Jan Robandocki wprowadzi was w sprawę i będzie służył pomocą w odnalezieniu się tutaj, w naszym małym miasteczku. To wszystko. Odmaszerować.

– Tak jest.

– Acha! Jeszcze jedno. O ósmej wyruszacie na patrol do miasteczka Kaspijskiego. Nazywa się inaczej, ale my tak na nie mówimy. Jasne? Pospacerujecie sobie, poszukacie czegoś podejrzanego.

– Tak jest.

– Odmaszerować.

Wyszli na zewnątrz, a chorąży już na nich czekał. Zaprowadził ich do szaro-granatowego namiotu i wszystko im pokazał. W środku stał spory stół, a na nim model samolotu F-16 oraz kilkanaście krzeseł ustawionych w rzędach przed białą tablicą. Obok biurka stał stojak, a na nim mapy okolicznych terenów, zdjęcia satelitarne i szkice.

– Jak to wszystko wygląda? – zapytała Robi, siadając za biurkiem.

– Cały czas coś knują. Zmieniają plany, atakują... Działają, a potem nagle słuch o nich ginie. Nie możemy przewidzieć ich kolejnego ruchu. Dręczyli mieszkańców, ale od kiedy dajemy im w kość za każdym razem gdy coś nabroją, odpuścili. Teraz ściągnęliśmy ich uwagę na siebie i cywile mogą odetchnąć. Musimy ich w końcu pokonać.

– No i od tego jesteśmy my. Mistrzowie szpiegowania, królowie tajnych misji – zaśmiał się Franek.

– Najlepsi agenci świata! – zawołał wesoło Szymek.

– Niepokonani! – dodał Net.

Robi uśmiechnęła się i przewróciła oczami.

– Dobra, drużyno. Skupmy się. Musimy dać z siebie wszystko. Będzie fajnie – stwierdziła i zwróciła się do chorążego: – Na wieczór chcę mieć wszystkie informacje na temat celu. Teraz... Patrol!

Wrócili do swojego kontenera i przyszykowali się do zadania. Założyli kamizelki kuloodporne, hełmy, ochraniacze i przygotowali zapasowe magazynki. Robi wypolerowała szklę w lunecie na karabinie. Do miasta miał ich zawieźć porucznik z wojska. Był to dość młody, wysoki brunet o miłym wyrazie twarzy. Jako jeden z niewielu uważał, że nie należy kierować się plotkami na temat agentów.

Wsiedli do samochodu. Robi i Szymon zderzyli się głowami, gdy oboje chcieli zasiąść za karabinem.

– Posuń się. Strzelam lepiej – mruknęła Robi, próbując zepchnąć przyjaciela z siedzenia.

– Nie nadajesz się na strzelca! To karabin maszynowy! Automat – warknął Szymon.

– Cisza! – krzyknął porucznik. – Błagam, skończcie. Może Fisher siądzie za karabinem, a Spitfire posiedzi z nim i będzie ubezpieczać nas swoim niezawodnym celem. Może być?

– Niech będzie – mruknęli oboje i wcisnęli się na siedzenie.

Ruszyli, wzniesając tumany kurzu, i pojechali w stronę miasta. Po kilkudziesięciu minutach dotarli na miejsce. Było to małe miasteczko wyglądem przypominające wieś. Zabudowa była niska, drogi nie były w perfekcyjnym stanie.

– Podnieście lufy, żeby uniknąć ryzyka, że jakiś cywil ucierpi. Zmienimy nocny patrol, który czeka na nas gdzieś w centrum – oznajmił porucznik. – Ciekawe, jak ludzie zareagują na wasze granatowe mundury. Wyglądacie trochę jak tutejsza policja.

– Zawsze nas porównują do policji – westchnęła Robi.

– To denerwujące, przecież jesteśmy jednostką wojsk specjalnych. Wojskiem, nie policją – dodał Szymon.

– Coś jak komandosi?

– Nie.

– Antyterrorysty?

– Też nie.

– To kto?

– Agenci z PAS-u. Do nas nie ma porównania. Jesteśmy wszystkimi naraz, a zarazem nikim z wyżej wymienionych.

– Dobra, jak zwał, tak zwał. Mam nadzieję, że umiecie strzelać i nam pomożecie.

– Jasna sprawa.

Dojechali do okolic centrum, a porucznik połączył się z poprzednim patrolem. Po krótkiej dyskusji odnaleźli się w terenie i dotarli do samochodu.

– Teren czysty. Cała noc spokojna. Nie ma śladu po terrorystach. Wszystko w porządku – zameldował dowódca tamtej grupy.

– PAS i ja przejmujemy teren. Czekamy na kolejnych o osiemnastej.

– Okej – mruknął tamten i już chciał odejść, ale zawrócił i popatrzył na agentów. – PAS? Ten PAS? Dużo się tu o was mówi.

– Tak. Wiemy – mruknął ponuro Net.

– Ej, rozchmurzcie się. Ja do was nic nie mam. Pełen szacun. Mój kumpel do was kandydował. Odpadł na sprawnościowych. Nieźli twardziele muszą z was być, chociaż nie widać.

– Nie tylko tężyzna jest u nas ważna. Spryt, szpiegowanie i takie tam – powiedział Szymon, wyskakując z samochodu, a Robi podążyła za nim.

Piątka z poprzedniej zmiany zabrała auto i wróciła do bazy. Teraz trójka agentów i porucznik byli zdani tylko na siebie.

Przez jakiś czas krążyli po ulicach, rozglądając się dookoła. Wojsko nie raz już tu było, więc nikogo nie dziwił fakt, że ich „zielony” (jak agenci zwykli nazywać żołnierzy ze względu na kolor munduru) przewodnik znał każdą knajpę i zakątek.

– Tu można się najeść pierogów, a tam robią pyszną solankę. Ludzie są tu dla nas mili. Kiedyś nawet uraczyli nas świeżym chlebem, bo padało, a my musieliśmy dalej łązić dookoła.

Robi uśmiechnęła się lekko. Spędzili w miasteczku już pięć godzin. Zdążyli odwiedzić wiele zakątków i jak na razie było wyjątkowo spokojnie. Przemierzali właśnie jedno z głównych skrzyżowań. Nagle Robi zatrzymała się w bezruchu na środku uliczki.

– Co znowu? – zapytał porucznik, obserwując ją uważnie.

– Coś jest... nie tak – mruknęła, rozglądając się.

Ulice opustoszały, oprócz nich nie było nigdzie żywego ducha. Zapadła zupełna cisza, przerywana tylko oddechami agentów i porucznika.

– Co jest grane? – zapytał cicho żołnierz, trzymając broń w gotowości.

– To Irbis – wytłumaczył Szymon. – Czasem mam wrażenie, że widzi i słyszy wszystko. Skoro coś jest dla niej nie tak, to jest duża szansa, że ma rację.

Robi odwróciła się w lewo i przypatrzyła dokładnie ulicy. Na jej końcu stał dwupiętrowy domek z małym ogródkiem. Już na pierwszy rzut oka wydał się jej dziwny. Był środek dnia, a wszystkie zasłony były zasunięte. W jednym z okien, na drugim piętrze, zasłona wisiała krzywo, a zza niej prześwitywał cień, jakby ktoś stał tam i z ukrycia obserwował okolicę. Nagle zza domu wyłonił się ubrany na czarno mężczyzna.

– On ma broń! – pisnął Net.

– No dobra, trzeba to sprawdzić. Szymon, lewa! Net, prawa! Ja idę od frontu. A porucznik... Eee...

– Porucznik Olek. Możecie też mówić: Echo.

– Okej. Więc, Echo... Ty zostań na czatach i nas osłaniaj.

– Mnie pasuje.

Szymon i Net rozbiegli się na boki i zniknęli w bocznych uliczkach. Robi, jak gdyby nigdy nic, ruszyła w stronę furtki, a za nią szedł Olek. W głowie obmyślała już plan.

Dotarła na miejsce i zadzwoniła domofonem. Porucznik stał lekko w tyle i obserwował. W drzwiach frontowych pojawiła się kobieta w średnim wieku. Była spocona i wyglądała na śmiertelnie przerażoną. Chwiejnym krokiem podeszła do ogrodzenia.

– Witam serdecznie – przywitała się Robi. – Chciałam zapytać, jak dojść do restauracji,

w której można zjeść pierogi.

Zasłona na parterze drgnęła. Obserwowali ich. Tymczasem Net i Szymon przeskoczyli przez ogrodzenie po obu stronach domu.

– Trzeba iść w prawo, potem w lewo i prosto dwie przecznice. To niedaleko – tłumaczyła kobieta drżącym głosem.

– Proszę pokazywać drogę dalej i powiedzieć mi: czy to terroryści? Jest pani sama w domu? Ilu ich jest?

– Tak, tak, trzech – odpowiedziała lekko zbита z tropu.

Gdy tylko to powiedziała, dwójka agentów wtargnęła do domu. Robi cały czas uspokajała kobietę i powtarzała jej, by pod żadnym pozorem nie wracała teraz do środka. Echo w tym czasie stał z uniesionym karabinem i czekał na wypadek, gdyby któryś wymknął się agentom.

– Robi, jeden wyskoczył przez okno do ogrodu – poinformował Szymon.

– Przyjęłam. Echo, przejmij ją – mruknęła Robi i odbiegła w bok.

Przeskoczyła przez ogrodzenie i złapała za karabin. W biegu naładowała go i przygotowała się do strzału. Wtedy go zobaczyła. Był wysoki, ubrany na czarno, a na głowie miał kominiarkę. Zobaczyła tylko jego złote oczy, które popatrzyły na nią z przenikliwą zgrozą. Przez ramię przewieszony miał karabin wyborowy. Mężczyzna wydał jej się dziwnie znajomy, ale nie miała pojęcia dlaczego. Wycelowała. Już łapał za broń, ale zdążyła pociągnąć za spust. Trafiła go w okolice prawego kolana. Terrorysta runął na ziemię, pokazał jej znad trawy znaczący gest, po czym poderwał się i utykając, zniknął gdzieś w zaroślach.

Robi przeklęła cicho i wróciła przed dom. Szymon i Net stali już z dwójką jeńców. Kobieta wróciła do domu, ale po chwili znów wyszła na zewnątrz. Niosła ogromny kosz wypełniony marchewkami i kilkoma bananami. Wepchnęła go w ręce porucznika i zaczęła coś mamrotać. Brzmiało to jak: „dziękuję, dziękuję! Uratowaliście mój dobytek, rodzinę. Dziękuję, przyjmijcie to jako dowód wdzięczności”.

Agenci podziękowali i poszli odprowadzić terrorystów na policję. Potem kontynuowali patrol.

– Muszę przyznać... – mruknął porucznik, zjadając jedną z marchewek – ...że jesteście nieźli. Wiecie, co robić, nie bez powodu niektórzy mówią, że jesteście świetni.

– Zwykła akcja. Nie do końca udana. Jeden zwiął. – Szymon nie był w dobrym humorze

– Ma poważnie ranną nogę, długo nie pobiega – powiedziała agentka.

– Nie jest źle. Razem z następnym patrolem przyjadą goście od przesłuchań. Może coś z nich wyciągniemy.

– Pierwszy dzień i już coś się dzieje! – zawołał uradowany do granic możliwości Net. – Cudownie!

– Ochłoń, chłopie.

Reszta patrolu minęła im bez dodatkowych atrakcji. Kiedy wybiła godzina osiemnasta, w słuchawkach odezwał się głos jednego z żołnierzy z następnej ekipy. Po krótkiej wymianie zdań odnaleźli się wzajemnie. Trójka agentów i Echo zapakowali się do samochodu i ruszyli w stronę bazy. Robi i Szymon siedzieli tak jak ostatnio, ale każde próbowało zepchnąć to drugie. Siedzenie było ciasne, a przecież każdy miał prawo siedzieć wygodnie.

Rozdział ósmy Mżawka, cel, pal!

Wrócili do bazy po dziewiętnastej. Byli wykończeni, ale oczywiście nie ma tak dobrze. Nie mogli odpocząć, bo następnego dnia mieli wspierać akcję żołnierzy. Przede wszystkim wykazać się miały Irbisy, a agenci liniowi mieli stanowić jedynie wsparcie taktyczne.

– Dobra, co dokładniej wiemy? – zapytała Robi, pochylając się nad mapą rozłożoną na biurku.

– Są tutaj – mruknął chorąży, wskazując punkt tuż przy południowej granicy. – A my tutaj. Dwieście kilometrów od nich.

– Mamy kilka osób do przewiezienia, a do tego musimy dbać o efekt zaskoczenia. Śmigłowiec odpada, samolot też. Zostają samochody – stwierdziła Robi. – Mamy jakiś dokładny plan terenu?

– Tylko to – mruknął chorąży, podając jej słabej jakości zdjęcie lotnicze.

– Okej – szepnęła i podeszła do białej tablicy, przed którą nudziły się już jej Irbisy. – Skupcie się. – Zaczęła rysować schemat. – Mamy dwa budynki. Ułożymy się w tych miejscach, w podkowie. – Narysowała pięć kropek i podzieliła teren na tyle samo sektorów. – Powinniśmy wszystko ogarnąć bez problemu. W razie czego przejdziemy na linię i obiegniemy budynek tędy. Więcej nie ma co planować.

– Tak jest! – odpowiedzieli snajperzy akurat, gdy do namiotu weszli agenci Szymona.

Descante wziął zielony pisak i do schematu Robi dorysował kilka linii i kropek. Krótko zmotywował swoich ludzi i z uśmiechem oznajmił, że mogą już iść.

– Ale jak to? – zapytał zdezorientowany chorąży. – To tyle tego planowania? Nic więcej?

– Nie – odrzekła Robi, rozsiadając się wygodnie na krześle, i uśmiechnęła się. – Im więcej szczegółów jest zaplanowanych, tym więcej może się nie udać. My jesteśmy na tyle zgrani, że prawie stanowimy jeden organizm. Spontan to nasza mocna strona.

– Tak jest, pani porucznik! Tylko nie wiem, co na to grupa żołnierzy. Mamy inne taktyki, inną dyscyplinę...

– To zróbcie plan po swojemu, ale tak, żeby był dopasowany do naszego. Jak coś się nie uda, przejdziecie pod nasze dowodzenie.

– Wasze? PAS-u?

– Tak. W końcu po to nas tu wezwano. Coś nie tak?

– Ależ nie!

– No. To plan jest jasny?

– Tak jest!

– To odmaszerować i do jutra.

Następnego dnia wszyscy byli zvarci i gotowi. Z samego rana udali się w stronę celu. Robi przerzuciła karabin przez ramię, kiedy wysiadali z samochodów.

Był pogodny dzień. Ze wschodu nadciągały chmury, ale nikt nie przejmował się nimi

zbyttnio. Było bezwietrznie, a powietrze było czyste jak łąka. Warunki dla snajpera niemalże idealne.

– Pamiętajcie, ofiermy! – zawołał Szymon do swoich wybranych agentów z tajemniczym uśmiechem. – Wbrew temu, co mówili wam rodzice, przemoc rozwiązuje nasze problemy.

Robi popatrzyła na niego lekko poirytowana i z uśmiechem zwróciła się do swoich Irbisów:

– Strzelamy, gdy wróg stanowi bezpośrednie zagrożenie dla naszych. Pamiętajcie, nie lubimy mózgowej marmolady. Jesteśmy bezwzględni i profesjonalni, ale nie bawimy się w zabijaków – powiedziała, zerkając znacząco na Szymka.

Agenci liniowi oddalili się w stronę żołnierzy. Snajperzy podczołgali się na swoje wcześniej zaplanowane pozycje. Robi była razem z Rico, który na tej akcji, co do tej pory w PAS-ie było niespotykane, był jej obserwatorem. Schowali się między gałęziami krzewu.

– Gorszego miejsca wybrać nie mogłaś – mruknął lekko poirytowany Michał, starając się uwolnić swój rękaw z objęć rośliny.

– Narzekasz jak małe dziecko. Co ci znów tutaj nie pasuje?

– Nie no, wszystko w porządku. Tylko dlaczego to przeklęte zielsko ma kolce?!

– To tylko małe igiełki. To dużo lepsze niż śmierć z rąk wroga, czyż nie? – syknęła Robi, poprawiając kamuflaż lufy.

– Tak jest – odezwał się Rico, ale w jego głosie nie było słycać ani odrobiny entuzjazmu.

Agentka westchnęła cicho i zrezygnowana pokręciła głową. Złapała za lornetkę i zabrała się za obserwowanie terenu.

– Fisher, co u was? – zapytała.

– Czekamy, aż wojsko doszlifuje swój plan – odpowiedział znudzony Szymon.

– Przypomnij mi, że jak tylko kogoś z nich zobaczę, to mam go walnąć. Plan mieli doszlifować wczoraj! Słowo daję, jeśli za chwilę nie zobaczę ich na miejscu, to ruszamy bez nich.

– Damy radę w okrojonej wersji?

– Przynajmniej będziemy zgrani. Dobra, czekamy na nich.

Wszyscy agenci i wszystkie Irbisy zameldowały swoją gotowość do akcji. Siedzieli już na swoich pozycjach i czekali. Robi i Szymon, jako dowódcy swoich grup, zgłosili wojsku fakt oczekiwania. Po chwili Franek oznajmił, że dwa F-16 są gotowe do startu w razie potrzeby, a dwa śmigłowce (jeden uzbrojony, drugi normalny) są już w powietrzu. Alan również czekał.

– Poruczniku, co z wami? – mruknęła Robi, przewracając oczami.

– No chwilka! – mruknął Olek, a po chwili dodał: – Już. Melduję gotowość.

– Wreszcie. Ruszamy – syknął Szymon.

PAS wraz z Wojskiem Polskim wkroczył do akcji. Do tej pory czasami spotykali żołnierzy na poligonie, ale była to zazwyczaj kwestia przypadku. Jedyń ich poważną wspólną akcją było odbicie bazy Południa. Teraz w końcu mogli walczyć z nimi ramię w ramię. Wszyscy swoją opinię o współtowarzyszach tworzyli na podstawie stereotypów i pojedynczych sytuacji. Każdy z nich bał się odrobinę tej akcji.

– Długo będziemy tu siedzieć? – zapytał półgłosem Rico.

– Cicho. Będziemy tu siedzieć, dopóki nas nie zabiją lub dopóki nie wykonamy zadania – syknęła szeptem agentka.

Zawiał silny, nieprzyjemny wiatr. Chmury z każdą chwilą robiły się coraz większe i szybko nasuwały się na niebo nad głowami agentów. Robi obserwowała, jak szturmowcy ze

wszystkich stron zbliżają się do budynku. Nagle kropla wody spadła jej na nos.

– Kurde, tylko deszczu nam brakowało – przekląła pod nosem.

Rico popatrzył na nią niepewnie. Nie był do końca przekonany, czy Irbisy były gotowe do akcji. Sam był jednym z uczniów i niezupełnie wierzył w swoje umiejętności. Robi dobrze o tym wiedziała. Z jednej strony chciała podnieść ich na duchu i sprawić, by w końcu zrozumieli, że są elitą i naprawdę zasługują na swoją odznakę. Z drugiej jednak nie chciała, by brawura przejęła nad nimi kontrolę. Musiała za wszelką cenę to wypośrodkować.

Przez jakiś czas deszcz nie stanowił żadnego problemu. Pojedyncze krople raz po raz spadały na ziemię, nie czyniąc nikomu większej szkody. Kiedy szturmowcy byli już pod murami wroga, pogoda przestała być tak łaskawa. Błysnęło, a później nadeszło istne oberwanie chmury.

– Bardzo optymistyczna wersja naszej akcji – mruknął Rico, patrząc ze smutkiem na Robi. – Irbisy mają przerąbane.

– Cicho. Jeśli moja nauka nie poszła w las, damy radę.

Widoczność była okropna. Ściana deszczu utrudniała jakiekolwiek działania. Po kilku minutach ziemia była już nasączona wodą. Utworzyło się okropne błoto, w którym zaczął zagłębiać się statyw karabinu Robi i reszty Irbisów.

Ciężkie burzowe chmury przetaczały się nad ich głowami. Mimo dość wczesnej pory było ciemno jak w nocy, a pojedyncze rozbłyski rozjaśniały całą scenę. W miejscu, w którym Rico i Robi urządzili swoje stanowisko, zbierała się woda.

– Irbisy, meldujcie – szepnęła, starając się chronić swój karabin przed zalaniem.

– Mokro. Mokro jak cholera – odezwał się Grape.

– I zimno – dodał Kappa.

– Narzekacie jak baby. U nas nie jest lepiej. Skupcie się, obecność wrogich strzelców nie jest wykluczona.

– Tak jest.

Rico leżał tuż obok swojej dowódczyni i kurczowo trzymał lornetkę. Ona zaś nadal walczyła z błotem i z tonącym w nim statywem. Miała wrażenie, że znajdują się w zagłębieniu terenu, bo zaczęło się robić bagno, a zaraz później powstał staw. Tkwili w zbiorniczku o głębokości dziesięciu centymetrów.

– Snajper! – odezwał się nagle Kappa.

– Melduj – syknęła Robi, od razu napinając wszystkie mięśnie i szykując się do szybkiej reakcji.

– Na północny wschód od budynku. Pod drzewem.

– Jest – mruknęła i przyjrzała mu się dokładnie.

Snajper był młody i przerażony. Trząśł się ze strachu i nawet nie umiał porządnie chwycić karabinu. Z pewnością nie był wyrachowanym zabójcą. Nie było widać dokładnie jego twarzy, ale sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się rozplakać. Uwagę Robi przyciągnęła jego broń. Nie była nawet poprawnie nabita, nie było szans, żeby mógł wyrzucić jakąkolwiek krzywdę.

Wycelowała w gałąź drzewa. Taką średniej grubości. Gdy w nią strzeliła, spadła tuż obok niego. Chłopak podskoczył przerażony, rzucił karabin w kałużę i uciekł jak najdalej od miejsca akcji. Robi wycelowała w opuszczony karabin i jednym celnym strzałem w lufę zakończyła czas jego przydatności.

Siedzieli nadal w błocie. Wody było coraz więcej. Statyw karabinu wtopił się już w grunt i nie było na to rady.

– Irbisy! Mamy problem – odezwał się porucznik. – Na dach zwiął dowódca ze swoim pomagierem. Jesteśmy pod ostrzałem. Damy sobie radę, ale nie chcemy, żeby nam prysnął.

– Widzę go – odpowiedziała Robi. – Nie mam czystego strzału.

– Mam go na celowniku. Melduję gotowość do strzału. Proszę o pozwolenie – odezwał się Grape.

– Wal śmiało.

Grape strzelił raz, ale nagły poryw wiatru zniósł pocisk na bok. Strzelił drugi raz. Po chwili Robi zobaczyła, jak cel pada martwy. Rico popatrzył na nią kątem oka.

– Miałaś strzał. Dlaczego oddałaś? – zapytał szeptem, zasłaniając ręką mikrofon.

– Gdyby sytuacja się zmieniła... Gdyby coś spartolił... Miałam cel na muszce. Niech się wykażą.

Agenci i wojsko radzili sobie świetnie. Obie grupy przekonywały się do siebie nawzajem. Tylko snajperzy leżeli osamotnieni i ze wszystkich sił starali się nie zatonać.

Nagle jeden z żołnierzy wybiegł z budynku, który obserwowali. Za nim wypadł terrorysta i wymachując nożem, zaczął go gonić. W końcu udało mu się go złapać. Sytuacja była podbramkowa.

– Co robimy?! – pisnął Rico i prawie upuścił lornetkę do wody.

– Cicho – mruknęła Robi. – Licz wiatr.

– Strzelisz?!

– Cicho. Licz.

Rico podał jej odpowiednie dane, a ona ustawiła karabin. Terrorysta i żołnierz byli bardzo blisko siebie. Ten pierwszy trzymał drugiego i mówił mu coś do ucha, a nóż przyłożył mu do szyi. Wszystko trwało sekundy. Pociągnęła za spust. Dwójka mężczyzn runęła na ziemię, a Robi na moment wstrzymała oddech. Ku wielkiej radości wszystkich młody Kapral wstał i z uśmiechem na twarzy odetchnął. Jego mundur, hełm i prawy policzek były ochlapane krwią napastnika, ale on był cały i zdrowy.

– Nie mam zielonego pojęcia, który to... Ale zawdzięczam wam życie, Irbisy – wymamrotał i podniósł z ziemi ubłocony karabin.

Robi nienawidziła zabijać, ale teraz wiedziała, że musiała to zrobić. Odetchnęła z ulgą, widząc żywego żołnierza.

Nagle pojawił się ten, który uciekł po tym, jak Grape zastrzelił dowódcę. Był snajperem. Widział, jak pocisk znikąd trafia jego kompana i ratuje Polaka. Od razu z łatwością odgadł, z której strony został oddany strzał. Uniósł swój karabin i wycelował gdzieś w stronę dwójki Irbisów.

– Ani drgnij – szepnęła Robi do Rico i położyła się płasko na ziemi, nurkując w ich „jeziorko”.

Znad wody wystawały tylko oczy snajperów. W napięciu czekali, aż wróg odpuści sobie poszukiwania. Nagle gdzieś w pobliżu poruszyła się trawa. Reakcja wroga była natychmiastowa. Strzelił, ale nie trafił. Najwidoczniej uznał, że osiągnął cel, bo opuścił broń i odszedł.

Robi powoli odwróciła się w stronę, z której strzelał snajper. W trawie, między pojedynczymi kępkami, leżała nieruchomo mała, puchata kulka.

– No i drań zamordował króliczka – syknęła zdenerwowana.

– Koty! Życie? – odezwał się uradowany Szymon. – Odwrót! Wycofujemy się! Zadanie wykonane. Mamy spis ich uzbrojenia. Zero ofiar, zero rannych!

– Za dobrze wam to poszło. Znużone śmigłowce wracają do bazy – mruknął Diego i ostentacyjnie ziewnął.

– Wracajcie do samochodów. Jastrzębie startują. Obrócimy im ten ich domek w pył! – zawołał Franek, przekrzykując głośny ryk silnika F-16.

Irbisy ostrożnie wycofały się ze swojego stanowiska. Gdyby wody było choć odrobinę więcej, musieliby płynąć. W końcu dobiegli do miejsca zbiórki. Wszyscy już tam byli, wszyscy z wyjątkiem pozostałych snajperów.

Alan i jego uczeń siedzieli cały czas w suchym i ciepłym samochodzie. Żołnierze i agenci byli zmoczeni, ale nie aż tak bardzo jak Irbisy.

– Nie jestem pewien, czy byliśmy na tej samej akcji. Od pływania jest Marynarka Wojenna... My działaliśmy na łodzi z tego, co pamiętam – zaśmiał się Szymon, kiedy zobaczył swoją przyjaciółkę.

Robi spojrzała na siebie i Rico i aż sama się roześmiała. Brudna woda kapła jej z włosów i munduru, a buty były całe w błocie. Wszędzie miała poprzyklejaną ziemię i strzępy trawy. Wyglądała komicznie.

Po jakimś czasie na zbiórkę dotarła reszta Irbisów. Wyglądali mniej więcej tak samo jak ich dowódczyni.

Kiedy wsiadali do samochodów, nad ich głowami przemknęły dwa myśliwce. Usłyszeli huk kilku eksplozji i uśmiechnęli się. Zarówno piechota, jak i piloci Jastrzębi zasłużyli na podziw. Akcja była szybka i udana. I każdy miał w tym swoją zasługę.

Wojsko i PAS w końcu zmienili o sobie zdanie. To było oczywiste: każdy z nich był profesjonalistą.

Rozdział dziewiąty

Spitfire & F-16

Leżała na materacu i nie miała ochoty wstawać. Było tu sucho i cicho. Żadnej burzy, żadnego deszczu. Spokój. Tylko ten katar. Straszny katar, który towarzyszył jej od poprzedniego dnia.

– Robi, wstawaj! – usłyszała radosne wołanie Franka.

– Ani mi się śni! – odkrzyknęła, chowając głowę w poduszkę.

– Chodź, nie pożałujesz.

– Nie ruszam się stąd! Nawet jakby mieliby mnie tu zabić.

– Okej. To ja idę chłopakom powiedzieć, że mogą tego nieużywanego Falcona schować do hangaru.

– Zaraz, zaraz! – pisnęła, zrywając się na równe nogi i wybiegając na dwór. – Masz na myśli F-16?

– Widzisz, mówiłem, że przyleci od razu – zaśmiał się Alan, krzyżując ręce na piersi.

Franek pokręcił głową i popatrzył na Robi z zabawnym uśmiechem na twarzy.

– Ja tutaj z niespodzianką dla ciebie, a ty śpisz. Oj, nieładnie.

– Nie śpię już!

– No to chodź.

Zaprowadził ją na płytę, na której stał samolot. Już z daleka było widać, jaki jest piękny. Jego wypolerowana kabina lśniła w słońcu. Kiedy stanęli przed nim, Robi nie mogła oderwać od niego oczu. Powoli wyciągnęła w jego stronę rękę i nieśmiało dotknęła skrzydła.

– Ale super – wyszeptała, uśmiechając się szeroko.

– Tylko mi tu nie szalej z radości – zaśmiał się Franek, wspinając się po drabince. – Co tak stoisz? To tylko samolot. Nie zje cię.

– Ale to myśliwiec!

– Oho. Znów się zaczyna. – Pilot ledwo powstrzymał się od śmiechu. – Wskakuj!

– Do środka?

– No a gdzie? Przecież nie do silnika.

– Mogę?!

– Ehm, no przecież mówię. Chodź, pokażę ci, jak się lata.

Robi podskoczyła parę razy, klaszcząc wesoło, i wpakowała się do myśliwca. Ostrożnie usiadła w fotelu pilota i odetchnęła głęboko. W myślach powtarzała sobie nieustannie: „Siedzę w myśliwcu, siedzę w myśliwcu... O rany!”. Od dawna marzyła o tej chwili. W końcu jej się udało. Tyle tam było przełączników, wskaźników...

– Halo. Gryzoń do Spitfire. Żyjesz?

– Chyba tak.

Zaczął jej wszystko objaśniać. Tłumaczył zasady aerodynamiki, omawiał każdy przyrząd umieszczony w kabinie. Siedziała i słuchała, choć myśli cały czas chaotycznie obijały jej się po głowie, bo radość ze spełnionego marzenia przyćmiewała wszystko. Nie zawsze rozumiała, co przyjaciel do niej mówił, ale nie to było wtedy ważne.

Kiedy przyszła pora obiadu, musieli opuścić samolot i dołączyć do reszty zespołu.

– Co można robić tyle czasu przy zwykłej kupie metalu i innych wichajstrów? – zapytał znudzony Net, grzebiąc w szarej brei na swoim talerzu.

– Dzisiaj dowiedziałem się, że można naprawdę dużo – zaśmiał się Gryzoń. – Zawsze myślałem, że myśliwce są ciekawe tylko w powietrzu. Robi udowodniła, że na ich punkcie można mieć niezłego świra nawet na ziemi.

Wieczorem znów zasiadła za sterami myśliwca. Następnego dnia również. Kolejnego też. Nic się nie działo, słuch po terrorystach zaginał. Żołnierze robili wszystko, by znów złapać jakieś ślady, ale nic z tego. Zupełna nuda.

Franek ze znudzeniem po raz kolejny wymyślał różne sytuacje i tłumaczył, jak sobie z nimi radzić. Robi siedziała w hełmie. Gryzoń stwierdził, że wygląda w nim jak mucha. Na szczęście nie wymyślił niczego głupiego do skomentowania jej w kombinezonie, który wyjątkowo też miała na sobie, żeby wczuć się w rolę.

– Chcesz coś jeszcze wiedzieć? – zapytał Franek, kiedy skończył opowiadać o pewnej akcji, którą zafundował mu instruktor na symulatorze.

– Na razie chyba nie. Temat wyczerpany.

– Niemożliwe – szepnął zaskoczony i uśmiechnął się do Robi.

Wtedy do hangaru wbiegł zdyszany Szymon, a za nim Banko, Mick i Diego. Na końcu wpadł kapitan Jacek z Sił Powietrznych. Franek zeskoczył pospiesznie na ziemię i stanął na baczność, Robi tak samo.

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony pilot.

– Porwali samolot! Grożą, że mają bombę na pokładzie. Chemiczną. I że wysadzą ją nad Polską! – wysapał Szymon.

– Jakie stawiają warunki? Czego żądają?! – pisnęła Robi.

– Niczego. To nie negocjacje. Zrzuca bombę i koniec. To zemsta za naszą ostatnią akcję i zabicie ich dowódcy – oznajmił opanowany kapitan.

– Co robimy? – zapytał Diego.

– Wysyłamy trzy myśliwce. Uzbrojone, dwumiejscowe. Pilot i agent w roli dyplomaty. Spitfire, Fisher i Banko, wy jesteście najbardziej wygadani. Padło na was. Akcję powierzam wam, pilotom i agentom PAS-u. Nie dawajcie mi powodów do żałowania tej decyzji.

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem, a kapitan wyszedł.

– Zmiana miejsc, muszę siedzieć z przodu – powiedział Franek.

– Jasne, to oczywiste.

Wszyscy wsiedli do samolotów i w trybie natychmiastowym przygotowali się do lotu. Franek wyjechał na pas jako pierwszy, bo jako dowódca miał lecieć na czele. Za nim jako skrzydłowi Mick i Diego.

– Gotowa? – zapytał pilot.

– Chyba – odpowiedziała agentka i pokazała uniesiony do góry kciuk.

– Wiedz, że nadal wyglądasz jak mucha. – Zarechotał, widząc ją w hełmie i zapiętej masce tlenowej. – Ostrzegam, że może wbić w siedzenie.

– No i dobra! No to lu!

Franek pchnął przepustnicę, silnik zawył, a myśliwiec zerwał się i ruszył pędem po pasie. W końcu oderwali się od ziemi. Podwozie się schowało. Robi nie mogła uwierzyć, że leci F-16. Jej marzenie znów się spełniło. Żałowała tylko, że w tak ponurych okolicznościach.

– Dyplomaci, meldujcie – mruknął Franek. – Jak samopoczucie i zdrowie?

– Ja... Jakby to... Trudno powiedzieć. Jest po prostu... To... Jest świetnie! – wyjąkała Robi.

– Płacze się w zeznaniach, to chyba z radości – zaśmiał się Diego, lecąc na ich prawym skrzydle.

– Pani porucznik jest w siódmym niebie. Mnie Banko troszeczkę chyba panikuje – mruknął Mick.

– Ja nie panikuję. Tylko czy to cholera musi lecieć tak szybko?!

– Haaaha, ja się twardo trzymam. Nic mnie nie ruszy – oznajmił z dumą Descante.

Diego popatrzył na niego i zrobił beczkę. „Odważny” Szymon wrzasnął z przerażenia, a pozostali wybuchnęli śmiechem. Franek oczywiście pogroził skrzydłowemu palcem, bo lecieli w dość zwartym szyku i robienie takich sztuczek bez ostrzeżenia mogło się skończyć nieszczęściem.

Gryzoń oznajmił, że zgodnie ze współzrędnymi zaraz dogonią porwany samolot. Trójka agentów zaczęła myśleć nad przemową. W tym pośpiechu i trudnych warunkach niełatwo było myśleć. Nie mogli się dogadać, każde z nich miało własny pomysł, a brak zgody mógł przynieść skutki odwrotne do zamierzonych. W końcu, gdy wszystko zaczęło się układać...

– Spitfire, Darek na linii. Chce z tobą rozmawiać – usłyszała w słuchawkach głos Alana. – Co mu powiedzieć?

– Ten to ma wycucie – mruknęła Robi. – Powiedz, że mnie nie ma, czy coś.

– Wkurzy się. Miałaś siedzieć w bazie, więc jak może cię nie być?

– Świder, ja jestem w samolocie! W powietrzu.

– I co z tego? Przełączam go na waszą częstotliwość.

– Nie! Nie rób tego! Zagada mnie na śmierć! Słyszysz? Świder, nie!

Usłyszała ciche kliknięcia.

– Cześć, Robi.

– Cześć – odpowiedziała pospiesznie, zaciskając zęby w sztucznym uśmiechu.

– Co tak buczy? Mam nadzieję, że nie jest niebezpiecznie w tej waszej bazie?

– Ależ skąd. Nudno tu strasznie – bąknęła, a Franek, Diego i Mick, którzy wszystko słyszeli, ledwo powstrzymali się od śmiechu. – Buczy... Em... Siedzę koło pasa startowego, transportowiec akurat szykuje się do startu.

– Jest bezpiecznie?

– Jaasne.

Robi wychyliła się zza fotela i popatrzyła na Gryzonia. Wręcz trząśł się ze śmiechu. Darek nawijał teraz o tym, co działo się we Wrocławiu. Mówiąc szczerze, Robi wcale go nie słuchała.

Nagle Franek zamarł w bezruchu i odwrócił się do tyłu. Robi popatrzyła tam gdzie on. Za nimi pojawił się obcy myśliwiec. Był jeszcze małą, czarną kropką na niebie, ale szybko się zbliżał. MiG-29 bez jakichkolwiek oznaczeń, cały czarny. Gryzoń skręcił ostro w lewo.

– No i kupiłem tam nową patelnię. No, dość o mnie. Najważniejsze, że tobie nic nie grozi.

– Tak, tak. Jestem zupełnie bezpieczna – odpowiedziała Robi, siłąc się na spokojny i opanowany ton.

– Co teraz robisz?

– W sumie to... Nic szczególnego – wymamrotała, obserwując pędzący za nimi myśliwiec.

Franek próbował zgubić przeciwnika. Mick i Diego zostali niezauważeni, gdyż lecieli już

w luźnym szyku. Gryzoń dał rozkaz, żeby lecieli do samolotu w czasie, gdy on będzie rozprawiał się z wrogiem.

BIP, BIP, BIP!

– Robi! Namierzył nas! – krzyknął nagle, wciąż usiłując pozbyć się MiGa.

– Namierzył?! Kto? Jak! Robi, co tam się dzieje?! – zdenerwował się Darek.

– Szymon znów bawi się ketchupem i strzela z butelki. Muszę lecieć. Pa.

– Ale Robi!

– Pa!

Alan przerwał rozmowę. Jakoś przebrnęła przez pogaduszki z Darkiem. Teraz został jeszcze ten myśliwiec.

– Gryzoń, pomoc wam? – zapytał zaniepokojony Mick.

– Nie! Zostańcie i dokończcie zadanie – syknął pilot i po chwili przeklął: – Cholera jasna!

Robi szybko odwróciła się do tyłu. W ich kierunku pędziła rakieta. Franek walnął pięścią w przycisk i odpalił flary. Pocisk rozbił się o nie, a oni mogli odetchnąć z ulgą. Mimo wszystko walka nadal trwała, nieprzyjaciół nie dawał za wygraną.

– Spitfire, wszystko w porządku?

– Tak. Chyba tak, a co?

– Nie jesteś pilotem. Myśliwiec to nie samolot pasażerski. Zwłaszcza w czasie walki.

– Nie jest źle. Bywało gorzej – odpowiedziała z uśmiechem, chociaż w czasie manewrów trochę kręciło jej się w głowie.

Gryzoń walczył z przeciwnikiem i szło mu świetnie. „Jeśli coś, co lata, ma białoczerwoną szachownicę, to znak, że świetnie lata”, pomyślała z uśmiechem, obserwując, jak MiG nie może nadążyć za manewrami Gryzonina. Dziwił ją fakt, że samolot był tylko jeden. Zazwyczaj przecież latają ze skrzydłowymi. F-16 odwrócił się na grzbiet i zaraz zrobił ciasny wiraż z ujemnym przeciążeniem. Krew napłynęła Robi do głowy, a obraz jej się zamazał.

Samolot zrobił nagły skręt. Zakołowało jej się w głowie.

– Spitfire?! Hej! – usłyszała zaniepokojony, ale zarazem przeszcześnie głos Franka.

Otworzyła oczy. Nadal byli w myśliwcu i nadal w powietrzu. Lecieli spokojnie i prosto. Przemknęli przez rozproszoną już chmurę dymu.

– Co się stało? – wymamrotała półprzyciemnie.

– Rozwaliłem drania! Co to była za akcja! – zaśmiał się Gryzoń, a potem wyjrzał do tyłu zza fotela. – A ciebie załatwiło przeciążenie.

– Szefie, co z wami? – odezwał się Diego.

– Żyjemy. Wróg runął na ziemię w drobniutkich kawałeczkach. Pilot się katapultował. Spitfire zaliczyła zjazd, ale wszystko jest już w porządku.

– Świetnie! Szachownica znowu górą! – ucieszył się Mick, a po chwili zapytał: – Tak z ciekawości... Ile g?

– Na moje oko coś koło ośmiu.

– Spitfire, szacun. Mocny masz łeb jak na laika.

– Koniec pogaduszek. Jak wam idzie z samolotem? – zapytał Franek.

– Idzie nam źle – syknął Szymon, który właśnie włączył się na ich częstotliwość. – Banko z nimi jeszcze gada, ale nam potrzebna jest Robi!

– Mam pomysł. Wpadniemy tam zniemacka i zagrozimy, że ich zestrzelimy – powiedziała Robi.

– Pomysł ma szansę wypalić. Mick, Diego, lećcie na poziomie kabiny pilotów. Tak, żeby

mieli was po obu stronach. My nadlecimy od przodu. Na mój znak rozlatujecie się na boki.

– Tak jest! – odpowiedziała dwójka pilotów.

Odrzutowiec przyspieszył i już po chwili w oddali zobaczyli duży pasażerski samolot w towarzystwie dwóch polskich myśliwców. Gryzoń wyprzedził ich i zatoczył łuk, wylatując im naprzeciw.

– Teraz, Robi! Przełącz się i powiedz, że ich zestrzelimy.

Kliknęła i nagle zamiast głosu pilotów usłyszała, jak Banko próbuje negocjować z terrorystami na pokładzie.

– Nie próbujcie nas przekonywać! Nie zrezygnujemy.

– Jeśli nie zrezygnujecie, zestrzelimy was – odezwała się Robi głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

– Nie zrobicie tego. Mamy zakładników. Pasażerów. Mogą to przeżyć, bomba nie wybuchnie tu, tylko w Polsce.

– Lądujcie na najbliższym lotnisku albo was zestrzelimy.

– Nie wierzę! Jak zwykle blefujecie.

Gdzieś w tle usłyszała lekko przerażony głos innego z terrorystów. Byli w kokpicie, już zdążyli zauważyć pędzący na nich myśliwiec.

– Chłopaki, przechylcie się lekko i pokażcie, co tam wam pod skrzydełkami tkwi – poprosił Gryzoń.

Dwa F-16 obok kabiny pilotów przechyliły się odpowiednio na lewe i prawe skrzydło, pokazując terrorystom i pilotom, czego agenci mogą użyć w razie potrzeby.

– Kilka rakiet, wielkie mi coś. Nie strzelicie, bo nie chcecie zabić pasażerów. Zresztą nam to obojętne. Trudno, zestrzelicie nas, to bomba spadnie tutaj.

– Wasz wybór – odparła agentka, a piloci odbili na boki, jakby chcieli uniknąć oberwania szczątkami samolotu pasażerskiego. – Trzy... Dwa... Jed... – zaczęła odliczać, ale nie dano jej dokończyć.

– Dobra! Lądujemy! Wyluzujcie.

– Dopilnujemy tego – mruknął Banko.

Eskorta znów pojawiła się przy dziobie samolotu, a Gryzoń przeleciał tuż nad nimi i zawrócił, osłaniając ich od tyłu.

Lecieli za nimi aż do lotniska. Trzymali się w dość ciasnym szyku, aby uniemożliwić terrorystom wszelkie wybryki. Jedna ze stewardess nawiązała kontakt z Alanem, a on poinstruował ją, jak ma rozbroić bombę. Wszystko się udało. Samolot dostał pozwolenie na lądowanie na Ukrainie. Kiedy podwoziem dotknął pasa startowego, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Kiedy się zatrzymał, służby specjalne ściągnęły go na płytę, a tam zajęła się nim policja i antyterrorysty. Trzy myśliwce wylądowały kilka chwil później. Upewnili się, że wszystko jest w porządku, i wystartowali.

– To była piękna akcja – stwierdził Mick. – Spitfire, gratuluję siły przekonywania.

– Dziękuję.

– Robi, skup się teraz. Pamiętasz, co ci mówiłem? Jak ci tłumaczyłem?

– Chyba... tak...

– Przejmij stery.

– Co?! Mam pilotować?

– Spróbuj.

Robi nieśmiało złapała za drążek i powoli przyciągnęła do siebie. Samolot delikatnie

zaczął się wznosić. Nastolatka była maksymalnie przejęta. Pilotowała myśliwiec, jej życiowe marzenie spełniało się właśnie w całości. Skręciła, potem wyrównała lot i skręciła w drugą stronę. Lecieli z bardzo małą prędkością.

Gryzoń ziewnął głośno i pchnął przepustnicę, a samolot wyrwał do przodu. Robi w panice mocniej chwyciła drążek i zamruwała oczami. Serce waliło jej jak oszalałe, a maska tlenowa uparcie pompowała w nią powietrze.

– I jak? – zapytał lekko znudzony Franek. – podoba się?

– Nie! – pisnęła przerażona dziewczyna.

Kochała myśliwce, a latanie nimi było dla niej czymś niesamowitym. Jednak poczucie odpowiedzialności i myśl o tym, że mogą runąć w dół z takiej wysokości, przerażała ją. Zdecydowanie bardziej odpowiadała jej rola pasażera.

Franek machnął ręką, jakby chciał złapać muchę, a potem przetarł swoją osłonkę przeciwsloneczną. Robi nawet nie zauważyła, jak dwójka skrzydłowych zniknęła z pola widzenia.

– Spitfire! Dwa samoloty na radarze! – pisnął Franek, a obok nich przemknęły dwa F-16.

Zatoczyły koło i znalazły się na ich ogonie. Robi poderwała samolot ostro do góry i odbiła w prawo. Kiedy zobaczyła, że maszyny nadal są za nią, zrobiła ciasną, pionową pętlę i znalazła się między nimi.

– Dobra, dobra! Koniec – zawołał Franek, przejmując stery.

Samoloty ustawiły się na skrzydłach ich myśliwca i grzecznie ruszyły za prowadzącym. Robi dopiero teraz dostrzegła szachownice na ich ogonach.

– Dobrze ci poszło – zaśmiał się Mick. – Jeszcze trochę, a Diego byłby trupem!

– I właśnie dlatego zabawa się skończyła. To nie ćwiczenia. Mamy prawdziwe uzbrojenie i nie chcemy się chyba pozabijać. Swoją drogą, Spitfire... tak się bałaś steru, a jak przyszło co do czego, poleciałaś jak prawdziwy pilot! – zaśmiał się Franek.

Wylądowali w bazie. Wysiedli z samolotów i poszli przebrać się w zwykłe mundury.

– Tworzy nam się nowy talent – zawołał Franek, poklepując Robi po ramieniu, kiedy szli przez hangar w stronę dwóch skrzydłowych.

– Nieźle, Robi. Ta akcja z zestreleniem pasażera, potem ten zakręt. Patrzyłem na to z góry i powiem ci, że było dobrze – powiedział Mick, a jego głos był pełen podziwu.

– Dzięki – wymamrotała lekko zawstydzona Robi.

– Snajper za sterami... Też coś! – syknął Diego.

– Opanuj się! – warknął Franek i lekko trzepnął pilota w głowę.

– Szefie, taka prawda!

– Dieguś, masz problem, bo piechota prawie cię zestrzeliła. Nie ukrywaj. Duma cierpi – mruknął Mick.

Franek złapał Robi za nadgarstek i pociągnął za sobą w stronę ich namiotu. Obejrzała się. Mick stał uśmiechnięty. Mrugnął do niej. Diego był wyraźnie naburmuszony.

– Koty nie latają! – zawołał za nimi, a Mick szturchnął go ramieniem.

Franek rzucił swojemu uczniowi zabójcze spojrzenie.

Kiedy weszli do namiotu, rozległy się oklaski. Wszyscy gratulowali im akcji z samolotem. Trójka pilotów i trójka agentów. Byli gwiazdami wieczoru!

Rozdział dziesiąty Jaszczurki

Siedzieli w namiocie. Szymon cały czas opowiadał, jak w czasie odbijania samolotu Mick i Diego latali i zamieniali się pozycjami i jak on i Banko próbowali negocjować.

– Szło nam całkiem nieźle. Już było czuć atmosferę zwycięstwa, ale wtedy Robi i Franek zagrozili im, że ich zestrzelą, no i to tak jakby oni uratowali sytuację...

– Nie ściemniaj. Nie radziliście sobie – zarechotał Gryzoń.

Do namiotu wszedł Kali. Nie był do końca szczęśliwy. Coś go wyraźnie martwiło.

– Co jest? – zapytał Szymon.

– Ja rozumiem waszą radość, ale dowództwo obawia się o wasze życie.

– Aż tacy jesteśmy żałośni? – zaśmiała się Robi. – Zakładają, że wykończymy się sami czy co?

– Nie, boją się, że terroryści będą się mścić na oficerach PAS-u. Nie ukrywają, że to Robi jako dowódca Irbisów jest uważana za główny cel.

– Niech spróbują podskoczyć. Ja się nie boję. Oberwę? Trudno. Nie mam zamiaru się poddać.

– Robi, nie daj się zabić. Nie chce mi się przejmować twoich obowiązków. Tyle papierkowej roboty...

– I tylko dlatego mam żyć? Dzięki, Szymon.

Kali był lekko zdziwiony ich reakcją, ale w końcu po chwili milczenia odezwał się:

– Pułkownik dał rozkaz, żebyście wszędzie nosili kamizelki. Hełmy najlepiej też.

– Tak, tak. I umrzemy z przegrzania. Dobra, okej. Postaramy się.

Kali wyszedł, a dowódcy zostali sami. Nadal rozmawiali o samolocie, a Szymon wciąż miał Robi za złe, że ostatecznie to ona i Franek odegrali główną rolę.

– Robi! – wrzasnął Net, wpadając nagle do namiotu.

– Co jest? – zapytał Szymon, patrząc na chłopaka z politowaniem.

– White powiedział, że widział na brzegu morza jaszczurki! Podobno bardzo rzadkie! Chodźmy tam, chcę je zobaczyć! Proszę!

– To tylko jakieś głupie, obślizgłe stwory. Daj spokój – odrzekła Robi, bawiąc się modelem F-16 stojącym na biurku.

– Ej, no. Mamy wolne! Szum fal, słoneczko... I jaszczurki! Co wam zależy?

– Są rzadkie. Pewnie i tak ich nie znajdziesz – mruknął Franek, który siedział na krześle i próbował się zdrzemnąć.

– Głupku, idź sam. Nas nie obchodzą jakieś zwierzaki. To jara tylko ciebie.

Net westchnął i powoli ruszył w stronę wyjścia.

– Hej! – zawołała Robi. – Albo idziemy wszyscy, albo nikt. Znacie zasady. Nie chodzimy sami, tak na wszelki wypadek.

– No dobra, objąć się możemy i tu, i w plenerze. Mnie to nie robi różnicy.

Ruszyli w stronę wybrzeża. Dla bezpieczeństwa zabrali ze sobą jeszcze Kappę. Słońce

świeciło na bezchmurnym niebie, a lekki, ciepły wietrzyk mierzwił im włosy. Kiedy dotarli na miejsce, stwierdzili zdecydowany i niezaprzeczalny brak jaszczurek.

– Może się pochowały? Poszukam! – oznajmił szczęśliwy Net i odbiegł od nich.

– To my tu poczekamy! – zawołała Robi i usiadła na ziemi.

– Net to przypał – szepnął lekko rozbawiony Szymon, patrząc, jak ich przyjaciel biega wzdłuż brzegu i zagląda pod każdy kamień.

– Co robimy? – zapytał Kappa, obserwując teren przez lunetę karabinu.

– Nic. Czekamy, aż Netowi znudzi się bieganie w tę i z powrotem. Mam nadzieję, że to kiedyś nastąpi.

– Co z zagrożeniem?

– Wierzę w twój talent Irbisa. Na chwilę obecną jako jedyny masz karabin.

– Tak jest!

– Wy to macie nie po kolei w głowach. Całe życie kogoś wypatrujecie. Karabin zawsze przy sobie! – mruknął Szymon.

– O, przepraszam. Ja go nie mam w tej chwili. A Kappa ma, bo ktoś mieć musi.

– Szczegóły.

Leżeli na ziemi i obserwowali Neta. Chwila pozornego relaksu. Dlaczego pozornego? Niby mieli czas wolny, ale mieli też broń, kamizelki... W każdej chwili mogli zostać wezwani na akcję, a rozkazom nie mogli odmówić.

– Wypoczynek wypoczynkiem, ale wróg nigdy nie śpi. Poobserwuję okolicę razem z Kappą – powiedziała Robi, wyciągając lornetkę.

– Wyluzuj. Nie każdy krzak chce nas zabić. Zawsze szukasz dziury w całym – stwierdził Net, kiedy w końcu zdyszany wrócił do swoich przyjaciół. – A jaszczurek nie ma.

Szymon zmierzył chłopaka wzrokiem i westchnął.

– W pewnym sensie Net ma rację. Wyluzuj, kobieto.

– Swoich rekrutów też tak uczycie? Takiego luzu?

– W miarę rozsądku. W końcu od czego mamy nasz system wczesnego ostrzegania? – stwierdził, a Robi popatrzyła na niego jak na idiotę. – No o Irbisach mówię. Zawsze któreś z was nas ostrzeże, krzyknie czy coś.

– Snajper! – wydarł się Kappa.

– No właśnie o tym mówię – zaśmiał się Szymon.

Robi odwróciła się w stronę, w którą patrzył Artur. To nie była demonstracja zasady działania Irbisów. Tam naprawdę ktoś był. Nie byle kto, ale snajper. Rzuciła się na Neta i Szymona i powaliła ich na ziemię. Chwilę później kula uderzyła o kamień dwa metry od nich.

– Co do... – zaczął Szymon, ale nie skończył, bo jego przyjaciółka wepchnęła ich za pobliskie skały.

Kappa dołączył do nich. Robi naładowała broń i ręką dała mu znak, że ma się ukryć i zdjąć wroga. Ona sama chciała odwrócić jego uwagę. Irbis wspiął się na szczyt skałek, a ona wybiegła z ukrycia. Schowała się za krzakiem i próbowała strzelać do przeciwnika. W końcu skończył jej się magazynek.

Machnęła do Szymka ręką z prośbą, by rzucił jej nowy. Zrobił to, ale zbyt lekko. Naboje upadły dokładnie pośrodku plaży, między mini. Descante, nie myśląc długo, wybiegł z ukrycia. Błąd! Nie czekała na dalszy rozwój sytuacji. Rzuciła broń i skoczyła w stronę przyjaciela. Zderzyła się z nim w biegu i oboje runęli na ziemię. Szybko podczołgali się za skały.

– Uratowałaś mnie! Znowu – wysapał Szymek.

– No widzisz, jakoś tak wyszło.

Kappa strzelił w stronę wroga i strącił go ze szczytu pagórka. Nie miał zielonego pojęcia, czy go zabił czy nie. Był pewien, że trafił, reszty mógł się tylko domyślać.

– Co ze snajperem?

– Nie ma go, ale nie wiem, czy żyje. Trafiłem go, ale nie wiem gdzie.

– Grunt, że go nie ma! Wracamy do bazy! – zawołał Szymon.

– Mnie to pasuje – mruknęła Robi i wszyscy razem ruszyli z powrotem do bazy. – Nienawidzę jaszczurek! – syknęła, kiedy przechodzili obok zrozpaczonego Neta.

– Przepraszam! Myślałem, że tu naprawdę będą jaszczurki. Ja tak bardzo je lubię.

– Nie twoja wina, ale nie idę już nigdy nigdzie z powodu głupich płazów! – syknęła.

– Gadów – poprawił ją nieśmiało Net, ruszając biegiem za nimi.

– A co za różnica! – burknął Szymon.

Gdy tylko pojawili się w bazie, dostali rozkaz natychmiastowego stawienia się u dowódcy. Nie mieli pojęcia, o co może chodzić.

– Oficerowie PAS-u meldują się na rozkaz! – oznajmiła Robi, stając na baczność.

– Podoficer PAS-u też się melduje – mruknął znudzony Net, o którym jego przyjaciele jak zwykle zapomnieli w czasie meldunku.

– Spocznij – powiedział dowódca znad papierów. – Chciałem wam powiedzieć, że... – Podniósł wzrok i popatrzył na nich. – Co wam się, u licha, znowu stało? Dlaczego macie zakurzone mundury?

– Mała wpadka podczas wypoczynku – odpowiedziała Robi, uśmiechając się krzywo.

Pułkownik westchnął głęboko i pokręcił głową.

– PAS nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Wy jesteście jak nie z tej planety. No cóż, musicie uważać. Następne dwa dni spędzicie tutaj. Jesteście zwolnieni z działań.

– Za co?! – oburzył się Net. – Nic złego nie zrobiliśmy.

Dowódca popatrzył na niego znad dokumentów i uśmiechnął się lekko.

– To rodzaj premii – wytłumaczył. – Za dokonania. Nie kara. Poza tym, jeśli będziecie pilnie potrzebni, i tak was wezwiemy.

– *Chill out!* Idziemy spać! – ucieszył się Descante, zacierając ręce, i już chciał wychodzić.

– Wojsko ma parę misji typowych dla jego sposobu działania. Nie chcemy narażać naszych agentów. Wy będziecie mieli inną akcję.

– Tak jest!

– Piloci PAS-u oczywiście stawią się jutro z samego rana na loty razem z pilotami z Sił Powietrznych.

– Tak jest! – ucieszył się Franek.

Następnego dnia agenci totalnie się nudzili. Po przejściach podczas szukania jaszczurek woleli nie ruszać się z bazy. Grali w karty, rozmawiali, a Robi z zazdrością wpatrywała się w niebo, po którym śmigwały F-16. Żałowała, że nie mogła być tam razem z Frankiem.

On tymczasem bawił się świetnie. Między PAS-em a Siłami Powietrznymi wytworzyła się pewna więź. Byli tak zgrani, jakby latali ze sobą od urodzenia.

Następnego dnia Franek ulitował się nad znudzoną do granic możliwości Robi i zabrał ją ze sobą. Oficjalnie była tylko pasażerem, ale w końcu oddał jej stery. Szło jej całkiem nieźle. Z drobną pomocą Gryzonia udało jej się zestrzelić Diego, niestety Mick pomścił swojego przyjaciela.

– Kot zestrzelony! – zawołał tryumfalnie pilot.

– Dałam ci fory – mruknęła smutno Robi.

– I tak nie było źle – zaśmiał się Franek. – Dobra, latajcie dalej, my lądujemy. Gryzoń zgłasza wycofanie z ćwiczeń. Bez odbioru.

Wrócili na ziemię. Robi kochała myśliwce, ale w jej opinii na pilota nadawała się średnio. Była zbyt delikatna i nieśmiała za sterami. Gryzoń był o wiele lepszy w te klocki. W końcu jest absolwentem Szkoły Orłąt i pilotem PAS-u!

Przebrali się w normalne mundury i wrócili do reszty. Ich przyjaciele siedzieli na trawie obok pasa startowego. Robi i Franek dołączyli do nich.

– Jak tam ćwiczenia? – zapytał zaciekawiony Alan.

– Świetnie. Diego chyba już zupełnie zniechęcił Robi. Już drugi raz wykiwała go w powietrzu – zaśmiał się Gryzoń, patrząc na nią z uśmiechem.

– Za to Mick i Charter mnie uziemili! – powiedziała Robi, siedząc z założonymi rękami.

– Każdemu się zdarza – stwierdził Szymek, głaszcząc swoją przyjaciółkę po głowie. – O czym my to mówiliśmy?

– O tym, że zastanawialiśmy się, jakim cudem jesteśmy w PAS – przypomniał Net.

Robi popatrzyła zdziwiona na Szymona, a on uśmiechnął się bezradnie. Franek parsknął śmiechem, a Alan popatrzył na niego zdziwiony.

– No wiesz, Net. Ja i Robi przejęliśmy rodzinny interes. Tak jakby.

– No tyle to ja wiem. A wy? – zwrócił się do Gryzonia i Świdra.

– Mnie błagali wręcz – stwierdził z dumą Alan, a Descante, Robi i Franek zaczęli się śmiać.

– Błagali? – zdziwił się Net.

– Nom. Byłem na studiach informatycznych. Wkurzyłem się, bo profesor nie zaliczył mi zadania. Wziąłem laptopa i próbowałem się włamać do systemu uczelni. Trochę mi się pomyliło i dostałem się do amerykańskiej floty. To było w czasie wykładu. Tak się przeraziłem swoim wyczynem, że aż podskoczyłem z piskiem. Niestety wykładowca to zauważył. Zdążył zobaczyć monitor. Zabrał mi laptopa, złapał za ramię i wyciągnął z sali. Okazało się, że to był agent z PAS. Miał zwerbować jakiegoś informatyka.

– Włamałeś się do marynarki wojennej USA?! – pisnął przerażony Net, wpatrując się wielkimi oczami w Alana.

– Owszem. Potem tak z nudów do włoskiej, a później to już zgodziłem się na robotę tutaj i zostały tylko zlecenia agentów.

– Ale super.

– Nie ciesz się tak, Net. Franek miał lepszą akcję – zaśmiał się Szymon, patrząc z rozbawieniem na Bore’a.

– Jaką? Jaką, powiedzcie!

– Muszę? – zapytał niepewnie Franek, wpatrując się w ziemię.

– Tak – stwierdziła stanowczo Robi, po czym dodała: – Inaczej Net zamęczy mnie lub Szymka.

– No dobra. Więc tak. Byłem zaraz po kursie na pilota. Zdałem go! To cud, bo instruktor zarzucał mi zbyt ostre loty. Siedziałem za sterami śmigłowca kuzyna. Czekałem na turystów, którzy chcieli zobaczyć miasto z lotu ptaka. Uczyłem się do sesji. Nagle wpada jakiś gość! Zdyszany, jakby przebiegł maraton. Chce, żebym go wziął na wycieczkę, i mówi, że dużo zapłaci. No to ja wirnik w ruch i startujemy! I nagle ktoś mi strzela do śmigła! Ktoś z drugiego

helikoptera, który pojawił się nagle tuż obok. Drą się, żebym natychmiast lądował. Grożą, że mnie zestrzelą. To nie policja ani nic takiego, więc się nie poddam. Ostry manewr i im uciekam. Nie mieli ze mną szans, ale mieli snajpera na pokładzie. Trafił w ogon, więc musiałem lądować. Dwójka uzbrojona po zęby wyciągnęła mnie ze śmigłowca i rzuciła na ziemię. Potem się okazało, że to był szturmowy oddział PAS-u. Trafiłem do celi w bloku C, we Wrocławu – opowiedział Franek przejętym głosem.

– Znam to miejsce. – Net zadrżał na wspomnienie przygody z Delikiem.

– No. To był koszmar. Myślałem, że już po mnie. Cztery ściany i nic więcej. I nagle pojawił się dyrektor. Ten poprzedni. Wziął mnie na rozmowę. Warunki były korzystne. No i oto jestem.

– O, ja... ale numer! – Net był w świetnym humorze. – Jak myślicie, dlaczego ja tu jestem?

– To akurat oczywiste – zaśmiała się Robi, poklepując przyjaciela po ramieniu. – Przez nas.

– Dokładnie. To ja i Robi cię na to skazaliśmy. Pokazaliśmy ci nasze techniki działania, wyszkoliliśmy cię. Za dużo o nas wiesz, żeby nie być jednym z nas – stwierdził Szymek z uśmiechem.

– A macie jakiś ideał agenta? W sensie, wzór – jaki agent powinien być...

– Net, ale ci się na pytania zebrało – zaśmiał się Alan.

– Wiesz, powiem tak. Wiele osób twierdzi, że ideałem jest nasza superagentka Robi, ale przecież każdy wie, że chodzi o mnie – zażartował Descante, dumnie wypinając pierś.

– Ha! Dobrze – zaśmiała się głośno Robi.

– Nie no, żartuję. Jestem beznadziejny. Ale ona – wskazał na swoją przyjaciółkę – to już w ogóle jest margines agentów. Cały czas łamie zasady! Chipsy na akcjach, ryzyko. Zawsze znajdzie sposób, by obejść prawo.

– Pff – prychnęła Robi, udając obrażoną.

– Nie no. Wiecie, o co pytam. Jakie cechy powinien mieć agent – powiedział Net, dłubiąc w trawie.

– A różne – stwierdził Szymek. – Ci, którzy werbują, strasznie nie lubią glutowatych przeciętniaków z rodzaju „przepraszam, że żyję”. Agent musi mieć to coś. Musi być z pazurem, bo inaczej po tygodniu wróci zapłakany do mamusi.

– No dokładnie. Nasz PAS jest o tyle wyjątkowy, że rzadko działamy w pojedynkę. Prawie zawsze pracujemy w zespołach. Szpieg, agent, tajniak... To się kojarzy raczej z konspiracją i samodzielną pracą – dodała Robi, a Net przysłuchiwał się jej uważnie.

– Nie ma dwóch takich samych agentów. Szkolenie agenta, który nadawałby się do wszystkiego, to koszmar. Nie da się wyszkolić informatyka na pilota, tajniaka i snajpera w taki sposób, by we wszystkim był świetny. Korzystamy z indywidualnych zalet. Robi na przykład jest szybka i ma cęła jak mało kto. Ja za to mam przewagę w konkurencjach siłowych, mimo że nie jestem osiłkiem. Robi może mnie niestety wykiwać unikami i to w taki sposób, że pokonam się praktycznie sam. Mógłbym tak mówić godzinami.

Zapadła niezręczna cisza. Net patrzył na nich zamyślony. Cały czas miał wątpliwości, czy nadaje się na członka zespołu. Obserwował żdźbła trawy kołyszące się na wietrze.

– Chodzi o to, że się dopełniamy. Każdy coś umie i do tego ma ściśle specjalizacje. Rozumiesz? – odezwała się po jakimś czasie Robi.

– Chyba tak – odpowiedział Net wyrwany z zamyślenia. – Fajnie być takim

zakonspirowanym na maksa agentem.

– No wiesz... Ty nie jesteś zakonspirowany. Każdy, kto cię zna, to zna cię jako Neta.

Nigdy nie zmieniałeś danych na czas akcji.

– No i? Wszyscy mamy swoje prawdziwe imiona.

– Nie wszyscy – mruknęła Robi, zrywając stokrotkę rosnącą koło jej buta.

– No dobra. Racja. Zapomniałem.

– No właśnie.

– Dobra – mruknął Net i wstał. – Nie ma co, idę spać.

Rozdział jedenasty

Wojsko vs PAS

Cisza, spokój i zero hałasu. Beżowa poduszka i pierwsze promyki słońca wpadające przez szparę w drzwiach.

– Robi! – wrzasnął Szymon nagle i bez ostrzeżenia, a przerażona agentka podskoczyła i spadła z łóżka.

– Idioto. Miałeś mnie tak nie budzić! – syknęła, wstając z ziemi i otrzepując się z kurzu.

– Ale pułkownik wzywa.

– Znów?! Uwziął się na nas – mruknęła, idąc do wyjścia.

Wyszli na zewnątrz. Dopiero świtało. Po jasnoróżowym niebie płynęły powoli małe białe obłoczki. Dookoła było jeszcze zupełnie cicho. Wszyscy spali. No, prawie wszyscy.

Weszli do biura pułkownika, który siedział znużony przy biurku. Stanęli na baczność i zasalutowali.

– Porucznik Descante i Damon meldują się – oznajmił Szymon.

– Spocznij – mruknął dowódca, patrząc na nich spode łba.

Wstał i powoli podszedł do okna. Odwrócił głowę w ich stronę i zmierzył ich wzrokiem.

– Pamiętacie tę akcję zwiadowczą, którą planowaliśmy?

– Oczywiście – odpowiedziała Robi trochę zaspanym głosem.

Nie umknęło to uwadze pułkownika. Zerknął na nią pytająco.

– Nie wyspaliśmy się, co? – zapytał, unosząc lewą brew.

Robi uśmiechnęła się zakłopotana i delikatnie kiwnęła głową.

– To nieistotne. Chodzi o to, że macie dać wsparcie żołnierzom w czasie akcji zwiadowczej. Będziecie ich osłaniać, podczas gdy oni odnajdą mapę z lokalizacjami wszystkich baz wroga.

– Ale, pułkowniku, przecież to my mieliśmy... – zaczął Szymek, ale dowódca uciszył go jednym ruchem ręki.

– Myślę, że porucznik Descante ma rację. To my tu jesteśmy od akcji zwiadowczych, a zamiast szpiegować, walczymy na otwartym polu, w czasie gdy wojsko idzie na przeszpiegi. Nie lepiej by było na odwrót? – zapytała nieśmiało Robi, patrząc z powątpiewaniem na wyciągniętą rękę pułkownika.

– Sugerujesz, że podejmuję złe decyzje?

– Ależ skąd. Proszę tylko o danie nam szansy.

– Dobrze. Idźcie prosto do celu. Wojsko wyruszy za dwie godziny. Do ich przyścia macie czas na wykonanie zadania. Potem wkraczają. Ruszajcie.

– Tak jest!

Pobiegli do kontenera i obudzili całą drużynę. Wyjaśnili im dokładnie, na czym polega zadanie. Net był przeszczęśliwy. Od zawsze wolał kombinowanie i działanie w przebraniu niż walkę wręcz. Chodził wokół Robi i wymyślał najrozmaitsze plany.

– Nie ma sensu, żebym się tam pchał – mruknął zaspany Franek spod kołdry. – F-16 wam

się nie przyda, a mamy lekki niedobór pilotów. Muszę tu siedzieć w pełnej gotowości do działania.

– Tak, jasne – odparła Robi, przewracając oczami. – W pełnej gotowości i... w piżamie!

Wszyscy parsknęli śmiechem, a Gryzoń rzucił im mordercze spojrzenie i wstał z łóżka.

– To nie piżama. Zdaje mi się, że wy też raczej w nich nie śpicie.

– Czepiasz się – mruknął Szymek, rzucając w niego poduszką.

– Dobra, ekipa! Idziemy – zawołała Robi, ruszając do wyjścia.

– A plan? – zapytał Alan, zarzucając plecak na ramię, i pobiegł za nią.

– Im więcej myślisz, tym więcej może się nie udać. Coś wykombinujemy po drodze.

Szli szybkim krokiem przez otwarte pola. Mieli do przejścia długą drogę. Słońce raziło ich po oczach, a chłodny wiatr targał im włosy.

– Dlaczego musimy drałować na piechtaka? – oburzył się Net, odganiając od siebie komary.

– Bo pułkownik nas z jakiegoś powodu nie lubi – odparła Robi, zerkając na niego.

– Poza tym chcemy służyć ojczyźnie i staramy się robić, co tylko możemy – stwierdził Szymon, szturchając Neta w ramię.

– Ja wszystko rozumiem. Wszystko prócz tego, że przez decyzje pułkownika wiecznie coś się dzieje.

– Marudzisz, Net.

W końcu po ponad trzech godzinach dotarli do celu. Przeczogli się pod ogrodzeniem i podbiegli do jednej ze ścian. Szymon i Net podsadzili Robi, by sprawdziła przez okno, czy ktoś jest w tym pomieszczeniu.

– Czysto. Możemy wchodzić – szepnęła i podciągnęła się na parapet.

Okno było uchylone. Otworzyła je szerzej i wskoczyła do środka. Po chwili dołączyli do niej przyjaciele.

Stali w dość ciasnym i ciemnym pokoju. Na wprost były drzwi, a dookoła stały regały wypełnione wiadrami, mopami i środkami czystości. Na wieszakach wisiały stroje robocze dla sprzątaczk, kucharza, lokaja, ogrodnika i jakieś wojskowe mundury.

– To co robimy? – zapytał Net, przyglądając się płynowi do naczyń.

– Lepiej być nie mogło. Ja przebieram się za sprzątaczkę, a wy za kogo tam chcecie. No i szukamy tej mapy.

Zrobili, jak zarządziła. Po chwili wyszli z kanciapy zmienieni nie do poznania i rozeszli się w trzy różne strony.

Robi weszła do jednego z pokoi na parterze. Był on przestronny z wysoko sklepionym sufitem. Stylem i wystrojem przypominał trochę salę balową. Ściany zasłonięte były różnymi malowidłami, a we wnęce, która kiedyś była balkonem, stał ogromny poźółkły już globus.

Kroczyła powoli po marmurowej posadzce, zastanawiając się, jak na takim odludziu może stać taki pałac. Przeszukała wszystkie zakątki, ostukała ściany w poszukiwaniu tajnych skrytek, ale nic nie znalazła. Wyszła na korytarz i udała się do następnego pokoju.

Tym razem trafiła do sypialni. Ściany ozdobione były kwiecistymi tapetami, a w centrum pokoju stało monstrualnych rozmiarów łóżko. Pod jedną ze ścian zauważyła zdobioną komodę. Podeszła do niej i przeszukała każdą z szuflad. Poza skarpetkami i krawatami nic nie znalazła.

– Kucharz, lokaj. Macie coś? – zapytała w końcu szeptem do mikrofonu.

– Nic. Pusto – mruknął smutno Szymon.

- U mnie też nic. Poza tym... Wie ktoś, jak ugotować burrito?
- Net! Ty nie miałeś gotować, tylko szukać mapy! – syknęła Robi.
- Wtedy coś przerwało łączność. Zaszumiało i po chwili usłyszeli głos pułkownika.
- Wykonaliście zadanie? – zapytał zimnym tonem.
- Jeszcze sekunda – szepnęła Robi, biegnąc do kolejnego pomieszczenia.
- Mieliście już dość czasu. Wojsko czeka na mój rozkaz.
- To proszę go nie wydawać! Za chwilę znajdziemy mapę i nikt nawet nas nie zauważy.
- Poruczniku. Bez dyskusji – uciął rozmowę z Robi i zwrócił się do żołnierzy: –

Ruszajcie.

Sekundę później przez okno tuż za Robi wpadło trzech wojskowych. Odwróciła się powoli i popatrzyła na nich poirytowana. Zmierzyła ich wzrokiem od stóp do głów i przewróciła oczami.

– No i full konspirę szlag trafił – burknęła, ściągnęła biały fartuszek pokojówki i rzuciła nim w jednego z trójki.

– Takie rozkazy – powiedział nieśmiało drugi, wychylając się zza kolegi.

– Nie no, ja rozumiem – odrzekła, unosząc ręce w geście bezradności. – Ja się do tej akcji nie przyznaję. Powodzenia.

Podeszła do drzwi, rzuciła zdezorientowanym żołnierzom ostatnie spojrzenie i wyszła.

– Lokaj, kucharz! Wychodzimy. To już niestety nie jest nasza impreza – syknęła do krótkofalówki.

– Tak jest! – odpowiedzieli jej zgodnie Szymon i Net.

Wrócili do bazy po długiej wędrówce. Byli wyczerpani i wściekli na dowódcę, który zepsuł im akcję. Padli na trawę i wpatrzeni w pogodne niebo odpoczywali. Mieli już dość. Marzyli tylko o wolnym dniu.

– Jak myślicie? Stanie się jutro coś ciekawego? – zapytał Net, siadając i patrząc na przyjaciół.

– Ktoś cię zastrzeli – mruknął Szymon leżący z twarzą w trawie. – Jak nie wróg, to ja, za zakłócanie cudownej ciszy.

– Cicho, Szymon. Tak naprawdę to jesteśmy jak takie kawałki marchewki dryfujące po bezkresnym oceanie rosołu. Nigdy nie wiemy, kiedy ktoś nabije nas na widelec – mruknęła zaspanym głosem Robi, przeciągając się leniwie.

Net popatrzył na nią zbity z tropu, a zaciekawiony Szymon podniósł głowę. Zapadła niezręczna cisza, przerywana tylko oddechami agentów.

– No co? – zapytała w końcu.

– Przyznaj się – mruknął Szymek, patrząc na nią z powątpiewaniem. – Masz ochotę na rosół.

– Nom. Na taki, jaki robi Darek! Pyszny, domowy rosółek z kluseczkami! A co?

– Nic, nic. To widać. – stwierdził rozbawiony Fisher, ponownie kładąc się wygodnie na trawie.

– Poza tym rosołu nie je się widelcem – szepnął nieśmiało Net.

Rozdział dwunasty

Dzień wolny

Szymon przeciągnął się leniwie i rozejrzał dookoła. Był sam. Wszyscy już się obudzili.

– Śpioch! – zawołała Robi, wchodząc do kontenera, a potem powiedziała rozbawiona: – Baza mogłaby się spalić, a ty i tak byś się nie obudził. Przespałeś bitwę na poduszki Neta i Alana.

– Tak jakoś się złożyło. Mamy dzień wolny, należy mi się. W razie pożaru lub nalotu proszę mnie wynieść razem z łóżkiem.

Robi przewróciła oczami i ściągnęła z Fishera koc. Skulił się i popatrzył na nią spode łba.

– Ej, no! – syknął, próbując odzyskać swoją własność.

– Wstań i ją sobie weź. Ja idę do chłopaków na naszą imprezę.

– Imprezka?! – zapytał rozradowany, wstał i szybko zaczął się ubierać. – Zaraz tam będę.

Gdzie?

– Za hangarem. Czekamy – odparła i wyszła na zewnątrz, zostawiając koc przy wejściu.

Z szerokim uśmiechem na ustach ruszyła przed siebie. W duchu śmiała się z przyjaciela i była ciekawa jego miny, kiedy dotrze na imprezę. Zerknęła na bezchmurne niebo.

Weszła za hangar i na widok przyjaciół uśmiechnęła się. Siedzieli na trawie wokół małego czerwonego kocyka. Popijali colę i zajadali ciasteczka.

– Szymon idzie? – zapytał Franek, patrząc wesoło na Robi.

– Idzie. Spodziewa się ogromnej imprezy. – Zaśmiała się, gramoląc się na trawie.

– Się śpioch zdziwi – zarechotał Net.

Chwilę później zza rogu wyłonił się Fisher. Przetarł leniwie oczy i spojrzął na ekipę. Stał zdziwiony i wpatrywał się tępo w kocyk.

– To gdzie ta imprezka? – zapytał po dłuższej chwili z nadzieją w głosie.

– No tu. Każde spotkanie z przyjaciółmi jest przecież cudowne – stwierdziła Robi, podchodząc do Szymka i poklepując go po ramieniu.

– Bardzo śmieszne – wycedził Fisher, patrząc na przyjaciółkę spode łba.

Wtedy usłyszeli wołanie gdzieś z oddali. Odwrócili się w tamtą stronę i zobaczyli jednego z żołnierzy zmierzającego w ich stronę.

– Pułkownik prosił, żebyście pomogli z zaopatrzeniem.

– To znaczy? – zapytał zdziwiony Net, patrząc na przybysza.

– To znaczy przenieść butelki z wodą z punktu A do punktu B. Czyli z miejsca, gdzie są, do namiotu z żarówką.

– Dlaczego znowu my?! Myślałam, że jesteśmy jednostką specjalną do zadań taktycznych, a nie gospodarczych.

– Pani porucznik, ja tu tylko przekazuję rozkazy.

– Dobra, pomożemy. Odmaszerować – mruknęła Robi, przewracając oczami.

Plutonowy zasalutował i odszedł. Zrezygnowana Robi wróciła do przyjaciół i opadła na trawę.

– Miało być tak pięknie – powiedziała, zrywając małą różową stokrotkę. – A robimy za obsługę techniczną. No cóż. Szymon, pomożesz mi, a Net... Ty zadbaj o to, żebym miała gdzie siedzieć na obiedzie!

– Tak jest!

Robi i Fisher powolnym krokiem ruszyli w stronę bramy, gdzie miały czekać kartony z butelkami. Żołnierze żyli sobie spokojnie, grając w karty, rozmawiając albo siedząc samotnie i rozmyślając. Oni jednak musieli iść i mimo dnia wolnego nosić wodę.

Słońce świeciło i wiał chłodny, przyjemny wiatr. Po bezchmurnym niebie przemknęły dwa F-16. Robi zatrzymała się i westchnęła z zachwytem. Szymon przewrócił oczami i szturchnął ją w ramię.

– Chodź już – powiedział, ciągnąc ją za rękaw.

Doszli w końcu do sporych rozmiarów skrzyni. Wzięli po dwie zgrzewki butelek i ruszyli do namiotu z zaopatrzeniem. Odstawili ładunek i wrócili po kolejną porcję.

– Wiesz co? – mruknęła znudzona Robi. – Nie chce mi się tego tak nosić. To nudne.

– A mamy wybór? – wymamrotał Szymon, patrząc na nią pytająco.

– A gdyby tak... – szepnęła, rozglądając się dookoła.

Na małym stoliku zauważyła zwinięty sznurek. Zaświtał jej pewien pomysł. Podbiegła i zabrała go ze sobą. Wróciła do Szymona i z dumą pokazała mu znalezisko. Obejrzał je zdezorientowany i pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, co chcesz z tym zrobić. Chyba nie zamierzasz ciągać wody na sznurku? – zapytał zaniepokojony, patrząc na przyjaciółkę podejrzliwie.

– Nie – zaśmiała się i zauważyła, że F-16 znów lecą w ich kierunku. – Popatrz w górę.

Szymek podniósł głowę w momencie, kiedy samoloty były tuż nad nimi i mogli zobaczyć rakiety pod ich skrzydłami. Otworzył oczy szeroko i powiedział coś niezrozumiałego pod nosem. Potem popatrzył na skrzynię, na sznurek i w końcu na przyjaciółkę.

– Czy ty jesteś normalna? – zapytał z głupawym uśmiechem.

– Nie – odpowiedziała rozradowana Robi. – Ale przyznasz chyba, że to urozmaici nudną robotę.

– No dobra. Niech stracę.

Uśmiechnęła się szeroko i przywiązała po dwie butelki do rąk Szymka, tak jak pociski przyłączone są do skrzydeł myśliwców. Nakazała mu czekać i zabrała się za swoje „uzbrojenie”. Stała obok Fishera i zaśmiała się wesoło.

– To teraz tak. Wyobraź sobie, że jesteśmy jak te F-16. Ścigamy się do naszego celu. Kto przegra, przenosi resztę.

– To chore. Ale niech będzie.

– Kto ostatni w namiocie, ten zestrzelony! Start!

Ruszyli biegiem przed siebie. Zajmowali sporą szerokość, biegnąc z rozłożonymi na boki rękoma, więc żołnierze uciekali im z drogi, podśmiewując się pod nosem.

Dwójka agentów wytrwale pędziła po żwirze i trawie, nie zważając na przeciwności. Robi prowadziła, ale Szymon miał bardzo małe straty odległości. Nagle pojawił się przed nimi Franek i zatrzymał ich.

– Macie wodę. Z nieba mi spadacie. Poczęstujcie.

– Weź sobie jedną – zaśmiała się Robi.

Gryzoń, chcąc zaszpanować refleksem, wypchnął jedną z butelek z zawieszania i chciał ją złapać w locie. Niestety nie zdążył i upadła na ziemię.

Robi popatrzyła na nią smutno, a potem powoli podniosła głowę i rzuciła Frankowi mordercze spojrzenie.

– Właśnie zbombardowałeś wioskę pełną niewinnych cywilów – powiedziała ponuro.

– Co? Jakich cywilów? – zdziwił się Franek, a potem zrozumiał, o co chodzi. – Aaa... No tak. Rakiety i samoloty. Robi, to takie typowe dla ciebie.

– My lecimy. Mamy wyścig – zaśmiała się agentka. – Prosimy opuścić przestrzeń powietrzną! – zawołała.

Franek odskoczył w bok, a oni znów ruszyli biegiem w stronę namiotu. Robi wygrała, a Szymon zgodnie z umową musiał dokończyć pracę.

Po wszystkim wrócił zmęczony do przyjaciół i uśmiechnął się szeroko, widząc, że ich poranna „ impreza ” czeka. Napili się soku i resztę dnia spędzili, leżąc na trawie i obserwując przemykające nad nimi co jakiś czas lśniące w promieniach zachodzącego słońca F-16.

Rozdział trzynasty

Spotkanie nocne

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wszyscy już wrócili z akcji. To był spokojny dzień. Kiedy zapadł zmrok, ktoś przemknął za obozem. Pod osłoną nocy wymknął się z bazy i ruszył przed siebie w pole.

Noce były już chłodne. Sucha trawa trzeszczała pod wojskowymi butami wędrowca. Gdzieś w oddali zahuczała sowa. Zatrzymał się przerażony i rozejrzał dookoła, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi.

Był sam. Uśmiechnął się lekko i ruszył dalej. Wszystko szło jak na razie zgodnie z planem. Nikt go nie widział ani nie słyszał i o to mu chodziło.

Nagle tuż za nim trzasnęła gałązka. Podskoczył przerażony i odwrócił się za siebie, łapiąc za broń. Uniósł ją, ale wycelował w powietrze. Spojrzał pod nogi i zobaczył małego przerażonego zająca. Pokręcił głową i tupnął mocno, odganiając nieproszonego gościa.

Czuł się źle. Wszystko mówiło mu, że powinien zawrócić, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Nie mógł ryzykować, zbyt wiele zależało od jego czynów. Był już blisko celu. Widział go. Po kilkugodzinnej wędrówce po skalistych stokach wreszcie dotarł.

Złowrogi pustkowiec w środku nocy. Pojedynczy surowy budynek w dolinie wśród szczytów Kaukazu. Panowała zupełna ciemność, bo ciężkie deszczowe chmury zasłoniły niebo, pochłaniając światło gwiazd i księżyca. Chłodny wiatr hulał między skromną roślinnością.

Niski mężczyzna w średnim wieku szedł w stronę budynku. Raz po raz osuwał się po żwirowych stokach i rozpaczliwie łapał równowagę, by w tym pośpiechu nie przewrócić się i dotrzeć cało na czas.

Dotarł na miejsce. Niepewnie wszedł po wysokich kamiennych schodach i powoli otworzył ciężkie drewniane drzwi, które zaskrzypiały przeraźliwie.

Znalazł się w ciemnym i przestronnym pomieszczeniu, przypominającym wystrojem średniowieczne lochy. Ściany wykonane były z ogromnych szarych cegieł, a pod sufitem wisiał potężny żyrandol z zapalonymi świecami, stanowiącymi jedyne źródło światła. Na środku kamiennej podłogi leżał czerwony dywan.

Mężczyzna stanął pośrodku pomieszczenia, trzęsąc się z przerażenia i rozglądając nerwowo dookoła. Wydawało mu się, że był sam, ale to tylko złudzenie.

– Jesteś jednak – odezwał się ktoś z ciemności.

Miał gruby, ale młody głos, w którym brzmiała jakby odrobina wrodzonej ironii. Nagle rozbłysło światło, rozświetlając całe pomieszczenie.

– Jestem – szepnął oślepiiony nagłym blaskiem żołnierz z polską flagą na mundurze.

– Jak na razie się nie popisałeś – mruknęła tajemnicza postać, wychodząc z ukrycia. – Chyba ci nie zależy.

Był to dość wysoki i szczupły mężczyzna. Miał około trzydziestu lat. Na czoło opadały mu bezładnie kruczoczarne włosy, a spod nich błyszcząły złoto-piwe oczy, które aż iskrzyły

złośliwością. Na szyi miał zawiązaną zieloną chustę z licznymi nacięciami na krawędziach.

– Anton! – pisnął przerażony gość. – Ja się staram! Mi zależy! Tylko to nie takie proste...

– To prostsze, niż sądzisz, pułkowniku! – syknął mężczyzna, podchodząc szybko do rozmówcy i łapiąc go za szyję. – Chcesz mi powiedzieć, że nie potrafisz wystawić mi na celownik... DZIECKA?! – wycedził przez zęby, patrząc pułkownikowi prosto w oczy.

– Wiek nie ma tu znaczenia – wyszeptał, próbując jakoś złapać oddech. – Tu chodzi o umiejętności.

– Jesteś pułkownikiem, do cholery! Nie umiesz ustawić podrzędnego oficera?! Dajesz się manipulować porucznikowi?! Zastanów się! To zwykli smarkacze! – wrzasnął Anton, ściskając mocniej żołnierza za gardło.

Puścił go i odepchnął, a ten runął na posadzkę. Odkasznął i odetchnął wreszcie. Usiadł i popatrzył spode łba na rozmówcę.

– Wysyłałem ją na akcje, ale potrafią w sekundę zmienić plan działania. Nie da się ich zaskoczyć – wyszeptał, rozmasowując sobie obolałą szyję.

– To nie wysyłaj ich grupą, idioto! Wiesz, na kim mi zależy. Tylko jedna osoba!

– Oni siedzą sobie na głowie nawet w toalecie! Wyszkolili ich do wzajemnej ochrony. I tak mnie nie posłuchają, jak wyślę kogoś pojedynczo.

– Snajper to samotnik. Ma co najwyżej obserwatora. Doprowadź do tego, by właśnie tak się podzielili!

– Postaram się.

– Chcę widzieć na celowniku tylko tego cholernego rudzielca! Rozumiesz?! – wrzasnął Jerakov, łapiąc za mundur pułkownika i potrząsając nim z całej siły.

– Tak jest!

– I pamiętaj, co będzie, jeśli zawiedziesz. Chyba nie chcesz, żebym zdobył kolejne trzy nacięcia na chustce? Co ofiara, to ciach. Sporo już ich mam, więc wiedz, że nie żartuję.

– Tak jest! Zrobię wszystko! – zaszlochał żołnierz, klęcząc przed Antonem.

– Idź i działaj! – wrzasnął Jerakov, wskazując ręką drzwi.

Pułkownik zerwał się na równe nogi i wybiegł na zewnątrz. Trzęsąc się ze zdenerwowania, biegł tą samą drogą, tym razem w stronę bazy. Nie wiedział, co ma robić. Nie chciał, a musiał...

Rozdział czternasty

Dzień próby

Robi otworzyła oczy i rozejrzała się. Było ciemno, a z zewnątrz dochodziły odgłosy ulewy. Przeciągnęła się, ubrała i wyszła ze swojego kącika. Wszyscy się obudzili, ale nikomu nie chciało się ruszać z miejsc, więc leżeli na materacach i patrzyli w sufit.

– Ale dzień – mruknęła Robi. – Totalna beznadzieja.

– Zgadzam się – odezwał się Franek, a pozostali pokiwali głowami.

– Trzeba by chyba wyjść i dowiedzieć się, co mamy dziś robić. Kolejnego dnia lenistwa nie zniosę – stwierdził Szymon, wstając i wychodząc na dwór.

Po kilkunastu sekundach wrócił i stanął poirytowany w progu. Cały ociekał wodą. Wyglądał, jakby nurkował w Morzu Kaspijskim.

– Tak jakby troszkę mży – wymamrotał, stojąc zgarbiony i wpatrując się w przeciwległy koniec kontenera. – Mamy coś przeciwdeszczowego? A najlepiej jakiś ponton, bo na zewnątrz wody jest po kostki.

– Taki los – mruknęła Robi. – Chodźcie do pułkownika.

Wyszli na zewnątrz. Ściana ulewnego deszczu zmoczyła ich całkowicie, ale wytrwale maszerowali, aż w końcu dotarli do siedziby dowódcy. Zapukali i weszli.

– PAS melduje się – oznajmił Szymon.

Pułkownik drgnął nerwowo i podniósł wzrok. Popatrzył na Robi i zamyślił się. Zamrugał oczami i wrócił myślami na ziemię.

– Jutro musimy przeprowadzić najważniejszą misję, od której zależeć będzie sens naszego pobytu tutaj. PAS i żołnierze jeszcze nigdy nie brali udziału razem w tak ważnym starciu! Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność. Nie mogę wam powiedzieć, że to będzie bezpieczne. O, nie. To misja wysokiego ryzyka.

Agenci popatrzyli na siebie zdziwieni. Ryzyko to był dla nich chleb powszedni. Dziwiło ich natomiast dziwne zachowanie pułkownika. Siedział spięty na fotelu i wyraźnie się czymś denerwował.

– Na czym polega to nasze zadanie? – zapytała Robi, przypatrując mu się uważnie.

– Zadanie... Tak... Zadanie ma polegać na... Macie zdobyć ich kryjówkę. Jednak to nie jest pojedynczy budynek. Tym razem to kompleks budynków zajmowanych przez Naskisów.

– Kogo? – mruknął zbity z tropu Szymon.

– To wy nic nie wiecie? Naskis to następcy Delika. Nazwa ta sama, ale przetłumaczona na inny język. Zastępcą ich przywódcy był jedyny nieuchwytny Delikowiec. Sami rozumiecie.

– Jerakov... I wszystko jasne – syknęła Robi, krzyżując ramiona i patrząc na pułkownika spode łba.

– Eee... Tak – mruknął zakłopotany dowódca, odetchnął i wrócił do tematu misji. – Dziś wieczorem wyruszą samolotem na miejsce.

– To świetnie. Gdzieś blisko Polski? – dopytał Net.

– Nie. Południowa wyspa Nowej Ziemi. Kojarzycie?

– Tak – mruknęli zawiedzeni agenci.

– Wojowników przeciwnika nie będzie tam wielu. Tylko wartownicy i może parę osób. Mamy październik, więc warunki będą ciężkie. Na deser powiem, że ich baza znajduje się blisko granicy poligonu atomowego. Mam nadzieję, że jakoś przeżyjecie.

– Pysznie! – pisnęła Robi, uśmiechając się krzywo.

– Idźcie się szykować. To wszystko.

– Tak jest! – odpowiedzieli chórem agenci, stając na baczność.

Wyszli z biura i brnąc w ulewnym deszczu, wrócili do swojego kontenera. Wszyscy ściągnęli przemoczone góry od mundurów, tylko Robi stanęła bezradnie na środku i zmierzyła wszystkich wzrokiem.

– Co tak stoisz w mokrych ciuchach? – zaśmiał się Franek. – Przeiębisz się.

– Bardzo śmieszne – mruknęła, rzucając w niego poduszką Szymona.

– Kurde, nie da się tak łatwo podejść – mruknął zawiedziony Alan, ubierając suchą koszulkę.

– Chciałbyś, co? – syknęła Robi, uśmiechając się zadziornie.

– A kto by nie chciał? – parsknął śmiechem Szymek.

– Ech, faceci – mruknęła Robi, przewracając oczami. – Wam tylko jedno w głowach! No ale – podeszła do Świdra i stuknęła go lekko palcem w nos, uśmiechając się słodko – tak bardzo wam – odwróciła się do Gryzonia i mrugnęła do niego zalotnie – zależy... – Usiadła koło Szymka i oparła rękę na jego ramieniu. – To może... – Wstała, podeszła do Neta i uśmiechając się szeroko, potargała mu włosy. – W końcu czemu nie.

Robi podeszła do granicy swojego kącika odgradzonego od łóżek reszty jej teamu. Odwróciła się przodem do nich, uśmiechnęła i cofnęła krok do tyłu. Oni siedzieli, udając obojętnych, ale wszyscy wpatrzeni byli w nią jak w obrazek.

Machnęła ręką i zasłoniła zasłonkę. W ukryciu przebrała się w ułamku sekundy i wyszła do chłopaków.

Siedzieli na wdechu i kiedy wyszła, odetchnęli zawiedzeni. Robi wybuchnęła śmiechem i rzuciła pod nogi Franka przemoczony mundur. Popatrzył na nią zdziwiony.

– No co? Myślałam, że zależy ci na tym, by móc wyręczyć mnie w suszeniu munduru – powiedziała słodkim i niewinnym głosem. – A to nie o to chodziło?

– No ale... – pisnął Gryzoń, patrząc smutno na resztę chłopaków.

– Chyba poproszę dyrektora o zwiększenie liczby agentek w PAS – mruknęła Robi, przewracając oczami. – Bo z wami to czasem ciężko wytrzymać.

– Przesadzasz – zaśmiał się Alan, wyciągając z plecaka butelkę wody.

– Dobra, koniec żartów. Co nam będzie potrzebne do akcji? Czekam na propozycje – powiedziała Robi, wygodnie rozsiadając się na łóżku obok Szymona. – Fisher, rób listę.

– Tak jest – szepnął znudzony chłopak, sięgając po notes i długopis.

Po intensywnej burzy mózgów jednogłośnie stwierdzili, że muszą być gotowi na każdą ewentualność. O tej porze roku miejsce akcji było nieprzyjazną, zimną krainą. Krótki dzień, niskie temperatury i brak możliwości wycofania się lądem do Kaukazu. Mieli być oddaleni od bazy o tysiące kilometrów z nadzieją, że samolot nie zostawi ich samych na odludziu.

Ulewa jakby zelżała, więc korzystając z sytuacji, agenci przebiegli szybko do swojego namiotu, gdzie mieli część sprzętu i „centrum dowodzenia”. W trybie natychmiastowym zwołali wszystkich swoich podkomendnych. Zrobił się mały tłum, kiedy na niedużym obszarze zebrało się dziesiętnaście osób plus pięciu dowódców.

Szymon opowiedział wszystkim, jak wygląda ogólna sytuacja, a potem każdy podszedł do swojej własnej grupy i udzielił szczególnych instrukcji na temat przydzielonych zadań.

Kiedy w końcu przestało padać, wyszli z namiotu i rozdzielili się. Franek i reszta pilotów pobiegli do hangaru, by przygotować plan lotu, uzbrojenie i plan taktyczny. Szymon i Net udali się razem ze swoimi agentami do namiotu żołnierzy, którzy mieli im towarzyszyć. Musieli omówić strategię i rozdzielić zadania agentów i wojska, bo łączenie ich nie miało najmniejszego sensu. Robi z Irbisami i informatykami została w namiocie. Snajperzy mieli dość jasne zasady działania i umieli dostosować się do każdego planu i nagłych zmian sytuacji. Drużyna Alana była zdecydowanie najmniej zaangażowana w tę akcję. Jechali tam bez żadnych konkretnych przydzielonych im zadań. Ich rola sprowadzała się więc tylko do robienia za ławkę rezerwowych na wypadek gdyby nagle gdzieś miał przydać się komputer.

– Mam tylko takie jedno dręczące mnie pytanie – zaśmiał się Kappa. – Dowództwo zdaje sobie sprawę, że my snajperzy tam zamierzamy?!

Robi zachichotała cicho pod nosem, ale potem dotarło do niej, że obawy Artura mają sens. Irbisy jak zwykle miały leżeć w bezruchu na swoich pozycjach i eliminować każdego, kto zagrażał biało-czerwonym oddziałom. Przy temperaturze ujemnej lub bliskiej zera bez zimowych mundurów ich los mógł być marny.

– No wiecie – zaśmiała się zakłopotana – zawsze zostaje nam jeszcze nasz strój maskujący. Może trawa i gałązki nas trochę ogrzeją. Poza tym nie przesadzajcie, jesteście twardymi facetami!

– No właśnie! Ja tam się nie boję. Irbisy jak zwykle pokażą swoją moc i klasę – stwierdził Rico, dumnie wypinając pierś.

– Poza tym wreszcie się porządnie rozerwiemy. Już dawno nie było akcji o statusie wysokiego ryzyka – odezwał się Grape, a Węgier pokiwał głową.

Robi przerwała te beztrudne chwile rozmowy i wydała rozkaz szykowania się do wyprawy. Spakowali do torby pięć pistoletów, noktowizory, termowizory, nadajniki, krótkofalówki i mnóstwo zapasowych magazynków. Słowem, wszystko, co było im potrzebne. Na koniec spakowali jeszcze pięć małych karabinków szturmowych, zaprojektowanych przez techników z PAS-u specjalnie z myślą o snajperach. Miały skróconą lufę, składaną kolbę i pasek, dzięki któremu broń mogła wisieć przewieszona przez ramię i podpięta do kamizelki snajpera, czekając, aż będzie potrzebna.

O godzinie siedemnastej czasu lokalnego wszyscy wraz z przygotowanym sprzętem spotkali się pod hangarem. Na pasie startowym czekał już na nich transportowy Hercules, a jego załoga ustalała z drużyną Franka i dwoma wojskowymi pilotami ostatnie szczegóły lotu na Nową Ziemię.

– Wszystkich zapraszamy na pokład! – zawołał drugi pilot Herculesa. – Tylko uważajcie na śmigłowce.

Agenci i żołnierze ruszyli w stronę samolotu i zaczęli ładować się do środka. Franek i Mick stali z boku i coś między sobą ustalali. Robi podbiegła do nich z uśmiechem na ustach.

– Siemanko. Czemu tak stoicie? Rozmyśliliście się? – zapytała.

– My z wami nie lecimy. Ktoś musi doprowadzić Jastrzębie na miejsce akcji. Pułkownik wybrał nas – mruknął zaniepokojony Gryzoń.

– Coś nie tak?

– Dokładna odległość od lotniska nie jest nam znana. Mamy tylko przybliżone dane na chwilę obecną. Wychodzi na to, że musimy przelecieć około trzy tysiące dwieście kilometrów.

To tyle, ile wynosi zasięg F-16. Dolecimy na oparach – wytłumaczył Mick, widząc, że jego dowódca jest w tej chwili zbyt zamyślony.

– Ale doleciecie?

– Prawdopodobnie tak. Nie mów innym, okej? – poprosił Franek, zakładając swój hełm.

– Jasna sprawa.

– To do zobaczenia za sześć godzin – zaśmiał się Mick i razem z Gryzoniem ruszyli w stronę dwóch myśliwców stojących na pasie przed Herculesem.

Robi dołączyła do reszty i zaraz potem usłyszeli, jak cztery silniki samolotu budzą się do pracy. Gdzieś w tle słychać też było dwa startujące F-16. Kiedy ciężki samolot transportowy oderwał się od ziemi, wszyscy poczuli, że nie ma odwrotu. Lecieli na najważniejszą i najniebezpieczniejszą akcję. Mieli mieszane uczucia. Cieszyli się, że mogą zrobić coś ważnego dla bezpieczeństwa ojczyzny i być może całego świata, ale z drugiej strony trochę obawiali się strat, jakie mogą ponieść. Widząc zmieszane miny swojej drużyny, Szymon postanowił lekko rozluźnić atmosferę.

– Jak tam, Irbisy, znów chcecie nam ratować tyłki? – zapytał, a kilku agentów zaśmiało się cicho.

– Jeśli będzie trzeba – stwierdziła wesoło Robi. – Pod warunkiem, że w czasie lotu nie będziecie sobie z nas żartować.

– Nie no – mruknął Kali, który był jednym z lepszych agentów z drużyny Szymona. – Mamy pełen szacun dla was i waszych ukochanych karabinów.

– Bardzo śmieszne – zarechotał Rico. – Ale wiecie, to nie Szymon ustrzelił Robi z odległości kilometra na ćwiczeniach. To Robi zlikwidowała Szymona.

– Raz jej się zdarzyło! – pisnął Szymon, udając obrażonego.

Agenci żartowali i śmiali się wesoło. Tymczasem żołnierze siedzieli w ciszy i ze zdziwieniem przypatrywali się swoim granatowo-czarnym kompanom. Poszeptowali coś tylko między sobą i czasami cicho się śmiali.

Robi i Kappa zerknęli rozbawieni na młodego Kaprała. Siedział w bezruchu i biernie przysłuchiwał się obu drużynom. Agentka złapała Szymona, który siedział tyłem do niej, za pasek i przyciągnęła go do siebie.

– Co jest? – zapytał chłopak, patrząc na przyjaciółkę ze zdziwieniem.

– Mamy niecałe pięć godzin lotu. Oni cały czas nas obserwują. PAS to nadal coś tajemniczego. Może chociaż przed tą akcją powinniśmy nie dzielić się na agentów i żołnierzy, a po prostu stać się Polakami w mundurach, którzy mają razem coś zrobić? – rzekła szeptem, cały czas zerkając na wojskowych.

– Okej. To do roboty – zaśmiał się Szymon i wrócił do swoich.

Dwójka nastoletnich agentów zaczęła namawiać resztę, by przenieśli się bliżej, do drugiej grupy. Już po chwili siedzieli przodem do siebie. Nadal panowała niezręczna cisza.

– Więc... Co tam się o nas mówi w waszej jednostce? Coś ciekawego? – zapytał Net, siląc się na wyluzowany głos.

– Że jesteście niezrównoważeni – mruknął wcześniej obserwowany przez Robi i Kappę Kapral. – Szczerze mówiąc, to nie wiem, co o was myśleć. Jesteście dziwni, ale w akcji świetni.

– Właściwie dlaczego PAS jest taki tajny? – zapytał jeden z szeregowych.

Szymon i Robi popatrzyli na siebie, a potem zerknęli na Neta. Wiedzieli, że to nie był czas na budowanie dystansu między zespołami. Poza tym zgodnie z postanowieniem jakiś czas

temu Polska dowiedziała się o idei agentów. Ci, którzy tkwili nad Morzem Kaspijskim, nie byli świadkami tego „ujawnienia prawdy”. Młodzi dowódcy powiedzieli więc to, co w kraju mówił ich dyrektor. To rozluźniło sytuację i nareszcie wszyscy zaczęli rozmawiać jak jedna drużyna.

Godzinę przed lądowaniem rozłożyli plany i po raz ostatni omówili wszystko na spokojnie. Kiedy podwozie samolotu zetknęło się z asfaltem, wszyscy uśmiechnęli się do siebie. Byli gotowi na walkę. Byli gotowi zwyciężyć.

Rozdział piętnasty Nowa Ziemia

Wyszli na płytę lotniska i od razu stanęli jak wryci. Mroźny wiatr wiał im w twarz, a szare chmury wisiały im nad głowami. Jednak nie to było dla nich najgorsze.

– To chyba są jakieś żarty! – syknęła Robi, obserwując ze zgrozą w oczach śnieżnobiałe płatki śniegu spokojnie opadające na ziemię.

– Czyli jednak będą białe święta! – ucieszył się Net, wyglądając zza ramienia przyjaciółki.

– Net, kretynie. Jest październik – warknął Szymon stojący gdzieś wśród żołnierzy.

– Tutaj też? – zdziwił się chłopak, a dwójka jego przyjaciół odetchnęła, próbując opanować swoje poirytowanie.

– Poruczniku! – zawołał ktoś z drugiego końca płyty i ruszył biegiem w stronę Herculesa.

Był to niski, krępej budowy chorąży. Ubrany był w ciepłą, puchową wojskową kurtkę i wełnianą czapkę, którą zamienił na beret, kiedy dobiegał do zdeorientowanych agentów.

– Chorąży Krzepko melduje się – krzyknął, salutując przed Robi, Szymonem i kilkoma żołnierzami. – Zostałem przysłany tu prosto z Polski, by oczekiwać waszego przyjazdu i żeby wprowadzić was tak jakby w szczegóły.

– Mamy mało czasu, a nie ukrywam, że spodziewaliśmy się trochę wyższej temperatury – mruknął Szymon. – Podajcie więc nam, żołnierzu, współrzędne celu.

– Z całym szacunkiem, panie poruczniku, ale... Jest noc.

– Rano rozpoczynamy akcję. Nie ma mowy o opóźnieniach, a przecież musimy dotrzeć w okolicę celu – mruknęła Robi, z niepokojem obserwując płatki śniegu wirujące w świetle reflektorów dwóch ciężarówek.

– Rozumiem. Proszę za mną.

Robi, Szymon, Alan i Kapitan dowodzący „zielonymi” dali swoim podkomendnym znak, żeby poczekali, a sami ruszyli za chorążym. Weszli do małego budynku i obejrzeliby mapy. Dochodziła godzina pierwsza w nocy, a czekała ich kilkugodzinna jazda na miejsce, z którego mogli działać. Teren był trudny, a ciężarówki nie należały do tych specjalnie szybkich i zwrotnych.

– Nie pozostaje mi nic innego jak życzyć powodzenia. W razie czego samoloty są gotowe do natychmiastowej ewakuacji rannych. Mam nadzieję, że się nie przydadzą – powiedział chorąży i stając na baczność, zsalutował.

Czwórka dowódców odpowiedziała tym samym i razem wyszli na dwór. Śnieg wciąż prószył, a zmarznięta grupka agentów i żołnierzy stała nadal pod samolotem.

Gdy wszyscy wszystkim wszystko wyjaśnili, udali się do samolotu po swój sprzęt i zaczęli się szykować.

Irbisy założyły na siebie superwytrzymałe kamizelki kuloodporne i cienkie kamizelki z kieszonkami pełnymi magazynków, latarek i całą resztą drobnego sprzętu. Na głowy nałożyli ciężkie hełmy, które wyglądem przypominały te używane przez pilotów. Do kabury wsadzili

pistolet, przez ramię przewiesili karabinki i wreszcie wzięli to, co dla nich było najważniejsze, czyli karabiny wyborowe. Kiedy byli gotowi, spojrzeli z lekką zazdrością na drużynę Szymona.

Agenci liniowi mieli o wiele lepsze uzbrojenie, mimo że to właśnie oni działali na pierwszej linii. Na początku, gdy PAS dopiero powstawał, było odwrotnie, ale doświadczenie pokazało, że główny ostrzał zawsze uderza w to, co stanowi największe zagrożenie. Po zmianach agenci stali się znacznie szybsi, a ich ochrona nadal pozostała skuteczna z racji mocno ulepszonych kamizelek. Snajperzy zyskali za to możliwość przejścia do czynnej walki i zabezpieczenia przed większością znanych pocisków, nawet niektórych snajperskich.

Według Robi najgorzej mieli żołnierze. Ciężar ich wyposażenia dorównywał temu, które miały Irbisy, ale oni musieli z nim biegać. Jednocześnie w PAS zawsze mówiło się, że zwykłego hełmu wojskowego nic nie jest w stanie zniszczyć. Nic prócz kul.

Kiedy wszyscy byli już uzbrojeni po zęby, znów zebrali się razem. Sprawdzili łączność i wsiedli do ciężarówek. Robi zajęła miejsce z tyłu i popatrzyła w stronę pasa startowego. Zobaczyła tam dwa F-16. Dopiero teraz przypomniała sobie o Franku i jego obawach związanych z paliwem. Odetchnęła z ulgą, kiedy dotarło do niej, że bezpiecznie dotarli do celu. Na płycie obok stały też gotowe do startu śmigłowce. Wystarczyło, że z pola walki ktoś wezwałby wsparcie z powietrza lub transport, a odpowiednia maszyna od razu poderwałaby się w powietrze i przybyła z pomocą.

W końcu dwie ciężarówki ruszyły przed siebie. Czekala ich długa droga po wyżynnym terenie. Musieli ominąć góry, więc na miejsce mieli dotrzeć tuż przed świtem, nadkaspiskim świtem. Problem był tylko jeden: o tej porze, w tych szerokościach geograficznych noce trwały prawie całą dobę.

Podróż stanowiła dobry moment na krótki sen i odpoczynek przed akcją.

Obudziło ich dopiero szarpnięcie i pisk hamulców, kiedy dwie ciężarówki zatrzymały się wśród traw. Niebo było czarne, obsypane setkami gwiazd. Cały teren pokryty był cienką warstwą śniegu, co agentów w czarno-granatowych mundurach przyprawiało o mdłości. Nie mogli sobie wyobrazić mniej sprzyjającego koloru otoczenia. Na tle skał, zgodnie z planem, byłoby słabo widoczni.

– Dobra, przetrzyjcie swe zaspane, kocie oczka – mruknęła cichym i spokojnym głosem Robi, kiedy dookoła zebrała się czwórka jej Irbisów. – Krótko mówiąc... Zepnijcie tyłki i skupcie się na zadaniu. Nie chcę się za was wstydzić!

– Tak jest! – krzyknęli wszyscy i uśmiechnęli się szeroko.

– Dobra, ludzie. Proszę o uwagę – powiedziała agentka, kiedy tylko przełączyła się na wspólną częstotliwość. – Irbisy idą pierwsze. Czyścimy wam drogę i zajmujemy się zwiadem. Wy pójdzicie za nami, więc uprzedzam, zanim strzelicie do kogoś z przodu, przyjrzyjcie mi się. Gdy dotrzemy na miejsce, znikniemy wam z oczu. Powiemy wam, kiedy znajdziecie się przed nami. To tak dla przypomnienia. Ruszamy.

Przeszła na częstotliwość swojej drużyny i razem w piątkę ruszyli przed siebie. Przymykali między krzewinkami oddaleni od siebie o mniej więcej dwieście metrów. Nic się nie działo. Otaczały ich tylko trawy, skały i śnieg.

– Spitfire... – mruknął niepewnie Węgier.

– Co jest? – syknęła Robi, podrywając szybko karabin w stronę obszaru pilnowanego przez Dominika.

– Spokojnie, jest czysto. Ale... Wiesz, że na tym cholernym śniegu zostawiamy ślady?

– Szlag! – warknęła i odwróciła się. – Dobra, bez paniki. Słońce kiedyś wstanie. Może się ociepli. Jak nie, to mogła. Teraz ruchy.

Truchtali dalej przed siebie, uważnie obserwując okolicę. Co chwilę zatrzymywali się, padali na prawe kolano. Przez lunetę obserwowali teren i kiedy droga była wolna, ruszali przed siebie. Szło im to szybko i sprawnie. Wszystko, poza obecnością śniegu, odbywało się zgodnie z planem.

W końcu słońce wyszło zza horyzontu i rozświetliło ponury, polarny krajobraz tundry. Śnieg pod wpływem słońca rozmókł odrobinę, ale przez ujemną temperaturę zmienił się tylko w lód. Teren działania stał się śliski niczym tafla lodowiska. Jedynym plusem było to, że na lodzie nie zostawały ślady.

– Jesteśmy blisko strefy zagrożenia – szepnęła Robi i przykucnęła za jednym z kamieni. – Schodzimy do gruntu. Kilometr do przewidzianego stanowiska – mruknęła, zerkając na swój minilokalizator.

– Przyjąłem – szepnął każdy ze snajperów po kolei.

Ziemia była zimna i mokra. Słońce schowało się za chmurami, a temperatura spadła.

Piątka snajperów czołgała się po skałach porośniętych różnymi rodzajami zmarzniętych mchów. W końcu na horyzoncie pojawiło się kilka szarych budynków zlewających się z tłem. Byli już naprawdę blisko celu.

Przez lunetę karabinu Robi obserwowała krzątających się wartowników i kilku innych terrorystów. Nie mieli pojęcia o zbliżających się agentach.

– Co robimy? Tu aż roi się od celów – szepnął Rico.

– Siedzimy na tyłkach i udajemy, że nas nie ma. Jasne?! Nie możemy strzelać, bo spalimy akcję – syknęła Robi i zerknęła na lokalizator. – Trzysta metrów do celu. Zaczniście rozglądać się za jakimiś przytulnymi stanowiskami.

– Tak jest.

Agentka zacisnęła powieki z całej siły i po chwili zamrugała oczami. Czuła, że to będzie długi „dzień”. Rozprostowała skostniałe palce, które z powodu zimna zacisnęły się na uchwycie. Ziewnęła krótko i wróciła do przeczesywania wzrokiem terenu.

Zauważyła skupisko skał, obok którego rósł mały krzaczek. To była odpowiednia potencjalna kryjówka. Odwróciła się do tyłu i na celowniku zauważyła Kapitana i trzech żołnierzy. Irbisy musiały się pospieszyć.

Podczołgała się kilka metrów i po śliskiej, oblodzonej skale ześlizgnęła się na swoje nowe stanowisko.

– Spitfire na pozycji. Koty, meldujcie – szepnęła do mikrofonu i zabrała się za wtykanie gałązek krzewu we wcześniej założone paski na karabinie.

– Rico melduje się. Jakies dziesięć sekund do „zniknięcia”!

Wspinał się akurat na skalisty szczyt niewysokiego wzniesienia jakieś dwieście metrów na północ od Robi. Wskoczył w jedną ze szczelin, a lufę karabinu oparł o głaz leżący przed nim. Ukryty był w cieniu skalnej półki wiszącej mu nad głową, a kąt widzenia miał dość szeroki. Z uznaniem pokiwał głową i zabrał się za przeczesywanie terenu.

Tymczasem Grape starał się wypatrzeć cokolwiek, co wysokością przekraczałoby kilkanaście centymetrów. Niestety dookoła niego były tylko drobne kamienie, suche trawy i niewielkie krzewinki. Westchnął więc zrezygnowany i akurat, kiedy Robi poprosiła o meldunek, nakrywał się świeżo przygotowanym strojem maskującym.

– Grape zniknął! – mruknął z satysfakcją w głosie.

– Przyjęłam – szepnęła agentka. – Węgier, Kappa! Co z wami?

– Kappa melduje się – odezwał się Artur, biegnąc na ugiętych nogach, z karabinem w gotowości do strzału. – Szukam stanowiska.

Zatrzymał się i przykląkł. Dookoła rosły wyłącznie mchy. Nie miał szans ukryć się w takim otoczeniu. Zrezygnowany snajper zszedł w lekkie zagłębienie terenu, z którego widok na okolicę był wręcz świetny.

– Kappa znika – mruknął, kładąc się na ziemi i zarzucając na lufę karabinu pędy jedynej rośliny w okolicy.

– Węgier na pozycji – mruknął ostatni z Irbisów. – Niech szlag trafi tę cholerną tundrę! Mam wrażenie, że zaraz ktoś mnie ustrzeli na pierwsze trofeum. Wypchany agent PAS-u... Tkwę na skałach bez osłony.

– Węgier, nie marudź, nikt nie ma lekko – szepnął Rico.

– Dobra, zamknijcie się! Przechodzimy na częstotliwość ogólną i odzywamy się tylko, gdy to konieczne. Mam nadzieję, że utrzymacie jęzory za zębami, wy nieznośne gaduły – zaśmiała się Robi i wszyscy przełączyli się na odpowiednią częstotliwość. – Spitfire melduje gotowość Irbisów.

– Alpha, przyjęłam. Meldujcie na bieżąco – odezwał się Kapitan.

– Bravo, przyjęłam. Czekamy na dane i potem wyruszamy. Nie zawiedźcie nas – zameldował Szymon. – Bez odbioru.

Piątka snajperów leżała w bezruchu i pilnowała terenu. Ze wszystkich sił starali się ustalić liczebność wroga i jego rozmieszczenie. Co jakiś czas meldowali o wysokości muru, liczbie okien i potencjalnych kryjówek przeciwnika. Ich przemoknięte od śniegu mundury przymarzały do lodu. Przez lunety obserwowali, jak ich przeciwnik spokojnie przemyka między murami swojej „osady”. Wszyscy musieli być gotowi na to, że gdy tylko szturmowcy znajdą się przed Irbisami, może dojść do strzelaniny.

Przemarznięte dłonie strzelców kurczowo zaciskały się na karabinach. Co jakiś czas byli zmuszeni przecierać przednie szkło lunety, które uparcie pokrywało się szronem. Powiewy mroźnego wiatru przyprawiały ich o dreszcze. Każdy z nich, bez wyjątku, przeklinał tych, którzy kiedyś stwierdzili, że polskim agentom niepotrzebne są mundury przystosowane do polarnych warunków. W szerokościach geograficznych Polski nie było mowy o takich akcjach. Nikt nie przewidział misji na kole podbiegunowym.

Dane wywiadowcze zbierali przez prawie dziesięć godzin. W końcu zauważyli tajny cel swojej misji. Zastępca przywódcy Naskisów pojawił się na chwilę w oknie, po czym zniknął w głębi pomieszczenia. To wystarczyło.

– Irbisy meldują! TARGET – oznajmiła Robi, informując tym samym, że ich cel znajduje się na miejscu.

– Przyjęłam. Alpha i Bravo wyruszają! – odezwał się Kapitan, a w tle słychać było bojowe okrzyki żołnierzy i agentów. – Bez odbioru.

Już po niecałych dwóch godzinach, jakieś sześć metrów na prawo od Robi, przeszła dziesięcioosobowa grupka szturmowa. Agenci truchtali na tyłach, osłaniając resztę, ale już siedzieli żołnierzom na ogonach. Wszystko szło zgodnie z planem.

– Kociaki, widać was – zarechotał Szymon.

Robi podniosła głowę i przez lunetę spojrzała w stronę reszty snajperów. Nie zauważyła ich, ale za to zobaczyła Fishera. Patrzył w zupełnie innym kierunku. Agentka zaśmiała się i pokręciła głową.

– Nie wiem, co ty tam widzisz, ale to na bank nie moje koty.

Dla pewności przyjrzała się dokładnie obszarowi oglądanemu przez jej przyjaciela. Nie była w stanie dostrzec tam wszystkiego.

– Kappa, teren na godzinie pierwszej. Dokładnie go obejrzyj.

– Tak jest! – szepnął i zabrał się do roboty. – Alpha, Bravo, STAC! – wrzasnął po chwili.

Obie grupy stanęły w miejscu i z przerażeniem czekały na dalszy ciąg meldunku Artura.

– Kappa, co jest?! Melduj! – syknęła Robi.

– Nic... To tylko jakiś kawałek metalu. Teren czysty.

Zaczęło się robić ciemno i już po chwili zapadła noc. Poirytowana Robi spojrzała na czarne, zachmurzone niebo. Zerknęła na lewy nadgarstek, ale zobaczyła tam tylko mały ekranik lokalizatora, a na nim cztery zielone kropki.

– Wie ktoś, do jasnej cholery, która jest godzina?! – syknęła.

– Nie – odpowiedzieli niektórym niepewnym głosem.

– Spitfire – odezwał się Szymon. – Październik plus jesteście za kołem podbiegunowym.

– Szlag – mruknęła, ale po chwili uśmiechnęła się szeroko i zaśmiała pod nosem. – Jesteśmy w rajach, panowie. Mamy noktowizory i element zaskoczenia. Noc będzie naszą sojuszniką.

Nie minęła godzina, a Robi pożałowała, że kiedykolwiek ucieszyła się z zachodu słońca. Temperatura zeszła grubo poniżej zera. Ciszę nocy przerywało szcęknięcie zębów zmarzniętych Irbisów, które zazdrościły szturmowcom będącym w ruchu.

– Cicho tutaj – wymamrotał Kappa, po czym kichnął cicho i zakaszłał. – Jeszcze chwila, a pomrzemy na zapalenie płuc. Niech coś się zacznie dziać, bo zamrznę tak jak leżę.

– Nie marudź i się skup. Zło tylko czeka, żeby nas wykończyć.

Gdy tylko Robi to powiedziała, jej wzrok przykuła postać na dachu najwyższego z budynków. Wraz z zachodem słońca wszyscy ukryli się wewnątrz, chroniąc się przed mrozem. Wszyscy, prócz tego jednego.

Przyjrzała mu się dokładniej. Był uzbrojony, a na głowie miał coś, co do złudzenia przypominało termowizor. Miała wrażenie, że ich widzi. W końcu powietrze miało jakieś pięć stopni na minusie, a oni, choć zmarznięci, byli znacznie cieplejsi.

Nagle wartownik się poruszył. Uniósł broń i wycelował.

– Nie! – syknęła Robi.

Padł strzał.

Rozdział szesnasty

Polarne piekło

Robi drgnęła nerwowo i niemal natychmiast poderwała karabin. Zaczęła przeczesywać teren i kiedy znalazła grupkę agentów i żołnierzy, szybko zaczęła ich liczyć.

– Wszyscy żyją? – zapytała, nie mogąc doliczyć do dziesięciu, bo wszyscy zaraz po strzale padli na ziemię.

– Jestem – odezwało się po kolei trzynaście głosów.

„Węgier!”, pomyślała Robi i z lekkim przerażeniem nasłuchiwała. Zerknęła na nadgarstek. Nadal na ekranie widniały cztery kropki.

– Jestem, ludzie! – zaśmiał się Dominik. – Czekam na brawa albo owacje na stojąco. Ukatrupiłem gościa, który by was wystrzelał. Znaczy, prawdopodobnie by was wystrzelał.

– Węgier, jak pytam, czy wszyscy żyją, to znaczy, że wszyscy mają się odezwać. Jasne? – warknęła Robi.

– Tak jest – wymamrotał snajper. – Przepraszam.

– Kurde, zauważyli nas! – syknął Kappa.

Robi poderwała lufę karabinu i skierowała ją w stronę kompleksu budynków. Tuż koło zabitego przez Węgra wartownika pojawiło się trzech kolejnych.

– Mają granatnik! – pisnęła cicho i wycelowała w uzbrojonego mężczyznę.

Pociągnęła za spust i uśmiechnęła się lekko. Jej szczęście trwało jednak krótko. Kolejny z terrorystów zabrał broń martwego towarzysza i znów wymierzył w agentów. Robi nie zdążyła ponownie wycelować, gdy i ten mężczyzna padł bez tchu.

– W dziesiątkę! – ucieszył się Rico. – To gdzie następny?

Zanim ktokolwiek złapał znów za granatnik, agentka wycelowała i strzeliła prosto w niego. Potężna eksplozja wstrząsnęła budynkiem, a znajdujący się w pobliżu terroryści popadali jak muchy.

Nagle zza małego bunkra w południowej części kompleksu wybiegł tłum uzbrojonych po zęby ludzi. Szymon zatrzymał się przerażony, gdy zobaczył grupę liczącą blisko pięćdziesięciu terrorystów.

– Kociaki – wymamrotał, wpatrując się w dal. – Strzelajcie! Na co czekacie?

– Fisher, robimy, co możemy, ale póki co jesteśmy zajęci likwidowaniem złych koleśi z granatnikami i karabinami, którzy wyłażą na dachy – syknęła Robi, przeładowując karabin.

Wycelowała w miejsce, gdzie przed chwilą był jeszcze żywy terrorysta, ale któryś z Irbisów już go załatwił. Zerknęła na południe i wpadła na pewien pomysł.

– Spitfire do bazy!

– Tu baza, Spitfire, mów – odezwał się znudzony Mick, który siedział w F-16 i czekał na wezwanie.

– Potrzebne wsparcie z powietrza!

– Falcon1 i Falcon2 zaraz startują. Oznaczcie jakoś cel, żeby uniknąć bratobójczego ognia. Bez odbioru.

- Fisher – szepnęła Robi.
- Wiem, słyszałem. Dzięki, Spitfire.
- Trzymajcie ich na dystans. Oddziały nie mogą się wymieszać!
- Przyjąłem.

Grupa szturmowa otworzyła ogień, starając się utrzymać przeciwnika na dystans. Piątka przemarzniętych na kość snajperów robiła wszystko, by osłaniać ich jak najlepiej.

- Kur...! – wrzasnął jeden z żołnierzy i usiadł na ziemi, kryjąc się za skałą.
- Co jest? – syknął Kapitan, podbiegając do niego.
- To nic takiego. Zaraz wracam do akcji. To tylko ręka.

Kapitan poklepał go po ramieniu i pobiegł pomagać walczącym. Wróg miał wręcz miażdżącą przewagę liczebną, a i uzbrojenie nieco gorsze od ekwipunku agentów. Sierżant zawiął draśniętą rękę, złapał za karabin i wrócił do swoich kompanów.

Robi obserwowała teren w zielonkawym świetle noktowizora i z niepokojem wyczekiwała przylotu myśliwców.

Wszędzie panowała zupełna ciemność. Na polu walki widać było jedynie rozbłyśki towarzyszące wystrzałom. Zerwał się silny, mroźny wiatr. Pył zawiewał snajperom w oczy, utrudniając jakiegokolwiek działanie.

- Falcon1 i Falcon2 meldują gotowość bojową. Minuta do celu.
- Przyjęłam, bez odbioru – mruknęła agentka, po czym zwróciła się do Michała: – Rico, oznacz ich. Ja mam naszych na widoku i to mogłoby się źle skończyć.
- Tak jest!

Dwa myśliwce miały przelecieć nad terenem i raketami wyzerować szeregi terrorystów nadbiegające z południa. To była kwestia czasu. Mick już namierzał cel. Pociski były odbezpieczone.

- Spitfire! – wrzasnął nagle Net. – Już po nas, po nas! Przełamali linię!
- Rozproszyc się! – krzyknął Szymon, a Kapitan rozkazał to samo swojemu oddziałowi.

Szturmowcy rozpierzchli się na boki i poukrywali za fragmentami rozwalonego muru albo za skałami. Terrorysty wbiegli między pozycje chłopaków.

- Mick do Spitfire, cel namierzony. Proszę o potwierdzenie ataku z powietrza.
- Szlag! – pisnęła Robi. – Rico! Odznacz ich! Szybko! Mick, Spitfire do Micka! Przerwijcie akcję! Przerwijcie! Między wrogiem są nasi ludzie! – prawie wrzasnęła do mikrofonu.

- Przyjąłem. Falcon1, pociski zabezpieczone.
- Falcon2 tak samo – odezwał się Diego, który był skrzydłowym Micka.

Dwa F-16 przemknęły nad głowami Irbisów i zaraz później dotarły nad zespół szturmowców. Kali poderwał karabin i spojrzał w niebo. Chciał sprawdzić, czy przelatujący samolot to przyjaciel czy wróg.

Nagle zza skał wyskoczył jeden z napastników. Strzelił dokładnie wtedy, gdy agent patrzył na lecące maszyny. Głowa Dawida odgięła się mocno do tyłu, jakby ktoś trafił w nią piłką. Kali runął na ziemię i zniknął między trawiastymi zaroślami.

- Fisher! Macie rannego! – syknęła Robi, wypatrując oznak życia u agenta.
- Widziałem – mruknął Szymon z lekką rozpaczą w głosie, przekrzykując odgłosy strzelaniny. – Nie mamy jak podejść. Jest za daleko. Jeśli się ruszymy, wystrzelają nas po kolei.

Robi rozejrzała się w pośpiechu. Zerknęła na mały karabin szturmowy, który leżał obok niej, zawieszony na jej ramieniu. Przez lunetę swojej snajperki zauważyła drobny ruch

w miejscu, w którym leżał Dawid. Westchnęła cicho.

– Rico, Grape, Węgier, Kappa! Wybicie tych drani, ile się da! Spitfire schodzi z pozycji. Włączam nadajnik.

– Tak jest! – odpowiedziały Irbisy.

Agentka zarzuciła snajperkę na ramię i złapała za karabin szturmowy. Ruszyła biegiem w stronę rannego.

Nie miała pojęcia, czy jeszcze żyje. Widziała przecież wyraźnie, że oberwał w głowę. Hełmy PAS-u zatrzymują wszystko poza kulami snajpera, ale to z pewnością nie był on. Strzelec był zbyt blisko, a Kali najwidoczniej żył, kiedy upadał.

W końcu dobiegła na miejsce. Wylądowała przy chłopaku na kolanach i przyjrzała mu się. Leżał skulony na zmarzniętej ziemi i trzymał się za głowę. Od czasu do czasu jęknął coś, zaciskając z całej siły zęby. Robi odetchnęła z ulgą. Żył, a to w tych okolicznościach było dobrą nowiną. Zaskoczył ją fakt, że w hełmie agenta nie zauważyła nawet śladu po pocisku. Mimo to po jego lewej skroni i policzku spływała stróżka krwi.

– Kali! Kali, słyszysz mnie? – syknęła, kładąc delikatnie rękę na jego ramieniu.

Popatrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem i wymamrotał coś niezrozumiałego. Zupełnie nie kontaktował ze światem.

– Spitfire do Gryzonia! Wróbel i Sokół potrzebne zaraz!

– Spitfire, tu Gryzoń. Startujemy. Włącz nadajnik.

– Nadajnik włączony. Mamy rannego. Pospieszcie się i niech Sokół leci pierwszy. Mamy tu ostrą wymianę ognia.

– Przyjąłem, bez odbioru. Zaraz będziemy.

Robi złapała Dawida za rękę i zarzuciła go sobie na plecy. Zaciągnęła go za kawałek rozwalonego muru i ściągnęła mu hełm. Teraz zrozumiała całą sytuację.

Kiedy dwa F-16 przemknęły nad polem, Kali spojrział do góry. Kula, która miała trafić w jego głowę, weszła między nią a hełm, zostawiając po sobie groźnie wyglądające rozcięcie. Młody agent zatrzęsł się niekontrolowanie. Chwilę później stracił przytomność.

– Spitfire! – krzyknął Rico. – Ich jest za dużo! Kryją się poza naszym zasięgiem. Irbisy beczynne!

– Spitfire! Alpha i Bravo potrzebują ludzi! Jest nas dziesięciu, a ich chyba setki! – pisał Szymon.

– Zapomniałeś, że jest was dziewięciu. Kali leży nieprzytomny obok mnie – mruknęła smutno i popatrzyła w stronę, gdzie znajdowały się stanowiska Irbisów. – Koty, na linię! W trybie natychmiastowym. Nie dajcie się zabić. Kappa, zostajesz na pozycji. Musimy mieć chociaż jednego snajpera.

– Tak jest! – zawołali wszyscy.

Sytuacja była coraz gorsza. Noc zdawała się nie mieć końca, a okropny mróz dawał wycieńczonym już agentom i żołnierzom popalić. Terrorysty mieli magazyn broni pod ręką, a Polakom kończyła się już amunicja. Cały czas musieli zachować pełne skupienie. Po chwilach wytchnienia znów rozpoczynały się kolejne strzelaniny i tak w kółko. Wejście Irbisów do walki wręcz było sporym zastrzykiem energii, która zagrzała resztę szturmowców do boju.

– Tu Sokół. Minuta do celu – odezwał się Franek. – Nie strzelać do śmigłowców, nie chcemy otwierać bratobójczego ognia. Bez odbioru.

Robi uśmiechnęła się pod nosem. Przeczesała wzrokiem okolicę. W razie

niebezpieczeństwa była gotowa bronić i siebie, i Kaliego.

Nagle usłyszała w słuchawkach krzyk. Nie miała pojęcia czyj. Wyglądało na to, że ktoś oberwał. Oberwał i to porządnie. Dla pewności zerknęła na Dawida. Nadal był nieprzytomny. Sprawdziła mu puls. Żył. Odetchnęła z ulgą, ale niepokoiło ją, że nadal nie wiedziała, kto krzyczał.

W końcu wszyscy zameldowali, że żyją. Prawie wszyscy. Robi westchnęła załamana i miała szczerą nadzieję, że cała ta sytuacja to tylko pomyłka.

– Kappa – szepnęła niezwykle spokojnym głosem. – Kappa, melduj...

Odpowiedział jej tylko cichy szum. Zamknęła oczy i ukryła twarz w dłoniach. Zaraz potem jednak drgnęła nerwowo i wróciła do obserwowania okolicy. Nie mogła zapomnieć o swoich obowiązkach. W końcu była na polu walki.

– Kappa... – wywołała go po raz kolejny.

– Żyję – wymamrotał Artur słabym, cichym głosem. – Drań trafił w lunetę.

– Coś ci zrobił?

– Nic nie widzę. Nic.

Robi przekłęta pod nosem. Szybko rozejrzała się dookoła. Zerknęła na swój lokalizator. Cztery zielone kropki były rozsypane po okolicy.

– Rico, idź do Kappy. Ale uważaj. Tam gdzieś czai się snajper.

– Tak jest! – odpowiedział Michał, a jego kropka zaczęła przesuwać się w stronę kropki Artura.

Wtedy nad głową Robi przeleciał granatowy śmigłowiec PAS-u. Pod małymi skrzydełkami podczepione miał cztery rakiety, a pod kadłubem działko, z którego Gryzoń strzelał do atakujących go terrorystów.

Zaraz za nim leciał mniejszy, również granatowy śmigłowiec. Za jego sterami siedział Czarter. Pilot zauważył Robi i stanął w zawisie kilka metrów nad nią. Zaczął powoli schodzić niżej i w końcu dotknął płozami ziemi.

– Są jeszcze jacyś ranni?

– Ranny snajper. I chyba jeszcze jeden z żołnierzy. Wywołaj Kapitana i zapytaj – mruknęła Robi, układając Kaliego na noszach na pokładzie.

– Co temu się stało? – zapytał chorąży Krzepko, który przyleciał tu w roli sanitariusza.

– Oberwał w głowę. Snajper ma coś z oczami. Ten z wojska coś z ręką.

– Przyjąłem. Lecimy do nich – mruknął Czarter. – Sokół, osłaniaj.

Śmigłowiec wzbił się w powietrze i odleciał. Robi odetchnęła, ale nie miała zbyt dużo czasu na odpoczynek. Nie minęło kilka sekund, a pocisk roztrzaskał brzeg muru tuż koło jej głowy. Padła na ziemię i opuściła osłonkę na oczy. Zrzuciła szturmówkę na ramię i złapała swoją snajperkę. Strzeliła do jednego z terrorystów, który akurat mierzył do Szymona i Niko.

Nagle usłyszała jakieś głosy zbliżające się do niej od północy. Rozpłaszczyła się na ziemi w nadziei, że jej nie zauważą. Była pewna, że byli to terroryści.

– Miało być ich dziesięciu i snajperzy. Nikt nie raczył wspomnieć, że będą tu ci cholerni agenci! – wrzasnął jeden z nich.

– Daj spokój. Trzeba przyznać, że są dobrzy. Nie zmienia to faktu, że zgodnie z planem wystrzelamy ich do zera. Nawet agentów. Tracą amunicję i siły. Mamy przewagę liczebną. Wygrana to kwestia czasu. Pułkownik by tak nie ryzykował. Drużyna prędzej czy później padnie – zaśmiał się drugi.

– A Irbisy? One mogą być wszędzie. Nie wytępiamy ich tak łatwo.

– Nimi zajmie się Anton. Jednego już ustrzelił. Niestety inny z Irbisów zaczął strzelać w jego kierunku i musiał się wycofać.

– No i dobra. Wybijemy agentów i nareszcie będzie spokój.

Ich głosy powoli zaczęły cichnąć, a Robi nadal leżała na ziemi i starała się cokolwiek usłyszeć. Terrorysty zatrzymali się przy jednym z kamieni i przez lornetkę zaczęli obserwować teren. Agentka powoli podczołgała się w ich kierunku.

– Nadal nie wiem, po co ściągnęli tutaj wszystkich. To tylko kilkoro agentów. A tej kociej czwórki nikt nie strzeże.

– Wyluzuj. Są na wybrzeżu. To trzy kilometry stąd.

Robi przymrużyła oczy, próbując zrozumieć to, co usłyszała. „Kocia czwórka” kojarzyła jej się tylko z jednym. Z poprzednią drużyną Irbisów, która zaginęła na terenie Kaukazu tuż przed tym, jak ona dostała własny złoty celownik.

Podniosła wzrok, ale dwójka terrorystów zdążyła już odejść. Odwróciła się do tyłu i spojrzała na pole walki. Każdy karabin by się przydał. Z dziesięciu szturmowców i pięciu snajperów zrobiło się dziesięć osób. Ranny Kappa, Kali i trzech żołnierzy... Polecieli do bazy.

Jeśli okazałoby się, że jej podejrzenia są słuszne, mogłaby uratować czwórkę snajperów. Mogliby pomóc w akcji, a co najważniejsze, byłiby wolni.

– Rico – szepnęła do mikrofonu.

– To coś ważnego? – odparował, a w tle słychać było liczne wystrzały. – Tak jakby jestem trochę atakowany. Abonent poza zasięgiem sieci.

– Dobra, już nic. Nieważne – mruknęła i podniosła się z ziemi.

Westchnęła lekko. Jako jedyna nie brała udziału w żadnej strzelaninie. Była jedyną osobą, jaka mogła się wymknąć niezauważenie i sprawdzić.

Dwa F-16 przemknęły nad jej głową i nasunęły jej pewną myśl.

– Falcon1. Przelećcie nad wybrzeżem i powiedzcie, czy jest tam coś, gdzie można przetrzymywać ludzi.

– Spitfire, tu Falcon1. Przyjąłem. Lecimy to sprawdzić.

Po kilku minutach znów usłyszała głos Micka.

– No jest tam taki domek. Rozwalić? – zapytał.

– Nie! – pisnęła agentka. – Daleko to jest?

– Jakies dwa kilometry. Polatać nad tym?

– Tak, ale wysoko, żeby was nie zauważyli.

Ruszyła biegiem na wschód, tam gdzie miała znaleźć czwórkę Irbisów. Po drodze wpadł na nią młody Kapral. Na początku pomylił ją z terrorystą i wymierzył do niej z karabinu. Gdy tylko zauważył na jej mundurze złoty celownik ze srebrną panterą, opuścił broń i pomógł jej wstać. Popatrzył na nią zdziwiony.

– Pani porucznik... – mruknął.

– Spitfire. Im mniej stopni i nazwisk, tym lepiej. Co jest?

– Nic... Ja tylko... Nic.

Zastanowiła się krótką chwilę i popatrzyła na żołnierza.

– Kapitanie – szepnęła do mikrofonu.

– Co jest, Spitfire?

– Mogę pożyczyć na moment twojego Kaprała?

– Zezwalam.

Robi uśmiechnęła się szeroko i znów popatrzyła na chłopaka stojącego przed nią.

– Idziesz ze mną, robisz, co mówię, dla własnego dobra. To ważne dla całej tej akcji. Rozumiesz? – wyszeptała.

– Tak jest.

– Zuch. Idziemy.

Ruszyli biegiem przed siebie po bezkresnych łąkach, wśród krzewinek i skał. Cały czas mieli poczucie, że zostawili swoich kompanów na pastwę losu, że ich zniknięcie może zaważyć na wyniku bitwy.

Dookoła było zupełnie ciemno. Jedynie za nimi czerń nocy rozświetlały płonienie palącego się budynku, w którym wybuchł jeden z granatów PAS-u.

Oboje byli przemarznięci i zmęczeni. Gdy w końcu na horyzoncie ujrzeli niski, mały budynek, przypominający wyglądem bunkier, odetchnęli z ulgą. Ugięli nogi i unieśli karabiny. Przez cały ten czas jakieś dziwne przecucie dręczyło Robi. Czuła, że ktoś ją obserwuje, ale uparcie starała się wmówić sobie, że to tylko wrażenie.

Rozdział siedemnasty

Irbisy, Spitfire i o jeden strzał za dużo

Kiedy dobiegli pod drzwi, zatrzymali się i popatrzyli na siebie. Niektórzy mogliby uznać tę scenę za historyczną. Irbis i żołnierz, ramię w ramię. Ten sam plan i ten sam cel. W czasie całej akcji PAS i wojsko działały obok siebie, ale niektóre sztuczki i zasady postępowania nadal miały odrębne. Robi i Kapral musieli być jak jedność. Jak kompani z jednej jednostki. Oboje powinni się postarać.

Agentka mocniej zacisnęła palce na swoim karabinie i lekko skinęła głową. Kapral odpowiedział tym samym. Robi przestrzeliła kłódkę, a on jednym silnym kopniakiem otworzył ciężkie metalowe drzwi.

Wskoczyli do środka i szybko rozejrzeli się dookoła, wypatrując przeciwnika czającego się gdzieś za rogiem.

– Czysto! – szepnęli równocześnie i osłaniając siebie nawzajem, przeszli do sąsiedniego pokoju.

Wszystko tu było surowe i nieprzyjazne. Szare, betonowe ściany oświetlone jedynie światłem latarek przy karabinach. Gdzieś ze szczeliny w suficie kapłała woda. Na końcu pomieszczenia były schody prowadzące w dół do kolejnych drzwi.

Zeszli razem i zatrzymali się tuż przed przejściem. Kapral strzelił w kłódkę, a Robi kopniakiem otworzyła drzwi. Znaleźli się w kolejnym ciemnym pokoju, ale nie zdążyli się rozejrzeć.

Nagle ktoś z boku złapał Robi za szyję i dusząc, pchnął na ścianę. Jej towarzysz też został zaatakowany. Bronili się z całych sił, ale napastników było czterech. W walce byli lepsi od młodego żołnierza, który po chwili został unieruchomiony i rzucony na ziemię. Agentka broniła się nadal, ale przeciwnik stosował te same sztuczki co ona. Walka była bardzo wyrównana. W końcu napastnikowi udało się odebrać jej karabin.

Wymierzył do niej, a ostre światło latarki oślepiło ją na moment. Wróg nie strzelał, choć miał taką możliwość. To wydawało jej się dziwne.

– To niemożliwe – mruknął mężczyzna i opuścił broń.

Światło padło na jasnoszarą podłogę i rozproszyło się, oświetlając całe pomieszczenie.

Na ziemi leżał Kapral trzymany w tej pozycji przez jednego z czterech mężczyzn. Pozostała trójka stała przed Robi i wpatrywała się w nią zszokowana. Wszyscy mieli na sobie brudne i miejscami przetarte, granatowe mundury.

Ten, który zabrał Robi broń, podszedł do niej powoli i wyciągnął rękę w stronę jej złotego celownika. Dotknął go ostrożnie i po chwili cofnął się na krok.

– Irbis? Ale... Jak? – zapytał.

Agentka nie miała pojęcia, co się dzieje, ale powoli zaczęło do niej wszystko docierać. Granatowe mundury, te same sposoby walki. Było ich czterech, wszystko się zgadzało.

– Kapitanie? – szepnęła nieśmiało Robi, przypatrując mu się dokładnie.

– Daj spokój, Robert. Przecież wiesz, że nie lubię stopni.

– Przepraszam. Jak wyście się tu znaleźli?

– To była zasadzka. Długo by gadać. Jakimś cudem znali dokładne współrzędne naszych kryjówek. Zakradli się od tyłu i potraktowali nas paralizatorami. Nie mam pojęcia, jak to możliwe.

– Dobra, teraz to już nieważne. Wyciągniemy was stąd. Puśćcie Kaprała i możemy ruszać.

Irbis puścił chłopaka i pomógł mu wstać. Robert chciał oddać karabin Robi, ale go powstrzymała. Uznała, że bez sensu byłoby, gdyby dwie osoby miały po kilka rodzajów broni, a pozostali nic. Oddała więc swój pistolet innemu, najmłodszemu snajperowi. Żołnierz zrobił to samo. Teraz każdy miał czym się bronić.

Ustawili się w szeregu. Robert stanął na szpicy, a Robi na samym końcu, mając ubezpieczać tyły. Wybiegli na zewnątrz i ku swojej radości nie spotkali nikogo. Otaczała ich ciemność. Wszystko widzieli w zielonkawym świetle przez noktowizory.

– Bądźcie czujni i obserwujcie okolicę. Ja biegnę jakieś pięćset metrów i stamtąd was osłaniam w czasie, gdy wy będziecie stąd wiać. Jasne?

– Jesteśmy starsi stopniem. Nie możesz nam rozkazywać. Sama nie pójdziesz – mruknął Robert, łapiąc ją za rękę.

Robi przewróciła oczami. Były czasem takie momenty, że z całego serca nienawidziła hierarchii wojskowej. Tych czterech było świetnymi snajperami, ale rozumu nie mieli za grosz. Nagle wpadła na genialny pomysł. Zerknęła na ich mundury i uśmiechnęła się szeroko.

– Nie macie беретów, nie macie pagonów. Dawno was nie widziałam. Skąd mam wiedzieć, jakie macie stopnie? Nie macie dowodów, a tą wyprawą z oczywistych względów dowodzę ja. Więc zostajecie tu z Kapralem, a gdy dam wam znak, biegniecie. Potraktujcie to jako rozkaz.

Irbisy popatrzyły na nią z poirytowaniem, ale nie mieli wyboru. Kiwnęli głowami, choć zrobili to z niechęcią.

Robi ruszyła biegiem przed siebie. Zmarznięta ziemia trzeszczała jej pod stopami. Nieprzyjemna noc zdawała się nie mieć końca. Agentka zatrzymała się i odwróciła w stronę budynku. Przyklekła na prawe kolano i uniosła broń. Spojrzała przez celownik, przełączyła się na tryb noktowizyjny i zaczęła przeczesywać okolicę. Uniosła lewą rękę na znak, że jest już gotowa.

Czwórka snajperów razem z Kapralem ruszyła w jej stronę, kierując się lekko na bok. Wszystko zdawało się w porządku. Nagle gdzieś na dachu Robi zauważyła ruch. To było lekkie drgnięcie, ale czujnemu oku snajpera nie mogło umknąć.

Podniosła głowę i nasunęła na oczy okulary termowizyjne. Wszystko dookoła stało się ciemnoniebieskie, ale na dachu znajdowało się duże źródło ciepła. Nie pomyliła się.

Znów wróciła do widoku z lunety i przyjrzała się sylwetce.

– No chodź – szepnęła pod nosem. – No chodź do Robi... Pokaż się, draniu...

Nie musiała długo czekać. Chwilę później snajper wychylił się z kryjówki i wycelował w kompanów Robi. Tego było już za wiele.

Przeładowała karabin i umieściła głowę snajpera na środku celownika. Spokojnie położyła palec na spuście i wzięła głęboki oddech.

– To ty – warknęła cicho, poznając w postaci strzelca osobę Antona Jerakova.

Przymrużyła oczy i bez wahania strzeliła. Nagle zerwał się ostry, lodowaty boczny wiatr. Zepchnął pocisk na bok i zamiast trafić tam, gdzie trafić miał, rozszarpał Antonowi ucho.

Mężczyzna zawył wściekle i od razu odnalazł Robi pozbawioną jakiegokolwiek

kamuflażu. Teraz przed oczami stanęły jej wszystkie lekcje na kursie snajperskim. Jak się ukrywać, jak strzelać, a przede wszystkim jakie konsekwencje niesie nieudana próba zlikwidowania celu. Już dawno nie znalazła się w takiej sytuacji. Oko w oko z najlepszym snajperem, o jakim słyszała. Zamurowało ją.

Szybko jednak wróciła do maksymalnego skupienia. Lata praktyki zrobiły swoje. Uniosła broń i znów wycelowała do swojego wroga.

To trwało tylko sekundy, a zdawało się, jakby mijała wieczność. Każdy oddech, każda marznąca kropla zimnego potu. Przemarznięte dłonie agentki zaciskające się na karabinie z całej siły i wypoczęty snajper naprzeciwko.

Położyła palec na spust. Wdech i wydech. Cel i... Strzał, a zaraz potem drugi. Różnica między nimi to dosłownie ułamek sekundy. Nieustający silny, boczny wiatr.

Karabin Antona runął na ziemię, a on, trzymając się za ramię i zataczając lekko, uciekł w pośpiechu z dachu.

Tymczasem, zaraz po oddaniu strzału, Robi padła na ziemię powalona siłą, której pochodzenia na razie nie знаła. Chciała wstać, ale gdy tylko zbyt raptownie się ruszyła, jej lewy bok przeszył ostry ból i znów wylądowała w trawie. Z poirytowaniem popatrzyła na swoją poszarpaną kamizelkę, która powoli pokrywała się krwią.

– Cholerny Jerakov! – syknęła. – Dlaczego nie mógł strzelać w głowę!

Zacisnęła zęby i znów uklękła na prawym kolanie. Drżącymi rękami uniosła karabin i odszukała miejsce, w którym jeszcze przed chwilą czaił się jej wróg. Wytężyła wzrok, ale mimo chęci nie odnalazła go.

Była wykończona. Od prawie doby działała na maksymalnych obrotach, bo nawet leżąc w kryjówce, musiała obserwować swój sektor i oczywiście pilnować swoich podkomendnych. Była zmęczona, przemarznięta, głodna i ranna. Oczy same jej się zamykały, ale wiedziała, że musi chronić swoją „chwilową” drużynę, która przemykała gdzieś w ciemnościach nieopodal niej.

Osunęła się na trawę i delikatnie odgarnęła wiszące bezładnie strzępy kamizelki. Zobaczyła sporą, zakrwawioną ranę. Nie była głęboka, wyglądało na to, że pocisk nie uszkodził żadnych narządów wewnętrznych. Odruchowo sięgnęła po swoją połowę apteczki, ale nie znalazła jej na miejscu. Przekląła pod nosem i ze zrezygnowaniem zasłoniła twarz dłońmi. Miała już dość tej akcji. Miało być szybko i prosto. Babrali się tu już od trzydziestu godzin i wszystko się waliło.

– Spitfire, meldujemy się. Dobiegamy do naszych oddziałów. Zostało jakieś dwieście metrów – rozbrzmiał w jej słuchawkach głos Roberta. – Chodź już do nas.

– Przyjęłam – mruknęła cicho, mrugając oczami, żeby się przebudzić. – Zaraz... Znaczą... Za jakiś czas będę.

– Czekamy.

Agentka westchnęła głęboko i wstała. Nogi miała jak dwie ciężkie kostki lodu. Zarzuciła karabin na ramię i zataczając się lekko, pobięła do swoich przyjaciół.

Dotarła na szczyt niskiego wzniesienia, skąd był doskonały widok na całe miejsce akcji. Wszystko to wyglądało strasznie.

Mały budynek, który służył terrorystom za magazyn amunicji, płonął trafiony rakieta któregoś z F-16. Ogień rozjaśniał ciemność nocy, ukazując ogrom zniszczeń spowodowany akcją. Agenci bronili się dzielnie, z rozpaczą w oczach patrząc, jak wyczerpują się ostatnie magazynki. Granaty, gaz usypiający i materiały wybuchowe już dawno zostały zużyte,

zamieniając w gruz wszelkie schrony terrorystów.

Wielu terrorystów poległo, a ci, którzy nadal walczyli, odcięli żołnierzom i agentom możliwość odwrotu. Mick i Diego nadal krążyli nad ich głowami, tylko czekając na chwilę nieuwagi przeciwnika, który oddaliłby się od żołnierzy i agentów na tyle, by bez ryzyka móc go zaatakować z powietrza.

Wszyscy byli przemarznięci i z wielką nadzieją czekali na choć kilka promieni słońca. Ich szeregi były mocno przeredzone. Z żołnierzy w akcji wytrwał tylko Kapitan i Kapral, który doprowadził czwórkę Irbisów na miejsce.

Robi patrzyła z lekkim przerażeniem na to, co działo się na jej oczach. Miała nadzieję, że nikt nie zginął. Nie miała pojęcia, dlaczego wszyscy terroryści znaleźli się akurat w tym miejscu dokładnie tego dnia, gdy miała nastąpić akcja. Przecież wszyscy zawsze mówili, że na Nowej Ziemi siedzi tylko garstka wojowników pełniąca wartę.

Nagle coś rzuciło się agentce w oczy. Uniosła karabin i zerknęła przez lunetę. Zobaczyła, jak Net cofa się i rozpaczliwie poszukuje magazynka w kieszeniach. Przed nim szedł potężny osiłek z wielkim karabinem maszynowym w rękach. Bez chwili zawahania wycelowała i strzeliła. Terrorysta padł na ziemię, a Net odwrócił się w jej stronę i uniosł prawą rękę, dziękując wybawicielce, choć nie miał pojęcia, kto i skąd strzelił.

– Fisher! Fisher?! – wrzasnął zdenerwowany Niko. – Ktoś widział Fishera?!

– W tym zamieszaniu nikogo nie widać – mruknął Rico, ale w jego głosie można było wychwycić lekkie zaniepokojenie.

– Fisher, odezwij się! – warknęła Robi, wypatrując przyjaciela wśród traw.

Nagle tuż przy ruinach jednego z budynków zauważyła coś, co przypominało człowieka. Nie było to nic nadzwyczajnego w tej chwili. Wszędzie leżało pełno terrorystów. Tym razem jednak dojrzała łatki na koszuli, do złudzenia przypominające te z PAS-u...

– Jest! – zawołała. – Pomoc pilnie potrzebna przy północnym skraju zabudowy. Fisher leży tuż przy ruinach. Nie rusza się, ale jest szansa, że żyje. Ruchy! Leć tam ktoś. Grape, zasuwasz tam!

– Tak jest!

Przypatrzyła się wszystkiemu dokładnie i wpadła na pewien pomysł. Od razu postanowiła go wcielić w życie.

– Proszę wszystkich o uwagę! – powiedziała głośno do mikrofonu. – Mam pewien pomysł na odwrót.

– Wal! Im szybciej stąd pryśniemy, tym lepiej! – pisnął Net.

– Grape zabiera Fishera do bezpiecznego miejsca. Mick i Diego robią zadymę za plecami terrorystów. Chłopaki, musielibyście walić na północ od gorącej strefy. To ich zdezorientuje, a my w tym czasie damy nogę. Gryzoń. Będziemy potrzebować śmigłowców.

– Wchodzę w to – ucieszył się Mick.

– Lecimy! – odezwał się Gryzoń.

– Tak jest! – zawołała cała reszta.

– Fisher żyje. Jest ze mną na zachód od was. Możecie zaczynać – zameldował Grape, a Robi uśmiechnęła się pod nosem.

Minęło raptem kilka minut, a Gryzoń zameldował gotowość śmigłowców do ewakuacji z pola walki. Czarter potwierdził słowa swego dowódcy i oznajmił, że ma dokładnie dziesięć miejsc na pokładzie. Wszystko by pasowało, gdyby nie fakt, że po dodaniu uratowanych Irbisów osób robiło się trzynaście...

– Nie zmieścimy się! – syknął Net.
– Spokojnie, śmigłowiec uniesie was wszystkich. Niestety trzy osoby będą leciały mniej wygodnie niż reszta.
– Ołać wygodę, my chcemy żyć! – syknęła Robi i ruszyła biegiem w stronę reszty drużyny. – Jastrzębie, zaczynajcie!
– Się robi, Robi. Prosimy nie zwiedzać północnej części kompleksu, bo będzie tam zaraz gorąco...

Chwilę później nad ich głowami przemknęły dwa myśliwce. Rozdzieliły się i rozpoczęły ostrzał. Pociski z działek sypały się na pozostałości budynków, na tylny oddział terrorystów i łąki dookoła. Prawie w tym samym czasie tuż przy agentach pojawiły się dwa śmigłowce. Jeden z nich wylądował na ziemi, a drugi, uzbrojony, jak zwykle ubezpieczał tego pierwszego.

Wszyscy zapakowali się na pokład i odlecieli. Byli zmęczeni, przemarznięci, brudni, ale już szczęśliwi. Przeżyli akcję. Przeżyli polarne piekło. Kiedy odlatywali w stronę bazy, za plecami widzieli tylko płomienie wybuchów, w czasie gdy dwa myśliwce kończyły dzieło szturmowców i snajperów.

W końcu płozy śmigłowca dotknęły zmrożonego betonu lotniska. Ostre światła reflektorów oślepiły wszystkich, którzy od ponad doby oglądali świat przez noktowizory.

Agenci wyskoczyli na ziemię i pognali do hangaru, gdzie zorganizowano prowizoryczny punkt medyczny. Chcieli koniecznie sprawdzić, jak się czuje Kali. Irbisy zrobiły to samo zaraz po tym, jak dostali pozwolenie od Robi. Czwórka starszych snajperów została z agentką i nieprzytomnym Szymonem.

Robert i jego były zastępca Jacek podnieśli chłopaka i zobowiązali się zanieść go do lekarza. Pozostała dwójka postanowiła im pomóc.

– Świetna misja – mruknął Kapral, a Kapitan uśmiechnął się tylko i pokiwał głową. – To dla mnie zaszczyt, że mogłem walczyć u boku agentów, a nawet samej dowódczyni Irbisów.

– Jesteś świetnym żołnierzem – szepnęła Robi słabym głosem.

Jej ranny bok aż pulsował z bólu, ale ona nie zwracała na to uwagi. Nie miała siły się tym przejmować. Wstała z siedzenia i chciała wyskoczyć ze śmigłowca. Zrobiło jej się słabo i zatoczyła się. Potknęła się o własną nogę i wpadła w ręce dwóch żołnierzy.

– Pani porucznik – mruknął Kapral, patrząc na swoją zakrwawioną rękę. – Pani jest ranna!

– Trochę... Cholerny Anton zamiast strzelać w głowę, wołał w kamizelkę. Szczerze mówiąc, przez to wszystko jakoś mi to wyleciało z głowy... – zaśmiała się cicho.

– Wolałabyś oberwać w głowę? – zadziwił się Kapitan, biorąc ją pod rękę. – PAS serio jest dziwny.

– To nie tak... – szepnęła Robi. – Chodzi o to, że hełmy Irbisów zatrzymają kulę snajpera, a kamizelka nie.

– Mnie bardziej dziwi, że zapomniałaś o tym, że jesteś ranna i to chyba dość poważnie.

– E tam, ja... Wszyscy zabrali się z akcji, prawda? Nikt nie został?

– Pani porucznik może być spokojna. Wrócili wszyscy i nie mamy ofiar śmiertelnych – oznajmił Kapral.

– Odprowadzimy cię do punktu medycznego.

– Niech wam będzie, ale jedno wam powiem. Jesteście świetnym żołnierzem, Kapralu. Wyprawa ratunkowa to był pełen sukces. Dobra robota. Jediną wadą był Jerakov. Nie mam pojęcia, kto strzelał do nas w czasie całej akcji, ale wtedy, tam na wybrzeżu... Oddał jeden

strzał za dużo. I mu tego tak łatwo nie odpuszczę. Zwłaszcza że był to już drugi raz! Pierwszy jego pocisk odebrał mi prawie wszystko. Teraz moja kolej.

– Trzymamy kciuki, ale nie gadaj już tyle – mruknął Kapitan, nie do końca wiedząc, o co chodzi agentce.

Rozdział osiemnasty **Flaki... z olejem!**

Następnego dnia wszyscy wrócili do swojej bazy nad Morzem Kaspijskim. Samolot transportowy wylądował na lotnisku witany przez wszystkich żołnierzy, dowódców i agentów, którzy z rozkazu Szymona zostali na miejscu.

Nikt z nich tak naprawdę nie miał pojęcia, przez co przeszli ich przyjaciele. Przez cały czas ich nieobecności krążyły plotki o heroicznej walce albo o tym, że nie napotkali oporu.

W końcu samolot zatrzymał się. W pierwszej kolejności wysiadł z niego Kapitan i Kapral biegnący tuż za swoim dowódcą. Potem czwórka ocalonych Irbisów i czwórka młodszych kotów. Rico i Grape prowadzili pod rękę zmęczoną, osłabioną, ale szczęśliwą Robi, a przed nimi siedł Węgier i wszystkim, których napotkał, opowiadał o tym, jak czwórka weteranów ocalona przez ich dowódczynię pomogła uratować sytuację. Agentka za wszelką cenę starała się zejść z oczu wszystkim. Nie znośła być w centrum uwagi, nie lubiła, kiedy ktoś publicznie mówił o jej dokonaniach. Chciała jakoś uciec, ale niestety jej nie pozwolono.

Za nimi wyszedł jeszcze lekko otumaniony Szymon, który, jak się później okazało, oberwał stężonym gazem usypiającym. Ktoś cisnął kulkę pod nogi terrorysty, ale ta nie wybuchła, a przeciwnik schował ją na później i wykorzystał, kiedy agent znalazł się w zasięgu rażenia. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Za Fisherem oczywiście truchtał jak zwykle roześmiany Net.

Na sam koniec, po odpowiednim przygotowaniu i wypięciu z zabezpieczeń, wyniesiono rannych. Kappę, Kaliego, Niko i trójkę żołnierzy. Zostali zanieśeni do szpitala polowego, a gdy przenoszono ich wśród oddziałów, które nie brały udziału w akcji, salutowano im.

– Jak to dobrze, że wróciliśmy – szepnęła Robi do Szymona, kiedy ten stanął obok niej. – I wreszcie widzimy słońce... I jest ciepło...

– No, to fakt – mruknął Szymek i popatrzył na przyjaciółkę z chytrym uśmiechem.

Na początku Robi nie miała pojęcia, co on knuje, potem jednak dowiedziała się i wcale nie była zachwycona. Została zaciągnięta do lekarza, a gdy ten zobaczył jej bok, zdziwił się, że nastolatka od tyłu godzin utrzymuje się na nogach.

Miała szczęście, że kula praktycznie się o nią otarła. Nie uszkodziła żadnych narządów wewnętrznych, ale zostawiła sporych rozmiarów ranę. Lekarz westchnął tylko, założył kilkadziesiąt szwów i porządnie ją opatrzył.

– I pamiętaj, żadnych akcji, biegania, tarzania się w trawie! Już ja widzę, co wy Irbisy wyprawiacie. Masz odpoczywać i nie nadwyręzać się. Czy pani porucznik Spitfire to zrozumiała?!

– Tak, tak – mruknęła Robi, błędząc myślami zupełnie gdzie indziej. – Będę uważać. Bardzo dziękuję. Do widzenia.

Wyszli czym prędzej na zewnątrz i ukryli się w swoim namiocie. Czekwały tam na nich młode Irbisy. Chłopcy stali w szeregu, a gdy tylko zobaczyli Robi, rozstąpili się na boki, odsłaniając specjalnie przygotowany tron.

Było to zwykłe krzesło przykryte miękkim, granatowym kocem z logiem PAS-u.

– Będziesz mogła sobie tu siedzieć i rządzić – zaśmiał się Rico.

– Dzięki. To miłe – bąknęła Robi. – Ale chyba nie myślicie, że w razie akcji mam zamiar tu gnić.

– Lekarz kazał.

– Oj tam, oj tam – syknęła Robi i kichnęła.

W tej chwili do namiotu wpadł chorąży. Był zdyszany i spocony. Z trudem wyhamował tuż przed Szymonem i zaczął głośno sapać.

– Chorąży... melduje... się... – wydyszał. – Pułkownik chce... was widzieć...

– O, nie. Mnie kazano wypoczywać. Nie mam ochoty iść do dowódcy, który wysłał drużynę bez uprzedniego zwiadu i rozpoznania – syknęła Robi i rozsiadła się wygodnie na swoim „fotelu”.

– Pułkownik chce widzieć wszystkich. Bez wyjątku.

– A ja nie chcę widzieć jego. Odmaszerować, żołnierzu. Musimy coś przedyskutować. We własnym gronie!

Młody wojskowy popatrzył zdezorientowany na agentkę, po czym stanął na baczność, zasalutował i bez słowa wyszedł.

Irbisy, Szymon, Net i Franek popatrzyli na Robi pytająco. Nie mieli pojęcia, o czym mówi agentka, i chcieli dowiedzieć się tego jak najprędzej.

– Co jest grane? – syknął Descante.

– Nie zdziwiła was ta cała akcja? – zapytała agentka. – No bo pomyślcie. Co było naszym zadaniem? Zlikwidowanie jakiejś bazy, która miała być pusta, a naszym celem był tylko skład broni, który też nie był pewniakiem. „Może tam jest, a może nie. Nie mamy pewności”. Wszystko odbyło się na tej zasadzie. Jesteśmy agentami, przecież właśnie po to nas tu wysłano! Powinniśmy przespiegować terrorystów, zdobyć dane. A tu co? Od razu szturm i walka wręcz.

– Co sugerujesz? – zapytał Franek, patrząc z zaciekawieniem na nastolatkę.

– Ja nie sugeruję. Ja mam pewność. Ktoś to zaplanował i nawet chyba wiem kto. Wtedy, gdy Czarter zabrał Kaliego, pojawiła się dwójka terrorystów. Nie widzieli mnie i rozmawiali na temat Irbisów na wybrzeżu i o całej tej walce. Byli pewni, że wygrają. Mówili, że pułkownik nie zaryzykuje i nie pozwoli im przegrać. To moim zdaniem dziwne! Wiedzieli dokładnie, ilu nas jest i ilu miało być! Nie wydaje wam się to podejrzane?!

– Pułkownik? TEN pułkownik?! Ten, który nami dowodzi? Ten, który nas teraz wzywał do siebie? – zapytał z niedowierzaniem Net i z wrażenia aż osunął się na krzesło.

– Innej opcji nie ma. Każda akcja miała jakiś dziwny zwrot. Nie zawsze tak oczywisty jak tu, ale... Moim zdaniem pułkownik zdradził, ale jeszcze nie wiem czemu.

– Może trzeba to sprawdzić? Podejść go z zaskoczenia i wypytać. W końcu kto jak kto, ale PAS jest idealny do tego typu zadań – stwierdził Szymon i naładował broń.

Ustalili plan i sposób, w jaki przeprowadzą „rozmowę”. Nie mieli niezbitych dowodów na winę dowódcy, więc musieli działać naprawdę ostrożnie. Poszli we trójkę. Robi, Szymon i Net.

Zakradli się cichaczem pod drzwi biura pułkownika. Zatrzymali się i w ciszy nasłuchiwali. Chcieli sprawdzić, czy ich cel jest sam, a dowiedzieli się czegoś znacznie ciekawszego.

– To już nie moja wina, że nie umiecie strzelać! Było ich dziesięciu! – syknął zdenerwowany dowódca i nastąpiła chwila ciszy. – No dobrze, racja. Piętnastu, ale mieliście

działać poza zasięgiem ich wzroku. Mieliście duże pole do popisu. – Znów chwila ciszy. – To nie ja układam plany! Z tego, co wiem, koty i tak zeszyły do szturmowców, a Damon była tylko i wyłącznie z Kapralem. – Po raz kolejny zamilkł. – No przepraszam! Nie jestem wszechmogący. Nie panuję nad powiewami wiatru. Nie, nie! Proszę się nie rozłączać! NIE!

Trójka agentów popatrzyła na siebie z przerażeniem w oczach. Ich obawy okazały się słuszne. Po chwili usłyszeli, jak coś, prawdopodobnie telefon, ląduje z hukiem na biurku. Popatrzyli na siebie i skinęli głowami. Teraz był dobry moment na to, żeby wkroczyć.

Szymon kopniakiem otworzył drzwi, a zaskoczony pułkownik aż podskoczył na fotelu. Robi i Net stanęli za Fisherem i wszyscy unieśli broń.

– Ręce na kark! – syknęła Robi, widząc, jak dowódca sięga po coś do szuflady. – Nic nie kombinuj.

– Co to ma znaczyć! Jakim prawem! – wrzasnął mężczyzna, ale w jego głosie słychać było lekkie nerwowe drżenie.

– Prawem nadanym nam przez... – zaczął Szymon, ale pułkownik mu przerwał.

– Rzeczpospolitą Polską. Tak, tak, znam te wasze głupie formułki. Ja się pytam, jakim prawem śmiecie wpadać tu jak do stodoły i wymachiwać mi tu pistoletami! Jestem wyższy stopniem i...

– I jest pan zdrajcą! – warknął Net.

– Co?!

– Wszystko słyszeliśmy. Teraz i wtedy na akcji, jak dwóch z nich o panu gadało – wycedziła przez zęby Robi, wpatrując się w pułkownika z nienawiścią. – Ma pan na sumieniu trzech agentów i trzech żołnierzy. Są ranni i to przez pana! Kappa stracił wzrok!

– A Kali ma problemy z pamięcią po tym, jak kula otarła mu się o głowę. Niko może mieć problemy z nogą do końca życia! Też przez pana – warknął Szymon.

– Trzech żołnierzy jest w stanie ciężkim. To cud, że żyją. Wszyscy mogli zginąć, bo wysłał pan garstkę szturmowców bez odpowiedniego sprzętu. To miało być proste przejęcie kompleksu i starcie z kilkoma ochroniarzami. Ich było grubo ponad setkę, a nas? – wymamrotał Net.

– Ale nie macie dowodów! – krzyknął pułkownik.

– Nie musimy mieć. Darujmy sobie ten cyrk, dobrze pan wie, że możemy strzelić, a mimo to tego nie robimy. Chcemy wyjaśnić! – syknęła Robi.

Dowódca westchnął głęboko i zrezygnowany opadł na swój fotel. Młodzi agenci wytrwale trzymali go na muszce i nie odpuszczali. Oparł się o biurko i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie miałem wyboru! – szepnął płaczącym głosem. – Nie mogę powiedzieć dlaczego... Zabiją mnie... Zabiją wszystkich.

– Wszystkich? To znaczy kogo? – zapytał Net, opuszczając lekko broń.

– Nie mogę powiedzieć! – krzyknął i raptownie wstał, robiąc duży krok w stronę Robi.

Agentka zareagowała odruchowo. Złapała go za koszulę tuż przy szyi i pchnęła na ścianę. Popatrzyła na niego ze wściekłością.

– Co. Terroryci. Wiedzą. O nas? – wycedziła, akcentując każde słowo z osobna.

– Wszystko. Znają wasze plany taktyczne, rozstawienia, pozycje, kolejność działania... Taktykę i rodzaj uzbrojenia. Mieli też poszczególne informacje, gdzie każdy z Irbisów miał swoją kryjówkę na Nowej Ziemi. Nie zatrzymaliście się tam, gdzie było mówione, a potem weszliście na pozycję szturmowców. Zaskoczyliście ich! Myślał, że to ja ich okłamałem! Zabijają mnie, zabijają!

– Zdradziłeś nas! Mogliśmy wszyscy tam zginąć! Kappa stracił wzrok! Z mojej drużyny odpadł jeden członek! Przez zdradę! – syknęła Robi przyciskając mężczyznę mocniej do ściany. – To przez zdradę Szymon oberwał naszym własnym gazem usypiającym, a mnie dopadł snajper, który doskonale wiedział, który z agentów to ja, choć to nie miało być tak oczywiste!

– A gdyby tobie, poruczniku, porwano żonę i dwójkę dzieci? I powiedziano, że zginą, jeśli nie podasz informacji? Jerakov ich zabije! Rozumiesz?!

– Tak się składa, że Jerakov ma na sumieniu też moich rodziców. Oni przed nim nie szlochali. Byli wierni ideom i Polsce do końca – szepnęła z wyrzutem, a kiedy kończyła, głos jej się złamał.

Pułkownik popatrzył na nią zszokowany i wyswobodził się z jej uścisku, korzystając z zamyślenia agentki. Nie zrobił jednak nic, stał w bezruchu, wpatrując się w nastolatkę. Do tej pory nie miał pojęcia o życiu Robi przed tym, jak trafiła do jego bazy.

Po chwili beczynności Szymon wrócił myślami na ziemię i sięgnął do tylnej kieszeni spodni po kajdanki. Podszedł do pułkownika, skuł go i pociągnął lekko w stronę drzwi.

– PAS nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. Skąd wy, u licha, macie... Nieważne – wymamrotał otumaniony żołnierz i popatrzył na Robi. – Proszę, zróbcie coś... Nie chcę stracić rodziny! Trzyma ich w małym miasteczku, które jest najbliżej nas! Dwupiętrowy budynek! Zielony!

– Wyprowadźcie go – mruknęła agentka, patrząc w stronę okna.

Chłopcy wyprowadzili dowódcę i zamknęli go w jednym z sąsiednich pokoi, gdzie miał czekać do przybycia kogoś z Polski.

– Co robimy? – zapytał Net, kiedy już wrócili do gabinetu, w którym nadal czekała Robi. – No wiecie, z jego rodziną?

– Wyciągniemy ich. Ale nikt nie będzie o tym wiedział. To zabezpieczy nas na wypadek, gdyby ktoś jeszcze kablował.

– Masz na myśli... To szaleństwo. Mamy okrojone szeregi. Nie damy rady – syknął Szymek.

– Zrobimy to po naszymu i nikt nam się nie będzie wtrącał. Nasza stara taktyka i nasza stara drużyna. Bez podziału na snajperów i liniowców. Po prostu wy i ja. Znamy cel. Wiem, o które miasto chodzi. To trzy godziny drogi stąd piechotą. Franek nas podrzuci, to oszczędzimy na czasie. Załatwimy to cicho i bez ofiar.

– Wchodzę w to – ucieszył się Net.

– A ty? Jesteś ranna – szepnęła Szymon.

– Daj spokój.

– Zrobisz sobie krzywdę! I będą flaki – mruknął Net, a Robi popatrzyła na niego jak na debila. – Flaki... Z olejem!

– Net, jesteś okropny. Szymon! Tak czy nie?

– Niech będzie. Tak!

Jak postanowili, tak zrobili. Pobiegli do Franka i wszystko z nim uzgodnili. Gdy zapadła noc, a wszyscy położyli się już spać, trójka agentów wraz z pilotem wymknęła się z bazy i zakradła do śmigłowca. Wszystko było idealnie zaplanowane, gdyż dwie godziny wcześniej Franek poprosił o zezwolenie na nocny patrol okolicy i takowe otrzymał.

Wystartowali więc punktualnie o drugiej w nocy i polecili w stronę miasteczka.

– Łąduj – szepnęła Robi, kiedy byli kilometr od celu.

– Tak jest.

Śmigłowiec stanął w zawisie. Agenci spuścili linę i rozpoczęli desant. Szymon i Net gładko wylądowali na skrzyżowaniu, a po chwili z cichym syknięciem pojawiła się obok nich Robi. Skuliła się lekko i złapała za bok. Kiedy tylko dwójka jej przyjaciół popatrzyła na nią z niepokojem, zacisnęła zęby i uśmiechając się sztucznie, stanęła wyprostowana.

– Nic mi nie jest – mruknęła i złapała za karabin.

Naciągnęli na twarze kominiarki, a na oczy nasunęli gogle. Popatrzyli na siebie i skinęli głowami. Ruszyli biegiem ciemnymi ulicami miasta.

Nigdzie nie paliły się żadne światła, wszyscy mieszkańcy spali, nie mając pojęcia, co dzieje się pod ich oknami. Na niebie świecił księżyc, który co chwilę przysłaniały małe postrzępione chmurki.

– Wiecie, że nas zabiją za tę akcję? – zapytał Net. – Mieliśmy zakaz samodzielnych interwencji w terenie zamieszkałym przez cywilów.

– Dlatego nikt o tym nie wie – mruknęła Robi. – Teraz cicho. Cel tuż za rogiem. Pamiętajcie. Nie mogą nas zobaczyć! Mają spać, zanim zobaczą nasze mundury!

– Tak jest!

– Nie otwierać ognia. Tylko w sytuacji podbramkowej. Wchodzimy, ratujemy, wychodzimy.

Podbiegli do ściany i ustawili się pod parapetem. Szymon wyciągnął kamerkę termowizyjną i uniósł ją, kierując obiektyw na okno.

– Dwóch ludzi na dole i... trójka na górze. Ci na górze siedzą razem i wyglądają na zakładników – oznajmił.

– Net, jeden gaz przez okno. Odczekamy dziesięć sekund i wchodzimy. Wy zabezpieczacie dół, ja wyciągam zakładników.

– Tak jest!

Robi laserem przepaliła zamek w oknie, a Net wrzucił kulkę do środka. Chwilę później usłyszeli cichutki syk wydobywającego się z niej gazu. Szymon, który cały czas obserwował budynek przez kamerkę, uśmiechnął się lekko.

– Padli jak muchy. Zakładnicy bez reakcji – zameldował i nałożył na twarz maskę gazową.

Robi i Net zrobili to samo, a potem razem, przez otwarte okno, wskoczyli do środka i zabrali się do roboty.

Chłopcy pobiegli do pomieszczenia, w którym leżeli nieprzytomni terroryści. Byli uzbrojeni, ale ze względu na konspirację agenci nie mogli im nic zabrać.

Tymczasem Robi wbiegła po schodach i powoli weszła do pokoju. Kobieta siedziała na krześle, na środku. Na oczach miała przepaskę, a ręce przywiązane do oparcia. Na dźwięk kroków agentki drgnęła nerwowo. Mały chłopiec o jasnych blond włosach schował się za mamą. W kącie, na szarym materacu spała dziewczynka ubrana w różową bluzę. Agentka ściągnęła maskę i zawiesiła ją na pasku.

– Spokojnie – szepnęła Robi. – Jestem tu, by was wyciągnąć.

Powoli podeszła do kobiety i odsłoniła jej oczy. Popatrzyła na agentkę badawczo, po czym na jej twarzy pojawił się spokój. Kiedy tylko Robi ją uwolniła, pognała do swoich dzieci i mocno je przytuliła.

– Jak stąd wyjdziemy? – zapytała, nie puszczając swoich pociech.

– Spokojnie. Terroryści są unieszkodliwieni, a na dole czeka dwójka moich kolegów.

Proszę wstrzymać oddech, kiedy wyjdziemy z tego pokoju. – Podała jej swoją maskę i zapasową, którą miała na wszelki wypadek. – Proszę dać je dzieciom.

– Istnieje jakieś ryzyko? Nie chcę, żeby dzieciom coś się stało!

– Spokojnie, to tylko gaz usypiający.

Kobieta pokiwała głową i pospiesznie ruszyła za agentką. Zeszli na dół i dołączyli do dwójki chłopaków, a potem razem wybiegli na ulicę. Ściągnęli maski, kominiarki i gogle. Uśmiechnęli się do siebie.

To była najbardziej rutynowa akcja w ich wykonaniu, od kiedy rządy w PAS-ie przejął „północny generał”. Od tamtego momentu agenci działali w bardziej wojskowy sposób i teraz w końcu mogli poczuć się jak za dawnych czasów.

– Gryzoń, masz nas na radarze – zaśmiała się Robi, włączając nadajnik. – Widzimy się na skrzyżowaniu dwie przecznice od nas na zachód.

– Przyjąłem. Zaraz będę na miejscu. Bez odbioru.

Szymon popatrzył z uśmiechem na dzieciaki, które wpatrywały się w niego zafascynowane. Podszedł do chłopca i wziął go na ręce. Malec uśmiechnął się szeroko.

– Ja też chcę być żołnierzem – szepnął mu na ucho.

– Tak? To super. Musisz być odważny. Jesteś?

– Tak!

– Opiekowałeś się mamą i siostrą, prawda?

– Tak!

Rozbawiona Robi przypatrywała się razem z kobietą, jak chłopiec rozmawia z dwójką swoich idoli. Wypytywał o różne rzeczy i opowiadał o swoim tacie, który jest pułkownikiem. Mała dziewczynka zdecydowanie wolała damskie towarzystwo. Szła grzecznie za rękę z mamą i tylko czasami zerkała na Robi idącą tuż obok niej.

– Dziękuję wam – odezwała się w końcu kobieta, uśmiechając się przyjaźnie. – Skąd wiedzieliście... Jak?

– To skomplikowana sprawa. Myślę, że mąż pani to wyjaśni. My po prostu wiedzieliśmy, gdzie szukać, i zrobiliśmy, co do nas należało.

– Zawdzięczamy wam życie. Zabiłby nas, bo szuka jakiegoś snajpera, którego koniecznie chce dopaść! Skoro jesteśmy wolni... Trzeba ostrzec tego biedaka, zanim będzie za późno!

– Szczerze mówiąc, to właśnie pani z tym „biedakiem” rozmawia. To mnie chce dopaść, dlatego nie mogłam pozwolić, by ktoś inny ucierpiał.

Usłyszeli śmigłowiec, który przeleciał gdzieś nad nimi. Kiedy dotarli już na skrzyżowanie, maszyna wylądowała, a oni wsiedli na pokład.

Natychmiast wznieśli się w powietrze i odlecieli w kierunku bazy. Nie licząc lotu, cała akcja zajęła im dwadzieścia minut, z czego od chwili otwarcia okna do momentu wyjścia z budynku minęły niecałe trzy minuty. To był rodzaj akcji, w której trójka młodych agentów czuła się jak ryba w wodzie.

Śmigłowiec cichaczem wylądował na lądowisku w bazie. Robi, Szymon, Net i uratowani zakładnicy wymknęli się do hangaru, a Franek zameldował się jak gdyby nigdy nic po locie patrolowym. Nikt nie zauważył nic podejrzanego, akcja przebiegła w zupełnej konspiracji.

Kobietę i dzieci Net odprowadził do pokoju, w którym siedział pułkownik. Nie pokazał się tam, po prostu powiedział, jak mają dotrzeć do odpowiedniego pomieszczenia. Poprosił o dyskrecję i usunął się w cień.

– Jesteśmy takimi cichymi profesjonalistami. Znow wszystko wróciło do normy –

stwierdził Szymon, kiedy wszyscy kładli się do łóżek.

– Gdy wrócimy do domu... Musimy poprosić dyrektora o przywrócenie dawnego charakteru PAS-u. Mamy w Polsce świetnych komandosów, żołnierzy, pilotów. My powinniśmy głównie skupiać się na konspiracji, a nie akcjach takich, jak ta na Nowej Ziemi – wymamrotał Net, kokosząc się pod kołdrą.

– Ja się zgadzam z tym, jak jest. Nawet jako szturmowcy mamy inne zadania i metody. Moim zdaniem powinny być pododdziały. Tak jak było kiedyś. Tajne Południe i wojskowa Północ – stwierdziła Robi. – Ale to temat na pogaduszki w Polsce. Teraz spać, bo jeśli chcemy utrzymać akcję w tajemnicy, nie możemy wyglądać jak zombie.

– Tak jest!

Rozdział dziewiętnasty Jeszcze dzień

Kapitan krążył po gabinecie i co chwilę spoglądał na trójkę agentów stojącą na baczność przed jego biurkiem.

– Pułkownik zostaje oskarżony o zdradę. Wy go oskarżacie! Przyznaje się. Mieliście rację. Mówi coś o porwanej rodzinie. Następnego dnia jego rodzina jest z nim tu w bazie! Cali i zdrowi! – wykrzykiwał Kapitan, mocno gestykulując. – Dziwnym zbiegiem okoliczności Gryzoń prosi o nocny lot. Nikt nic nie wie. Znam was. Przecież byliśmy razem na akcji. Wiem, do czego wy, agenci, jesteście zdolni.

Trójka nastolatków stała wytrwale i za wszelką cenę starała się nie okazywać żadnych emocji. Robi robiła wszystko, by powstrzymać kichanie, z którym zmagająca się, od kiedy wrócili z północy. Kiedy leżała na zmarzniętej ziemi, przeziębiała się tak samo jak reszta Irbisów. W końcu nie wytrzymała i kichnęła.

– Na zdrowie, pani porucznik – mruknął Kapitan. – Odpowiedni moment na kichanie, gdyż właśnie miałem o nim mówić. Wczoraj jeden z pilotów słyszał kichnięcie w hangarze, kiedy Franek się meldował. Duchy?

Robi z wyrzutem popatrzyła na Neta. Ten jeden raz kichnął on, a nie ona. Chłopak zaśmiał się przepraszająco.

– Zdajecie sobie sprawę, że złamaliście zasady? Powinienem was za to uziemić albo kazać wam szorować buty szczoteczką do zębów! Nawet dyrektor PAS-u nie jest zachwycony waszym lekceważeniem zasad. – Kapitan zawiesił głos i popatrzył na agentów. – Jak zwykle pokazaliście, na co was stać. Uratowaliście trójkę niewinnych cywilów. Dokonaliście tego mimo tego, co zrobił pułkownik. To się ceni. Bardzo zasłużyliście się w naszej walce. Gdy przybyliście do naszej bazy, wszystko nabrało tempa. Teraz po tym, jak wygraliśmy na północy, misja jest prawie skończona. Możemy wracać do domu. Czeka nas jeszcze tylko jedna misja. Ostatni terroryści. Ostatnie dane.

– Gdzie? – zapytała Robi. – I kiedy?

– Nie tak prędko. Ty nie idziesz. Szaleństwem było to, że w ogóle poszłaś po zakładników! Szymon, Net, Kapral i chorąży. Robi, wytypuj dwójkę Irbisów. Jeden jako pokładowy, drugi na lądzie. Tak dla pewności.

– Pokładowy? Ja mogę być pokładowym! Nie trzeba tam biegać ani tarzać się w trawie. Proszę!

Kapitan zatrzymał się i zerknął przez ramię na agentkę. Przewrócił oczami i wymownie spojrzał w górę.

– Dobra. Niech będzie, ale jak zejdziesz na ziemię, osobiście zadbam o to, żebyś sprzątała naszą stołówkę aż do wyjazdu z bazy.

– Tak jest!

Kapitan omówił z nimi szczegóły akcji. Wydawała się prosta. Mieli zakraść się do określonego budynku i znaleźć listy zamówionej broni. Zlikwidować terrorystów i po prostu

wyjsć. Szymon, który uchodził za zabijakę, był, delikatnie mówiąc, zadowolony. Robi jak zwykle gotowa była strzelać w obronie własnej i drużyny, ale nie szykowała się na bicie rekordów w liczbie trafień.

Wyruszyli nocą samolotem transportowym. Ich cel znajdował się wśród szczytów Kaukazu. Gdy przelatywali nad dachem małego budynku, wyskoczyli z pokładu i w odpowiednim momencie otworzyli spadochrony. Bezgłośnie wylądowali na ziemi i ruszyli w stronę swoich pozycji.

Tymczasem Robi i Gryzoń już lecieli śmigłowcem nad teren działania. Mogli pojawić się na miejscu dopiero po rozpoczęciu akcji, by przedwcześnie nie ostrzec przeciwnika.

– Wkraczamy! – szepnął w końcu Szymon i zaczęło się.

Dwójka agentów i dwójka żołnierzy wyważyła drzwi i weszła do środka. Padło kilka strzałów i zapadła cisza.

– Zero strat. Terrorysty zlikwidowani – zameldował Szymon.

– Znajdźcie tę listę i spadamy – mruknęła Robi. – Zapowiada się chyba najnudniejsza akcja w historii. Terrorystów już nie ma. Ja dopiero dolatuję na miejsce! Nudy!

– Biedna Spitfire – zarechotał Rico. – Ja tu sobie leżę.

– Skąły wbijają ci się w... Nie powiem gdzie.

– Mówisz tak, bo zazdrościsz. Ała. Troszeczkę się wbijają. Troszeczkę.

– Kocur, skup się i osłaniaj, a nie z samolotem romansujesz! Spitfire, ty też. Nie gadaj z kotem – zaśmiał się Szymon.

Wszyscy czuli się wyluzowani. Wszystko szło zgodnie z planem. Już po chwili lista została znaleziona i wśród drużyny zapanowała ogólna wesołość.

Księżyc schował się za chmurami, kiedy wychodzili z budynku. Rico przeczesawał wzrokiem całą okolicę, czekając, aż wszyscy dotrą na umówione miejsce, skąd miał zabrać ich śmigłowiec.

Robi z Gryzoniem zataczała kolejne koło nad ich głowami. Nagle zobaczyła, jak Szymon zatrzymuje się gwałtownie i odwraca do tyłu.

– Tam ktoś jest! – krzyknął i pognął w stronę budynku, w którym zniknęła tajemnicza postać.

– Fisher, odpuść sobie – zawołał Kapral.

– Fisher! – wrzasnął Net.

– A niech się wystrzela. Zabijaka jeden – mruknął chorąży.

– Fisher, wracaj! – krzyknęła Robi. – Gryzoń, leć do niego!

Śmigłowiec ostro zawrócił. Robi cały czas wrzeszczała na swojego przyjaciela, próbując zmusić go do powrotu. On jednak nie słuchał. Nie miała pojęcia, dlaczego reszta za nim nie pobięła.

Szymon jednym kopniakiem otworzył przymknięte drzwi i zniknął we wnętrzu budynku. Śmigłowiec zawisnął w powietrzu. Wszyscy czekali na dalszy rozwój wydarzeń. Net i Rico pobiegli za przyjacielem, ale mieli sporą trasę do przebycia.

Nagle usłyszeli strzał. W słuchawkach brzmiał na odległy, co mogło oznaczać tylko jedno. Gdyby to Szymon użył broni, która była blisko mikrofonu, zabrzmiałoby to inaczej.

– Fisher! – wrzasnęła Robi na całe gardło, ale nikt nie odpowiedział. – Odezwij się!

Drugi strzał.

– Gryzoń, leć tam! – krzyknęła, a pilot od razu ruszył przed siebie.

Gdy śmigłowiec znalazł się nad celem, obniżył lot, a Robi rzuciła w kąt karabin

i wyskoczyła na ziemię. Po raz kolejny jej bok przeszył ból, ale nie było czasu na uzalanie się nad sobą. Zacisnęła zęby i pobiegła pomóc przyjacielowi.

Była na niego wściekła. Na szkoleniu tyle razy się mówiło, żeby nigdy nie robić nic pochopnie, żeby uważać!

Wpadła do środka i wbiegła do głównego pomieszczenia. Było duże, przestronne i puste. Nie było w nim nic prócz stołu i trzech kartonów.

– Chowaj się! – usłyszała syk swojego przyjaciela i zaraz potem ktoś szarpnął ją za rękaw.

Szymon wciągnął ją za kartony. Trzymał się za prawe ramię. Krwawił. Jego krótkofalówka była roztrzaskana. Robi popatrzyła na niego z przerażeniem i chciała zobaczyć, czy rana jest poważna. Chłopak odepchnął jej rękę i uśmiechnął się nieznacznie.

– To nic. Nic poważnego. Pomóż mi trafić tego strzelca, co siedzi na górze – szepnął jej do ucha.

– Osłaniaj! – poprosiła agentka i przygotowała się do biegu.

Szymon zaczął na ślepo strzelać do tamtego, a Robi dzięki niemu zyskała czas na dobiegnięcie na dogodne miejsce i wycelowanie. Pociągnęła za spust, a przeciwnik runął z balkoniku, który znajdował się jakieś dziesięć metrów nad ziemią.

Szymon i Robi popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się szeroko. Podbiegli do siebie i wpadli sobie w objęcia. Wtulili się w siebie z całej siły.

– Tak się bałam, że już po tobie! – szepnęła Robi.

– Dobrze się czujesz? Miałaś nie biegać. Nic cię nie boli? Nie wybaczyłbym sobie, gdyby przeze mnie coś ci się stało.

– Nic mi nie jest.

Szymon wziął głęboki wdech. To był ten moment. Czuł, że musiał powiedzieć coś, co dręczyło go już od czterech lat. Miał nadzieję, że się nie zblązni, że Robi go zrozumie. Musiał zebrać w sobie dość odwagi. Westchnął raz jeszcze.

– Robi, jest coś... Chciałem powiedzieć, że...

– No co? No, mów.

– Kocham cię, Robi. Kocham od tylu lat. Życie bym oddał za ciebie!

Robi uśmiechnęła się i wtuliła w przyjaciela. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Bała się wyznać mu to przez tak długi czas, a tymczasem on skrywał to samo.

– Też cię kocham – szepnęła, wpatrując się w jego niemalże turkusowe oczy.

Szymon nieśmiało pocałował dziewczynę, a ona ku jego radości odwzajemniła pocałunek. Stali tak na środku hali i nic innego nie istniało. Liczyli się tylko oni. Świat stał się jakby piękniejszy, wszystko nabrało barw.

Nagle Szymon usłyszał cichy szelest gdzieś nad głową. Otworzył oko, by sprawdzić, co się dzieje. Ktoś na balkonie się poruszał. Miał karabin i wyraźnie nie miał dobrych zamiarów. Wszystko trwało ułamek sekundy. Tajemniczy mężczyzna uniósł broń i skierował lufę w stronę Robi.

Descante złapał mocniej swoją przyjaciółkę i nie przerywając pocałunku, okręcił ją wokół siebie tak, że to on znalazł się na linii strzału. Zrobił to dokładnie w tym momencie, kiedy wróg pociągnął za spust. Chłopak zeszytniał nagle w ramionach ukochanej i popatrzył na nią zamglonym wzrokiem i lekkim przerażeniem.

– Kocham cię. Rozwalcie ich... – wyszeptał przez zaciśnięte zęby i wyslizgując się z objęć Robi, powoli osunął się na ziemię.

Zdezorientowana agentka odruchowo złapała za broń i zaczęła strzelać. Nikogo jednak nie

było. Strzelec uciekł. Szybko padła na kolana obok swojego przyjaciela.

– Szymon! – pisnęła, potrząsając go za ramiona. – Szymon!

On jednak leżał nieruchomo, nieprzytomnie wpatrzony w sufit. Nie reagował. Nie oddychał. Nie ruszał się, nic nie mówił. Nie mogła w to uwierzyć. Leżała na jego piersi i szlochała. Przed chwilą byli szczęśliwi, w końcu wyznali sobie to, co skrywali przez tyle lat. I nagle jednym strzałem ktoś odebrał im wszystko. Po raz kolejny snajper, z pewnością Jerakov, odebrał jej kogoś bliskiego. Odebrał jej szczęście.

Położyła delikatnie dłoń na jego czole i jednym płynnym ruchem zamknęła mu oczy. Łzy spływały jej po policzku, nawet nie próbowała ich powstrzymać.

Chciała go ratować, ale wiedziała, że to i tak nic nie da. Było już za późno na cokolwiek. Nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciel odszedł. Nie chciała się z tym pogodzić. W głowie miała tylko jedną myśl. „Zemsta!” Po raz kolejny Jerakov, demon przeszłości, zabrał jej kogoś ważnego. Nie obchodziło jej nic, co działo się dookoła. Siedziała na ziemi, a Szymon leżał oparty o jej kolana tak, jakby spał. Cały czas gdzieś w głębi serca miała nadzieję, że agent zaraz się obudzi i nadal będą mogli działać razem tak, jak dawniej.

Gdzieś w tyle usłyszała kroki, które nagle ucichły. Poszeptywania i ciche westchnienia za jej plecami. Nie dbała o to, kto za nią był. Wszystko było jej obojętne, mogła nawet zginąć!

Ludzie za nią nie strzelali. Przeciwnie. Usłyszała stukot upuszczanego pistoletu. Ktoś wymamrotał niewyraźne „nie”. Nagle poczuła czyjś oddech na swoim karku.

– Robi – szepnął Net, kładąc rękę na jej ramieniu i odciągając ją lekko.

Ukląkł obok niej i objął ją ramieniem. Ona wtuliła się w niego, cicho szlochając. Nienawidziła łez, ale rozpacz była silniejsza. Cieszyła się z obecności przyjaciela. Rico, Kapral i chorąży stanęli na baczność i po raz ostatni zaszalutowali porucznikowi.

Stali tak przez pół godziny, patrząc przed siebie i starając się zapanować nad emocjami. Nic więcej nie mogli zrobić dla przyjaciela i jednego z dowódców. Warta honorowa wydawała im się najlepszym sposobem. Robi i Net cały ten czas klęczeli na ziemi wtuleni w siebie.

W końcu dotarł śmigłowiec ratunkowy i pod eskortą Franka zabrał ich do bazy.

Rozdział dwudziesty Otepienie i zwątpienie

Słońce dopiero pojawiło się nad horyzontem. Wstawał kolejny dzień, tak jakby nic się nie stało. Świat kręcił się nadal i nie było na to rady.

Robi siedziała przed namiotem i trzymając swój karabin na kolanach, patrzyła gdzieś w dal. W dłoni ścisnęła nieśmiertelniki Szymona Descante. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, wszystko wydawało jej się pozbawione sensu. Całą noc od powrotu z akcji aż do świtu czyściła nerwowo swoją broń, bo tylko to była w stanie teraz robić.

– Robi – szepnął nieśmiało Rico, siadając obok swojej dowódczyni. – Wszystko w porządku?

– Nie, Michał. Nic nie jest w porządku! Przecież wiesz...

– Wiem, przepraszam. Ja tylko chciałem...

– Wiem, wiem. Chciałeś pocieszyć. Niestety nikomu to się nie uda. Nie da się cofnąć czasu, on już nie wróci... Nigdy już nie pójdziemy razem na akcję – szepnęła, gładząc lunetę swojej snajperki. – To wszystko moja wina... Mogłam szybciej do niego pójść! Nie powinien tam iść sam!

– Ty miałaś siedzieć w śmigłowcu. To my odpowiadaliśmy za wzajemną ochronę. Staliśmy jak kołki zamiast pobiec za nim i go powstrzymać. Nie możesz się obwiniać...

Robi westchnęła głęboko i popatrzyła na Irbisa. Zerknęła smutno na dwie małe blaszki z wybitym:

*SZYMON
DESCANTE
94072895673
AB Rh- / AB NEG*

Na prawo od epigrafu zobaczyła orła i napis dookoła niego: „SIŁY ZBROJNE RP”. Przetarła słowa palcem i uśmiechnęła się przez łzy. Trzecia z blaszek różniła się od pozostałych. Była grubsza, prostokątna z zaokrąglonymi rogami. Wygrawerowany miała napis:

*KOD CZERWONY
721719753 / SD94
POLSKIE SIŁY SPECJALNE*

Obok wygrawerowany był symbol PAS-u, a pod nim małym drukiem: „ZAWSZE WIERNI, ZAWSZE OBECNI”.

Robi otarła łzy z policzka i mocno ścisnęła blaszki w dłoni. Znów zerknęła na snajpera, który wciąż był obok niej.

– Gdzie reszta? – zapytała.

– Uspokajają lekarza. Próbują mu wmówić, że wcale tak dużo nie biegałaś. Trochę

narzeka na to, że znów musiał cię wczoraj łątać. Chciał cię nawet uziemić, bo twierdzi, że przy twoim uporze ta rana nigdy się nie zagoi.

– Ehm, mam gdzieś lekarza! Muszę dorwać Jerakova. Nie spocznię, póki on chodzi po tej ziemi.

– Dorwiemy go.

– Nie. Nie dorwiemy. Ja dorwę. Sama.

– Ale...

– Rico, ty tego nie zrozumiesz. Po prostu zostałam agentem po to, by chronić ludzi przed takimi jak on. Służyć ojczyźnie i tak dalej... Ale wiesz, po co zostałam snajperem?

– Bo tylko snajper może się zmierzyć z innym snajperem?

– Yhym. Mniej więcej o to chodzi.

Znów westchnęła i popatrzyła przed siebie. Zza jednego z kontenerów wyłoniła się dobrze jej znana postać w zielonym mundurze z białą opaską z czerwonym krzyżem na ramieniu. Lekarz szedł w ich stronę i Robi dobrze wiedziała, co jest tego przyczyną. Nie miała najmniejszej ochoty z nim teraz rozmawiać.

– Pogadamy później, Rico. Pozdrów Kappę i resztę. Jakby co, mnie tu nie było – mruknęła i odbiegła gdzieś na bok.

Nareszcie znów była sama. Tylko ona i jej karabin wiszący na ramieniu. Szła przez bazę, mijając żołnierzy, którzy patrzyli na nią i poszeptywali coś między sobą. Wszyscy dobrze wiedzieli, co stało się tej nocy. Złe wieści zawsze szybko się rozchodzą.

Chciała uciec stamtąd jak najszybciej, gdzieś poza granice bazy. Gdzie nikt jej nie znajdzie.

Zakradła się do bramy i jak gdyby nigdy nic przeszła przed wartownikami. Już miała wyjść na zewnątrz, gdy usłyszała wołanie za plecami. Odwróciła się i zobaczyła zmierzającego w jej stronę Kapitana. Przewróciła oczami i westchnęła. Miała nadzieję, że skoro ośmielił się ją zatrzymać, ma dla niej jakieś zadanie, jakąś akcję, która pozwoli zapomnieć o tym wszystkim.

– Robi... dobrze, że cię znalazłem.

– To coś ważnego? Właśnie miałam... Iść... Gdzieś.

– Chodź ze mną do mojego gabinetu. Chciałbym porozmawiać.

Zrezygnowana agentka pokręciła głową i ruszyła w stronę dowódcy. To było niesamowite, że nagle każdy chciał z nią o czymś rozmawiać. Rico, lekarz, teraz on. Była ciekawa, czy Net jako drugi z najbliższych przyjaciół Szymona też znalazł się pod takim ostrzałem pytań i rozmów.

Ruszyli powoli przed siebie w stronę szarozółtego, niskiego budynku. Weszli do biura, a Kapitan zamknął drzwi.

– Usiądź – poprosił, wskazując na krzesło stojące przy biurku.

– Postoję.

– Robi, wiem, jak ciężka jest dla was sytuacja. Rozmawiałem już dzisiaj z Netem.

To ją pocieszyło. Jej przyjaciel przechodził przez to samo, nie była jedyna! Skrzyżowała ramiona i patrząc uważnie na dowódcę, czekała na kazanie, którego się spodziewała.

– To dość nietypowe jak na wojskowego, ale... Martwię się o was. Trochę wiem o PAS-ie. Nawet kiedyś chciałem być Irbisem, wiesz? Nie zdałem testu praktycznego – zaśmiał się Kapitan, próbując rozładować napięcie. – Krótko was znam osobiście, ale jesteście najmniej typową jednostką, jaką znam. I najlepszą, z jaką przyszło mi współpracować. Szymon był bohaterem i nie zginął na marne. Dzięki tej akcji ostatecznie pokonamy Naskisów. Nie wiem,

czy wiecie, ale wasza piątka przeszła do legendy w Polsce. Dyrektor powiedział, że jesteście na ustach wszystkich agentów, a cała agencja na ustach wszystkich polskich sił zbrojnych.

Robi stała w bezruchu i nie reagowała na nic, co mówił dowódca. Słuchała go, ale nic do niej nie docierało. Cały czas miała przed oczami rannego Szymona, który konał w jej objęciach. Miała ochotę wstać i wyjść, ale wiedziała, że nie może tego zrobić.

– Moim zdaniem powinniście wrócić do Polski. Wszystko jest tu już zakończone. My zajmujemy się formalnościami.

– Proszę wybaczyć, ale ja nigdzie się nie wybieram. Chcę zostać do końca. Zostałam tu wysłana na misję i ją dokończę.

– Jak chcesz. W takim razie to chyba wszystko...

Robi wstała, stanęła na baczność i zaszalutowała. Odwróciła się na pięcie i wyszła jak najszybciej mogła. Wybiegła na zewnątrz i od razu skierowała się w stronę bramy. Po raz kolejny już dzisiaj minęła wartowników i w końcu stanęła poza granicami bazy. Poczowała się dziwnie wolna i od razu szybkim krokiem ruszyła w stronę wybrzeża.

Maszerowała przez łąkę, tępo wpatrując się w czubki swoich wojskowych butów. Wczoraj z uporem maniaka przez godzinę próbowała zmyć z nich błoto i krew jej przyjaciela.

Miała dosyć bazy, misji, Rosji, terrorystów, wszystkiego. Chciała wrócić do domu, chciała, żeby było jak dawniej. Jedna tylko rzecz sprawiała, że nie chciała i nie mogła stąd wyjeżdżać. Miała karabin, śmiertelnego wroga i sprawę do załatwienia.

Obawiała się starcia z Antonem. Dużo się o nim mówiło w kręgu snajperów. Jego matka była Polką, jego ojciec Hiszpanem. Jako młodzieniec służył w armii, ale nie umiał się dostosować i podporządkować rozkazom. Wywalili go na bruk i z tego powodu się zbuntował. Wyjechał na Syberię, gdzie zahartował się na prawdziwego twardziela. Nigdy nie stracił umiejętności nabytych w różnych jednostkach Europy. Kiedyś przygarnął go Krystian Bore i uczynił z niego terrorystę. Jako Delikowiec Jerakov naraził się Robi po raz pierwszy. Strzelił wtedy w ładunek wybuchowy i wysadził parking, pod gruzami którego zginęli jej rodzice. Potem przez całą jej służbę w PAS-ie przewijał się jako złowrogi cień. Później, już w Rosji, strzelał do jej przyjaciół, do niej i w końcu z zimną krwią zabił Szymona.

Dotarła na wybrzeże i usiadła na jednym z kamieni. Słońce schowało się za szarymi chmurami i zerwał się lekki, ale nieprzyjemnie chłodny wiatr. Podkurczyła nogi i objęła je rękoma. Oparła brodę na kolanach i patrzyła, jak powiewy marszczą tafle wody.

Przypomniało jej się, jak razem z Kappą, Szymonem i Netem przyszła tu szukać jaszczurek. Zaśmiała się pod nosem na samą tę myśl. Nagle pojawiły się wspomnienia z magazynu, kiedy dwa lata temu ratowali Darka. Descante uratował jej wtedy życie i to niejednokrotnie. Rok później nawzajem podejrzewali się o zdradę i mało brakowało, by nawzajem się pozabijali. Nadal miała bliznę na ręce, którą pozostawiła po sobie kula wystrzelona przez jej przyjaciela.

Siedziała tak i wpatrywała się tępo w dal. Na chmury, fale i ptaki latające nad wodą.

– Robi?! – usłyszała cichy, przerywany zakłóceniami głos Neta dochodzący z krótkofalówki. – Robi, gdzie jesteś?!

Dziewczyna popatrzyła na małą krótkofalówkę przypiętą do paska. Ani chwili spokoju! Złapała za nią i wypięła. Przekręciła jedno z pokręteł, a mała czerwona lampka zgasła. Wszelkie szумы, wołania ucichły. Mogła nadal siedzieć spokojnie i wsłuchiwać się w szum morza.

– Robi! – krzyknął ktoś z tyłu i po chwili padł na nią i mocno przytulił. – Myśleliśmy, że

już po tobie! Nie powiedziałaś, dokąd idziesz! Robi, nie rób mi tego więcej! Proszę!

– Net! – pisnęła dziewczyna. – Co ty... – Zerknęła do tyłu i zobaczyła trójkę Irbisów. – Co wy... tu robicie?

– Wywoływałeś cię pięć godzin temu krótkofalówką! Nie odpowiadałaś! – syknął Rico, siląc się na spokojny ton.

– Wyłączyłam ją. Człowiek czasem chce побыć sam.

– Dowódca jest wściekły – szepnął Grape, wychylając się zza Węgra.

– Średnio mnie dowódca obchodzi – syknęła Robi, wrzucając kamyk do wody.

– Chodź do bazy – poprosił Net, ciągnąc ją za rękę.

Niechętnie się zgodziła i powolnym krokiem ruszyła za przyjaciółmi. Najchętniej zostałaaby tutaj i rozmyślała nadal, ale w starciu z trójką snajperów i agentem liniowym nawet ona nie miała szans.

Wrócili do bazy i od razu udali się do stołówki. Za wszelką cenę chcieli uniknąć spotkania z Kapitanem. Na obiad była jakaś szara breja, która niezmiennie przyprawiała agentów o mdłości. Zjedli ją z trudem, a potem jak zwykle sięgnęli do tajnych zapasów, które powoli się już wyczerpywały.

Franek cały dzień przesiedział w śmigłowcu razem ze swoją drużyną i miał kategoryczny zakaz lotów z powodu stanu psychicznego całej załogi. Alan po raz pierwszy od dłuższego czasu pracował. Analizował dokumenty i pliki znalezione w czasie ostatnich akcji, także akcji wojska, w których agenci nie brali udziału. Snajperzy i liniowcy z PAS-u mieli tego dnia wolne. Tak zarządzili Kapitan oraz psycholog.

Kiedy zapadła noc, wszyscy położyli się, ale nie mogli zasnąć. Robi siedziała na swoim łóżku i wpatrywała się w gwiazdy na niebie, które raz po raz znikwały za małymi chmurami. Cały czas miała przed oczami chwile spędzone z Szymonem.

Nagle gdzieś przy płocie zauważyła ruch. Ktoś tam był i bardzo nie chciał zostać zauważony. Wyteńczyła wzrok, ale jej cel schował się za krzakiem. Nie czekając, zerwała się na nogi, złapała swój pistolet i cichutko na palcach wybiegła na zewnątrz. Nigdzie nie paliły się żadne światła, jedynie księżyc rozjaśniał ciemność nocy.

Podkrađa się w pobliże ogrodzenia i przykucnęła za jedną ze skrzynek przy namiocie gastronomicznym. Wychyliła się lekko zza niej i uważnie przyjrzała zarośłom, w których zniknął tajemniczy gość.

Po chwili postać wybiegła pochyłona z ukrycia i szybko zaczęła się zbliżać do bazy. Robi poczekała na odpowiedni moment.

– Stój! Stój, bo strzelam! – syknęła, wybiegając zza skrzyni i unosząc broń.

Gość zatrzymał się gwałtownie i prawie wpadł na ogrodzenie.

– Nie strzelaj. Proszę. Nie mam złych zamiarów, chcę pomóc! – pisnął przerażony.

Był to wysoki, szczupły i młody chłopak. Miał jasnobrązowe włosy i złote oczy, które wydawały jej się dziwnie znajome. Podobny był do jej śmiertelnego wroga, Antona, ale oczywiście nim nie był. Znała go. Widziała go kiedyś. Miała wrażenie, że jakiś czas temu obserwowała go przez lunetę karabinu, że miała go na celowniku.

– Czego tu chcesz? – zapytała, nadal nie opuszczając broni.

– Chcę spłacić swój dług. Jesteś Robi, prawda? Dużo się u nas o tobie mówi. Darowałaś mi życie.

– Co? – zdziwiła się agentka, próbując sobie wszystko przypomnieć.

– Strzeliłaś w gałąź zamiast w moją głowę. Widziałem, co wyczyniałaś z karabinem na

innych akcjach. Ty nie chybiłaś, ty to zrobiłaś specjalnie. Dziękuję.

Teraz wszystko stało się jasne. Chłopak był tym młodym, przerażonym snajperem w czasie pierwszej akcji. Był jednym z terrorystów, jednym z morderców.

– Odejdź stąd – wycedziła przez zęby.

– Mam informacje.

– Jesteś jednym z nich! – warknęła.

– Mam dosyć tego, co robi mój ojciec! Mam dosyć walk i zabijania. Ja nie jestem taki jak oni. Przyszedłem tutaj, żeby was ostrzec. Mój ojciec chce powtórzyć coś, co, jak stwierdził, zdenerwuje cię. Nie wiem do końca co. Poza tym macie szpiega.

– Żadna niespodzianka. Już go dopadliśmy – prychnęła, patrząc na chłopaka podejrzliwie.

– Nie chodzi o pułkownika. Drugiego. Widziałem wyraźnie granatowo-czarny mundur. To on odciągnął tego porucznika w zasadzkę. Miałś za nim pobiec, ale mój ojciec w ostatniej chwili spanikował, gdy zaczęłaś strzelać. Ty też miałaś wczoraj zginąć.

– Zaraz, zaraz. „Ojciec”? Jesteś synem Antona?!

– Yyy... No tak.

– Dlaczego mam ci uwierzyć?!

– Dla dobra agentów i własnego. Ja naprawdę chcę pomóc. Przyszedłem tu nieuzbrojony – mruknął i uniósł ręce, uśmiechając się lekko. – Mój ojciec chce cię dorwać, jest na ciebie cięty jak nigdy dotąd. Odstrzeliłaś mu pół ucha! I to dwa razy!

– Ale...

– Uwierz mi. Musicie uważać! Mówię prawdę.

– Dobra. Niech będzie. Sprawdzę to. Dziękuję. Idź już! Jeśli ktokolwiek nas zobaczy... Zaczyna strzelać! – syknęła nastolatka, nerwowo rozglądając się dookoła.

– Dziękuję. Uważaj.

– Wiew, póki nie strzelam!

– Do widzenia.

Chłopak uciekł szybkim sprintem i zniknął za horyzontem. Robi śledziła go wzrokiem i dopiero gdy straciła go z oczu, schowała broń. Powolnym krokiem wróciła do swojego zacisznego kącika odgrodzonego od chłopaków prowizoryczną zasłonką. Usiadła na łóżku, ale nie mogła zasnąć. Cały czas myślała o słowach chłopaka.

Kiedy tylko wzeszło słońce, obudziła zaspanego Alana i zaciągnęła go do namiotu. Posadziła przy stole, postawiła mu laptopa pod nosem i kazała myśleć.

– To ważne. Kto mógłby być szpiegiem? Kto z PAS-u zniknął przedwczoraj z bazy, mimo że nie było go z nami? No kto, myśl, Świder, myśl... Proszę!

– Mogę chociaż wiedzieć, o co chodzi? – zapytał informatyk, leniwie przecierając oczy.

– Z pewnego źródła wiem, że pułkownik nie był jedynym szpiegiem wśród nas. Ktoś z agentów też zdradził. Na naszą piątkę nie stawiam. Wszystkie moje Irbisy zawsze chodzą ze mną, a jeśli nie, to mają alibi, sprawdziłam to w nocy.

– Dziewczyno... Czy ty w ogóle sypiasz? Wory pod oczami, upór maniaka i obłąd w oczach. Jeszcze trochę, a zamienisz się w sowę.

– Alan, to nie czas na żarty. Muszę wiedzieć wszystko o agentach w czasie misji, na której zginął Szymon. Co robili, gdzie byli i kto ich widział. Wojsko też sprawdź. *Please...*

– Dobra. Pod jednym warunkiem – mruknął Świder, a Robi popatrzyła na niego pytająco. – Pójdiesz do kontenera i się zdrzemniesz. Jasne?

– Ehm – z poirytowaniem przewróciła oczami – niech będzie.

Odwróciła się na pięcie i wyszła. Nie chciało jej się spać, chciała działać, coś robić. W głowie kołatały się jej wiecznie te same myśli.

Świder miał rację, musiała odpocząć. Nie miała pojęcia, czy uda jej się choć na moment zasnąć, ale w całej tej sytuacji był jeden plus. W jej zaciszu nikt nie zawracałby jej głowy. Mogłaby pomyśleć. Postanowiła z tego skorzystać.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Księżniczka i potwór

Stała na wybrzeżu i patrzyła, jak Szymon brodzi w wodzie po kolana i szuka dla niej muszelek. Słońce świeciło im nad głowami, a po błękitnym niebie przesuwały się pojedyncze białe chmurki. Wszystko było takie ciche i spokojne. Z dala od strzałów, walk i wybuchów. Podeszedł do niej i usiadł naprzeciwko. Siedzieli tak jakiś czas, wpatrzeni w siebie. Jej błysk w oku, jego szelmowski uśmiech. Trafieni zbłąkaną strzałą kupidy, w zacisznej oazie pośrodku piekła.

Nagle wiatr się wzmógł, a potężne fale zaczęły wdzierać się w głąb lądu. Jedna z nich zalała dwójkę agentów, a kiedy woda odpłynęła, Robi została na brzegu sama. Zrozpaczona zaczęła wołać swojego przyjaciela, ale nikt jej nie odpowiadał. Zniknął. Przepadł bez śladu. Gdzieś w tle, w oddali, usłyszała szydery śmiech Jerakova...

– Robi! – zawołał ktoś, potrząsając nią lekko za ramiona.

Zerwała się na równe nogi i jedną ręką odepchnęła napastnika. Drugą sięgnęła do kabury przyczepionej do paska i wyciągnęła broń. Rozejrzała się dookoła.

Stała zdyszana na swoim łóżku, a wokół niej zgromadziły się Irbisy razem z Netem i Frankiem. Na ziemi leżał zszokowany i lekko przerażony Alan, którego miała na celowniku.

– Robi, to tylko sen – szepnął Rico, delikatnie wyciągając jej z rąk pistolet. – Spokojnie...

Zrezygnowana agentka opadła na łóżko i ukryła się pod kołdrą.

– Może to zły moment, ale... Sprawdziłem tych agentów. Tak jak chciałaś – szepnął nieśmiało Świder, powoli wstając z podłogi.

– Nie, jest okej! – zawołała, podrywając się znów do góry. – Mów, ja słucham!

Zahaczyła nogą o kołdrę i straciła równowagę. Poleciała prosto na Świdra i razem znów runęli na ziemię.

– No więc... Jeden z agentów Szymona zniknął gdzieś wtedy. White czy jakoś tak.

– A to gnój – warknęła Robi. – On był zawsze taki ciekawy świata. Co za...

– Robi, wyluzuj – mruknął Net. – Może to zbieg okoliczności?

– Nie wiem. Nieważne. Idę z nim pogadać – syknęła, po czym, widząc, że Rico i Net ruszają za nią, dodała: – Idę tam sama.

Wyszła na zewnątrz i ruszyła w stronę namiotu podoficerów PAS-u. Miała zamiar zgarnąć White'a gdzieś na bok i wypytać. Nie mogła do końca ufać synowi terrorysty, skoro chodziło o agenta.

Nagle gdzieś przy pasku usłyszała ciche charczenie. Spojrzała w dół. Ktoś znów próbował porozumieć się przez krótkofalówkę.

– Damon na Echo4, Damon na Echo4 – odezwał się zniekształcony, nieznajomy głos.

Agentka zatrzymała się i rozejrzała dookoła. Nikt nie zareagował na wołania.

– Damon na Echo4! – odezwał się ponownie głos.

Z czystej ciekawości złapała za krótkofalówkę i przełączyła się na odpowiednią częstotliwość.

– Jestem – mruknęła, mając nadzieję, że zaraz wszystko się wyjaśni.

– Mądra decyzja, księżniczko – szepnął młody, gruby głos przepełniony ironią i sarkazmem. – Musimy porozmawiać. Chyba wiesz, kim jestem.

Robi zmarszczyła brwi i mimowolnie zacisnęła pięści. Wiedziała, z kim rozmawia. Ze swoim największym wrogiem. Człowiekiem, którego nienawidziła już od tylu lat. Z największą bestią, jaką знаła. Z potworem!

– Skąd znasz nasze częstotliwości? – mruknęła, przeczesując włosy palcami.

– Od życzliwego koleżki twojego Szymcia. Podziękuj mu ode mnie.

– Zamknij się.

– Co tak ostro, słoneczko? Co tam u Fisherka? Oj, no tak. Niech mu ziemia lekką będzie. To niska cena jak na to, co ten zabijaka zrobił z moimi oddziałami. Nowa Ziemia... Mieliście przegrać, a pokonaliście tylu moich ludzi! Należało wam się. Wszyscy jesteście siebie warci. Obrona ojczyzny, pomoc uciśnionym, ratowanie biednych, nieudolnych cywilów. Jesteście tacy dobrzy i świetni. Ktoś musi być zły, żeby takich jak wy wybić do zera. Świat nie potrzebuje bohaterów. W sumie powinnaś być mi wdzięczna. Rodzice z wozu, dzieciakowi lżej. Ehm, jesteś taka jak oni. Dla jakiegoś głupiego, wyszywanego orzełka i biało-czerwonego skrawka materiału jesteś w stanie poświęcić nawet życie. Patriotyzm, tak to się powinno nazywać. Płacą wam marne grosze za nadstawianie karku.

– Służba ojczyźnie to zaszczyt, a nie licytacja! – warknęła cicho, ściskając krótkofalówkę tak mocno, jakby chciała ją rozgnieść.

– Och, oczywiście. Wmawiaj to sobie. Pranie mózgu. Pieprzenie głupot. Teraz liczy się kasa. Liczy się zysk. Nikt normalny nie patrzy już na wartości takie, jak honor, ojczyzna. Obudź się i wróć ze swojej cudownej krainy, gdzie każdy w razie potrzeby stanie w obronie ojczyzny. Pogódź się z tym, że każdy woli ratować swój tyłek. Albo jesteś z nami, albo mamy cię na celowniku. Tylko głupcy próbują to zmienić. Tacy jak wy.

Zamilkł na chwilę, czekając, aż Robi wybuchnie i zacznie coś mówić. Ona tymczasem stała z zamkniętymi oczami i próbowała się uspokoić. Znała terrorystów. Ich celem zawsze było sprawienie, by rozmówca albo negocjator stracił kontrolę nad sytuacją. Nie mogła przestać nad sobą panować.

– Wiesz, że historia lubi się powtarzać? Gdzieś w okolicy... może w miasteczku... może w bazie. Gdzieś jest ładunek wybuchowy. Może jeden, może dwa. Karabin mam nabity. Jeden strzał, setki ofiar. To się nazywa skuteczność! Mówi ci to coś, kwiatuszku? – zarechotał Anton.

– Ty cholerny lajdaku. Jak możesz!

– Dość tych komplementów. Masz dwie godziny. Chcę cię widzieć samą w okolicach Kaspjkiego miasteczka, czy jak wy je tam nazywacie. Zapewne wiesz, o co chodzi. Jeśli ktoś będzie z tobą, zginie. Jeśli się nie pojawiysz... Agentów, żołnierzy i cywilów z któregoś miasta na wybrzeżu spotka podobny los, co twoich żalonych rodziców. Czekam.

Krótkofalówka zatrzeszczała krótko i wszystko ucichło. Robi stała w bezruchu i patrzyła gdzieś w dal. Jej nienawiść do Jerakova rosła z każdą chwilą. Była też wściekła na White'a, który zdradził PAS i Szymona. Miała dwie godziny. Postanowiła nie marnować czasu.

Ruszyła biegiem w stronę namiotu. Wpadła do środka i zatrzymała się tuż przed biurkiem. Wszyscy siedzieli razem i na widok Robi nagle umilkli. Wpatrywali się w nią niepewnie i czekali na jakieś przemówienie.

– Zgarnijcie White'a – wymamrotała. – Ja... Ja muszę coś załatwić.

– Ale... – zaczął Net, ale robi machnęła ręką na znak, że ma być cicho.

– Aresztujcie go i nic więcej – mruknęła i wyszła.

Pobiegła do kontenera i spod łóżka wyciągnęła czarną walizkę. Ustawiła pokręta w odpowiedniej kolejności i otworzyła zamek. Jej oczom ukazała się jej luneta. Najnowszy wynalazek Kuby, który dostała tuż przed wyjazdem do Rosji. Niestety wszystkie jej najświeższe funkcje dotyczyły misji nocnych. Musiała jej jednak użyć, gdyż po trudach dwóch ostatnich misji jej poprzednia była uszkodzona.

Złapała za swój karabin i zaczęła nową lunetę, która przy zakurzonej i wysłużonej broni wyglądała tak świeżo i elegancko.

Popatrzyła smutno na łóżka swoich przyjaciół, na łóżko Szymona. Stało puste, starannie zaścielone. W poduszkę wbito jego odznakę, by upamiętnić jego obecność w tym miejscu. Nie mogła pozwolić, by Descante zginął na marne.

Wybiegła na zewnątrz. Zaraz za drzwiami wpadła na Neta.

– Po co ci karabin?! – pisnął przerażony chłopak. – Chyba nie chcesz strzelać do White’a?! Miałas tylko porozmawiać.

– Co? – zdziwiła się Robi, ale po krótkiej chwili zrozumiała, o co chodziło jej przyjacielowi. – Spokojnie. To tylko tak... Na wszelki wypadek.

– Co zrobić z White’em?

– Aresztowaliście go już? Zamknijcie go gdzieś i postawcie straż. Zawiadomcie dowództwo.

– A ty?

– Ja mam pewną sprawę do wyjaśnienia.

– Chcę iść z tobą!

– Nie możesz. To sprawa moja i... I kogoś. Nieważne. Cokolwiek by się nie działo, muszę to zrobić sama.

Net popatrzył na nią podejrzliwie, a potem zerknął na jej karabin. Pokojarzył fakty i ze zgrozą jeszcze raz popatrzył jej w oczy.

– Jerakov?! Tak? Chcesz się wystawić mu jak na talerzu?! Może jeszcze przyklej sobie karteczkę: „tu jestem, zastrzel mnie”! Robi, nie rób głupot!

– Nie o niego chodzi – warknęła agentka, ruszając szybkim krokiem w stronę bramy. – Mam mały zwiad do wykonania. Jasne?

– Jasne – mruknął Net, ale po jego minie widać było, że nie do końca wierzy przyjaciółce.

– Wracam najpóźniej za dwie godziny. Niecałe. Wystawcie snajperów na wartę. Tak na wszelki wypadek.

Podeszła do granatowego jeepa i wrzuciła karabin na przednie siedzenie pasażera. Usiadła za kierownicą i wzięła głęboki oddech. Uśmiechnęła się do Neta i ruszyła.

Wyjechała z bazy i pognęła w stronę miasteczka, które wśród agentów znane było jako Kaspijskie.

Po niebie przetaczały się coraz grubsze ciemne chmury. Wiał nieprzyjemny, chłodny i silny wiatr. Silnik samochodu warczał cicho, gdy Robi gnała pełną drogą, dociskając gaz do dechy.

Gdy tylko dojechała do granic miasta, odbiła w prawo, na wschód, w stronę wybrzeża, i zaparkowała pod jakimś drzewem. Złapała za swój karabin i hełm, a potem pobiegła na zachód, by jak najbardziej zmylić Jerakova, w razie gdyby zauważył granatową terenówkę, która w tych okolicznościach niefortunnie mocno kojarzyła się z PAS-em.

Cywile też niestety kojarzyli już granatowy mundur. Agenci w tym miasteczku pojawiali

się stosunkowo często i już parę razy ratowali mieszkańców z opresji. Kiedy Robi biegła ulicami miasta, wszyscy oglądali się za nią z podziwem. Złota odznaka Irbisów lśniła na jej czarnym t-shircie, a rozpięta granatowo-czarna koszula powiewała na wietrze. Przekrzywiony hełm z rozpiętym paskiem podskakiwał na głowie w rytm jej kroków. W rękach mocno ścisnęła swój karabin, przy kolbie którego dzwoniły nieśmiertelniki Szymka.

Miała godzinę. Zatrzymała się przy ostatnim z budynków i przywarła do ściany. Rozejrzała się dookoła, ale nic nie rzuciło jej się w oczy. Tereny wokół miasteczka zdawały się spokojne. Wśród krzaków i zarośli przemykały tylko zwierzęta i ptaki.

– Jesteś tu? Czy cię nie ma? – mruknęła pod nosem Robi.

Nie chciała zostać zauważona. Dużą częścią snajperskich potyczek jest maskowanie, to wie każdy. Nie przyszła tu po to, by poświęcić swe życie dla dobra ojczyzny czy coś. Owszem, przyszła tu, by nie dopuścić do powtórki z parkingu, ale gdyby dała się zabić, nie zostałby już nikt, kto powstrzymałby Antona. Cel misji był jasny i nie ma się co spierać. Musiała Jerakova pokonać. Ostatecznie. Niekoniecznie jej to odpowiadało, była przecież jedyna w swoim rodzaju. Była snajperem, który zamiast zabić, wolał zestrzelić kogoś na głowę gałąź, puszkę albo cokolwiek innego, co by go nie zabiło, a ogłuszyło. W przypadku zagrożenia życia oczywiście nie wahała się pociągnąć za spust i tak też miało być tym razem.

Poprawiła hełm i położyła się na ziemi wśród traw. Zostało jej czterdzieści minut. Zaczęła powoli czołgać się na zachód. Cały czas starała się przeliczać moc wiatru, wilgotność i uwzględniać słabszą widoczność.

Po raz kolejny przeklinała swój granatowy mundur i hełm, które nijak nie wpasowywały się w zarośla. Żałowała, że w pośpiechu i roztargnieniu nie zabrała nic maskującego. Jedynie na lufie miała pozostałości źdźbeł suchej trawy z Nowej Ziemi. W końcu znalazła sobie odpowiednie miejsce. Rozłożyła statyw karabinu i położyła się z nim płasko na ziemi. Zostało dziesięć minut.

Przeczesała wzrokiem teren przed sobą, ale nie łudziła się zbyt, że uda jej się znaleźć cel. Mieli być w okolicy miasteczka, czyli Anton mógł być wszędzie. Dla snajpera pojęcie „blisko” lub „w okolicy” ma mocno zmienione znaczenie.

– Tik tak, tik tak – usłyszała charczący głos w swoich słuchawkach. – Czas leci, a za chwilę miasteczko w powietrze wyleci.

– Cicho bądź, skąd wiesz, że wyleci? Może tu jestem?

– Udowodnij. Co trzyma w pysku metalowy lew na wieży?

Robi odwróciła się powoli w stronę miasta. Iglicę wieżyczki w centrum miasta zdobił miedziany lew trzymający w zębach miecz. Z miejsca, w którym leżała, było go świetnie widać. Już miała odpowiedzieć, ale w porę się zreflektowała. Gdyby powiedziała prawdę, Jerakov zdobyłby cenną informację. Wiedzieliby, po której stronie może się spodziewać swojej przeciwniczki. Na lwie wylądował gołąb, nie można było tego nie wykorzystać.

– Pyska nie widzę – skłamała. – Ale przed sekundą wylądował na nim gołąb. I skubie sobie piórka – mruknęła, obserwując ptaka.

– Hmm, czyli jesteś. Myślałem, że stchórzysz, koteczku.

Robi wzdrygnęła się na „koteczku” z ust tego potwora, ale zaraz uśmiechnęła się z satysfakcją. Zastanawiała się, jak może zlokalizować wroga. Nie widziała go, lwa mógł sprawdzić wcześniej, więc niekoniecznie musiał teraz widzieć jego pysk. W głowie odtwarzała sobie wszystkie szkolenia, te, w których uczestniczyła, jak i te, które prowadziła. Wpadła na pewien pomysł.

– Ja nigdy nie tchórzę. Czemu sądziłeś, że teraz to zrobię?

– W sumie to to zrobiłaś. Skoro cię zabiję, nikt cię nie obwini o to, że z twojej winy baza i miasto wyleciały w powietrze. No i nie będziesz miała wyrzutów sumienia. Jesteś taka naiwna. Wierzysz w bohaterów, którzy poświęcają swe życie, ratując innych. Wierzysz też, że twoja „ofiara” kogokolwiek ocali. Żałosne.

On mówił, a ona uważnie się przysłuchiwała. Nie zwracała uwagi na jego słowa, a na zakłócenia. Tyle lat spędziła na akcjach, na których podstawą do synchronizacji zespołów była komunikacja. Niektóre dźwięki różniły się od reszty i mogły zdradzić najlepiej maskującego się snajpera.

Raz po raz szумы wzmagaly się i słabły, odpowiadając mniej więcej podmuchom wiatru. Były dość silne, więc wiatr musiał wiać wprost na mikrofon. Anton zawsze trzymał broń w lewej ręce, teraz pewnie też. Skoro lewą miał zajętą, to krótkofalówkę musiał mieć w prawej. Wiatr wiał z północy. Z tego wynikało, że Jerakov powinien być gdzieś między miasteczkiem a górami.

Miała nadzieję, że odległość między nimi nie przekroczy tysiąca ośmiuset metrów. Strzelanie na większe odległości nigdy nie było jej potrzebne i nie miała pojęcia, czy da sobie radę. Wbrew temu, co mówili inni agenci, wcale nie uważała się za świetnego snajpera.

Odwróciła się na zachód i zaczęła uważnie przeszukiwać teren. Po głowie kręciły jej się różne myśli. Gdzieś tam czyhał najlepszy snajper, o jakim słyszała. Trafiał w pudełka zapalek z odległości prawie dwóch kilometrów!

– Możesz ukrywać się wśród traw, ale ja i tak cię znajdę. Jednak, zanim to zrobię... mam dla ciebie niespodziankę. Spójrz na południowy kraniec miasta.

Robi odwróciła ostrożnie głowę, starając się nie wykonywać zbyt gwałtownych i widocznych ruchów.

Zobaczyła młodego i zdezorientowanego chłopaka. Od razu go poznała. To z nim rozmawiała w nocy na temat White'a. Był to syn Antona.

– I co niby tam jest? – zapytała, udając zdziwioną.

– Chłopak. Twój dobry kumpel, prawda?

– Kto? Ten dzieciak z piłką? – zapytała, patrząc na jakiegoś malca odbijającego piłkę od ściany.

– Nie udawaj. Znasz Igora. Mojego synka. Widzieliście się wczoraj. Był na tyle uprzejmy, żeby cię ostrzec w temacie White'a.

– W nocy śpię. Nie gadam z terrorystami.

– Nie kłam. Założyłem mu podsłuch, o którym nie wiedział. Zdradził mnie! – syknął snajper, a w tle było słycać, jak ładuje broń. – Tak kończą ci, którzy ze mną zadzierają.

Robi otworzyła szeroko oczy z przerażenia. Wpatrywała się w chłopaka i miała nadzieję, że za chwilę zniknie gdzieś za rogiem, że ucieknie. Miała bardzo złe przecucia.

Nagle w słuchawkach usłyszała strzał, a po około czterech sekundach chłopak padł martwy, zostawiając po sobie krwawą plamę na ścianie. Ulepszony Barrett Jerakova jak zwykle nie oszczędzał celu...

– Ty łajdaku. Żeby tak własnego syna! – syknęła agentka, próbując wymazać z pamięci ten obraz. – Jakim to trzeba być potworem!

Snajperka Antona była zabójczą bronią, która siała spustoszenie i nie zostawiała po sobie nic oprócz marnych szczątków trafionego. Robi popatrzyła z nadzieją na swojego wysłużonego, wiernego Predatora. Tyle lat z nim spędziła. Technik Jakub robił wszystko, by ulepszyć go do

granic możliwości. Miała nową lunetę, podświetlany krzyż celowniczy i zredukowany odrzut po strzale. Karabin był świetny, ale ona po prostu nie wierzyła w swoje szanse. Była snajperem o co najmniej cztery lata krócej niż Jerakov. Mniej doświadczona.

Ze śmierci Igora wyniknęła jedyna pozytywna rzecz. Anton popełnił dość rażący błąd jak na światowej klasy snajpera. Kula trafiła chłopaka między oczy od przodu, ale leciała lekko z jego prawej. To idealne dane, które pomogły Robi namierzyć przeciwnika.

W końcu zobaczyła go na swoim celowniku. Leżał w trawie i przeszukiwał okolicę, w której się znajdowała. Jeszcze jej nie widział. Miała przewagę. Położyła palec na spust, ale nie mogła strzelić.

Wiatr bez przerwy się zmieniał, a na oko odległość między nimi była znaczna. Po niebie nadal przetaczały się ciężkie, prawie czarne chmury. Powoli robiło się też ciemno. Ulewa wisiała w powietrzu, a burza mogła rozpętać się w każdej chwili. Nie było warunków do strzału, a musiała jeszcze obliczyć dokładną odległość. Nie miała wyboru. Musiała czekać.

– Mam cię, księżniczko! – krzyknął uradowany Anton.

Uśmiechnął się złośliwie. Był bardzo pewny siebie. Robi w końcu wyliczyła odległość. O mało nie upuściła karabinu. Wynik jej obliczeń ją przeraził. Dzieliło ich dwa tysiące trzysta dwadzieścia jeden metrów. To przerastało Robi o jakieś pół kilometra. Miała ochotę rozplakać się i odejść, ale wiedziała, że nie może tego zrobić.

– Szymon, pomóż mi, stary... – wyszeptła zrozpaczona, zerkając na nieśmiertelniki przyjaciela wiszące na sznurkach oplątanych dookoła kolby jej karabinu.

– Chyba strach cię obleciał – zaśmiał się Jerakov, a w jego głosie czuć było ironię.

– Chciałbyś, co? – zaśmiała się agentka, starając się mówić spokojnym głosem i nie okazywać strachu.

Leżeli tak naprzeciwko siebie. Snajper kontra snajper. Oko w oko. Oddaleni od siebie o grubo ponad dwa kilometry. Oboje chcieli żyć i pragnęli śmierci rywala.

Kto pierwszy strzeli? Kto mrugnie? Kto okaże słabość? Kto jest bardziej skupiony? Tu nie było miejsca na pomyłkę. Jeden błąd byłby ostatnią czynnością w życiu.

– Nie strzelisz. Nigdy nie trafiłaś z takiej odległości. Jesteś tak samo żałosna jak Szymon. On się zawahał. Zobaczył mnie i się wystraszył. Chciał strzelić, ale tego nie zrobił, mimo że nie miałem w ręku karabinu. Przeraził się zwykłego człowieka! Był pieprzonym tchórzem, takim jak ty i cały ten wasz PAS!

– Przestań. Nie rusza mnie to – syknęła Robi, a na koniec głos jej lekko zadrżał.

– Zginiesz tak jak on i twoi beznadziejni rodzice. Jesteście siebie warci – warknął i położył palec na spust. – Będziesz kolejną bezsensowną ofiarą, która przelała krew za jakąś wyimaginowaną ideę obrony Polski. Nie jesteście nawet na swojej ziemi. Przecież to wszystko nie ma sensu. Wojsko cię wykorzystало, zniszczyli ci dzieciństwo. Mogłaś teraz być gdzieś na imprezie z przyjaciółmi, a tymczasem leżysz tu, ja mam cię na celowniku, a moja kula zaraz rozwali twój rudy łeb. Nawet twój superhełm nie ma szans w obliczu mojego karabinu.

– Nie gadaj tyle, bo się zmęczysz – syknęła agentka.

Po jej głowie przewijało się mnóstwo liczb, poprawek. Za wszelką cenę próbowała ustawić odpowiednio karabin. Zimny pot spływał jej po czole. Jeszcze nigdy nie denerwowała się aż tak na akcji. Nigdy nie bała się tak jak teraz. W końcu wstrzymała oddech. Teraz albo nigdy.

Padły dwa strzały. Niemalże równocześnie. Niebo przeszła błyskawica. Po czterech sekundach głowa Antona odchyliła się gwałtownie do tyłu i po chwili bezwładnie opadła.

Anton był martwy. Ona żyła. Kolejne dziesięć sekund leżała jak sparaliżowana, czekając, aż spóźniony pocisk trafi gdzieś w jej głowę. Z całej siły zaciskała powieki, a ręce kurczowo trzymały się karabinu, ściskając go z siłą imadła. Zamarła tak w bezruchu, na wstrzymanym oddechu, przygryzając sobie język. Czas dłużył się jej niemiłosiernie. Bez przerwy czekała na śmierć. Nie była w stanie uwierzyć, że pokonała Antona, że przeżyła starcie z tak dobrym snajperem, z odwiecznym wrogiem.

Przed jej oczami przemykały sceny z całego jej życia. Wszystkie chwile spędzone z Szymonem, każde starcie z Jerakovem. Oddychała szybko i nierówno. Lekkie drgawki wstrząsały nią co chwilę. Ciągle nie wierzyła, że żyje...

Powoli wróciła do zmysłów.

Popatrzyła z uśmiechem na trzy małe blaszki powiewające na wietrze przy kolbie Predatora. Ujęła je ręką i mocno ścisnęła. Przetarła palcem zabłocone logo PAS-u, a potem nazwisko przyjaciela.

– Dzięki, stary. Już po wszystkim. Szkoda, że nie ma cię przy mnie. Tak bardzo tęsknię – szepnęła cicho.

Rozdział dwudziesty drugi

Pilot Spitfire

Duże krople deszczu dudniły na jej hełmie. Odwróciła się na plecy, a karabin położyła obok siebie. Nie wierzyła w to, co się stało. Wreszcie jej się udało! Po tylu latach nareszcie poczuła się jakoś lżej.

Człowiek, który zabił jej rodziców, przyjaciela, który zranił ją, Kappę i wielu żołnierzy na przestrzeni kilku lat. Cały ten czas czekała na tę chwilę.

Nagle gdzieś nad głową usłyszała śmigłowiec, który zbliżał się do niej i wyraźnie zniżał lot. Zatoczył ciasne kółko tuż nad nią i w końcu wylądował. Z pokładu wyskoczyła trójka mężczyzn.

Robi zupełnie nie kontaktowała ze światem. Na początku nie poznała własnych przyjaciół. Przed oczami cały czas miała Antona, który trafiony jej pociskiem pada na ziemię bez tchu. Cały czas myślała o tym i tylko to miała w myślach.

– Robi! – krzyknął Net, ślizgiem lądując przy niej na kolanach na mokrej trawie. – Ty żyjesz! Myśleliśmy, że po tobie!

– Gdzie Jerakov? Uciekł? – zapytał Alan, pojawiając się po chwili za Netem.

Rico stanął obok i zaczął wypatrywać wroga, by w razie potrzeby móc bronić resztę. Jako snajper czuł się w obowiązku.

– Jerakov nie żyje – zaśmiała się agentka. – Nie żyje!

Alan i Net popatrzyli na nią zszokowani, a Rico prawie upuścił karabin.

– Potwierdzam. Cel leży. Brak oznak życia. Krew... eeee... No po prostu dużo jej tam. Jerakov nie żyje – zameldował uradowany Irbis.

– Pokonałaś go, Robi! – ucieszył się Net. – Wiesz, co to oznacza?!

– Obawiam się, że... nie – mruknęła zdeorientowana nastolatka.

– Skoro pokonałaś mistrza, to znaczy, że teraz to ty jesteś górą. Jesteś najlepsza! Najlepszy snajper, o jakim słyszeliśmy!

– Net... Błagam. Są ważniejsze sprawy niż to, kto jest najlepszy – wymamrotała.

Nadal leżała na mokrej trawie i nie mogła uwierzyć w to, czego udało jej się dokonać. Jerakov miał ją na muszce. Wtedy, gdzieś pomiędzy obliczeniami, przewijały się jej obrazy z całego życia. Jak zginęli jej rodzice, jak Anton wielokrotnie wchodził jej w drogę przez całą służbę w PAS-ie, jak ranił agentów, cywilów i żołnierzy, jak oślepił Kappę i w końcu jak strzelił do niej i jak zabił Szymona.

Teraz zrobiło się jej lżej w sercu. Zniknęło to dziwne poczucie obowiązku, które dręczyło ją przez tyle lat. Jej dziecięca przysięga wreszcie została spełniona.

– Jak żeście mnie znaleźli? – zapytała w końcu, podnosząc się z ziemi.

– Od początku wiedziałem, że coś kombinujesz. Granie opanowanej wyszło ci świetnie, ale nikt ot tak nie rusza z piskiem opon, zabierając ze sobą karabin. Poza tym byłaś taka tajemnicza – odparł Net.

– Przybiegł do nas. Wysłałem Grape'a i Węgra, żeby aresztowali White'a, a sam

poszedłem z Interem do Świdra. On już się zajął resztą – opowiedział Rico.

– No i jak przyszli do mnie, zacząłem kombinować. W końcu udało mi się dotrzeć jakoś do twojej lokalizacji podawanej przez lokalizator. Wyłączyłaś go, ale co to dla mnie. I potem pobiegliśmy do Franka. On poderwał śmigłowiec i tak oto jesteśmy – dokończył historię Alan i uśmiechnął się z dumą.

– Uwielbiam was.

Powoli ruszyli w stronę śmigłowca, w którym czekał już Franek. Pokonali dopiero jakieś trzy metry, gdy Robi zatrzymała się nagle i ze zdumieniem zaczęła wpatrywać się w trawę.

Zaśmiała się głośno, przykucnęła i podniosła pocisk. Obróciła go w palcach, podrzuciła i złapała. Pokręciła głową i spojrzała w stronę, gdzie leżał Jerakov.

– Co jest? – zapytał zaniepokojony Net, który siedział już na pokładzie.

– Zwiało mu kulę o dwa metry. Źle policzył wiatr. Miała trafić w moją głowę, jak mniemam. Dwa metry w bok... Jakiego trzeba mieć farta, żeby trafić i nie zostać trafionym.

Wrzuciła pocisk do kieszeni i pobiegła do śmigłowca. Wsiadła, a maszyna oderwała się od ziemi.

– Cieszę się, że żyjesz, Robi! – zawołał Franek, przekrzykując odgłosy wirnika.

– Też nie powiem, żebyś się martwiła – zaśmiała się agentka.

– Ja to bym się martwił na twoim miejscu – mruknął Rico i popatrzył na nią z ciekawością.

– Czemu?

– Miałaś nie tarzać się po ziemi i nie biegać. Jeśli lekarz cię dorwie, to chyba cię wykończy.

Wszyscy zaśmiali się cicho i wrócili do bazy w zaskakująco dobrym humorze. Radość z tego, że Robi żyje, a Anton został pokonany, przyćmiła przygnębienie ze zdarzeń dni poprzednich.

Na miejscu czekała na nich miła niespodzianka. Obok lądowiska dla śmigłowców stał Kapitan. Cekał pod prowizorycznym namiotem, który kiedyś rozłożono, ale nikt do tej pory nie miał pojęcia po co.

Dowódca zawołał ich do siebie, gdy tylko stanęli na ziemi.

– Jutro na kolację zjecie kapustę i schabowe – oznajmił radośnie, a agenci popatrzyli na niego zbici z tropu. – No co? Wracacie do domu! Jutro. Do Polski! Wszyscy wracamy. Misja skończona – wytłumaczył.

Przyjaciele popatrzyli po sobie, uśmiechając się szeroko. Kiedy tylko zwołali swoich podkomendnych i przekazali im wesołą wiadomość, rozbrzmiały wiwaty i oklaski. Cieszyli się z faktu, że udało im się przeżyć, jak i z faktu, że misja zakończyła się powodzeniem. Agentów rozpierała duma. Po raz pierwszy w historii brali udział w interwencji zbrojnej na taką skalę, ramię w ramię z żołnierzami. I wszystko się udało.

Późnym wieczorem pakowali rzeczy i szykowali się do drogi. Robi zaszyła się w swoim zakątku i położyła na kolanach swój karabin. Troskliwie pogładziła go po lufie i uśmiechnęła się lekko. Tyle razy ratował jej i jej przyjaciółom życie. Nigdy się nie zaciął, nigdy nie zawiódł. Wyczyściła go starannie, wypolerowała szkła lunety i wsadziła wszystko do swojej specjalnej walizki. Zamknęła ją i zabezpieczyła kłódką.

Pakując resztę swoich rzeczy, znalazła pod łóżkiem swój pamiętnik. Po śmierci Szymona rzuciła go gdzieś i do tej pory nie ruszała. Otworzyła go na jakiejś przypadkowej stronie.

Dzisiaj byliśmy na ćwiczeniach w strzelaniu. Instruktorzy znów byli na nas źli. Nie mam pojęcia, czemu oni tak bardzo się wkurzają, kiedy wytrącamy im kawę z rąk. Siedzą tam na tych swoich krzeselkach i pierdzą w stołek, a my tarzamy się w błocie. No trochę rozrywki nam się wszystkim przyda! Poza tym w kawę trudniej trafić niż jakąś tarczę. Powinni to docenić. Szymon wpadł na genialny pomysł. Po strzelaniu zakradliśmy się do centrum szkoleniowego agencyjnych pilotów. Znaleźliśmy symulator myśliwca! Oglądaliśmy go dokładnie, ale w końcu jeden z pilotów nas znalazł. Szymon błagał go przez długi czas i w końcu zgodził się, żebyśmy mogła odbyć jeden lot. Wystartowałam i leciałam! Robiłam sztuczki i walczyłam z jakimś samolotem. Niestety za szybko podchodziłam do lądowania i rozwalłam się za pasem. Pilot powiedział, że dobrze mi poszło! Nigdy nie byłam taka dumna jak wtedy!

Robi uśmiechnęła się pod nosem. To były stare, dobre czasy. Ona i Szymon tworzyli zgrany duet i każdy o tym wiedział. Niestety po okresie szkoleń zostali rozdzieleni i widywali się tylko czasami.

Przewertowała pamiętnik jeszcze raz...

Mam wrażenie, że kiedyś wywalą nas z PAS-u... Na ostatniej akcji zwiadowczej w Gnieźnie spisaliśmy się na medal. Potem wysłali nas na szkolenie, które było dzisiaj. Koszmar. Nudy, okropne nudy! Siedzieliśmy z Szymkiem na wykładzie teoretycznym. Czyli „jak walczyć, to znaczy oblicz kąt ugięcia nogi przy kopniaku i prędkość kątową ręki przy sierpowym”. Na co to komu, co?! I tak nie będę tego liczyć w razie walki. Wpadliśmy na pomysł dość prosty, ale jakże irytujący. Skoro mamy uczyć się fizyki, to już chociaż w praktyce. Cały czas rzucaliśmy papierowymi samolocikami. Biedny instruktor o mało nie wyszedł z siebie. Potem znowu poszliśmy do pilotów. Już nas tam znają. Po raz kolejny zasiadłam za sterami w symulatorze. Na początku w myśliwcu, a potem w śmigłowcu! Nadal mam problemy z lądowaniem, ale idzie mi coraz lepiej! Tym razem prawie wyhamowałam przed pasem. Poprzednio bym wyhamowała, ale przechyliłam się na prawe skrzydło i skończyło się jak zwykle...

Łza zakręciła jej się w oku. Wszystko przypominało jej o Szymonie. Każda chwila z dzieciństwa, każdy ich wybryk, pomysł i akcja. To były wspaniałe czasy. Beztroskie i niewinne. Wtedy nawet manewry wojskowe były inne niż teraz.

- Robi, co ty tam robisz? – zapytał Net, zaglądając przez zasłonkę.
- Nic. Nic specjalnego – mruknęła, zamykając pamiętnik.
- Jutro wcześniej wylatujemy. Tak w ogóle to wiesz, że lekarz jest wściekły?
- Dlaczego mnie to nie dziwi...
- Robi, wiesz przecież, on chce ci pomóc. To dla twojego dobra.
- Wszystko jest już w porządku. Rana nie była groźna jak na snajpera. Żyję, nic mnie nie boli. Jeśli lekarz ma z tym jakiś problem, to rozwiążemy to później.
- Wiesz, że do końca życia nie możesz przed nim uciekać? Kiedyś cię dopadnie. Chociażby po to, żeby zdjąć szwy.
- Im później, tym lepiej.

– Może i prawda. W końcu już jutro będziemy w Polsce! Tak się cieszę. Szkoda, że... No wiesz...

– Wiem. Szkoda, że nie wracamy w pełnym składzie. Nie daje mi to żyć, ale... Jakoś musimy sobie radzić.

Net uśmiechnął się lekko i pomachał do przyjaciółki.

– Dobranoc – szepnął i zniknął za zasłonką.

Robi ułożyła się wygodnie na łóżku. W końcu była jakoś dziwnie spokojna, jakby ktoś odebrał jej chwilowo wszelkie zmartwienia i cienie przeszłości. Po męczącym dniu zasnęła natychmiast.

Rozdział dwudziesty trzeci Rutynowy lot

Terroryści pokonani, wszyscy ich zwolennicy polegli lub uciekli. Po raz kolejny PAS był górą i pokazał, gdzie raki zimują. Po kilku miesiącach spędzonych w piekle nareszcie wracali do domu. Na pasie stał już samolot transportowy. Za nim, bliżej hangaru, stały dwa myśliwce czekające na lot. Miały lecieć do jednej z baz, wyprzedzając wolniejszego Herculesa.

Wszyscy pakowali się już na pokład samolotu. Robi i Franek mieli właśnie wsiadać, gdy podszedł do nich porucznik Jacek, który zarządzał grafikami pilotów na misji.

– Dobrze, że jeszcze jesteście. Ktoś musi odstawić F-16 do Polski, a czwórka pilotów się czymś zatrzała. Mick i Diego zajęli się już jednym z Jastrzębi, ale drugi nadal nie ma nikogo, kto odprowadziłby go do kraju. Potrzebujemy pilota albo dwóch.

– Może być pilot i... eeee... Powiedzmy, że coś w stylu obserwatora lub wsparcia psychicznego? – zapytała Robi z nadzieją w głosie.

– Powiedz po prostu, że chcesz lecieć z Gryzoniem – zaśmiał się Jacek. – Może tak być. W końcu to tylko powrót do domu, a z tego, co wiem, każdy agent po części jest pilotem. Umiecie latać, prawda?

– Po linii prostej umie każdy – stwierdził Franek. – Jeśli by nie umiał, nie mógłby być w PAS. Oni latają „jakoś”, a piloci potrafią to robić z dużym przeciążeniem i w pięknym stylu.

– No i dobra. Grunt, żeby w kabinie nie siedział ktoś, kto nic z tych rzeczy nie rozumie. Idźcie się przebrać. Startujecie po Herculesie. Mick i Diego polecą z opóźnieniem. Muszą jeszcze coś dokończyć.

– Nie ma problemu – zaśmiał się Franek. – Do zobaczenia na polskiej ziemi.

Dwójka agentów ruszyła w stronę hangaru. Oboje byli przeszczęśliwi. Franek zawsze lubił wyrwać się ze śmigłowca i polatać czymś szybszym, a Robi każdą okazję do kontaktu z myśliwcem uważała za wyjątkowe wydarzenie.

Przebrali się w kombinezony i przygotowali do lotu. Podeszli do czekającej na nich maszyny, która na cześć akcji z porwanym samolotem miała na ogonie wymalowanego irbisa z chomikiem siedzącym mu na grzbiecie.

Franek wspiął się po drabince i zajął miejsce za sterami. Robi w tym czasie stanęła przed maszyną i przypatrywała jej się z zachwytem. Postanowiła już, że gdy tylko wróci do domu, oklei sobie samolotami ściany i meble w pokoju.

– Robi! Lecisz czy będziesz tam tak stała i czekała, aż cię rozjadę? – zawołał lekko rozbawiony Gryzoń, wychylając się z kabiny.

– Idę! – zawołała wesoło i podbiegła do drabiny.

Wskoczyła na swoje miejsce. Zapięli pasy, włożyli hełmy i podłączyli wszystko tak jak trzeba. Robi uniosła kciuk na znak, że jest gotowa.

– Gryzoń melduje pełną gotowość do startu – zameldował Franek.

– Hercules startuje – odezwał się pilot transportowca.

Patrzyli, jak duży, ciężki samolot odrywa się od ziemi i ostro wyrывa w górę. Franek

uśmiechnął się i włączył silnik. Turbiny pod nimi zawyły, a F-16 zaczął powoli kołować na pas.

– Gryzoń, macie pozwolenie na start. Następny kontakt w Polsce. Mam nadzieję, że po drodze nie będzie takiej potrzeby.

– Przyjąłem. Gryzoń opuszcza lotnisko – zaśmiał się Franek, a samolot ruszył po pasie.

Przyspieszał z każdą chwilą, aż w końcu oderwał się od ziemi. Franek poderwał w górę nos samolotu i w locie pionowym wykonał beczkę, po czym zniknął w chmurach.

– Lecisz do domu. Nie jesteś na pokazach lotniczych, Gryzoń. Pamiętaj – zarechotał kontroler z wieży w bazie.

– To było z dedykacją dla was, żebyście się nie nudzili.

– Miło z twojej strony. Bez odbioru.

Lecieli wysoko, ponad chmurami. Niczym niezmaczone słońce świeciło gdzieś na wschodzie. Samolot lekko mknął, tnąc powietrze. Robi nie mogła wyjść z podziwu. Siedziała z głową tuż przy owiewce i podziwiała widoki. Po akcji z porwanym samolotem myślała, że ma dość myśliwców na resztę życia, ale teraz wiedziała, że to nieprawda. „To mi się chyba nigdy nie znudzi”, pomyślała.

– Robi, chciałabyś polatać? – zapytał po jakimś czasie Franek.

– To znaczy?

– Złapać za ster i poczuć się jak prawdziwy pilot.

– Co jak rozwalę samolot? – zapytała cicho Robi, dotykając delikatnie steru palcem wskazującym.

– Chyba poradzę sobie z wyratowaniem nas – zaśmiał się pilot i podniósł ręce do góry. – Pilotuj, poruczniku.

Robi popatrzyła z przerażeniem na przyjaciela i złapała za ster. Trzymała go nieruchomo i napawała się cudownym uczuciem towarzyszącym pilotowaniu samolotem.

– Dziewczyno... Co się z tobą dzieje? – zaśmiał się Franek, odwracając się do tyłu. – Widziałem, co wyprawiałaś na symulatorze!

– To było na ziemi! A nie kilkanaście kilometrów nad nią!

– Oj, daj spokój! Skręcaj, lataj. Spokojnie.

Robi popatrzyła na ster. Odchyliła go lekko w prawo, a samolot przechylił się na prawe skrzydło. Przyciągnęła ster do siebie, a samolot zaczął się wzbijać. Agentka uśmiechnęła się pod nosem i wróciła do niej pewność siebie. Poskręcała parę razy i wróciła do normalnego, spokojnego lotu, żeby zaoszczędzić paliwo. Po chwili Franek zaczął się nudzić i przejął stery.

Po jakimś czasie zaśmiał się wesoło i odwrócił się w tył do Robi. Pokazał jej uniesiony kciuk.

– Jesteśmy w Polsce – oznajmił radośnie.

Agentka popatrzyła w dół. Pod samolotem przemykały białe grzbiety chmur, a między nimi widać było zielone tereny, rzeki, wioski. Po miesiącach ciężkich zmaganiach w końcu była w domu. Znowu patrzyła na polskie pola i lasy i czuła się przeszczęśliwa. Po chwili jednak pomyślała o Szymonie, który nigdy już nie zobaczy nic, nie poczuje zapachu polnych kwiatów ani wiatru we włosach podczas latania śmigłowcem nad Odrą. Na myśl nasunął jej się też Kappa. Westchnęła cicho i mimo wszystko uśmiechnęła się lekko.

– Baza do Gryzonia, baza do Gryzonia! – odezwał się męski głos w słuchawkach.

– Tu Gryzoń, co jest?

– Nad Wrocław leci jakiś niezidentyfikowany myśliwiec. Leci ze wschodu! Podrywamy

naszych chłopaków, ale wy jesteście najbliżej. Jeśli zaatakuje miasto, to kicha. Musicie go przegonić albo przynajmniej opóźnić do czasu przybycia posiłków.

– Mick i Diego lecą drugim. Mają dosłownie chwilę opóźnienia. Powinni być gdzieś na naszym skrzydle. Mogą nam pomóc.

– Oni mają lecieć do nas. Żeby nie robić bałaganu, powiedz im to. Mają przyspieszyć i lądować u nas. Podczepimy im uzbrojenie i polecą znów. Wyślemy im na skrzydło nasz samolot.

– Przyjąłem. Lecimy.

– Masz drugiego pilota? Jest dobry?

– Można tak powiedzieć, że mam. Jest dobry moim zdaniem.

– Powodzenia – mruknął mężczyzna, ale w jego głosie słychać było niepokój.

Wyglądało to tak, jakby bał się, że posyła dwie osoby na pewną śmierć. Robi przechyliła głowę na bok i popatrzyła na swojego przyjaciela. On w tym czasie połączył się z drugim myśliwcem. Przekazał im rozkazy, a oni zameldowali, że przyjęli.

Po chwili F-16 przemknął obok nich z dużą prędkością, oddalony o około kilometr. Z ich punktu widzenia był tylko małą szarą plamką na błękitnym niebie. Franek pchnął przepustnicę, a samolot zaczął przyspieszać. Ustawił kurs na Wrocław. Wracali do domu, ale nie tak, jak to sobie wyobrażali.

Lecieli w milczeniu. W napięciu czekali na ten krytyczny moment, kiedy oni i przeciwnik znajdą się na radarze i nie będzie odwrotu.

– Robi, w razie czego zrób to, co ci powiem. Jeśli powiem, że masz się katapultować, robisz to. Jeśli poproszę o coś... pomóż – poprosił pilot, kiedy lecieli nad Stawami Milickimi.

– Tak jest – odpowiedziała Robi.

Po chwili na radarze pojawił się drugi samolot. Nie został zarejestrowany jako sojusznicy. To wróg. Zmierzał szybko w ich kierunku, a oni zataczali krąg gdzieś nad Wrocławiem.

Zobaczyli go. Zbliżał się do nich. Czarny, złowrogi. Był już bardzo blisko. W końcu oba myśliwce minęły się w nieznacznej odległości. Franek nie chciał strzelać, dopóki nie miał pewności co do pochodzenia samolotu. Zawrócił i ruszył za nim.

– Robi, oczy mnie mylą czy on nie ma żadnych oznaczeń?

– Brak czegokolwiek. Jest po prostu czarny.

– Cholera. Ktoś mi kiedyś mówił, że oni mają samolot, ale po tej walce przy porwanym samolocie myślałem, że im się skończyły... Musimy go wyciągnąć znad miasta.

F-16 wyrwał do przodu i zaczął gonić przeciwnika. Mieli do czynienia z myśliwcem MiG-29. W tym starciu nie było pewności, kto wygra. Robi spostrzegła pod jego skrzydłami dwie bomby i dwie rakiety typu powietrze–powietrze.

Franek przemknął obok niego i wpadł mu prosto pod dziób. „Pomachał” mu skrzydłami i odbił lekko w prawo. Miał nadzieję, że pilot zechce pokonać ich, zanim dokończy swe zadanie, ale on uparcie parł do przodu. Gryzoń przeklął pod nosem i wrócił na ogon MiG-a.

– Czemu go nie zestrzelimy? – zapytała Robi.

– Nad miastem? Wiesz, ile byłoby ofiar, gdyby runął gdzieś w centrum? Na domy, sklepy? Musimy go wyciągnąć na pola.

Czarny samolot przechylił się na lewe skrzydło i zanurkował ostro. Franek zrobił to samo, nie spuszczaając go z celownika. Lecieli teraz tak nisko, że prawie szurali brzuchami po dachach niektórych budynków.

– Skubaniec jest identyczny jak ten, z którym walczyliśmy wtedy. Skoro ma dwie bomby i krąży nad Wrocławiem... to jego cel chyba jest dość oczywisty.

– Chce zaatakować dwa wejścia do naszej bazy! Ale skąd o nich wie?! – pisnęła Robi, ale po krótkiej chwili zastanowienia szepnęła: – No tak, White! Niech go szlag. Agenci zostaną uwięzieni pod ziemią na długi czas! Niektórzy nawet może zginą, zwłaszcza ci w części ekonomicznej!

– On chyba nie wie dokładnie, gdzie zrzucić bombę. Nie ma współrzędnych. Szuka, więc mamy trochę czasu. Robi, myśl. Jak odwrócić jego uwagę?

Agentka zamknęła oczy i ze wszystkich sił starała się skupić na myśleniu. Do głowy przychodziły jej tylko pomysły dość typowe jak dla snajpera.

– Może to głupie, ale gdyby tak postrzelać do niego? Z działka. Trafiać w takie miejsca, żeby nie spadł, ale żeby wkurzył się i poleciał za nami! – wydusiła z siebie w końcu.

– Genialne! Przygotuj się – zawołał Gryzoń i skierował nos samolotu na MiG-a.

Nacisnął spust. Działko zaterkotało miarowo, wypływając naboje w stronę przeciwnika. Franek kręcił nosem F-16, aż w końcu kilka pocisków poszarpało lekko prawy statecznik poziomy i zadrapało kadłub.

Samolot nadal leciał, ale pilot wyraźnie się zdenerwował. Zaczął kręcić się w swoim fotelu i odwracać w stronę agentów. Franek uśmiechnął się półgębkiem pod maską tlenową i szybko odbił na prawo. Przeciwnik połknął haczyk i ruszył za nimi w pościg.

Teraz byli żywą tarczą, która miała za zadanie odciągnąć atakującego od terenu zabudowanego. Wszystko trwało sekundy, minuty... ale zdawało się, jakby to była wieczność.

BIP, BIP, BIP.

Rozbrzmiał złowrogi dźwięk. MiG ich namierzył i szykował się do ataku.

Franek przeklął coś pod nosem i pociągnął za ster. Pchnął przepustnicę na pełną moc, a odrzutowiec wyrwał w górę. Zatoczył koło i znalazł się tuż za MiG-iem.

Pod ich kadłubem migwały lasy, pola i skrząca się w słońcu Odra. W końcu wylecieli nad miasta!

– Strąćmy go jakąś rakieta i koniec! – pisnęła Robi, obserwując, jak MiG próbuje wyrwać się sprzed nosa agentów.

– Czym? Jaką rakieta? To miał być powrót do domu, a nie walka. Mamy tylko działko – mruknął Franek aż nader spokojnym tonem.

MiG skręcił ostro i zanurkował. Przeleciał tuż nad pasem startowym wrocławskiego lotniska i poderwał się do góry. Gryzoń popatrzył na niego zdziwiony. Nie miał pojęcia, co zamierzał tamten pilot, ale wydawało mu się to kompletnie bezsensowną stratą paliwa.

F-16 skręcił znów i zaleciał MiG-owi drogę, by zmusić go do ponownego pościgu nad niezaludnionymi terenami.

BIP, BIP, BIP, BIP!

– Tak, tak. Wiem! – warknął Franek, uderzając lewą ręką w przycisk odpalania dipoli, kiedy rakietę wystrzeliła już spod skrzydła MiG-a.

Dipole to po prostu paski folii metalowej używane jako środek przeciwdziałania radiolokacyjnego. Franek pchnął ster, a samolot zanurkował z prędkością pocisku karabinowego w kierunku ziemi.

Robi złapała za brzegi fotela i zacisnęła zęby. Uwielbiała myśliwce, ale przeciążenia zawsze dawały jej do wiwatu.

MiG po raz kolejny namierzył F-16. BIP, BIP, BIP – znów rozbrzmiewał alarm. Franek

przewrócił oczami i poderwał samolot do góry. Przeciwnik poleciał za nimi i wystrzelił kolejną rakietę.

– Tak, tak, już to widziałem – mruknął Gryzoń i znów stuknął pięścią w odpowiedni przycisk.

Zrobił beczkę i odbił w lewo. Po raz kolejny uniknęli śmierci. Robi popatrzyła zrezygnowana do góry i odetchnęła głęboko. Puściła fotel i rozluźniła się lekko.

Nagle na prawym skrzydle pojawił się czarny jak noc MiG. Zakręcił gwałtownie, ustawiając się prostopadle do agentów. Zaczął strzelać, ale nie wychodziło mu to najlepiej. Po chwili F-16 zachwiał się na boki. Nos skierował się w dół, a samolot wpadł w korkociąg.

– Robi, stery! Przejmij stery! – wrzasnął Franek.

– Co?! – pisnęła agentka, wychylając się zza fotela Gryzonia.

Pilot trzymał się za prawą rękę, a na jego rękawie zauważyła sporą czerwoną plamę. Szybko zerknęła na owiewkę. Była w niej dziura. Pocisk z działka drasnął rękę Franka. Jakimś cudem nic się nie rozleciało, a samolot nadal był w powietrzu. To, że właśnie spadał z zawrotną prędkością, to była inna kwestia. Wszystko trwało ułamki sekund.

Robi złapała za drążek i tuż nad ziemią wyciągnęła odrzutowiec z korkociągu. Przemknęła dosłownie trzy metry nad ziemią i wyrwała do góry.

OSTRZEŻENIE, OSTRZEŻENIE!

– Co jest?! – pisnęła i obejrzała się za siebie, chcąc sprawdzić, czy nie leci za nimi żaden pocisk.

– Lecimy na oparach – wymamrotał Franek i przełączył na inną częstotliwość. – Baza, tu Gryzoń. Gdzie są posiłki? Falcon1 leci na oparach. Pilotuje Spitfire.

– Tu baza. Gryzoń, co się tam dzieje?

– Trafił nas. Nie mogę pilotować, steruje drugi pilot. Nie mamy paliwa ani uzbrojenia. Naboje z działka też zaraz się skończą. Gdzie Falcon2 i Falcon3?

– Dwie minuty do kontaktu. Utrzymajcie MiG-a poza miastem.

– Przyjąłem – mruknął Franek. – Bez odbioru.

Robi przysłuchiwała się rozmowie. Goniąc wrogi myśliwiec, po raz pierwszy od dawna stwierdziła, że wolałaby być teraz na dole, na ziemi, ze swoim karabinem i patrzeć na samoloty od dołu.

Nie miała najmniejszej ochoty na beczki i skręty. Chciała po prostu dokończyć to, co zaczęli, i wrócić bezpiecznie na ziemię.

Nagle za nimi pojawił się MiG. Znów. Nie miał zamiaru odpuścić, bo najwidoczniej dostrzegł zagrożenie w małym, nieuzbrojonym samolocie. Chcąc nie chcąc, Robi musiała dać z siebie wszystko.

Zacisnęła powieki i wyobraziła sobie, że to tylko kolejny lot na symulatorze wykonywany razem z Frankiem w czasie nudy we Wrocławiu.

Zrobiła parę beczek i poderwała samolot do góry. Weszła w ciasny zakręt z dużym dodatnim przeciążeniem. Krew odpłynęła jej z głowy. Zamroczyło ją lekko, a pole widzenia zwęziło się na moment. Zaniepokojony Franek odwrócił się do tyłu, żeby upewnić, że Robi nadal jest przytomna.

Agentka popatrzyła z nienawiścią na MiG-a. Uwielbiała wszystkie myśliwce, ale ten konkretny działał jej na nerwy. Znów lecieli w stronę miasta. Nie ma co, pilot był uparty, ale ona też nie miała zamiaru odpuścić.

Zależało jej na czasie, więc postanowiła wykorzystać manewr, którego nauczyła się

kiedyś na symulatorze. Pchnęła przepustnicę, a samolot wyrwał się do przodu. Odwróciła się na plecy i zarówno ona, jak i Franek, zawisnęli na pasach głową w dół. Kurz z podłogi zaczął opadać na ich twarze. Krew spłynęła im do głów. Agentka skierowała nos samolotu na grzbiet MiG-a, który leciał tuż nad ziemią.

TUR, TUR, TUR, działko znów zaterkotało miarowo. Robi zamrugła oczami, próbując znieść jakoś ujemne przeciążenie, które było dużo gorsze niż dodatnie.

Nagle MiG zatrząsnął się, a pilot katapultował się w trybie natychmiastowym. Samolot zarył w ziemię, zostawiając za sobą długą rozkopaną smugę. Zatrzymał się dopiero po zderzeniu z płotem jednego z domów.

Na radarze pojawiły się dwa kolejne samoloty. Robi z przerażeniem zaczęła się rozglądać dookoła.

– Ładna robota, Spitfire – odezwał się Mick.

– Zabraliście nam całą zabawę – zarechotał Diego.

– Wieża, tu Falcon1 – wymamrotał Franek słabym głosem, nadal trzymając się za rękę. – Falcon1 leci na oparach. Proszę o pozwolenie na lądowanie. Pilnie!

– Tu wieża. Podchodźcie od zachodu. Oczyszczamy pas.

– Dziękuję. Bez odbioru.

Robi zakręciła lekko i skierowała się w stronę lotniska. Lampka mrugała rozpaczliwie, informując o niskim poziomie paliwa. W końcu wykonała ostatni zakręt i znalazła się na wprost pasa startowego. Zredukowała prędkość i obniżyła lot.

– Franek, przejmiesz stery, prawda? – zapytała błagalnym tonem.

– Nie dam rady bez prawej ręki. Musisz posadzić nas na ziemi.

Od pasa dzieliły ich niecałe trzy kilometry.

– Rozbiję nas! – pisnęła agentka.

– Daj spokój. Umiesz świetnie latać. Jestem pod wrażeniem. Cóż ty wyprawiałaś na tych symulatorach?

– Jak to co? Rozwalałam się przy lądowaniu! Nie pamiętasz?!

Franek odwrócił się do tyłu i popatrzył na nią przerażony. Był blady, a po jego czole spływały krople potu. Odpiął maskę tlenową i uśmiechnął się do niej krzywo, próbując podnieść ją na duchu.

– Posadź nas, Robi. Dasz radę.

F-16 zbliżał się do pasa. TUM, TUM, TUM. Podwozie wysunięte. Wszystko zadziało. Chociaż tyle dobrego. Leciła nisko, tuż nad ziemią, ale prędkość nadal była niepokojąco duża.

W końcu nadszedł punkt krytyczny. Podwozie myśliwca zderzyło się z ziemią, bo z pewnością nie było to gładkie lądowanie. Robi odetchnęła z ulgą. Samolot jechał już po ziemi. Nie zarył nosem w beton, nie wypadł z pasa. Pozostawał jeden problem...

– Aaaaa! Hamuj, hamuj, hamuj! – szlochała, próbując ze wszystkich sił zatrzymać samolot.

W końcu odrzutowiec zaczął zwalniać. Franek i Robi z przerażeniem patrzyli, jak końcówka pasa zbliża się nieubłaganie, ale udało się. Przednie koło zatrzymało się dokładnie dwadzieścia centymetrów od trawy.

Agentka pokołowała na jedną z płyt, a chwilę później na ziemi pojawiły się dwa pozostałe myśliwce.

Nie minęła minuta, a obok pierwszego F-16 pojawiła się straż pożarna i karetka. Ratownicy wyciągnęli z kabiny półprzutomnego, ale szczęśliwego Franka.

– Cały jesteś? – zapytał jeden z ratowników, patrząc na Robi.

– Mhm – mruknęła agentka i zaśmiała się pod nosem.

To już któryś raz w jej karierze, kiedy pomyłono ją z mężczyzną. Teraz jednak jej to nie dziwiło. Na głowie miała hełm, a twarz zasłaniała jej maska tlenowa i osłonka przeciwsłoneczna. Popatrzyła w stronę terminala.

Przy szybach stały tłumy cywilów. Co tu się dziwić, w końcu nie codziennie trzy myśliwce lądują na zwykłym lotnisku. Do tego ta walka powietrzna...

Siedziała tak i beczynn timer wpatrywała się w dal. Nadal nie wierzyła, że jej się udało. Miała nadzieję, że Franek przeżyje i jakoś się wyliże. Zastanawiała się też, co się stało z tamtym pilotem.

Nagle ktoś zapukał jej w hełm.

– Hej, hej, księżniczko! – zaśmiał się Mick.

Popatrzyła na lewo i zobaczyła roześmianego pilota zagląającego do kabiny. Za nim na drabince stał Diego i obserwował ją zmieszany.

– Hej – odpowiedziała, uśmiechając się lekko.

– Będiesz tak tu siedzieć czy wyjdiesz do ludzi? Wszyscy mieli niezłe widoki na tę waszą walkę. Tłumy was kochają, telewizja szaleje! To przez nich takie się zrobiło zbiegowisko. Na szczęście nie wpuścili tu kamer ani dziennikarzy. W ochronie naszej tożsamości – Mick nadawał jak nakręcony, prawie nie robiąc przerw na oddech.

– Ty i Gryzoń jesteście bohaterami dnia! – zawołał Diego.

– Podobno Darek to wszystko widział.

– Darek?! Jest tu? O, nie. W takim razie nie ruszam się z samolotu. On mnie zabije! Miałam nie ryzykować.

– Oj, daj spokój! Wybacz ci – zaśmiał się Mick, ciągnąc ją za rękę.

Robi wzięła głęboki oddech i wstała. O mało nie walnęła głową w owiewkę, ale w końcu udało jej się stanąć bezpiecznie na ziemi. Popatrzyła z uśmiechem na samolot i razem z chłopakami ruszyła w stronę rodzin czekających na przyłot Herculesa.

– Poruczniku! – zawołał ktoś z tyłu.

W ich stronę szło dwóch pilotów z Sił Powietrznych. Zielone kombinezony, duże okulary przeciwsłoneczne i hełmy pod pachą. Tyle się wydarzyło, tyle czasu spędziła w samolocie, a mimo to nogi ugięły się pod nią z wrażenia.

– Całkiem niezłe jak na nieuzbrojonego laika. Nie taki PAS straszny, jak go malują. Kiedyś zdawało nam się, że tylko się tak przechwalacie, ale serio jesteście spoko – powiedział jeden z przybyszów i uściśnął trójce pilotów ręce, gratulując im.

– Miło nam to słyszeć – wymamrotała rozanielona Robi, uśmiechając się szeroko. – Naprawdę miło.

Piloci wrócili do myśliwców, by pilnować ich w czasie tankowania. Robi, Mick i Diego podeszli do Darka.

– Świetny lot. Piloci PAS-u zasłużyli na prawdziwy podziw. Cała ta walka... Tylko gratulować – zaśmiał się agent na widok pilotów.

– Tym bardziej, że przez jakiś czas pilotował kot – zarechotał Diego, poklepując nastolatkę po ramieniu.

– Zaraz, zaraz. Kot?! – krzyknął zdezorientowany Darek, patrząc to na nich, to na samolot. – Błagam, powiedzcie, że się mylę. Kot? Spitfire? Irbis na stateczniku... Robi!

Wyciągnął rękę w stronę najniższego z lotników i podniósł mu osłonkę. Nie mylił się.

– Cześć. Co słychać? – zapytała agentka jak gdyby nigdy nic.

Darek wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem, machając rękami w różnych kierunkach, a na koniec mocno przytulił nastolatkę i szepnął:

– Masz szczęście, że żyjesz. Nie mógłbym żyć, gdybym cię stracił! Miałaś uważać!

– Oj tam, oj tam.

– Proszę pana. Ona jest teraz bohaterką – mruknął Diego i popatrzył na Robi przepraszącą. – Sorry, że wcześniej byłem taki wredny. Myliłem się. Koty jednak potrafią latać. Zwracam honor, Robi.

Nastolatka uśmiechnęła się szeroko. Wręcz promieniała ze szczęścia. Nareszcie stała na polskiej ziemi, wśród rodaków i przyjaciół. Popatrzyła w górę i uśmiechając się lekko, zasalutowała, patrząc na chmury przemykające nad ich głowami. Była wdzięczna wszystkim poległym w walce. Nie chodziło tu tylko o Szymona czy jej rodziców. To był swego rodzaju hołd dla wszystkich, którzy zginęli, walcząc o wolność, honor i bezpieczeństwo Polski. Wszyscy, począwszy od zamierzchłych czasów, przez wszystkie epoki, przez dwie wojny światowe, aż do teraz. Gdyby nie oni, z pewnością nie stałaby tutaj na ojczystej ziemi w mundurze z polską flagą. Gdziekolwiek byli teraz, była im wdzięczna.

– Myślicie, że ludzie zauważyli naszą walkę? – zaśmiała się po dłuższej chwili, kiedy znów spojrzała na tłumy gromadzące się za ogrodzeniem i w terminalu.

– No, na bank – mruknął Darek, a Mick i Diego zarechotali wesoło.

– Eee tam. Przecież on tylko tak MiGnął nad miastem. To się działo tak szybko – zaśmiała się Robi.

– No wiesz, w sumie to mogli go zobaczyć, kiedy zaMiGotał w słońcu – wykrztusił rozbawiony Mick, wręcz dusząc się ze śmiechu.

– Dobra, aMiGos! Czas wracać do domów – zarechotał Diego.

– No to wracajmy. Tylko MiGiem! – powiedział Mick, siląc się na poważny ton, a pozostała dwójka parsknęła śmiechem.

– Powiecie mi, o co wam chodzi z tym „MiGiem”? – zapytał zdezorientowany Darek.

– Dowiesz się, jak dojdziemy do domu – szepnęła rozbawiona Robi, poklepując go po ramieniu.

Rozdział dwudziesty czwarty Trochę inny domek

Wszyscy mamy chwile gorsze i lepsze w swoim życiu. Każdy z nas ma inne marzenia, ambicje i inne możliwości. Jednak każdy z nas jest człowiekiem i nie powinien o tym zapominać. U podnóży Kaukazu i na wybrzeżu Morza Kaspijskiego spędziłam kilka miesięcy, które pozostaną w mojej pamięci na zawsze. Przeżyłam tam chwile być może dość zabawne, ale też i okropne. Mieliśmy okazję poznać to drugie oblicze człowieka w pełnej krasie. Jerakova, który nie zawahał się zabić własnego syna, oraz jego zwolenników, którzy usiłowali zabić nas i wszystkich naszych sprzymierzeńców. Z drugiej strony widzieliśmy bezbronnych cywilów, którzy mijając nas na ulicach, oferowali nam owoce, wodę i... marchewki. Widzieliśmy błysk wdzięczności w oku ocalonego od śmierci dziecka, ale też gromy nienawiści na twarzy rannego terrorysty.

Cieszyliśmy się na wyjazd na misję. Nowe przygody, możliwość zdobycia doświadczenia, poznanie wyśmienitych żołnierzy i pilotów z Polskich Sił Zbrojnych... Byliśmy w siódmym niebie. Z czasem wszystko zobaczyliśmy w innych barwach. Walkę o bezpieczeństwo Polski nadal uważaliśmy za cudowny zaszczyt, ale otarliśmy się też o rzeczywistość.

Każdy ma swoje zdanie, ale jedno wiem. Wojna to nie gra komputerowa, w której każdy ma pięć żyć. To piekło, które nie wybacza błędów. Tam po prostu trzeba uważać. Stamtąd nikt nie wraca bez jakiegoś uszczerbku na psychice. Wojsko to zaszczyt, ale też obowiązek i ryzyko. Każdy powinien o tym pamiętać.

Robi, Net, Alan i Franek siedzieli razem na tarasie przy stole. Wiał ciepły, letni wiaterek, a słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Popijali herbatę i patrzyli, jak ostatnie promienie słońca oświetlają ogród.

- Jak tam matura? – zapytał Franek, uśmiechając się pytająco.
 - Chyba nieźle – zaśmiała się Robi, wpatrując się w ciemną krążącą gdzieś przy oknie.
 - Dzisiaj była fizyka, tak? – dopytywał Alan.
 - Owszem. I wiecie co? Wszyscy narzekali na trudne zadania, ale... mnie tam się podobały. Takie życiowe były.
 - Życiowe?
 - Yhym. Coś w stylu: „oblicz energię kinetyczną pocisku wystrzelonego bla, bla, bla”, albo zadania z aerodynamiki.
- Mówiąc to, Robi uśmiechała się szeroko, a jej przyjaciele chichotali pod nosem.
- Moja krew. Były jakieś zadania na temat F-16? – zapytał z nadzieją w głosie Franek.
 - Nie, ale jedno było na serio świetne! „Jakiej korekty powinien dokonać snajper, chcąc trafić w cel położony pięć metrów niżej od niego z odległości tysiąca metrów?” No błagam! Nie takie rzeczy liczyło się w pamięci.

Agenci wybuchnęli śmiechem i śmiali się tak przez długi czas. W pewnym momencie Gryzoń spojrział w stronę jednego z rogów ogrodu. Uśmiechnął się i rozbawiony pokręcił głową.

– Zabiorą go stąd kiedyś? – zapytał.

– Mam nadzieję, że nie – zachichotała Robi i popatrzyła w tym samym kierunku co pilot.

Wśród połamanych desek, skoszonych miniaturowych iglaków, gałązek i obok zrujnowanej rabatki leżał dobrze zachowany wrak myśliwca MiG-29. Samolot zarył nosem w ziemię i przeorał kilkadziesiąt metrów łąki, po czym w końcu zatrzymał się na strzępach ogrodzenia.

Miał poszarpany prawy statecznik poziomy, podrapany kadłub i przestrzelony jeden z silników. Był cały czarny, a na lewym skrzydle białą farbą wypisaną miał datę: *8 listopada 2013*.

– Do dziś nie wiem, jakim cudem zestrzeliłaś myśliwiec nad własnym domem! – krzyknął Net.

– Działko to nie to samo co rakiety, a samolot leciał nisko. Zanim zdążyliśmy wyrządzić mu poważne szkody, pilot się katapultował, a samolot „wylądował” na ziemi lekko pokierszowany – wytłumaczył Franek.

– Wiesz co, Robi? Jak na mój gust to samolot jest dziwną ozdobą w ogródku. Krasnale, zwierzaki... to zrozumiałem. Ale myśliwiec?! – pisnął rozbawiony Alan.

– Dziwny? Nie. Dlaczego? Jedni mają domki na drzewach, a ja mam MiG-a. Sądzę, iż jest to kwestia gustu – powiedziała, udając poważną, i znów wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Śmiali się głośno i długo. Siedzieli wpatrzeni w samolot oświetlony ostatnimi promieniami letniego słońca i śmiali się do rozpuku. Ten śmiech pozwalał im choć na moment zapomnieć o piekle, które przeżyli siedem miesięcy temu.